THOMAS DORMANDY

KRÓTKA HISTORIA

OPIUM

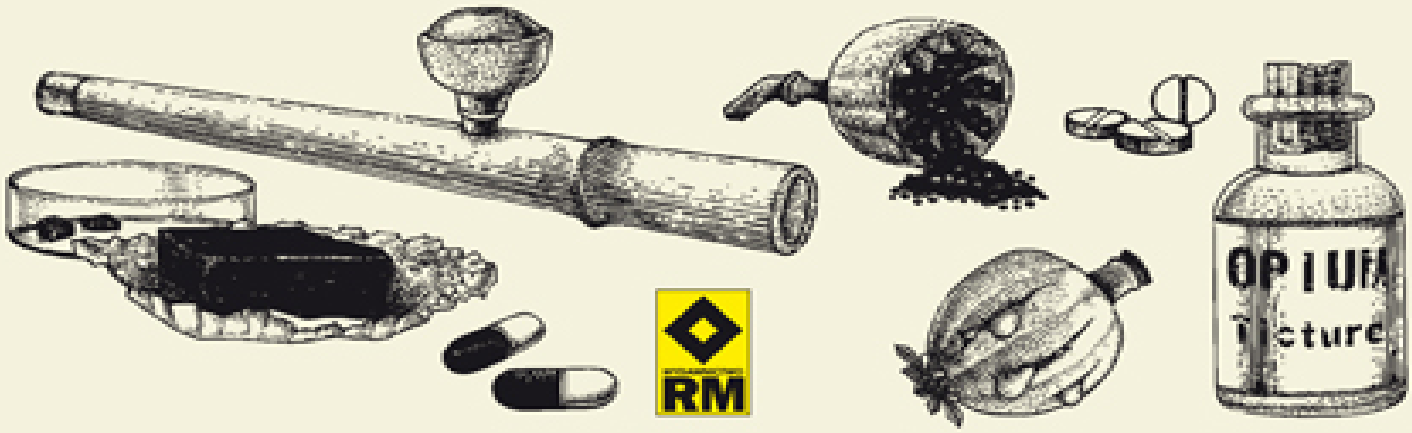

THOMAS DORMANDY

KRÓTKA HISTORIA OPIUM

WYDAWNICTWO RM

Krótka historia opium

Thomas Dormandy

Tłumaczenie: Patrycja Zarawska

Originally published by Yale University Press as OPIUM, REALITY'S DARK DREAM
Copyright © 2012 by Thomas Dormandy
All rights reserved.

Polish language translation © 2017 Wydawnictwo RM
Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli.
Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

ISBN 978-83-7773-727-9
ISBN 978-83-7773-869-6 (ePub)
ISBN 978-83-7773-870-2 (mobi)

Redaktor prowadzący: Agnieszka Trzebska-Cwalina
Redakcja: Anna Czubska
Korekta: Składnica Literacka
Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec
Projekt graficzny okładki, książki i ilustracji: Studio GRAW
Edytor wersji elektronicznej: Tomasz Zajbt
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikcja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

Dla Johna
i ku bezcennej pamięci Daisy

Spis treści

Wprowadzenie

CZĘŚĆ I: SOK

1 Skamieniałe bułeczki

2 Magiczne wysączenie

3 Dar bogów

4 Konkurencyjne mikstury

5 Affyon

6 Nasenna gąbka

7 Większy niż Celsus?

8 Tynktura i proszek

9 Nad brzegami Gangesu

10 Turecki łącznik

11 Romantyczne opium

12 Pałac rozkoszy w Xanadu

13 Opiumiści

14 Ludzie

15 Balsam na wszelkie boleści

CZĘŚĆ II: ESENCJA

16 Kształt snów

17 Najbardziej nikczemna z wojen

18 Żółte niebezpieczeństwo

19 Doktorzy rządzą

20 Głosy z Ameryki

21 Wyczerpanie nerwowe

22 Heroiczna substancja

23 Narodziny krucjaty

24 Wojna i pokój (tak jakby)

25 Ofiary i niedobitki

26 Nieświęte przymierza

27 Ćpuny

28 Strażnicy prawa

29 Zero tolerancji

30 Lekarstwo samego Boga

31 Kuracje odwykowe

32 Życie i śmierć narkotykowego barona

33 Utworzenie współczesnego narkostanu

34 Nowe szlaki, stare perypetie

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Wprowadzenie

Sir William Osler nazwał je „lekarstwem samego Boga”. Jego przyjaciel, wybitny chirurg i uzależniony, William Stewart Halsted, okrzyknął je nikczemnym przekleństwem społeczeństwa. Sprzeczne opinie o lekach są czymś powszechnym, ale takie skrajne osądy mogą się odnosić tylko do jednego specyfiku.

Samo to, od jak dawna opium jest nieustannie w użyciu, przesądza o jego niezwykłości. Pod tym względem prześciga je być może tylko sfermentowany sok winogron, ale pojawienie się opium jest bardziej godne uwagi. Aby rozpoczęła się fermentacja alkoholowa, wystarczy trochę nadpsutych owoców w garnku i kilka godzin słońca. Prehistoryczny człowiek mógł się wzdrygnąć po pierwszym łyku, jednakże to, co po nim poczuł, zapewne sprawiło, że sięgnął po następny łyk, a potem być może po kolejny. Zbiór i przetwo-

rzenie soku makowego nie mogły być tak przypadkowe. Uprawa maku to mordęga – tak było dawniej i tak jest dzisiaj. Ponadto wymaga sporej znajomości rzeczy – to też nie zmieniło się od tysiącleci. Przetwarzanie jest czasochłonne i skomplikowane. Nie mogło wyewoluować bez mozolnego eksperymentowania. Sfermentowanemu sokowi winogron można było nadać boski smak. Naturalny sok mleczny z maku zawsze był obrzydliwy w smaku. Mimo to człowiek epoki kamienia uprawiał mak i przetwarzał jego sok, a odkąd specyfik został odkryty, nigdy już nie poszedł w zapomnienie. Nawet w średniowieczu, kiedy w Europie zaniechano uprawy maku, rozkwitła ona w świecie muzułmańskim.

* * *

Jednak o unikatowości opium przesądzają nie tylko jego wiek, sława i fakt, że pozostaje w użyciu od tak dawna. Jeszcze przed odkryciem endorfin – czyli podobnych do morfiny substancji, które ludzkie ciało wytwarza sobie samo – wielu uważało, że opium w jakiś tajemniczy sposób jest „naturalne”. Mimo że mogło poważnie zaburzać zachowanie, i tak uchodziło za część normalnego funkcjonowania mózgu. Albo gdyby, wzorem Kartezjusza, wierzyć w ten nieuchwytny dodatek, ludzką duszę zagnieżdżoną w szyszynce, opium działałoby przez nią…

Sto lat przed Kartezjuszem XVI-wieczny lekarz – albo szarlatan – Paracelsus, choć często błądził w mroku, miewał przebłyski jasności umysłu, a nawet olśnienia. W jednym z nich porównał działanie swojego laudanum do ponownego zapalania w duszy świec wiary i nadziei, zgaszonych przez szkodliwe wichry zwątpienia i rozpaczy. A w 1700 roku John Jones, autor pierwszej nowożytnej monografii tego leku, przypisywał jego właściwości nie, „jak sądzą niektórzy

z moich kolegów o prostych umysłach, atakującym mózg zewnętrznym oparom, wyziewom, aurom i miazmatom (…). Cudownym skutkom jego działania nie można się nadziwić, jako że jego Substancja Czynna (…) jest naturalnie przenoszona w naszych tkankach (…), wywyższona przez Naturę, aby nas stymulować, gdy to potrzebne”. Jego spostrzeżeń nie przebadano przez trzysta lat, powszechne jednak było przekonanie, że opium jest w jakiś sposób specyficznie naturalne dla człowieka.

I rzeczywiście, dla milionów narkomanów opium nigdy nie będzie lekarstwem. Baudelaire porównywał je do „drogiej, starej przyjaciółki (…), pieszczotliwej i, niestety, podstępnej”. Coleridge uskarżał się na swoje zniewolenie, ale nie mógł funkcjonować bez opium. Jego rywal, Thomas de Quincey, nazwał opium swoim „jednym jedynym prawdziwym towarzyszem”. Zarówno Coleridge, jak i de Quincey dożyli wieku siedemdziesięciu kilku lat, a to całkiem sporo jak na ich czasy. Niektórzy spekulowali – a część wciąż to robi – że „naturalność” tej substancji może wyjaśnić zdumiewające indywidualne różnice. Naturalne hormony, takie jak insulina czy tyroksyna, też mogą uratować życie komuś, komu ich brakuje, podczas gdy podobna dawka zabije człowieka, u którego nie ma takiego deficytu.

* * *

Żaden poważniejszy postęp w historii opium nie dokonał się bez szerszych następstw. W Europie Zachodniej pojawienie się sprzedawanego w przystępnej cenie laudanum utorowało drogę romantyzmowi. Mniej więcej w tym samym czasie rewolucja przemysłowa przyczyniła się do rozwoju gruźlicy w jej współczesnej postaci. Wytworzył się jedyny w swoim rodzaju związek lekarstwa z chorobą. Gruźlica, choć początkowo bezbolesna, w późniejszych stadiach staje się nie-

znośną udręką. Ulgę w cierpieniu przynosił tylko jeden specyfik. Gruźlica i opium wspólnie ukształtowały sztukę takich osobistości jak Keats, Shelley, Novalis, Thoreau, Weber, Chopin i Czechow, a także żywoty nieprzeliczonych innych osób, mniej sławnych, ale dla siebie samych równie ważnych.

W 1805 roku wyizolowanie substancji czynnej, morfiny, umożliwiło precyzyjne dozowanie. Kilkadziesiąt lat później wprowadzenie aplikacji leków za pomocą podskórnych zastrzyków wyznaczyło początek nowoczesnego lecznictwa. Zsyntetyzowanie mocniejszej od morfiny pochodnej, heroiny, zrobiło z narkotyków wielki biznes. Wielki biznes oznacza wielkie zbrodnie (między innymi), a od zbrodni już tylko krok do wojny. Wojny opiumowe Wielkiej Brytanii z Chinami (z udziałem innych zachodnich mocarstw), wciąż marginalizowane w podręcznikach szkolnych, w rzeczywistości przyczyniły się do ukształtowania dzisiejszego świata.

Wielkie zbrodnie domagają się także wielkich działań prewencyjnych albo przynajmniej prób zapobiegania przestępczości. Opium i jego pochodne pociągnęły za sobą powstanie najdroższej w historii międzynarodowej organizacji przeciwdziałającej przestępczości. Czy należy jej również przypisać największe marnotrawstwo, nierozważność i korupcję? Opinie są podzielone. Przeszłość nie daje wyraźnych odpowiedzi, ale wskazówki wypływają na wierzch nieproszone.

* * *

Sir William Osler w swoich pochwałach i William Stewart Halsted w swych słowach potępienia obaj mieli rację. Podobnie jak inni eksperci, z pasją zaprzeczający sobie nawzajem. Opium i jego pochodne zniszczyły, upodliły, zdeprawowały i zabiły liczne jednostki, rodziny, społeczności, a nawet

całe narody. Jednak wielu lekarzy jeszcze przed Oslerem twierdziło, że bez błogosławionych skutków, jakie opium wywiera na ich pacjentach, nie mogliby się zmierzyć ze swoim zawodem. U sir Josepha Listera w londyńskim King's College Hospital, na swego czasu najbardziej zaawansowanym oddziale chirurgii w świecie, każdy pacjent otrzymywał dawki morfiny, co obecnie wywołałoby zdumienie lub przerażenie. Powody były różne. Żaden szanujący się oddział nie mógłby funkcjonować bez środków odurzających, a słynne kalambury sir Josepha zginęłyby we wrzawie oburzenia. Morfina podawana pacjentom uśmierzała ich cierpienia jak nic innego. To też się liczyło. Gdyby diaboliczny doktor Fu Manchu[1] był charakterystycznym bohaterem w epickiej opowieści o opium, drugą postacią byłaby dobrotliwa Cicely Saunders[2].

* * *

Traktaty historyczne zajmujące się samym opium oraz jego pochodnymi, morfiną i heroiną, skupiają się głównie na ich wyniszczającym działaniu. Historia powinna jednak starać się ukazywać zarówno blaski, jak i cienie. Opium nigdy nie poddawało się łatwym osądom. Jean Cocteau, uzależniony entuzjasta tego narkotyku, aby wyrazić o nim opinię, napisał, że to jakby próbować wyrazić opinię o ludzkiej naturze – nie ludzkiej naturze w jej najłagodniejszej i najbardziej racjonalnej postaci, lecz ludzkiej naturze w jej najbardziej groteskowym, tragicznym, kreatywnym i świętym wymiarze. Podobnie jak inni wielbiciele opium, Cocteau nigdy nie wywiązał się z tego zadania.

Żadna historia opium nie może być idealnie obiektywna, a historycy być może powinni deklarować swój osobisty bagaż doświadczeń. Autorowi niniejszego opracowania szczęśliwe dzieciństwo zakłócił szereg operacji – albo ra-

czej tak by się stało, gdyby w owych odległych czasach życzliwi anestezjolodzy nie podali mu zastrzyku zwanego premedykacją. Zastrzyk ten, aplikowany dokładnie na dwie godziny przed zabiegiem chirurgicznym, miał za zadanie – między innymi – uspokoić pacjenta. Przyszłego autora przeniósł w krainę nieopisanej błogości, czego nie doświadczył nigdy przedtem ani potem. Chłopak pielęgnował w sobie to cudowne wspomnienie między operacjami jeszcze długo po tym, jak ustępowały ból i dolegliwości. Na szczęście dopiero po wielu latach uświadomił sobie, że zastrzyk zawierał końską dawkę pochodnej morfiny. Gdyby się o tym dowiedział wcześniej, dziś mógłby być uzależniony albo – co nieskończenie bardziej prawdopodobne – byłby tylko wspomnieniem po nieszczęśliwie przedwcześnie zmarłym narkomanie. Zresztą wiedzę i doświadczenie zdobył jako lekarz; i nie wykazuje żadnych zapałów reformatorskich. Może z wyjątkiem jednego.

W minionym stuleciu zawodowi historycy w tkaninę swej specjalizacji wplatali wątki kulturalne, ekonomiczne, społeczne, przemysłowe, antropologiczne i wiele innych, ale nie zdrowie i choroby. Na ich uwagę wydaje się zasługiwać co najwyżej czarna śmierć, która unicestwiła jedną trzecią ludności Europy. Rozliczne książki traktujące o epoce wiktoriańskiej z pietyzmem rozpisują się o zawiłościach teologicznych dysput albo o sztuce Marie Lloyd, ale zupełnie nie wspominają o ogólnej anestezjologii, antyseptyce, uodparnianiu, gwałtownym wzroście zachorowań na syfilis czy jakimkolwiek innym medycznym temacie. W poszczególnych stuleciach gruźlica, ospa prawdziwa, szkarlatyna, kamienie w pęcherzu moczowym, komplikacje okołoporodowe, a nawet zwykłe przeziębienie bardziej zajmowały ludzkie umysły i zmieniły więcej żywotów niż którakolwiek pomniejsza wojna albo traktat międzynarodowy, ale nawet w wieloto-

mowych ogólnych opracowaniach historycznych chorobom rzadko poświęca się więcej niż jeden akapit. Działa to też w drugą stronę. Historycy specjalizujący się w dziejach medycyny czasami nadzwyczaj szczegółowo opisują postępy i porażki w tej dziedzinie, ale traktują je tak, jakby miały miejsce gdzieś na Księżycu.

Historii opium nie można opowiedzieć w ten sposób. Zażywanie i nadużywanie tego specyfiku mocno wpłynęło na wydarzenia spoza świata medycznego, a wydarzenia pozamedyczne w równie istotny sposób kształtowały zażywanie i nadużywanie opium. Do dziś mak jest znaczącym graczem na międzynarodowej scenie, utrzymuje przy władzy albo obala rządy, zapoczątkowuje wojny. Częścią tej historii są pozornie niezwiązane z makiem wydarzenia z przeszłości, takie jak zakończenie konfliktów religijnych w Europie czy budowa transkontynentalnych linii kolejowych w Stanach Zjednoczonych.

* * *

Ta historia w naturalny sposób dzieli się na dwie części. W ciągu tysięcy lat przez „opium”, znane pod kilkoma nazwami, rozumiano mleczny sok wypływający z nacięć na owocach maku lekarskiego (makówkach). Pod jedną z tych cywilizowanych nazw, laudanum, opium wywierało znaczący wpływ na europejską literaturę i sztukę. A były też inne. To właśnie stanowi pierwszą część tej książki. Jednak od połowy XIX wieku „opium” zaczęło oznaczać nie sok, lecz jego substancję czynną, alkaloid o nazwie morfina. Sto lat później z morfiny otrzymano bardziej „heroiczną” pochodną – heroinę. Te zmiany wpłynęły na naturę uzależnienia, przekształciły postrzeganie go przez opinię publiczną oraz stworzyły najsilniejsze organizacje przestępcze, jakie widział świat. To jest tematem drugiej części tej opowieści.

CZĘŚĆ I

SOK

ROZDZIAŁ 1

Skamieniałe bułeczki

Zima 1854 roku była w Alpach wyjątkowo surowa. Dzieci traciły uszy i nosy z powodu odmrożeń, słabi i starsi umierali. Silnym i przedsiębiorczym zimno dostarczyło jednak wyjątkowych okazji. Minionego lata po Jeziorze Zuryskim zaczęły kursować małe parostatki, a obecnie niski poziom wody stworzył dogodne warunki do budowy przystani. Taka inwestycja zdziałałaby cuda dla turystycznego biznesu w małej nadjeziornej miejscowości Meilen. Niestety, niemal od razu kopacze natrafili na trudności. Z dna jeziora wystawało bowiem kilkanaście drewnianych słupów, które zdawały się nie do ruszenia. Najwyraźniej wbili je tutaj ludzie, tylko jacy i z jakiego powodu? Wkrótce pojawiły się odpowiedzi. W mule wokół pali znaleziono mnóstwo kamiennych i drewnianych artefaktów, a także sfosylizowanych przedmiotów, w tym skamieniałe jabłka, rodzynki, orzechy lasko-

we i coś, co wyglądało jak bułeczki około ośmiocentymetrowej średnicy. Do tej pory wszystkie prehistoryczne znaleziska w Europie były związane z pochówkami: groby, broń, rzeczy potrzebne w życiu pozagrobowym. W Meilen jednakże dokonano iście baśniowego odkrycia – odkopano nadjeziorną osadę, w której naprawdę kiedyś żyli ludzie[1].

Odkrycie zostało nagłośnione. Wkrótce prowadząca wykopaliska ekipa z Uniwersytetu Zuryskiego pod kierownictwem profesora Ferdinanda Kellera z trudem opędzała się od złodziei kradnących archeologiczne skarby. Nic nie mogło jednak powstrzymać wysypu sensacyjnych doniesień prasowych, po których nieuchronną koleją rzeczy pojawiły się prehistoryczne romanse (gatunek literacki obecnie na szczęście będący na wymarciu), kalendarze, zabawki, dioramy i kosztowne podróbki. Jedną z sensacji ujawnionych przez profesora Kellera okazał się fakt, że skamieniałe bułeczki zawierały rozpoznawalne nasiona maku. Profesor zidentyfikował je nawet i stwierdził, że pochodzą raczej od uprawnej odmiany białej niż od dzikiej, czerwonej. Gdy były świeże – zasugerował – po poddaniu obróbce dawały łagodny efekt zbliżony do działania opium.

Z jego interpretacją nie zgadzali się zazdrośni koledzy po fachu. Profesor Maurice Rochat z Nancy przekonywał, że nawet niesfosylizowane nasiona różnych odmian maku, nie większe niż główka od szpilki, są niemożliwe do rozróżnienia. Ale profesor Keller, szwajcarski patriota, zaczął już czcić swoich nadjeziornych przodków i trzymał się swej wersji. Jego prehistoryczni antenaci musieli być ludem roztropnym – bo przecież budowali domostwa na palach nad jeziorami i na bagnach – a także uczciwym i pracowitym. Zasługiwali na okazjonalny odpoczynek. Nie znaleziono żadnych zapierających dech w piersi dzieł sztuki, jak kilkadziesiąt lat później we francuskim Lascaux i w hiszpańskiej

Altamirze, brak takich znalezisk jednak nie wykluczał działalności artystycznej. Woda jeziorna nie jest przyjaznym środowiskiem dla malowideł, a innego rodzaju skarby mogły ulec zniszczeniu[2]. Być może odkryto również świadectwa przeprowadzania fermentacji alkoholowej, ale ludzie znad Jeziora Zuryskiego nie byli pijakami, o nie. Budowanie domów na palach zapewne wymagało planowania i pomysłowości. Uprawa białego maku też musiała się wiązać z wyspecjalizowaną wiedzą. Stopniowo udało się ustalić, że odkopana osada kwitła w VI tysiącleciu przed naszą erą, to jest w późnej epoce kamienia (neolicie). Mieszkańcy wioski nad jeziorem mogli być zatem pierwszymi ludźmi, którzy zakosztowali opium.

* * *

Następni prawdopodobnie byli przedstawiciele starożytnych cywilizacji Bliskiego Wschodu. Na sumeryjskim ideogramie z około 4500 roku przed naszą erą – mniej więcej w czasach biblijnego Abrahama – mak został nazwany *Hul Gil*, czyli „rośliną radości”. Jest to pierwsze znane tego rodzaju wyrażenie dużego uznania. Poza wychwalaniem maku tabliczka pokrótce instruuje, w jaki sposób należy o świcie zbierać mleczny sok z makówek i jak go przerabiać na napój. Asyryjczycy, którzy w regionie pojawili się po Sumerach, najwyraźniej mieli specjalne żelazne łyżki do zbierania makówek i uwalniania z nich soku. Mleczny sok maku nazywali *aratpa-pal*, co może być źródłosłowem dla łacińskiego *papaver*[3] – określenia o niejasnym pochodzeniu. Persowie, pierwsi w historii twórcy imperium, odnotowali używanie wyciągów z maku do celów medycznych. Jednak klasyczny świat, a za nim historycy późniejszych epok za kolebkę opium uznali dolinę Nilu.

Chociaż na mapie dolina Nilu wygląda na spory teren, w rzeczywistości obszar regularnie zalewany wodami wielkiej rzeki i dzięki temu będący w stanie podtrzymać życie był mniejszy od dzisiejszej Belgii. Żaden skrawek ziemi nie mógł się marnować, ale przez tysiące lat znajdowało się miejsce na uprawę maku. Szczególnie pola wokół Teb (dzisiejszego Luksoru) oraz nad Górnym Nilem zasłynęły z bogactwa upraw, i to już w III tysiącleciu przed naszą erą. Jeszcze na początku XIX wieku brytyjski książę regent wznosił w Brighton toast za „boskie, uwznioślające działanie" tebańskiego opium.

Dla zrozumienia fascynacji makiem w starożytnym Egipcie szczególnie użyteczne są dwa godne uwagi papirusy. Odkrycie obu wiąże się z nazwiskiem Edwina Smitha, którego na ogół opisywano jako amerykańskiego farmera i archeologa prowadzącego w Egipcie wykopaliska w latach 60. XIX wieku. W rzeczywistości Smith był raczej wytwórcą aniżeli odkrywcą starożytnych zabytków, ale nie można mu zarzucić nieuctwa. Natychmiast zdał sobie sprawę z wartości dwóch zwojów, które zaproponowali mu bardziej „przedsiębiorczy" złodzieje plądrujący groby, i zapłacił im za nie – jak to później określił – godziwą cenę. Pierwszy, znany obecnie jako papirus Edwina Smitha, jest przechowywany w Nowym Jorku[4]. Drugi, jeszcze cenniejszy, nazwano na cześć niemieckiego egiptologa Georga Moritza Ebersa, który nigdy nie był w pobliżu Luksoru, ale odkupił skarb od Smitha i przetłumaczył hieroglificzny tekst na niemiecki[5].

W tych dwóch starożytnych tekstach, liczących około trzech tysięcy lat, opisano wszelkie choroby leczone medycznie i chirurgicznie. Najdłuższe fragmenty dotyczą serca uważanego za miejsce, w którym zlewają się wszystkie płyny ustrojowe: krew, łzy, mocz i sperma. Na to właśnie miejsce – jak sądzono – wpływa opium. (W przeciwieństwie do

serca mózg uchodził za gąbczaste wypełnienie, niepotrzebne w zaświatach, i dlatego pozbywano się go w procesie mumifikacji). Oddzielne rozdziały poświęcono ciąży, dolegliwościom ginekologicznym, chorobom jelit, pasożytom, problemom z oczami i skórnym, ugryzieniom przez węże, psuciu się zębów, oparzeniom, złamaniom, deformacjom ciała i metodom antykoncepcji. W każdym przypadku nacisk położono na działania praktyczne, nie ma też ostrego rozgraniczenia między dolegliwościami ciała i duszy. Właśnie to łączne, nieuznające podziału podejście usprawiedliwiało posługiwanie się makowym sokiem przy zaskakująco licznych i różnorodnych schorzeniach.

To również sprawiło, że niektóre fragmenty brzmią znajomo dla uszu obeznanych z terminem „psychosomatyczny". Jedynie samo określenie jest stosunkowo nowe. W Egipcie, podobnie jak w większości starożytnych cywilizacji, leczenie w takim samym stopniu zależało od medycznej pomocy udzielanej ciału, jak od ustanowienia duchowego kontaktu z bogiem. Jeżeli chory miał szczęście i zasłużył na to, bóg mógł wziąć na siebie jego dolegliwość i w razie potrzeby zasięgnąć porady bardziej wyspecjalizowanych bóstw. W jednym ustępie papirusu Ebersa osoba cierpiąca na silne bóle głowy identyfikuje się z bogiem Horusem jako pośrednikiem, a Horus wykrzykuje: „Moja głowa, moja głowa, o, głowa mi pęka". „Która część głowy?" – pyta ze współczuciem bóg Thot. „Górna część czoła i prawa skroń" – odpowiada Horus. „To poważne. Będę musiał poprosić o radę Ra" – rzecze Thot. Ra, wszechwiedząca moc zwykle utożsamiana ze słońcem, okazuje współczucie i grozi demonom, które ściągnęły na człowieka takie utrapienie – zapowiada im straszliwe kary: „Porozcinam wasze tułowie, nieposłuszne duchy!". Lecz to najwyraźniej nie wystarcza, demony wciąż nękają Horusa (i pacjenta). Ra zaleca sprawdzony kata-

plazm z czaszek sumów. Horus przykłada sobie okład i wprawdzie przynosi mu to ulgę w bólu, ale tylko chwilowo. Wobec tego Ra dochodzi do wniosku, że cierpienie może złagodzić tylko specjalny wyciąg z maku, i rozkazuje swoim pomocnikom przyrządzić odpowiednią miksturę. Horus zażywa ją i – *voilà!* – ból głowy znika. A z nim pacjent.

Sok makowy osłodzony miodem był również środkiem na biegunki – częstą dolegliwość zarówno w starożytnym Egipcie, jak i dziś. Podnosił na duchu przygnębionych. Przynosił ulgę pacjentom cierpiącym na bilharcjozę (schistosomatozę) i mającym kamienie w pęcherzu moczowym – obie te choroby nadal są powszechne w Afryce i kilku innych rejonach świata. Dawał ukojenie przy bolesnym opatrywaniu ran i nastawianiu złamanych kości. Musiał być prawdziwym darem niebios podczas borowania kości szczęki – zabieg ten, wykonywany w celu oczyszczenia ropni zębów, sądząc po śladach na zachowanych szkieletach, stosowano wcale nie tak rzadko[6]. Ponieważ nawet po zmieszaniu z miodem mikstura była gorzka, a jej zapach przyprawiał o mdłości, często preferowano aplikowanie jej w postaci czopków i lewatyw. Kapłani z Karnaku rozwinęli sztukę analizy snów jako narzędzia diagnozowania, a sok makowy służył niekiedy do wywoływania zmian w nienazywanej tak jeszcze wówczas podświadomości. Ekstrakt pomagał również umierającym. Nic nie wskazuje na to, żeby starożytni Egipcjanie z zimną krwią poddawali się śmierci. Jednak, jak większość ludów Żyznego Półksiężyca, cenili godność oraz dzielne i opanowane zachowanie. Nie zapominano o życiu w zaświatach. Żadnego faraona nie złożono do grobu bez kilku suszonych maków i narzędzi niezbędnych do zbioru soku – rzeczy te miały mu służyć w podróży oraz w przyszłym miejscu pobytu. Na przeciwległym krańcu życia specjalnie przygotowaną mieszaninę soku makowego z mlekiem polecano

do uspokajania niemowląt cierpiących na „kolkę”[7]. Roślina, mająca tyle zastosowań, cieszyła się sympatią: wizerunki maku ryto na pomnikach grobowych i malowano na ścianach świątyń.

Sok makowy, podobnie jak inne lekarstwa, rzadko (jeśli w ogóle) przepisywano jako jedyną drogę do poprawy zdrowia. Kuracja medyczna nad brzegami Nilu zawsze obejmowała również modlitwy, zaklęcia, uzdrawiające amulety, oczyszczające rytuały i zmianę trybu życia – czasową lub permanentną. Przed przystąpieniem do skomplikowanych zabiegów stosowano lecznicze i uświęcające kąpiele; pacjentowi golono różne części ciała i wypisywano na tabliczkach wiadomości do bogów. Ta forma komunikacji była też często przesiąknięta makowym sokiem; niektóre z bóstw, do których się zwracano, najwyraźniej doceniały dobrze przygotowaną miksturę. Praktyki seksualne podlegały ścisłym obserwacjom i regulacjom; w niektórych okresach omówienia były tak pomysłowe jak w wiktoriańskiej Wielkiej Brytanii. Uwadze staroegipskch uzdrawiaczy nie uszedł fakt, że opium może przeciwdziałać cielesnym popędom. W czasach Starego i Średniego Państwa kazirodztwo było poważnym grzechem (chociaż nie w kręgu królewskiego rodu i nie za panowania późniejszych dynastii); jeśli się obawiano takich pokus, sok makowy okazywał się skutecznym środkiem zapobiegawczym. W przeciwieństwie do większości nowożytnych książek, w obu papirusach twierdzi się, że niektóre dolegliwości są nieuleczalne i w związku z tym zamiast lekarstw zaleca się przy nich modły; ale nawet w takich przypadkach przepisywano sok makowy jako środek ułatwiający odejście z tego świata.

Nieuniknioną koleją rzeczy na przestrzeni tysięcy lat zarówno w Egipcie, jak i w Mezopotamii praktyki medyczne ulegały zmianom. W XV i XIV wieku przed naszą erą, za pa-

nowania XVIII dynastii, w dolinie Nilu rozwinięto wysoki stopień specjalizacji; był to zarazem okres intensywnego fermentu w artystycznej i duchowej sferze życia państwa[8]. Notatki sporządzane przy leczeniu poszczególnych pacjentów stały się sformalizowane. Medyczne frazesy kwitły nawet w hieroglifach – wszak piktogramy doskonale pasowały do banalnych sformułowań. Liczne historie choroby wspominają o szukaniu porad u dentystów, chirurgów kostnych, ginekologów, gastroenterologów, okulistów oraz ekspertów od lekarstw i eliksirów. Ci ostatni zaliczali się do najbardziej cenionych. Doradzali w kwestii obróbki maku, w której do biegłości dochodziło się dzięki długiemu ćwiczeniu i wrodzonym zdolnościom.

* * *

Zdobycze egipskiej i mezopotamskiej cywilizacji rozprzestrzenili szerzej Fenicjanie oraz inne ludy podróżujące po morzu. Handlarze feniccy sprzedawali specjalne noże do nacinania makówek, a żeglując po Morzu Śródziemnym i wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, znajdowali chłonne rynki. W latach 30. XX wieku archeolodzy prowadzący wykopaliska na Krecie, w kolebce kultury minojskiej, odkryli czarującą żeńską figurkę o kuszącym uśmiechu (zazwyczaj opisywanym jako archaiczny), w tiarze z makówek. Dama, początkowo nazwana boginią leczenia, najwyraźniej zdobiła pozbawiony okien przybytek zażywania opium, który – pogrzebany pod popiołem wulkanicznym – przetrwał w nienaruszonym stanie 3000 lat. Jeszcze bardziej zaskakująca była kolekcja igieł z brązu znalezionych w kontynentalnej Grecji w latach 70. XX wieku, a datowanych na okres przed 1500 rokiem przed naszą erą. Początkowo ich przeznaczenie stanowiło zagadkę, ale przypuszczalnie były to prehistoryczne *yen-hok* – szpilki używane przez chińskich mandarynów kil-

kaset lat później do nakłuwania pęków maku nad żarem, tak aby smugi dymu buchały w nozdrza zgromadzonych ludzi. Niektóre z tych prehistorycznych igieł mają puste w środku łebki, uformowane na kształt makówek.

Ponadto Fenicjanie przewozili i sprzedawali kopie medycznych tekstów, będących skarbnicą odkryć egipskiej i mezopotamskiej medycyny. Hipokrates cenił lekarzy z Teb i Karnaku, a nawet Galen – rzadko okazujący uznanie komuś innemu niż on sam – napisał pochwałę kuracji przeprowadzonej przez Amenhotepa, syna Hapu. Grecy również zaczęli się zastanawiać, w czym może tkwić sekret maku. Jak to się stało, że jeden konkretny gatunek rośliny – i żaden inny – zyskał takie magiczne właściwości?

ROZDZIAŁ 2

Magiczne wysączenie

Na drugie pytanie wciąż nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Niektórzy botanicy uważają, że będący źródłem opium mak lekarski (zwany też ogrodowym, uprawnym lub białym) wyewoluował naturalnie w rezultacie mutacji spowodowanych kaprysami klimatu i warunków geograficznych. Inni jednak sugerują, że *Papaver somniferum* jest rezultatem uprawy selektywnej celowo prowadzonej przez liczne pokolenia prehistorycznych rolników. Taka opinia może się wydawać zbyt daleko idąca, ale właśnie w ten sposób otrzymano inne rośliny uprawne. Zsumowane na przestrzeni tysiącleci doświadczenia i osiągnięcia wczesnych ludzi mogą się równać dokonaniom współczesnego człowieka.

Mak botanicznie należy do rodziny makowatych, obejmującej aż 44 rodzaje i około 770 gatunków, rozprzestrzenionych na półkuli północnej na obszarach o umiarkowanym

i podzwrotnikowym klimacie. Wiele gatunków uprawiano – i wciąż się uprawia – dla ich urody. Mak walijski, mak „tulipanowy”, zwany też tureckim, urzekający skromnością biały mak alpejski, mak nagołodygowy, nazywany też islandzkim albo syberyjskim, piękny maczek kalifornijski znany pod nazwą „pozłotka” lub „eszolcja” – wszystkie one cieszą oko i są ozdobą ogrodów. W naturze każda roślina z rodziny makowatych wydaje jeden kwiat, ale w uprawach otrzymano odmiany dwukwiatowe oraz wyróżniające się ząbkowanymi lub postrzępionymi płatkami. Do najbardziej okazałych, a zarazem najtrudniejszych w uprawie zaliczają się odmiany ‘Pink Chiffon’ i ‘Oriental Peony’, obie wywodzące się z Azji Mniejszej i swego czasu zdobiące ogrody bizantyjskich cesarzowych.

W całej tej bogatej różnorodności tylko dwa gatunki – *P. somniferum* i *P. bracteatum* – wydzielają opium w znaczącej ilości, przy czym ten pierwszy okazuje się łatwiejszy w uprawie. Jest rośliną jednoroczną z cyklem rozwojowym liczącym 120 dni i wymaga umiarkowanie bogatej, dobrze nawiezionej gleby. W stanie dzikim z największym prawdopodobieństwem zakwitnie w miejscu niedawno przekopanym, zaoranym albo – co daje najlepszy skutek – rozerwanym szrapnelem. Krew to dobry nawóz. Najlepszy klimat: od ciepłego do umiarkowanego, z nie za dużą ilością opadów na początku cyklu rozwojowego. Idealne podłoże: ilaste, ponieważ trzyma wilgoć i składniki odżywcze, a nie jest mocno zbite, nie utrudnia więc penetracji delikatnym pierwszym korzeniom. Mak lekarski to roślina długiego dnia, co oznacza, że do wzrostu potrzebuje okresu z długimi dniami i krótkimi nocami, a najlepiej, by słońce padało na roślinę bezpośrednio przez co najmniej dwanaście godzin.

Wszystko to zdaje się świadczyć o dużych wymaganiach, ale w bardzo wielu miejscach świata roślina udaje się do-

brze. Nie trzeba jej regularnie nawadniać ani opryskiwać drogimi środkami chemicznymi; nie ma wielu naturalnych wrogów wśród szkodników, nie jest więc konieczne stosowanie pestycydów. To dlatego w biednych regionach staje się wręcz niezastąpioną rośliną uprawianą dla zysku. Nasiona rozsiewają się naturalnie, kiedy dojrzała makówka otwiera się, a potrząsana przez wiatr, wysypuje swoją zawartość jak pieprzniczka. W uprawie wysiewa się mak w rzędach, w płytkich dołkach wykonanych sadzakiem (szpiczastym kołkiem). Zazwyczaj na obsianie hektara wystarcza 12 kilogramów nasion. Moment siewu zależy od warunków pogodowych i prognoz, a orientacja w tych sprawach wymaga doświadczenia i intuicji. Oprócz maku na ogół uprawia się dla zysku inne rośliny, jak gruszki, fasolę czy tytoń. Dla ubogiego rolnika i jego licznego potomstwa jest to bardzo zadowalające rozwiązanie.

Nasiona kiełkują szybko i w ciągu sześciu tygodni roślina jest już zakorzeniona. Początkowo wygląda jak brzydka młoda kapusta – ma nagą łodygę, która może się rozgałęziać. Zarówno główna łodyga, jak i jej odgałęzienia są pokryte białym, włoskowym nalotem. Ostatecznie roślina osiąga od 90 do 150 centymetrów wysokości. Karbowane liście wyrastają na łodydze naprzemiennie z dwóch stron. Kiedy na szczycie łodygi zaczyna się rozwijać pojedynczy pąk, pochyla się ona pod jego ciężarem, jednak w miarę dojrzewania pąków łodygi się wzmacniają i wyprostowują. Kwitnienie następuje po około 90 dniach od wykiełkowania.

Wydarzenie ma w sobie coś z magii, chociaż mak nie od razu pokazuje się w pełnej krasie. Kwiat przez mniej więcej 36 godzin jest pognieciony i przypomina wychodzącego z poczwarki motyla. A potem nagle cztery płatki rozdzielają się i rozprostowują, przy czym każdy lekko nachodzi na sąsiedni. Ich delikatność i świeżość od niepamiętnych czasów

zachwycają artystów. Są to pierwsze kwiaty, jakie malują dzieci. Tradycyjnie mak lekarski opisuje się jako biały, ale kolorem jest zbliżony raczej do kości słoniowej, poza tym istnieją inne, rzadsze odmiany: różowa, szkarłatna, blado-purpurowa i wielobarwne. Kolor nieznacznie blednie od podstawy do brzegu płatków. Nawet w tych krajach, gdzie mak jest chwastem, ludzie napawają się jego kwitnieniem – spektakl wyciąga mieszczuchów na łono natury. Pośrodku kwiatu widać słupek (z którego rozwinie się makówka) otoczony pręcikami. Pyłek i nektar przywabiają liczne owady.

Oprócz odmian celowo wyhodowanych pod kątem trwałości, mak kwitnie tylko przez cztery lub pięć dni. Potem płatki opadają i wyraźnie widać słupek (przyszłą makówkę) rozmiaru sporego ziarna grochu. W ciągu tygodnia czy dwóch osiągnie on wielkość kurzego jaja i przybierze niebieskawo-zielony kolor z lekko woskowatą powierzchnią. Na szczycie pękatego słupka zaznacza się tarczowate znamię, u podstawy zaś widać ślady po opadłych płatkach. Zewnętrzna skórka chroni zalążnię otoczoną trzywarstwową ścianą; we wnętrzu zalążni znajdują się zalążki, z których po zapyleniu i zapłodnieniu rozwiną się nasiona. W jednej makówce może być ponad tysiąc nasion. Kiedy dojrzeją, odłączają się od wewnętrznej ściany zalążni i przez dzień czy dwa mogą się mieścić w niej luźno. Następnie wydostają się na zewnątrz przez małe otworki powstające pod tarczką. Lekarze i chemicy – w przeciwieństwie do ciemnego gminu – przez długi czas uważali, że nasiona maku nie odgrywają żadnej roli w wywoływaniu skutków podobnych do efektów zażywania opium. W takich sprawach jednak to ciemny gmin zwykle ma rację. Niewinni sportowcy o nieskazitelnej opinii, ku własnej konsternacji, dowiedzieli się, że spory bajgiel z makiem może dać pozytywny wynik w badaniu moczu na obec-

ność opium. A przecież mądrość ludowa od zawsze przypisywała naparowi z nasion maku właściwości uspokajające.

Ale w farmakologii nasiona maku są produktem ubocznym. Sława maku lekarskiego wiąże się z jego mlecznym sokiem. Samo słowo „opium” wywodzi się z greki: ὄπιον (*ópion*) oznacza w tym języku świeży sok makowy. Grecy używali też określenia μηκώνιον (*meconion*), od słowa *mekon*, mak. Hipokrates tę samą nazwę nadał smółce, czyli pierwszym stolcom wydalanym przez noworodka: najwyraźniej uznał, że wyglądają podobnie. Zlatynizowany termin *meconium* nadal jest używany w neonatologii na określenie smółki. Bez względu na nazwę, surowy mleczny sok maku zawiera cukry, białka, wodę, amoniak, wosk roślinny, lateks, tłuszcze, kwas siarkowy i mlekowy, a także szereg alkaloidów. To te ostatnie się liczą.

Alkaloidy to duża rodzina występujących w naturze zasadowych związków chemicznych zawierających azot. Są wytwarzane przez bakterie, grzyby, rośliny i zwierzęta, w tym przez ludzi, a należą do nich między innymi hormony (jak adrenalina), ważne neuroprzekaźniki (jak serotonina), trucizny (jak strychnina), stymulanty (jak nikotyna, kofeina i kokaina), naturalne „narkotyki” (jak chinina), a także alkaloidy zawarte w opium. Tych ostatnich jest ponad 50, toteż z powodów praktycznych podzielono je na dwie grupy. Pierwsza to alkaloidy fenantrenowe (zawierające w strukturze cząsteczki układ fenantrenu), do których zaliczają się morfina, kodeina i tebaina. Druga, skupiająca alkaloidy mające inną budowę cząsteczki, obejmuje między innymi narkotynę i papawerynę, charakteryzujące się minimalnym działaniem farmakologicznym. Najprawdopodobniej wszystkie są syntetyzowane w komórkach produkujących sok mleczny w ciągu mniej więcej tygodnia, gdy dojrzewa makówka. Materiał wyjściowy jest przypuszczalnie całkiem

zwykły, być może białko podobne do albuminy, ale poszczególne etapy syntezy nadal pozostają nieznane. Kiedy makówka dojrzeje, proces się zatrzymuje, a wytworzone substancje szybko – w ciągu kilku dni – rozkładają się na nieaktywne fragmenty. Ich funkcja w naturze, cel czy jakakolwiek korzyść, jaką mogą przynosić roślinie, bądź też rola, jaką mogły odgrywać w którymś momencie ewolucji, wciąż stanowią zagadkę. Na ile wiadomo nauce, jedynym gatunkiem, który spożywa mak i jego mleczny sok, jest człowiek.

* * *

Niewykluczone, że dwie błogosławione i zarazem przeklęte substancje odurzające, opium i alkohol, mogły być odkryte mniej więcej w tym samym czasie, ale w przypadku fermentacji alkoholowej wystarczyło zaobserwować, że może ją zapoczątkować odrobina świeżej śliny, nawet w ciemnym i zimnym miejscu. Przetwarzanie soku makowego, prowadzące do otrzymania opium, nie mogło być wynikiem jednego pomyślnego przypadku, ponieważ istotny jest wybór odpowiedniego czasu. Zbiory zawsze się zaczynały (i zaczynają nadal) około dwóch tygodni po opadnięciu płatków. Rolnik sprawdza wówczas makówki i wieńczące je tarczki. Te pierwsze zdążyły już ściemnieć, z niebieskawozielonego zmieniły kolor na matowobrązowy. Kiedy końcówki tarczki sterczą prosto na boki lub w górę, pora na zbiór. Jako że nie wszystkie makówki dojrzewają równocześnie, pole należy sprawdzać więcej niż raz dziennie, i to przez kilka tygodni.

Do nacinania służy specjalne narzędzie z trzema albo czterema równoległymi ostrzami. Manewr ten wymaga największej wprawy. Jeśli nacięcia będą zbyt głębokie, sok wysączy się za szybko, skapie na ziemię i zostanie stracony. Jeszcze głębsze przeciągnięcie ostrzy może doprowadzić do wycieku wewnętrznego, przez co makówka zmarnieje i umrze.

Z drugiej strony, jeżeli się natnie zbyt płytko, sok będzie wypływał za wolno, przedwcześnie stwardnieje i zasklepi uszkodzenie jak strup. Idealna głębokość rysy to z reguły 1–1,5 milimetra. Nowoczesne noże można nastawić na żądaną głębokość rzazu, ale nawet takie narzędzie nie zdecyduje za człowieka, jaka głębokość jest właściwa.

Kolejną decyzją wymagającą osądu jest wybór pory dnia. Słońce zachęca mleczny sok do wycieku, ale jeśli nacięcia dokona się za wcześnie, gdy słońce stoi jeszcze wysoko na niebie, upał wysuszy pierwsze krople i zasklepi uszkodzenia. Jeżeli się zaś natnie za późno, może nie wystarczyć czasu, by cały sok wydostał się na powierzchnię. Chodzi o to, aby pozwolić kroplom sączyć się powoli przez noc i koagulować na powierzchni. Każde pole wymaga odrębnego ustalenia pory.

Gdy sok z makówki, czyli opium, pojawi się po raz pierwszy, jest mętnobiałą, dość ruchliwą cieczą. Ponadto biologicznie nieaktywną. Dopiero po kilkugodzinnym kontakcie z powietrzem ważne prekursory alkaloidów utleniają się i nabierają farmakologicznego znaczenia. Ciecz w tym czasie staje się ciemnobrązowa, lepka i kleista, a przy tym zaczyna wydzielać charakterystyczny, delikatny zapach, nieco przypominający woń świeżo ściętej trawy. Dopiero wtedy wprawny zbieracz zeskrobuje wydzielinę z makówki, a robi to tępym nożem o krótkiej rączce. By ostrze nie pokrywało się zastygającym lateksem, zbieracz oblizuje je pomiędzy jedną a drugą rośliną. To dało podstawę do opowieści o rzekomym uzależnieniu rolnika od pozyskiwanej substancji[1]. Które jest mitem. Odpowiednio potraktowana makówka będzie wydzielać sok jeszcze przez kilka dni – można z niej zeskrobywać krople pięć albo sześć razy. Doświadczony zbieracz przemieszcza się po polu tyłem, nacinając niżej wyrastające makówki przed wyższymi, żeby nie rozchlapać soku.

Zdrapywane drobiny lądują w stożkowatym pojemniku zawieszonym na nadgarstkach rolnika. Roztropny rolnik zaznacza sobie większe i zasobniejsze w sok makówki kawałkami kolorowej włóczki. Po zbiorach zetnie te rośliny w całości i wysuszy na słońcu. Ich nasiona zostaną wykorzystane do przyszłorocznych zasiewów.

Zasobna makówka rosnąca na polu w okolicy Teb w czasach faraonów mogła dać do 70–80 miligramów soku, a z jednego hektara obsianego makiem otrzymywano około 40 kilogramów surowego opium. Nie wszystkie pola były tak urodzajne ani nie wszyscy rolnicy tak sprawni jak tamci w starożytnym Egipcie, ale podstawowy wzór postępowania można rozpoznać we współczesnych uprawach w różnych częściach świata. Surowy sok wymaga czasochłonnego przetworzenia; o jego jakości i cenie tak naprawdę przesądza nie tylko zebrany z pola produkt, lecz także późniejsza obróbka. O tym będzie mowa w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ 3

Dar bogów

Przez cały klasyczny okres starożytności – z grubsza 1200 lat, od czasów Homera, około 800 roku przed naszą erą, do upadku cesarstwa zachodniorzymskiego w 456 roku naszej ery – mak i jego sok były cenione jako dary bogów. Homer zdaje relację z wizyty Telemacha, syna Odyseusza, u króla Sparty Menelaosa. Nie jest to miłe spotkanie. Pamięć o synach, braciach, ojcach i przyjaciołach, którzy stracili życie pod murami Troi, sprawia, że Spartanie są przygnębieni. Wielu wciąż cierpi z powodu następstw strat, jakich doświadczyli. Helena, piękna córka Zeusa, lituje się nad nimi. Pewna Egipcjanka, Polydamna, podarowała jej niegdyś lekarstwo na strapienie. Homer pisze o nim νεπενθε (*nepenthés*), czyli „bez troski”[1]. Helena wlewa specyfik do wina i skutek okazuje się cudowny. Ból przestaje dokuczać. Przygnębienie ustępuje. Smutne wspomnienia pozostają, lecz

już nie ranią. Przynajmniej nie ranią tak bardzo jak przedtem. Nie ronią już łez nawet ci, którzy byli świadkami licznych zgonów.

Czym było lekarstwo, które przegnało troski, uspokoiło nastroje i ukoiło u pijących ból, wprawiając ich w lekkie otumanienie i zarazem błogość? Niektórzy naukowcy opowiadają się za haszyszem lub nawet mandragorą. Lecz Jean Cocteau, zarówno miłośnik opium, jak i znawca klasycznego antyku, nie miał wątpliwości. Tylko sok makowy mógł dać opisane przez poetę efekty. Relacja Homera sugeruje ponadto, że w jego czasach środek ten wciąż zaliczał się do cokolwiek egzotycznych luksusów. Tysiąc lat później Pliniusz Starszy zastanawiał się, czy to rzeczywiście eliksir Heleny zdziałał takie cuda, a nie jej fizyczne powaby. Ale Rzymianie z klasy Pliniusza byli niepoprawnymi cynikami[2].

Podobne wątpliwości otaczają wiele innych mikstur wychwalanych przez greckich i rzymskich poetów. Czym było lekarstwo, które centaur Chiron pozostawił swojemu adoptowanemu synowi Asklepiosowi, „łagodnemu twórcy leków rozpraszających smutki”? Cokolwiek to było, jego działanie wprawiło poetę Pindara w jambiczne uniesienie[3]. Jaką maść zaaplikował Patrokles swemu przyjacielowi Eurypilosowi, „która gładzi udręki rozpaczy i powstrzymuje krwawienie”[4]? Jakiż to napar Afrodyta dała swojemu synowi Eneaszowi, aby mu ulżyć w żalu? Do jakiego „wypróbowanego zioła” odnosi się Sofokles, kiedy wspomina o mikturze łagodzącej smutki? I czym był „miodowy sok” spożywany przez Lotofagów, którzy zaproponowali go też Odyseuszowi i jego towarzyszom? Grzybienie białe, nazywane białym lotosem, zawierają farmakologicznie czynne alkaloidy – przynajmniej jeden o działaniu zbliżonym do viagry – ale opis kliniczny skutków spożycia naparu Lotofagów, „skubali

lotos i szczęśliwie zapomnieli o zamiarze powrotu”, dokładnie pasuje do opium[5]. Jednak przymiotnik „miodowy” kłóci się z typowym nieprzyjemnym smakiem makowej cieczy. A może gusty się zmieniły. Albo, jak często bywa, gdy się interpretuje „naukowe” teksty klasycznych poetów, jest jakaś granica, na której należy się zatrzymać w spekulacjach. W końcu pisali poezje, nie podręczniki ani domowe poradniki medyczne.

A jednak opium, czyli „sok makowy”, było niewątpliwie szeroko stosowane w Atenach w V stuleciu przed naszą erą, to jest w złotym wieku tego miasta, i to stosowane w różnych celach. Wyciąg z lulka czarnego (szaleju czarnego) – jedną z trucizn, za pomocą których wykonywano państwowe egzekucje – przypuszczalnie zaprawiano sokiem makowym. Spokój, z jakim Sokrates prowadzi rozmowę po wypiciu śmiercionośnego napoju, oraz fakt, że mu zdrętwiały kończyny, mogą świadczyć nie tylko o opanowaniu filozofa, lecz także o kunszcie sztuki egzekucji u starożytnych Greków. Nieco zagadkowe ostatnie polecenie skierowane do Kritona, aby poświęcił koguta Asklepiosowi, może się odnosić do podziwu wobec dokonań medycyny nawet w mrożącym krew w żyłach kontekście wykonywania wyroku śmierci. Z opium korzystali również samobójcy. Kartagiński dowódca wojskowy Hannibal był bliski rzucenia republiki rzymskiej na kolana; ostatecznie jednak szczęście się od niego odwróciło i został pokonany we własnej ojczyźnie, pod Zamą (w dzisiejszej Tunezji) w 202 roku przed naszą erą. Wygnany przez niewdzięcznych rodaków, wiele lat spędził w Azji Mniejszej, próbując tworzyć antyrzymskie koalicje z pozostałości dawnego imperium Aleksandra Wielkiego. Niejednokrotnie udowadniał swoje zdolności przywódcze, lecz w końcu Rzym zwyciężył i zażądał ekstradycji Hannibala. W Libyssie (obecnie na północy Turcji, a wów-

czas w małym królestwie Bitynii) pokonany wódz odkręcił rękojeść swojego sztyletu i wypił zawartość buteleczki – sok tebańskiego maku, podarowany mu przez matkę. Tak przynajmniej głosi legenda. Wątpliwe, by nawet najlepsze tebańskie opium zachowało właściwości przez 30 lat. Tak czy inaczej Hannibal zaraz potem zmarł, a miejsce jego śmierci zaczęto otaczać kultem[6].

I oczywiście opium było narzędziem zabójców. Dionizjos Starszy, tyran Syrakuz, w balladzie Schillera wymyka się sztyletowi płatnych morderców, ale nie napojowi zaprawionemu sokiem makowym, który kilka lat później podaje mu własny syn. Dionizjos Młodszy czuł, że staruszek nadużył jego gościnności, a kiedy matka zwróciła się do niego z wyrzutami, zaprotestował, tłumacząc, że ojciec umarł szczęśliwy. Kilkaset lat później Agrypina Młodsza, ostatnia żona cesarza Klaudiusza, robiła użytek z maku, pozbywając się potencjalnych dziedziców, a w końcu nawet męża, aby zapewnić następstwo tronu swemu synowi z poprzedniego małżeństwa, mrocznie przystojnemu Neronowi[7].

* * *

Ale to były wielkie osobistości, a opium miało się stać narkotykiem dla ludu. W królestwach hellenistycznych, które w IV i III wieku przed naszą erą wyrosły na gruncie podbojów Aleksandra Wielkiego, sokiem makowym nadal w dużej mierze dogadzały sobie klasy wyższe – opium było popularne raczej w oficerskich kantynach niż w tawernach. Zamożnym oferowało ucieczkę od bólu związanego z bogactwem, władzą i luksusem – ponadczasowymi przyczynami utrapień klas wyższych. W Atenach opium było modne wśród miejskiej złotej młodzieży. Ksenofont kilka razy wkłada w usta swojego mentora, Sokratesa, pochwałę dla tego specyfiku. W jednym miejscu porównuje sok makowy do wina:

> Wino powściąga ducha, podczas gdy opium układa ciało do spoczynku, ożywia nasze słabnące radości i jest oliwą dla zamierającego płomienia życia[8].

Jednak 400 lat później w imperium rzymskim było już tak powszechnie spożywane jak wino. Panowanie dobrych cesarzy – Nerwy, Trajana, Hadriana, Antoninusa Piusa i Marka Aureliusza (96 –180 n.e.) – wyznaczało szczyt rozwoju cywilizacji rzymskiej, nad której zmierzchem będzie później ubolewał Edward Gibbon[9]. Chrześcijaństwo wciąż było ruchem podziemnym, lecz tylko sporadycznie prześladowanym. Nadal istniały ogromne przepaście społeczne; ale w „domowych" prowincjach, takich jak Italia i Rzym, zwykłym ludziom żyło się względnie dobrze. Nawet najbiedniejsi mieli swoją porcję chleba i igrzyska, a także makowe ciasteczka. Słowo „ciasteczko" było w rzeczywistości niewłaściwym określeniem. Odnosiło się do niepieczonej, miękkawej masy, nieco przypominającej dzisiejszy marcepan, w której makowy sok był zmieszany z cukrem, syropem, miodem, aromatem, sokiem owocowym i żółtkiem jajka. (Tylko prawdziwi wielbiciele lubili czyste opium). W dużych miastach ten specjał sprzedawano niemal na każdym rogu. Jakość bywała różna. Rynki luksusowe wciąż zaopatrywał Egipt, a niektóre anatolijskie marki były ostentacyjnie drogie. Ale nawet używka kupiona na rogu ulicy mogła przyjemnie podnieść człowieka na duchu. Poza dużymi miastami większa część narkotyku (w ogóle nieuważanego za narkotyk) pochodziła z własnych upraw. Zamożniejsze rzymskie wille i proste gospodarstwa zwykle miały swoje makowe grządki, a gościom proponowano łyk wywaru domowej roboty. Dzieci przypuszczalnie korzystały ukradkiem z zasobów dorosłych, jak kilka tysięcy lat później robiły to z fajkami. Parę kropli pryśniętych na domowy ołtarzyk łagodziło nastroje zrzędliwych duchów przodków.

* * *

Łacińscy poeci, w tym Wergiliusz, tak jak przed nimi Homer, zawierali w swych dziełach farmakologiczne aluzje, nie wchodząc pedantycznie w szczegóły. Eneasz, pragnąc odwiedzić zmarłego ojca, zstępuje do podziemnego świata. Wraz ze swą przewodniczką, Sybillą Kumańską, zbliża się do bramy Hadesu. A tam – zgroza! Stają oko w oko ze śliniącym się trójgłowym psim strażnikiem, Cerberem. Nie ma problemu.

> Tych państw potworny Cerber o potrójnej głowie
> Szczekaniem strzeże, leżąc z przeciwka w jaskini.
> Widząc, jak węże z karku wzdyma, prorokini
> Kąsek w miody zaprawny i ślące sen ziele
> Ciska; ów z głodu wściekły, trzy rozwarł gardziele,
> Rzuconą zdobycz porwał, grzbiet gruby wnet zwinie,
> Pada i cielskiem całą zapełnia jaskinię[10][11].

Nie ulega wątpliwości, że ani bestia, ani węże od tego nie umarły. Po określonym czasie ocknęły się, jak w naszej epoce budzi się pacjent po rutynowym wycięciu wyrostka robaczkowego ze znieczuleniem ogólnym. Ale w innych miejscach Wergiliusz nazywa mak po imieniu, polecając w swoich cudownych *Georgikach*: *spergens humida melle soporiferumque paparva* („mak kapiący rośnym miodem i usypiający”)[12] oraz wychwalając zalety *Lethaeo perfusa papavero somno* („maku nasączonego snem letejskim”)[13]. Nawet kiedy został ulubieńcem rzymskiego społeczeństwa, Wergiliusz pozostał w sercu wiejskim chłopcem, a najszczęśliwszy się czuł, zażywając wieśniaczych przyjemności. (Dobry był też w opiewaniu broni i męstwa, ale heroiczne czyny nie przychodziły mu tak naturalnie jak Homerowi). Jednak entuzjazm dla maku dzielił ze swoimi miejskimi kolegami po piórze. Owidiusz w swym kalendarzu poetyckim *Fasti* opisuje boginię snu z „jej spokojnym czołem uwieńczonym maka-

mi, przynoszącymi rozkoszny sen”[14]. W *Sztuce kochania* wychwala z kolei mak, który „sprowadza głęboki sen i pogrąża udręczone cierpieniem źrenice w letejskiej nocy”[15]. W wykuwaniu zapadających w pamięć fraz Owidiusz jest niedościgniony. Poeta opisuje również, jak Ceres (Demeter) uśpiła małego Triptolemosa makami, po czym położyła go na ogniu, by go oczyścić z jego śmiertelności. Wcześniej kilkoma „łagodnymi, niosącymi sen makami” odegnała od siebie głód[16]. Inni poeci wysławiali zarówno sok z winogron, jak i z maku, każdy na odpowiednią okazję: makowy na uwodzenie, winogronowy zaś na to, co następuje potem.

Nie będą rozczarowani ci, którzy się lubują w wyszukiwaniu błędów u wszystkowiedzących pisarzy. Otóż Pliniusz pomylił się, głosząc, że nasiona maku mają silne hipnotyczne działanie, podczas gdy sok makowy używany jest tylko do leczenia łagodnego zapalenia stawów. Większość mieszkańców imperium wiedziała lepiej. Jednak Pliniusz nie był w swym błędzie osamotniony i jego spuścizna przetrwała. Tysiąc siedemset lat później katoliccy paryscy mieszczanie wpadli w panikę, obawiając się, że olej wytłoczony z nasion maku, sprowadzany z protestanckich Niderlandów, prowadzi do impotencji i niepłodności. Wydział Medycyny Uniwersytetu Paryskiego, zobowiązany przez Ludwika XV do zbadania tej sprawy, biedził się z nią trzy lata, zanim – wspomagany sporymi łapówkami ze strony holenderskich importerów – doszedł do wniosku, że olej makowy nie ma takich właściwości[17].

* * *

W I wieku naszej ery osobisty lekarz cesarza Klaudiusza, Scribonius Largus, podał dokładne wskazówki, jak należy nacinać makówkę, zostawić sok do wysączenia i zaschnięcia, a następnie jak go ostrożnie zeskrobać. Był perfekcjoni-

stą, potępiał tych, którzy pozwalają, by sok zanieczyścił się cienkimi ostrużynami z makówki, bez względu na to, czy robią to z niedbalstwa, czy celowo, by zwiększyć ciężar soku. Była to jedna z form oszukiwania, trudna do wykrycia, ponieważ ostrużyny nie zmieniają smaku ani ostatecznej konsystencji substancji. Scriboniusowi Largusowi czasami przypisuje się ponowne odkrycie techniki wykorzystywanej przez Asyryjczyków. Jednak, podobnie jak wielu cieszących się powodzeniem autorów ksiąg medycznych, kompilował on raczej wiedzę innych osób, niż dokonywał własnych odkryć. Za to jego doświadczenie okazywało się przydatne na dworze cesarza otoczonego ludźmi o morderczych skłonnościach.

Badano również coś, co w dzisiejszych czasach nazwano by farmakodynamiką makowego soku. Teofrast, następca Arystotelesa jako scholarcha w słynnej ateńskiej szkole filozofów, później okrzyknięty ojcem botaniki[18], zdał bezbłędną relację z działania lekarstwa, „niosącego błogosławione korzyści, a niekiedy śmierć”[19]. Były to prawdopodobnie początki naukowego podejścia do opium. Szczególne wrażenie robi sporządzony przez Teofrasta opis hierarchii skutków zażycia:

> Na początku oddziałuje na wyższe moralne zdolności (…), następnie wpływa na logiczne myślenie (…). Najdłużej utrzymują się podstawowe zwierzęce popędy oraz istotne, acz niekontrolowane funkcje ciała[20].

* * *

Opium stało się więc obiektem trzeźwych naukowych dociekań, a oprócz tego zyskiwało wymiar religijny. W rzymskim wielokulturowym panteonie niektórzy bogowie i boginie rozwinęli szczególne zainteresowanie makiem. Sen i Śmierć, Hypnos i Tanatos, byli zazwyczaj przedstawiani

jako pucołowaci bliźniacy w braterskim uścisku, z makami w garści. Na pewnym słynnym posągu Ceres, bogini płodności, jest przedstawiona z pochodnią i makówkami, które miały nieść ulgę w bólach porodowych. Na zniszczonym przez wandali, ale wciąż atrakcyjnym malowidle ściennym w Pompejach bogini pochyla się nad ciężarną kobietą i na jej zamknięte powieki wylewa sok z maku.

Na polu literatury opium znalazło sobie miejsce nie tylko w bardziej wyrafinowanym świecie poezji, lecz także w prekursorach dzisiejszych bestsellerowych czytadeł. Lukian z Samosaty (Samosata, obecnie Samsat, leży w dzisiejszej Turcji, blisko granicy syryjskiej) pisał po grecku, ale przypuszczalnie był Asyryjczykiem albo jednym z żyjących w diasporze Żydów. Jego teksty były zabawne i nieprzyzwoite, a sądząc po liczbie zachowanych kopii dzieł (które przypisuje mu się słusznie bądź niesłusznie), musiały się doskonale sprzedawać. Tytuł jego satyrycznej *Prawdziwej historii* to pierwszorzędna zmyłka – sam autor przyznaje, że utwór jest kompletną bujdą, parodią poważnych opowieści podróżniczych, jak kilkaset lat później przygody Don Kiszota będą parodią romansów rycerskich. W owej „relacji" z podróży Lukian opisuje swoje przybycie na Wyspę Snów. Jest ona otoczona lasem, w którym zamiast drzew rosną olbrzymie maki i mandragory. Bohater i jego towarzysze dogadzają sobie i spędzają 30 błogich dni, oddając się najprzyjemniejszemu w świecie zajęciu – śpiąc[21].

* * *

Jednak o ile kapłani i poeci od czasu do czasu sławili zalety maku, o tyle lekarze zachowywali ostrożność. Aurelius (Aulus) Cornelius Celsus był ziemianinem, który zajmował się medycyną w ramach hobby. Jego sześciotomowa encyklopedia *De medicina*, ukończona około 30 roku naszej ery, jest

rzadkiej wartości arcydziełem, zarówno literackim, jak i medycznym[22]. Współcześni doceniali jego geniusz i nazywali go Cyceronem medycyny. (Przypuszczalnie miał to być komplement, choć aforyzmy lekarza były bardzo odległe od potoczystych kadencji sławnego mówcy)[23]. Celsus słusznie przekonywał, że medycy powinni kierować swoje działania przeciw przyczynom choroby, a nie objawom; zwodzenie pacjentów sokiem makowym uważał za oszustwo nadużywające czyjegoś zaufania. „Znamy rozliczne pigułki i mikstury czasowo łagodzące objawy; ale są obce i szkodliwe dla żołądka i układu trawiennego”.

> Od czasów wojny trojańskiej do dziś stosuje się sok makowy do uspokajania nastrojów i przywoływania miłych snów. (…) ale im słodsze sny, tym brutalniejsze przebudzenia[24].

Ani on, ani żaden z jego kolegów nie wspominali o równi pochyłej uzależnienia. Cesarstwo rzymskie i jego wschodni spadkobierca, cesarstwo bizantyjskie, miały rozbudowany kodeks prawny i moralny. Jednakże nigdzie nie znajdziemy nawet wzmianki o tym, że korzystanie z opium może prowadzić do przestępstw lub niemoralnych zachowań. Mocno kontrastuje to z faktem, że doskonale zdawano sobie sprawę ze szkodliwości pijaństwa, wiele pisano o występkach popełnianych w stanie nietrzeźwości i karano je chłostą albo więzieniem, a w wyjątkowych okolicznościach nawet śmiercią. Czy owa luka odzwierciedla wrodzone umiarkowanie – cnotę szczególnie wychwalaną przez łacińskich pisarzy, ale nieznajdującą zbyt wielu poświadczeń w historii Rzymu – czy raczej stosunkowo zanieczyszczony stan dostępnego opium? Być może i jedno, i drugie.

* * *

W przeciwieństwie do Celsusa z jego ciętymi uwagami, następny medyczny guru cesarstwa rzymskiego, Galen, był ponurym zawodowcem. A nawet więcej: nikt nigdy nie wywarł tak długotrwałego wpływu w tej branży, a może też w żadnej innej profesji. Tysiąc czterysta lat po jego śmierci stwierdzenie *Galenus dixit* („tak rzekł Galen") wciąż ucinało spory[25]. W XVI wieku Paracelsus zainaugurował nowoczesną medycynę – albo przynajmniej sam tak twierdził – publicznie paląc kilka tomów pism Galena, co było profanacją niemal tak potworną jak zdeptanie Biblii. Dziś nie jest tak łatwo zrozumieć siłę oddziaływania autorytetu Galena.

Przyszły lekarz urodził się w 131 roku w Pergamonie, wówczas kwitnącym ośrodku handlowym w Azji Mniejszej. Według własnej relacji Galena, był rozpieszczany w dzieciństwie i otrzymał uprzywilejowane wykształcenie. Po przeprowadzce do Rzymu został tam najdroższym lekarzem. Ale w stolicy nie liczono się wówczas z kosztami. Cesarstwo przeżywało właśnie szczyt prosperity i wielcy bogacze byli naprawdę bardzo bogaci. Galen po mistrzowsku żonglował rzekomymi znajomościami – w jego książkach regularnie pada rzucane od niechcenia stwierdzenie: „kiedy leczyłem cesarza" (lub cesarskiego brata, siostrę, kuzyna, ciotkę, wuja albo pudla). A dzieła te były opasłe; doprawdy zdumiewa fakt, że tak zapracowany medyk miał czas na tyle pisania. Nie musiał za to dużo czytać – o innych autorytetach na ogół wypowiadał się, używając epitetów: „tępi", „zabobonni", „durni", a nawet „morderczy". Z drugiej strony nie miał wątpliwości co do własnej niedoścignionej wiedzy. A zakres wiadomości zawartych w jego dorobku pisarskim jest imponujący. Galen zajmował się anatomią, fizjologią, chemią medyczną, instrumentami chirurgicznymi, operacjami, a także dolegliwościami umysłu. Sam podsumował swe dokonania następująco:

> Zrobiłem dla medycyny tyle, ile nasz wielki, wspaniały cesarz Trajan uczynił dla imperium, kiedy podbijał ziemie oraz budował niezliczone drogi i mosty. Hipokrates wytyczył drogę (...), ale to ja i tylko ja odkryłem dla medycyny ścieżkę prawdy[26].

Jednak podobnie jak wielu ludzi, którzy w najlepszych latach kariery odnoszą zawrotne sukcesy, Galen zgorzkniał na starość. Na jego pokręconym umyśle mocno zaciążyły szaleństwa tego świata. Niektórzy ludzie z wiekiem stają się bardziej tolerancyjni dla osób o odmiennych poglądach albo przynajmniej potrafią powściągnąć swą niechęć. Inni zmierzają w przeciwnym kierunku. Galen należał do tej drugiej kategorii. Gdy się zestarzał, twierdził, że Hipokrates zbytnio generalizuje, Celsus jest dobrym stylistą, lecz miernym znawcą tematu, Teofrast – napuszonym gadułą, a większość młodych lekarzy to głupcy. Sam Galen nigdy nie pochwalał „otępiających eliksirów", teraz zaś wyrażał się o nich dosadniej. „Nade wszystko – pisał – brzydzę się *karotowych* leków[27]. Niektóre są tylko bezużyteczne, inne zaś – wielce szkodliwe". Stosunkowo przychylnie odnosił się do maku – jako przeciwieństwa dla budzącej jego odrazę mandragory – uważał go za antidotum na „splątanie" u starszych osób. „Kilku prominentnych senatorów w podeszłym wieku wielce skorzystało z balsamu, który sporządziłem własnoręcznie; ale dla bezpieczeństwa należy się dokładnie trzymać opisanych przeze mnie szczegółów"[28].

Nie byłoby to łatwe ani nie miało takie być w założeniu. Środki orzeźwiające Galena, głównie opierające się na opium jako jednej z substancji czynnych, rzadko zawierały mniej niż dwadzieścia innych składników, z których większość zazwyczaj była droga, a niektóre – jak wyciąg z rogów młodego nosorożca płci męskiej – egzotyczne. Jednak Galen wydaje się tylko w niewielkim stopniu bardziej ekstrawagancki niż inni rzymscy medycy. Ich spuścizną jest bezna-

dziejne skomplikowanie recept medycznych w zachodnim świecie, które ciągnęło się aż do początku XX wieku, kiedy nastała epoka opatentowanych lekarstw i przemysłu farmaceutycznego. Galen w jednym punkcie był bardzo stanowczy. Zdarzały się przypadki przedawkowania lekarstw u dzieci i żaden szanujący się lekarz nie powinien przepisywać otępiających środków bardzo młodym pacjentom.

Jednak nawet Galen nie ma nic do powiedzenia o niebezpieczeństwie uzależnień. Kiedy w swych książkach omawia opium, jedynie raz wspomina o konieczności wolnego, lecz stałego zwiększania dawek, ale i to robi mimochodem. Zupełnie zdaje się nie obchodzić go fakt, że pozbawiony funduszy pacjent może się uciekać do przestępstw. Podobnie jak Celsus, za znacznie poważniejsze zagrożenie uważał zaparcia. Obsesja ta rozwinęła się na Zachodzie po wschodnich podbojach Rzymu i była importowana, jak zresztą samo opium. W egipskich papirusach roiło się od ostrzeżeń przed opieszałością jelit, liczne też były wznoszone do bóstw gorące modły mające zapewnić bezbolesne, obfite wypróżnienia. W republikańskim Rzymie rzadko przejmowano się takimi sprawami; podstarzałego Brutusa bardziej martwiło kontrolowanie własnego gniewu niż jelit. Cywilizacja szła jednak do przodu i w czasach Galena głównym zmartwieniem klienteli stało się raczej „odrętwienie jelita grubego” niż utrata panowania nad sobą.

Istniała jeszcze jedna obawa. Zażywane regularnie opium mogło wpłynąć na sprawność seksualną – i to zarówno w jedną, jak i w drugą stronę, a żadna skrajność nie prowadziła do szczęścia. Do możliwych zagrożeń należało nie tylko zmniejszenie wigoru, lecz także ograniczenie płodności, a nawet choroby potomstwa. Sam Galen, pruderyjnością wypowiedzi pasujący do czasów wiktoriańskich, na ogół nie nazywał rzeczy po imieniu, uciekając się do omówień. Nie

miał takich zahamowań były wojskowy medyk Pedanios Dioskurydes – kolejna postać, której osobowość odcisnęła piętno na klasycznym pojmowaniu choroby i zdrowia.

ROZDZIAŁ 4

Konkurencyjne mikstury

Pedanios Dioskurydes urodził się w Anazarbusie, w Cylicji (obecnie na południowym wschodzie Turcji), i przez 10 lat służył jako chirurg w armii Nerona. Wędrowne życie pozwoliło mu rozwijać pasję zbierania roślin, zarówno egzotycznych, jak i zwykłych, a wojenne dokonania sprawiły, że nadano mu kawałek ziemi w Macedonii. Dzięki wojskowej przeszłości Dioskurydes wyrobił sobie żywy styl literacki, niepozbawiony uroku rodem z placu apelowego. W ciągu kilku lat, począwszy od 80 roku naszej ery, medyk skompilował sześciotomową farmakopeę – *De materia medica*. Spisana po grecku, była szeroko czytana w łacińskim przekładzie i przez prawie 1000 lat pozostawała biblią ziołolecznictwa[1]. W swoim monumentalnym dziele autor omówił zalety i wady 342 roślin o znaczeniu medycznym. Był wśród nich również mak, ale poświęcono mu niewiele miejsca. Za

to choćby na przelotną uwagę zasługują jego główni rywale.

Dioskurydes ocenił uspokajające działanie *Helleborus niger*, czyli ciemiernika białego, jako najbardziej uzależniające. Uznał go też za środek łagodnie przeczyszczający. Według nieco niewybrednego w słowach dzieła *Bibliotheke* autorstwa Apollodorosa z Aten, kiedy trzy córki Projtosa, króla Argos, postradały rozum i tańczyły nago w pałacu, władca posłał po przystojnego arkadyjskiego pasterza Melamposa, aby ten przyrządził dla nich ziołowe lekarstwo. Jego kuracja, oparta na wyciągu z tej rośliny, przywróciła królewnom zdrowie psychiczne, a przynajmniej poczucie przyzwoitości. Pasterz został godziwie wynagrodzony przez pacjentki, a jego miksturę niezwykle ceniono.

Hyoscyamus niger (lulek czarny), należący do dużej rodziny psiankowatych (*Solanaceae*), posłużył jako aktywna baza do przyrządzania szeregu uzdrawiających mikstur. Dioskurydes szczególnie je polecał jako zamiennik maku, ponieważ lulek mniej otępia wyższe zdolności człowieka. Łacińska nazwa *hyoscyamus* sugeruje, że roślina dodaje wigoru trzodzie chlewnej, z kolei nazwa wczesnoangielska, *henbane*, ostrzega, że lulkiem może się zatruć ptactwo domowe[2].

Sok mleczny z łodygi morwy czarnej (*Morus nigra*) był ulubionym środkiem rodzących kobiet – podobno uśmierzał bóle, nie osłabiając skurczów macicy. Z kolei u mężczyzn wzbudzał lekkomyślność, bardzo pożądaną podczas wojny, ale w okresie pokoju wręcz przeciwnie. Niewykluczone, że niemądre życzenie króla Midasa, by wszystko, czego dotknie, zamieniało się w złoto, zostało wypowiedziane właśnie pod wpływem zażytego soku mlecznego morwy.

Młoda, delikatna sałata ogrodowa była ceniona jako roślina kojąca smutek. W *Przemianach* Owidiusza Wenus po

śmierci Adonisa szuka ukojenia, rzucając się na grządkę sałaty. W wersji Szekspira nie znajdujemy tego szczegółu, ale wyraźnie go widać na wielkim płótnie Tycjana, obecnie wystawionym w londyńskiej Galerii Narodowej.

Narkotyczne i usypiające właściwości chmielu zwyczajnego (*Humulus lupulus*) doceniano niezależnie od warzenia piwa. Według Teofrasta działanie tej rośliny odkryto, kiedy robotnicy wdychający powietrze przesycone aromatem chmielu zaczęli spędzać większość dnia na miłosnych rojeniach[3]. Rozwiązaniem było wentylowanie pomieszczeń, w których pracowano przy chmielu. Niemniej poduszek napełnionych chmielowymi szyszkami używano jako antidotum na bolesne pobudzenie brytyjskiego króla Jerzego III podczas jego napadów szaleństwa[4].

Podobnie jak dziś, lekarstwa czasami bywały w modzie, a potem z niej wychodziły. Dyptam jesionolistny (*Dictamnus albus*) podobno został odkryty przez żyjące w górach na Krecie kozy, kiedy szukały ulgi dla ran, które zadały im strzały myśliwych. Moda na tę roślinę, nadal rosnącą na wyspie, zapewne wiązała się z cesarskim patronatem – to właśnie wyciągu z dyptamu napił się Kaligula i nabrał takiej pewności siebie, że zatańczył przed zastygłą ze zdumienia publicznością. Nie musiał się obawiać nieprzychylnego przyjęcia występu – jego germański ochroniarz o nieprzyjaznym obliczu zadbał o to, by goście prześcigali się w zachwytach nad talentem władcy.

Konopie indyjskie (*Cannabis indica*) były bardziej popularne na Wschodzie niż w Rzymie. Piszący w V wieku przed naszą erą Herodot zdał zapadającą w pamięć relację z tego, jak barbarzyńcy zażywali leczniczej kąpieli z konopi, by się wyleczyć z ran.

> Scytowie dostają nasiona konopi, wczołgują się pod swoje dywany, a następnie rzucają nasiona na rozgrzane do czerwoności kamie-

nie. Nasiona zaczynają się tlić i wydzielają tyle aromatycznej pary, że żadna grecka kąpiel parowa nie może się z nimi równać. Ranni Scytowie wyją z radości[5].

W indyjskiej tradycji ludowej roślinę tę nazywano „liściem ułudy", mówiono, że „wznieca pożądania", „zwiększa przyjemność", „cementuje przyjaźnie", „wzbudza śmiech", „łagodzi ból" oraz „powoduje chwiejny chód" – większość tych określeń później będzie się stosowała do opium.

Szczwół plamisty (*Conium maculatum*)[6] zyskał złą sławę po egzekucji Sokratesa, ale przedtem przez długi czas piękne, trzykrotnie pierzaste liście tej rośliny chętnie wykorzystywano do sprowadzania słodkich snów. Nawet jej zapach przyprawiał o senność i powodował dobry nastrój. Jednak uspokajająca moc rośliny zależała od pogody, gleby, opadów i techniki sporządzania wyciągów. Po zakwitnięciu szczwół mógł zabić.

Co szczególnie ciekawe, Dioskurydes twierdził, jakoby mandragora lekarska (*Mandragora officinarum*) była osobistym prezentem podarowanym mu przez boginię uzdrawiania. W rzeczywistości jednak znajomość tej rośliny jest znacznie starsza[7]. W *Księdze Rodzaju*, w rozdziale 30, Ruben, najstarszy syn Jakuba, znajduje mandragorę na polu i przynosi ją swojej matce, Lei, aby roślina „otwarła jej łono" i pozwoliła rodzić dzieci. Mandragora mocno obrosła mitem, legendą i bzdurą jako środek sprowadzający błogość przez wieleset lat wyprzedzała makowy sok. W VII wieku biskup Sewilli Izydor poświęcił tej roślinie opasły tom, dodając we Wprowadzeniu, że sam nie mógłby ukończyć swego dzieła, gdyby często się do niej nie uciekał[8]. Ale mandragora mogła też wzbudzać zawziętą wrogość. Katon Starszy grzmiał przeciwko „młodym wałkoniom, obijającym się na Forum i odurzonym mandragorą". Żyjąca w XII wieku święta Hildegarda ostrzegała, że roślina ta została uformo-

wana z gliny, z której ulepiono Adama, i „utuli mężczyzn do próżnych, szkodliwych snów”. Niejeden tekst opisuje jeżące włos na głowie przestrogi dotyczące zbioru tej rośliny i związanego z tym ryzyka[9].

* * *

W porównaniu z takimi rywalami przygotowane z wprawą makowe ciasteczko było ogólnie uważane za łagodną, choć nieco nieprzewidywalną używkę. W połowie IV wieku naszej ery Diokles z Karystos polecał mak jako najlepsze antidotum na „bezsilną wściekłość wywoływaną bólem zęba, zanim dokuczliwy wyrostek zostanie usunięty przez zręcznego praktyka takiego jak ja”. Ale on też w typowej dla tamtych czasów sztucznej manierze potępia roślinę za to, że ta nie chce wydać swoich sekretów:

> Wciąż tak niewiele o tobie wiadomo, cudowny kwiecie. Przygotowane z twej główki eliksiry jednych ukoją, a drugich wprawią w melancholię. Na jednych podziałają natychmiast. U drugich – z wielogodzinnym opóźnieniem. Jedni zniosą leczenie łagodnie. U drugich zaś wywołasz nieprzyjemne skutki uboczne. Lecz nawet jeżeli nie zniesiesz przyczyny bólu i smutku, ciężar nie będzie już tak mocno przygniatał umysłu ofiary. Jak to się dzieje? Czas, maku, byś wydał swoje sekrety![10]

Możliwe, że przygana była zasłużona, ale prawienie kazań roślinom, choćby i ucieszne, nie rozwiązuje zagadek. Kwiat nadal cieszył się sympatią. We wczesnym cesarstwie zaczął się ukazywać na monetach i ozdobnych pieczęciach. W katakumbach reprezentował krew Chrystusa. Podczas ostatniej, krwawej antychrześcijańskiej kampanii przeprowadzonej przez cesarza Juliana Apostatę w 361 roku naszej ery wyraźnie zakazano posługiwania się tym wyobrażeniem. Kampania upadła, Julian zginął na wojnie, a mak pojawił się znowu. Jako symbol wiary wyprzedził krzyż. Ale rozwiąza-

nie jego chemicznych sekretów nie spędzało ludziom snu z powiek. Choć starożytni Grecy byli wielkimi poetami i filozofami, a Rzymianie znakomitymi administratorami i budowniczymi akweduktów, ani jedni, ani drudzy nie mieli zacięcia do analizy chemicznej. Chemiczny mechanizm działania cudów zupełnie nie zajmował umysłów wczesnych chrześcijan. Ówczesnym ludziom całkowicie obca była bezcelowa ciekawość, w znacznym stopniu napędzająca nowożytną naukę i od czasu do czasu prowadząca do pożytecznych odkryć. W najlepszym przypadku uważali taką dociekliwość za ekscentryczność, w najgorszym – za stratę czasu. Tak więc odpowiedzi na żartobliwe pytania Dioklesa pojawią się dopiero wtedy, gdy pod koniec XVIII wieku w Europie Zachodniej rozkwitnie głód wiedzy naukowej. A konsekwencje zdobytych wiadomości będą bardzo różne.

* * *

W czasach, gdy Diokles spisywał swe eleganckie strofy, jego świat chylił się ku upadkowi. Jeszcze zanim cesarstwo zachodniorzymskie otrzymało ostateczny cios od hord barbarzyńców – Hunów, Gotów, Wandali, Wizygotów, Ostrogotów i innych, obecnie już zapomnianych – ich najazdy rozrywały imperium na części. Wśród dotkliwych strat znalazły się uprawy maku. Barbarzyńscy wodzowie i ich podwładni mieli własne środki odurzające, przede wszystkim sfermentowany sok owocowy – nie potrzebowali skomplikowanych wyciągów wymagających starannej uprawy roślin i długiego przetwarzania produktu. Opium zniknęło z zachodniego świata na niemal tysiąc lat. Nie zginęło zupełnie dzięki szeregowi nieprawdopodobnych wydarzeń, do jakich doszło nie w Europie i nawet nie w tym, co pozostało z imperium rzymskiego, lecz na pustyni w Arabii.

ROZDZIAŁ 5

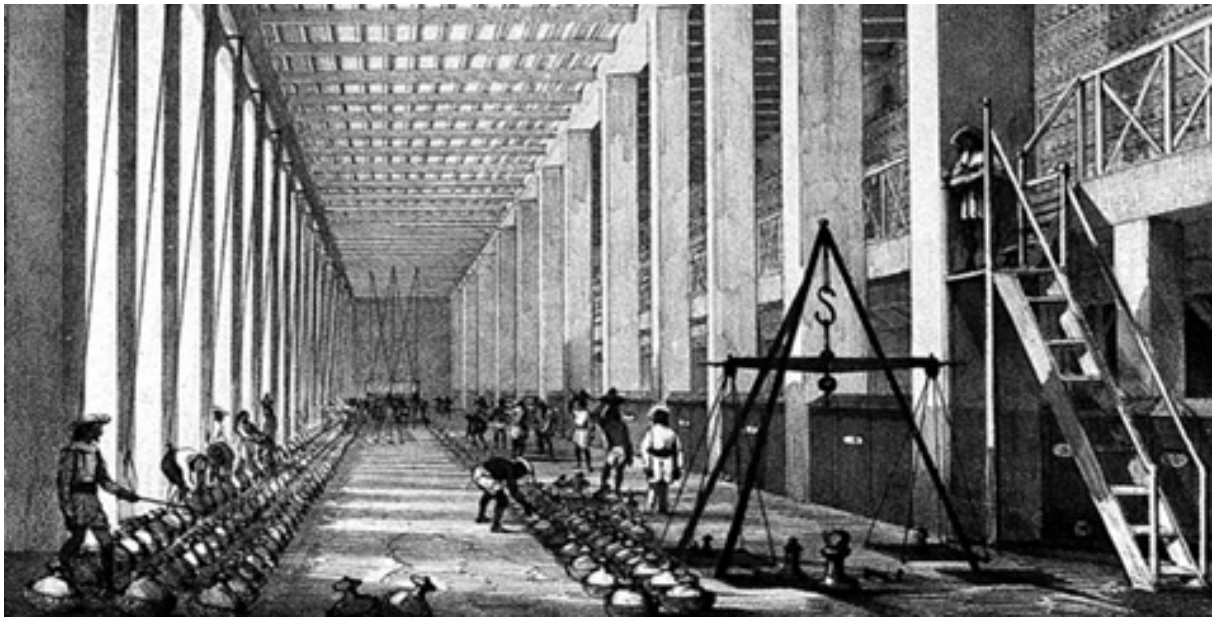

Affyon

Powstanie i umocnienie się islamu pozostaje w dziejach bezprecedensowym wydarzeniem. W ciągu 10 lat od ucieczki Proroka z Mekki do Medyny (w chrześcijańskim kalendarzu był rok 622 naszej ery, w islamskim – pierwszy) jego wyznawcy podbili Półwysep Arabski, a w ciągu 100 lat zajęli ogromne obszary cesarstwa bizantyjskiego w Azji, Persję, Egipt, Afrykę Północną i większą część Półwyspu Iberyjskiego. Na Wschodzie za panowania kalifa Haruna al-Raszyda z dynastii Abbasydów, władcy współczesnego Karolowi Wielkiemu, Bagdad rozwinął się w najludniejsze i najpiękniejsze miasto świata[1]. Stał się również ośrodkiem wyjątkowego kulturalnego przedsięwzięcia.

W Europie Zachodniej, powoli i boleśnie otrząsającej się po migracjach barbarzyńców, pojawienie się kilku uczonych z odległego kraju ledwie zostało zauważone. Badacze przy-

byli w poszukiwaniu greckich i rzymskich manuskryptów. Niewiele rękopisów przetrwało – zwoje papieru należą do najłatwiej niszczących się rzeczy w każdej cywilizacji – a dla swoich niepiśmiennych nowych właścicieli nie miały żadnej wartości. Mimo to misja nie była pozbawiona ryzyka[2]. Nawet dla prostego Wandala fakt, że jakiś przedmiot wzbudził czyjeś zainteresowanie, to podpowiedź, że warto tę rzecz zatrzymać. Poszukiwania prowadzono jednak z zaangażowaniem prawdziwych kolekcjonerów. Znaleziska wieziono do Bagdadu, gdzie specjalnie wyszkolona akademia tłumaczy przekładała teksty na elegancki język arabski[3]. Najbardziej ceniono praktyczne podręczniki naukowe, inżynieryjne i medyczne. Ale ekscentryczny chrześcijanin z gminy nestorian, Hunajn ibn Ishak, zasłynął w stolicy, przemierzając jej ulice i deklamując po arabsku *Iliadę*.

Dzięki temu przedsięwzięciu ogromna część pism Galena znalazła się na Wschodzie i sprawiła, że rzymski lekarz ponownie wyrósł na imponujący autorytet w dziedzinie medycyny. Jego prace kopiowano, analizowano, cytowano i sporządzano z nich wyciągi. Jednak w trakcie złotego wieku islamskiej medycyny poglądów Rzymianina nigdy nie przyjmowano bezkrytycznie. W przeciwieństwie do czci, jaką każde zdanie Galena będzie odbierało na Zachodzie kilkaset lat później, większość arabskich tekstów z X, XI i XII wieku zawiera rozdziały korygujące jego błędy. Z jeszcze większą determinacją Arabowie opierali się galenowskiemu duchowi leczenia. Zwłaszcza jego wspomniana niechęć do „karotowych” leków nie znalazła w muzułmańskim świecie poklasku. Wydany przez Proroka zakaz dotyczył alkoholu, ale nie rozciągał się na środki przeciwbólowe i inne dobrodziejstwa medycyny. Wkrótce w kalifacie Abbasydów rozkwitła uprawa maku i produkcja opium, po arabsku nazywanego *affyon* (lub *af-yum*, *ufian*, *asiun*). Już w następnym pokoleniu po

najeździe Arabów na Egipt na tebańskich polach znowu zakwitły maki.

Uprawę usprawniały nowe osiągnięcia. W świecie greckim i rzymskim makowe ciasteczka były głównie przeznaczone do domowego spożycia lub na lokalny rynek. Teraz arabscy handlarze wieźli produkty do Indii, Indonezji, Chin oraz wzdłuż północnoafrykańskiego wybrzeża do mauretańskiej Hiszpanii. Jako znakomici nawigatorzy podróżowali statkami żaglowymi zwanymi *dau*, a także na osłach, wielbłądach i – jeśli było trzeba – pieszo. Handel mieli we krwi. Z ich pasji do targowania się kpili pełni powściągliwości Chińczycy i żyjący na luzie Hindusi, ale towary oferowane przez wędrownych kupców były dobrej jakości i cieszyły się reputacją cenniejszych niż złoto. W niektórych częściach świata opium było nowinką i początkowo wzbudzało obawy. Jednak handlarze nie ustępowali. Na swoich trasach założyli placówki kupieckie: w krajach przychylnych makowemu sokowi – okazałe karawanseraje, a na obszarach, gdzie opium było oficjalnie zakazane – kryjówki i sekretne jaskinie. W takich miejscach zajezdnych odpoczywali, robili interesy z miejscowymi kupcami i – co najważniejsze – modlili się. Choć rzadko dochodziło do zorganizowanych prześladowań, pomoc Allacha na wrogiej ziemi zawsze była kluczowa. A w wielu rejonach również uzbrojona eskorta. Większość placówek handlowych zapewniała taką ochronę, podobnie jak miejscowych przewodników. Podróżowanie ze skarbem przez rojące się od bandytów pustynie i góry było niebezpieczne, a wybierane szlaki na ogół przebiegały poza mapami. Tak zresztą jest do dziś. Wiele nielegalnych przerzutów narkotykowego towaru odbywa się w dzisiejszych czasach tymi samymi trasami, a skrytki, w których arabscy kupcy chowali swe opium 1000 lat temu, to te same dziury, w któ-

rych obecnie znajduje się w Afganistanie domowej roboty bomby i tajne składy heroiny.

* * *

Dzięki pomyślnym układom opium wkrótce już było mile widziane tam, gdzie początkowo musiało pokonać obawy mieszkańców. Zwykle w połączeniu z tradycyjnymi lekarstwami uważano je za najlepszy środek przeciw najrozmaitszym dolegliwościom. Łagodziło kaszel, kolkę, bóle głowy, zniedołężnienie reumatyczne stawów, obsesyjne lęki, bezsenność i napady złości. Uspokajało hałasujące dzieci. Pomagało w ostatnich godzinach życia umierającym. W niektórych krajach azjatyckich, szczególnie na Jawie i innych indonezyjskich wyspach oraz w odległych zachodnich prowincjach Chin, zakorzeniła się uprawa maku. Jednak szczęśliwie dla międzynarodowego handlu liderami rynku pozostały Egipt i dawna Mezopotamia. I nic dziwnego, ponieważ zbiór i obróbka rośliny wciąż wymagały doświadczenia i dużej wprawy. Z czasem wysokiej jakości makowe ciasteczka, owinięte w liście miejscowej palmy niczym w markowe opakowanie, osiągnęły status międzynarodowej waluty[4]. Materiał był zwarty, stabilny, a jego jakość dawała się sprawdzić[5]. Do tego ostatniego, rzecz jasna, potrzebny był wyćwiczony nos i podniebienie. Testowanie stało się cenioną specjalistyczną umiejętnością, jak 1000 lat później odrodzi się w Turcji i Europie.

* * *

Nowoczesna farmakologia to dzieło świata islamskiego. Nawet najlepsze rzymskie farmakopee zawierały mniej niż 1000 pozycji. Farmakopea Abdullaha ibn al-Bajtara, zmarłego w 1248 roku, opisywała ich ponad 3000, w tym 1800 gatunków botanicznych, 245 specyfików mineralnych i 987 le-

karstw pochodzenia zwierzęcego. Obejmowała rośliny, o których w basenie Morza Śródziemnego nigdy nie słyszano[6]. W słynnych akademiach arabscy chemicy – lub alchemicy, jak wkrótce będzie się ich nazywało na chrześcijańskim Zachodzie – doskonalili tajemnicze techniki filtracji, krystalizacji, sublimacji i destylacji. Jeszcze bardziej innowacyjne były miejskie apteki w Kairze, Damaszku, Bagdadzie i innych wielkich ośrodkach. Tutaj, z daleka od zgiełku *suków*, mężczyźni o wyrafinowanych gustach i wiedzy zbierali się, by rozmawiać o literaturze i filozofii. Tu kosztowali również ostatnio przyrządzonej przez aptekarza mikstury *affyonu*, będącej kamieniem probierczym jego zawodowych umiejętności.

* * *

Na muzułmańskiej medycynie (a pośmiertnie również na praktyce medycznej chrześcijańskiej Europy) odcisną swe piętno dwaj wybitni islamscy lekarze. Abu Bakr Muhammad ibn Zakarijja ar-Razi, w średniowiecznej Europie znany jako Rhazes, urodził się w Teheranie w 865 roku, a młodość spędził w służbie wielkiego perskiego władcy Mansura ibn Ishaka. Jeszcze jako młody człowiek napisał traktat o tym, jak należy egzaminować lekarzy, zanim się im powierzy zaufaną posadę. „Nie ufaj uzdrawiaczom, którzy znają wszystkie odpowiedzi” – doradzał. Oraz ostrzegał: „Rodzina sumiennego lekarza zawsze będzie się czuła zaniedbywana”. Poradnik zwrócił uwagę kalifa Bagdadu. Władca zaprosił autora, by objął kierownictwo medycznej chluby Abbasydów – szpitala Al-Mu-tadidi. Instytucja rozkwitła za czasów Rhazesa, a jego sława rozeszła się szeroko. Pisał o etyce, filozofii, muzyce, teologii, historii naturalnej i chemii, ponadto sporządził popularny podręcznik domowego leczenia. Kiedy był w średnim wieku, oślepiła go bolesna jaskra, jed-

nak dyktując pisarzom zatrudnionym na zmiany w systemie całodobowym, wciąż skrupulatnie notował skutki każdego rodzaju kuracji. Pomagały wymuszone wymioty, podobnie jak unikanie niepokoju, ale jedynym specyfikiem, który przynosił mu prawdziwą ulgę, był wprowadzany drogą infuzji *affyon*. „Po tym cudownym leku – stwierdził lekarz – ból pozostaje, ale boli mniej”. W wielu częściach muzułmańskiego świata fizyczna ślepota była – i zresztą jest nadal – bramą do duchowego oświecenia. Rhazes zmarł, ciesząc się wielkim szacunkiem rodaków.

Ale nie wszystkich. „Rozmienił się na drobne. Powinien był pozostać przy badaniu moczu, w czym był naprawdę dobry” – napisał jego sławny, lecz pozbawiony szacunku następca Abu Ali al-Husajn Ibn Abdallah Ibn Sina, na Zachodzie znany jako Awicenna. Urodził się w 980 roku na wsi koło Buchary (obecnie w Uzbekistanie) jako syn poborcy podatkowego. Dzisiejsza Buchara to rewir potentatów wydobycia gazu ziemnego, ale w X wieku była ośrodkiem islamskiej nauki, sztuki i rzemiosła. Awicenna zadziwiał dorosłych, w wieku 10 lat recytując Koran, a w wieku 16 – praktykując jako uzdrowiciel. Nie był jednak molem książkowym. W autobiografii wspomina, że duża część jego pism powstała na końskim grzbiecie podczas kampanii wojskowych, ucieczek przed wrogami lub wierzycielami, w więzieniu w strachu przed egzekucją, gdy był wezyrem („premierem”) u emira oraz kiedy dochodził do siebie po potężnych pijackich burdach. To ostatnie może się wydawać zaskakujące jak na muzułmańskiego mędrca, lecz Awicenna, w przeciwieństwie do Rhazesa, pielęgnował własny wizerunek jako równego gościa miłującego wino, kobiety i śpiew oraz mak. Jego śmierć, która nastąpiła, gdy miał 56 lat, przypisywano nadmiernemu folgowaniu sobie w jednej, dwu, trzech, a może i wszystkich czterech używkach[7].

Ale ten autoportret rozpustnika nie jest w pełni przekonujący. Uzależnieni wszelkich epok pisywali zazwyczaj natchnioną poezję, komponowali niezapomnianą muzykę i tworzyli pomniejsze dzieła sztuki plastycznej, żaden z nich jednak nie skompilował dwóch monumentalnych encyklopedii, jednej z dziedziny nauk przyrodniczych, a drugiej z zakresu medycyny. Ta druga, znana na Zachodzie jako *Kanon medycyny*, stała się – ujmując to słowami Ambroise'a Parégo, chirurga pięciu królów Francji – „najsłynniejszym dziełem medycznym, jakie kiedykolwiek napisano". Dante zaś uhonorował jej autora, umieszczając go w Pierwszym Kręgu *Piekła*[8]. W przeciwieństwie do licznych książek o dużym znaczeniu historycznym, ta wciąż obfituje w rzetelną wiedzę. „Nieszczęśliwi jedzą albo zbyt dużo, albo za mało. Należy uczynić ich zadowolonymi, a nie zmuszać do jedzenia czy postu". „Pacjenci szukają twojej pomocy z dwóch powodów. Jednym jest ból. Drugim strach. Strach jest z nich dwóch silniejszy. *Affyon* może przynieść ulgę w obydwu, ale trzeba się z nim obchodzić ostrożnie".

„Ostrożnie" było słowem kluczem, a Awicenna stał się w muzułmańskim świecie niekwestionowanym autorytetem od opium. „Zażywane powściągliwie, może niepostrzeżenie, poprzez umysł, zdziałać to, czego nie dokonają dla ciała drastyczniejsze środki medyczne. Jest jednym ze znaczących darów Allacha, za które należy Mu codziennie dziękować. Lecz zarozumiali ludzie mogą się niewłaściwie obejść nawet z boskimi darami"[9]. Przepisywał ten lek w rozmaitych formach: jako „ciasteczko", w postaci infuzji, okładu, zawiesiny, w czopkach, plastrze lub maści. Nie wiadomo, czy to on wynalazł tę technikę, ale *Kanon* opisuje lekkie zadrapanie skóry w celu otwarcia drogi do ciała przez powierzchnie, przez które opium normalnie się nie wchłania. Metoda ta została później zaadaptowana do szczepień prze-

ciwko ospie. Dla marudnych niemowląt zalecano mieszaninę sporządzoną w równej ilości z soku makowego i z mniszka lekarskiego. W wyjątkowych przypadkach – to znaczy jeśli dla pacjenta smak każdej postaci był nie do zniesienia – można było użyć jako nośnika sfermentowanego soku winogron. Otrzymywany specyfik do ssania nie był zapewne daleki od laudanum Sydenhama.

Znacznie wyprzedzając swe czasy, *Kanon* zalecał precyzyjne dozowanie. Dawka *affyonu* była zazwyczaj określana w „prymkach", grudkach wielkości z grubsza ziarna grochu. Prymka – czy raczej ustalonej wielkości porcyjka – była używana w Azji Południowo-Wschodniej jeszcze na początku XX wieku. Nie jest pewne, jak duże pobudzenie otrzymywano z prymki w czasach Awicenny, ale szeroki zakres rekomendowanego dozowania podpowiada, że wielu przyjmujących lek mogło być już do niego przyzwyczajonych[10]. *Kanon* sugeruje również, że w kalifacie Abbasydów *affyon* nie był odstraszająco drogi. Awicenna pomstował na lekarstwa zbyt kosztowne dla biedoty, ale „na szczęście opium można tanio kupić na targu". Ostrzegał jednak rozsądnie: „Musisz się strzec zbyt rozcieńczonego płynu: handlarz powinien być ci znany, a źródło – godne zaufania". Słowa mądrości kierował też do lekarzy. „Łagodzące działanie leku jest nieprzecenione, kiedy pacjenci są zbyt przybici, by słuchać twoich porad; lecz korzyść będzie tymczasowa, a po ochoczej uległości przychodzi jeszcze gorszy opór niż poprzednio. Nie oczekuj żadnych podziękowań, kiedy skutki wywierane przez mak już przeminą (…). Weź zapłatę, zanim zaaplikujesz pacjentowi makowe lekarstwo"[11].

Mogłoby się wydawać, że dwie ogromne encyklopedie wystarczą, żeby zapełnić pracowite życie zawodowe, lecz Awicenna napisał łącznie 270 dzieł, w tym szczupły tomik o mnemonice „dla lekarza pracującego pod presją na targu,

który nie ma czasu zgłębiać zawiłości problemów klinicznych”[12]. Sarkazm skierowany do zadufanych w sobie kolegów po fachu musiał stwarzać mu wielu wrogów, jednak w końcowym rozrachunku jego sława przeważyła w czasie nad wrogością. Niewielu innych lekarzy będzie wspominanych z czcią 400 lat po śmierci w krajach, o których sami może nawet nie słyszeli[13]. A niektóre z jego powracających echem wierszy, przez długi czas zapomnianych, wydają się dziwnie dostrojone do myśli i westchnień późniejszych uzależnionych pisarzy:

> Jakże pragnąłbym móc się dowiedzieć, kim jestem,
> Czego właściwie szukam na tym świecie[14].

Czy Baudelaire czytał te wersy?

* * *

W historii stosowania *affyonu* nie bez znaczenia był wkład Żydów. Na Półwyspie Iberyjskim pierwsza diaspora w 711 roku z otwartymi ramionami powitała podbój Maurów i tak rozpoczął się okres olśniewającego rozkwitu nauki i sztuki. Dynastia Umajjadów uważała Żydów za opóźnionych kuzynów, których nawrócenie na islam jest tylko kwestią czasu, a na polu sporządzania uzdrawiających i uspokajających eliksirów Izraelici uchodzili za ekspertów. Po raz pierwszy od upadku Cesarstwa Rzymskiego na stokach gór w okolicy Granady zakwitły białe maki, a kalif i jego dwór w Kordowie żądali najlepszego produktu. Jednakże w muzułmańskim świecie żywy był już konflikt między wyrafinowanymi władcami a fundamentalistycznie nastawionymi plemionami; pokój i dobrobyt rzadko trwały dłużej niż kilka pokoleń. Kordowa upadła, opanowana przez fanatycznych berberyjskich wojowników, którzy przeprawili się przez Cieśninę Gibraltarską w 1013 roku. Tysiące Żydów zostało

zmasakrowanych. Wśród ocalałych uciekinierów znalazła się rodzina Mosze ben Majmona, lepiej znanego obecnie jako Majmonides[15]. Po długiej tułaczce osiedliła się w Kairze, rządzonym wówczas przez surowego, ale tolerancyjnego dla innych nacji sułtana imieniem Salah ad-Dunja wa-ad-Din Abu al-Muzaffar Jusuf ibn Ajjub, na Zachodzie nazywanego Saladynem[16].

Majmonides szybko zasłynął jako uznany uzdrowiciel. W 1185 roku, kiedy został mianowany nadwornym lekarzem sułtana, poproszono go również konspiracyjnymi kanałami, aby przyjął posadę osobistego lekarza u prowadzącego krucjatę „frankońskiego króla", przypuszczalnie Ryszarda Lwie Serce. Tę drugą propozycję Majmonides roztropnie odrzucił. Jako lekarz wzbudzał nadzwyczajne zaufanie. Jak zanotował współczesny mu arabski komentator: „Medycyna Galena jest dla ciała, Majmonidesa zaś – i dla ciała, i dla duszy". Pewien wgląd w pracę sułtańskiego medyka daje jego rozległa korespondencja.

> Moje nowe obowiązki wobec sułtana zaczynają mi ciążyć (…). Odwiedzam go codziennie rano, jeżeli się czuje niezdrów albo gdy zachoruje któreś z jego dzieci czy któraś z faworyt w haremie; czasami muszę spędzić większość dnia w pałacu. Kiedy wracam do Fustat [biednej dzielnicy na obrzeżu Kairu, gdzie mieszkał], zastaję podwórko zapełnione chorymi (…), [wśród nich] wysoko i nisko urodzeni, goje i Żydzi, i oczywiście muzułmanie, teolodzy i sędziowie (…). Zsiadam [z wierzchowca], myję ręce i w wielkim pośpiechu spożywam jedyny posiłek dnia (…). Potem zajmuję się pacjentami, czasami do świtu. Niekiedy rozmawiam z nimi na leżąco, ponieważ jestem zbyt słaby, by się podnieść. Muszę jednak wstać, żeby odwiedzić tych, którzy nie mogą do mnie przyjść, bo są zbyt wycieńczeni, zbyt udręczeni bólem lub umierają. Cierpiącym i umierającym przynoszę *affyon*, na który jedni nie mogą sobie pozwolić, a inni nie wiedzą, jak go użyć. Kiedy nie mogą go wypić, są bezradni. Pouczam przyjaciół i krewnych, jak aplikować go tym, którzy są za bardzo chorzy, by przełykać. Można go dopra-

wić miodem, można też wprowadzić w postaci lewatywy lub czopków. Jest to cudowne panaceum. Szczególnie ważne, by je podawać tym pacjentom, którzy już nie wyzdrowieją. Modlitwy są pomocne, lecz nie wystarczają. Umierających nie wolno zostawiać w ich cierpieniu. Mam nadzieję, że pewnego dnia napiszę o tym książkę[17].

Tej akurat książki nigdy nie napisał, ale jego podejście do relacji lekarz–pacjent (1000 lat przed tym, jak wymyślono to napuszone określenie) podsumowuje aforyzm: „Obym nigdy nie widział w moich pacjentach nikogo innego jak towarzyszy w cierpieniu". Zdanie to pozostawało w harmonii z ówczesnym duchem islamskiej medycyny, ale różniło się już od ewoluującej zachodniej tradycji. Na Zachodzie dbałość o odpowiedni zawodowy dystans między pacjentem a uzdrowicielem, zapoczątkowana i umacniana przez rzymskich lekarzy, przetrwała upadek cesarstwa i nadejście chrześcijaństwa. Była uważana – i jest nadal – za istotną w odniesieniu do poważnych chorób. Lekarz mógł sobie pozwolić na współczucie dla pacjenta. Z obowiązku otaczał go troską i opieką. Ale postrzeganie pacjenta jako towarzysza w cierpieniu nie było wliczone w poprawienie rezultatu leczenia.

Wynikło z tego wiele różnic. Majmonides i jego koledzy po fachu nie mieli cierpliwości do milczącego cierpienia. „Bóg dał nam łzy, byśmy je ronili (…). Nie próbuj ich powstrzymywać. Gdy eliksiry i napary zawiodą w łagodzeniu bólu, ulgę zawsze przynoszą lamenty"[18]. Taka rada oburzyłaby Senekę czy Marka Aureliusza. Nie zaaprobowaliby jej także wielcy średniowieczni doktorzy Kościoła. Dla nich oczyszczający efekt cierpienia jest istotą doktryny chrześcijaństwa. Cierpieniu do pewnego stopnia można ulżyć, ale jego część wciąż pozostanie poza zasięgiem sztuki lekarza. I bardzo dobrze, ponieważ ta część cierpienia zaważy na korzyść

suplikanta, kiedy stanie on przed Sędzią Sprawiedliwym. Islamscy lekarze, wręcz przeciwnie, nauczali, że Allach nie stworzył żadnej bolesnej przypadłości, na którą nie stworzyłby też lekarstwa, choćby to lekarstwo znajdowało się jeszcze poza zasięgiem ludzkiego rozumu[19].

* * *

Moralne poparcie dla *affyonu* zostało wzmocnione ekonomią. Zarówno utrzymywanie wytwornego dworu, jak i święta wojna toczona z chrześcijaństwem nadwerężały sułtański skarbiec. A podatek nałożony na uprawy maku w dolinie Nilu okazał się użytecznym źródłem dochodu. Okazjonalnie *affyon* można było wykorzystywać w dyplomatycznych pertraktacjach – hojne opiumowe dary znacznie skuteczniej powstrzymywały wojenne zapędy burzących się plemion znad Górnego Nilu, niż zrobiłyby to groźby. *Affyonu* można też było użyć jako rycerskiego gestu. Muzułmańscy historycy opowiadają, że kiedy Ryszard Lwie Serce spoczywał w swoim namiocie pod Akką, złożony gorączką w doskwierającym upale, jego wróg przysłał mu karawanę obładowaną lodem z syryjskich gór oraz sporym zapasem tebańskiego opium. Prawda to czy nie, Ryszard wkrótce stanął na nogi i był sprawny na tyle, by wyrżnąć w pień wielu kolejnych Saracenów.

* * *

Niektóre gałęzie medycyny rozwinęły się w świecie islamu, zanim pomyślano o nich na chrześcijańskim Zachodzie. Co prawda w Koranie nie ma wielu nakazów dotyczących medycyny, ale jeden z nich zobowiązuje wiernych, by traktowali szaleńców ze współczuciem. Związane z obłędem „pogańskie zabobony” twierdzące, jakoby szaleniec był opętany przez diabła, zostały stanowczo odrzucone, co doprowadziło

do założenia pierwszych specjalistycznych szpitali dla umysłowo chorych[20]. Lecz nawet w tych placówkach kwestia najlepszej metody postępowania z agresywnymi i niebezpiecznymi pacjentami wciąż była sporna. Jedna szkoła utrzymywała, że najodpowiedniejszym podejściem jest regularne podawanie *affyonu*. Abu Marwan Abd al-Malik ibn Zuhr, znany pod zlatynizowanym imieniem Avenzoar iberyjski lekarz zmarły w 1162 roku, wymienił 23 różne mikstury, każdą opracowaną na inny rodzaj obłędu. „Niektóre z tych medykamentów są kosztowne i stałe ich podawanie może prowadzić do trudności w zaopatrywaniu pacjentów. Lecz lepsze to niż zakuwanie ich w kajdany. Do klatek należy się uciekać dopiero w ostateczności, a nigdy do bicia".

Pojawiały się jednak bardziej ponure spostrzeżenia. Abulrajan al-Biruni odnotował w 1130 roku, że pielgrzymi zmierzający do świętego miasta Mekki czasami fatalnie w skutkach przedawkowywali. Upał i intensywność duchowych praktyk mogły zaburzyć umiejętność dokonywania praktycznych osądów. Lekarz w coraz większym stopniu niepokoił się tym, że ci, którzy się uzależnili czy nawet weszli w nawyk przyjmowania opium, nabierają „niebezpiecznej obsesji na punkcie swych łaknień". Po raz pierwszy pojawiła się perspektywa bezprawia i przestępstw: „*Affyon* jest potężnym i skutecznym lekiem stosowanym na wszelkie bóle, może też jednak zaciemnić wzrok, wywołać zatwardziałość ducha, osłabić umysł, wynaturzyć rozumienie świata i zdemoralizować osądy"[21]. Abdullah ibn-al-Bajtar wymienił „10 podstawowych objawów przedawkowania: letarg, szczękościsk, niekontrolowane swędzenie, łzawienie, paraliż języka, odbarwione końcówki palców i paznokcie, obfite zimne poty, bolesne, ale nieskuteczne wymioty, konwulsje i śmierć". Dziś niewiele można by dodać do tej listy – najwyraźniej autor sam obserwował nierzadkie przypadki

przedawkowania. Najlepszym środkiem zaradczym było utrzymywanie pacjenta w ruchu – miał chodzić i mówić – oraz wymuszenie intensywnych wymiotów, ale i to mogło zawieść.

Bardziej przerażające były możliwe skutki, jakie lekarstwo wywierało na duszy. To właśnie w islamskich pismach po raz pierwszy pojawiła się żałosna postać ćpuna (jak zostanie nazwany tysiąc lat później). Oprócz wyniszczenia fizycznego, według słów sędziego i uczonego, Muhammeda al-Zarkashiego, *affyon* może…

> wywoływać (…) lenistwo i gnuśność, rozpalać niebezpieczne złudzenia, osłabiać moc umysłu i ograniczać wszelką powściągliwość (…). Powoduje, że cera żółknie, zęby czernieją, oddech cuchnie, w wątrobie powstają dziury, w zepsutym żołądku – zapalenia; sprawia, że oczy zachodzą mgłą i źle widzą. Zamienia lwa w żuka, dumnego człowieka w tchórza, a zdrowego – w mizerotę. Jeżeli je, wciąż mu mało. Gdy się do niego mówi, nie słucha. [Opium] z bystrej osoby czyni tępą, z wrażliwej – głupią. Zabiera wszelką męską cnotę i kładzie kres młodzieńczej sprawności rozrodczej. Niszczy umysł, tłumi naturalne talenty i przytępia rozsądek. Lecz najpoważniejszy jest upadek duszy – nic nie może stanąć człowiekowi na przeszkodzie w zdobyciu kolejnych porcji narkotyku. Nie ma już dobra ani zła, nakazów ani zakazów. I [uzależniony] cierpi. Ma wielki apetyt, ale nie może jeść, odczuwa senność, lecz jest daleki od snu. Wyciągnięto go z Raju i zagrożono przekleństwem Allacha, jeżeli nie będzie ze skruchą zgrzytać zębami i nie zaufa Allachowi[22].

Sędzia nie ma jednak złudzeń. W rzeczywistości końcem narkomana zazwyczaj była śmierć i szybkie zstąpienie do piekła.

Nigdy dotąd nikt tak stanowczo nie odsłonił drugiego oblicza opium. Lek mógł być błogosławionym darem Allacha, niech Allach będzie pochwalony. Ale może też być narzędziem Szatana prowadzącym człowieka na wieczne potępie-

nie. Udręczonemu bólem ciału może nieść ulgę, a umysłowi – odprężenie. Ale może też zniszczyć dzielne jednostki i pogrążyć ich rodziny w nędzy. (To, że może także osłabić żywotność całych narodów, nie było jeszcze oczywiste). Jak należało działać w obliczu tak egzystencjalnego wyzwania?

Nie padła żadna odpowiedź. Pod koniec XIII wieku arabska medycyna przeżywała już schyłek, podobnie jak wielkie arabskojęzyczne kalifaty. Kordowa upadła i została zajęta przez chrześcijan w 1236 roku, a Bagdad w 1258 złupili Mongołowie. Przez następne 500 lat w świecie muzułmańskim dominującą siłą byli Turcy osmańscy – wojowniczy twórcy imperium, znani z pięknej kaligrafii i wspaniałej ceramiki, ale wykazujący niewielkie zainteresowanie sztuką uzdrawiania. Za to w ślad za powracającymi do ojczyzn krzyżowcami opium zaczęło przeciekać z powrotem do Europy Zachodniej.

ROZDZIAŁ 6

Nasenna gąbka

Podczas gdy islam przeżywał złoty okres, cywilizacja zachodnia kulała i o mało nie zanikła zupełnie. Nawet w neolicie uprawa maku wymagała pewnego stopnia społecznej stabilizacji. Tymczasem przez kilkaset lat Europa czegoś takiego nie zaznała. Rzecz jasna, odurzanie się było na porządku dziennym: przez długi czas w wielu częściach kontynentu upojenie alkoholowe było przypuszczalnie normalnym stanem ludzkości. Ale na Zachód docierały wieści o łagodniejszym, a jeszcze bardziej ekscytującym środku odurzającym, a przywozili go z sobą – jak tyle innych rzeczy, dobrych i złych – powracający ze swoich wypraw krzyżowcy.

Pierwsze z owych niezwykłych migracji zostały zapoczątkowane gwałtownym wzrostem religijności pod koniec pierwszego tysiąclecia. Ku rozczarowaniu wielu mieszkań-

ców Europy Zachodniej rok tysięczny nie przyniósł drugiego przyjścia Chrystusa, ale codzienne wyczekiwanie sprawiło, że często kierowano spojrzenia w niebo… a także w inne miejsce. Wieczność w tym drugim byłaby długim czasem. W odpowiedzi na papieskie wezwanie, by odbić z rąk niewiernych ziemię, na której mieszkał, nauczał i umarł Jezus, a w zamian zyskać bezprecedensowe darowanie nawet nieopisanych przewinień i zbrodni, na wyprawy krzyżowe pociągnęły dziesiątki tysięcy ochotników. Po trzyletniej, pełnej trudów kampanii uczestnicy pierwszej krucjaty zdobyli Jerozolimę w niedzielę 15 lipca 1099 roku. Był to chwalebny moment (po którym nastąpiła rzeź obrońców), lecz małe chrześcijańskie królestwo otoczone morzem islamu nie miało szans na przetrwanie. Napłynęli inni krzyżowcy, napędzani nie tylko czystą wiarą. A na drugim końcu świata w zamkach feudałów i w dobrze uposażonych klasztorach zaczęły się szerzyć fantastyczne opowieści o orientalnych eliksirach sprowadzających na człowieka niewyobrażalne rozkosze i nadludzkie moce. Saraceni spojeni sokiem makowym pozbywali się jakiegokolwiek strachu. Tatarscy jeźdźcy i ich konie otrząsali się z wszelkiego zmęczenia. Nic dziwnego, że chrześcijańskie kampanie wojenne czasami grzęzły w piasku.

Pierwsze próbki opium przywiezione do Europy Zachodniej musiały być w opłakanym stanie, ale stworzyły popyt, a popyt z reguły wyczarowuje dostawców. Przypuszczalnie prawdziwymi zwycięzcami w wyprawach krzyżowych byli nie chrześcijanie ani nie Saraceni, tylko mieszkańcy garści wyspiarskich osad położonych na północnym krańcu Adriatyku. Jeszcze sto lat wcześniej były to biedne rybackie wioski. Teraz opłata pobierana za przewożenie krzyżowców i ich zapasów do Ziemi Świętej i z powrotem przekształciła owe niepozorne mieściny w handlową potęgę o nazwie Naj-

jaśniejsza Republika Wenecka[1]. Wielka Rada skłoniła nawet szantażem przywódców IV krucjaty, by zniszczyli Bizancjum – byłego partnera Republiki, a teraz jej jedynego rywala na wschodzie basenu śródziemnomorskiego[2]. Jednak trzymając się z daleka od prawdziwej walki, weneccy handlarze utrzymywali dyskretne, lecz serdeczne stosunki ze swoimi arabskimi odpowiednikami.

Kiedy w ślad za wrogimi okrzykami w Europie Zachodniej rozbrzmiały głosy zapotrzebowania na wschodnie towary, miasto nad Laguną miało bezkonkurencyjną pozycję, by na to zapotrzebowanie odpowiedzieć. Siedem dni w tygodniu, o każdej porze roku bankierzy, pośrednicy, kanciarze i od czasu do czasu jakiś uczciwy kupiec tłoczyli się na moście Rialto (o każdym ich mrugnięciu okiem natychmiast donoszono rządzącej Radzie Dziesięciu), ustalając ceny nowych dóbr. Ludzie interesu przybywali tu z trzech kontynentów. Różnili się kolorem skóry – od najbledszego różowego po hebanowy – lecz wszyscy razem nieomylnie wyczuwali, co przyniosą zagraniczne rynki[3]. Niemal nieuniknione było, że jednym z najwyższych narzutów będzie marża nakładana na opium[4]. Marco Polo, uprzywilejowany wenecki młodzieniec, tylko chwilowo popadły w niełaskę, podróżując przez Azję Środkową w 1275 roku, spotkał karawanę złożoną z setki wielbłądów, obładowaną towarami wiezionymi do magazynów jego rodziny. Ładunek obejmował tekstylia, dywany, biżuterię, szkło, srebra, grawerowaną broń, przyprawy i… opium. To ostatnie wagowo nie stanowiło dużej części transportu, ale pod względem przynoszonych zysków mogło rywalizować z najrzadszymi klejnotami.

Skąd dokładnie brały się te zyski? Mandragora znów może tu posłużyć jako negatywny marker. Przez całe wieki ciemne wyciąg z korzenia tej rośliny pozostawał najpopularniejszym środkiem przeciwbólowym. Ilustrowane *Godzinki*

przedstawiają dziwaczny rytuał zbioru mandragory: wyciąganiu z ziemi (najlepiej przesiąkniętej krwią bądź z ziemi pod szubienicą) zgodnie z powszechnym przekonaniem miał towarzyszyć przenikliwy krzyk, który kogoś, kto niefortunnie go usłyszał, mógł przyprawić o śmierć. Dlatego przy wykopywaniu korzenia powinien obok stać drugi człowiek i dąć w róg, aby zagłuszyć wrzask mandragory[5]. Jednak mimo takiego niebezpieczeństwa otrzymywany z niej produkt był tani. Przez długi czas na Zachodzie opium było przeznaczone dla królów, królowych i książąt Kościoła. Mandragora zaś – dla wszystkich pozostałych[6].

* * *

Wciąż bardzo cenna przetworzona brązowa masa suszonego makowego soku była starannie ważona, porcjowana, ciasno owijana wodoszczelnymi szmatkami i rozwożona z Wenecji głównie przez żydowskich kupców[7]. Później, gdy zapał krzyżowców przygasł, na handlowych szlakach zrobiło się nieco bezpieczniej i do żydowskich handlarzy dołączyli arabscy lekarze. I jedni, i drudzy słynęli z umiejętności przygotowywania i podawania uzdrawiających medykamentów. Święte synody grzmiały przeciwko chrześcijanom pozwalającym, by takie robactwo dopuszczano do łoża umierających wiernych, ale strach i ból są ponadczasowe i silniejsze od klątw.

* * *

Drugą szczeliną, przez którą opium zacznie przeciekać z powrotem na Zachód, była założona około 1050 roku pierwsza szkoła medyczna od czasów klasycznych. Legenda o tym, że jej działalność rozpoczęli łaciński uczony, żydowski lekarz, arabski kupiec i grecki nauczyciel, metaforycznie miała w sobie wiele z prawdy. Placówka, ciesząca się

protektoratem przerażających, lecz nowocześnie myślących normańskich książąt Sycylii i Salerno, na południu Włoch, była położona na skrzyżowaniu dróg ówczesnych cywilizacji. W 1063 roku niejaki Alfanus, benedyktyński mnich z pobliskiego klasztoru na Monte Cassino, wybrał się do Konstantynopola z zamiarem studiowania starożytnych tekstów greckich i arabskich. Potem zatrzymał się w szkole medycznej w Salerno i nauczał w niej. Jego *Premnon Physicon* to pierwsza w nowożytnej europejskiej literaturze zachowana księga wspominająca o makowym soku[8]. Alfanus przypuszczalnie czerpał informacje z drugiej ręki, przez co opisane przez niego efekty są tym bardziej zdumiewające. Nieco późniejsza praca, *Liber isagogarum* („księga nauk wstępnych”; z gr. isagoga, isagogika – nauki wstępne), autorstwa innego oddanego sprawie mnicha i nauczyciela, Konstantyna Afrykańczyka, stała się podstawowym podręcznikiem szkół medycznych, które powstały w Europie w ślad za szkołą z Salerno[9]. Egzemplarze tego dzieła posiadały uczelnie w Bolonii, Padwie, Paryżu, Oksfordzie, Cambridge, Pradze i Wiedniu – i wszędzie tam dowiadywano się o magicznym działaniu maku. Poza światem akademickim istnym bestsellerem stała się popularna kompilacja domowej wiedzy znana jako *Regimen sanitatis salernitanum* („Zestawienie zasad zdrowia z Salerno”), radosna zbieranina rymów spisana z grubsza na początku XIII wieku, sporo miejsca poświęcająca rozweselającej roślinie. Przez niemal 300 lat krążyła w sporządzanych ręcznie odpisach, a po wynalezieniu druku w XVI i XVII wieku doczekała się ponad 200 wydań w większości europejskich języków oraz po łacinie, hebrajsku i persku[10].

* * *

Ponowne pojawienie się opium na Zachodzie zbiegło się w czasie ze spopularyzowaniem najważniejszego średniowiecznego wynalazku medycznego wieków ciemnych – *spongia somnifera*, czyli „przynoszącej sen gąbki”. Na gruncie medycyny nigdy nie jest łatwo ustalić pierwszeństwo, lecz pierwszy szczegółowy opis tego przodka maski anestezjologicznej najwyraźniej zawiera XIII-wieczna *Chirurgia* autorstwa Teodoryka, biskupa Cervii, który z kolei wynalezienie tej gąbki przypisał swojemu ojcu, Hugonowi z Lukki. Rzecz jasna, dla zwykłego ludu określenie *spongia somnifera* było łamańcem językowym, dlatego upowszechniło się prostsze, bardziej swojskie „nasenna gąbka”.

> Weź sok niedojrzałej morwy, lulka, chmielu, sok z liści mandragory, z makówki, sok z leśnego bluszczu, leśnej morwy, z nasion sałaty, nasion szczawiu, który ma duże, okrągłe „jabłuszka” – każdego po uncji; zmieszaj je wszystkie w mosiężnym naczyniu, następnie umieść w nim świeżą morską gąbkę. Niech całość się gotuje, póki słońce wisi na niebie podczas kanikuły, aż gąbka wciągnie w siebie cały płyn.
>
> Gdy tylko zajdzie potrzeba, włóż gąbkę na godzinę do wrzącej wody, po czym przytknij do nozdrzy tego, kto jest operowany, dopóki nie zaśnie. Po skończonym zabiegu chirurgicznym, by obudzić pacjenta, przyłóż inną gąbkę, zanurzoną w occie, albo pryśnij mu w nos sokiem z korzenia kozieradki. Niedługo się ocknie[11].

Albo i nie. O niebezpieczeństwie permanentnego zaśnięcia świadczą częste polecenia, by dawać pacjentowi do wdychania ocet, gdy tylko „sen wydaje się zbyt głęboki”[12]. Co prawda sok z makówki był tylko jedną z licznych składowych skomplikowanego koktajlu, powstaje jednak pytanie, czy przedłużone gotowanie z innymi sokami nie doprowadzało przypadkiem do reakcji chemicznej obecnie nazywanej acetylacją[13]. To mogłoby zaowocować wytworzeniem śladowych ilości heroiny, mającej wielokrotnie silniejsze działanie niż opium[14].

* * *

Nasenna gąbka szczególne znaczenie miała dla chirurgów. Odziani w skrwawione fartuchy, wciąż byli niższym gatunkiem w porównaniu z lekarzami w długich, zwiewnych akademickich szatach. Lecz nawet wśród tej „niższej kasty” zaczynała się tworzyć elita. Lanfranc z Mediolanu był włoskim mistrzem chirurgii, który osiadł w Paryżu i tam napisał dzieło *Chirurgia magna* oraz jego lekko skróconą wersję *Chirurgia parva*. Ta druga, przetłumaczona na wiele języków, stała się w swej epoce podręcznikiem chirurgii w stylu „zrób to sam”[15]. Mimo deklarowanego praktycznego celu stosunkowo długie partie tekstu poświęcono temu, co dziś nazwano by naukami podstawowymi, w tym bogato ilustrowany rozdział o astrologii. Po ponurym realizmie operacji niebiańskie akapity dodają otuchy w swych prognostycznych pewnikach. Ale praktyczne fragmenty też zawierają przyjemne niespodzianki. Można by pomyśleć, że w brutalnej epoce wypadanie włosów będzie jednym z mniejszych utrapień mężczyzny. Lecz byłby to błędny osąd. Na kurację przeciw łysieniu rycerza – zarówno całościowemu, jak i częściowemu – autor poleca 18 różnych maści, zależnie od wieku, statusu społecznego oraz preferencji kolorystycznych „nieszczęśnika dotkniętego łysieniem”. Sok makowy – „wystarczy kilka kropli” – to standardowy składnik, zwłaszcza jeśli należy się spodziewać bolesnej aplikacji. (Nie wyjaśniono, co miałoby spowodować ból). W innym miejscu lek wymieniono w powiązaniu z powstrzymywaniem biegunki, jednakże z zastrzeżeniem, że można go zastosować tylko wtedy, „gdy jest dostępny godny zaufania preparat; w innym przypadku będzie niebezpieczny”. Lekarstwo wciąż było kosztowne.

Uczeń Lanfranca, Henri de Mondeville, wyrósł na większą osobistość. Cieszył się względami na dworach królewskich Filipa III i Filipa IV, wykładał na słynnych uczelniach i nie miał trudności ze zdobywaniem „wyciągu z najlepszego egipskiego maku, sprzedawanego przez zaufanych żydowskich kupców". A jednak, choć rekomendował ekstrakt do mikstury potrzebnej do sporządzenia własnej *spongia somnifera*, ograniczał stosowanie opium poza chirurgią, głównie do zwalczania uporczywych bólów głowy.

Człowiek, który kontynuował dzieło de Mondeville'a, Guy de Chauliac, Gaskończyk, absolwent uniwersytetów w Bolonii i Montpellier, w świadomości przyszłych pokoleń zapisał się jako „wzorzec chrześcijańskiego chirurga". Sam we wprowadzeniu do swojej *Chirurgia magna* stwierdził, że między innymi postawił sobie za cel podniesienie statusu swojego rzemiosła, aby zostało uznane za uczoną profesję. Książka jest wręcz przytłaczająco obszerna, zawiera 3299 odniesień do innych, wymienionych prac, w tym 890 cytatów z samego Galena, przez co przyćmiewa wygenerowane komputerowo potworności naszych czasów. Autor, podobnie jak jego poprzednicy, jest zwolennikiem nasennej gąbki, hojnie nasączonej „najlepszym dostępnym opium". Poleca ją częściowo oczywiście dlatego, żeby oszczędzić pacjentowi cierpień, lecz także po to, by się „nie rzucał" na stole. Gwałtowne reakcje na ból należały do głównych zagrożeń w średniowiecznej chirurgii, niebezpiecznych zarówno dla pacjenta, jak i dla chirurga: nawet najlepszy sok makowy nie gwarantował spokojnego przebiegu operacji[16]. Podobnie jak wielu mu współczesnych, Gaskończyk okrasił swe nauki anegdotami o własnej niezrównanej wirtuozerii, przeplatając je mrożącymi krew w żyłach opowieściami o niekompetencji rywali. „Jeżeli chcesz żyć – napominał czytelnika – upewnij się, że twój chirurg co do litery trzyma się moich

instrukcji oraz że jest trzeźwy”. Niesławny Henri de Natteville, nieupamiętniony w historii w żaden inny sposób, podobno zabił sześciu pacjentów z rzędu, przedawkowując im gąbkę, gdyż był pod wpływem alkoholu. Z kolei olśniewająco kolorowe ilustracje przedstawiające de Chauliaca przy pracy ukazują jego pacjentów – niektórych przyodzianych jedynie w koronę lub biskupią mitrę – uśmiechniętych szeroko z uciechy, podczas gdy lancet mistrza chirurgii usuwa im wrzody okołoodbytowe[17].

Współczesny de Chauliacowi Anglik John Arderne służył pod Janem z Gandawy podczas wojny stuletniej, a następnie osiedlił się w Newark-on-Trent. Tu, mimo odległości dzielącej jego dom od wielkich ośrodków miejskich, odwiedzali go wielcy, dobrzy i bogaci. Sam ogłosił, że stara się ograniczyć swą posługę lekarską do wysoko urodzonych i zamożnych pacjentów, których stać na opłacenie kuracji oraz którzy mają szansę naprawdę z niej skorzystać. Wyjątki robił jedynie dla prawdziwych mnichów żebrzących, weteranów krucjat, którzy na dowód swoich wojennych czynów pokazywali blizny, oraz dla własnych dzieci, wnuków, pociotków i całej rodzinnej „miłej gromadki”. Nie tylko dyktował niebotyczne ceny za swoje usługi, lecz także szafował receptami na tak kosztowne medykamenty, jak najwyższej jakości wyciąg z makówek. Uznawał go za użyteczny w postaci maści, a także zażywany doustnie i w formie inhalacji. Na najgorszy rodzaj „umysłowego pobudzenia” polecał mieszaninę opium i lulka z winem. Jako jedyne ryzyko związane z zażywaniem tego „niezrównanego, doskonałego lekarstwa” wymienił to, że zamiast odzyskać swój normalny podły nastrój, jego pacjenci mogą trwale popaść w umysłowy zastój. Aby uniknąć takiego nieszczęścia, Arderne polecał co kilka minut szarpać pacjenta za brodę. Dla pozbawionych zarostu nie miał żadnej rady.

Trudno nie być pod wrażeniem, kiedy się czyta owe majestatyczne średniowieczne teksty zawierające przemieszanie naukowej wiedzy z przedziwnymi zabobonami. Guy de Chauliac zalecał natychmiastową inhalację mocnej opiumowej mikstury (zawsze trzymanej w pogotowiu w zapieczętowanym pojemniku) na „duszność w klatce piersiowej” jako możliwy środek ratujący życie[18]. A na następnej stronie przeciw napadom epilepsji nakazuje, by pacjent „własną krwią na trzykrotnie święconym pergaminie” napisał imiona Trzech Mędrców i przez trzy miesiące każdego dnia 33 razy dziennie odmawiał *Zdrowaś Mario*. Najwyraźniej do uratowania życia niezbędne też było odpowiednie nastawienie duchowe.

* * *

Śmiałe początkowe poczynania ukróciła największa medyczna katastrofa w historii Europy, a bodaj nawet świata. Epidemia czarnej śmierci rozpoczęła się w styczniu 1384 roku w sycylijskim porcie Messyna, dokąd przypuszczalnie została zawleczona na trzech genueńskich galerach. Genua miała ufortyfikowane faktorie handlowe na wybrzeżu Morza Śródziemnego oraz nad Morzem Czarnym, a kilka miesięcy wcześniej załoga takiego fortu na Krymie była oblegana przez jakieś koczownicze plemię. Napastników do odstąpienia od oblężenia zmusiła zaraza, niemal na pewno dżuma, jednak zanim się wycofali, katapultowali swych zmarłych do fortu. Było to pierwsze znane historii posłużenie się bronią biologiczną i okazało się tak skuteczne, jakby zostało przeprowadzone w dzisiejszych czasach[19]. Zanim galery dotarły do Sycylii, „choroba mocno przywarła do kości załogi”. Z portu rozprzestrzeniła się po wyspie. Następnie przez cieśninę dostała się na Półwysep Apeniński i zabiła ponad dwie trzecie ludności Neapolu, w tym arcybiskupa

i całą jego duchowną świtę. I podążyła na północ. Ludzie umierali we własnych domach, w kościołach, na ulicach albo wozach, próbując uciec zarazie. Epidemia przekroczyła Alpy i ogarnęła ziemie niemieckie oraz całą Europę Zachodnią[20]. Choroba zabrała około jednej trzeciej ludności kontynentu. A była to bolesna śmierć. „Zaraźliwość okazała się tak duża, że w ciągu kilku dni ludzie nie mogli już przychodzić sobie nawzajem z pomocą". W Lyonie „zawodzenie i krzyki słyszało się dniem i nocą, a odór zwłok unosił się w powietrzu na wiele mil wokół miasta". Poprzednie stulecia nie były dla Europy łaskawe, ale ta plaga przechodziła wszelkie średniowieczne pojęcie. Często przytacza się przerażające statystyki, lecz nawet one nie oddają psychologicznej traumy, jaką wywołała ta katastrofa. Skutkiem ubocznym było szeroko rozpowszechnione szaleństwo biczowników oraz idące w ślad za nim tortury, pogromy i morderstwa. Ale jeśli się spojrzy na całokształt wydarzeń z oderwanej, niemal nieludzkiej perspektywy, widać, że zaraza oczyściła Europę ze starych naleciałości światopoglądowych. Pustynia zwątpienia, brak wiary i profanacja stały się odpowiednią glebą dla rozwoju trzech rewolucyjnych ruchów: renesansu, reformacji oraz prowadzenia badań odkrywczych na Ziemi i w kosmosie. Wszystko to razem przemieni codzienne postrzeganie świata i stworzy tło dla kariery wynalazcy laudanum – a w każdym razie czegoś podobnego.

ROZDZIAŁ 7

Większy niż Celsus?

Opium zawsze wzbudzało kontrowersje; podobnie podzielone są zdania na temat człowieka, który wypuścił na rynek wcielenie tego specyfiku pod nazwą „laudanum”[1]. Dla swoich zwolenników pozostaje spotwarzanym prorokiem. Dla przeciwników same jego prawdziwe imiona i nazwisko – Philippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim sive Paracelsus – zdradzają bufona. Akurat ta drwina jest niesprawiedliwa. Był jedynym synem Wilhelma von Hohenheima, szwabskiego lekarza z rodu Bombast, a to ostatnie słowo wywodzi się z prozaicznego niemieckiego rzeczownika *Baumast* („maszt budowlany”) i nie ma nic wspólnego z bombastycznością. Imię Theophrastus chłopiec otrzymał na cześć Tyrtamusa Theophrastusa z Lesbos – szanowanego naśladowcy Arystotelesa. Aureolus zaś to pieszczotliwe określenie, które synowi nadała matka z powodu

aureoli jego jasnych włosów. Z kolei Paracelsus (dosłownie: „większy lub równy Celsusowi”) wyrażało raczej aspirację niż przechwałkę[2].

Tak czy inaczej przyszły twórca laudanum miał w sobie coś zarówno z geniusza, jak i z fantasty. Urodził się w małej szwajcarskiej miejscowości pielgrzymkowej Einsiedeln w 1493 roku. Podstaw sztuki leczenia nauczył się od ojca, a po studiach na Uniwersytecie Wiedeńskim i być może również na uczelniach włoskich zaczął podróżować. Według jego własnej relacji, z Portugalii podążył do Hiszpanii i Francji, następnie do Anglii (gdzie, jak twierdził, pracował i w Oksfordzie, i w Cambridge), do Niderlandów, Szwecji, Księstwa Moskiewskiego, Konstantynopola, na Rodos, Kretę i do Aleksandrii, potem na Sycylię i z powrotem do Strasburga. Taka podróż, odbyta w tamtych czasach w niespełna dwa lata, sugeruje spory ładunek zmyślenia, tym bardziej że przerwał ją okres służby w charakterze wojskowego chirurga we Flandrii oraz kurs wykładów udzielonych papieżowi i jego kardynałom w Rzymie.

W jego późniejszej karierze ważną rolę odegrały zarówno wyjątkowe szczęście, jak i pech, którego Paracelsus ściągał na siebie sam. Próbował się osiedlić i praktykować jako chirurg w różnych niemieckich miastach, ale z każdego go ostatecznie wygnano. Potem wyleczył z podagry sławnego drukarza i wydawcę Johannesa Frobeniusa (Johanna Frobena) z Bazylei. Frobenius został jego patronem i w domu drukarza Paracelsus poznał wielu czołowych europejskich intelektualistów. Dziękując mu za leczenie, Erazm z Rotterdamu pisał w liście: „Rozumiem głęboką prawdę twoich tajemniczych słów [zawsze towarzyszyły one uzdrawiającym praktykom Paracelsusa] nie poprzez jakąś wiedzę medyczną, której nigdy nie studiowałem, lecz przez proste odczucie”[3]. Nie był to czczy komplement ze strony człowieka

powszechnie uważanego za największego myśliciela swoich czasów. Paracelsus został mianowany miejskim lekarzem oraz otrzymał posadę na uniwersytecie i od razu wywołał zarówno skandal, jak i entuzjazm. Wielu uważało, że ktoś rzucił na niego urok, podczas gdy prawdopodobnie często był na haju – pod wpływem narkotyków, a nie czarów. Wykładał po niemiecku zamiast po łacinie, nosił ciesielski fartuch zamiast akademickiej szaty, a ogromna żarliwość sprawiała, że wygłaszał mowy w radosnym uniesieniu. Jednak jego wypowiedzi – zarówno ustne, jak i pisane – stawały się coraz bardziej prowokujące: „Kiedy zobaczyłem, że z bieżącej praktyki medycznej nie wynika nic innego jak ból, zabójstwa i okaleczenia, postanowiłem porzucić tę nieszczęsną sztukę i poszukać prawdy gdzie indziej”[4].

Być może była to prawda, ale niepochlebna, a gdzie dokładnie miałoby być to „gdzie indziej” – nigdy nie wyjawił.

W dniu świętego Jana ceremonialnie wrzucił prace Galena, Awicenny i innych dawnych mistrzów medycyny do ognia[5]. Publiczne palenie papieskich bulli cieszyło się popularnością w protestanckich miastach, takich jak Bazylea, podobnie jak puszczanie z dymem dzieł reformatorskich było atrakcją na katolickich festynach w Koblencji, 80 kilometrów dalej, ale Paracelsus grubo przesadził.

> Wy, tak zwani lekarze, z Paryża, wy z Montpellier, wy ze Szwabii, wy z Kolonii, wy z Wiednia, wy z Miśni [i wielu innych] i tamci, którzy mieszkają nad Dunajem i Renem, wy wyspiarze morscy, wy z Italii, wy z Dalmacji, wy z Sarmacji, wy z Aten (…), wy Grecy, wy Arabowie, wy Izraelici zawsze po mnie i nigdy przede mną! Nawet w najodleglejszym zakątku nie będzie żadnego z was, na kogo psy by nie szczały. To ja będę monarchą i wodzem! (…) Więc przepaszcie swe lędźwie i zapomnijcie o przeszłości (…)[6].

W końcu nawet jego studenci, początkowo entuzjastycznie nastawieni, zwrócili się przeciw niemu. Wydano nakaz

aresztowania. Zarzutem było bluźnierstwo, co przypuszczalnie odnosiło się do jego częstych odwołań do Wszechmogącego; a to niosło z sobą karę śmierci. Paracelsus uciekł z bogobojnej Bazylei, zostawiając swe tygle, alembiki, książki i manuskrypty.

* * *

Odtąd domem były mu europejskie drogi. W niektórych miastach przyjmowano go z honorami, lecz częściej grożono „bandą, która jest duża, chociaż jej sztuka mała". Paracelsus był niski, drobny, utykał i miał wielką głowę, ale musiał być twardy. Nigdy nie przestał pisać. Żył jak włóczęga, a mimo to jego dzieła publikowali sławni wydawcy i dyskutowano o nich w kręgach akademickich całej Europy. W 1531 roku na krótko powrócił do swojego miejsca urodzenia, gdzie w małym kościółku pielgrzymim doznał duchowego olśnienia. Powstała mistyczna rozprawa, będąca wynikiem tego, co Paracelsus uważał za przyjacielską wymianę poglądów ze Wszechmogącym. Ale czy był to Bóg? Czy diabeł? Czy – co najbardziej prawdopodobne – głos opium? W późniejszych czasach wielu uzależnionych będzie wpadało w osobliwie podobny ton: zamiast się modlić o bożą pomoc w swoich problemach, to oni zdają się pocieszać dotkniętego kłopotami Stwórcę, by się nie martwił, bo w końcu wszystko będzie dobrze. Niejeden raz pojawia się obietnica: „Będę Twoim świadkiem".

Fakt, że rozprawa nie była jawnie bluźniercza, tylko pogłębił niepokoje, które wzbudziła. Może lepiej na wszelki wypadek spalić autora na stosie. Inni się sprzeciwiali. Z „cudownymi" lekarzami nigdy nic nie wiadomo – mogą się przydać, kiedy trzeba będzie przerwać zagrażający życiu atak ukartowany przez diabła. W końcu zostawiono Paracelsusa w spokoju, lecz sam przyznawał, że czuje się coraz

mniej zadomowiony na tym świecie. Próżne, pisał, były jego wysiłki, by udowodnić czystość własnej duszy, zmarnowane kuracje, które zazwyczaj przeprowadzał bez zapłaty. Nigdy się jednak nie poddał, a jego krótkie *Defensiones* („Obrony”) – będące zarówno błaganiem o własną obronę, jak i podsumowaniem doświadczeń we wrogim świecie – są ponadczasowo poruszające.

Z jego ostatnich lat życia zachował się tylko jeden list, w którym lekarz wymawia się od wizyty u mieszkającego daleko pacjenta „z powodu mego żałośnie słabego ciała”[7]. Jednak w 1540 roku został wezwany do Salzburga przez księcia arcybiskupa Ernsta von Wittelsbacha, by zajął się jego bratankiem. Młody człowiek odchodził od zmysłów (do czego Wittelsbachowie mieli skłonności nawet w XVI wieku). Po przybyciu do gospody Pod Białym Koniem 22 września Paracelsus doznał udaru. Dobywszy z siebie ostatnich sił, „co jest powinnością każdego lekarza”, przygotował dla arcybiskupa flakonik swojego laudanum. Książę Kościoła zrewanżował się paznokciem świętego Izydora z Sewilli. Opium podziałało; paznokieć dotarł za późno. Człowiek, który aspirował do tego, aby być bratnią duszą Celsusa, zmarł dwa dni później. Miał 48 lat.

* * *

Dzisiejsze wydania dzieł Paracelsusa zajmują 16 obszernych tomów. Większość jego pism jest hermetyczna, ale ilekroć czytelnik wpada w rozpacz, mgłę przecina jakieś cenne spostrzeżenie. Autor nauczał, że alchemicy powinni „robić lekarstwa, nie złoto”[8]. Uparcie twierdził, że istnieje chemiczne lekarstwo na większość dolegliwości oprócz tych, za pomocą których Stwórca postanowił człowiekowi ułatwić przeminięcie. (W tekstach Paracelsusa nikt nigdy nie „umiera”; dla niego to słowo – a być może również poję-

cie – nie istniało). Wyprzedzając swoją epokę, lekarz zalecał cynk na kłopoty ze skórą, a żelazo na „słabą krew". I niemal na pewno używał siarkowego eteru – „słodkiego oleju witriolu"[9] – jako anestetyku[10]. Wytrwale i ustawicznie badał działanie opium zarówno na sobie, jak i na innych. Dla niego lek ten przede wszystkim sprowadzał sen, lecz sen w szerszym i głębszym znaczeniu, niż zwykle się mu przypisuje: „Taki sen nie dotyczy tylko osoby cierpiącej. Może dotyczyć również choroby. Idealne lekarstwo usypia chorobę, nie zabijając pacjenta"[11].

Jak wiele jego pomysłów, ten przejęli późniejsi hipnoterapeuci i inni zwolennicy nieortodoksyjnej medycyny. Co bodaj najważniejsze, opium pomogło w zademonstrowaniu istoty jego idei: interakcji, a nawet jedności ciała z duszą. „Opium nie leczy obrzmienia brzucha, ale w umyśle pacjenta układa puchlinę do spoczynku (...), a ból, który nie dokucza, nie jest już więcej bólem". Nad tą ostatnią sugestią zastanawiało się później wiele osób.

Słowa „laudanum" najprawdopodobniej jako pierwszy użył jeden z uczniów Paracelsusa:

> Mistrz miał małe czarne pigułki, podobne do mysich bobków, a nazywał je laudanum. (...) Chwalił się, że tymi pigułkami może obudzić zmarłego i wygnać diabła (...) i rzeczywiście udowodnił, że pacjenci, którzy zdawali się martwi, nagle wstawali, a opętani odzyskiwali władzę w zmysłach[12].

Recepty Paracelsusa na uporczywy ból w różnych częściach ciała były skomplikowane, ale zawsze zawierały magiczny wyciąg z maku:

> Weź jedną uncję tebańskiego maku, sześć uncji soku pomarańczowego i cytrynowego, po pół uncji cynamonu i goździków. Utłucz składniki razem, zmieszaj dobrze i umieść w zamkniętym szklanym naczyniu. Pozwól, aby się przetrawiły w słońcu lub w oborniku przez miesiąc. Następnie wyciśnij miksturę i włóż ją do innego

> naczynia wraz z tym, co następuje: pół skrupuła[13] piżma oraz po pół skrupuła koralu i sproszkowanych prawdziwych pereł. Zmieszaj i po miesiącu przetrawiania się dodaj półtora skrupuła kwintesencji złota[14].

Czy naprawdę uważał za konieczny dodatek pereł, korali, złota i pozostałych kosztownych składników prócz pierwszego? Przypuszczalnie tak. Nie posuwał się do tego, by pacjentom celowo utrudniać leczenie. Niemniej kiedy po śmierci lekarza zagorzali naśladowcy zaczęli się pojawiać w Europie jak grzyby po deszczu i głosić jego nauki we Francji, Niemczech i Anglii, luksusowe składniki sprawiły, że wynalazek nie zyskał popularności[15].

Powodem były nie tylko koszty. W profesji lekarskiej jego pomysł, żeby łagodzić bóle bez wnikania w przyczynę, pozostawał podejrzany – i taki jest do dziś[16]. W ciągu dwóch setek lat po śmierci Paracelsusa udokumentowano śmiertelne męki kilku koronowanych głów. W 1598 roku umierający król Hiszpanii Filip II odmówił (albo mu odmówiono) leków uśmierzających ból, aby nie przytępiły mu umysłu i nie unieważniły jego deklaracji skruchy. W 1685 król Anglii i Szkocji Karol II cierpiał medyczne katusze przez wiele dni, zanim łaskawa śmierć ulżyła jego boleści. Gangrena, która zabiła króla Francji Ludwika XIV w 1715 roku, musiała boleśnie dokuczać i jemu samemu, i ludziom zgromadzonym wokół jego łoża. Podobnie z pobożną szczegółowością opisano ostatnie udręki świętych, takich jak Teresa z Ávili, zmarła w 1582 roku. Przy wszystkich tych zgonach były obecne największe medyczne talenty swych czasów. Nikt nie podał umierającym opium, aby im ulżyć w męce.

Leku nie uważano też jeszcze wówczas za łatwo zbywalny skarb. Kolumb, Vasco da Gama, Cabot, Drake oraz konkwistadorzy mieli makowy sok na liście zakupów, tyle że nie na pierwszym miejscu, lecz daleko za złotem, srebrem, cenny-

mi kamieniami, przyprawami korzennymi, zabawnymi potworkami i niewolnikami. Przez co najmniej sto lat po śmierci Paracelsusa jego laudanum wzbudzało raczej zainteresowanie naukowe niż komercyjne.

* * *

Na szczęście dla maku, słowo „naukowe” w drugiej połowie XVII wieku w Anglii miało szczególne znaczenie. W kraju szalała rewolucja i wojna domowa, ścięto króla, osadzono na tronie kolejnego, a mimo ogromnego zamętu politycznego położono podwaliny pod nowoczesną naukę. Było to zaledwie hobby niewielkiej grupki ludzi, z których wielu należało do nowo założonego klubu, nienoszącego jeszcze nazwy Towarzystwa Królewskiego. Część z nich wyróżniała się wyjątkową bystrością umysłu i niepohamowaną ciekawością. Po tym jak doktor William Harvey odkrył krążenie krwi w naczyniach krwionośnych, przyszła kolejna rewelacja: profesor Marcello Malpighi z Bolonii zaobserwował sieć mikroskopijnych naczyniek łączących tętnice z żyłami – brakujące ogniwo modelu Harveya. Informacja ta w tamtych czasach miała praktyczne znaczenie bodaj tylko dla właścicieli zakładów pogrzebowych – ułatwiła wstrzykiwanie płynów balsamujących – ale zainteresowała wspomnianych Brytyjczyków. Byli wśród nich: Christopher Wren, niedawno relegowany z Cambridge za swoje rojalistyczne wypowiedzi i teraz próbujący sił w Oksfordzie jako profesor na posadzie ustanowionej przez sir Henry’ego Savile’a; czcigodny Robert Boyle, bogaty irlandzki arystokrata utrzymujący w mieście prywatne laboratorium; Robert Hooke, człowiek o kąśliwym charakterze, ale prawdziwy czarodziej eksperymentów; i Robert Lower, lekarz z Kornwalii, który w młodości pracował jako asystent sławnego anatoma Thomasa Willisa.

Chcieli się oni dowiedzieć, jak – w świetle odkryć Harveya i Malpighiego – działają narkotyki takie jak opium.

Siedemnastego października 1667 roku grupa zebrała się w laboratorium Boyle'a nad apteką przy High Street, z widokiem na Brasenose College. Uczestnicy chcieli być świadkami eksperymentu, który Wren miał przeprowadzić na psie[17]. Doświadczenie opisał później Boyle. Psa przywiązano do czterech nóg stołu i Wren wykonał…

> …małe, ale odpowiednie nacięcie na tylnej Nodze, gdzie najłatwiej było wymacać większe naczynia niosące Krew. Następnie podwiązał owe Naczynia i przyłożył do nich pewną małą Płytkę z Brązu (…) wielkości i kształtu niemal ludzkiego Kciuka (…) [z] czterema maleńkimi Dziurkami po Bokach, które, gdy się przewlekło przez nie Nić, umożliwiały przymocowanie Płytki do Naczyń. (…) Po przymocowaniu Płytki zrobił Nacięcie wzdłuż Żyły po stronie Serca (…) i zręcznie umieścił smukłą Rurkę Strzykawki, przez którą według mojej propozycji mieliśmy wstrzyknąć ciepły Roztwór Opium. [To sprawiło, że] Ruch krążenia Krwi szybko poniósł opium do Mózgu, tak więc ledwie odwiązaliśmy Psa, Opium zaczęło ujawniać swą Narkotyczną Właściwość, i niemal gdy tylko [pies] stanął na Nogach, zaczął kiwać Głową i chwiać się, i zataczać. I obecnie, kiedy wyglądał na otumanionego, zaczęto robić zakłady, że nie da się ocalić jego Życia. Ale ja chciałem go zachować i zabrać do sąsiedniego Ogrodu, dlatego zadbałem, żeby nie zasnął i pozostał w Ruchu. Po jakimś Czasie zaczął dochodzić do siebie, a kiedy go zaprowadzono do domu i o niego zadbano, nie tylko wydobrzał, lecz także przybierał na wadze tak bardzo, że budził podziw[18].

Był to pierwszy pokaz działania opium na mózg i pierwsze dożylne znieczulenie. To drugie wzbudziło pewne zainteresowanie wśród wtajemniczonych, ale kolejną próbę podjęto dopiero po 300 latach[19].

* * *

Okazjonalne eksperymenty wykonywano również na kontynencie. Co nieuniknione, pytanie o to, jak działały mikstury Paracelsusa, zaprzątało wielki umysł René Descartesa, czyli Kartezjusza. Francuski matematyk, filozof, anatom i neurofizjolog już zlokalizował ludzką duszę w szyszynce – maleńkim gruczole dokrewnym mieszczącym się w środku mózgu. Teraz spekulował nad tym, czy opium może oddziaływać na nią poprzez niewidoczne pory w jej kapsule. Może miał rację[20]. Ale jego osobiste doświadczenie było co najmniej nieszczęśliwe. Wypróbował miksturę sprzedawaną jako *Laudanum Paracelsi*, ponieważ chciał się podnieść z przygnębienia po przybyciu do Szwecji, gdzie był honorowym gościem królowej Krystyny. Przyjmowano go tam z honorami, lecz traktowano jak sługę. Nawet w środku zimy władczyni, ekscentryczna sawantka, nalegała, by rozpoczynali przeintelektualizowane konwersacje o czwartej rano. Rzekome laudanum Paracelsusa wyprowadziło filozofa z depresji prosto ku szalonej brawurze. Spróbował porannych lodowato zimnych kąpieli, przeziębił się i umarł.

* * *

W Hiszpanii opium–laudanum musiało się borykać nie tylko z ignorancją laików, lecz także – co bardziej niebezpieczne – z pełną podejrzliwości czujnością świętej inkwizycji. Wielu uważało specyfik za spuściznę po okresie dominacji Maurów i dlatego z gruntu podejrzaną. Nie stłumiło to zupełnie eksperymentów, ale prowadziło do omówień, których sens wymyka się potomności. Miguel de Cervantes, jak się można spodziewać po synu cyrulika i wnuku kordobańskiego lekarza, był nadzwyczaj dobrze poinformowany w kwestiach medycznych, a jego arcydzieło, opublikowany w 1605 roku *Don Kichot*, zawiera szczegółowe wiadomości na temat rozlicznych okładów, balsamów i maści[21]. Jeszcze bardziej

intrygująca jest możliwość interpretacji szaleństwa – o ile to było szaleństwo – nieśmiertelnego bohatera z punktu widzenia psychofarmakologii. Czy opium wyjaśniałoby zdumiewające złudzenia Don Kichota? Stan jego umysłu wydawał się poprawiać, w miarę jak podupadało zdrowie fizyczne. W powieści nie wspomniano o narkotyku – nie byłoby to możliwe ze względu na szpiegów i intrygantów – lecz tę możliwość ostatnio dyskutowali wiodący hiszpańscy naukowcy[22].

W krajach protestanckich nie było niebezpieczeństwa inkwizycji, ale pionierskie działania naukowe nigdy nie odbywały się bez ryzyka. Johann Siegmund Elsholz, nadworny lekarz księcia elektora Brandenburgii, eksperymentował z opium na zwierzętach. Być może nawet wykonał dożylną infuzję jak Wren, ale pozostawił po sobie niekompletne i niejasne notatki. Może się obawiał, że zrazi do siebie swego kochającego zwierzęta pracodawcę[23]. Dalej na wschód, w Siedmiogrodzie, książę Gabriel Bethlen eksperymentował z narkotykiem (podarowanym mu przez „mego przyjaciela, sułtana") na koniach, co bardziej uległych dworzanach i sam na sobie. „Jego skutki są doprawdy zdumiewające – napisał. – Wynosi w górę ducha jak modlitwa (…). Nigdy nie należy pozwolić, żeby wpadł w ręce papistycznych księży"[24]. To niebezpieczeństwo było nikłe – makowy sok sporo kosztował, a „papistyczni księża" w kalwinistycznym Siedmiogrodzie byli nędzarzami.

* * *

Mak rozkwitał również w kręgach literackich. W Anglii stał się częścią wonnej metaforyki sir Thomasa Browne'a[25]: „Niegodziwość zapomnienia na oślep rozsypała jej mak (…) lecz nie ma antidotum przeciw opium czasu"[26]. Robert Burton[27], chronicznie cierpiący na bezsenność, polecał

mak swym towarzyszom w cierpieniu, którzy „z powodu swoich bezustannych trosk, lęków, smutków i wyschłych umysłów [często są] udręczeni melancholią”[28]. Thomas Shadwell, dramaturg, poeta i wścibski intrygant ze stronnictwa wigów, być może sam był uzależniony, a przynajmniej jego oddanie narkotykowi wykpił John Dryden[29] w dwuwierszu:

> Tom pisze, czytelnicy nad książką wciąż bliscy zaśnięcia.
> Bo Tom wziął opium, a opiaty wzięły ich w objęcia[30].

Jednak fakt, że nawyk brania opium był ostro krytykowany jako ekscentryczność, sugeruje, że oddawali mu się tylko nieliczni. Shadwell nie robił sekretu ze swojego przywiązania i nie przeszkodziło mu to w zastąpieniu Drydena na stanowisku nadwornego poety rodziny królewskiej oraz królewskiego historiografa (po rewolucji roku 1688). Minie jeszcze 100 lat, zanim makowy sok w zwyklejszej postaci stanie się inspiracją dla nowej, wspaniałej epoki literackiej.

ROZDZIAŁ 8

Tynktura i proszek

Ostatnia z serii rycin Williama Hogartha, zatytułowanej *Modne małżeństwo*, przedstawia samobójstwo głupiutkiej młodej hrabiny. Jest rok 1745, a historia rozpoczęła się sześć lat wcześniej szczęśliwym kontraktem małżeńskim zawartym z roztrzepanym, ale sympatycznym dziedzicem tytułu hrabiego Utracjusza. Między pierwszą a szóstą (i ostatnią) sceną wszystkie bogactwa pokazane albo zaznaczone aluzyjnie na rycinach – ogromna posiadłość, okazały dom, rodowe srebra, armia sług oraz pasożytujących na zamożnej rodzinie obiboków – zostają stracone. Co gorsza, młoda kobieta dowiedziała się przed chwilą, że jej kochanek, radca Srebrnyjęzyk, został powieszony za zamordowanie jej męża. Hrabina umiera w wyświechtanym fotelu, przytrzymując maleńką córeczkę w pożegnalnym pocałunku[1]. Obraz jest pełen przejmujących, zapadających w pamięć deta-

li, jakby skondensować i streścić ostatnie 200 stron wiktoriańskiej powieści, ale szczególnie przyciąga uwagę jeden mały przedmiot. Na pierwszym planie leży przewrócona pusta buteleczka. Napis na etykiecie „Laudanum” podpowiada, że flaszeczka zawierała truciznę, która właśnie zabija kobietę.

* * *

Opium najwyraźniej przeszło sporą drogę od tajemniczych „mysich bobków” zachwalanych przez Paracelsusa i jego zwolenników. Historyczna zmiana zaszła, kiedy pewien londyński lekarz wskrzesił określenie „laudanum”, do którego dodano jego nazwisko; przez to w swojej epoce stał się bardzo sławny, dziś zaś prawie się o nim nie pamięta[2]. Thomas Sydenham, urodzony w 1624 roku w szlacheckiej rodzinie z hrabstwa Somerset i przez całą wojnę domową wiernie popierający parlamentarzystów, miał na tyle lat, że mógł w armii Cromwella dosłużyć się rangi rotmistrza[3]. Gdy rojaliści poddali się w Oksfordzie, wstąpił do Magdalen Hall, ale uznał tę uczelnię za otępiającą. Wyjechał na kontynent, pobierał nauki w kilku słynnych szkołach medycznych tamtych czasów – w Lejdzie, Paryżu i Montpellier – a po zdobyciu kwalifikacji lekarskich osiadł w Westminsterze. Poślubił dziewczynę z hrabstwa Dorset, odziedziczył posiadłość w Wynford Eagle, założył rodzinę. Dzięki szerokiemu kręgowi przyjaciół i pacjentów uniknął represji po restauracji monarchii[4]. Zmarł w wieku 65 lat z powodu nerkowych komplikacji wynikających z dny moczanowej (podagry), której dał mistrzowski opis kliniczny. Stosunkowa szczupłość innych danych podsunęła jego pierwszemu biografowi porównanie „naszego największego lekarza i naszego największego dramaturga, o których obu niewiele wiadomo, a nazwiska obydwu zaczynają się na S”[5].

Największy czy nie, Sydenham dużo i dobrze pisał oraz z ogromną troską angażował się w niesienie ulgi cierpiącym. To ostatnie sprawiło, że opracował stosunkowo prostą procedurę przygotowania opium, co pozwoliło na standaryzację dawek i umożliwiło bezpieczne podanie leku nawet osobom młodym i wycieńczonym.

> Miksturę laudanum, do której się odnoszę, można całkiem prosto podawać do picia w dziennych dawkach i łatwo ją przygotować. (…) jedna pinta sherry, dwie uncje dobrej jakości indyjskiego lub egipskiego opium, jedna szafranu, laska cynamonu i goździk, jedno i drugie roztarte na proszek. Zmieszać i powoli gotować w łaźni wodnej przez dwa albo trzy dni, aż tynktura osiągnie odpowiednią konsystencję – będzie trochę lepka, lecz nadal łatwo się da przelewać[6].

Im więcej używał tynktury, tym większy był jego entuzjazm.

> Muszę tu pod niebiosy wychwalać wielkiego Boga, dawcę wszelkiego dobra, który udzielił ludzkości na pocieszenie w jej strapieniach i dolegliwościach lekarstwa tak cennego jak opium, nieocenionego zarówno w zakresie liczby chorób, które pozwala opanować, jak i skuteczności w ich eliminowaniu (…). Medycyna byłaby bez niego ułomna; ten, kto to zrozumie, będzie mógł zdziałać więcej dobra tym jednym lekarstwem, niż mógłby mieć nadzieję osiągnąć jakimkolwiek innym (…)[7].

Według Sydenhama wskazania do przyjmowania opium ostatecznie rozciągały się od cholery po haluksy; przyjaciele czasami nazywali go „doktor Opiofil”. Jednak ta odrobina kpiny wynikała z sympatii – Sydenham był bardzo lubiany, a wśród literatów purpurowy płyn cieszył się wielkim powodzeniem. Alkoholowa zawartość sprzyjała wchłanianiu i do głównego składnika dodawała szczególną pieszczotę.

* * *

Do popularności specyfiku przyczyniły się zewnętrzne okoliczności. Jedną ze wskazówek można znaleźć w pismach Sydenhama, gdy wspomina on o „dobrej jakości” opium. Narkotyk stał się nagle dostępny, ludzie mogli sobie pozwolić na ten luksus. W tle zaś rozgrywały się przełomowe wydarzenia historyczne zupełnie niepowiązane z makiem.

Wojny religijne protestantów z katolikami – z wątkiem pobocznym w postaci tureckiego imperium zagrażającego całemu chrześcijaństwu – wstrząsały Europą przez prawie półtora stulecia. Wiele prób pogodzenia się zawiodło. Doktryny teologiczne pozostały skrajnie przeciwstawne. Siły militarne coraz bardziej się równoważyły. Konflikt był okrutny, fanatyczny i wydawał się nie mieć końca. Tyle że się wreszcie zakończył w 1648 roku. Traktat westfalski to archetyp najbardziej cynicznych układów, jakie zawarto w historii, ale ponieważ zwiastował pokój, przyjęto go z uniesieniem[8]. Z dnia na dzień zeszłoroczne płomienie – dosłowne i duchowe – stały się tylko smużkami dymu[9]. Nigdy nie brakuje wyjaśnień dla takich katastrofalnych zmian, ale też nigdy żadne z nich nie jest w pełni przekonujące[10]. Jednakże skutki, w tym uboczne, są zawsze spektakularne. I tak właśnie było w Europie w połowie XVII wieku. Nastąpił rozkwit błahej sztuki dekoracyjnej[11]. Wśród ważkich konsekwencji należy wymienić ożywienie handlu międzynarodowego. Transportowanie towarów wzdłuż i wszerz kontynentu znów stało się bezpiecznie. Rozwinął się również handel morski. Opium skorzystało na tym jako jeden z pierwszych artykułów. Jak kilkaset lat wcześniej odkryli arabscy kupcy, właściwie zapakowany narkotyk był lekki, zwarty, trwały i dosłownie na wagę złota. Pod pewnymi względami nawet cenniejszy od kruszcu. W ciężkich czasach złoto nie miało praktycznego zastosowania. Zapotrzebowanie na opium zaś – wręcz przeciwnie – właśnie wtedy

rosło. I oto wkracza doktor Sydenham ze swą znakomitą tynkturą. Dzięki niej lek stał się bezpieczny w użyciu i całkiem smaczny. Dokładniej: była to kombinacja tynktury i świetnie sprzedającego się proszku, wprowadzonego na rynek przez jednego z uczniów Sydenhama. Jak to często bywa, nazwisko ucznia ostatecznie stało się lepiej znane niż nauczyciela.

* * *

Thomas Dover urodził się w hrabstwie Warwickshire około 1660 roku i tylko tyle wiadomo o jego pochodzeniu. W przypływach wylewności twierdził, że zyskał medyczny stopień naukowy w Cambridge, ale jeśli faktycznie tak było, musiał to zrobić w wieku kilku lat. W udokumentowanej historii pojawia się jako terminator w domostwie Sydenhama w Dorset. Tam zapadł na ospę i – jak niestrudzenie relacjonował – lekarz osobiście przybył do niego z Londynu, żeby mu uratować życie.

> Na początku straciłem dwadzieścia dwie uncje krwi. Wywołał u mnie wymioty, ale po tym przeczyszczającym doświadczeniu poczułem się znacznie lepiej. Wyszedłem na zewnątrz pod jego okiem, aż przestałem widzieć, po czym wróciłem do łóżka. Nie pozwolono, żeby w moim pokoju palił się ogień; okna były stale otwarte, przykrywać się mogłem nie wyżej niż do pasa [w styczniu]. Kazał mi co godzina zażywać po uncji swojej słynnej tynktury, a co dwadzieścia cztery godziny – dwie małe butelki piwa zakwaszone witriolem. Dniem i nocą co dwie godziny przychodził, by mi sprawdzać puls i upewnić się, że zażyłem tynkturę. Tynktura uratowała mi życie[12].

Po ozdrowieniu najwyraźniej nadal uczył się podstaw medycyny. W 1696 roku pojechał na praktykę do Bristolu, gdzie wykazał się chwalebną odwagą podczas epidemii „krościatej gorączki” (przypuszczalnie szkarlatyny) i zgromadził na tyle kapitału, by zafundować sobie XVIII-wieczny

odpowiednik urlopu dziekańskiego. Były to czasy, kiedy plądrowanie hiszpańskich statków na morzach południowych uważano za prawo każdego Anglika, a wybrańcy czerpali z tego procederu prawdziwą przyjemność[13]. Doktor Dover (jak sam się teraz określał) nie tylko zaangażował się w takie wyczyny, lecz także doglądał swoich kamratów na pokładzie, czym zasłużył sobie na ich szacunek i wdzięczność. Ponadto 2 lutego 1709 roku uratował z wyspy w archipelagu Juan Fernandez u wybrzeży Chile szkockiego rozbitka Alexandra Selkirka, który wkrótce miał się stać literacką legendą[14]. Dover wrócił do ojczyzny z łupem wartości 170 000 funtów i rozpoczął praktykę lekarską w Londynie. Nie pozbył się swoich korsarskich metod. Wywołał skandal w Królewskim Kolegium Medycznym, oświadczając, że nie zamierza przystępować do egzaminów – zamiast tego postanowił po prostu leczyć ludzi. Jego dyplomami będą zadowoleni pacjenci. I tak też czynił, przynajmniej przez jakiś czas. Później, kiedy nieroztropności czasu młodzieńczego puszczono mu w niepamięć, wydał dzieło *The Ancient Physician's Legacy to his Country* („Zapis testamentowy starego lekarza dla swego kraju"), w którym ujawnił sekrety ponad 100 niepublikowanych dotąd receptur. Był wśród nich wielce ceniony proszek, który z czasem znajdzie sobie miejsce w każdej farmakopei cywilizowanego świata:

> Weź jedną uncję Opium, po cztery uncje Saletry i Witriolowanego Kamienia Winnego oraz jedną uncję Ipekakuany. Saletrę i Kamień Winny włóż do rozgrzanego do czerwoności moździerza i mieszaj łyżką, aż staną w płomieniach. Potem rozetrzyj na bardzo drobny proszek. Następnie pokrój na plasterki Opium, rozetrzyj na proszek i zmieszaj z pozostałymi proszkami. Dozuj od 60 do 70 granów[15] do szklanki Possetu[16] z białym winem. (…) Okrywszy się ciepło, pij kwaterkę albo trzy pinty possetu na poty[17].

Opisany preparat początkowo zyskał sławę jako środek napotny, czyli substancja pozwalająca „wypocić” z ciała wszelką truciznę. Wkrótce jednak stał się chętnie wybieranym lekarstwem przeciw różnym formom biegunki i niedyspozycji żołądkowych. „Wypij miksturę przed pójściem do łóżka, a do rana wszelki ból zniknie”. Dover dał do zrozumienia, że niekiedy – acz nieczęsto – wraz z bólem może też zniknąć życie pacjenta.

> Niektórzy aptekarze wymagali, aby pacjenci spisali testament, zanim się odważą zażyć to lekarstwo w zalecanej dawce; ale kto nie ryzykuje, ten nie zyska[18].

Niedługo zarówno laudanum Sydenhama, jak i proszek Dovera będą konkurowały z innymi, czasami tańszymi panaceami. Driakiew wenecka, mitrydat, londyńskie laudanum, pacyficzne pigułki doktora Batesa – wszystkie osiągną pewien stopień popularności; ale przywiązania do leków są silne i żaden z rywalizujących specyfików nie zapisze się tak trwale w ludzkiej pamięci jak dwa pionierskie preparaty[19]. Sam Dover zmarł w 1742 roku w wieku 82 lat, opłakiwany przez pacjentów, przyjaciół i kilka mniej lub bardziej zgodnych z prawem rodzin.

* * *

W krajach katolickich opium rozprzestrzeniało się z reguły wolniej. Powody tego miały raczej naturę społeczną i ekonomiczną niż religijną. Z zasady i Kościół katolicki, i kościoły protestanckie były przeciwne lekom oszałamiającym, tak jak były przeciwne grzechowi. Jednak w krajach katolickich na ogół panowała większa bieda czy raczej – dokładniej rzecz ujmując – bogactwo było w nich często bardziej nierównomiernie rozłożone. Podczas gdy w państwach protestanckich opium zyskiwało sobie popularność wśród coraz

liczniejszej klasy średniej, w katolickiej Europie wciąż było luksusem, na które mogła sobie pozwolić jedynie śmietanka. Cesarz austriacki Leopold I, rezydujący w Hofburgu w Wiedniu, ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że „turecka mikstura makowa" służy doskonałą pomocą przy komponowaniu jego świętych motetów. Władca przesłał nawet nieco tego specyfiku swojemu ukochanemu, ale dotkniętemu czarami kuzynowi, królowi Hiszpanii Karolowi II Habsburgowi[20]. Wenecki poseł donosił, że lekarstwo to było „szalenie modne" na rozwiązłym dworze książęcym we Florencji. Jan Gaston Medyceusz, ostatni wielki książę Toskanii z tej dynastii, prowadził wesołe, hulaszcze życie, patronował artystom, miał homoseksualne skłonności i wyraźnie uzależnił się od narkotyku. We Francji główny aptekarz Ludwika XIV, monsieur Pierre Pomet, żywo zainteresował się nowymi, opartymi na opium medykamentami:

> Opium sprowadza błogi odpoczynek za pomocą swych lepkich i siarkowych cząstek, które – gdy się dostaną kanałami do mózgu – zlepiają i spowalniają zwierzęcego ducha. (…) wywiązuje się dobry sen, ponieważ zmysły są skrępowane lepkimi, kleistymi właściwościami leku[21].

Oprócz wywoływania innych wspaniałych skutków – zdaniem aptekarza – opium doskonale się nadawało do tworzenia „niestosownej pośpieszności ducha", przez co było użyteczne w chorobach piersi i płuc oraz jak żaden inny lek przeciwdziałało pluciu krwią, leczyło kaszel i przeziębienia głowy, a także „niczym za sprawą magii powstrzymywało" luźność jelit. Przydawało się też w przypadkach „histerycznych". Ocena jego różnorodnych odmian jako żywo przypomina dywagacje konesera win:

> Z wielką uwagą porównałem substancje z Kairu czy Teb, czarny i twardy materiał z Adenu, miększy, gumowaty z Turcji, żółty

> i bardziej kruchy z Dekanu i Kambodży w Indiach Wschodnich oraz kilka innych oferowanych przez handlarzy niewiadomego pochodzenia. Obecnie brałbym pod uwagę tylko tebański lub turecki, jako pierwszorzędne. Mają odpowiednią wagę, gęstość i konsystencję, ponadto są solidniejsze w dotyku niż odmiana indyjska. Opium tebańskie ma świeży czerwonawy kolor, niemal jak świeży aloes, i silny makowy zapach, do tego cierpki, gorzki smak, który pali i piecze; łatwo się daje kroić i rozpuszczać w źródlanej wodzie, winie lub mocniejszym alkoholu; jest w znacznym stopniu wolne od brudu, ekskrementów i zanieczyszczeń. Opium indyjskie jest miększe, bardziej żółte, lżejsze, nie tak dobre dla ciała i zanieczyszczone – pod każdym względem gorsze od tebańskiego[22].

I tak dalej w tym samym rzeczoznawczym tonie.

Niestety, królewski pracodawca pana Pometa i jego morganatyczna małżonka, Madame de Maintenon, ogólnie nie lubili narkotyków, choć ona w końcu się skusiła, kiedy zaproponowano jej opium w postaci lewatywy[23]. Za to lekarze dworzan, Regis i Fede, nie mogliby funkcjonować bez tego specyfiku. Jak donosiła niestrudzona Madame de Sévigné…

> …biedny ojczulek Tetu z wolna odchodzi od zmysłów, a jego nadmiernie podekscytowany stan coraz trudniej znieść. Radzi sobie jakoś jedynie dzięki opium. Pewnego dnia Regis i Fede omyłkowo podali biedakowi ambrę i o mało nie umarł (…). Z jakiegoś powodu ten rodzaj pomyłek zdaje się całkiem częsty. Myślę, że dwaj niesforni doktorkowie za bardzo lubią folgować sami sobie[24].

Na mniej egzaltowanym poziomie wędrowny mnich, kapucyn Etienne Rousseau, warzył miksturę o wielkim sukcesie komercyjnym – oleisty płyn w jego ojczystym kraju znany jako La Brune, a w Anglii jako Lancaster Black albo krople kwakrów[25]. Oryginał podobno zawierał kruszone perły, gałkę muszkatołową, szafran, rajskie jabłuszko i drożdże oraz opium, przy czym ten pierwszy składnik był opcjonalny. Książę de Saint-Simon, męczennik niestrawności oraz

własnego marudnego charakteru, nieoczekiwanie stał się wielbicielem tego plebejskiego wywaru. „Bez tego nie ścierpiałbym wstrętnych manier dzisiejszej dworskiej młodzieży” – zwierzył się kuzynowi. Thomas Jefferson wziął z sobą próbki La Brune do ojczystej Ameryki i zarekomendował miksturę przyjaciołom. Pozostała w farmakopei Stanów Zjednoczonych do 1865 roku.

* * *

Dziwactwa i mody w medycynie pociągają za sobą powstawanie książek, tak samo jak w innych dziedzinach. Na szczęście większość z nich popada wkrótce w zapomnienie. Pierwsza nowożytna monografia poświęcona opium, opublikowana w 1700 roku, wyróżniała się jednak z tłumu. W swoim 450-stronicowym dziele *Mysteries of Opium Revealed* („Tajemnice opium wyjawione”) John Jones sam się ujawnił jako entuzjasta specyfiku. Nie widział powodu, dla którego czytelnicy mieliby się pozbawiać eliksiru, który nie tylko uśmierza bóle, lecz także wywołuje „Pogodę Ducha, Gotowość do Działania, Żwawość, Sprawność w Załatwianiu Interesów, Pewność Siebie, Uniesienie Ducha, Odwagę, Pogardę dla Niebezpieczeństwa, Wielkoduszność, Euforię, Ukontentowanie i Równowagę Wewnętrzną”. Czegoż więcej człowiek może pragnąć? Jeżeli po zażyciu opium…

> …utrzymuje się w działaniu, a swój biznes – w toku, [narkotyk] wydaje się najwyśmienitszym i niezwykłym pokrzepieniem ducha, jak po zasłyszeniu dobrych nowin lub innym wielkim przypływie radości. (…) czasami porównywano, nie bez racji, do łagodnej, a jednak intensywnej przyjemności, której nazwy nie wymienię przez skromność[26].

Z korzyścią dla czytelników wstydliwy Jones szybko porzucił swą skromność. Na stronie 258 porównywał już „Zmysłowe Uniesienie, Wielkoduszność i Śmiałość” wywoływane

przez narkotyk do „Witalności dzikich bestii w rui” ze „wzmożoną produkcją Nasienia, Spółkowaniem, Erekcją etc.” u mężczyzn oraz powiększeniem piersi u kobiet. A wszystko to z powodu stymulacji Wenerycznych Membran. Przekonywał też, że skutek ten wywołują nie (jak żałośnie sądzili jego koledzy o prostych umysłach) podnoszące się z żołądka do mózgu opary, wyziewy, aury i miazmaty, lecz tłusta pobudzająca sól, już obecna w tkankach. Zatem cudownym efektom działania lekarstwa „nie można się nadziwić, jako że jego Substancja Czynna, Sal-Volatile-Oleosum i samo Opium, jest naturalnie przenoszona w naszych tkankach (…), wywyższona przez Naturę, aby nas stymulować, gdy to potrzebne”[27].

Spostrzeżenie, że substancje podobne do opium występują naturalnie w ludzkim mózgu, zostanie ponownie podjęte przez badaczy dopiero 300 lat później. I zrewolucjonizuje neuronaukę.

Co być może zaskakujące, Jones jako jeden z pierwszych obserwatorów w Europie Zachodniej z kliniczną szczegółowością opisał męki związane z nagłym odstawieniem leku:

> Niepokój i ból, a po nich wielkie, nieznośne wręcz Udręczenie, Lęk i Upadek Ducha, które w ciągu kilku dni zazwyczaj prowadzą do najżałośniejszej Śmierci w Przygnębieniu, wśród przedziwnych Strachów[28].

Jednak ostatecznie wnioski autora są optymistyczne:

> Ponieważ opium nie działa, powodując poważne doznania, i nie ma innego sposobu, w jaki mogłoby działać, musi działać, powodując przyjemne doznania. A co może lepiej uleczyć ból i jego skutki niż przyjemność?[29]

* * *

Doktryna Jonesa początkowo była muzyką dla uszu sławnego doktora Johna Browna z Edynburga. Ogólna koncepcja

Browna, wyłożona w opasłych tomiszczach, zasadzała się na tym, że zdrowie jest rezultatem równowagi między pobudzeniem a odprężeniem, wszelkie terapie zaś powinny być nakierowane na przywrócenie owego zrównoważenia. Jego idea dominowała w medycznym myśleniu przez 100 lat. Ostatecznie jednak „brunonizm" musiał stawić czoło trudnościom, przy czym wysoką pozycję na liście jego kłopotów zajmował dylemat, czy opium należy sklasyfikować jako substancję pobudzającą, czy odprężającą. Zależnie od dawki, a jeszcze bardziej od uderzających różnic w reakcji poszczególnych pacjentów, było – lub mogło być – i jedną, i drugą albo żadną. Taki stan rzeczy nie satysfakcjonował systemu, w którym nie było miejsca na coś niezaszufladkowanego bądź przynajmniej niedającego się zaszufladkować. Nieprzewidywalność specyfiku stała się tym bardziej irytująca, że kwestii nie można już było dłużej zamiatać pod dywan. W czasach kiedy Jones opublikował swoją pionierską książkę, opium wciąż było kaprysem nielicznych i ignorowanie go nie stanowiło problemu. Mijały jednak lata, świat szedł do przodu i narkotyk stawał się dostępny pod nowymi postaciami nie tylko w kręgach londyńskiej arystokracji, bohemy czy półświatka. Nawet w ojczystym mieście Browna, Edynburgu, zwanym Atenami Północy, opiumowe wieczory stały się ulubioną rozrywką modnej młodzieży.

Wobec tego trendu nie mogły już pozostawać obojętne stateczne wzorce zdrowego rozsądku. W niedzielę 23 marca 1773 roku James Boswell zapisał w swym dzienniku:

> Zjadłem śniadanie z doktorem [Samuelem] Johnsonem, któremu we wczorajszej ciężkości ducha znacznie ulżyło zażyte poprzedniego wieczora opium (…). Uskarżał się na to, że owo lekarstwo powinno się zażywać jedynie z największą rozwagą i ostrożnością. Wspomniałem, że powszechnie używa się go w Turcji i że w takim razie nie może być tak szkodliwe. Rozpromienił się i odrzekł, że

> Turcy zażywający opium to jedno, a przyjmujący go chrześcijanie to drugie[30].

W niepoprawności politycznej doktora może tkwić ziarno prawdy. Nigdy nie wykazano różnic w podatności na opium u przedstawicieli tej czy innej rasy i przypuszczalnie takie różnice nie istnieją. Jednak w miarę wzrostu popularności leku coraz bardziej rzucały się w oczy zdumiewająco niejednakowe reakcje poszczególnych osób. Dla wielu było to niepokojące. Nawyk w ich odczuciu powinien być albo bezpieczny, albo nie, godzien polecenia lub zakazany, cnotliwy bądź karygodny, zgodny z bożym zamysłem albo wręcz przeciwnie. Nie powinien zależeć od… czego właściwie? Rasy? Płci? Kaprysów natury? W tej kwestii ścierały się różne poglądy. Ci, którzy uważali uzależnienie za z gruntu złe, byli nawet skłonni wybaczyć roztrzęsionym narkomanom (wciąż jeszcze tak nienazywanym) do tego stopnia, że oferowali im wsparcie na drodze do moralnej odnowy lub litościwego końca. Obrażała ich jednak myśl, że niektórzy mogą zażywać specyfik bezkarnie. A jednak takie jednostki najwyraźniej istniały. Ale czy na pewno? Jak dalece można ufać osobistym świadectwom uzależnionych osób? Z definicji są przecież kłamcami. I podczas gdy cnotliwi czasem umieli wybaczyć, nałogowcy nieodczuwający żadnej szkody z powodu swego uzależnienia uważali upodlenie narkomanów za afront czyniony ich niewinnemu nawykowi. Obie strony musiały się zmierzyć z trudnością. Wybrane przypadki mogą udowodnić niemal każdy odcień prawdy i jej przeciwieństwa.

W przeszłości dyskusje na temat opium prowadzone przez tych nielicznych, którzy folgowali sobie, zażywając specyfik, na ogół były uprzejme, niekiedy z nutką przekomarzania. Kiedy opiumowy nawyk rozprzestrzenił się, dysputy stały się gwałtowne, osobiste, a nawet agresywne. Dla tych, któ-

rzy byli świadkami rozpaczy, upodlenia, czasami śmierci przyjaciela, „lekarstwo” stanowiło truciznę. Ci zaś, którym przyniosło korzyści – albo tak myśleli – nie mogli się go nachwalić. Kontrowersję podsycały skandale i plotki. Ludzie plotkujący dla rozrywki coraz częściej jako temat swego świętego oburzenia wybierali leki, a nie królewskie zdrady czy ponure pseudoreligijne praktyki zdeprawowanych bogaczy. Wielu twierdziło, że osobiście zna postacie przedstawione na rycinach Hogartha. (Czy te osoby istniały naprawdę? Nieważne. Choćby nie wiadomo jak zdeprawowany, hrabia to hrabia). Wkrótce głód świętego oburzenia będą zaspokajali prawdziwi celebryci. Nowe żywiące się skandalem brukowce były tanie i sprzedawały się w tysięcznych nakładach. I zaostrzały apetyty młodzieży. Bądź co bądź, był to wiek rozumu, którego chwałę głosili mądrzy filozofowie we Francji, sprawiając, że po obu stronach Kanału jak grzyby po deszczu wyrastali modni intelektualiści. W takiej epoce wszystkiego warto było spróbować, choć raz. Albo nawet dwa. A w następstwie wydarzeń dziejących się po drugiej stronie kuli ziemskiej stawało się to niemal aktem patriotyzmu.

ROZDZIAŁ 9

Nad brzegami Gangesu

Związek między podażą a popytem jest skomplikowany, a w przypadku opium często był niemożliwy do rozgryzienia. Czy lek stał się nagle dostępny w Europie dzięki temu, że odkrycia takich ludzi jak Sydenham i Dover stworzyły zapotrzebowanie? A może to napływ stosukowo niedrogiego opium przyczynił się do sukcesu ich odkryć? Jakakolwiek była kolejność, wzrost spożycia specyfiku na Zachodzie zbiegł się z przekształceniami we wzorcu uprawy maku w odległych zakątkach świata.

Przez całe wieki w Indiach obróbka uprawianego chałupniczo maku była zajęciem domowym, zazwyczaj zostawianym kobietom (podobnie jak inne prace domowe i większość niedomowych). Główną część produkcji spożytkowywano na potrzeby rodziny – było to typowe lekarstwo na wszelkie codzienne dolegliwości, a także na wybuchającą sporadycznie

cholerę. Mniejsze ilości przeznaczano na lokalny rynek, a wybrany towar jako trybut oddawano do siedziby miejscowego nababa, beja, szejka, maharadży, nizama czy jaki tam inny tytuł podobało się przybrać władcom danego terytorium. Opium trafiało zatem do władcy albo jego reprezentanta. Cesarze z dynastii Mogołów, spadkobiercy potężnych zdobywców Indii, nadal utrzymywali dwór w Delhi, lecz ich centralna władza w dużej mierze przeszła w ręce regionalnych magnatów. Niektórzy z nich rządzili zaledwie kilkoma zakurzonymi wioskami, inni mieli we władaniu rozległe kraje, pod względem powierzchni kilka razy większe od Wielkiej Brytanii. Ich skomplikowane spory, nieraz przeradzające się w zaciekłe małe wojny, a także wewnętrzne walki poszczególnych gałęzi rodów rządzących łączyły się z rywalizacją bardziej brzemienną w konsekwencje.

Przez znaczną część XVIII wieku Anglia i Francja wojowały ze sobą w Europie i chociaż wiadomości o wypowiedzeniu wojny oraz zapewnienia o zawarciu „wieczystego” pokoju nieraz potrzebowały roku, by dotrzeć na inne kontynenty, to jednak europejskie konflikty – jak można się spodziewać – odbijały się echem za oceanami. W Indiach obie strony starały się wynajmować tubylcze oddziały i tworzyły zmienne sojusze z lokalnymi władcami lub aspirantami zamierzającymi sięgnąć po władzę. W Bengalu 23 czerwca 1757 roku wśród podmokłych zagajników mangowych w Palasi (ang. Plassey), kilkanaście kilometrów od Murśidabadu, stolicy mogolskich wicekrólów Bengalu, rozegrała się bitwa, która przesądziła o losie tej ważnej prowincji[1]. Było to słynne zwycięstwo Roberta Clive’a, 32-letniego akademickiego wyrzutka, który wcześniej bez powodzenia uczył się na księgowego i nie miał ani odrobiny militarnego przeszkolenia. Nie przeszkadzało to Pittowi Starszemu, ówczesnemu brytyjskiemu premierowi, opisać bohatera jako „naszego wielkie-

go i zesłanego przez niebo generała”[2]. Pitt Starszy miał rację. Jednak nie można było jeszcze wtedy przewidzieć, że bitwa ta położy fundamenty pod dwustuletnie panowanie Brytyjczyków w Indiach. Dla Clive’a był to początek zawrotnej kariery, w ramach której bohater zdobył ogromną fortunę, tytuł szlachecki, a nieco później baronię Plassey. Wydarzenia te z czasem doprowadziły do przeobrażeń w uprawie opium w dolinie Gangesu.

Przez sto lat z okładem uprawę maku nad brzegami wielkiej rzeki nadzorowała spokojnie Rada Opiumowa Marathów, składająca się z przedstawicieli pięciu na wpół niezależnych państw tworzących konfederację Marathów. Rada spotykała się w nieregularnych odstępach czasu, wymieniając oznaki szacunku i wydając formalne pozwolenie na rozpoczęcie uprawy maku. Ponadto w nieco przypadkowy sposób sprawdzała, czy produkcja w poszczególnych regionach nie obniża zbytnio jakości towaru. Aby zdusić w zarodku jakąkolwiek niestosowną rywalizację, ustalała ceny na różne stopnie jakości opiumowej gumy. „Pod jej życzliwym przewodnictwem – zauważył pewien europejski podróżnik w 1748 roku – bogate ziemie w okolicy Patny wydawały na tyle opium, by zaspokoić potrzeby większości regionów w Indiach”[3]. Lecz aprobata jakiegoś europejskiego arystokraty zwiedzającego Indie to jedno; zaspokojenie bezwzględnego biznesmena zaś to drugie.

Po bitwie pod Palasi Rada Opiumowa Marathów rozwiązała się, a ponieważ potrzebowano jakiejś władzy nadzorczej, rolę tę przejęli pracodawcy Clive’a – Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska, w swojej ojczyźnie tytułowana oficjalnie jako „szacowna”, nieoficjalnie zwana Kompanią Johna, w Indiach zaś nazywana Bahadur („dzielna”). Korporacja ta istniała już od 150 lat, ponieważ powstała w 1600 roku jako związek angielskich biznesmenów i inwestujących arysto-

kratów na fali euforii po pokonaniu hiszpańskiej Wielkiej Armady[4]. Kompania, zajmująca się handlem z Indiami Wschodnimi i innymi krainami, prosperowała i obecnie posiadała imponującą siedzibę w londyńskim City przy Leadenhall Street. Nadzorowanie uprawy maku po przeciwnej stronie kuli ziemskiej nie leżało w jej pierwotnych planach, nie było o tym mowy w dokumencie powołującym ją do życia. Niemniej w rozrastającym się imperium (choć wówczas jeszcze się tak nie nazywało) nie powinno się odrzucać takich ponadprogramowych zadań.

Sukces jednak – jak się okazało – miał swoją cenę. Trzeba było pokonać chciwych cudzoziemców, zwłaszcza pazernych Francuzów. Nieoświeceni tubylcy nie kwapili się z docenieniem korzyści, jakie im dawała przynależność do potężnego globalnego przedsiębiorstwa. Kampanie wojenne z kolei były kosztowne. Co prawda Kompania nagrodziła Clive'a wysadzanym klejnotami mieczem wartym 10 000 funtów, ale niektórzy z dyrektorów narzekali po kątach na marny łup, jaki ostatecznie stał się ich udziałem. Należało też jakoś sobie odbić łapówki wręczone lokalnym książątkom, których zdrada – dobrze opłacona i dokonana w odpowiednim momencie – pozwoliła wygrać pamiętną bitwę. Odpowiedzią na modlitwy biznesmenów z Kompanii stało się produkowane w Indiach opium, tym bardziej że w ojczyźnie zapotrzebowanie na ten specyfik ostatnio gwałtownie wzrosło.

Nie obyło się bez trudności. Inspektorzy Kompanii wkrótce opisali „szokującą nieskuteczność i przypadkowość" istniejącego handlu. Jeden z wysłanników raportował bliski apopleksji:

> Biorąc pod uwagę ich sposoby działania oraz niezrozumienie takich pojęć jak: „wydajność", „zysk" i „sprawiedliwy handel", dziwne, że w ogóle cokolwiek sprzedają. (…) Zarówno jakość, jak i ceny nie są regulowane (…). Jeżeli zbiory były słabe, wieśniacy

> i handlarze nie wahają się fałszować produktu wodą, pulpą z bielunia, melasą albo czymś gorszym, znacznie gorszym. Widziałem, jak dodają [do opium] krowiego łajna[5].

Niełatwo było o postęp również z powodu zawikłanej sieci hinduskich kast.

> Jedną trzecią zbioru potrafią stracić zwyczajnie przez zaniedbania, ponieważ *gomastas*, czyli nadzorcy z niższych kast, nie będą rozmawiali bezpośrednio z jeszcze niższymi w hierarchii *koeri*, czyli selekcjonerami, i nie pokażą im, jak sobie radzić z niechcianym deszczem czy innymi zrządzeniami losu. Z kolei *ryot*, czyli właściciel plantacji (albo wyższy pośrednik), będzie się martwił tylko o końcowy produkt i swój udział, a nie rozmówi się z *gomastas*[6].

Tego nie można było tolerować. Warren Hastings, następca Clive'a, był synem biednego urzędnika, a zarazem pierwszym brytyjskim gubernatorem generalnym i ostatnim, który zajął to stanowisko z awansu. Znał handel makowym towarem od podszewki i nienawidził go. „Nie jest to lek konieczny do życia, ale zgubny przedmiot luksusu, na którego [użycie] nie powinno się zezwalać" – ogłosił dyrektorom Kompanii, kiedy go powołano. „Wyplenię go". Dopóki zyski spływały bez zakłóceń, zarząd tolerował takie ekscentryczności. (Bo musiał. Niektórzy członkowie Kompanii wstąpili w jej szeregi tylko po to, by obserwować zaćmienia Księżyca w odległych częściach świata, inni – żeby kolekcjonować węże czy motyle). Wystarczył jednak niespełna rok, aby determinacja generalnego gubernatora została zachwiana. Wyprzedzając swych wielkich „opiofobicznych" następców, Hastings chciał na subkontynencie odcisnąć własne piętno. Ponadto sytuacja pilnie wymagała reform administracyjnych. Jednak jakiekolwiek reformy w Indiach zawsze kosztowały sporo pieniędzy. Gubernator, postawiony wobec skąpstwa Kompanii – którą później zastąpił jeszcze mniej

skłonny do wydatków skarb państwa – musiał przyznać, że opium to jedyne potencjalne źródło dochodów. Tyle że jego uprawę i sprzedaż należało usprawnić od podstaw.

Zdaniem Hastingsa kluczem do niezbędnych zmian była dyscyplina. Na przeszkodzie stał upór rolników. Byli wieśniakami. Cenili swoje pradawne, choć godne pożałowania metody. Coraz częściej uciekano się więc do gróźb, a od czasu do czasu przykładnie karano opornych. By podnieść skuteczność kontroli, Hastings ograniczył uprawę maku do stanów Patna i Bihar. Sąsiednim prowincjom rozkazał, żeby hodowcom maku dostarczały potrzebne im do przeżycia ryż i owoce. Wkrótce ludzie mieszkający w pasie od Parny do Benares (obecnie Waranasi) nie uprawiali nic innego niż mak. I byli zdani na łaskę sąsiadów. Sąsiedztwo w Indiach niejednokrotnie wiązało się z zadawnioną od pokoleń wrogością. Rozkazy gubernatora często ignorowano. Mieszkańcy pasa od Parny do Benares głodowali. Hastings orzekł więc, że część ludności tego regionu jest zbędna i powinno się ją usunąć. Ale nawet przymierający głodem Bengalczycy kurczowo trzymali się swych mizernych poletek z niedorzeczną wręcz wytrwałością. Czasami wysiedlano ich siłą. Działało, ale po takich akcjach pozostawała ponura uraza. Jednak w latach 80. XVIII wieku obszar przeznaczony wyłącznie pod zyskowną uprawę maku miał już oszałamiającą powierzchnię miliona hektarów.

* * *

Uprawa maku na taką skalę wymagała zmiany w obróbce plonów. Po kilku godzinach wystawienia na działanie powietrza sok mleczny maku (lateks) staje się lepką, ciemnobrązową, maziowatą gumą przypominającą pastę do butów. Jest niestabilny i nieoczyszczony, ale umiarkowanie czynny. I właśnie taką postać opium – w różnym rozcieńczeniu –

spożywało się w Indiach od stuleci. Wkrótce miało się to zmienić. Zbierany do naczyń zdrapany urobek przesypywano do coraz większych zbiorników, a ostatecznie umieszczano w płytkich, przechylonych mosiężnych półmiskach nazywanych *thalli*. Mieszano w nich maź i przewracano, aż większość wilgoci (ale nie wszystka) wyparowała. Następnie materiał wrzucano do wielkich kadzi i ugniatano tak długo, aż konsystencja nadawała się do formowania.

Szopy, w których formowano opium w Patnie, to jedne z pierwszych brytyjskich fabryk. Zatrudniano w nich dzieci, nawet siedmioletnie, i pomarszczonych staruszków. Pracownicy siedzieli w kucki za cynowymi naczyniami zwanymi *tagar* – tak dużymi, aby pomieścić gumę na pięć „kul". Podstawowym wyposażeniem była miednica z czystą wodą, zapas starannie ususzonych i zachowanych płatków maku, kubek zawierający gorsze opium (*lewa*) oraz otwierana mosiężna forma. Formy smarowało się *lewą* i wykładało płatkami maku. Ich delikatna siateczka ostatecznie tworzyła pełne okrycie i idealną izolację, dzięki czemu zasłynęła jako znak rozpoznawczy prawdziwej „Patny". Kule, wielkości tych, którymi ładowano okrętowe działa, a ważące około półtora kilograma, układano na regałach w suszarni. Te ostatnie, wyniosłe niczym katedry, były tak zaprojektowane, by przepływało przez nie powietrze. Przez kilka tygodni czereda młodych chłopców przewracała kule dwa razy dziennie, dbając również, aby do środka nie dostali się złodzieje ani owady. To drugie było większym zagrożeniem. Tryliony latających owadów, zbite w czarne roje, przybywały nie wiadomo skąd – szybkie, hałaśliwe i najwyraźniej znęcone zapachem schnącego maku. Jeśli się wdarły do szop, potrafiły w ciągu niecałej godziny zniszczyć efekt całorocznej ludzkiej pracy. Kiedy się pojawiały, na uszczelnienie drzwi, okien i szpar zostawało zaledwie kilka minut. Zagrażającą

plonom czarną chmarę można było rozproszyć drażniącymi chemikaliami. Kradzież wiązała się z ryzykiem. Delikwenta przyłapanego na złodziejstwie (lub o nie podejrzanego) karano ścięciem.

Wysuszony produkt ważono, wyceniano i pakowano do skrzyń z drewna mangowego znanych jako *catties*. Każda taka skrzynia miała dwie tace, a każda taca mieściła 20 kul, przy czym każda kula była wpasowana w osobną przegródkę. Dziś owe znakomicie wykonane pojemniki są przedmiotem kolekcjonerskim. W tamtych czasach wrzucano je do otwartych kominków w odległych wielkopańskich siedzibach, gdzie bardzo ceniono cierpki aromat płonącego drewna mangowego – „zapach dżungli". Zapełnione skrzynie uszczelniano smołą i zaszywano w wyprawione skóry. Do lokalnego władcy wędrował teraz tylko symboliczny dar. Większość transportowano łódkami do Kalkuty, by towar czekał na sezon aukcyjny. Chętni nabywcy ściągali wówczas do miasta z całego świata. W przeważającej części była to szemrana hołota, ale zdarzały się wielkie osobistości z orszakiem sług albo nawet ze zbrojną eskortą. Chińczycy czy inni wschodni handlarze – kto by ich tam rozróżnił? – zwykle taszczyli ze sobą olbrzymie sumy w srebrze. W porcie z roku na rok czekały na cargo coraz większe statki. Pod koniec stulecia szczególną uwagę przykuwały opiumowe klipery, budowane specjalnie na potrzeby tego handlu w Baltimore w Stanach Zjednoczonych. Szybkie i smukłe, pod pełnymi żaglami naprawdę cieszyły oko. Wkrótce liczba skrzyń ekspediowanych rocznie z regionu Patny przekraczała 200 000. Zysk netto z jednej skrzyni ocenia się na 80 funtów. Ogółem na produkcji i sprzedaży opium londyńscy inwestorzy przypuszczalnie zarabiali rocznie ponad 2 000 000 funtów. Wszyscy byli nadzwyczaj zadowoleni z tego stanu rzeczy. Stopniowo jednak schemat handlu ulegał zmianie. Co-

raz więcej statków opuszczających Kalkutę kierowało się na wschód, nie na zachód. Niebiańskie Królestwo Chin przyzywało. Było blisko. Było ogromne. I podobno nieskończenie bogate.

* * *

Mniej poszczęściło się człowiekowi, który położył fundamenty pod to całe bogactwo. Robert Clive, obecnie lord Clive of Plassey, w ciągu pierwszych lat spędzonych na subkontynencie dorobił się nie tylko fortuny, lecz także okresowych dolegliwości brzusznych. Remisje przeplatały się z osłabiającymi i coraz bardziej bolesnymi epizodami kolki, wymiotów i biegunek, sugerującymi typowe dla Indii zapalenie jelita krętego, inne chroniczne stany zapalne, a może niezbyt szkodliwą lezję wywołującą okresową niedrożność jelit[7]. Cokolwiek było przyczyną, jedynym skutecznym lekarstwem okazało się opium. Clive utrzymywał również, że medykament pozwala mu przyjmować dolegliwość z chrześcijańskim hartem ducha. Niestety – choć nie uderzyło go to jako szczególnie groźne – dawka leku potrzebna do poradzenia sobie z objawami powoli rosła. Jego osobiste zapasy pochodziły ze specjalnej uprawy maku, którego sok obrabiała i wypróbowywała zaufana obsługa; kiedy lord odwiedzał ojczyznę, towarzyszyła mu indyjska świta. W 1767 roku, gdy wrócił po trzecim i zarazem ostatnim okresie pracy na stanowisku gubernatora, zażywał dawki, które jego syn określił jako „monumentalne”. W kiepskich dniach lord zamykał się w swym gabinecie i rozmawiał jedynie ze starym hinduskim sługą, strażnikiem kufra z lekarstwami.

Taki tryb brania opium niektórych szybko zabija. Inni, na pozór niezniszczalni, stają się nadmiernie aktywni. Przez lata Clive zdawał się należeć do tej drugiej kategorii. Zbu-

dował palladiańską rezydencję w Claremont w hrabstwie Surrey, otoczoną iście rajskim ogrodem. Zarządzał swymi rozproszonymi posiadłościami położonymi w Anglii i Irlandii. Sprawił, że go wybrano do Izby Gmin – był posłem z mandatu Irlandii[8] – oraz z zapałem prowadził politykę zmierzającą do tego, by rząd bardziej bezpośrednio wziął na siebie odpowiedzialność za sprawy Indii. Był to godzien podziwu cel, ale pociągnął za sobą wojnę podjazdową z niedawnymi mocodawcami Clive'a. Były gubernator napiętnował szacowną Kompanię, twierdził, że jest chciwa, nieuczciwa, pełna hipokryzji i skąpa. I była to przypuszczalnie prawda, ale nie zjednała mu dyrektorów. Dotknięci, ogłosili, że zdefraudował miliony. W tym też mogło tkwić ziarno prawdy. Sprawę komplikował fakt, że sprowadzenie dokumentów z Indii mogło potrwać rok, a gdy wreszcie docierały do Anglii, często okazywały się spisane tak kalekim językiem angielskim, że nikt ich nie mógł zrozumieć. Albo każdy rozumiał po swojemu. Ale dla Clive'a najbardziej wycieńczające było to, że musiał się bronić przed swymi politycznymi wrogami, którzy postawili go w stan oskarżenia za „skandaliczne wyłudzenie i korupcję". Wzięto go w krzyżowy ogień pytań w Izbie Gmin i w Izbie Lordów. Nawet ci, którzy doceniali jego ogromną i zwykle anonimową hojność, czasami czuli się nieswojo. Fakt, że przyjmował prezenty i miał udział w łupie, był czymś normalnym. To wielkość jego fortuny zapierała ludziom dech w piersi. Indie zaczynały być w Anglii kojarzone jako kraj kontrastu między bajecznym bogactwem a skrajną nędzą. Bogacze byli nieliczni, nędzarze tworzyli milionowe rzesze. Anglia pod rządami dynastii hanowerskiej nie była państwem opiekuńczym, ale wizja Indii nie wydawała się Anglikom pociągająca. Młodzi chłopcy wracający ze służby na subkontynencie – w przeciwieństwie do zapomnianej większości, która nie wracała nigdy –

budzili zazdrość kosztownymi strojami w stylu maharadży. Clive, choć nie miał adwokackiego przeszkolenia, zaliczał się – według Pitta Starszego – do najskuteczniejszych mówców w Westminsterze, o ile „był w nastroju”. Bo kiedy nie był, plótł androny. Jego „nastroje”, jak podejrzewało wielu, zależały od przyjętego opium. W końcu, w 1774 roku, oczyszczono go z zarzutów i natychmiast zaoferowano mu dowództwo brytyjskich sił zbrojnych w Ameryce Północnej. Był znakomitym żołnierzem, więc propozycja pozostaje jednym z kuszących historycznych gdybań[9].

W dniu, w którym doczekał się rehabilitacji, zaprosił swych politycznych wrogów na przyjęcie kończące ze wszystkimi sporami. Jego londyński dom przy Berkeley Square przyozdobiono wspaniałymi egzotycznymi dekoracjami. Na gości czekały ogromne ilości jadła i napoju oraz drogie prezenty. Ale on sam się nie pojawił. Niektóre biografie twierdzą, że przedawkował. W rzeczywistości, mimo że mógł przedtem wziąć dużą dawkę narkotyku, w noc poprzedzającą bankiet, 22 listopada 1774 roku, dźgnął się własnym scyzorykiem. Nie mógł to być wypadek. Clive miał 49 lat.

* * *

W momencie gdy Clive popełniał samobójstwo, lwia część indyjskiego opium zmierzała na wschód, nie na zachód. Pomimo plotek o niezadowoleniu narastającym w imperium, chiński handel wielu przedsiębiorcom wydawał się zrządzeniem łaskawej Opatrzności. Nieuniknioną koleją losu pojawiły się trudności. Konkurencja ze strony Portugalczyków, Holendrów, Francuzów, a nawet raczkujących Amerykanów była uciążliwa, ale do opanowania. Poważniejsze zagrożenie stanowili piraci – był to ich złoty wiek. Tysiąc jeden wysp Indonezji, podobnie jak na zachodniej półkuli Bahamy, da-

wało morskim rabusiom nieskończenie wiele niezdobytych kryjówek. Z każdym rokiem pirackie okręty stawały się szybsze i zwrotniejsze. Mimo na wpół permanentnego stanu upojenia alkoholowego żeglarskie umiejętności piratów pozostawały bez zarzutów, a ich bandyckie rzemiosło często budziło grozę. (Wielu z nich było dezerterami z brytyjskiej i francuskiej marynarki wojennej). Ich brawura rodziła się z desperacji. Schwytani nie mogli się spodziewać litości. I podobnie jak mityczne potwory, zdawali się nie do pokonania – na miejscu jednej ściętej głowy pojawiały się liczne nowe. Lecz dzięki wzrostowi własnej potęgi morskiej Wielka Brytania wygrywała tę rozgrywkę. Musiała. Chiński handel był zbyt dochodowy, by miała go stracić.

Wszystko to jednak pociągało za sobą zmianę szlaków handlowych. Chociaż indyjskie opium wciąż pozostawało dostępne na Wyspach Brytyjskich – była to ulubiona marka księcia regenta[10] – indyjskie plony wieziono teraz do Chin. Było bliżej. Zyski zapowiadały się bajeczne. Głównym dostawcą dla Zachodu zaś mieli się stać biedni, zacofani wieśniacy z Wyżyny Anatolijskiej w Turcji. Ich produkt, mocniejszy od odmiany indyjskiej, wydawał się dostępny w nieograniczonych ilościach.

ROZDZIAŁ 10

Turecki łącznik

Podobnie jak Hindusi, anatolijscy wieśniacy z dawien dawna uprawiali mak na własne potrzeby. Nie jest pewne, kto odkrył szerszy potencjał tego regionu, lecz biorąc pod uwagę rosnące zapotrzebowanie na opium na Zachodzie, trzeba przyznać, że rozwój był nieunikniony. Gleba i suchy, umiarkowany klimat zapewniały idealne warunki, a nie mniej obiecująco zapowiadały się bieda mieszkańców, ich wytrwałość i ignorancja. Obszar nie był ani zbyt rzadko, ani zbyt gęsto zaludniony. Około 1760 roku greccy, tureccy i ormiańscy kupcy zaczęli docierać do anatolijskich wiosek. Ubogim wieśniakom sumy, jakie im oferowano za towar, wydawały się wręcz nieziemskie. Choć z historycznego punktu widzenia Anatolia stanowiła serce imperium osmańskiego, od dawna była zaniedbywana. Wysoka Porta w swoim pałacu nad Bosforem wciąż spoglądała na zachód, choć epoka tu-

reckich podbojów w Europie skończyła się kilkadziesiąt lat temu. Kraj wkrótce będzie znany jako „chory człowiek Europy”[1]. Ale sułtanów, wielkich wezyrów, eunuchów czy dam z seraju bynajmniej nie obchodziło to, co działo się w głębi anatolijskiego lądu.

A tymczasem zanosiło się tam na zdumiewające przeobrażenia. W latach 80. XVIII wieku makowe pola koło Kara Hisar (obecnie Afyonkarahisar) i w okolicy Magnezji (obecnie Manisa) rozciągały się na setki kilometrów. W przeciwieństwie do odmian indyjskiej i egipskiej, tureckie rośliny osiągały ponad dwa metry wysokości, dzięki czemu ludzie pracujący przy nich podczas zbiorów byli niewidoczni, zanurzeni w migotliwym morzu zieleni, złocistości i bieli. Fakt, że uprawa pozostała w rękach chłopów, był zarówno ich siłą, jak i słabością. Wyeliminował wprawdzie pośredników, ale handlarze bezlitośnie wykorzystywali konkurencję między rodzinami i coraz bardziej zaniżali ceny. Podczas zbiorów do pracy stawali wszyscy krewni, choć godziny spędzane na polu trzeba było ograniczać. Jak zauważył pewien zachodni obserwator:

> Opary unoszące się z tych ogromnych roślin mogą być niebezpieczne, szczególnie wcześnie rano i po zachodzie słońca. Rolnicy unikają ich, wieczorem udając się na odpoczynek do chat (…). Nie wychodzą aż do wschodu. Gdy tylko wilgotność powietrza osiągnie pewien poziom, rozwija się mocny narkotyczny zapach. U osób nieprzyzwyczajonych już po kwadransie wywołuje silny, niebezpieczny ból głowy[2].

Wykorzystywano każdą część rośliny. Z nasion tłoczono olej do celów spożywczych i do lamp; jeśli go eksportowano, służył do wyrobu mydła. Biedniejsze gospodarstwa dodawały mak do chleba. Pozostałości przydawały się jako pasza dla zwierząt. Zbiory odbywały się w maju i czerwcu; wysuszone opium pakowano w szare bawełniane worki i wysy-

łano na mułach do Izmiru (dawna Smyrna). Plony były już w tym momencie sprzedane handlarzom, a pieniądze – wypłacone rolnikom awansem po boleśnie zaniżonej cenie.

W połowie XVIII wieku Izmir – niegdyś pod nazwą Smyrna będący perłą Morza Śródziemnego – był już „nędzną, nękaną zarazami i morowym powietrzem piekielną dziurą”[3]. Załogi statków starały się nie schodzić tutaj na ląd, zamawiając usługi burdelowe z dostawą na pokład. Miejscowość miała jednak dogodne położenie geograficzne i znakomity port, dlatego zbierał się w niej wielojęzyczny tłum handlarzy i ich czeladzi. Płócienne worki otwierano w magazynach w obecności publicznego kontrolera – dobrze opłacanego urzędnika mającego opinię nieprzekupnego[4]. Dokładnie badał on zawartość każdego worka, oceniając materiał po kolorze, ciężarze, wyglądzie i konsystencji. Dzięki swojemu doświadczeniu mógł określić, czy opium jest czyste. Jeśli podejrzewał fałszerstwo, towar odrzucano. Ostateczną czystość określano w karatach, tradycyjnej mierze dla złota i diamentów. Czyste opium było 24-karatowe. Wszelkie dostawy z towarem poniżej 20 karatów palono. Podobnie jeżeli materiał wciąż trzymał wilgoć, mimo suszenia w magazynie. Wilgotne opium było niestabilne, a firma sprzedająca taki towar traciła dobrą reputację. Worki, które pomyślnie przeszły przegląd, przepakowywano do cynkowanych od środka, hermetycznie pieczętowanych, lecz zwykłych drewnianych skrzyń przeznaczonych do transportu morzem. W przeciwieństwie do produktu indyjskiego, z tureckim nikt się nie ceregielił.

Skoro Brytyjczycy w praktyce kontrolowali Indie, może się wydawać dziwne, że tureckie uprawy tak szybko zastąpiły indyjską produkcję. Ale Wielka Brytania miała komercyjne powiązania z imperium osmańskim od czasu założenia Kompanii Lewantyńskiej w 1581 roku i eksportowała do Turcji

rozmaite towary, szczególnie bawełnę, za którą można było wymienić opium. Transport z Izmiru był tańszy, a mechanizmy handlu istniały gotowe na miejscu. Ponadto tureckie opium okazało się mocniejsze od indyjskiego – późniejsze analizy sugerują, że zawierało aż 10–13% morfiny, podczas gdy indyjskie zaledwie 4–8%.

Zmieniło się nie tylko źródło, lecz także tradycyjne szlaki. Po stuletnim pełnym wdzięku i melancholii zmierzchu Republiki Wenecji państwo zostało zdmuchnięte jak świeczka przez Napoleona Bonapartego 12 maja 1797 roku[5]. Teraz głównym ośrodkiem przeładunkowym handlu Europy z Turcją i Bliskim Wchodem stała się Marsylia i pozostanie nim aż do lat 70. XX wieku. Jako opiumowe porty (którymi są nadal) rozwijały się też Amsterdam i Rotterdam. Nieduża, lecz stała strużka przeciekała przemytniczym szlakiem do Włoch wzdłuż wybrzeża morskiego – wówczas, podobnie jak teraz, niedającego się w pełni kontrolować. Większa część ładunku płynęła jednak z Izmiru prosto do Wielkiej Brytanii na brytyjskich statkach. Portami docelowymi bywały Dover, Liverpool i Bristol, ale głównym ośrodkiem handlu stał się Londyn.

* * *

Mechanika opiumowego biznesu ewoluowała stopniowo. Podczas gdy Kompania Lewantyńska podupadała (rozwiązano ją w 1825 roku), miejsce sympatycznych, proponujących stałą cenę karteli zajmowali agresywni hurtowi importerzy. Opium nabywano teraz, nawiązując konkurencyjne układy. Ponad 90% transakcji zawierano przy Mincing Lane w londyńskim City, a sporą część – w kawiarni Garroway’s koło Królewskiej Giełdy. Co dwa tygodnie przeprowadzano aukcję w systemie znanym jako „licytacja przy świeczce”. Na początku licytacji partii towaru zapalano małą świeczkę;

zwyciężał ten, kto podał najwyższą ofertę, zanim dopalił się knot. Ceremonia była osobliwie urocza i zarazem dogłębnie okrutna. Sprzedawcy z Mincing Lane rzadko pracowali za mniej niż 50% marży. Mogła ona wzrosnąć nawet do 200%, ale też spaść do zera, mogło się również skończyć szokującą stratą. Ryzyko zazwyczaj było wielkie. Zyski bywały większe.

Działanie sił rynkowych doprowadziło do stałego spadku ceny w sprzedaży detalicznej. Comiesięczne publikowanie bieżącej listy cen pozwalało aptekarzom i hurtownikom rozglądać się za najlepszą ofertą. Do największych nabywców zaliczały się firmy Allen & Hanburys i Apothecaries' Company. Ta druga co sobotę wystawiała notkę podającą, ile potrzebuje opium, po czym chętni sprzedawcy przesyłali jej swoje próbki do najbliższego wtorku. Komitet nabywczy składał się z „wysoce kwalifikowanych dżentelmenów medycyny" i „znających się na rzeczy" aptekarzy. To oni wybierali najlepszy towar. Zarówno sprzedawcy, jak i kupujący skorzystali na stopniowym obniżeniu cła przywozowego. Z dziewięciu szylingów od funta na początku lat 20. XIX wieku spadło ono do czterech szylingów w 1826 roku i do jednego szylinga w 1836. Zawarta w 1860 roku umowa o wolnym handlu zniosła cło całkowicie. Jednak do obniżenia ceny za opium najbardziej przyczyniła się jego dostępność. Kiedy pijany kapitan osadził statek SS „Crimea" na mieliźnie, tracąc kilka ton cargo, a do tego niemal całą załogę, cena w City wzrosła zaledwie o 2%, i to tylko na kilka tygodni. Podobnie jak dzisiejsze nagłaśniane przez Urząd Celny gwałtowne zmiany kursu, pomniejsze niedogodności, jak wojny czy trzęsienia ziemi, wywoływały zaledwie drobne zachwiania ceny lekarstwa w sklepiku na rogu.

* * *

Jednak turecki łącznik dla wielu patriotycznie nastawionych Brytyjczyków był solą w oku. W ich odczuciu tak cenny towar powinien być produkowany w obrębie imperium brytyjskiego albo – najlepiej – na miejscu, w kraju, a nie sprowadzany od „szubrawca Turka". Nie było to czcze rojenie. Po 1763 roku brytyjskie Towarzystwo Sztuki z zapałem promowało badania nad roślinami o właściwościach medycznych i oferowało nagrody za nowe odkrycia. W 1785 roku doktor Alston, profesor przedmiotu *materia medica* na Uniwersytecie Edynburskim, wykazał, że opium można otrzymać z uprawianych w ojczyźnie maków, a w 1789 roku nagrodą w wysokości 50 gwinei[6] uhonorowano Johna Balla z Plymouth za „doskonałą jakość" jego produktu. Kilka lat później Thomas Jones obsiał białym makiem dwuhektarowe pole w Enfield, kilkanaście kilometrów na północ od Londynu, i zdobył złoty medal. Upierał się jednak, że o sukcesie przesądziła jego wyjątkowa wprawa w nacinaniu makówek; amatorów przestrzegał, że niepotrzebnie będą marnowali czas. Mimo to po kilku nie całkiem udanych próbach edynburski chirurg Thomas Young udowodnił, że opium można otrzymać, nawet uprawiając mak w kaledońskim chłodzie; jego dokonanie przyniosło mu dyplom oraz zysk w wysokości 50–80 funtów szterlingów z akra (0,4 ha), na które złożyło się 25 kilogramów opium, kilkadziesiąt kilogramów oleju i spora ilość młodych ziemniaków roztropnie posadzonych pomiędzy rzędami maku. Jednak największe osiągnięcia w uprawie maku i otrzymywaniu opium mieli doktor John Cowley i pan Staines z Winslow w hrabstwie Buckinghamshire, którzy w 1823 roku dostali 30 gwinei za 65 kilogramów opium „doskonałej jakości, zebranego z około czterech i pół hektara ziemi".

W końcowym rozrachunku wszystkie te przedsięwzięcia nie mogły konkurować z dostawami z zagranicy z powodu

kosztownych nakładów pracy. Uprawa na jakąkolwiek skalę wymagała zatrudnienia rąk do pracy, a chociaż siła robocza w brytyjskim rolnictwie była bardzo tania, wynagrodzenie rodzimych najmitów i tak nie mogło konkurować z mizerną zapłatą, którą chłopi w Anatolii przyjmowali z zachwytem. Owszem, odległość miała znaczenie, ale transport morski był tani. Sugerowano różnego rodzaju cięcia kosztów. John Ball zauważył, że jeżeli do nacinania i zdrapywania soku zatrudni się dzieci (te zadania nie wymagały siły), „wydatki staną się nieistotne". Jeśli nie liczyć okresowych nieznośnych bólów głowy, praca na świeżym powietrzu będzie „zupełnie zdrowa". (Przynajmniej dzieci wolały ją od harówki w kopalniach czy fabrykach). Jego partnerzy, Jones i Jeston, posunęli propozycję dalej, opracowując strukturę płac z finansową zachętą. Gdy się zatrudni siedmiu albo ośmiu chłopców w wieku od sześciu do dwunastu lat, a do nich dorosłego nadzorcę, sensowną skalę zarobków można oprzeć na zachowaniu. „Najmłodszym dajemy trzy pensy na dzień [10 godzin pracy], a jeśli [starsi] są ulegli i dobrze ułożeni – po dodatkowym pensie na każdy rok wieku". Inni optowali za wynagrodzeniem promującym produktywność – przeciętna stawka wynosiła osiem pensów za dzień plus dodatkowy pens za każdą nadprogramową połowę pinty opium. Cowley i Staines twierdzili, że „ogólna uprawa opium zapewne przyniesie korzyści osobom nienadającym się do typowych prac rolniczych, na przykład koronczarkom pozbawionym zatrudnienia między sianokosami a żniwami". W późniejszym okresie w ramach eksperymentu zatrudnili „spokojniejszy typ migrantów z Irlandii", płacąc im szylinga (12 pensów) za 11-godzinny dzień pracy. Niektórzy zastanawiali się, czy uprawa maku mogłaby być sposobem na ożywienie irlandzkiej gospodarki. Tak czy inaczej tureckie opium wciąż kosztowało cztery razy mniej niż jakikolwiek towar

otrzymany z brytyjskich upraw i przypuszczalnie miało pewniejszą jakość.

Niemniej patriotyczni przedstawiciele kręgów medycznych radośnie witali opium krajowego wyrobu, zwłaszcza podczas wojen napoleońskich. Miksturę Thomasa Jonesa stosowali lekarze ze Szpitala Świętego Bartłomieja w Londynie przeciw dolegliwościom reumatycznym, zaburzeniom jelitowym i – z największym powodzeniem – w przypadkach „histerii". Nie była może aż tak skuteczna jak odmiana turecka, za to lepiej tolerowana przez pacjentów. Obie te różnice można wytłumaczyć niższą zawartością morfiny w angielskim opium, ale w tamtych czasach odmienności te tłumaczono niesprecyzowanymi zanieczyszczeniami tureckiego towaru. Aptekarze ze szpitala Middlesex zalecali gran angielskiego opium – lepszego dla zdrowia niż tureckie – na wszelkie zaburzenia żołądkowe. Nie wszyscy jednak zgadzali się z tym zaleceniem. Budzący respekt pan Cuthbert Moores, członek Królewskiego Kolegium Chirurgów, mężczyzna po dziewięćdziesiątce, lecz wciąż z pewną ręką, z wprawą dzierżący skalpel, ogłosił, że angielskie opium jest „kompletnie bezużyteczne: równie dobrze można by pić wodę z kranu". Z drugiej strony doktor Latham, przyjmujący w modnym gabinecie przy Bedford Row, stwierdził, że jednogranowa dawka mikstury Johna Balla przynosi mu ulgę w lekkim kaszlu, i polecał ją wszystkim cierpiącym na tę dolegliwość. Sam nawet próbował uprawiać mak w przydomowym ogródku. Eksperymenty w West Country[7] kontynuowano przez sporą część kolejnego stulecia. Pozostałością po nich są białe maki do dziś rozkwitające (i cudownie pachnące) gdzieniegdzie na przydrożach hrabstwa Somerset.

* * *

W 1805 roku mniej więcej czwartą część opium importowanego z Turcji reeksportowano do Stanów Zjednoczonych. Nowy Świat ostatecznie będzie największym rynkiem zbytu dla tego specyfiku i zarazem jego najzacieklejszym, zdeklarowanym wrogiem. Ale na początku witał opium z otwartymi ramionami[8]. „Blackwood's Magazine" z przekonaniem prorokował: „To pocieszające, że nie musimy się spodziewać, by w chrześcijańskiej Europie czy Ameryce konsumpcja opium stała się kiedyś tak powszechna i może nawet szkodliwa jak w niektórych krajach muzułmańskich, gdzie głównie alkohol jest zakazany"[9]. Podobnie jak w Wielkiej Brytanii, próbowano uprawiać mak na miejscu, a izolowane eksperymenty w stanie Vermont bywały udane. Jednak uważano, że zbiorów nie można powierzyć niewolnikom, a inna siła robocza była zbyt droga.

* * *

Napływ taniego i silnego opium stał się inspiracją dla wysypu książek. Nie wszystkie tchnęły taką pewnością siebie jak pionierska praca Jonesa. Doktor John Hill w swoim *Family Herbal* („Zielniku rodzinnym") zalecał ostrożność i ostrzegał przed „obiegowym sądem", jakoby za pomocą opium można się było wyleczyć nawet z ugryzienia przez wściekłego psa[10]. Zdaniem Hilla, Jones „powiedział zaledwie to, co widział swym uzależnionym okiem", pomijając fakt, że czasami był „absolutnie niezrozumiały". Trochę to nieuprzejme, lecz prawdziwe. Doktor George Young w swoim *Treatise on Opium* („Traktacie o opium") doradzał powściągliwość, aby nawyk nie „przerodził się w uścisk"[11]. A doktor Samuel Crumpe w dociekliwym, badawczym dziele *Nature and Properties of Opium* („Natura i właściwości opium"), opublikowanym w 1793 roku, dość obszernie omówił poważne konsekwencje pozbawienia i odstawienia leku:

„To bodaj najboleśniejsze doświadczenie, jakie można sobie wyobrazić, tylko fizyczna słabość powstrzymuje ofiary przed samozniszczeniem (…). Nic nie uśmierzy takiego cierpienia jak tylko większa dawka opium”[12].

Nie rozumiejąc tego w pełni, zarówno Young, jak i Crumpe uświadomili sobie, że tureckie opium to znaczący krok naprzód po odmianie indyjskiej, lecz krok tyleż korzystny, co zatrważający. W porównaniu z „dobrą, starą Patną”, która w najgorszym przypadku była nieskuteczna, działanie tureckiego specyfiku mogło mocno niepokoić. Crumpe wyznał jednak, że sam zażywał go bez żadnych medycznych wskazań i uznał wynikającą z tego euforię za „niezmiernie przyjemną: co więcej, moja wspaniała małżonka czasami mnie przynagla, abym znów tego zakosztował, kiedy mam nadszarpnięte nerwy”. I pomimo zagrożeń – przynajmniej przez pierwsze kilkadziesiąt lat importu z Turcji – entuzjastów opium na ogół nie spotykało moralne potępienie. Nawet stateczni medyczni komentatorzy od czasu do czasu określali ten lek jako „Rękę Bożą” czy „Kotwicę Życia”. Niektórzy cytowali wielkiego Roberta Boyle’a, autora liczącej już wówczas 100 lat pracy *The Skeptical Chymist* („Sceptyczny chemik”), który sugerował, że makowy sok poprzez swój „ukryty sekret” może korzystnie działać na „zwierzęcego ducha w układzie nerwowym”[13]. Z takim autorytetem nie wypadało dyskutować.

Nie wszystkich to jednak satysfakcjonowało. Literatura przedmiotu, czy to zalecająca ostrożność, czy entuzjastyczna, zaczynała zauważać, że opium nie tylko łagodzi ból i daje wrażenie dobrego samopoczucia. Miało też – albo mogło mieć – działania niepożądane, wrzucane zbiorowo do worka z napisem „skutki uboczne”. I znów wielu przypisywało je fałszowaniu oryginalnego preparatu i miało nadzieję, że ostatecznie zostanie odkryta „esencja” leku, co po-

zwoli wyeliminować zanieczyszczenia. Na to było jednak jeszcze za wcześnie. W jakiś jedyny w swoim rodzaju sposób – a przynajmniej sposób odróżniający opium od alkoholu i innych znanych wówczas środków oszałamiających, nie wyłączając indyjskiego opium – lekarstwo mogło zmieniać zarówno percepcję, jak i reakcje na to, co człowiek postrzega. Migotanie płomienia świecy może się stać tańcem wróżek, widowiskiem bardzo przyjemnym, pod warunkiem że nie doprowadzi do pożaru. Brzęk szpilki wpadającej do misy może zabrzmieć jak trąba obwieszczająca przybycie aniołów, ale oczekiwanie na niebiańskich gości doprowadzi raczej do rozczarowania. Łagodne powiewy wiatru mogą szeptać tajemnicze wiadomości, jedne kojące, a inne pobudzające do gwałtownego działania. Prozaiczny zapach domowego obiadu może sprawić, że człowiek do tej pory spokojny zacznie być nerwowy, podekscytowany, niebezpieczny. Przelotne kaprysy mogą się przerodzić w nieposkromione namiętności. Niechęć może się rozwinąć w zapiekłą nienawiść. Każda cecha i każde zachowanie mogą zostać zintensyfikowane i przesadzone. Impulsy mogą doprowadzić do samobójstw lub morderstw.

Zażywanie opium jedynie od czasu do czasu może się okazać równe zdradzieckie jak zakorzeniony nawyk. W krytycznych momentach lek może zaćmić umysły zrównoważonych obywateli. Rozwijająca się moda – jeśli tę szkodliwą fiksację można nazwać modą – zaalarmowała tych, którzy z zawodowego obowiązku mieli czujnym okiem spoglądać na powierzone im stadko. Podniosły się głosy z ambony. Biskup Rochester uznał, że w oczach Boga laudanum jest „niewiele lepsze od cudzołóstwa”. Rektor szkoły w Eton zabronił uczniom zażywania tego leku. (Jednak wkrótce sam będzie widywany, jak szwenda się w niestosownym stroju po nocy z rozanieloną miną, niewykluczone, że pod wpływem

opium). Czarnowidze w poważanej prasie wyrażali obawę, że plaga może spowodować erozję „prawdziwej tkanki społeczeństwa”. (Nowe zagrożenia zawsze domagają się nowych frazesów). Takie obawy nie były bezpodstawne. Dobrze urodzeni młodzieńcy pod wpływem leku podważali chrześcijańskie wartości. Ich pozytywna, pełna radości odpowiedź na godne ubolewania doniesienia z kontynentu, w tym o rewolucji we Francji, była niepokojąca. Czy cywilizacja chwiała się w posadach? Niezupełnie. Ale – choć nikt jeszcze go tak nie nazywał – powoli nadciągał romantyzm, a przybywał spowity w opium.

ROZDZIAŁ 11

Romantyczne opium

Był rebelią skierowaną zarówno przeciwko przeszłości, jak i przyszłości. Romantyczny Mężczyzna i Romantyczna Kobieta odrzucili stare ideały zrównoważenia i umiarkowania. Opowiedzieli się za swobodą, fantazją i wyobraźnią. Sławili miłość, nienawiść i nieracjonalne impulsy. Sami siebie postrzegali jako oswobodzicieli ludzkiej duszy: i własnej, i duszy rodzaju ludzkiego. Odrzucała ich jednak panosząca się dokoła brzydota. Rzecz jasna, istniała od zawsze i trzeba się było z nią pogodzić, ale wszystkie nowe okropieństwa – buchające dymem kominy, przeludnione slumsy – były dziełem człowieka. Średniowieczni feudalni panowie wiedli bardziej interesujące, lecz niewiele wygodniejsze życie niż ich poddani. Teraz upodlenie biedoty ostro kontrastowało z nieskończenie bardziej elegancką egzystencją mieszkających tuż obok bogaczy. Nawet stosunkowo niewrażliwe jednostki

czuły się z tym nieswojo. Co bardziej lękliwi próbowali uciec. Ucieczka zaś wymagała sporej dawki symulatora pozorów. Opium nie sprawiało, że brzydota znikała, ale mogło popchnąć wyobraźnię w znacznie przyjemniejsze rejony.

Lek przynosił też inne skutki. Pomagał pokonać przestarzałe zahamowania, przełamać zasady etykiety, a nawet – czy raczej przede wszystkim – zerwać ze staroświeckimi komunałami. Skłaniał do wygłaszania śmiałych oświadczeń (choć rzadko potem dotrzymywanych) i podejmowania odważnych przedsięwzięć (choć często niepraktycznych). Inspirował tworzenie pięknych słów i muzyki. Osobom pozbawionym wyobraźni pomagał zrozumieć podszepty Natury, a czasami nawet na nie odpowiedzieć. Dla statecznych, pracowitych ludzi nowy kult był sprzeczny z rozumem i nieuleczalnie wywrotowy. Wywoływane przez opium odrzucenie materialnego postępu i gromadzenia bogactw zdawało się godzić w podstawy cywilizacji. Bez słusznego, podbudowanego prawem dążenia do zysku struktury społeczne niechybnie upadną, nastąpi chaos. Jednak romantycy nie wyznawali takich poglądów. Przez najbliższe kilkadziesiąt lat romantyczne opium będzie napędzało namiętności i wzloty zdumiewająco niepowiązane z pieniędzmi.

* * *

W 1805 roku Thomas Trotter, szkocki chirurg w służbie marynarki wojennej, opublikował *A View of the Nervous Temperament* („Pogląd na usposobienie nerwowe”)[1]. W swej książce sportretował nowe pokolenie – młodzież, która samą siebie nazywała „romantykami” – jako „dotknięte nerwowym usposobieniem, dawniej stanowiącym przywilej poetów, artystów i arystokratów”. I jeśli ci młodzi ludzie nie byli faktycznie „dotknięci”, przynajmniej tak się właśnie zachowywali. Trotter uważał, że znaczną część owych stanów

należy przypisać pozorowanej afektacji. Jednakże nawet pozowanie może być niebezpieczne. Autora martwiło, że zwyczajni ludzie zaczęli uważać stymulanty nie za luksus, lecz za artykuł pierwszej potrzeby. Nawyk zaczął się od herbaty i kawy. Teraz przyszła kolej na opium. Co prowadziło do bezsenności, hipochondrii i histerii. To zaś wymagało dalszego leczenia. A większe ilości medykamentu oznaczały większe uzależnienie.

Jednak dla dzieci romantyzmu uzależnienie nie stanowiło takiego problemu jak dla ich rodziców. Stawało się wręcz modne. Wrażliwi mężczyźni i kobiety o psychice zbyt kruchej jak na zło tego świata i cierpiącej w zetknięciu z tym złem byli podziwiani i naśladowani. Owe wydelikacone stworzenia, obdarzone „wielce naładowanym" usposobieniem, doczekały się licznych naśladowców w postaci powłóczących nogami młodzieńców. Samo określenie „wielce naładowany", zapożyczone z nowej romantycznej nauki o elektryczności, zrobiło niesamowitą furorę. A najpewniejszą drogą do uzyskania takiego naelektryzowanego stanu było przyjmowanie magicznego wywaru. Ktoś mógłby krzywo patrzeć na tureckie masakry w Bułgarii i innych krajach – żaden chrześcijanin nie powinien akceptować takiego zachowania – ale trzeba oddać Turkom sprawiedliwość: ich opium było znakomite.

* * *

Podobnie jak napęd parowy, Szekspir i lamenty Osjana[2], opium podbijało również kontynent. Francja przetrwała wstrząsy rewolucji, a wielki terror skończył się krwawą łaźnią. Jak zawsze w przypadku takich gwałtownych wydarzeń ci, którzy przeżyli, rzucili się w wir maniakalnej zabawy i uciech. Pod arkadami Pałacu Królewskiego w Paryżu, a nawet w niemodnych prowincjach *Incroyables* i *Merveilleu-*

ses[3] paradowali w swych cudacznych strojach spowici oparami opium. Być może rewolucja była dla wielu dobrodziejstwem, lecz niejednemu nadal brzmiało w uszach zawołanie Dantona[4]: *l'audace, de l'audace et encore de l'audace*[5]. I chociaż poza granicami Francji Napoleon wkrótce zacznie być postrzegany jako potwór, ducha zmian nie dało się już z powrotem wcisnąć do butelki i zakorkować. Dantonowska „odwaga" przybierała dziwaczne formy. Na kontynencie, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, elegancka chorobliwość była *trendy*, a krzepka sprawność – *passé*. Tyle że po francuskiej stronie więcej w tym było prawdy niż pozorów, z poważniejszymi konsekwencjami. Kruchość i bladość nie zawsze były udawane. Gruźlica – nazywana w tamtych czasach tuberkulozą, suchotami galopującymi, a przez lekarzy *phthisis* – stawała się powoli coraz silniejszym i coraz ważniejszym ogniwem łączącym opium z epoką romantyzmu.

* * *

Choroba była stara jak świat. Niektóre z garbatych osób przedstawionych na malowidłach zdobiących staroegipskie grobowce przypuszczalnie w dzieciństwie cierpiały na chorobę Potta, czyli gruźlicę kręgosłupa (tak samo jak Dzwonnik z Notre-Dame). A Areteusz z Kapadocji dał przejmujący opis pacjenta dotkniętego gruźlicą płuc:

> Młodzieniec o ochrypłym głosie (…), krańcowo wyniszczony, z zakrzywionymi i kruchymi paznokciami, oczyma głęboko zapadniętymi, lecz jarzącymi się blaskiem (…), znużenie połączone z niemądrą wesołością (…) łopatki na plecach jak ptasie skrzydła[6].

Jednakże w postaci, w jakiej niedługo będzie się kładła cieniem na życiu milionów ludzi, gruźlica wyrosła w Anglii w ślad za zmianami, które zapiszą się w historii jako rewolucja przemysłowa. Kpiąc sobie z granic politycznych, szyb-

ko przekroczy kanał La Manche, by rozpełznąć się wolno po całym kontynencie. A potem przeprawi się przez Atlantyk. Gruźlicę otaczały mity i do pewnego stopnia tak jest do dziś. Często opisywano ją jako bezbolesną chorobę, a taki stan mógł trwać kilka miesięcy czy nawet lat. Wcześniej czy później jednak odzywał się ból i był rozdzierający. W gruźlicy płucnej, czyli postaci choroby najczęściej zdarzającej się w XIX i XX wieku, jako pierwszy objaw zazwyczaj występowało „ciche" krwioplucie, czyli wykrztuszanie świeżej krwi. Keats, Schiller, a 100 lat po nich Czechow byli lekarzami, odebrali stosowne przeszkolenie, toteż od razu rozpoznali ten objaw i jego znaczenie. Ale choroba wkrótce tak się już rozpowszechniła, że również laicy nauczyli się dostrzegać powagę jej oznak. Ból najczęściej pojawiał się w momencie, kiedy choroba z płuc docierała do gardła. Uniemożliwiał mówienie i utrudniał przełykanie. Jako jedyny lek ulgę w cierpieniu przynosiło opium. Niemy, blady, wycieńczony człowiek, często z błyszczącymi, czujnymi oczyma, uciekał się do błogosławionej tynktury – niekiedy pił przez słomkę, a czasami był zbyt słaby, by samodzielnie utrzymać szklankę w ręku. Lekarstwo pozwalało cierpiącym, takim jak Chopin, umierać w spokoju. Sto i więcej lat później to samo będzie dotyczyć Aubreya Beardsleya, Franza Kafki, Elizabeth Siddal, Sophie Munch, D.H. Lawrence'a, Katharine Mansfield, Alfredo Catalaniego, George'a Orwella i niezliczonych innych osób, których nie pamięta się już z imienia i nazwiska[7].

Niektórzy lekarze nie aprobowali środków uśmierzających ból, ponieważ mieli takie zasady albo czuli, że jest on ze względów moralnych, a nawet fizycznych korzystny. Jeśli się wpadło w ręce takiej chodzącej porażki, człowieka czekała prawdziwa udręka. Doktor James Clark (później uhonorowany tytułem szlacheckim) z ostatnich czterech miesięcy

życia biednego Keatsa w Rzymie uczynił prawdziwą katuszę[8]. Na szczęście większość lekarzy z ochotą przepisywała laudanum w nieograniczonych ilościach – dzięki temu ostatnie dni pacjentów stawały się znośniejsze i dla nich samych, i dla czuwających przy ich łożu przyjaciół i krewnych. Jeśli niektórzy z przyjaciół i krewnych sami się potem uzależnili, nie można było nic na to poradzić.

Często się mówi, że gruźlica przekraczała bariery społeczne i tak samo zabijała bogatych, utytułowanych i możnych, jak biedaków. Była to zarówno prawda, jak i nieprawda. Nie oznaczała, że *Mycobacterium tuberculosis* (prątek gruźlicy) nie szanuje wysokiego urodzenia ani bogactwa: trudno, aby mikroorganizmy czyniły tego rodzaju rozróżnienia. Ale na każde 10 000 niedożywionych dzieciaków z klasy robotniczej prątek zabijał takiego księcia Reichstadt[9] – pilnie strzeżonego i chronionego syna i wnuka cesarzy[10]. Prawdziwa była również jedna, zupełnie niewyjaśniona cecha tuberkulozy: niezwykła zapadalność związana z wiekiem. Gruźlica zabijała nie niemowlęta i nie starców (a właśnie te dwie grupy wiekowe są najbardziej podatne na choroby), lecz młodych ludzi u progu rozkwitu. John Keats dostał pierwszego krwotoku w wieku 21 lat, a u Shelleya pierwsza oznaka gruźlicy, bolesne zapalenie opłucnej, pojawiła się, gdy miał 24 lata[11]. Potem choroba tliła się w nich, nieprzewidziane zaognienia przeplatały się z remisjami, a okresy niewysokiej, sporadycznej gorączki często wiązały się z niepokojem, ale były też zdumiewająco płodne literacko. Jednak nawet w chwilach wielkiego natchnienia owi młodzi ludzie żyli w cieniu śmierci i mieli zaledwie dwa źródła pociechy. Jednym było tajemnicze zjawisko, *spes phtisica*, czyli nadzieja gruźlików – irracjonalne, a jednak wciąż podsycane przekonanie, że śmierć nie nadejdzie. Drugie to oczywiście opium. Dzięki wsparciu tych dwóch czynników

obaj poeci wykrzesali z siebie niesamowitą odwagę i napisali utwory zaliczające się do najwspanialszych dzieł literackich swych czasów – a może i wszech czasów.

* * *

Po wieczorze spędzonym w operze medyczny wszystkowiedzący mądrala zazwyczaj wyjaśnia, że scena śmierci odegrana przez Violettę, Mimi czy inną aktorkę jest z klinicznego punktu widzenia niemożliwa. Mądrala nie tylko przynudza, lecz także się myli. Aleksander Dumas syn i Henri Murger wiedzieli, o czym piszą[12]. Obaj widywali suchotnicze młode kobiety podcięte w kwiecie wieku. To prawda, że taka śmierć mogła być okrutna i bolesna, ale bywała też łagodna i przepełniona miłością. Tę drugą opcję umożliwiało laudanum. Po obejrzeniu Jeanette de Cluseau w premierowym przedstawieniu *Damy kameliowej* Théophile Gautier napisał: „Nigdy nie widziałem śmierci tak uwznioślającej i pełnej nadziei, jej blada twarz wśród koronkowych poduszek, jej dusza przeświecająca (…) wdzięk, szczęście i miłość oczarowujące duszę. O, cuda zdziałane przez ten błogosławiony napój!”[13].

Scena nie wymagała szczególnego wysiłku aktorskiego. Jeanette sama zmarła pół roku później. A Virginia Poe, wybranka Edgara Allana, nadal wieczorami udzielała się towarzysko, mimo że odkrztuszała całe szklanki jasnoczerwonej krwi i była nazbyt wyczerpana, by się za dnia choćby podnieść z szezlonga. Zatańczyła jeszcze swój ostatni taniec tego wieczoru, kiedy dostała fatalnego krwotoku. Przez cały czas zażywała ogromne dawki laudanum, a mąż dotrzymywał jej towarzystwa. Jak zawsze bywało w takich okolicznościach, on też zaczął brać opium i prawie na pewno wpadł w uzależnienie. Nieodparcie nasuwa się więc pytanie, czy podawanie leku w takich przypadkach nie tylko przynosiło

ulgę w cierpieniu, lecz także skracało życie. Ówcześni lekarze, mający więcej doświadczenia niż dzisiejsi eksperci, nie mieli co do tego wątpliwości. Nie powstrzymywało ich to jednak od przepisywania leku. Pojęcie jakości życia było wynalazkiem epoki romantyzmu znajdującej oparcie w opium.

* * *

Wśród niekończących się przemarszów wojsk podczas wojen napoleońskich prątek gruźlicy za nic miał sobie linie frontów, blokady i kontrblokady. Zwycięzca spod Waterloo, Wellington, nabrał zwyczaju zażywania opium jeszcze podczas wojny na Półwyspie Iberyjskim, przypuszczalnie przed bitwą pod Corunną – Goya w noc poprzedzającą rzeź naszkicował twarz z wymalowanym na niej narkotycznym głodem. Z kolei dowódca armii pruskiej pod Waterloo, zaciekły wąsaty von Blücher, nosił w manierce nie wódkę, lecz laudanum, narażając się na drwiny podkomendnych. Stojący na czele Francuzów Napoleon oraz jego bracia od dziecka mieli wpajane przez matkę, skrzętną Letycję Buonaparte, aby stronili od zgubnego nałogu. Jednak w obliczu kryzysowej sytuacji matczyne przestrogi szły w zapomnienie. Co najmniej dwóch jej synów, Józef i Hieronim, zażywało laudanum, gdy szczęście się od nich odwróciło. Sam Napoleon zaś nie umiał się pożegnać z Gwardią Cesarską (czy raczej z tym, co z niej zostało) bez wzmacniającego łyku. I nie mogła to być jego pierwsza przygoda z tym specyfikiem, ponieważ widniał na liście potrzeb więźnia osadzonego na Wyspie Świętej Heleny[14].

Co bodaj bardziej zaskakujące, cesarski wróg i przez kilka lat więzień, świątobliwy papież Pius VII, wspomina pewne pozytywne doświadczenie. Jego wysiłki zmierzające do pojednania z cesarzem okazały się próżne i papież był w rozpaczy. Na duchu podniosło go lekarstwo, które zaproponowa-

wała mu żona dozorcy więzienia. Pius zanotował w swoim dzienniku: „Powiedziano mi, że ten cudowny eliksir przygotowują ciemni, niewierni Turcy ze specjalnego rodzaju maku. Jakże niezbadane są sposoby działania Wszechmocnego”[15].

* * *

Jeden z najbardziej zagorzałych obrońców papieża (i jeden z najpotężniejszych hipochondryków w literaturze), wicehrabia de Chateaubriand, zapewniał swoich przyjaciół, że nie mógłby dokończyć dzieła *Geniusz chrześcijaństwa*, nie uciekając się regularnie do laudanum. Podczas wojen napoleońskich lek nierzadko trudno było zdobyć, ale zapotrzebowanie pisarza pokrywali „życzliwi i dobrze urodzeni bretońscy przemytnicy”. (Dla wicehrabiego „dobrze urodzeni” było równie ważne jak „życzliwi”). Po restauracji Burbonów przekonany, że napadające go ostre bóle w klatce piersiowej są objawami fatalnej choroby, udał się po poradę do najwybitniejszego wówczas francuskiego lekarza, René Théophile’a Hyacinthe’a Laënneca. Wynalazca stetoskopu podobnie jak de Chateaubriand był Bretończykiem, a do tego pobożnym katolikiem. Aż trzy godziny poświęcił na zbadanie swojego dostojnego pacjenta. W końcu ogłosił, że wszystkie arystokratyczne narządy są w doskonałej formie. Wicehrabia wyjechał od niego wielce zawiedziony, ale po wizycie nadal hołubił swoje dolegliwości i jedyne na nie lekarstwo – opium.

Jego lekarz nie miał takiego szczęścia. Po napadzie kaszlu w żartach poprosił, żeby jeden ze studentów przyłożył mu do klatki piersiowej „tubę do słuchania”, którą Laënnec sam wynalazł[16]. Okazało się, że nie ma żartów – jedno z jego płuc było już zupełnie przeżarte, a drugie częściowo. Lekarz złożył pożegnalną wizytę swojej pacjentce, księżnej

de Berry[17], i poinformował ją, że będzie musiała znaleźć sobie innego doktora. On umrze w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. „Nigdy nie używajcie eufemizmów na śmierć – zawsze instruował uczniów. – Śmierć jest częścią życia”. Osłabiony utratą krwi, ale trzymający ból w szachu za pomocą opium, pojechał do swojej ukochanej Bretanii. Lek umożliwił mu odwiedzenie rodzinnej kaplicy w Sainte-Croix. Jego żona napisała później, że wrócił do Manoir uzbrojony w *l’alliance du Bon Dieu et l’opium*[18].

> Pod wpływem tej cudownej substancji niewiele cierpiał podczas swych ostatnich dni. Przeważnie spokojnie drzemał. Obudził się 13 sierpnia 1826 roku, zdjął z palców pierścionki i rzucił je na kawałek papieru na stoliku przy łóżku. „Przepraszam. Prawie zapomniałem. To takie nieprzyjemne zadanie dla kogoś innego”. Kilka godzin później przestał oddychać[19].

* * *

Wielu lekarzy, którzy podobnie jak Laënnec przez następne półtora stulecia będą całymi dniami podawać opium bladym, kaszlącym suchotnikom, miało przed sobą podobną ścieżkę. Zarówno choroba, jak i uzależnienie zostały wkrótce uznane za przypadłość typową dla kadry medycznej. Przynajmniej nigdy nie brakowało „łagodnie chorych” czy „wychodzących z kryzysu” suchotniczych lekarzy i pielęgniarek do zatrudnienia w sanatoriach. W czasach Laënneca tego rodzaju instytucje nie były jeszcze znane, ale pół wieku później wyrastały już jak grzyby po deszczu – wysoko w górach, na odosobnionych morskich wybrzeżach i w innych odludnych rejonach. W owych na wpół więzieniach, na wpół szpitalach personel wydawał opium i sam się nim raczył. Nikt nie miał nic przeciwko temu – choć raz i leczący, i chorzy dzielili ten sam los. Dlaczegóż ostatnia podróż mia-

łaby być bardziej bolesna, niż to konieczne? Niech mak będzie błogosławiony.

* * *

Co oczywiste, to nie lekarze zostawiali dla potomności najwymowniejsze świadectwa, tylko dotknięci chorobą poeci, kompozytorzy i artyści. Keats pisał na przykład w kwietniu 1819 roku:

> ...gdzie twój mak rzuca
> wokół mojego łoża swe kołyszące łaski[20].

Wiersz *Wigilia świętej Agnieszki* jest pełny erotycznych wizji inspirowanych przez opium, a *Oda do indolencji* wydaje się wręcz przesycona tym lekiem:

> W dojrzałej sennej godzinie lata
> Błogi obłok lenistwa mamił,
> Otumanił mi oczy, puls zwalniał, ból nie ranił,
> Rozkosz w bezkwietny wieniec splatał[21].

Sir Walter Scott nie lubił leku i jego efektów, ale gdy pisał *Narzeczoną z Lammermoor*, lekarz zalecił mu zażywanie sześciu granów dziennie w celu przeciwdziałania bolesnym skurczom brzucha. Kiedy powieść była już ukończona, autor utrzymywał, że nie pamięta ani jednego zdarzenia, postaci czy rozmowy z rozdziałów pisanych pod wpływem opium. Przyznał jednak, że jego opis neurozy Lucy Ashton i jej ostatecznego obłędu (jeden z tych rozdziałów, których nie zarejestrował w pamięci) należą do jego najlepszych fragmentów. W domostwie Brontë połączenie opium i alkoholu zrujnowało dumę i nadzieję rodziny, Bramwella, a po jego śmierci nie wolno było nawet wspominać o leku, mimo że wszystkie trzy siostry umierały na gruźlicę. Charlotte zawarła jednak w swojej ostatniej powieści, *Villette*, przejmującą sekwencję snu, która mogła być wywołana przez

opium, oraz żywy opis ulgi doznanej po „silnym opiumowym napoju”, który spożyła łapczywie, gdy bardzo źle się czuła. Zamiast sprowadzić senność, mikstura „ożywiła mnie nową myślą (…). Nie wiem, czy Madame [Beck] przygotowała za małą, czy za dużą dawkę”. Lecz opium w każdej dawce mogło albo ukoić myśli, albo wywołać dziwne, porywające nowe idee.

W Niemczech Georg Philipp Friedrich Freiherr von Hardenberg, lepiej znany jako Novalis, stracił swą ukochaną Sophie von Kühn – dziewczyna zmarła na gruźlicę w wieku 15 lat. Dwa lata później sam zaczął kaszleć. W ciągu swego krótkiego życia[22], którego większość spędził pod wpływem laudanum, stworzył tekst literacki będący kwintesencją działania opium na duszę poety. Niejasne i niepokojące, owe urywki dziś, tak samo jak niegdyś, w niewytłumaczalny sposób zapadają w pamięć. Novalis tworzył ponadto inspirowaną lekiem poezję religijną, która jednych rzucała na kolana, a wielu innych drażniła. Jego „hymny” mieszały ewangelicką pobożność z maryjnym mistycyzmem, a seksualne aluzje z głębokim duchowym przeżyciem, co było i szokujące, i urzekające zarazem. Franz Schubert, zazwyczaj niedościgniony w pełnym wyczucia dopasowywaniu muzyki do słów, miał trudności z przełożeniem na muzykę wylewnych strof Novalisa. Przynajmniej aż do ostatniego hymnu. Kiedy ostatni wers wokalu: *Ich fühle des Todes verjungende Flut* („czuję ożywczy strumień śmierci”) wznosi się ponad pięciolinię, dźwięki oddają trzepot duszy wyzwolonej z ziemskich cierpień. Wyzwolicielem było opium.

Sam Schubert przypuszczalnie nie zażywał laudanum, nawet podczas swojej ostatniej, bolesnej choroby, ale jego krąg znajomych był przesiąknięty tym lekiem. Johann Mayrhofer, z którym kompozytor dzielił mieszkanie, pracował w cesarskim urzędzie cenzury – wyjątkowo przykre zajęcie

dla wrażliwej duszy. Wykonywanie zawodu stawało się znośne dzięki ucieczkom w poezję i laudanum, nierozerwalnie z sobą połączonym. W końcu jednak ciężar okazał się zbyt duży i Mayrhofer zabił się, wyskakując przez okno wspólnego mieszkania. Krótko żył Ludwig Hölty, protestancki pastor łagodnego usposobienia – mocno uzależniony, podobnie jak Johann Gabriel Seidl, poeta, autor słów ostatniej pieśni Schuberta w jego wydanym pośmiertnie zbiorze *Łabędzi śpiew*. A przesycony lekarstwem Johann Georg Jacobi, średnich lotów poeta okresu burzy i naporu, „żegluje ku nieśmiertelności, dostarczywszy słów do jednej z największych pieśni, jakie kiedykolwiek skomponowano”[23]. Niektórych poetów Schubert podziwiał tylko z daleka. Olimpijski Goethe lubił „regularnie pociągać łyk lekarstwa”, gdy sprawy państwowe i miłosne intrygi na dworze weimarskim zaczynały przytłaczać jego wielki umysł. Heinrich Heine raczył się laudanum przez większą część swojego wygnania w Paryżu: tylko mak, pisał, może przekształcić banalne uczucia, takie jak miłość, rozpacz, smutek i żałoba „w naszym zgrzytliwym niemieckim języku” w coś bliskiego poezji.

Kompozytorzy też wpadali w uzależnienie. Rozpaczający z miłości Hector Berlioz stworzył *Drogę na miejsce stracenia* z *Symfonii fantastycznej* w opiumowym śnie. Wszystkie części symfonii przedstawiają gorączkowe wizje wrażliwego młodego artysty, jego kapryśną miłość ukazującą się jako muzyczna idée fixe. W przypływie zazdrości artysta morduje ukochaną. W ostatniej części motyw muzyczny zostaje ucięty przez świst gilotyny[24]. Mniej więcej w tym samym czasie po drugiej stronie kanału La Manche Carl Maria von Weber, utrzymywany przy życiu przez laudanum, dyrygował dziewięć przedstawień swojej ostatniej opery, *Oberon*, w londyńskim Covent Garden. Powinien był odwołać występy, ale jego rodzina w Niemczech desperacko potrzebowała

pieniędzy. Rano w dniu, w którym miał się odbyć ostatni koncert, znaleziono kompozytora martwego w kałuży krwi. Nie było funduszy na sprowadzenie zwłok do ojczyzny. Z kolei po francuskiej stronie w zaciemnionym mieszkaniu wychodzącym na Place Vendôme, a wynajętym dla młodego kompozytora bez grosza przy duszy przez jego szkocką patronkę Jane Sterling, opium sączone przez słomkę zamieniało agonię Fryderyka Chopina w gasnący z wdziękiem ostatni *Nokturn*.

Opium czasami przerzucało most nad różnymi formami sztuki. Adelbert von Chamisso, potomek francuskich arystokratów osiadłych w Berlinie, napisał cykl wierszy *Frauenliebe und Leben* („Życie i miłość kobiety”), po tym jak poślubił Antonie, niepiśmienną 16-letnią służącą. Cierpiał już wówczas z powodu kaszlu, częściowo tłumionego za pomocą laudanum. Młoda żona opiekowała się nim, ukrywając własną szybko rozwijającą się chorobę i narastające uzależnienie od leku. W końcu kolejność okazała się odwrotna niż w poezji – to *der Mann* opłakiwał *die Frau*, tyle że przeżył ją zaledwie o kilka miesięcy. Dwadzieścia lat później ich szczęście i smutek zainspirowały Roberta Schumanna do skomponowania jego największego cyklu pieśni. Olbrzymie płótna mocno uzależnionego Johna Martina, biblijne i historyczne sceny z niewielkimi postaciami ukazanymi pośród dzikich krajobrazów, pod burzowym niebem, przyczyniły się do ukształtowania fantazji Théophile’a Gautiera, Victora Hugo i – przede wszystkim – somnambulicznych dzienników podróży Gérarda de Nervala.

I zawsze odchodzili młodo. Thomas Girtin miał 24 lata, kiedy naszkicował swoje ostatnie, cudownie spokojne obrazy Londynu. Słyszano, jak Willy Turner[25], bynajmniej nielubiący pozostawać w czyimś cieniu, mruczał sam do siebie: „Biedny, biedny Tom, gdyby żył, byłbym teraz nigdzie”. Wy-

dając ostatnie tchnienia, Richard Parkes Bonington malował akwarele z widokami Wenecji, które przywoływał z pamięci pogrążony w opiumowym transie w domu przy Harley Street w Londynie. Tylko laudanum było w stanie rozluźnić ucisk, jaki czuł w gardle. Gdy nie mógł już dłużej utrzymać pędzla, rysował kształty w powietrzu pustą dłonią aż do momentu spokojnego odejścia. Miał 26 lat. Jego przyjaciel Delacroix wyraził się o nim: „unoszony w dal własnym geniuszem niczym młody bóg”.

* * *

Po obu stronach Atlantyku jesień była naturalną przyjaciółką uzależnionych poetów. Nad jeziorem Annecy w Sabaudii Charles Hubert Millevoye napisał swój ostatni wiersz o „żałobnych kolorach zamierającej pory roku”. W Concorde w stanie Maine Henry Thoreau z fascynacją obserwował „barwy pożegnania” jarzące się nienaturalnie żywymi odcieniami po laudanum. Dla Michaiła Lermontowa w Rosji opium uczyniło z września „miesiąc nieodwzajemnionej miłości”. Dla Keatsa jesień była (o czym wie każde angielskie dziecko w wieku szkolnym) „porą mgieł i soczystej urodzajności”[26]. We Włoszech książę Giacomo Leopardi, spowity wyziewami opium, płakał, patrząc, jak trzepoczą na wietrze pożółkłe liście w parku. Na Węgrzech ostatnie kwiaty lata, wciąż kwitnące w dolinie, zainspirowały Sándora Petőfiego do napisania najpiękniejszych strof w jego języku[27].

* * *

Wszystkim tym młodym ludziom opium dało chwile szczęścia w ostatnich miesiącach ich przedwcześnie zakończonego życia. Innym lek narzucał długie trwanie w niewoli nałogu.

ROZDZIAŁ 12

Pałac rozkoszy w Xanadu

Był 11 kwietnia 1816 roku. Doktor James Gillman, lekarz rodzinny w położonej na wzgórzu wiosce Highgate, kilkanaście kilometrów na północ od Londynu, dostał list od swojego kolegi po fachu, doktora Josepha Adamsa z Hatton Gardens.

> Zgłosił się do mnie wielce wykształcony, ale pod pewnym względem nieszczęśliwy dżentelmen. Od kilku lat miał zwyczaj przyjmowania dużych ilości opium. Przez pewien czas na próżno sam usiłował wyrwać się z tego [nałogu] (…). Przyjaciele nie są wystarczająco pewni – obawiają się, czy nie będzie cierpiał z powodu nagłego odstawienia; (…) lecz on mi zaproponował, że podda się każdemu programowi, choćby bardzo surowemu. Mając to na uwadze, człowiek ten pragnie umieścić się w domu jakiegoś dżentelmena, któremu starczy odwagi, by mu odmówić laudanum, i z którego pomocą, gdyby doszło do pogorszenia, mógłby uśpić potrzebę (…). Nie przychodzi mi do głowy nikt tak odpowiedni jak

> ty sam (…). Bądź tak dobry i poinformuj mnie, czy taka propozycja jest całkowicie sprzeczna z twoim rodzinnym układem. Nie składałbym jej, gdyby nie wielkie znaczenie tego człowieka dla literatury jako pisarza. Przystępny charakter tego dżentelmena uczyni jego towarzystwo bardzo interesującym, jak i użytecznym (…)[1].

Doktor Gillman nie miał najmniejszego zamiaru przyjmować lokatorów, choćby Bóg wie jak „interesujących”. Ponadto był aż nadto dobrze świadom, jak trudno jest odzwyczaić opiumistów od ich leku. Ostatnio mówiono mu o przypadku pana Williama Wilberforce’a, znamienitego polityka i działacza na rzecz zniesienia niewolnictwa, którego leczył wybitny lekarz w Bath, a kuracja skończyła się kompletnym fiaskiem. Słyszał o wielu innych niepowodzeniach. Zgodził się jednak na spotkanie z pacjentem, do niczego się nie zobowiązując. I na drugi dzień wieczorem doktor Adams przywiózł do Highgate pana Samuela Taylora Coleridge’a. Następnego dnia Coleridge przybył już sam, co doktor Gillman wspominał później w ten sposób:

> Jego maniery, wygląd, a nade wszystko jego konwersacja były urzekające. Słuchaliśmy go z lubością (…), a [kiedy obecny przy tym przyjaciel odjechał] Coleridge poinformował mnie o bolesnej opinii, jaką otrzymał odnośnie do swego przypadku, zwłaszcza od pewnego uznanego lekarza. Poczułem się oburzony. Opowieść była smutna, a opinia podana w sposób nieprofesjonalny i okrutny, wystarczająco, by odwieść większość dotkniętych [nałogiem] ludzi od próby, którą rozważał Coleridge i w którą zaangażował się głęboko całą duszą. W toku naszej rozmowy powtórzył kilka znakomitych, ale przygnębiających własnych wersów. Był to bolesny wieczór i zarazem przyjemne uczucie, którego nigdy nie zapomnę (…). Jego pragnienie uwolnienia się zrobiło na mnie doprawdy ogromne wrażenie[2].

Kolejnego dnia Coleridge wysłał do doktora Gillmana długi list.

> Mój wiecznie czujny Rozum oraz intensywność moich moralnych odczuć uchronią Cię przed związanymi ze mną nieprzyjemnymi okolicznościami, prócz tylko jednej: Wykrętu i przebiegłości specyficznego szaleństwa. Nie usłyszysz ode mnie niczego innego niż prawda – Wcześniejsze Zwyczaje sprawiły, że nie jest w mojej mocy uciekać się do fałszu – jednak o ile nie będę dobrze pilnowany, nie śmiem obiecać, że z powodu tej znienawidzonej Trucizny nie będę zdolny do kłamstwa (…). Każdy przyjaciel, jakiego mam (a dzięki Bogu mimo tego nędznego nawyku mam wielu oddanych przyjaciół, którzy nie opuścili mnie od młodości), będzie myślał o tobie z szacunkiem[3].

Wiele lat później doktor Gillman do tego ostatniego zdania dołączył dopisek: „»Nędzny nawyk« to zbyt mocne określenie. Nawyk ten nie wynikał z gnuśności ani ze zmysłowego pobłażania sobie. Nie, to była utajona choroba”. W poniedziałkowy wieczór 15 kwietnia 1816 roku Coleridge przybył do Highgate, by się zatrzymać u Gillmanów na miesiąc. I spędził u nich 18 lat.

* * *

Coleridge w swoim notatniku i w korespondencji oddał wiele udręk i katuszy genialnego umysłu spętanego niewolą opium, ale zewnętrzne wydarzenia z jego życia nie wyróżniały się niczym szczególnym.

Urodził się w Ottery St Mary, miasteczku targowym w hrabstwie Devon, 21 października 1772 roku jako dziesiąte i najmłodsze dziecko wielebnego Johna Coleridge’a. Ojciec, miejscowy pastor, był świątobliwym człowiekiem i syn bardzo go kochał. Rodziciel zmarł jednak, kiedy chłopiec miał dziesięć lat. Samuela wysłano do Christ’s Hospital – szkoły z internatem założonej w londyńskim City, znanej z wysokich akademickich standardów i bezkompromisowego rygoru moralnego. Rzadko pozwalano mu jeździć do domu, a matka nigdy nie odwiedziła go w ciągu dziewięciu

lat nauki. Często chorował, ale ponieważ bał się infirmerii, wolał raczej znosić ból, niż być zamkniętym w izbie chorych. W podobnych okolicznościach dorastało wielu tych, którzy pozostawili po sobie niezatarty ślad w XIX-wiecznej angielskiej literaturze i epistolografii.

Studiując w Cambridge, w Jesus College, zdobył złoty medal za napisaną po grecku odę o handlu niewolników, lecz nie uzyskał stopnia naukowego. Uciekając przed wierzycielami, zaciągnął się do Lekkiej Dragonii – niemądre posunięcie zważywszy na to, że nie cierpiał zarówno musztry, jak i kontaktu z końmi. Na szczęście koledzy chętnie wyręczali go w oporządzaniu wierzchowca w zamian za listy miłosne, które za nich pisał jeden z największych angielskich poetów lirycznych. Wróciwszy do Cambridge, Coleridge zaprzyjaźnił się z Robertem Southeyem i dwaj poeci poślubili dwie siostry: Sarę i Edith Fricker. Samuel jednak z czasem znienawidził swoją żonę, z którą miał trzech synów i córkę. Może kobieta miała trudny charakter, ale dla kogoś, kto wychodzi za mąż za człowieka uzależnionego od opium, miłość małżeńska musi być wyjątkowo ciężką próbą.

W 1795 roku Coleridge poznał Williama Wordswortha i jego siostrę Dorothy. Ich przyjaźń zaowocowała niezwykłą współpracą[4]. Poeci wspólnie wydali *Ballady liryczne* (1798), przez niektórych uważane za punkt zwrotny w angielskim romantyzmie. Podróżowali po kontynencie i Coleridge zagłębił się w niemiecką filozofię oraz zaangażował w szereg przekładów, a także ćwiczył się w plagiacie. Po powrocie do ojczyzny osiadł w Keswick w Krainie Jezior, aby być blisko Wordsworthów, co przypuszczalnie było błędem. Wkrótce Dorothy wyrażała swoje zgorszenie wobec jego nadętego wyglądu oraz faktu, że Samuel wypijał kwaterkę laudanum na tydzień[5]. Nie cierpiał, kiedy się nad nim litowano, ale naprawdę stawał się już żałosną postacią.

W latach 1809–1817 liczne jego dziennikarskie przedsięwzięcia skończyły się fiaskiem. Serie prelekcji wygłaszanych w Bristolu i Londynie były przerywane okresami niemocy. Coleridge wciąż umiał zabłysnąć, ale jego słuchacze niecierpliwili się, gdy wpadał w chaotyczne dygresje[6]. Spotkało go upokorzenie i wkrótce został bez środków do życia. Dom doktora Gillmana otworzył się dla niego w ostatniej chwili[7].

* * *

Trzeba jednak spojrzeć poza powierzchowne oczarowania czy rozczarowania, ponieważ były udziałem dziesiątek tysięcy mniej znanych osób pozostających w niewoli opium. Coleridge, jak wielu uzależnionych w jego epoce, od dzieciństwa cierpiał na wyniszczającą chorobę fizyczną. Gorączka reumatyczna w dzisiejszej Europie Zachodniej jest prawie w ogóle nieznana, ale wciąż szerzy się w mniej rozwiniętych rejonach świata. Dawniej przez całe stulecia była na naszym kontynencie jedną z najbardziej przerażających chorób dzieciństwa. Zaczynała się bolesnym ostrym zapaleniem stawu – jednego lub kilku – a wkrótce rozwijały się powikłania pozastawowe. W wielu wypadkach podczas gdy choroba „lizała stawy, kąsała serce”[8]. Po wielu latach u dotkniętej nią osoby występowało spłycenie oddechu, obrzmienie kostek u nóg, wodobrzusze, bóle w klatce piersiowej i kaszel. Chory wyglądał na coraz bardziej ociężałego, wyczerpanego, oddychał z trudem i bez dramatycznych efektów, lecz w przygnębieniu zmierzał ku końcowi, przed którym nie było ucieczki.

W momencie gdy Coleridge przybył do Gillmanów, miał 44 lata i – we własnej ocenie – „jeżeli nie liczyć Mózgu, [był] starcem”. Serce miał poważnie nadwerężone, dokuczały mu ból w klatce piersiowej i krótki oddech. Nie znano jeszcze

wówczas nawet salicylanów, którymi w późniejszych czasach łagodziło się gorączkę reumatyczną i jej następstwa, toteż opium było prawdziwym darem niebios[9]. Coleridge trzymał się przy życiu dzięki opiece doktora Gillmana i regularnie przyjmowanym, choć stosunkowo skromnym dawkom leku. Większość lekarzy, widząc jego stan w dniu przybycia, nie rokowałaby mu tak długiego życia. Zanim się przeniósł do Highgate, jego codzienność była zdominowana przez rosnące uzależnienie od opium (czy raczej zniewolenie), ukrywane i wykorzystywane przez innych. Do pewnego stopnia on sam wykreował romantyczny image artysty zażywającego opium, czerpiącego zeń inspirację i pozostającego w jego niewoli. Sławę Coleridge'a współtworzyła chorobliwa fascynacja, którą wzbudzał we współczesnych. Jednakże w wierszu *The Pains of Sleep* („Boleści snu") poeta daje niemal kliniczny opis narkomana budzącego się ze słodkiego pierwszego zauroczenia prosto w koszmar ciągnący się przez całe życie:

> (…) Wznosiłem w nocy głośne modły
> W udręce i z otchłani męki
> Płynącej z tłumu zjawisk podłych:
> Kształtów i myśli rwących jęki.
> Upiorne światło, tłuszcza wroga,
> Nie do zniesienia dziwna trwoga (…)
> Pragnienie miesza z obrzydzeniem,
> Z dzikim, nienawistnym spojrzeniem.
> Cud pasje! Szaleństw kłębowisko!
> I wstyd, i zgroza ponad wszystko![10]

Jak w większości przypadków uzależnienia, trudno dokładnie określić początek i koniec okresu euforii. Własna relacja poety jest wiarygodna, ale – jak wszystkie reminiscencje – przypuszczalnie co najmniej w połowie zmyślona.

> Nawyk, w który wszedłem przez niewiedzę, dając się omamić pozornie magicznym skutkom opium, po tym jak nagle usunęło przypuszczalną reumatyczną dolegliwość (…), z powodu której znosiłem bóle i byłem przykuty do łóżka przez niemal pół roku (…). Nieszczęśliwie się złożyło, że wśród książek moich sąsiadów i właścicieli mieszkań był duży pakiet medycznych przeglądów i czasopism (…) i w jednym z tych przeglądów natknąłem się na przypadek, który wydał mi się bardzo podobny do mojego, a w którym leczenie osiągnięto dzięki Czarnym Kroplom z Kendall. Zdobyłem [lekarstwo] w złej godzinie (…) i zdziałało cuda (…). Niestety! Teraz z gorzkim uśmiechem, z grymasem żółci wspominam tamten okres nic nieświadomego złudzenia”[11].

Pomijając jego poetycką, religijną i filozoficzną spuściznę, nikt przed nim nie udokumentował z taką wnikliwością rozwijającej się tragedii nałogu. Nie oznacza to, że jego dokumentacji można wierzyć. Opublikowane relacje Coleridge’a niemal na pewno były nieprawdziwe – w całości lub choćby częściowo. Ale nawet konfabulacje mogą być odkrywcze. We fragmentach autobiograficznych nałóg nigdy nie jest winą uzależnionego. Nieszczęśnik dał się zwieść okrutnym okolicznościom, samolubnemu społeczeństwu, obojętnej rodzinie, pełnemu dobrych chęci, lecz niemądremu przyjacielowi, złośliwej osobie od dawna borykającej się z nałogiem albo archetypowemu wcieleniu zła, „dilerowi”. Nie ma wskazówki co do tego, kto wciągnął Coleridge’a, ale wokół romantycznego barda zawsze skupiał się typowy tłumek nadskakiwaczy i natrętów. Joseph Cottle, wydawca i redaktor pism poety, ewidentnie gustował w brudnym dramacie i z lubością publicznie pozował na dobroczyńcę, roniąc łzy nad złem panoszącym się w społeczeństwie. Zarazem pilnie zbierał listy i wszelkie sensacyjne ciekawostki z myślą o ich późniejszej publikacji. Robert Southey wspierał rodzinę Coleridge’a, ale podniosłe tyrady, które wygłaszał do szwagra, by ten „wziął się w garść”, oraz odmowa udzielenia pomocy

w jakiejkolwiek materialnej formie (a posuwał się nawet do udaremniania pomysłów wsparcia przedstawionych przez innych) są niemal tak samo żałosne jak interesowna postawa Cottle'a. Co najbardziej przygnębiające dla lekarza – niemal wszyscy medyczni specjaliści, u których Coleridge zasięgał porady, zanim na jego drodze pojawił się doktor Gillman, na podstawie relacji jawią się jako niekompetentni, zbyt łatwo ferujący wyroki, bezużyteczni, hipochondryczni, a niekiedy wręcz wrogo nastawieni[12].

Ale nawet najbardziej zwięzły portret Coleridge'a – i jakiegokolwiek innego nałogowca – przedstawiający go jako niewinnego cierpiętnika będzie fałszem. Pierwszy atak na poetę jako na kłamcę i plagiatora przypuszczono zaledwie dwa miesiące po jego śmierci, a zrobił to nie kto inny jak również uzależniony kolega po fachu, Thomas de Quincey. Wkrótce dołączył do niego akademicki chór znawców gotowych rzucić cień na dzieło życia Coleridge'a. Spór w kręgach literackich nie wygasł – i jeżeli nie płonął, to przynajmniej się tlił – aż w 1971 roku Norman Fruman opublikował skrupulatnie udokumentowaną biografię poety, kompletnie go potępiającą[13]. Niektóre z kłamstw barda były co prawda jedynie upiększeniami. Coleridge, podobnie jak wszyscy romantycy, przywiązywał wielką wagę do boskiego natchnienia, spontanicznego wyrzucania z siebie słów wypływających znikąd, a w notach towarzyszących wierszom często twierdził, że właśnie „zdarzyło mu się nieświadomie wpaść w szał tworzenia" i że przytoczone wersy zostały spisane „na gorąco w przypływie inspiracji zeszłej nocy". W rzeczywistości niemal zawsze starannie komponował swoje utwory w ciągu tygodni lub miesięcy, a kończył jakiś czas przed ich upublicznieniem. Po wnikliwej analizie okazuje się, że nawet tak popularny „zapis snu" jak *Chan Kubiłaj* jest odrobinę „zapożyczony". Jednak nazywanie Colerid-

ge’a – czy jakiegokolwiek nałogowca – kłamcą to nadmierne uproszczenie.

„Prawda” i „kłamstwo” dziś należą do słów o największym ładunku emocjonalnym, a w życiu publicznym nabierają szczególnej moralnej wartości. Lecz kontekst wszystko zmienia. W świecie człowieka uzależnionego fakt, fikcja, luźne oparcie fabuły na faktach, fantazja i konfabulacja mogą się nierozerwalnie łączyć i mieszać. Na jednym poziomie Coleridge był gorliwym poszukiwaczem prawdy – jeśli nie najwyższej, to jakiejś tam prawdy. Prawda ta mogła być dla niego bardziej realna niż rzeczywistość postrzegana oczami współczesnych mu bliźnich. Był także, przez większość życia, swarliwym, lecz żarliwym chrześcijaninem. Kiedy w liście do doktora Gillmana pisał, że zgodnie ze swoim „wcześniejszym zwyczajem” nie mógłby mówić nieprawdy, niemal na pewno sam w to wierzył. Był przetrąconym archaniołem (by zapożyczyć podtytuł publikacji Frumana), ale nie szerzył celowo kłamstw, a w świecie tętniącym od plotek i wycieczek osobistych był wręcz niewinny. Jednak, mimo że sporadycznie zapuszczał się na grunt nauk fizycznych, zdecydowanie opartych na obserwowaniu faktów, te ostatnie nie stanowiły dlań imperatywu moralnego. Wszystko zależało od tego, jaki z nich robił użytek. A to było – i wciąż pozostaje – prawdą w przypadku licznych wielbicieli maku.

Podobną zagwozdką jest oskarżenie o plagiat. Sir Ernst Gombrich wykazał, że nawet najwięksi artyści więcej zawdzięczają wcześniejszym dziełom niż życiu. Zazwyczaj dobrze to rozumieją artyści, ale nie krytycy. Coleridge zapożyczał na dużą skalę albo – by nie owijać już w bawełnę – popełniał plagiaty bez skrupułów. Wiele ze swoich filozoficznych twierdzeń wziął od Kanta, Schellinga i Tennemanna. Ale ile z idei Kanta, Schellinga i Tennemanna zostało za-

czerpniętych z wcześniejszych filozofów albo wręcz od towarzyszy wczorajszej popijawy w tawernie? Nawet najlepiej znane wiersze Coleridge'a wydają się lekko „poprawione" przez Frumana, ale najbardziej zapadające w pamięć określenia i obrazy – jak pałac rozkoszy, albatros[14] – pochodziły od samego poety[15]. Niemniej było i jest prawdą, że w umysłach wielu uzależnionych osób konwencjonalne pojęcie intelektualnej własności literackiej stopniowo zanika. Czy owa własność ma znaczenie? Może tak.

ROZDZIAŁ 13

Opiumiści

Uzależnienie Coleridge’a było sprawą prywatną, znaną tylko małemu kręgowi przyjaciół. „Niewola” Thomasa de Quinceya zaś była tak bardzo publiczna, jak tylko udało mu się ją nagłośnić. Jego *Wyznania angielskiego opiumisty* (1822) stały się bestsellerem i zapewniły mu sławę – zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie – oficjalnej twarzy romantycznego opiumowego nałogu. Gatunek literacki, który pisarz wybrał do obnażenia swej duszy (a przy okazji większości funkcji cielesnych), był stary jak świat. Dla chrześcijan spisana przez świętego Augustyna kronika jego nawrócenia się i przeobrażenia z młodego utracjusza w dociekliwego chrześcijanina jest największą autobiografią, jaką wydał świat[1]. To w jego ślady poszło wielu purytanów, którzy uwiecznili swoją duchową drogę[2]. Z kolei bliżej czasów de Quinceya pośmiertnie opublikowano szokują-

co szczere *Wyznania* tego wstrętnego geniusza Jeana-Jacquesa Rousseau. Nie ulega raczej wątpliwości, że mimo stanowczych zaprzeczeń Anglika za wzór posłużyło mu dzieło Francuza.

„De” w nazwisku angielskiego pisarza było maleńką zarozumiałością, którą matka Tomcia dodała, aby podeprzeć swe arystokratyczne pretensje. Jej mąż nazywał się po prostu Thomas Penson Quincey, a był zamożnym, dobrodusznym manchesterskim biznesmenem. Umarł na gruźlicę, kiedy jego syn miał zaledwie siedem lat. Osierocona rodzina była jednak dobrze uposażona i przeniosła się do modnego kurortu na południu kraju – Bath. Uczniowie i nauczyciele tamtejszej szkoły podstawowej wspominali później, że młody Thomas był niski[3], miał niezwykłą łatwość w nauce języków oraz że umiał czarować. Część tego czaru później nada szczególny rys jego listom i krótkim utworom literackim. De Quincey miał 14 lat w 1798 roku, kiedy rzuciły go na kolana *Ballady liryczne* Wordswortha i Coleridge’a. Młodzieniec nawrócił się wówczas na romantyczną wrażliwość. Wbrew życzeniom rodziny spędził trochę czasu na samotnym wędrowaniu po Walii, a potem zamieszkał w Londynie razem ze swoją młodą żoną Anne, która – by nie pomarli z głodu – zarabiała jako prostytutka na Oxford Street. Pewnego dnia nie wróciła.

Przedłużone negocjacje ze stróżami i lichwiarzami w końcu pozwoliły Thomasowi zebrać na tyle środków, żeby się mógł zapisać do Worcester College w Oksfordzie. To tam w 1804 roku dopadł go taki ból zęba, że za namową innego studenta kupił swą pierwszą dawkę opium. Tego doświadczenia nigdy miał nie zapomnieć:

> (…) w ciągu godziny, o niebiosa! Co za zmiana! Jakie zmartwychwstanie wewnętrznego ducha z wielkich głębin! Jakaż światowa apokalipsa w moim wnętrzu. To, że ustąpił ból, było dla mnie te-

> raz błahostką; jego negatywne działanie zostało połknięte przez otchłań nagle mi objawionej boskiej przyjemności. Oto było panaceum na wszelkie ludzkie niedole; oto był sekret życia (…)[4].

Opium stało się jego przeznaczeniem. Jak zawsze mówił, lek niczego nie „tworzył”, ale wzbogacał piękno i intensyfikował przyjemność. De Quincey pojechał do Londynu i po łyku laudanum poszedł do opery. Słuchanie muzyki stało się błogą rozkoszą, niezakłóconą przez pogaduszki modnych ptasich móżdżków szepczących wśród publiczności. Czas się rozpuścił, przestrzeń przemieniła. Po przedstawieniu przyszły pisarz chodził ulicami, bezwiednie na nowo przeżywając swoje doświadczenie. To wówczas napisał swój sławny – a zdaniem wielu niesławny – pean:

> O, ty subtelne, wszech-zwycięskie opium! Które do serc takoż bogatych, jak i biednych, przez rany, co się nigdy nie zabliźnią, i poprzez ukłucia smutku, który „pokusza ducha do buntu”, wsączasz balsam uspokojenia – o wymowne opium! (…) Budujesz na łonie ciemności z fantastycznej wyobraźni mózgu miasta i świątynie (…) ponad splendory Babilonu i Hekatopylos. A z anarchii rozmarzonego snu wzywasz na słoneczne światło twarze o dawno pogrzebanym już pięknie i [wprowadzasz je w] błogie domostwo opanowania, oczyszczone z hańby grobu. Ty przeznaczasz te dary tylko dla człowieka i ty masz klucze do Raju[5].

Fragment ten jest godzien uwagi, jako że znużenie, które zazwyczaj przychodzi po euforii, znosi wszelką chęć do uwiecznienia tego, czego się właśnie doznało. W trzeźwiejszym tonie de Quincey poczynił cztery ogólne obserwacje. Po pierwsze, jego wyobraźnia mogła przynajmniej częściowo kierować wywołanymi przez opium fantazjami. Po drugie, szczęśliwym snom często towarzyszyła „żałobna melancholia, niewyrażalna w słowach”. Po trzecie, zostało zaburzone normalne poczucie czasu i przestrzeni. I wreszcie:

> Często ożywały najdrobniejsze incydenty z dzieciństwa lub zapomniane sceny z młodości. Gdyby mi kazano, nie mógłbym ich przywołać (…), ale stawały przede mną jak przeczucia i przyodziewały się we wszelkie ulotne okoliczności i towarzyszące im uczucia, tak że rozpoznawałem je natychmiast[6].

Opium, jak zauważył jeden z historyków:

> Dla obdarzonego wyobraźnią umysłu erudyty było niewątpliwie puszką Pandory z literackimi narzędziami (…). Wszak przypominanie sobie zagubionych w pamięci doświadczeń to ważny element sztuki pisarskiej (…). Opium podsuwało wyjątkowe wizualne obrazy, pozwalało na coś w rodzaju umysłowej podróży w czasie, otwierało nowe drogi obserwowania nieciekawej doczesności i działało jak podręczny memuar[7].

Rzecz jasna, nawet „dla obdarzonego wyobraźnią umysłu erudyty” narzędzia mogą się okazać zdradzieckie. W dziennym świetle wytwory opiumowych rojeń były najczęściej plątaniną niedopasowanych fragmentów, niezrozumiałą nawet dla swojego twórcy. A w miarę narastania uzależnienia cudowne wizje na ogół przeradzały się w koszmary. De Quincey był nie tylko bystrym obserwatorem, lecz także – dar ten jest znacznie rzadszy u narkomanów – potrafił z bystrością umysłu uwieczniać to, co zaobserwował. A dostrzegał zarówno blaski, jak i cienie. Pewien niewinny malajski handlarz, którego znał przez krótki czas, przekształcił się w okropną zmorę:

> Malaj stał się przerażającym wrogiem. Noc w noc całymi miesiącami za sprawą jego sztuczek przenosiłem się (…) do Chin albo Hindustanu. Gapiły się na mnie, pohukiwały, szczerzyły zęby i trajkotały małpy i papugi. Wbiegałem do pagód i zostawałem na całe wieki na ich szczytach albo w sekretnych pokojach, z których nie było ucieczki. Bywałem bożkiem; kapłanem; czczono mnie, a potem w okrutny sposób poświęcano w ofierze (…). Żyłem tysiące lat i byłem pogrzebany w kamiennych trumnach z mumiami (…). Całowały mnie rakowym pocałunkiem krokodyle i spoczywałem

> z nieopisanymi poronionymi płodami wśród trzcin i nilowego mułu (…). Nad każdą formą groźby czy kary, czy mrocznego, pozbawionego wizji uwięzienia wisiało porażające wrażenie wieczności i nieskończoności (…). Przeklęte krokodyle stały się dla mnie źródłem większej grozy niż cała reszta. (…) Byłem zmuszony z nim żyć, i to (jak zawsze w moich snach) na wieki. Kiedy czasami uciekałem do chińskich domków, wszystkie nogi stołów i krzeseł ożywały i wkrótce przeobrażały się w odrażające głowy krokodyli, a ich pożądliwe oczy śledziły mnie powielone do dziesiątek tysięcy kopii[8].

Mimo koszmarów de Quincey jakoś żył i cieszył się umiarkowanym sukcesem literackim. Tylko od czasu do czasu borykał się z trudnościami, takimi jak: bankructwa, ucieczki przed tym czy innym wierzycielem, wydawnicze spory, mściwe recenzje, spowodowane narkotykiem okresy niemocy twórczej, groźby śmierci od oburzonych czytelników, zniewagi ze strony braci akademickiej, ostra krytyka z kręgów kościelnych i inne perypetie nieodłączne od literackiego życia zarówno wtedy, jak i teraz. Jego dzieła zebrane, opublikowane z należytym szacunkiem i starannością, zajmują 20 tomów. Nie składają się może na dorobek porównywalny z Dickensowskim, ale kiedy czytelnik zagłębi się w ich urzekające koncepty, prowokujące spostrzeżenia i nieoczekiwane zwroty zdań, przypomina sobie, że był to przecież złoty wiek eseju, czas krytyków i pisarzy tego formatu co Charles Lamb i William Hazlitt, oraz takich makowych główek jak Coleridge i de Quincey. Niektóre fragmenty prozy tego ostatniego są bodaj najbardziej pokrętne i zabawne. Z drugiej strony de Quincey nigdy się nawet nie zbliżył do spełnienia swego chłopięcego marzenia, by zostać takim znanym filozofem jak Kant. W jego czasach *Wyznania* były szatkowane, piracone i tłumaczone na wiele języków. Podobały się Thackerayowi, niezmiernie podziwiał je Ralph Waldo Emerson i wielu innych amerykańskich ludzi

pióra. Dostojewski miał egzemplarz w kieszeni, kiedy go prowadzono na udawaną egzekucję[9]. Baudelaire, podobnie jak wielu Francuzów wnikliwie krytykujący angielską literaturę, oświadczył, że de Quincey ma „najbardziej oryginalny umysł z wszystkich angielskich pisarzy”. Ciekawe, czy Freud czytał jego fragmenty odnoszące się do snów. De Quincey nie używał takich terminów jak „podświadomość”, a Freud był bardziej zainteresowany kokainą niż makiem, ale ich interpretacje są podobnym przemieszaniem przenikliwości i fantazji.

Prywatne życie de Quinceya też było stosunkowo udane, mimo częstych finansowych zapaści spowodowanych jego nałogiem. Pod koniec życia pisarz wydawał przeciętnie 14 funtów tygodniowo na 1200 kropli laudanum, a to odpowiednik mniej więcej 1000 dzisiejszych funtów. Jego bezgraniczne oddanie dla Wordswortha jako człowieka osłabło, ale nie jego podziw dla Wordswortha poety. Mieszkając w Grasmere w Krainie Jezior, de Quincey poślubił Margaret Simpson, matkę jego pierwszego (nieślubnego) dziecka, Williama. Ich małżeństwo udowodniło, że mylili się ci, którzy przepowiadali mu rychły zły koniec. To prawda, że Margaret często wpadała w rozpacz, a finansowe kłopoty małżonka przypuszczalnie wpędziły ją w choroby i przyczyniły się do jej przedwczesnej śmierci (za którą de Quincey czuł się zresztą odpowiedzialny), lecz był to związek niepozbawiony miłości; małżonkom urodziło się jeszcze trzech synów i trzy córki. Czworo dzieci niestety zmarło w niemowlęctwie; jeden syn, Horace, zginął w pierwszej wojnie opiumowej. Sam de Quincey zmarł 7 grudnia 1859 roku, mając 74 lata, co było naprawdę całkiem słusznym wiekiem jak na połowę XIX stulecia.

* * *

Podobnie jak we wcześniejszych latach – ku nieustającej konsternacji cnotliwych obywateli i aktywistów zwalczających narkotyczne zło – wśród długo żyjących ludzi nie brakowało opiumistów. George Crabbe zrobił w życiu trzy kariery zawodowe, każdą ze sporym sukcesem. Ubogi chłopiec z Aldeburgh, rybackiej wioski w hrabstwie Suffolk, został przyjęty na czeladnika w aptece, po czym przez kilka lat praktykował w swoim ojczystym hrabstwie jako chirurg–aptekarz. Następnie wyjechał do Londynu i został pisarzem oraz poetą. Później przyjął święcenia kapłańskie i zakończył życie w 1832 roku w wieku 78 lat jako proboszcz Trowbridge w hrabstwie Wiltshire. We wspomnieniach syna jawi się jako życzliwy ojciec i dziadek oraz szanowany duszpasterz[10]. Lecz życie George'a Crabbe'a miało też drugą stronę.

W wieku 41 lat zaczął zażywać laudanum, aby odeprzeć ataki migreny. Niewykluczone, że wynikały one ze stresu. Jego ukochany trzeci syn zmarł w wyniku wypadku ulicznego, a żona zaczęła wykazywać objawy zaburzeń afektywnych dwubiegunowych. U Crabbe'a rozwinęło się ponadto schorzenie związane z trawieniem, być może spowodowane wrzodem dwunastnicy. Od tamtej pory aż do śmierci pisarz stale zażywał opium w wolno rosnących dawkach i uzależnił się od leku. Zdołał utrzymać swój nałóg w sekrecie przed parafianami, a uzależnienie najwyraźniej nie przeszkadzało mu w pełnieniu duszpasterskich obowiązków. Wpłynęło jednak na jego poezję i wyszło jej to na dobre.

Wczesne literackie wysiłki Crabbe'a – kilka klasycyzujących wierszy, ale głównie szkice topograficzne – były dobrze zakomponowane, lecz nie zapadały w pamięć. Poeta rozwinął skrzydła dopiero wtedy, gdy jego natchnienie zostało skąpane w laudanum. Albo przynajmniej tak sugerują daty. *Peter Grimes*, wiersz ze zbioru *Wioska* (1810), jest osadzo-

ny w ponurym otoczeniu cieków wodnych u ujścia rzeki w okolicy Aldeburgh. To historia młodego rybaka, który morduje swego ojca, po czym znęca się nad swymi dwoma czeladnikami i zabija ich przez zaniedbanie. Nie zostaje pociągnięty do odpowiedzialności za zbrodnie, ale staje się społecznym wyrzutkiem, nie wolno mu przyjąć więcej żadnego ucznia. Zmuszony jest żyć w samotności, wśród błotnistych brzegów, gdzie gryzie się poczuciem winy i popada w szaleństwo. Ścigają go widma ojca i zmarłych czeladników, ale on wciąż próbuje usprawiedliwiać swoje występki. W końcu, na łożu śmierci, otoczony wszechobecnymi obrazami inspirowanymi przez opium, spowiada się ze swych cierpień przed duchami:

> A gdy ujrzeli mnie w omdleniu, zgnębionego,
> On, starzec, nabrał czegoś do ręki z podłogi,
> Płomień powstał zmieszany z krwią, wnet budząc trwogi.
> Kazał mi się pochylić, rzucił wokół okiem,
> Cisnął mi w twarz gorącym, żrącym jak ług sokiem;
> Zapiekło, zaryczałem w bólu i panice,
> Myślałem: demony podrą mi mózg na nice.
> Lecz one stały nieruchomo w tym ukropie,
> Każąc patrzeć na miejsce nieludzkich okropieństw,
> Gdzie otwierał się zalew, tam słyszałem krzyki
> Udręczonych przewin – nie opiszą języki;
> „Wszystkie dni takie same! Na zawsze!” – biadały.
> „I nieustanne męki dzień w dzień przez czas cały”[11].

O tym, że wiersz powstał z inspiracji narkotykiem, świadczą nie tylko wspomnienia przeżarte poczuciem winy, lecz także impresje odmalowujące niekończącą się mulistą równinę, morskie pływy następujące po sobie z okropną monotonią, wizja koszmarnego świata. Czas mógł się zatrzymywać w miejscu w chwilach rozkoszy albo cudownie zwalniać za sprawą maku, ale sok mógł też przekształcić niezmienny

rytm w torturę. A śmierć Grimesa jest bodaj najbardziej zapadającym w pamięć opisem końca narkomana:

> I wciąż próbował mówić, spoglądał przerażon,
> Jak wokół jego łóżka baby się gromadzą;
> Osunął się, wyczerpan, i spokojny wydał,
> Dopóki wróg potężny życia mu nie wydarł.
> Wówczas łamiący krzyk wydała pierś zgnębiona,
> „Znów idą” – wymamrotał w udręce i skonał[12].

* * *

Większość literatów współczesnych Crabbe’owi i de Quinceyowi eksperymentowała z laudanum – i pozostawała pod jego wpływem – niekoniecznie się uzależniając. Elizabeth Barrett zaczęła przygodę z opium w wieku 14 lat – lekarze zalecili jej ten lek na zaburzenie, które z doprowadzającą do szału wiktoriańską enigmatycznością opisali jako „poważne zakłócenie działania niezwykle istotnego narządu”. Poetka przyjmowała opium regularnie przez całe życie, tyle że będąc po trzydziestce, przerzuciła się na morfinę. W 1840 roku pisała do swego męża, Roberta Browninga:

> Zastanawiam się, czy mogę być dla ciebie równie dobra, jak morfina jest dla mnie, nawet za cenę tego, że będę równie zła? – Czy możesz mnie zostawić, nie ryzykując życia, albo pozostać ze mną i nie wpaść w zasadzkę trucizny?[13]

Robert podjął tę zdecydowanie niezwykłą korespondencję miłosną, używając leku jako metafory ich wzajemnego oddania. „Czy mogę nazywać Cię moją morfiną?”. A czy ona umiała sobie wyobrazić, że on „mógłby egzystować, nie biorąc odpowiedniej dla siebie ilości”[14]? Dla niej było to lekarstwo, nie uzależnienie; plotki niepokoiły jego, ale jej nie martwiły wcale. Tylko na krótki okres ograniczyła swoją dzienną dawkę (lecz nie odstawiła leku zupełnie). Po dwóch niedonoszonych ciążach zaczęła się obawiać, że „trucizna”

zniszczyła jej nienarodzone dzieci, Elizabeth zmniejszyła więc przyjmowaną ilość o jedną trzecią. Mąż zachwycał się jej niezwykłą siłą woli, „dorównującą hartowi tysiąca mężczyzn”. W czasach wiktoriańskich nie mogło być większego komplementu. Determinacja Elizabeth opłaciła się – w wieku 43 lat poetka urodziła syna. Zmarła w 1861 roku, mając zaledwie 54 lata. Przyczyną zgonu niemal na pewno była postępująca choroba płuc, nie jest jednak prawdopodobne, by zażywanie opium w znaczący sposób przyczyniło się do śmierci poetki.

Fanny Trollope, matka Anthony’ego, w średnim wieku wyrobiła sobie nawyk pisania nocami książki „z pomocą laudanum i szarej herbaty”. Harriet Martineau wspomina, że w latach 40. XIX wieku pewien duchowny, „nadzwyczaj dobrze znający literacki świat”, powiedział jej, że „nie ma pisarza czy pisarki, którzy byliby wolni od zwyczaju zażywania jakiegoś zgubnego stymulanta (…), takiego jak laudanum”. Lecz wówczas szykowała się już kolejna zmiana społeczna, bardziej szokująca niż rozprzestrzenienie opium wśród literatów. Lek przekraczał właśnie ostatnią społeczną granicę i stawał się częścią życia biednych, maluczkich, pozbawionych środków do życia, słowem – po prostu ludzi.

ROZDZIAŁ 14

Ludzie

W pierwszych dekadach XIX wieku osoby pracujące na roli, robotnicy fabryczni, górnicy, żołnierze, żeglarze, sutenerzy i prostytutki oraz inni zwykli ludzie nadal szukali zapomnienia w dżinie, rumie czy innych, upędzonych w domu bezimiennych trunkach. W połowie tego stulecia opium przeniknęło już do wszystkich warstw społecznych – lek był w szerszym użyciu niż dzisiaj aspiryna, paracetamol i wszystkie inne powszechnie dostępne środki przeciwbólowe razem wzięte. W latach 1825–1850 import opium do Wielkiej Brytanii wzrósł z 23 300 do 138 000 kilogramów rocznie. Około jednej trzeciej z tego reeksportowano, głównie do Stanów Zjednoczonych, ale spożycie na Wyspach i tak nadal rosło o 4–8% rocznie. W pierwszej połowie stulecia nie bardziej się tym przejmowano niż w latach 50. XX wieku paleniem papierosów. Wręcz przeciwnie, wielu uważało opium za ła-

skawy dar losu, choć związany z pewnym ryzykiem[1]. Ale któryż dar losu nie jest ryzykowny?

W większości krajów pewne rejony wykazywały się większym uzależnieniem niż inne. W Wielkiej Brytanii mianem „Królestwa Maku” zaczęto określać The Fens (podmokłe niziny rozciągające się na pograniczu hrabstw: Lincolnshire, Cambridgeshire, Huntingdonshire i Norfolk). W mieście katedralnym Ely, będącym sercem tego regionu, w sklepach nie trzeba było pytać o laskę opium czy o uncję laudanum. Wystarczyło położyć na ladzie monetę i wszystko było wiadomo. Doktor John Hawkins opisał wchodzącego do apteki rolnika z King’s Lynn, który kupił półtorej uncji laudanum i popijał je sobie od czasu do czasu. Wracał jeszcze dwa razy tego samego dnia po podobne ilości, a wieczorem nabył pół pinty, by zabrać je z sobą do domu.

Aptekarz w Spalding powiedział Hawkinsowi, że w pierwszym roku prowadzenia interesu w mieście sprzedał więcej laudanum niż wcześniej przez 20 lat w hrabstwie Surrey. Pewien właściciel sklepu spożywczego z Holbeach rocznie zbierał od ludzi z tej biednej, robotniczej parafii około 800 funtów za samo laudanum. Miasteczko Whittlesea, liczące 3700 mieszkańców, miało aż pięć aptek sprzedających niemal wyłącznie opium[2]. W powieści *Alton Locke* Charlesa Kingsleya, wydanej w 1850 roku, człowiek z The Fens wyjaśnia przyjezdnemu:

> O! Ho, ho! Idź pan do aptekarza w dzień targowy, do Cambridge, a zobaczysz pan pudełeczka, tuzinami i tuzinami, czekają na ladzie, i nie przejdzie tutejsza kobitka mimo, żeby nie wejść i nie kupić porcyjki, która ma jej obstać na tydzień. O! Ho, ho! Ooo, to trzyma kobiety w spokoju, no i dobrze robi na bóle[3].

W wielu pubach regionu The Fens opium mieszano z piwem. Jeden przedsiębiorczy browarnik z Ely dodawał lau-

danum do swojego ale już podczas produkcji i mimo że nieco podniosło to cenę, dobrze się sprawdziło. Taka praktyka była przypuszczalnie nielegalna, ale kogo to obchodziło? Doktor Henry Hunter, dający wykłady w Cambridge i prowadzący praktykę lekarską w regionie, pisał:

> W tej części świata można zobaczyć człowieka śpiącego w polu na stojąco, opartego o motykę. Gdy się do niego zbliżyć, ocknie się i przez chwilę będzie energicznie pracował. A potem znów zaśnie – na stojąco, jak koń (…). Mężczyzna, który się wyprawia do ciężkiej pracy, w ramach przygotowań bierze pigułkę opium i jest to dla niego rzecz normalna, a wielu nigdy nie wypije piwa, nie wkropiwszy do niego uprzednio porcji opium[4].

Pisarz Thomas Hood podczas wizyty w Norfolk był „wielce zaskoczony" tym, w jak szerokim użyciu były pigułki opium – czy *opic*, jak je tam nazywano – nawet wśród najbiedniejszych. Zaskoczony, ale zarazem nie zdziwiony. „Ci ludzie żyjący na ponurych, mglistych, lepkich od błota i bagna pustkowiach hrabstw Cambridge i Lincolnshire uciekają [w opium] po zmianę scenerii. Kto by ich za to winił?". Miejscowy lekarz, doktor Rayleigh Vicars, również wyjaśniał popularność leku wśród swoich pacjentów: „Ich okropne życie można chwilowo rozjaśnić, zsyłając im wizję wyśnionej krainy, do której zabiera ich opium"[5].

W niektórych częściach kraju laudanum trafiało i do ludzi, i do zwierząt. Wielu, kupując specyfik, twierdziło, że chcą go dla swoich świń: „Lepiej się tuczą, gdy nie kwiczą". Opium regularnie dodawano do paszy dla bydła. Typową dawką dla owcy było sześć drachm laudanum, a dla narowistego konia, którego zamierzano wystawić na sprzedaż – dwie albo trzy uncje. W 1836 roku w Cambridgeshire zmarło dziecko – zatruło się opium, gdy przypadkowo wypiło miksturę przeznaczoną dla cielęcia. O wypadku doniesiono koronerowi[6], inaczej pewnie nikt by się o tym nie dowie-

dział. Rodzice dziecka i właściciele cielęcia dostali naganę. Nic w tym dziwnego – umieralność dzieci w The Fens w 1850 roku wynosiła 206 na 1000, była więc większa niż w Sheffield, najbardziej „śmiercionośnym” z przemysłowych miast tamtych czasów.

Powody, dla których mieszkańcy akurat tego regionu tak się uzależnili, nigdy nie zostały w pełni wyjaśnione. Wilgotny klimat sprzyjał rozwojowi bolesnego reumatyzmu, jak zresztą jest do dziś. „Gorączki”, febra i malaria pozostawały powszechne, mimo że pod koniec XVII wieku pojawiła się chinina. Leczyła wspomniane choroby, ale nie pomagała na trudy codzienności. A opium – owszem. Nie może to być jednak pełną odpowiedzią. Nawet w Wielkiej Brytanii znajdowały się inne podmokłe, nisko położone i niezdrowe obszary – na przykład ujście Tamizy czy mokradła Romney miały historyczne enklawy endemicznej malarii – gdzie nie zażywano szczególnie dużych ilości opium. Z kolei makowy sok z dawien dawna był chętnie spożywany w Owernii, francuskiej prowincji szczycącej się wyjątkowo urodzajnymi ziemiami[7], podobnie jak w dolinie Padu we Włoszech czy w hiszpańskiej Andaluzji. W Kraju Zadunajskim na Węgrzech makowe pola były dumą reformatora rolnictwa, księcia Györgya Festeticha. Odwiedzające go ważne osobistości podziwiały posiadłość i przez jakiś czas uprawa białego maku jako rozrywka arystokratów rywalizowała z operą. Jednak produkowane w Europie opium nie mogło zaspokoić potrzeb przemysłowych miast, które wyrastały wówczas jak grzyby po deszczu. Miejski popyt prześcignie wkrótce zapotrzebowania nawet najbardziej uzależnionych obszarów wiejskich.

* * *

Specyfik stał się częścią życia wszystkich warstw społecznych i ten stan rzeczy nie mógł wynikać tylko z jednej okoliczności. Ważną przyczyną był spadek ceny: w latach 30. XIX wieku „prymka” opium była tańsza niż dżin i jakikolwiek inny, choćby wstrętny, domowego wyrobu napitek. To pozwoliło makowemu sokowi trafić pod brytyjskie strzechy, ale nie było jedynym czynnikiem. Lek wyjątkowo skutecznie działał przeciwko cholerze albo przynajmniej czasami działał, podczas gdy nic innego nie pomagało. Choroba zabijała pacjentów i na długo przed tym, jak wymyślono „równowagę soli i wody w organizmie”, lekarze uświadomili sobie, że chorzy na cholerę umierają z powodu ogromnej utraty płynów. Gdyby można ją było znacząco ograniczyć, istniała nikła szansa na przeżycie. Niekiedy wydawało się, że opium może tego dokonać. Jeśli nie, przynajmniej mogło nieco ulżyć umierającym. W Wielkiej Brytanii epidemie cholery z lat 1830–1831, 1848–1849 i 1853–1854 walnie przyczyniły się do wypromowania leku. Trzeba go było jednak zacząć podawać wcześnie i w końskich dawkach; kiedy rozwinęła się już biegunka – czasami w ciągu dwóch albo trzech godzin od zarażenia – było za późno. Uratowano również pewną liczbę niemowląt i nieco starszych dzieci, które mogły umrzeć z powodu łagodniejszej „biegunki letniej” czy „dyzenterii”. Takie przypadki budowały pozytywny wizerunek.

Kolejną przyczyną spopularyzowania opium w Wielkiej Brytanii była niechęć biednych ludzi do zwracania się o pomoc do lekarza. Nawet najtańsza konsultacja lekarska mogła kosztować jedną trzecią tygodniówki wykwalifikowanego robotnika. Z drugiej strony porada aptekarza była wliczona w cenę leku. W połowie stulecia zasięganie rady w aptece niemal zawsze kończyło się przydzieleniem opium. Kiedy w 1857 roku po raz pierwszy dyskutowano Ustawę o sprzedaży trucizn, John Brande z Royal Institution poddał

parlamentarzystom pod rozwagę, że lekarstwa sporządzane na bazie opium są w tak powszechnym użyciu, iż nałożenie na nie jakichkolwiek restrykcji będzie po prostu niewykonalne. Jak aptekarz miałby trzymać opium pod kluczem, skoro sprzedawał je setki razy dziennie[8]? Na kontynencie lekarze przyjmowali za mniejsze pieniądze, a w biedniejszych okolicach często zgadzali się na odroczoną płatność lub zapłatę w naturze, ale też nędza dotykała ludzi boleśniej. W południowo-zachodniej Francji, dalej za urodzajnymi winnicami Bordeaux, również w okolicy Lourdes, które później zasłynie z objawień, w wielu departamentach w ogóle nie było wykwalifikowanego lekarza czy aptekarza. Środki przeciwbólowe, przeważnie sporządzane na bazie opium, można było kupić u domokrążców albo w nielicznych istniejących sklepach. W Stanach Zjednoczonych lekarz i aptekarz był często tą samą osobą.

* * *

W latach 40. XIX wieku pojawiły się pierwsze popularne opatentowane lekarstwa zawierające opium. Opakowania przyozdobiono uspokajającymi komunikatami. Dla tych, którzy nie lubią pytać o radę nawet aptekarza, samoleczenie stało się łatwe. W pubach Wyjątkowy Owocowy Syrop Stotta, zawierający 3% opium, sprawiał, że dzieci siedziały spokojnie, podczas gdy dorośli raczyli się mocniejszym – a może właśnie słabszym? – napitkiem. I jakże prawdziwe okazały się zapewnienia wytwórcy! Ledwie dzieci wypiły pierwszy kubek, zaczynały się domagać następnego. Potem niektóre błogo zasypiały. Wśród dorosłych nadal powodzeniem cieszyły się laudanum Sydenhama i proszek Dovera, ale konkurowali z nimi bezczelni nowicjusze. Liderem na rynku była chlorodyna. Tę niezrównaną miksturę – w której smak opium podreperowano syropem, a działanie wzmoc-

niono alkoholową tynkturą z konopi indyjskich – wynalazł chirurg służący w brytyjskiej armii w Indiach, doktor John Collis Browne. Specyfik, opracowany przeciwko cholerze, działał cuda. Gwoli sprawiedliwości należy zaznaczyć, że w powściągliwym oryginalnym raporcie Collis Browne napisał, iż lek uratował mniej więcej jednego na stu chorych. Liczby jednak zostały szybko zapomniane. Wynalazca sprzedał recepturę za 25 funtów Johnowi Thistewoodowi Davenportowi, geniuszowi reklamy, który promował miksturę jako lekarstwo na każdy rodzaj biegunki, bezsenność, nerwobóle, migrenę, a także wszelkie inne rodzaje bólu. Nazwy nie dało się zastrzec i wkrótce „oryginalna chlorodyna doktora J. Collisa Browne'a" miała dziesiątki podszywających się pod nią imitacji, ale oryginalna etykieta była szeroko rozpoznawana. Ostrzegano na niej nabywców przed prymitywnymi podróbkami, które „równie dobrze jak wyleczyć, mogą zabić". Bez względu na źródło (mniej więcej) lekarstwo uratowało paru chorych podczas epidemii cholery. Kiedy zaraza się akurat nie szerzyła, przydawało się na wszelkie bóle i boleści. Ale oczywiście miało znacznie rozleglejsze działanie.

Jak w przypadku większości leków opartych na opium, chlorodyna proponowała czasową ucieczkę od harówki przy krośnie, na przodku w kopalni czy przy pługu. Wcześniej ludzie mieli dżin, ale nowa substancja była łagodniejsza dla dzieci. Często sprowadzała niemoc, ale rzadko przemoc. Kobiety brały ją chętniej niż mężczyźni. Łagodziła przykrości i krzywdy nierozerwalnie związane z walką o utrzymanie rodziny przy życiu. I uciszała wołanie, które dziś w Europie rozlega się tylko w sali koncertowej: *Mutter, ach Mutter, es hungert mich. Gib mir Brot! Gib mir Brot!*[9] – słychać w pieśni Mahlera. W Anglii był to *bread*, we Francji *pain*, we Włoszech *pane*, na Węgrzech *kenyer*[10]. Rozpacz była

ta sama. Chlorodyna nie zaspokajała głodu, ale ściszała płacz do łkania. A w 1850 roku dawała wytwórcy roczny zysk w wysokości 50 000 funtów – większy niż ówczesny dochód pomniejszego niemieckiego księstwa.

Uspokajanie głodu zawsze było przydatnym skutkiem ubocznym zażywania opium. Szkoda, że ten skutek uboczny miał z kolei własne skutki uboczne. Regularne dawkowanie dzieciom pociągało za sobą niedożywienie i podatność na choroby. Niejeden czterolatek był pokurczony jak zasuszony staruszek albo – według zapadających w pamięć słów Victora Hugo – wyglądał jak „mała żółta małpka". Bardzo nieliczne dzieci korzystały z darmowego kształcenia, nawet jeśli było ono dostępne. Kiedy (i jeśli) dorosły, stawały się następnym pokoleniem siły roboczej – niepiśmiennej, biednej, mającej przed sobą krótkie życie i uzależnionej od opium. Albo zasilały przestępczy półświatek.

Ponieważ kryminaliści potrzebowali opium tak samo jak praworządni obywatele. Świat przestępczy nie zaangażował się jeszcze w dystrybucję narkotyku – skoro lekarstwo nie było zakazane, nie dawałoby wielkiego zysku – ale znajdował dlań wiele zastosowań. Klientów prostytutek w dokach trzeba było wprawić w stan nieprzytomności, zanim się ich skrupulatnie obrabowało. Ciężko zarobiony łyk specyfiku łagodził bóle i sztywności po całonocnej harówce. Przynajmniej chwilowo tłumił objawy choroby wenerycznej. Im większa niedola, tym większa potrzeba. Wreszcie płyn mógł zapewnić ostatnią, bezbolesną ucieczkę.

* * *

W połowie XIX wieku makowy sok nie miał już narodowych ani religijnych preferencji. Kraje katolickie witały go równie ciepło jak protestanckie, a reakcyjne autokracje były tak samo uzależnione jak republiki. Nawet po delirycznie roz-

hulanym kongresie z lat 1814–1815 Wiedeń pozostał turystyczną stolicą Europy. Londyn trwał spowity mgłą, w posępnej szarości. Paryż był dla milordów i bogatych homoseksualistów. Rzym słynął ze złodziei, w tym wielu przyodzianych w biskupią purpurę. Berlin prezentował się niewzruszenie nudnie. Kaiserstadt zaś, wręcz przeciwnie, miał *Dreitakt*, *Kuchen mit Schlag*, najlepszą operę w Europie, rozrywki Prateru oraz *echt Wiener Charme*[11]. O czym nie wspominały przewodniki, miasto dawało utrzymanie 15 000 zarejestrowanych prostytutek i działało w nim 500 domów publicznych różnego autoramentu, od przytulnych domowych gniazdek po egzotyczne przybytki *de grande luxe*. To one, podobnie jak wszystkie inne wymienione rozkosze, przyciągały gości w każdym wieku i każdej narodowości nad brzegi nie takiego znowu modrego Dunaju. A ich sekretem nie był szampan (jak przedstawiano w operetkach), lecz opium. Specjalna mieszanka burdelmamy, przygotowywana z „dziewiczego” maku (a nie obłożone wysokim podatkiem, wydawane z przepisu pigułki) wraz z tytoniem i kartami do gry podlegała państwowemu monopolowi i potrafiła stworzyć cudownie wyluzowaną atmosferę. Ten sam błogosławiony napój pomagał damom do towarzystwa, krańcowo wyczerpanym po całonocnych hulankach, znaleźć zapomnienie w krainie nigdy-nigdy.

ROZDZIAŁ 15

Balsam na wszelkie boleści

Mimo coraz częstszego wykorzystywania opium do celów rekreacyjnych, czy to wśród wyczerpanych prostytutek z okolic wiedeńskiej katedry świętego Szczepana, czy matek z klasy robotniczej w slumsach angielskiego Sheffield, w większości krajów makowy sok wciąż był lekarstwem, prawdziwym balsamem na wszelkie boleści. Ich rodzaj zależał od państwa, regionu i warstwy społecznej. W Wielkiej Brytanii najczęstszymi wskazaniami do brania opium były: kaszel, przeziębienia i kłucie w piersi, ponieważ na to przeważnie uskarżali się ludzie. Ale makowy sok zawierały także lekarstwa stosowane przeciwko podagrze i reumatyzmowi (oprócz tradycyjnego wyciągu z zimowitu). W latach 40. XIX wieku doktor Rayner ze Stockport przepisywał opiumowe krople do oczu na bezsenność i przeciw bólom głowy. W 1854 roku magazyn „Doctor”, tworzony przez „wybit-

nych medycznych dżentelmenów” dla „lepszej klasy cierpiących i niedysponowanych”, doradził pewnej czytelniczce, uskarżającej się na nagłe bóle w czole, aby pięć razy dziennie przemywała oczy opatentowanym wywarem z makówek zwanym „Occuliną doktora Foreshama”. Opatentowane środki na bazie opium polecano na bóle zębów, ucha, skurcze żołądka, wzdęcia, wiatry, choroby nerwowe, dolegliwości kobiece i zaburzenia związane z menopauzą. Rozpoznawano „objawy i oznaki histerii” (choć nie zawsze poprawnie je diagnozowano) i zazwyczaj natychmiast uspokajano opiumowym płynem. Wśród poważniejszych spraw za pomocą opium łagodzono ból u pacjentów z takimi brzusznymi katastrofami, jak ostre zapalenie wyrostka robaczkowego czy pęknięcie wrzodu. Zanim w szpitalach wdrożono antyseptykę, ingerencje chirurgiczne w takich przypadkach zwykle kończyły się śmiercią. Bolesne i na ogół fatalne w skutkach były również ciąże pozamaciczne. Opium pomagało aż do ostatniej podróży. Lek podawano także pensjonariuszom domów dla obłąkanych – tym, których nie dało się inaczej okiełznać, albo przed przybyciem ważnych wizytatorów; w takich instytucjach jednak środek był stosowany z umiarem z powodu obciążenia, jaki stanowił dla dobroczynnych instytucji utrzymujących się z publicznych funduszy[1]. W Bedlam, słynnym zakładzie psychiatrycznym w południowym Londynie, od tych, którzy przychodzili, by się zabawić oglądaniem wariackich wygłupów, oczekiwano, że zostawią w darze buteleczkę dobrej jakości środka uspokajającego. „Dobra jakość” oznaczała opium.

Nie znając wyników doświadczeń z późniejszych czasów, zalecano również zewnętrzne stosowanie leku. Kilkakrotnie wznawiany poradnik medycyny domowej *Buchan’s Domestic Medicine* na wszelkie dotkliwe bóle doradzał aplikację „łagodzącego okładu z opium i kamfory”, „zwłaszcza u ner-

wowych dzieci”. „Maść na hemoroidy” była sporządzana z dwóch uncji emolientu i pół uncji laudanum dobrze zmieszanych z żółtkiem jednego jaja. Wzbogacone dodatkiem laudanum balsamy lecznicze zalecano na sińce, zwichnięcia, odmrożenia, oparzenia i uporczywe owrzodzenia nóg. Opium ceniono jako środek pomagający wyjść z upojenia alkoholowego i uporać się ze skutkami opilstwa. Powszechnie uważano, że leczy delirium tremens. W 1846 roku pewien kowal z Manchesteru podczas pijaństwa zażył sześć drachm laudanum, żeby mu to pomogło wytrzeźwieć przed wizytą u ważnego klienta. Zemdlał, a potem zszedł z tego świata. Czasami jedno prowadziło do drugiego. W Liverpoolu pewna znana z nieumiarkowania wdowa doprawiała sobie każdy napój kilkoma kroplami laudanum i zrobiła to o jeden raz za dużo[2]. Takie zdarzenia nie były niczym niezwykłym, ale te akurat trafiły do koronera, dlatego zostały odnotowane.

Wypadki zdarzały się też osobom trzeźwym i cnotliwym. W kwietniu 1848 roku Fanny Wilkinson, 16-latka służąca u rodziny w Guisborough, posłała po sproszkowany rabarbar, szukając ulgi w bolesnej miesiączce. Miejscowy sklep od niedawna należał do niejakiego pana Story’ego, przedsiębiorczego sklepikarza znakomicie znającego się na przetworach i towarach tekstylnych, ale niemającego pojęcia o lekach. Wytrącało go z równowagi, gdy jego sklep nachodzili niecierpliwi klienci. W sobotnie wieczory miał urwanie głowy. Właściwie kiedy kupował sklep, próbował pozbyć się z niego medykamentów, ale poprzedni właściciel wyperswadował mu to, twierdząc, że na tym asortymencie jest świetny zarobek. Biedak pomylił słój opisany „Pulv. rhub. Turc. Opt” z innym, opatrzonym etykietą „Pulv. opii Turc. Opt”. Każdemu mogło się zdarzyć. Fanny zmarła z przedawkowania opium, a pan Story stanął przed sądem oskarżony o zabójstwo. Napomniano go i pouczono, aby się wstrzymał od

sprzedawania niebezpiecznych leków, dopóki nie podszkoli się z farmakologii.

Pan Story nie był jednak żadnym wyjątkiem wśród setek „aptekarzy i sklepikarzy”, którzy zdobywali wiedzę dopiero za ladą. To dla nich były przeznaczone poradniki takie jak *Magnacopia* Williama Batemana. To potężne tomiszcze opisywało przygotowanie imponującego zbioru bazujących na opium mikstur, środków ściągających, maści na podagrę i plastrów na odciski. Receptury mieszają się tutaj swobodnie z przepisami na produkty niezawierające opium, takie jak: atramenty, płyny do czyszczenia rusztu, odżywki do włosów, syropy do robienia dżemów i krople wzbudzające namiętność. Książkę reklamowano jako „chemiko-farmakologiczną bibliotekę informacji użytecznych dla sprzedawców lekarstw i środków chemicznych, praktykujących medyków, cyrulików [chirurgów–dentystów] etc.”. I faktycznie była ich biblią[3]. Rzecz jasna, nie każdy szukał wiadomości w takich źródłach. Niektórzy czeladnicy pracujący w prosperujących sklepach przy odważaniu i przygotowywaniu ćwierćuncjowych, półuncjowych i uncjowych opiumowych chlebków dla dzieci nie za dobrze radzili sobie ze słowem pisanym. Ambitni farmaceuci w Londynie i innych szybko rozrastających się miastach środkowej Anglii przyrządzali medykamenty własnego pomysłu, a ich „specjalności” często cieszyły się wielkim uznaniem.

Rodziny, które miały własne receptury przekazywane z pokolenia na pokolenie, wolały aptekarzy i sklepikarzy od doktorów. Kwakierska rodzina Fox z miasta Esher ceniła sobie miksturę pomagającą na krztusiec i wszelkie gorączki, którą dawno temu czcigodny przodek otrzymał od chirurga służącego w armii Cromwella[4]. Doprawiona szafranem mieszanina równych ilości chloroformu, laudanum oraz roztworu antymonu zdaniem pacjentów działała cuda. By

oszczędzić na koszcie, wspomniana rodzina – podobnie jak wiele innych – od czasu do czasu posyłała buteleczkę do aptekarza, aby uzupełnił braki. Taka praktyka wiązała się z pewnym ryzykiem. W stojącej na półce flaszeczce aktywne składniki na ogół wytrącały się z czasem i osiadały na dnie. Napis na buteleczce instruujący, żeby ją dobrze wstrząsnąć przed użyciem leku, dawno się już wytarł. Płyn nad osadem był zatem smaczny, ale nieskuteczny. Ostatnia łyżka zaś zawierała śmiertelną dawkę.

* * *

Fakt, że większa część społeczeństwa uciekała się do aptekarzy i samoleczenia, nie oznacza, że lekarze nie uważali opium za niezastąpione wyjście awaryjne. Usługi medyczne w poszczególnych krajach różniły się nawet bardziej, niż to jest obecnie, ale co do jednego wszyscy wszędzie byli zgodni. W Wiedniu 3 kwietnia 1844 roku Ignac Semmelweis, przyszły odkrywca przyczyny gorączki połogowej, bronił głównych postulatów swej pracy doktorskiej. Zanosiło się na dramatyczne momenty, toteż na obronę oprócz lekarzy i studentów ściągnęła żądna makabry, próżniacza gawiedź. Wypowiedzi młodego Semmelweisa spisano słowo w słowo. Pierwsze jego stwierdzenie brzmiało:

> *Sine Opio et Mercurio nolle esse medicus.* („Bez opium i rtęci nie chciałbym być lekarzem").

Karl Freiherr von Rokitansky, wybitny patolog zasiadający w gronie egzaminatorów, miał wątpliwości co do rtęci. Było to wówczas jedyne znane lekarstwo przeciw syfilisowi (który szalał w niepohamowany sposób), ale skutki uboczne stosowania rtęci mogły być poważne. A gdyby tak kandydat wybrał jeden ze swoich dwóch „niezbędnych leków"? Semmelweis natychmiast przyznał, że mógłby się obyć bez rtę-

ci, ale nie bez opium. Prowadzący praktykę kliniczną František Škoda i anatom Josef Hyrtl zgodzili się z nim: trudno byłoby rekrutować młodych ludzi do profesji lekarskiej, gdyby nie istniało opium. Bez niego zapewne nikt nie decydowałby się na położnictwo, które ostatecznie wybrał sobie jako specjalizację Semmelweis[5]. W tamtych czasach gorączka połogowa zabijała 10–20% zdrowych matek, które rodziły w Uniwersyteckim Szpitalu Położniczym. Była to bolesna śmierć, łagodzona jedynie dużymi dawkami opium.

* * *

Statystyki nie były jeszcze wtedy nieodzowną pomocą do naświetlania albo zaciemniania faktów. Nic dziwnego więc, że wobec popularnego wówczas samoleczenia wciąż brakuje nam rzetelnych informacji o rozpowszechnionym stosowaniu opium. Profesor Robert Christison z Edynburga i G.R. Mart, chirurg z Soho, w latach 30. XIX wieku przeprowadzili pionierskie badanie, ale ich próbka była mała i niereprezentatywna. Oprócz tego od czasu do czasu ujawniały się wzorce stosowania w różnych warstwach społecznych i grupach wiekowych, ponieważ pojedyncze przypadki rzucały światło na to, co przypuszczalnie było powszechnym zwyczajem.

Martha Pierce, 60-letnia koronczarka, wdowa z ośmiorgiem dzieci, została uwięziona za kradzież kłębka wełny. Wyznała swemu spowiednikowi, który – tak się złożyło – był też kapelanem więziennym, że „jak większość kobiet z okolicy” od wielu lat w ciągu tygodnia zażywa laudanum wartości pięciu pensów. Czasami staje się przez to niedbała i zapominalska, ale lek uspokaja jej nerwy. Kapelan twierdził, że zna swoje stadko i kocha je – i zapewne tak było – jednak pod wpływem szczerości kobiety odnotował swe zaskoczenie. Okazało się, że nawet niektóre z najpilniejszych owie-

czek, które pieczołowicie układały w kościele kwiaty, regularnie zażywają opium. Informacja ta była dla niego wielce „poruszająca”.

Lekarze byli równie nieświadomi jak wszyscy inni. Biedaka zasięgającego porady lekarskiej załatwiano szybko; studentów medycyny uczono, żeby nie wtykali nosa w prywatne sprawy pacjentów. Prawda czasami wypływała na wierzch przypadkowo. Podczas głodu bawełnianego w hrabstwie Lancashire, w latach 60. XIX wieku, bezrobotni nie mogli sobie pozwolić nawet na odrobinę laudanum za pensa. Jak wspomina doktor Harvey, późniejszy generalny inspektor szpitali cywilnych w Bengalu, a wówczas chirurg infirmerii w Stockport:

> Do infirmerii, jako do ostatniej deski ratunku, zgłaszało się po zapas opium wiele osób zbyt biednych, by mogły je sobie kupić (…). Uderzyło mnie, że stosowanie leku było znacznie bardziej powszechne, niż miałem o tym pojęcie. Nawet wśród bardzo biednych ludzi nie była rzadka zwyczajowa dawka od 10 do 15 granów dziennie. Najwyraźniej nic im to nie szkodziło, dopóki się zapas nie skończył. Potem przychodziło okropne cierpienie. Niektórzy przyprowadzali z sobą rozkrzyczane dzieci. Lekarstwo jest dla nich, twierdzili. Nie miałem o tym żadnej wiedzy[6].

Doktor Francis Ainstie, wydawca czasopisma medycznego „The Practitioner”, opowiadał o czasach, kiedy pracował jako stażysta w szpitalu pod koniec lat 50. XIX wieku:

> Często zdarzyło mi się ku własnemu zaskoczeniu przypadkowo odkryć, że powierzeni mojej opiece pacjenci od lat bez żadnych odchyleń regularnie zażywają jedną lub nawet dwie albo trzy drachmy laudanum (…). Nierzadko były to osoby, które nigdy by nie pomyślały o tym, żeby się narkotyzować bardziej niż, dajmy na to, upić, ale po prostu pragnęły ulgi od bólu czy zmęczenia, jakie znosiło ich niedożywione, żyjące w niedostatku ciało oraz udręczony umysł[7].

Tak działo się nie tylko w Anglii. Pierre-Charles Louis, który zapoczątkował naukową epidemiologię, w latach 30. XIX wieku przemierzał publiczne szpitale w Paryżu, zbierając „twarde i wiarygodne dane” odnoszące się do korzyści płynących z upuszczania krwi. Był obsesyjnym badaczem, a jego obserwacje pozostają wzorcem dokładności. Ale nie odnotował stosowania środków uspokajających zawierających opium, ponieważ zwyczaj ten był „w zasadzie uniwersalny”[8].

W niemieckojęzycznym świecie Praga cieszyła się reputacją znakomitego ośrodka medycznego. Jeden z miejscowych luminarzy, profesor Friedrich Langhans, wspominał o swoich doświadczeniach z początku lat 50. XIX wieku: „Dostałem pierwszy stały angaż w nowej Frauenklinik i byłem zdumiony. Wszystkie pacjentki w wieku od 60 do 70 lat domagały się, by je trzymano na ich normalnych dawkach Mist. Opii.”[9]. Nosił się z zamiarem napisania raportu o swoim odkryciu, ale mu powiedziano, żeby nie marnował czasu: ten fakt był dobrze znany.

Do połowy XIX wieku wiarygodne dane nie były nikomu potrzebne. Opium nie stanowiło „narodowego” ani „społecznego” problemu, który wymagałby udokumentowania i przedyskutowania. Jeśli ktoś myślał inaczej, zwracano mu uwagę na to, że wiele osób regularnie zażywających opium – oczywiście głównie spośród zamożnych – dożyło podeszłego wieku. Niektórzy po osiemdziesiątce czy dziewięćdziesiątce byli w świetnej formie, a zdradzała ich jedynie ziemista cera. Kiedy w 1828 roku w wieku 65 lat zmarł żyjący samotnie 31 hrabia Mar, w wyniku dochodzenia odkryto, że od 50 lat zażywał opium: 49 granów w postaci stałej i uncję laudanum dziennie. Ubezpieczyciele odmówili wypłaty należności z tytułu jego polisy na życie i wygrali sprawę w sądzie pierwszej instancji, ale apelacja zmusiła ich do uiszcze-

nia zapłaty. Odrzucono opinię profesora Christisona stwierdzającą, że opium „niewątpliwie skróciło życie hrabiego”. Wręcz przeciwnie: sędzia orzekł, że w przypadku jednostki cierpiącej z powodu tak bolesnej przypadłości jak podagra zmarłego hrabiego – a zaznajomiony z tematem sędzia sam był jedną z takich osób – opium jedynie czyni życie znośniejszym.

* * *

W połowie stulecia większość ludzi w Wielkiej Brytanii i w ogóle Europie Zachodniej zaznajamiała się z opium tuż po opuszczeniu łona matki, a wielu jeszcze wcześniej. Podążający za nowinkami położnicy lubili nieść ulgę w cierpieniach późnej ciąży za pomocą podawanej codziennie łyżeczki „środka uspokajającego”. Na pierwszej międzynarodowej konferencji położników w 1846 roku profesor Hector von Arneth, poprzednio pracujący w Wiedniu, obecnie zaś w Petersburgu, ogłosił, że takie rutynowe podawanie opium w ostatnim trymestrze przynosi znaczące korzyści. W słynnym żarcie dodał, że praktyka ta ułatwiła życie nie tylko pacjentkom, lecz także położnikom. Delegaci ze Sztokholmu i innych miast postanowili, że zastosują to zalecenie u siebie; jeszcze inni apelowali o ostrożność. Profesor Dunoyer z Paryża uważał, że zastosowanie leku należy ograniczyć do wyjątkowo napiętych sytuacji, a dozowanie powinno być „powściągliwe”. Jak wielu przed nim, obawiał się zaparć, ale nie sądził, by opium w niepożądany sposób wpływało na skurcze macicy. I „trzeba się będzie przygotować na sporadyczne przedawkowanie”. Problem ten nie dotyczył wyłącznie położników. Popularne poradniki domowe, jak niezastąpione dzieło pani Beeton w Anglii czy francuski *Podręcznik gospodyni domowej* autorstwa madame Bonnefoix, zawierały szczegółowe wskazówki co do tego, jak należy postępo-

wać w przypadku przedawkowania. Ale nawet madame Bonnefoix przyznawała, że czasami można się już tylko modlić do Najświętszej Panienki albo do bardziej wyspecjalizowanego świętego orędownika.

Zakosztowawszy specyfiku w łonie matki, niemowlę miało przed sobą nowe „uspokajacze" wynalezione w latach 40. XIX wieku. Najpopularniejszy był syrop Godfreya – łyk starego dobrego syropku sprawiał, że ustępowały najgorsze kolki albo przynajmniej ustawały wrzaski. W 1851 roku w Nottingham aptekarz raportował sprzedaż w ilości 600 pint (340 litrów) rocznie. W liczącym 6000 mieszkańców Long Sutton w hrabstwie Lincolnshire sprzedawca zeznawał, że w ciągu miesiąca schodziły u niego dwa galony (7,5 litra). „Uspokajacz" Godfreya cieszył się popularnością również na kontynencie, chociaż nie zawsze pod tą samą nazwą. Angielskie marki były wysoko cenione: księżna Metternich nie pozwalała niańkom swoich dzieci stosować niczego innego jak syrop Godfreya. Później jego dużym rywalem stał się „kojący syropek pani Winslow" – szczęśliwe aniołki na etykiecie radowały serce. Wysoko w rankingu wspiął się „uliczny uspokajacz niemowląt". W klientelę z wyższych sfer mierzył owinięty w lśniące opakowanie „zachowywacz dla dzieci Atkinsona" – to po ten specyfik sięgały mundurkowe niańki, kiedy paradowały ze swoimi nienaturalnie dobrze ułożonymi podopiecznymi po Kensington Gardens.

Większość uspokajaczy była jednak produkowana dla biedoty, nie tylko z myślą o pracujących matkach, lecz także na potrzeby coraz liczniejszej armii przedsiębiorczych opiekunek urządzających przedszkola (czy raczej: przechowalnie dzieci) we własnych domach. W niektórych miastach przemysłowych takie osoby miały w swej pieczy dziesiątki niemowląt i kilkulatków, same zaś były na ogół niepełnosprawne i dlatego skazane na przebywanie w domu albo też miały

drugie chałupnicze zajęcie. Brały opłatę w wysokości około jednej piątej przeciętnych zarobków, a ich celem było trzymanie powierzonego sobie stadka w stanie częściowego otumanienia. Matki wracające po długim dniu pracy rozpaczliwie potrzebowały kilku godzin snu, znowu podawały więc dzieciom uspokajający syrop. Fatalne w skutkach przedawkowania w domu i w takich przedszkolach były na porządku dziennym, lecz rzadko stawiano kogoś w stan oskarżenia. Nawet jeśli postawiono zarzuty, trudno było coś udowodnić. A jeżeli istniały dowody, sędziowie, jako zwykli ludzie, doskonale wiedzieli, co jest czym. Strata chorowitego dziecka to smutna rzecz, ale mogła być też miłosiernym uwolnieniem od ciężaru. Z jakiegoś powodu, jak to ujął jeden obserwator: „Bliźnięta i nieślubne dzieci niemal zawsze umierają”. Ojcowie rzadko trafiali do materiału dowodowego. Matki winne nieostrożności zazwyczaj dostawały w sądzie naganę. Okropne kary przewidziane za morderstwo – dzieciobójstwa nie uważano jeszcze wtedy za zbrodnię – sprawiały, że jakikolwiek inny wyrok byłby nie do pomyślenia.

* * *

W Stanach Zjednoczonych niespecyficzne opatentowane wywary bazujące na opium były sensacją lat 20. XIX wieku. Rzecz jasna, w Nowym Świecie lecznicze mikstury kwitły z dawien dawna: ludowe znachorstwo było częścią sceny małego amerykańskiego miasteczka – albo tylko legendą. (Żaden musical z połowy XX wieku nie obejdzie się bez jowialnego wędrownego sprzedawcy zachwalającego cudowne leki). Opium doprowadziło jednak do zmiany w stylu samoleczenia i przypuszczalnie wpłynęło też na efekty. W przeszłości opatentowane medykamenty reklamowano jako skuteczne w określonych chorobach. Były więc krople

przeciw „reumatyzmowi”, mikstury przeciw „suchotom” i plastry przeciw „puchlinie”. Teraz zawierający opium Universal Pain Killer Perry’ego Davisa okazał się niezrównanym środkiem na wszystko. A były też inne. Żadna przypadłość nie miała szans z takimi specyfikami jak Samuel’s Herculean Embrocation czy Pond’s Universal Pain Extractor. Wytwórcy nowych medykamentów pielęgnowali niejasno nieprofesjonalny image swoich wyrobów. Ponieważ lek Ponda był „wyłącznie roślinnego pochodzenia” (i oczywiście zawierał mak), nie wymagał drogich konsultacji lekarskich. Najlepsza porada została już udzielona, a na etykietach drukowano zachwalające wypowiedzi takich autorytetów jak Hipokrates, Paracelsus czy William Harvey.

Inną nowością były umieszczane na opakowaniach wizerunki maleńkich brzdąców. Nowe panacea były zarówno „unikalnie uniwersalne”, jak i „niezrównanie smaczne dla twoich pociech”. W przeszłości trudno było skłonić dzieci do przełknięcia paskudnie smakujących leków, takich jak tran. Nigdy więcej. Teraz dzieciaki uwielbiały swoje przesłodzone syropki i domagały się więcej. A dlaczego by im tego skąpić? Lekarstwa są przecież dla ludzi.

* * *

W pierwszej połowie stulecia rzadko odzywały się głosy zaniepokojenia czy troski. Przynajmniej takie wrażenie odnosili europejscy podróżnicy. W Nowym Świecie ruch nawołujący do powściągliwości był bardziej aktywny niż gdziekolwiek w Europie. Z mówców i mówczyń apelujących o wstrzemięźliwość kpiono czasami prywatnie, lecz nigdy publicznie. Głosili najważniejszą doktrynę Ojców Założycieli i gdyby człowiek aspirujący do pełnienia funkcji społecznych ignorował ich nauki, robiłby to na własną zgubę. Jednak ten ruch początkowo zareagował na makowy sok nie-

jednoznacznie. Dla wielu opium nie niosło z sobą uzależnienia, jedynie łagodziło bóle. Na początku XIX wieku tylko nieliczni amerykańcy lekarze uważali, że fizycznie szkodzi organizmowi. W przeciwieństwie do diabelskiego alkoholu opium nie zagrażało rodzinom i nie prowadziło do przemocy. Ludzie w lekkim stopniu przyzwyczajeni do leku wydawali się trochę rozkojarzeni, ale na ogół byli nieszkodliwi. Oto jak cnotliwy człowiek, wielebny Walter Colton, kapelan amerykańskiej marynarki wojennej, zachwycał się tym lekiem:

> Jeżeli mężczyzna chce przyjąć stymulanty, sok makowy (…) jest ze wszech miar godzien polecenia. Nigdy nie robi z człowieka głupca, nigdy nie rzuca go do rowu ani pod stół, nigdy nie pozbawia go zmysłów ani nóg. Pozwala mężczyźnie pozostać dżentelmenem, robi zeń wizjonera, lecz jego wizje nie przejawiają się hałaśliwością ani burdami, nie każą zadawać ciosów, podbijać oczu ani zagrażać czyjemuś spokojowi. To najspokojniejsza i najbardziej nieszkodliwa ulga, po jaką może sięgnąć ktoś przygnębiony czy zrozpaczony, jeżeli nie ma wyższych możliwości[10].

Pastor zauważył nawet, że pod wpływem opium niektórym osobom słabej wiary zdarzało się nagle ujrzeć światło. Co smutne, zaobserwował też, że choć łatwo było przyciągnąć ich uwagę, na ogół wkrótce znów błądzili, a ich późniejsze odzyskanie oświecenia było niepewne. W dzienniku „New York Times” w 1840 roku wyrażono pogląd, iż „alkohol z reguły budzi [w człowieku] zwierzę, podczas gdy opium kompletnie tłumi [te instynkty]. W rzeczy samej, w ich miejsce rozbudza bardziej boską część ludzkiej natury i może w pełni uaktywnić wszystkie szlachetniejsze emocje ludzkiego serca”[11].

Szczególnie jeden skutek zażywania opium można przeciwstawić działaniu alkoholu. Opium gasiło raczej niż rozpalało „niskie instynkty” czy – jak to ujmowali doktorzy –

„wyciszało popęd rozrodczy”[12]. I rzeczywiście, niektórzy lekarze zalecali opium jako bezpieczny lek albo przynajmniej środek skutecznie tłumiący objawy w ostrym upojeniu alkoholowym albo – jak to powszechnie określano – DT[13].

* * *

Wszystko miało się zmienić, i to w stosunkowo krótkim czasie. Bezpośrednią przyczyną będzie rozwój czy raczej połączenie rozwoju w dwóch dziedzinach. Obydwa postępy dokonają się w Europie i w ciągu trzech, czterech lat przeprawią się przez Atlantyk. Nawet na Starym Kontynencie ich znaczenie nie od razu zostanie docenione. Jeden to odkrycie od dawna poszukiwanej substancji czynnej w makowym soku, uważanej za bardziej skuteczną i prawie wcale nieuzależniającą. Drugi to wynalezienie pustej w środku igły, którą można przyczepić do metalowego przyrządu i niemal bezboleśnie wprowadzić pod skórę. Staroświeckie tynktury takie jak laudanum wkrótce będzie otaczała aura prawie niewinności.

CZĘŚĆ II

ESENCJA

ROZDZIAŁ 16

Kształt snów

Każda zmiana czasów ma też swoją ulubioną przełomową dziedzinę nauki. W latach 30. XX wieku naukową awangardę przyciągnęła fizyka atomowa. Za to w latach 80. XIX wieku oszałamiającym polem nowych odkryć stała się mikrobiologia. Z kolei na przełomie stuleci XVIII i XIX najbardziej oryginalne umysły zajmowała chemia organiczna[1]. Jednym z ich dokonań było odkrycie alkaloidów w opium.

Pojęcie substancji czynnej w opium jest bardzo stare, lecz wyizolowanie jej przez długie wieki uchodziło za makowe marzenie. Kilku angielskich naśladowców Paracelsusa majstrowało przy materiale wyjściowym, żaden jednak na poważnie nie próbował rozbić pojęciowej formy. Rewolucja, jaka dokonała się w chemii – w Szwecji w laboratorium Scheelego, we Francji u Lavoisiera, w Anglii u Priestleya, w Niemczech u Liebiga, a także w licznych innych pracow-

niach chemicznych Europy i Stanów Zjednoczonych – roztrzaskała tę formę w drobny mak. W 1786 roku John Leigh, chemik amator ze stanu Wirginia, opublikował pracę *Experimental Enquiry into the Properties of Opium* („Eksperymentalne badanie właściwości opium"), w której przekonywał, że gdyby się pozbyć 70 lub nawet 80 procent surowej makowej gumy, można by uzyskać lek o znacznie zwielokrotnionej skuteczności i niezawodności. Za nim poszli następni. Siedemnaście lat później Jean-Pierre Derosne we Francji wypreparował sól, która w doświadczeniach przeprowadzonych na zwierzętach okazała się około trzech razy silniejsza niż substancja wyjściowa. Nie wiedząc o tym, odkrył jeden z mniej ważnych opiumowych alkaloidów, obecnie znany jako narkotyna lub noskapina. Stawało się wówczas oczywiste – i pouczające – że w makowym soku może być obecna nie jedna, lecz aż 20 różnych „esencji", z których część wykazuje opiumowe działanie, a część nie. W innej epoce taka świadomość mogłaby stłumić rodzący się entuzjazm. W 1804 roku podziałała jak ostroga. Kolejny francuski chemik, Armand Séguin, odczytał w Instytucie dokument krok po kroku opisujący proces separowania wszystkich lub większości składników wysuszonego soku. Być może znajdował się u progu odkrycia morfiny, lecz został aresztowany za pobłażliwość, jaką rzekomo wykazywał na stanowisku kontrolera leków, patrząc przez palce na rozcieńczanie zapasów przeznaczonych dla armii. Zarzuty były prawdopodobnie fałszywe, ale w czasach napoleońskich i tak miał szczęście, że uszedł z życiem.

Francuskie władze lubią podkreślać wkład swoich obywateli (który jest istotny), ale morfinę ostatecznie wynalazł 21-letni Niemiec, uczeń aptekarza w miasteczku Paderborn w Westfalii. Friedrich Wilhelm Adam Sertürner, urodzony we wsi Neuhaus 19 czerwca 1783 roku, nie miał uniwersy-

teckiego wykształcenia ani nigdy nie uzyskał akademickich kwalifikacji[2]. Posiadał jednak niesamowity dryg do chemii. Sprzęt laboratoryjny wykonał sobie sam, a jego wiedza książkowa z „podstawowych zasad nauki” – w czcigodnych kręgach uważana za nieodzowną podstawę wszelkiego postępu – była zaledwie elementarna. Etatowe zatrudnienie w aptece w Paderborn zostawiało niewiele czasu na własne eksperymenty, ale Sertürnera popychała niewyczerpana ciekawość. Podobnie jak wielu innych, widział, że opium przez jakiś czas działało cuda, gdy jego siostra chorowała na gruźlicę, a potem straciło skuteczność. Dlaczego tak się działo – było to jedno z pytań, które dręczyły umysł niemieckiego aptekarza aż do końca jego dni. Najpierw w Paderborn, a później w Einbeck w Hanowerze, wciąż zarabiając na skromne życie we własnym sklepie, wykonał setki doświadczeń: oczyszczał i charakteryzował wyciągi z opium oraz wypróbowywał ich działanie na sobie. W 1806 roku opublikował wyniki serii 57 doświadczeń w „Journal der Pharmazie”. Dwadzieścia z nich opisywało właściwości kwasu mekonowego, który Sertürner nazywał „kwasem makowym”. Odkrył, że kwas makowy wywiera znacząco inny wpływ na różne barwniki znacznikowe niż macierzyste opium. Słusznie wydedukował, że powodem jest coś niekwasowego, lecz biologicznie czynnego. Dzisiejszego czytelnika może to uderzyć jako rzecz kompletnie nieistotna; w czasach Sertürnera zaś była albo bezsensowna, albo rewolucyjna. Na podstawie dowodów sięgających Kartezjusza sądzono, że wszystkie biologicznie czynne związki organiczne są kwasowe, a kwasowość miała być kluczem do ich siły działania (potencji). Sertürner wysłał swoje spostrzeżenia do profesora von Buona w Kolonii. Tamten pochwalił aptekarza za pilność, ale wyraził pogląd, że wyniki badań muszą być błędne[3]. Takie błędy są nieuniknione – pisał – u ko-

goś, komu brakuje systematycznych naukowych podstaw w dziedzinie chemii. Nie jest może jeszcze za późno, aby eksperymentator zagłębił się w objaśniający podstawy tekst profesora.

Prywatnie Sertürner był nieśmiałym, samotnym człowiekiem, ale w sprawach doświadczeń chemicznych w jego własnej ocenie – robił się z niego *ein Ochs*[4], czyli straszny uparciuch. Kontynuował swoje eksperymenty, szukając „niemożliwego" niekwasowego składnika. Kiedy spróbował stosunkowo prostej metody strącania chloranów, trafił w dziesiątkę. Wyizolował nowy związek, nie tylko zasadowy (alkaliczny), lecz także co najmniej 10 razy silniejszy – w tej samej masie – niż opium. Początkowo nazwał go *principium somniferum[5]*, ale potem poddał się pokusie dziedzictwa klasycznej greki, które niedawno dla swoich rodaków odkrył wielki Johann Joachim Winckelmann. Wybrana przez Sertürnera nazwa „morfina" – wbrew temu, co się zazwyczaj twierdzi – nie pochodzi od Morfeusza, kłopotliwego greckiego boga snów, lecz od określenia μορφαaη (*morphē*) – „kształt snów". Nazwa przyjęła się i została wpisana jako oficjalna w farmakopeach we wszystkich językach.

Przez ponad 10 lat Sertürner ze swoim odkryciem był ignorowany. Nie miał profesorskiej pozycji, a styl jego pisania raził niezdarnością. Z determinacją wciąż eksperymentował na sobie. Odkrył większość ważnych skutków działania morfiny, od początkowej euforii po późniejszą depresję, od uśmierzania bólu po zaparcia. Było to niezwykłe dokonanie: w podobnych przypadkach taki efekt dawały połączone wysiłki kilkunastu niezależnych badaczy. Sertürner niemal na pewno wpadł w uzależnienie i był świadom ponoszonego ryzyka. To właśnie ryzyko sprawiało, że uparcie starał się zainteresować swoim odkryciem naukową społeczność. W 1812 roku napisał: „Uważam to za swój obowiązek, by

przyciągnąć uwagę do okropnych skutków wywieranych przez tę nową substancję, którą nazwałem *morphium*, aby zapobiec nieszczęściu”[6].

Pięć lat później jego ostrzeżenia zainteresowały Josepha-Louisa Gay-Lussaca, profesora chemii w paryskiej Ecole polytechnique[7]. Gay-Lussac był już sławny. W 1804 roku, w wieku 26 lat, wzniósł się w balonie na rekordową wysokość 7016 metrów, by badać ziemskie pole magnetyczne i skład gazowy atmosfery. Ostatnio, we współpracy z baronem Alexandrem von Humboldtem, ustalił strukturę wody. Jak większość dobrych naukowców nie był wolny od skłonności do paranoi i nawet oskarżał swoich kolegów o to, że rozmyślnie nie dopuszczali do nagłośnienia odkrycia Sertürnera z powodu narodowości młodego aptekarza oraz braku pozycji w świecie akademickim. Przypuszczalnie się mylił, ale bez jego wsparcia Sertürner mógł pozostać niezauważony. Nawet po wstawiennictwie Gay-Lussaca minęło kolejne 10 lat, zanim francuski Instytut uhonorował nie tak już młodego niemieckiego aptekarza nagrodą w wysokości 2000 franków za „otworzenie drogi do ważnych medycznych odkryć poprzez wyizolowanie morfiny i wyjaśnienie jej zasadowej natury”[8].

* * *

Dzieło Sertürnera było rewolucyjne; wybiegając poza morfinę, zapoczątkowało kolejną falę działalności na polu chemii organicznej. W 1832 roku Thiboumery i Pelletier wyizolowali kolejną pochodną opium i nazwali ją tebainą – od ojczyzny wysokiej jakości maku w starożytnym Egipcie. A kilka miesięcy później Robiquet zidentyfikował drugi z najbardziej użytecznych alkaloidów zawartych w opium – kodeinę[9]. „We Francji wciąż żyje duch Lavoisiera” – radował się Jean Marchais. I tak też było, ale podobnie działo się

w Anglii, gdzie Humphry Davy, mizernie wyglądający i pobieżnie wykształcony wiejski chłopak z Penzance, wywoływał u swoich kolegów chichoty gazem rozweselającym, który niedawno odkrył Joseph Priestley. Dwaj francuscy chemicy, Caventou i Pelletier, opracowali stosunkowo tani i prosty proces izolowania morfiny o niemal 90-procentowej czystości. A François Magendie – przodownik zastępu bystrych młodych lekarzy, którzy odrzucili tradycyjne podejście do leczenia metodą prób i błędów i ogłosili się nową klasą erudytów w medycynie – opisał pierwszy przypadek użycia tej substancji w opiece paliatywnej.

Jego pacjentką była 38-letnia mężatka z tętniakiem aorty, która od kilku lat szukała ulgi, nękana rozdzierającym bólem w klatce piersiowej[10]. Kilka razy próbowała popełnić samobójstwo i aby ocalić jej duszę, skoro nie dało się uratować ciała, mąż, gorliwy katolik, trzymał teraz żonę pod stałym nadzorem. Konsultowali się z większością wybitnych lekarzy w Paryżu, a także zasięgali porady u aptekarzy, zielarzy, magnetyzerów i różnego autoramentu szarlatanów. Ponieważ kobieta twierdziła, że opium, zażywane w jakiejkolwiek formie, przyprawia ją o gwałtowne wymioty, Magendie podał jej morfinę. Efekt był – według niego samego – „cudowny (…), nie ma na to innego słowa”. Oczywiście, stan pacjentki był nie do wyleczenia i ból pozostał, ale kobieta „uspokoiła się, opanowała i stała się niemal szczęśliwa”. Zmarła we śnie dziewięć miesięcy później pogodzona ze swoim Stwórcą. Magendie zaś wykazał wartość nowego leku w medycynie paliatywnej, podając go kolejnym dwóm terminalnie chorym osobom. To były historyczne chwile.

Jednak przez kilka lat morfina, wciąż wytwarzana w małych prywatnych laboratoriach, była przypuszczalnie używana do samobójstw i morderstw równie często jak w opiece paliatywnej. Sensacyjny przypadek wielokrotnych zabójstw

w Lyonie – cała rodzina została zgładzona przez chciwego dziedzica, który przypadkiem był kompetentnym chemikiem – zainspirowała Balzaca do wprowadzenia tego specyfiku do literatury. W powieści *Comédie du diable* Diabeł chełpi się, że nowy wynalazek zwany *la morpheine* spowodował satysfakcjonujący wzrost zaludnienia w Piekle. Ale już w latach 30. XIX wieku lek był powszechnie dostępny w handlu zarówno we Francji, jak i w Niemczech, w dodatku niezbyt drogi. W Paryżu na lewym brzegu Sekwany, w okolicy uczęszczanej przez cyganerię, w aptece Pharmacie de la Cloche najlepiej sprzedawała się właśnie morfina. W 1826 roku Magendie opublikował swoją *Formulaire pour la préparation et l'emploi de plusieurs medicaments* – jedną z przełomowych książek w historii medycyny, z obszernym rozdziałem poświęconym morfinie. W ciągu dwóch lat dzieło zostało przetłumaczone na angielski i doczekało się kilku pirackich wydań w Stanach Zjednoczonych. Po raz pierwszy lekarze mogli przepisywać precyzyjne dawki środka przeciwbólowego, który był co najmniej 10 razy silniejszy niż najlepsze tureckie opium.

Opium oczywiście nie zniknęło. Autorytatywny brytyjski podręcznik terapeutyki Jonathana Pereiry, opublikowany w 1839 roku, nadal opisywał „dobrej jakości laudanum" jako najbardziej wartościowe dostępne lekarstwo przeciwbólowe, jeśli nie liczyć morfiny. Jego na ogół optymistyczne uwagi przypuszczalnie odzwierciedlają ówcześnie dominujące poglądy:

> Ostatnio zaczęto rozważać pewne wątpliwości odnośnie do domniemanych szkodliwych dla zdrowia skutków zażywania opium oraz jego tendencji do skracania życia. Trzeba przyznać, że w kilku znanych przypadkach, jakie zdarzyły się w tym kraju, były poważne negatywne skutki. Ale (…) powinniśmy zachować (…) ostrożność w założeniach, ponieważ fakt, że opium w dużych ilo-

ściach, zażywane doustnie bez kontroli, jest silną trucizną, a palone w nadmiarze – szkodzi, wcale nie musi oznaczać, że stosowane z umiarem również jest szkodliwe[11].

Znaczące było naleganie Pereiry na „dobrej jakości" opium. Coraz częściej przewijał się temat fałszowania specyfiku domieszkami. W opublikowanym w 1820 roku sensacyjnym *Traktacie o fałszowaniu żywności i o kulinarnych truciznach*, *A Treatise on Adulterations of Food, and Culinary Poisons*, autorstwa Fredricka Accuma, opium wymieniono jako najczęściej podrabiany lek. Autor ostrzegał również, że specyfik ten bywa dyskretnie używany do „wzmacniania" innych drogich lekarstw[12]. Do fałszowania wykorzystywano szereg różnych substancji, najczęściej mąkę. Kolejna publikacja Accuma – *Deadly Adulteration and Slow Poisoning Unmasked* („Śmiertelne fałszowanie i powolne trucie zdemaskowane")[13] – jeszcze bardziej mroziła krew w żyłach. W pierwszym wydaniu magazynu nowo założonego Towarzystwa Farmaceutycznego w 1840 roku John Bell wybrał nielegalne rozcieńczanie jako najciekawszy temat do nagłośnienia.

Trudno w tej chwili powiedzieć, jak poważny był w rzeczywistości ten problem. W przeciwieństwie do tego, co ówcześnie sugerowano, w Turcji przypuszczalnie rzadko dochodziło do fałszowania – przyłapanych winowajców karano tam śmiercią. Jednak w Wielkiej Brytanii trendy się zmieniały. Ustawy parlamentarne chroniące czystość artykułów spożywczych i lekarstw istniały od czasów panowania Jerzego III, ale rzadko się do nich odwoływano. Do tej pory lwia część tego, co ludzie jedli, pili czy zażywali, pochodziła z przydomowych upraw albo z pobliskich wiosek czy niedalekich okolic. Wędrowni handlarze i straganiarze na lokalnym targu byli mieszkańcom dobrze znani[14]. Zmiana nastąpiła jako jeden ze skutków ubocznych migracji wiejskiej

ludności do miast. Wiązała się z nią alienacja, a także fizyczne oddalenie robotników od miejsca wytwarzania ich żywności i lekarstw. Dla matek w slumsach zaoszczędzenie ćwierćpensówki było poważną motywacją, by kupić tańszy, a tym samym mniej godny zaufania produkt.

Dla tych, którzy mogli sobie na to pozwolić, morfina – zazwyczaj sprzedawana w zapieczętowanych szklanych ampułkach – była bezpieczniejsza. Ale żeby w pełni wydobyć kryjący się w leku potencjał, to znaczy wykorzystać jego czystość, moc i możliwość precyzyjnego dawkowania, należało opracować wygodną i efektywną metodę aplikacji. Dawniej wypróbowano już podawanie opium w postaci lewatywy, teraz chwilowo święciły triumfy morfinowe czopki pokryte woskiem lub tłuszczem zwierzęcym. Bezpośrednie inhalacje, różniące się od wdychania dymu przez fajkę, okazywały się kłopotliwe i często wywoływały mdłości. Fajki opiumowe były jeszcze na Zachodzie czymś egzotycznym. Wypróbowywano plastry na skórę oraz lekkie zadrapania, ale morfina – jeszcze bardziej niż laudanum – czasami powodowała powstawanie bolesnych pęcherzy. Potrzebowano czegoś radykalnie innego i coś radykalnie innego właśnie się zmaterializowało.

Wynikło z połączenia dwóch genialnych pomysłów: jednego starożytnego, drugiego całkiem nowego. Wynalezienie strzykawki przypisuje się Heronowi z Aleksandrii, który był kimś w rodzaju Thomasa Edisona starożytności[15]. Narzędzie na pewno jest stare, a na przestrzeni stuleci było przystosowywane do takich medycznych praktyk, jak wlewy doodbytnicze czy wczesne, makabryczne w skutkach próby przetaczania krwi od zwierzęcia do zwierzęcia i od zwierzęcia do człowieka. Jednakże rozpoznawalna strzykawka podskórna z ostrą, pustą w środku igłą została wynaleziona dopiero w 1841 roku. Dokonał tego Charles-Gabriel Pravaz,

chirurg z Lyonu, poprzednio znany tylko ze swych prac charytatywnych na rzecz miejskiej biedoty. Za pomocą strzykawki nie zamierzał podawać pacjentom morfiny, lecz wstrzykiwać do żylakowych naczyń koagulujące roztwory – zabieg ten, wciąż niekiedy stosowany, był sztandarowym dziełem Pravaza. Jego jedyną strzykawkę i igłę wykonał według dokładnych wskazówek M. Charrière, znany miejscowy wytwórca instrumentów. Strzykawka była srebrna, igła – platynowa. Dla bezpieczeństwa doktor Pravaz nosił ten cenny przedmiot nie w swojej medycznej torbie, tylko w specjalnie skonstruowanej kieszonce jedwabnej wyściółki cylindra. Jako że nie był świadom możliwości szerszego wykorzystania swego wynalazku, byłby dziś zapomniany, gdyby nie przyjaźń z byłym studentem medycyny. Louis-Jules Behier przeniósł się wcześniej z Lyonu do Paryża i stał się tam lwem salonowym, ale zachował kontakty z dawnymi przyjaciółmi. Był „oczarowany” sprytnym narzędziem Charles’a-Gabriela i natychmiast je przygarnął, nazywając „swoim Pravazem”. Nie wstrzykiwał jednak koagulantów w żylaki klasy robotniczej, lecz… morfinę w pośladki arystokracji. Jego lekarstwo, stosowane na szeroki wachlarz dolegliwości, odniosło wielki sukces, jak sam stwierdził: *succès fou*. Później przez krótki czas mówił o sobie *morphiniste impériale* i był jedyną osobą noszącą ten osobliwy tytuł. Potem dźwięczna, choć być może nieco złowieszcza nazwa „pravaz” na kontynencie stała się synonimem nie tylko strzykawki podskórnej, lecz także uzależnienia od morfiny. Przynajmniej dla wtajemniczonych.

Inni pionierzy są obecnie niesprawiedliwie zapomniani. Już w 1836 roku doktor Hyacinthe Lafarge z małego winiarskiego miasteczka Saint-Emilion sugerował sposób wprowadzania morfiny pod skórę za pomocą specjalnie zaprojektowanego szpiczastego lancetu. Manewr ten wymagał pewnej

zręczności i nigdy nie wyszedł poza niewielki krąg paryskich lekarzy. Doktor Isaac Taylor z Nowego Jorku wpuszczał lek przez małe nacięcie skóry za pomocą tępo zakończonej strzykawki. Metoda krótko cieszyła się powodzeniem, ale była bolesna i od czasu do czasu powodowała przedłużające się krwawienie. Z większym sukcesem Francis Rynd z Dublina opracował genialną strzykawkę wyposażoną w trokar, umożliwiającą aplikowanie leków podskórnie, a czasami, raczej przypadkowo, dożylnie. W 1844 roku został lekarzem w Meath Hospital, pierwszym dublińskim szpitalu dla biedoty, i tam leczył nerwobóle (przeszywające bóle w nerwach), posługując się rozmaitymi środkami uspokajającymi, w tym morfiną, lecz także takimi miksturami, na które dziś można by tylko unieść brwi. Później pisał w „Dublin Medical Press”:

> Podskórne wprowadzanie płynów niosących ulgę w nerwobólach wprowadziłem w tym kraju ja w Meath Hospital w maju 1844 roku (…). Od tamtej pory leczyłem wiele przypadków i stosowałem wiele rodzajów płynów i roztworów ze zmiennym skutkiem. Z nich wszystkich najkorzystniejsza, moim zdaniem, była morfina w kreozocie, 10 granów tej pierwszej na jedną drachmę tego drugiego[16].

Jean Lenoir ze Szpitala imienia Neckera w Paryżu w 1853 roku zamienił srebrny cylinder na przezroczysty, szklany, a metodę obracania tłoka w spiralnym gwincie zastąpiono prostym naciskiem z większym dopasowaniem do ścianek. To ostatnie było dziełem słynnego wytwórcy instrumentów, Luera. Oba nazwiska łączono ze strzykawką podskórną w krajach anglojęzycznych i we Francji aż do połowy XX wieku. Ale do rozpowszechnienia tej metody w Wielkiej Brytanii najbardziej przyczynił się doktor Alexander Wood z Edynburga. Członek edynburskiego Royal Society, a także ceniony lekarz, dużo podróżował po kontynencie

i widział, jak we Francji używa się strzykawek. Był pod wrażeniem. W 1851 roku zamówił kilka sztuk w zakładzie Fergusonów w londyńskim South Endzie, gdzie wykonano je według jego opisu. Doktor Wood pokazał narzędzie na zebraniu medyków w Londynie i wzbudził mieszane reakcje. Główna troska słuchaczy dotyczyła przypadkowego wkłucia w żyłę, tętnicę lub nerw, do czego owszem, dochodziło, choć rzadko. „Zawsze można się wycofać przed wstrzyknięciem” – odrzekł Wood, mając na myśli, że należy się upewnić, czy igła nie trafiła w naczynie krwionośne. Wciąż często się słyszy tę radę, ale wypadki nadal się zdarzają. Rok później projekt Wooda został ulepszony przez doktora Charlesa Huntera ze Szpitala Świętego Jerzego w Londynie – dodał on mechanizm blokujący na igle. To pozwoliło uniknąć odłączania się igły od strzykawki pod ciśnieniem podczas wstrzykiwania, co też czasem się przytrafiało i powodowało kłopoty. W 1856 roku doktor Fordyce Barker z Nowego Jorku przypuszczalnie jako pierwszy wykonał podskórny zastrzyk w Stanach Zjednoczonych.

Wszystko było teraz gotowe do wielkich, zbawiennych postępów. Wood, Hunter i ich zwolennicy entuzjastycznie podzielali katastrofalne w skutkach błędne poglądy. Uważali – całkiem słusznie – że morfina podawana drogą podskórną działa szybciej niż zażywana doustnie, ale ponadto wmawiali sobie, że nowy sposób zniesie „znaczącą niedogodność rozwijającego się apetytu”. Stare marzenie w nowym przyodziewku miało się okazać równie zdradzieckie jak zawsze. Określenie „apetyt” podpowiada, że w tamtych czasach na ogół nie odróżniano narkotycznego głodu od zwykłego, uważając go za funkcję przełykowo-żołądkową. „Pozbądźmy się aktu przełykania – pisał Wood – a pragnienie przyjmowania większych ilości morfiny zostanie ugaszone”. Utwierdzeni w złudnym mniemaniu, on i jego naśladowcy zaczęli

bez zastanowienia stosować podskórne zastrzyki przy najróżniejszych dolegliwościach, zarówno błahych, jak i poważnych: od „bólów reumatycznych” po zapalenie oczu, od bolesnego miesiączkowania po bóle głowy, od zwykłego kaca po pełnoobjawowe delirium tremens. Niektórzy lekarze uczyli swoich pacjentów samodzielnej obsługi zastrzyków – praktyka, na którą później profesjonaliści będą się krzywić. Ale kto mógł ich powstrzymać? Damy epoki wiktoriańskiej rzadko były takimi bezradnymi, eterycznymi stworzeniami, jak je przedstawiała romantyczna fikcja literacka; wręcz przeciwnie – wiele z nich po mistrzowsku opanowało posługiwanie się „pravazem”. Można to było robić niepostrzeżenie pod stołem podczas proszonej kolacji, w loży teatralnej przy wysłuchiwaniu sopranowych treli o krańcowej rozpaczy albo – jak zaobserwował Flaubert – w kościelnej ławce, na pozór będąc zatopionym w modlitwie. W prasie reklamowano małe „damskie modele”, niektóre z delikatnie grawerowanymi srebrnymi tłoczkami, a pewien sławny jubiler z Bond Street, do dziś czynny w biznesie, oferował jako *cadeau d’amour*[17] „unikalne” pięknej roboty etui z kości słoniowej oprawionej w złoto.

Sam lek sprzedawano teraz w różnego rodzaju flakonikach. Fiolka z jednorazową dawką dawała się z wdziękiem złamać w damskiej rękawiczce. Dla dżentelmenów cały sprzęt można było zmieścić w rękojeści laski wydrążonej z kości słoniowej. Niektórzy eleganccy spacerowicze uzależnili się, zapewne nie bez pomocy swych lasek. W 1854 roku odnotowano pierwszy fatalny wypadek. Tragicznym i ironicznym zbiegiem okoliczności uległa mu pani Wood – krewna doktora Alexandra Wooda (ale nie żona, jak podaje większość książek o morfinie). Od wielu lat cierpiała na migrenowe bóle głowy i przyjęła za dużą dawkę – wówczas nazywano to przypadkowym przedawkowaniem. Ponieważ

była popularna w swoich kręgach i udzielała się w dobrych sprawach, jej śmierć u wielu osób wywołała szok i przygasiła nieco entuzjazm doktora Wooda i jego zwolenników. Jednakże pierwsza śmierć pozostała tylko przelotnym cieniem, a podskórnie podawana morfina miała przed sobą przyszłość.

Z Londynu, Paryża i Nowego Jorku morfinizm – nowe słowo – rozprzestrzenił się po Europie i Stanach Zjednoczonych. Jak poprzednio laudanum, lek był wówczas artykułem luksusowym. W połowie XIX wieku krwawe walki na Krymie oraz tymczasowo rozdzielone Stany Zjednoczone znajdą dla morfiny szerokie, ponadklasowe rynki zbytu. Zanim to jednak nastąpi, zostanie stoczona kolejna wojna, „najbardziej nikczemna, jaką kiedykolwiek prowadzono pod sztandarem tego kraju”[18] oraz jedyna mająca w nazwie narkotyk. Stoczona i według wszelkich pozorów – wygrana.

ROZDZIAŁ 17

Najbardziej nikczemna z wojen

I. Niebiańskie królestwo

Tylko nieliczni poważnie zakwestionowali słowa przyszłego premiera Gladstone’a z 1840 roku:

> Wojna bardziej nikczemna w swym zaczątku, wojna bardziej skalkulowana w swym postępie, by okryć ten kraj niezmywalną hańbą, jakiej nie znam i o jakiej nigdy nie czytałem (…). Boję się osądu Boga dla Anglii za naszą niegodziwość wobec Chin[1].

Mówił o wojnie opiumowej, rozegranej w dwóch etapach między Wielką Brytanią a Chinami – co do tego nie może być pomyłki – i wiedział, o czym mówi. Właśnie podniósł się z załamania nerwowego po daremnej podróży do Włoch ze swoją ukochaną 24-letnią siostrą Heleną, która podczas bolesnej choroby uzależniła się od laudanum.

Niewielu też zakwestionowało późniejszą ocenę sytuacji: „Wielka Brytania ciągnęła ogromne zyski z handlu opium, zatruwając znaczną część chińskiego narodu”[2]. Wojna ta, czy raczej dwie wojny, okazała się najbardziej zyskownym komercyjnym przedsięwzięciem kolonialnej Wielkiej Brytanii w historii, nie wyłączając żyły złota, jaką był wcześniej handel niewolnikami.

Jednak wiodący sinolodzy – przynajmniej niektórzy – krytykowali „mitologię wyniszczonego, uzależnionego Chińczyka”, ofiary europejskiej chciwości:

> Powinniśmy również pamiętać wieśniaków niosących swoje grudki makowego soku na targ, dobrodziejstwo dla ekonomii, owiniętych w koce przewoźników na łodziach, podających sobie opiumową fajkę w półmroku, a także chińskich dżentelmenów palących sobie spokojnie w zaciszu domowym z kulturalnymi przyjaciółmi[3].

Takie idylliczne karykatury rzadko bywają przekonujące, ale można tutaj przywołać dwa łagodzące obraz fakty.

Przede wszystkim to nie Brytyjczycy wprowadzili opium do Chin. Ceniony chiński chirurg Hua To, żyjący w okresie Trzech Królestw w III wieku n.e., przypuszczalnie używał opium jako anestetyku, wykonując poważne operacje. W 987 roku cesarz nakazał sporządzenie zielnika, w którym wspomniano opium, *ying-tsu-su* (*su* to nazwa makówki), a poeta Su Tung-p’a wychwalał roślinę sprowadzającą słodkie sny. Jednakże sok makowy pozostawał medykamentem i artykułem luksusowym aż do końca XVII wieku, kiedy zachodni żeglarze przywieźli z sobą zupełnie nowy zły nawyk.

Wcześniej w tym samym stuleciu holenderscy i portugalscy marynarze nauczyli się palić tytoń od rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej, dla których była to czynność o głęboko religijnym znaczeniu. Zwyczaj ten błyskawicznie rozprzestrzenił się po świecie jak Wschodni Wiatr z chiń-

skiego powiedzenia. Holenderscy żeglarze na Jawie zaczęli dodawać do swoich fajkowych mieszanek szczyptę opium i arszeniku – po części dla większego odlotu, a po części dlatego, że miało to podobno zapobiegać malarii. (Może nawet zapobiegało, przynajmniej moskity trzymały się od palacza z daleka). W ciągu kilku lat, mimo grzmiących klątw, nowinka dotarła na Formozę (dzisiejszy Tajwan), a potem do kontynentalnych Chin. Praktyka stała się na tyle modna na dworze w Pekinie, że cesarz Chongzhen zakazał jej, wywołując – co było do przewidzenia – efekt przeciwny do zamierzonego. Edykt nie pozostał wprawdzie w mocy zbyt długo, ale zdążył narobić szkód. Ponieważ tytoń nie był w Chinach dostępny, od samego początku palono opium. Powolne ceremonialne przygotowanie, napełnianie i zapalanie fajki zdawało się pasować do wschodniego temperamentu (o tyle, o ile takie geograficzne temperamenty w ogóle istnieją), a Chińczyków z wyższych sfer cieszyło wykwintne wykonanie niezbędnych do tego narzędzi. Palenie okazało się niezwykle skutecznym sposobem wprowadzania opium do ciała: efekt był stosunkowo łagodny i niemal natychmiastowy. Jednak nawet w Chinach, zanim rozpoczęło się importowanie opium z Indii, nawyk ograniczał się do warstw szukających rozrywki, a w tym ogromnym kraju była to maleńka mniejszość.

Krytykom wojen opiumowych często umyka fakt, że na początku XIX wieku Niebiańskie Królestwo znajdowało się w jednym z licznych w swojej historii okresów schyłkowych. Nie od razu dało się to zauważyć. Imperium chińskie wciąż było największe na świecie. Jego liczba ludności wynosiła około 500 milionów – czyli więcej niż w całej ówczesnej Europie – i szybko rosła. Granicami obejmowało obszar dwa razy większy od terytorium Stanów Zjednoczonych. Dla większości Chińczyków to, co leżało poza tymi granicami,

było zupełnie nieistotne. Kraj miał ciągłą historię sięgającą co najmniej 5000 lat wstecz i pomimo sporadycznych powstań ludowych i obcych inwazji prowadzących do zmiany dynastii panującej jego społeczna i duchowa tkanka pozostawała w dużej mierze niezmieniona. Nigdy nie istniało tu pojęcie zgodnej z prawem wolności osobistej. Moralność społeczna opierała się na powinnościach, jak nauczał Wielki Nauczyciel Konfucjusz: powinnościach wobec rodziny, krewnych, wioski, prowincji i wreszcie cesarza, reprezentującego boga na ziemi. Należała do niego cała ziemia; miał prawo nakładać podatki zarówno na glebę, jak i na główny płód rolny – ryż. W imieniu cesarza krajem rządzili mandaryni (uczeni mężczyźni, którzy przeszli szereg rygorystycznych egzaminów), a robili to zgodnie z zasadami konfucjańskimi – przynajmniej w teorii. Władza cesarza była jednak absolutna.

W 1651 roku dynastia Qing – nazywana też Dynastią Czystości lub mandżurską – wywodząca się z przywódców koczowniczego plemienia, pokonała i zastąpiła na tronie ostatnią wielką rodzimą linię cesarzy, Dynastię Wspaniałą, Ming. I chociaż według ścisłych tradycjonalistów Mandżurowie zawsze pozostali barbarzyńcami, stali się, jak poprzedni zdobywcy, bardziej chińscy od samych Chińczyków. Trzej długo żyjący i odnoszący sukcesy cesarze jeszcze bardziej powiększyli już i tak ogromne terytorium kraju, zabezpieczyli jego granice, na nowo przydzielili ziemię (co doprowadziło do nagłego i potencjalnie groźnego wzrostu liczby ludności) oraz zbudowali w Pekinie wspaniały zespół pałacowy niemal w tym samym czasie, gdy Ludwik XIV wzniósł we Francji Wersal. Jednak dostojność, izolacja i uwielbienie tradycji posiały ziarno destrukcji. Wojny religijne i spory dynastyczne w Europie przez długi czas pozwalały Chinom ustrzec się naporu Europejczyków, lecz na te okoliczności

Chińczycy nie mieli wpływu, a sytuacja miała się wkrótce niebezpiecznie zmienić. Z historycznej perspektywy przełomowym momentem wydaje się poselstwo wysłane w 1793 roku przez Kompanię Wschodnioindyjską z Londynu, z błogosławieństwem rządu Jego Królewskiej Mości, do ostatniego wielkiego cesarza Niebiańskiego Królestwa, Qianlonga.

* * *

Misji przewodniczył lord Macartney, czarujący irlandzki prawnik, który udowodnił już swoje rozliczne talenty jako poseł nadzwyczajny skierowany do damy znanej z bujnych kształtów i takichże amorów, carycy Katarzyny Wielkiej. Ekspedycja do Chin kosztowała Kompanię Wschodnioindyjską potężną sumę 80 000 funtów. Do Pekinu podążyła znamienita delegacja uczonych akademickich, a także handlarze ze wspaniałymi darami[4]. Poselstwo dało plamę przy ukłonach. Od tych, którzy stawali przed obliczem Syna Niebios, wymagano, by się głęboko skłonili, przyklękli trzy razy i dziewięciokrotnie uderzyli czołem w podłogę (ten element etykiety nazywano *koutou*). Mandaryni nie widzieli powodu, dla którego mieliby robić wyjątki. Dla dobra komercyjnych zysków Macartney był gotów bić swoją twardą głową o ziemię, ile razy będzie trzeba, o ile któryś z mandarynów zrobiłby to samo przed namalowaną na płótnie podobizną Jerzego III w pełnym stroju koronacyjnym. Jednak nawet najniższy chiński urzędnik nie uczyniłby czegoś tak niedorzecznego, a Macartney, urażony do żywego, zaparł się i też odmówił pokłonów. Po zupełnie nieformalnej, dalekiej od oficjalności audiencji Macartney zanotował, że „imperium jest jak stary, dotknięty obłędem, lecz niegdyś znakomity okręt wojenny, który dzięki szczęśliwie następującym po sobie zmianom zdolnych i czujnych oficerów zdołał utrzymać

się na wodzie, ale jeżeli zostanie bez nich, zdryfuje z kursu i roztrzaska się na kawałki u brzegu”[5].

Miał rację. Cesarz, wówczas 83-letni, ale będący w pełni sił umysłowych, uznał brytyjską misję za komedię. Nalegał, by Brytyjczycy nadal prowadzili cały swój handel przez już i tak zatłoczony port w Kantonie, u ujścia Rzeki Perłowej, i nie życzył sobie w Pekinie żadnej oficjalnej brytyjskiej misji dyplomatycznej[6]. Ani teraz, ani jutro, ani nigdy. Propozycja kontrolowania handlu opium, którą Macartney uważał za swoją kartę atutową, nie została nawet wspomniana, co było przedsmakiem olbrzymiej dokumentacji dotyczącej wojen opiumowych, w której ani razu nie pada nazwa narkotyku.

Cesarz wystosował ponadto osobisty list do swojego odległego, lecz zaufanego sługi, króla Wielkiej Brytanii Jerzego III:

> Nasze sposoby [postępowania] nie mają podobieństwa z waszymi i nawet gdyby Wasz poseł miał kwalifikacje, aby przyswoić ich podstawy, nie mógłby ich przenieść na Waszą barbarzyńską ziemię. Dziwne i kosztowne przedmioty nie interesują mnie. Jak Wasz ambasador sam widział, posiadamy wszystko i w najwyższej jakości. Nie przywiązuję wagi do dziwnych i bezużytecznych przedmiotów i nie mam zastosowania dla wyrobów Waszego kraju[7].

Jak podsumował sytuację pewien angielski podróżnik:

> Chińczycy mieli najlepsze jedzenie na świecie – ryż, najlepszy napój – herbatę, najlepsze ubrania z bawełny, jedwabiu i futra, najlepsze metalowe przyrządy, najlepsze wyroby ceramiczne, najlepsze domy i najlepsze środki transportu. Nie potrzebowali tandety od nas ani od kogokolwiek innego.

A jednak był w chińskiej postawie element aroganckiej dumy, którą Sofokles uznałby za wołającą o srogą karę boską. Wkrótce ujawnił się czynnik bezpośrednio stojący na

przeszkodzie podtrzymywaniu przyjacielskich, lecz zdystansowanych stosunków. Chiny być może nie chciały niczego, co Zachód miał do zaoferowania, ale w drugą stronę już to nie działało. Zachód chciał herbaty.

* * *

Romans Anglików z herbatą rozpoczął się w 1664 roku, kiedy król Karol II z okazji swoich zaślubin z portugalską księżniczką Katarzyną Bragança otrzymał prezent w postaci niecałego kilograma dziwnie pachnących, pomarszczonych czarnych liści. Monarcha uznał przyrządzony z nich napar za obrzydliwy, ale tym razem jego lojalni poddani nie zgodzili się z nim. W ciągu kilkudziesięciu lat konsumowali już rocznie 5,5 miliona kilogramów suszonych liści. Co się złożyło na takie bezprecedensowe zasmakowanie w herbacie, było w tamtych czasach tajemnicą i dla wielu pozostaje nią do dziś. Oczywistą koleją rzeczy, mówiło się o uprawie herbacianego krzewu w jakiejś innej dostępnej części świata – pod uwagę brano Irlandię – ale takie projekty wymagają czasu. (Plany zaowocowały dopiero po kolejnych 100 latach). Tymczasem jedynym źródłem niezastąpionego napoju pozostawało Niebiańskie Królestwo[8].

Zapotrzebowanie nie było jedynym problemem. Główną trudność stanowiła zasada wzajemności, a raczej jej brak. Co prawda Chiny kupowały jakieś angielskie wyroby – przez pewien czas w państwie najznakomitszej porcelany popularnością cieszyły się przedmioty z brytyjskiej wytwórni Wedgwood, postrzegane jako urocza pokraczna osobliwość – ale do roku 1750 roczny ujemny bilans handlowy sięgał już sześciu milionów funtów. Taki brak równowagi rynkowej nie mógł trwać długo. Potem wynikła kolejna komplikacja. Jedyną formą płatności, jaką przyjmowali Chińczycy, było hiszpańskie srebro. Do niedawna bite

w nadmiarze ciężkie monety ze srebra wydobywanego w południowoamerykańskich kopalniach płynęły szeroką rzeką, kiedy jednak Hiszpania weszła w sojusz ze zbuntowanymi angielskimi koloniami w Ameryce Północnej, Brytyjczycy zostali odcięci od źródła kruszcu. Mimo to bardziej niż kiedykolwiek domagali się swego codziennego – czy raczej: trzy razy dziennego – napoju. Coś się musiało wydarzyć i tym czymś okazało się chińskie embargo na opium.

* * *

Rząd chiński wydał pierwszy edykt zakazujący importu opium już w roku 1779, po czym wzmocnił go postanowieniem z 1799 roku. Jak głosił dokument:

> Cudzoziemcy w oczywisty sposób czerpią [z tego] najwyższe zyski i korzyści; lecz fakt, że nasi rodacy oddają się temu wyniszczającemu i usidlającemu nawykowi, jest wstrętny i godzien pożałowania[9].

Był to mocny przekaz, lecz wciąż w równym stopniu wymierzony w portugalskich przemytników oraz holenderskich, amerykańskich i francuskich piratów, jak w Brytyjczyków. I początkowo dyrektorzy Kompanii Wschodnioindyjskiej, wszyscy będący szanowanymi obywatelami, zamierzali się zastosować do zakazu. Starali się także nie wzbudzić w Chińczykach niezadowolenia, by nie zakłócić niewielkiego, ale legalnego handlu Kompanii innymi dobrami. Gubernator generalny w Bengalu, Warren Hastings, początkowo się zgodził, lecz potem zmienił zdanie. Zarówno on, jak i jego następca, lord Cornwallis, byli opiofobami i obaj potępiali handel tym towarem, potrzebowali jednak funduszy do przeprowadzenia reform, a jedynym źródłem pieniędzy był mak. Z Londynu nie mogli się spodziewać żadnych dotacji – Kompania wprawdzie odnosiła się do propozycji życzliwie, ale była nastawiona na zyski, nie na dobroczynne rozdaw-

nictwo. W końcu osiągnięto typowo brytyjski kompromis: przez kilkadziesiąt lat szmuglowanie indyjskiego opium do Chin było w teorii zakazane, ale w praktyce propagowane.

W przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, Kanton – malownicze miasto o złoconych świątyniach i pięknie rozplanowanych ogrodach publicznych – opływał w srebro. Howqua, szef miejscowego konsorcjum kupieckiego, któremu wolno było handlować z barbarzyńcami, miał opinię najbogatszego człowieka na świecie. O głównym, a właściwie jedynym brytyjskim towarze mającym szansę na zbyt, mówiono: „łagodny i kojący balsam z ogrodu". (Lista obejmowała też wyroby z wełny, ale sprzedawały się marnie, ponieważ Chińczykom nie odpowiadała ich szorstka tekstura). Nieliczni dawali się zwieść – o ile w ogóle – ale zachowywano pozory. Howqua subsydiował utrzymanie chrześcijańskich działań charytatywnych w tak odległych miejscach jak Bahamy. Z Kantonu karawany wielbłądów i osłów niosły kontrabandę w głąb lądu.

Zgodnie z uświęconym przez czas zwyczajem, wielkie interesy między chińskimi przedstawicielami a indyjskimi i brytyjskimi handlarzami ubijano na pokładzie opiumowych kutrów. Po starannie wyreżyserowanej wymianie grzeczności nad filiżankami herbaty następowały pełne troski pytania o zdrowie długiej listy miejscowych biznesmenów i urzędników. Ich stan samopoczucia i ewentualne dolegliwości wskazywały na wysokość spodziewanej łapówki, którą oczywiście rozmówca musiał właściwie ocenić. Wywiązywały się negocjacje, przeplatane bankietami, rozrywką teatralną i wręczaniem prezentów, a cały ten proces jeden z nowo przybyłych określił jako podobny do chińskiej opery. Nic się nie dopinało, wszystko ewoluowało. O stopniu akceptacji propozycji świadczył łagodnie wstrzymany oddech czy cień uśmiechu. Ledwie dostrzegalny ruch palców reprezentował

niemal niepohamowany gniew. Ale sprzedawano coraz większe ilości i chociaż równocześnie satysfakcjonująco rosły zyski, wnikliwi obserwatorzy czuli zaniepokojenie. Niebezpieczny był właśnie sukces przedsięwzięcia. W 1782 roku pierwszy transport najlepszego opium z Patny nie znalazł nabywców i trzeba go było wyrzucić. Niespełna 50 lat później zaś, w 1830 roku, oficjalnie zakazany handel uważano za największą na całym świecie międzynarodową działalność komercyjną w zakresie jednego towaru. Spokój gwarantowały jedynie wielce sformalizowane pantomimy oraz solidne łapówki, starannie wymierzane i rozdzielane wszystkim urzędnikom w hierarchii, aż do cesarskiego skarbca. Jednak i to nie miało trwać wiecznie.

* * *

W 1833 roku reformistycznie nastawiony brytyjski parlament, oddany doktrynie wolnego handlu, zniósł monopol Kompanii Wschodnioindyjskiej na handel z Dalekim Wschodem. W rezultacie do Kantonu jak pszczoły do miodu zaczęli napływać samozwańczy kupcy szukający zysku na własną rękę. Na miejscu jednak, zagubieni w obcym świecie, chętnie przyjmowali pośrednictwo dwóch Szkotów, obu od dawna będących na usługach Chińczyków. William Jardine, wówczas 46-letni, miał wykształcenie medyczne zdobyte na Uniwersytecie Edynburskim i doświadczenie chirurga marynarki wojennej. Podczas służby lekarskiej na statku Kompanii Wschodnioindyjskiej zdążył się dowiedzieć wszystkiego, co trzeba, o handlowaniu opium. Z kolei James Matheson, syn zubożałego właściciela ziemskiego ze szkockich wyżyn, wyjechał na Wschód i zaczął się parać handlem opium już w wieku 18 lat. Poprzez koneksje rodzinne załatwił sobie posadę duńskiego konsula w Kantonie – stanowisko niewymagające dużego nakładu pracy, a przydatne.

(Stan liczebny duńskich poddanych w Niebiańskim Królestwie szacowano na trzy osoby). Ci dwaj mężczyźni poznali się, kiedy zaznawali rozkoszy burdelu w Makau, i natychmiast rozpoznali w sobie wzajemnie bratnie umysły. Zawarli partnerską umowę. Jardine pracował, Matheson nadawał styl. W pierwszym i ostatnim przypływie patriotycznych uczuć na banderę wybrali sobie biały krzyż świętego Andrzeja na niebieskim tle[10]. Potem sentymenty nie odgrywały już żadnej roli w ich biznesie. Obaj byli zdecydowani zbić fortunę najszybciej, jak się da, co w przyszłości stanie się nadrzędnym celem całego opiumowego handlu. Kiedy 15 lat później w Izbie Gmin zapytano Jardine'a, czy nigdy nie miał wątpliwości co do moralnej natury swego przedsięwzięcia, odparł:

> Kiedy Kompania Wschodnioindyjska rozrastała się i sprzedawała towar, Izba Lordów i Izba Gmin, w obecności całej ławy biskupów, wydały formalne oświadczenie, że byłoby niewskazane i doprawdy niemądre odrzucić [handel opium]. Mógłby on wszak wspomóc szerzenie Ewangelii, z czym zatrudniani przez nas misjonarze zgodzili się w rzeczy samej. Myślę, że nasze moralne skrupuły nie musiały być aż tak wielkie[11].

* * *

Jednakże chińska oligarchia w Kantonie była skonfundowana bezczelnością nowych przybyszów. Pekin też zaczynał się niepokoić. Do tej pory mimo stopniowego naginania zasad Cesarski Skarbiec zawsze zdołał jakoś wykroić dla siebie satysfakcjonujący udział w zyskach z wymiany herbaty za opium. Teraz handel zakazanym towarem rozprzestrzeniał się wzdłuż wybrzeża, nie przynosząc stolicy żadnych dochodów – genialna innowacja Jardine'a – a wypracowane mechanizmy przekazywania dowodów szacunku zaczynały szwankować. Czy był to zbieg okoliczności, czy nie, akurat w tamtym okresie zaświtała Chińczykom świadomość, że

„cudzoziemski brud” zatruwa życie tysiącom, a może setkom tysięcy zwykłych zjadaczy ryżu. Niebezpieczeństwo to przewidzieli mądrzy cesarze w przeszłości, ale skorumpowani urzędnicy niekoniecznie się tym przejmowali. W Pekinie wiedziano, że „Chinese Courier”, organ prasowy Jardine’a i Mathesona, ostatnio poinformował swych czytelników: „Być może nic nie przyczyniło się bardziej do tego, by ostatecznie Chińczycy przyjęli rozsądne warunki w kontaktach z nami niż to (…) nadwątlenie ich moralnej energii”[12].

Obawę budziły też inne kierunki rozwoju sytuacji. Jardine i Matheson rewolucjonizowali techniki sprzedaży. Nie polegali już na niepozornych lokalnych sprzedawcach. Załatwili sobie usługi mówiących po chińsku Europejczyków, w tym wielebnego doktora Karla Gützlaffa, urodzonego w Prusach protestanckiego misjonarza i lingwisty. Doktor miał dobre zdanie o opium i z radością działał jako rzecznik, tłumacz i sprzedawca firmy, pod warunkiem że spełniała jego żądania. Oprócz stosunkowo skromnej prowizji życzył sobie, aby mu pozwolono wraz z paczuszkami opium rozprowadzać wybrane rozdziały z Pisma Świętego we własnym tłumaczeniu. Co może być bardziej stosowne niż „zdrowe połączenie dobrostanu cielesnego z uwzniośleniem ducha”? Wyimki z Biblii były atrakcyjnie wydane w drukarni firmy Jardine’a i Mathesona oraz opatrzone znakiem firmowym. Zawierały ponadto wplecione teksty promujące opium, „najlepszy sposób do osiągnięcia duchowego oświecenia, niezbędnego, aby uchwycić ewangeliczne przesłanie”. Wiadomość o tym wzbudziła w Pekinie obawy i podejrzenia. Zarówno religijny, jak i komercyjny prozelityzm od dawna był zakazany. Fakt, że je połączono, nie sprawiał, że ich szkodliwość wzajemnie się znosiła. W stolicy narastał gniew i pewnego dnia miał nieuchronnie wybuchnąć.

* * *

Brytyjscy urzędnicy w Kantonie mgliście to przeczuwali. Jako funkcjonariusze niskiego szczebla nie mogli nic przedsięwziąć, ale należycie przekazywali do Londynu skargi, groźby i ostrzeżenia ze strony Chińczyków, a także donosili o pewnych „dostrzeżonych ostatnio niepokojach" wśród miejscowej ludności. Czując, że nad Perłową Rzeką nie wszystko idzie dobrze, rząd jego królewskiej mości postanowił wyprzedzić wypadki. Do wyjaśnienia nieporozumień powołano urząd królewskiego nadzorcy handlu. Miał go objąć człowiek szlachetnie urodzony, słusznej postury i o zacnym stażu służby państwowej. Wspomagany przez dwóch nadzorców o niższej, lecz wciąż szlachetnej randze, miał rozpasanym europejskim handlarzom narzucić zasady postępowania. Ostro usadzić chińskich mącicieli. Spotkać się z chińskim wicekrólem w Kantonie. Te dwie osobistości porozumieją się, przemawiając co prawda w innej mowie, ale tym samym językiem. Był w tym również ukryty cel. Londyńscy mocodawcy mieli nadzieję, że ich nadzorca handlu nie tylko zamieszka w Kantonie na stałe, lecz także otworzy tylne drzwi dla ustanowienia pełnoprawnej brytyjskiej misji dyplomatycznej w Pekinie.

Plany te były od początku mocno chybione. Żaden Czerwony Barbarzyńca – nie wspominając o ich wielkostopych kobieciskach – nigdy nie dostał pozwolenia na zamieszkanie w obrębie murów jakiegokolwiek chińskiego miasta. W Kantonie cudzoziemscy handlarze byli skazani na przebywanie w wygodnych kwaterach zwanych Faktoriami, usytuowanych na południowym brzegu rzeki, naprzeciw otoczonego murami portu[13]. Dostali do swej dyspozycji wykwalifikowaną chińską służbę, a ich potrzeby żywnościowe i inne zaspokajały codzienne dostawy. Ubrania i inne luksusowe to-

wary dostarczali chińscy handlarze osobiście, błyskawicznie dobijając targu. O zdrowie „osadzonych” dbali przybywający do nich chińscy lekarze, którzy przywozili z sobą chińskie lekarstwa. W przeciwieństwie do większości europejskich medykamentów, te smakowały wybornie i zawierały hojne dawki środków wywołujących euforię. (Jak wielu obsesyjnie ciężko pracujących ludzi Jardine sam był pełnokrwistym hipochondrykiem). Od rezydentów odbierano korespondencję i po pobieżnym ocenzurowaniu przekazywano ją na statki udające się do Europy. Kto miał ciągoty sportowe, mógł jeździć konno po okolicy i zabawiać się strzelaniem do egzotycznego ptactwa, pod warunkiem że wrócił przed zapadnięciem nocy. Tradycyjnie pamiętając nie tylko o dorosłych, lecz także o dzieciach, Chińczycy wyposażyli dla rezydujących Europejczyków sale szkolne i place zabaw, a także zapewnili chińskie niańki. Zezwolono na odprawianie chrześcijańskich nabożeństw w zaimprowizowanych miejscach kultu. Ale na zezwolenie na zamieszkanie w chińskim mieście nie można było liczyć, tak samo jak na to, że komuś po drugiej stronie muru zmięknie serce. Nie było takiego serca.

William John, dziewiąty baron Napier z Meristoun, wybrany na stanowisko nadzorcy handlu przez lorda Palmerstona, był szkockim arystokratą, emerytowanym oficerem marynarki wojennej, hodowcą nagradzanych owiec i – podobnie jak jego sławny przodek – utalentowanym matematykiem[14]. Wszystko związane z wyborem i misją Szkota zapowiadało, jak będą wyglądały jego przyszłe praktyki negocjowania z Chińczykami; w przeciwnym razie epizod nie byłby może nawet wart uwagi. Jako gorliwy prezbiterianin lord Napier nie pochwalał żadnych napojów wyskokowych (z wyjątkiem lokalnie destylowanej „wody życia”), ale bardzo cenił Adama Smitha, prawie tak samo jak Euklidesa

i Johna Knoxa[15], a poza tym trzeba było bronić doktryny wolnego handlu. Spodziewane embargo na nieszkodliwy medykament, na który istniało niekwestionowane zapotrzebowanie, to oburzający akt przemocy. Tyle dokładnie lord Napier wiedział o Chinach i o chińskim handlu opium. Nie ciągnęło go też do zamorskich awantur. Przyjął zaproszenie premiera, ponieważ – jak większość jego krewnych – był pogrążony w długach. Nawet jak na standardy szkockich baronów jego rodowy zamek przeciekał. Lord miał dwie córki na wydaniu i musiał je uposażyć. O sprawie przesądziły więc powinność i okoliczności. I tak ostatniego dnia 1833 roku nadzorca handlu wraz ze swoją brytyjską świtą liczącą 24 osoby wyruszył na Wschód.

* * *

Przybył do Kantonu w lipcowym skwarze. Wszyscy na pokładzie cierpieli na chorobę morską i byli wyczerpani, ale portowa krzątanina i tysiące rzucających się w oczy najróżniejszych rzeczy podniosły podróżników na duchu. Czegoś tu jednak brakowało. Wysłano przecież z wyprzedzeniem zawiadomienia do chińskiego wicekróla, a bez wątpienia ten czcigodny dostojnik zechciałby powitać posła jego królewskiej mości osobiście. Nie pojawił się jednak żaden czcigodny dostojnik. W końcu na pokład wtargnęła banda impertynenckich chińskich celników, wypytała jego lordowską mość o referencje, pożądliwym wzrokiem obrzuciła jego córki i odmówiła Brytyjczykom zejścia na ląd w innym miejscu niż Faktorie. Sugestia zezwolenia na kontakt z jego ekscelencją Li K’unem, nie mówiąc o osobistym z nim spotkaniu, wzbudziła nieprzyzwoitą wesołość.

Było to tym bardziej irytujące, że instrukcje, jakie lord Napier otrzymał w Londynie, nie wydawały się jednoznaczne. Wyobrażano tam sobie, że w wypadku sporu bezcenne oka-

że się jego doświadczenie wojenne z bitwy pod Trafalgarem (tyle że rozegrała się ona 30 lat temu, a on był wówczas 17-letnim kadetem). Z drugiej strony nakazano mu, żeby „pod żadnym pozorem nie odwoływał się do sił naszej marynarki wojennej, w tej chwili [jak zwykle] nadwerężonych". Nie sprecyzowano, jak w razie problemów poseł ma pogodzić te dwa sprzeczne kursy, ale lordowi Napierowi nadano honorowy stopień admirała, a od admirałów oczekiwano, że poradzą sobie z dwuznacznościami.

Nastąpił szereg upokarzających wydarzeń. Napier niechętnie zatrzymał się tymczasowo w Faktoriach i wydał odezwę po chińsku. W swym obwieszczeniu apelował do „tysięcy pracowitych krajowców, którzy padną ofiarą nieustępliwości swojego rządu i staną w obliczu ruiny, jeżeli nie posłuchają posła Jego Królewskiej Mości". To było niemądre. Wicekról zwykle ignorował fanfaronadę, ale jawne nawoływanie do rebelii sprawiło, że wystosował – jak to ujął w meldunku do Pekinu – wyważoną odpowiedź:

> Awanturnicza cudzoziemska małpa wydała ogłoszenie. Nie wiemy, jak taki barbarzyński pies ma czelność nazywać się Okiem [to znaczy urzędnikiem] (…), choć dzikus spoza granic cywilizowanego świata powstrzymałby go od takiej zniewagi. Podburzanie ludu przeciw władcom to zbrodnia karana śmiercią i bylibyśmy usprawiedliwieni, gdybyśmy uzyskali nakaz, aby go natychmiast ściąć. (…) Podczas gdy to rozważam (…), formalnie zamykam wszelki handel, dopóki on nie wyjedzie[16].

W jedynym meldunku Napiera, jaki dotarł do premiera lorda Greya w Londynie, angielski poseł był poruszony, charakteryzując chiński rząd jako będący „w skrajnym stopniu w stanie mentalnego imbecylizmu i moralnej degradacji, rojący sobie, że [Chińczycy] są jedynymi ludźmi na Ziemi, i całkowicie ignorujący teorię i praktykę prawa międzynarodowego"[17]. W prywatnym liście do lorda Palmerstona,

przypuszczalnie napisanym z inspiracji Jardine'a, nadzorca handlu wyraził pogląd, że chociaż sytuacja stała się napięta, nie jest to nic, z czym „nie mogłyby sobie poradzić trzy czy cztery fregaty i brygi obsadzone regularnym brytyjskim wojskiem, nie sipajami (…). I nic innego, w mojej opinii [jej nie rozstrzygnie]". W dalszej perspektywie okazało się, że miał rację.

Ale zanim do tego doszło, jego lordowska mość usłyszał od swego lekarza, że znajduje się w poważnym stresie, w związku z czym pilnie potrzebuje odpoczynku. Mało kto żałował jego wyjazdu. Jedyny pożytek z kutra „Louisa", który Napier wezwał, by zastraszyć Chińczyków, był taki, że statek zabrał niedomagającego posła do Makau. Tam, po kilku dniach choroby, w której dręczyło go nieustanne dzwonienie papistowskich dzwonów[18], zmarł. Do końca odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek specyfiku sporządzonego z diabelskiej rośliny, maku, którego sprzedaż Chińczykom miał promować w swej misji.

* * *

Misja lorda Napiera zdawała się upokarzającym, lecz błahym epizodem, ale dała Chińczykom złudną pewność siebie. W Pekinie żywiono przekonanie, że tak jak w przeszłości apodyktycznie wydana odmowa układania się z Czerwonymi Barbarzyńcami będzie ich trzymać z daleka. Ale przeszłość minęła bezpowrotnie. Kiedy lord Palmerston zadominował na scenie politycznej w Westminsterze, upokorzenie jego przyjaciela nie mogło pozostać bez kary. A handel makowym sokiem był zdecydowanie zbyt dochodowy, by go sobie odpuścić.

Zaledwie kilka miesięcy po śmierci lorda Napiera w Kantonie doszło do nienagłośnionego, lecz złowróżbnego zdarzenia. Zgromadzeni na nabrzeżu obywatele ze zdziwieniem

przyglądali się przybyciu zupełnie nowego rodzaju jednostki pływającej. Był to „statek z kołami od wozu, który wprawiał w ruch osie za pomocą ognia”. „Jardine”, 58-tonowy parowiec, został zbudowany dla firmy Jardine’a i Matheson w Aberdeen rzekomo po to, by transportować pocztę między Makau a Kantonem, ale jak podpowiadało lekko zardzewiałe działo umieszczone na pokładzie, był w stanie się bronić. Wicekról zabronił jednostce wpływania w koryto Rzeki Perłowej, a kapitan nie miał zamiaru wszczynać wojny, ale sama obecność statku robiła wystarczające wrażenie. Montując działo na parostatku, po raz pierwszy w historii otrzymano okręt niezależny od wiatru i pływów, a także niebojący się monsunów. W zestawieniu z taką bestią chińskie dżonki i sampany były bezużyteczne. Handel opiumowy wprowadził na arenę polityczną dyplomację popartą groźbą użycia siły.

II. Pierwsza wojna opiumowa

Następca Napiera, kapitan Charles Elliot z Królewskiej Marynarki Wojennej, był 34-letnią latoroślą kolejnego szkockiego rodu szlacheckiego (lord Minto to jego wuj), dzielnego i prawego. Żadne z jego dotychczasowych osiągnięć – dał się poznać jako utalentowany akwarelista i tenor o przyjemnym głosie – nie wydawało się odpowiednie do tej misji. Elliot brzydził się handlem opium i miał w pogardzie tych, którzy się nim parali. Szczególny wstręt czuł do Williama Jardine’a; opisywał go jako „podejrzanego osobnika, który choć lekarz i absolwent edynburskiej uczelni, nie jest dżentelmenem”. Ale jako oficer marynarki był zdecydowany wypełnić swój obowiązek wobec ojczyzny. Trudność polegała na tym, że po niewypale Napiera (jak mówiono o epizodzie) rząd jego ojczyzny bynajmniej nie był zdecydowany w kwe-

stii tego, co powinno stanowić jego obowiązek i jak go należy wypełnić.

Z jednym wyjątkiem. Lord Palmerston, minister spraw zagranicznych, nie miał wątpliwości. Po długim manewrowaniu – ani on, ani William Jardine nie chcieli okazać się stroną inicjującą – dwaj mężczyźni spotkali się i odkryli, że jeśli nawet nie są bratnimi duszami, co do chińskiego opium mają to samo zdanie. Obaj chcieli dać Chinom przyjacielską lekcję współpracy międzynarodowej – jeśli będzie trzeba, pod osłoną dział. Obaj pragnęli wzmocnienia zasady wolnego handlu, którą lord Palmerston przyswoił sobie jeszcze jako student w Edynburgu. Minister ponadto zamierzał zapewnić Wielkiej Brytanii miejsce w świecie jako dziedziczce Cesarstwa Rzymskiego. Jardine miał skromniejsze cele: pomnożyć swoje miliony. Palmerston tak wyjaśnił własną strategię w liście do przyjaciela, lorda Auckland, generalnego gubernatora Indii:

> Aby rywalizować z europejskimi manufakturami, musimy szybko wyłączyć nasze produkcje z rynków europejskich. Zatem należy bezustannie dążyć do znalezienia nowych rynków zbytu dla naszego przemysłu w innych częściach świata (…). Jeśli powiedzie się nam ekspedycja w Chinach, Abisynia, Arabia, kraje nad Indusem i Pacyfikiem w niedługim czasie staną się ważnym rozszerzeniem dla naszego handlu[19].

W ten sposób nakreślił plan budowy wiktoriańskiego imperium, a zarazem podsumował usprawiedliwienie dla wojen opiumowych. Moralność, suwerenność, chrześcijańska cnota i prawa narodów były wzniosłymi pojęciami, za które można się modlić, ale nie należało pozwolić, by kolidowały z praktycznymi celami. Nawet na krótką metę. Bo oczywiście w końcu i tak wszyscy będą błogosławić brytyjską władzę.

Jardine z kolei być może dał się trochę ponieść emocjom, ponieważ zaoferował, że wszystkie klipry swojej firmy odda pod komendę Królewskiej Marynarki Wojennej, tak aby na każdej jednostce dowodził wojskowy kapitan. Nawet najwierniejsi zwolennicy Palmerstona uznali, że pomysł, aby Królewska Marynarka Wojenna dostarczyła oficerów do prywatnej operacji przemycania opium, posuwa się za daleko. W tych okolicznościach sir Robert Peel, nowy przywódca toryskiej opozycji, pomyślał, że oto nadarza się dla niego sposobność. Dwunastego marca 1840 roku przedstawił w parlamencie wotum nieufności w sposób, który – jak miał nadzieję – umożliwi krytykom z obu stron Izby poparcie go w głosowaniu. Doprowadziło to do pamiętnej debaty, która prawdopodobnie odzwierciedlała opinie wykształconych ludzi z całego kraju.

Sir James Graham, otwierając dyskusję ze strony opozycji, przypomniał wysokiej Izbie, że jedna szósta publicznych dochodów Wielkiej Brytanii i Indii pochodzi obecnie z podatku nałożonego na herbatę oraz z zysków czerpanych z opium. To było nie do przyjęcia. Kapitan Elliot kilkakrotnie prosił o jasne instrukcje: czy ma uregulować nielegalny handel, czy go zlikwidować. Do tej pory nie dostał wyraźnych wytycznych. Teraz okazało się, że handel opium ma być zgnieciony, i kapitan wiedział już, czego się trzymać.

W odpowiedzi Thomas Babington Macaulay, 39-letni minister wojny, wspiął się na oratorskie wyżyny i wygłosił płomienny apel o „patriotyczną politykę”. Jego mgliste wywody skupiły się wokół chwalebnego czynu kapitana Elliota, który po przybyciu do obleganych Faktorii w Kantonie wciągnął na maszt brytyjską flagę, „przypominając naszym rodakom, że należą do narodu nieprzyzwyczajonego do porażek, do poddawania się i do wstydu”[20]. Sidney Herbert, z opozycji, próbował przywrócić równowagę, zauważając:

„Stoimy u progu zaangażowania się w wojnę nie tylko bez sprawiedliwej przyczyny, lecz także właściwie bez żadnej przyczyny z wyjątkiem pogoni za zyskiem (…). Opium jest trucizną i nie powinniśmy być tym, kto zatruje cały naród”[21].

Jednak najbardziej porywającą mowę wygłosił William Ewart Gladstone, w wieku 31 lat będący dopiero wschodzącą nadzieją nieugiętego toryzmu[22].

> Czy premier wie, że opium przemycane do Chin i nieuchronnie psujące tamtejszy lud pochodzi wyłącznie z brytyjskich portów lub portów, które kontrolujemy, i jest przewożone na brytyjskich statkach? Nie potrzebujemy żadnych służb prewencyjnych, żeby ukrócić ten rażąco sprzeczny z prawem handel (…). Wystarczy, że zatrzymamy płynące z przemytem statki (…). Chińczycy powiadomili nas, że mamy zaprzestać handlu kontrabandą. Kiedy zauważyli, że tego nie zrobimy, mieli wszelkie prawa, aby odpędzić ten niesławny, ohydny proceder od swych brzegów (…). Nasza flaga nie może się stać piracką banderą chroniącą bezbożne i do głębi grzeszne przedsięwzięcie (…)[23].

Premier Gladstone wygodnie zajmował stanowisko reprezentujące wysoką moralność, ale Palmerston, chociaż nie był wielkim mówcą, miał w rękawie komercyjne asy:

> Zastanawiam się, co wysoka Izba powiedziałaby mi, gdybym przedstawił to z szacowaną ogromną liczbą rejsów morskich przedsięwziętych w celu zachowania moralności chińskiego ludu, który jest gotowy kupować, co inni ludzie są skorzy mu sprzedać. (…) Jeżeli ukrócimy nasz handel, po prostu chętni handlarze z Francji, Rosji i Stanów Zjednoczonych zaczną w to miejsce wozić więcej dostępnego produktu z Turcji i Persji[24].

Handel to handel. Izba podzieliła się i poparła wniosek Peela niewielką większością 271 do 262 głosów. Wojny opiumowe zyskały umocowanie prawne.

* * *

Tymczasem w Kantonie trwała wymiana zniewag. Jednak również po chińskiej stronie pojawiła się nowa osobowość. Pekin uświadomił sobie mianowicie, że krajowe zasoby srebra zaczynają się wyczerpywać, a liczbę uzależnionych, przeważnie ludzi od 20. do 50. roku życia, można już szacować w milionach. Do szczęśliwych, ale ospałych ofiar nałogu zaliczali się trzej synowie Syna Niebios, co było poważnym ciosem dla sukcesji tronu. Żaden chiński cesarz nie miał już dorównać długiej linii heroicznych przodków. Ostatniego dnia 1838 roku cesarz ustanowił nadzwyczajny urząd wysokiego komisarza, aby „zbadać sprawy portowe w Kantonie", a w rezultacie wyplenić handel narkotykiem[25]. Na to stanowisko powołano 53-letniego Lin Zexu, syna wiejskiego nauczyciela, jednego z ostatnich urzędników awansowanych wyłącznie za własne zasługi zgodnie z mandaryńskimi zasadami. Piastując urząd wicekróla w swojej poprzedniej prowincji, dał się poznać jako człowiek sprawiedliwy, stanowczy i miłosierny (stare konfucjańskie cnoty), ponadto doskonale sobie tam radził z zakazanym handlem opium[26]. Nie był zwyczajnym zarządcą. Z racji wielkiej prawości nazywano go Lin Czyste Niebo – jako jeden z nielicznych urzędników nie dawał się przekupić ani pieniędzmi, ani narkotykiem. Korpulentny i niezbyt atrakcyjny z wyglądu, z nastroszonymi czarnymi wąsami i rzadką brodą, tworzył również poezję i umiał czytać z gwiazd[27]. Co najważniejsze, mimo swej tradycyjnej postawy wobec rządu był jednym z nowoczesnych wyznawców konfucjanizmu i gorliwie dokładał wysiłków, aby pojąć zasady ekonomii, oraz pragnął zrozumieć dzieła Wielkiego Nauczyciela, by usprawiedliwić niewątpliwie konieczne reformy.

Po przybyciu do Kantonu wydał kilka edyktów. Zakazywały one używania opium i groziły importerom oraz handlarzom

śmiercią, ale też proponowały udogodnienia dla tych uzależnionych, którzy się chcą wyleczyć. To ostatnie było śmiałą innowacją, wówczas niedocenioną, i nie znalazło naśladowców nigdzie w świecie przez niemal 100 lat. Ponadto Lin Zexu w kwietniu 1839 roku napisał pierwszy z serii osobistych listów do „Naszej Ukochanej Siostry, Królowej Anglii Wiktorii”:

> Niech mi wolno będzie oświecić Waszą Wysokość (…). Istnieje rodzaj złych cudzoziemców, którzy wytwarzają opium, przywożą je na sprzedaż, kusząc głupców, aby zniszczyli sami siebie, [a robią to] wyłącznie, żeby zebrać zyski. Dawniej liczba przemytników opium była mała, lecz teraz występek rozprzestrzenił się szeroko, trucizna przeniknęła głębiej (…). Postanowiliśmy nałożyć najsurowsze kary na palaczy opium i na handlarzy (…). Trująca substancja jest wytwarzana przez pewne diabelskie osoby poddane Waszej władzy (…). Oczywiście nie jest wytwarzana ani sprzedawana na polecenie Waszej Wysokości. Mówiono mi, że w Waszym kraju palenie opium jest zakazane pod surowymi karami (…). Lepiej byłoby zakazać jego sprzedaży również tutaj, a nawet jeszcze lepiej – zakazać jego produkcji. Jeżeli to zostanie dokonane, nie tylko pozbędziemy się tego zła, lecz także Wasi ludzie będą bezpieczni (…).
>
> Załóżmy, że jacyś ludzie z obcego kraju przywiozą opium na sprzedaż do Anglii i zwiodą poddanych Waszej Wysokości, by je kupili i palili; zapewne Wasza Wysokość dogłębnie by ich nienawidziła i była mocno oburzona[28].

Lin byłby w szoku i zapewne przyjąłby to z niedowierzaniem, gdyby mu powiedziano, że opium jest importowane do Anglii przez firmę działającą pod auspicjami Korony, że jest swobodnie sprzedawane w sklepikach na rogu i na ulicznych targach oraz zażywane przez ludzi obu płci i w każdym wieku. Co do władzy królowej Anglii, wówczas 21-letniej, pewnej siebie, ale niedoświadczonej osóbki, też został poinformowany błędnie. A jednak, mimo nieporozumień i omówień, okazał się zaskakująco proroczy. W długo-

falowym ujęciu zarówno interesom Wielkiej Brytanii, jak i Chin najlepiej posłuży stłumienie opiumowej kontrabandy, ale taką decyzję mógł podjąć tylko brytyjski rząd mający mocną pozycję. Możliwe, że był to ostatni moment, kiedy taki kurs mógł przynieść efekty. W istotny sposób wpłynąłby na handel narkotykiem i na historię, zmieniając jej bieg na co najmniej pół wieku. Ale Lin został zignorowany.

* * *

W maju 1839 roku aresztowano w Kantonie 1600 osób naruszających postanowienia cesarskiego edyktu, skonfiskowano 42 741 opiumowych fajek – Lin rozumiał fetyszystyczne przywiązanie narkomanów do ich osobistych akcesoriów – oraz zarekwirowano 41 845 skrzyń z opium. Ale ten ogromny łup był tylko ułamkiem – przypuszczalnie niespełna jedną dziesiątą – tego, co składowano na skalistej wysepce Lintin i w magazynach Faktorii. A Lin był zdeterminowany, by zniszczyć całe zapasy. Jeśli cudzoziemscy kupcy nie wydadzą mu swojego skarbu dobrowolnie, zmusi ich do tego. Nie będzie konieczny rozlew krwi. Komisarz po prostu wycofa z Faktorii całą chińską służbę i odetnie rezydentom dostawy. To drugie okazało się nieskuteczne: za słuszną cenę kantońscy kupcy ryzykowali nocne przekradanie się z żywnością i innymi niezbędnymi rzeczami. Jednak kiedy Europejczyków pozbawiono kucharzy, kamerdynerów, lokajów, golibrodów, panien służących i nianiek, okazało się to poważną niedogodnością. Ponadto Elliot potajemnie sympatyzował z Linem. Widział, jakie zło płynie z handlu opium, i podziwiał stanowczość wicekróla. Po ośmiu tygodniach, działając z własnej inicjatywy, stwierdził, że kupcy powinni się zastosować do nakazu. Nad wyraz nonszalancko w imieniu Korony zapewnił, że wszelkie straty zostaną im wynagrodzone. Jak większość ludzi ze swojej klasy, nie miał naj-

mniejszego pojęcia o praktycznej stronie ekonomii i nie wiedział, co obiecuje. W rzeczywistości naraził skarbiec Jej Królewskiej Mości na rozdzielenie zawrotnej sumy dwóch milionów funtów w ramach odszkodowań dla kupców za kontrabandę, której i tak nie mieli prawa posiadać i już dawno stracili nadzieję na to, że ją sprzedadzą. (Gdyby przyrzeczenie miało być w pełni dotrzymane – do czego nigdy nie doszło – natychmiast pociągnęłoby za sobą poważny kryzys finansowy). Handlarze w Kantonie, zadowoleni, oddali swoje opium i towar został zniszczony przez żołnierzy chińskiego komisarza. Złodziei rozstrzelano. Smród niósł się na wiele kilometrów w górę rzeki. Lin Zexu osiągnął szczytowy moment swej kariery. Brytyjskie okręty wojenne były już w drodze, a on najwyraźniej nie wiedział, na co się porywa.

* * *

Iskrą, od której bezpośrednio rozgorzał konflikt wojenny, stała się awanturnicza, ale właściwie błaha sprawa. Grupa brytyjskich żeglarzy wybrała się w wiosłowej łodzi na brzeg, do tawerny. Po pijanemu Brytyjczycy zdemolowali buddyjską świątyńkę i wdali się w burdę. Było to typowe zachowanie marynarzy, ale – czy przypadkowo, czy nie – zabili również chińskiego imprezowicza. Egzekucje wykonywane w majestacie prawa były w Chinach na porządku dziennym, ale prywatne morderstwo to co innego. Lin zażądał, aby konkretny brytyjski żeglarz, wskazany jako morderca, został wydany w celu osądzenia go w chińskim sądzie. Elliot wprawdzie sympatyzował z Chińczykami, lecz było dla niego niepojęte, by jakiś Anglik, winny morderstwa czy nie, sądzony był w taki sposób. Brytyjski nadzorca handlu zapłacił rodzinie ofiary odszkodowanie z funduszy państwowych i sam osądził hulaków. Kilku oskarżonym o pijaństwo i za-

kłócanie porządku wymierzył umiarkowane kary, ale ponieważ nie mógł zidentyfikować zabójcy – świadkowie zdarzenia byli zbyt pijani, by cokolwiek pamiętać – winnego nie pociągnięto do odpowiedzialności. Tak wyglądała angielska, ale nie chińska sprawiedliwość. Po krótkiej wymianie gniewnych not Lin na czele oddziałów wojskowych pomaszerował na Makau. Były święta i większość brytyjskich handlarzy oraz ich rodzin cieszyła się okresem wolności od ograniczeń Kantonu. Enklawa nie była broniona i właściwie nie byłaby zdolna do obrony, ale nie stanowiła nawet brytyjskiej kolonii. Rządził w niej – z mniejszym czy większym przyzwoleniem Pekinu – portugalski gubernator, ponadto Makau było siedzibą rzymskokatolickiego arcybiskupa. Elliot nie stracił głowy i polecił brytyjskim rezydentom wsiąść na statki kupieckie stojące na redzie w Hongkongu. Lin, nie mając sił marynarki ani nie chcąc wrogo nastawić do siebie Portugalczyków, rozkazał rozstrzelać każdego Brytyjczyka znalezionego na lądzie. Nie znalazł się żaden, ale – jak William Jardine zauważył z satysfakcją w liście do Mathesona – w końcu oznaczało to wojnę. „Przy odrobinie szczęścia opium osiągnie niebotyczną cenę. To nasz biznes”.

* * *

Jardine rzadko się mylił. Zgodnie z jego przewidywaniami, sprawy się pogarszały. W pierwszym tygodniu września brytyjska flota handlowa zakotwiczona w miejscu, gdzie dziś znajduje się Zachodni Port Hongkongu, została zablokowana przez chińskie dżonki wojenne, które Lin wreszcie zgromadził. Zignorowano ultimatum Elliota. Brytyjczycy otworzyli ogień. W ciągu dziesięciu minut chińska „armada” poszła na dno. Część członków załogi ocalała, większość utonęła. Utarczka znana jako bitwa pod Koulunem (ang. Kowloon) była pierwszą akcją, którą gazeta „The Times” 25

kwietnia 1840 roku uroczyście ogłosiła działaniem wojennym. Lin, zszokowany, wycofał się, żeby bronić Kantonu. Trzeciego listopada dwie nowo przybyłe brytyjskie fregaty rozgromiły i zatopiły kolejną chińską flotę. W styczniu 1841 roku Elliot wysłał dwa okręty wojenne, by zaatakowały chińskie forty strzegące portu. Forty zostały zdobyte po symbolicznym oporze. Mimo strategicznej przewagi Elliot nie próbował zająć miasta. Rzut oka na globus przekonał go, że okupacja Chin leży poza jego możliwościami. Ale wojny nie dało się już zatrzymać. Podążając morzem wzdłuż wybrzeża na północ, nadzorca handlu po kolei oblegał nieufortyfikowane mniejsze miasta. Niektóre poddawały się bez walki, inne Brytyjczycy najeżdżali, rozlewając krew mieszkańców. Sami mieli straty spowodowane malarią i dyzenterią, ale nikt nie zginął w walce. W wielu sferach Chiny znacznie wyprzedzały Zachód, ale nie w wytwarzaniu siejącej zniszczenie broni. Chińskie działa były pięknie wykonane, jednak – ustawione na nieruchomych stanowiskach – służyły do uświetniania wystrzałami urodzin, nie do zabijania ludzi. Tatarska jazda (jedyne chińskie oddziały mające opium w pogardzie i w związku z tym będące w stanie walczyć) wykazywała się spektakularnymi aktami odwagi, lecz była uzbrojona w arsenał Czyngis-chana. Przez ostatnie 50 lat inżynierowie na Zachodzie udoskonalali silnik parowy. Ich chińskich kolegów po fachu napawały dumą świetnie wykonane taczki.

Pekiński dwór pilnie zajmował się intrygami. Lin zaproponował, by wciągnąć działania wojenne w głąb lądu (jak to z sukcesem zrobiła Rosja w 1812 roku), zamiast próbować bronić mało znaczących morskich portów, lecz jego radę zignorowano. Decydującym czynnikiem okazało się opium. Wielu chińskich oficerów było tak uzależnionych, że niezdolnych do dowodzenia. Ich zawodowi podkomendni czę-

sto pozostawali w stanie takiego odurzenia, że nie mogli walczyć. W sierpniu 1842 roku brytyjska flota obległa Szanghaj i zaczęła płynąć w górę rzeki Jangcy. Cesarz wystosował prośbę o pokój. Tymczasem statki dotarły do Nankinu. Tam, na pokładzie żaglowca HMS „Cornwallis", podpisano traktat, który chińscy historycy nazwali „najbardziej nierównym z traktatów". Wyznaczono pięć „portów traktatowych" – Kanton, Xiamen (ang. Amoy), Fuzhou (ang. Foochow), Ningbo i Szanghaj – które miały być otwarte dla zagranicznego handlu. Na pokrycie kosztów odszkodowania za opium zniszczone przez Lina narzucono Chinom „reparacje" w wysokości 21 milionów srebrnych dolarów. Po namyśle odstąpiono też Brytyjczykom Hongkong, który zaczynał rozkwitać w opiumowej chmurze.

* * *

Obaj wielcy protagoniści pierwszej wojny opiumowej popadli w swoich ojczyznach w niełaskę. Lin został wezwany do Pekinu, osądzony przez trybunał z cesarzem na czele i skazany na śmierć. Karę złagodzono, zsyłając byłego komisarza do „zimnych prowincji", czyli niegościnnych północnowschodnich rejonów imperium. „Sprawiłeś się nie lepiej – stwierdził Syn Niebios – niż drewniana kukła". Elliota również odwołano ze stanowiska i ostro skarcono za próbę doprowadzenia państwowego skarbca do bankructwa. Królowa Wiktoria, mająca wśród swoich przodkiń skrzętne niemieckie gospodynie domowe, odnotowała w pamiętniku: „Kapitan Elliot wykazał się zupełnym nieposłuszeństwem wobec instrukcji i o mało nie rozdał zawartości mojego skarbca". Jednak nie splamiło to reputacji kapitana, no i wciąż był bratankiem lorda Minto. Mianowano go chargé d'affaires w nowo ukonstytuowanej Republice Teksasu[29], co w tamtych czasach w brytyjskim Ministerstwie Spraw

Zagranicznych było odpowiednikiem „zimnych prowincji”. Pięć lat później dawne sprawy puszczono w niepamięć i awansowano go na gubernatora Trynidadu, a potem Świętej Heleny. Elliot poszedł więc niejako w ślady Napoleona, który zmarł na wyspie 30 lat wcześniej; swoją ostatnią godność piastował, mając tytuł szlachecki i stopień admirała. W memuarach z przyjemnością wspominał swoje jedyne spotkanie z Linem: „Był uczciwym Chińczykiem ze starej szkoły, wywodził się z biedoty i szczerze nienawidził opium. Walczyliśmy przeciw sobie, ale tak naprawdę zgadzaliśmy się w większości kwestii. Szkoda, że nie ma więcej takich ludzi”[30].

* * *

Nie licząc wpadki Elliota, traktat został w Londynie dobrze przyjęty. „The Times” wysławiał płynące z niego korzyści. Wyłamali się z tego jedynie nieliczni, jak zawsze wyniośli starzy katolicy i ewangelicy Kościoła Niskiego. Lord Ashley, przyszły lord Shaftesbury, uważał handel opium za nie lepszy od handlu niewolnikami. Niezadowolenie wyraziło również kilku biskupów i dyrektorów szkół. Doktor Thomas Arnold z Rugby stwierdził:

> Stoczyliśmy wojnę w celu wprowadzenia demoralizującego, siejącego zło narkotyku, którzy rząd Chin pragnął trzymać z daleka od swego kraju, a który my, znęceni mamoną, wciąż chcemy wprowadzać siłą; a w tym sporze spaliliśmy i zgładziliśmy z dumą swoją domniemaną wyższość. Boję się kary Bożej za tę nikczemną niegodziwość[31].

Należał do mniejszości. Tak czy inaczej bardziej decydująca faza wojny miała się dopiero zacząć.

III. Druga wojna opiumowa

Stosunki w Kantonie pozostawały napięte, ale zanim osiągnęły punkt wrzenia, wybuchła najkrwawsza wojna domo-

wa w historii. Co najmniej 20, ale przypuszczalnie prawie 30 milionów ludzi zginęło w powstaniu tajpingów – zgładzonych w bitwach, zamordowanych w masakrach lub ściętych w majestacie prawa. Przywódcą powstania był 23-letni Hong Xiuquan, wywodzący się z chłopskiej rodziny z prowincji Guandong w południowo-zachodnich Chinach, być może geniusz, być może szaleniec, a możliwe, że i jedno, i drugie. Kilka razy z rzędu nie zdał państwowych egzaminów, co go wpędzało w okresy rozpaczy czy katatonicznych transów i popychało do studiowania Biblii. W końcu ogłosił się bezpośrednim dziedzicem Chrystusa, Mahometa i Buddy. Spotkał Boga, złotobrodego starca, który mu wręczył miecz i nakazał „wyzabijać demony, które torturują mój lud". Nauki Honga wyłoniły się ze stopienia chrześcijańskiego purytanizmu, społecznych idei rewolucji francuskiej, monastycznej segregacji płciowej (która nie dotyczyła założyciela) oraz zakazu nadużywania substancji odurzających, w tym opium. Natchniony niczym święty Franciszek z Asyżu przez *Ewangelię świętego Mateusza* – „Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie"[32] – zniósł własność prywatną. Cały łup miał trafić do wspólnego skarbca.

Hong zaczął nauczać w górzystym rejonie Zejin Shan („Ostowej Góry"), na najdalszych południowo-zachodnich krańcach imperium, i przyciągnął do siebie pierwszych wyznawców z lokalnych plemion żyjących poza głównym trzonem społeczeństwa. Lecz potem, po trzech latach suszy i głodu, jego ruch rozwinął skrzydła. W kolejnym roku nauczyciel zwerbował ponad 20 000 nawróconych, którzy wkrótce zaczęli sami siebie nazywać wyznawcami Boga. Co najbardziej zdumiewało ówczesnych ludzi, przyłączające się do niego osoby potrafiły się wyzbyć uzależnienia od opium. Było to coś, czego nie zdołały dokonać żaden cesarski

edykt, obietnica czy groźba. Jak już zdarzyło się poprzednio i zdarzy się ponownie, dobrowolne wyrzeczenie stworzyło fanatyczną siłę. Zapowiedź równego podziału ziemi zjednała dla rebelii poparcie milionów chłopów. Pierwszego dnia 1851 roku Hong proklamował nową dynastię, Tàipíng Tiānguó, czyli dynastię Niebiańskiego Królestwa Wielkiego Pokoju. Cesarz w Pekinie, nadzwyczaj zaniepokojony, nakazał „wytępić robactwo" i odwołał Lina z wygnania, by wcielił ten rozkaz w życie. Lin zmarł po drodze, a bez niego przesiąknięte opiumowym dymem rządowe wojska, których „niegdyś bano się jak tygrysów, teraz zaś uważano je za owce", zostały odparte przez armię uzbrojoną w kosy i piki.

Chrześcijańscy misjonarze skontaktowali tajpingów z brytyjskimi władzami w Hongkongu i był to moment, kiedy ważyły się losy opium w Chinach. Dla wielu Europejczyków chrześcijańskie tony pobrzmiewające w naukach powstańców brzmiały zachęcająco, podobnie jak zakaz używania opium. Czy mogła to być przyszłość, o którą modlili się wierni i za którą tak wielu poniosło męczeńską śmierć? Na zajętych przez tajpingów terenach krążyła Biblia po chińsku, co prawda ocenzurowana i okrojona, ale jednak Biblia. Niepiśmienni wojownicy nosili na sercu stronice z Ewangelii. Ich kobiety zakładały krzyżyki[33]. Prowincjał jezuitów Makau wysłał ojca Lecueura, członka zakonu mówiącego po mandaryńsku, z misją rozpoznania w terenie. Ojciec przemierzył setki kilometrów. Pewnego wieczora na leśnej polanie natknął się na tłum najwyraźniej pogrążony w jakimś wspólnym ekstatycznym akcie wiary. Rytuał wydawał się obcy i zarazem znajomy. Niewątpliwie miał w sobie radosną afirmację, ale co to było? Wtem Lecueur rozpoznał dwa słowa. Jedno to „alleluja", wypowiadane z poprawnym akcentem na ostatniej sylabie. Drugie, trudne do pomylenia z jakimkolwiek innym, brzmiało „Jay-sus". Jezuita zapłakał.

Po powrocie zarekomendował dalsze kontakty i wyprawy badawcze, a jego przełożeni w zakonie nie byli temu przeciwni. Przeważały jednak mądrzejsze – i praktyczniejsze – rady. W Londynie królowa Wiktoria wyraziła swoją „odrazę" wobec „masakr, jakie wywołała ta chłopska rewolta w Chinach". Obserwatorzy znajdujący się bliżej byli coraz bardziej zaniepokojeni pobrzmiewającą w rebelii robinhooderią. Jardine i Matheson nie mieli żadnych wątpliwości. Wyznawcy Boga z ich irracjonalnym zakazem używania opium prosili się, by ich zniszczyć. To właśnie na tym tle rozegra się druga wojna opiumowa. Należało bronić Chin i zmusić je, by wstąpiły w szeregi państw miłujących opium, a do tego znacznie bardziej nadawała się uległa dynastia mandżurska aniżeli quasi-chrześcijańscy tajpingowie. Gwarantami swobodnego przepływu opium byli wszak słabi imperatorzy, a nie prorocy o mocnej pozycji[34].

Armia tajpingów w końcu przemaszerowała ponad 3000 kilometrów i 28 lutego 1853 roku obległa Nankin. Około 100 000 obrońców starej dynastii, oficerów państwowych oraz bogatych mieszkańców wraz z kobietami i dziećmi zapędzono do świątyń i tam spalono żywcem. Powstańcy mieli utrzymać miasto przez 10 lat.

* * *

W Kantonie zapalnik, który ponownie wyzwolił wrogość, znany jako incydent „Arrow", był równie absurdalny jak wszystkie podobne zapalniki[35]. Załoga statku „Arrow", mającego długą i mętną przeszłość, co nie przeszkadzało mu pływać pod brytyjską banderą, została zatrzymana w porcie przez chińskich celników, prawdopodobnie omyłkowo. Marynarze, w przeważającej liczbie Chińczycy, trafili do aresztu na lądzie, ale wypuszczono ich po nocie protestacyjnej wydanej przez brytyjskiego konsula, sir Harry'ego

Parkesa. Wynikła z tego wymiana oskarżeń, prowokacji, gróźb i w końcu działań zbrojnych, a obracała się wokół publicznych przeprosin (o ile w ogóle można określić, wokół czego obracały się podjudzania). W końcu Parkes rozkazał kontradmirałowi sir Michaelowi Seymourowi zająć zarówno zatokę kantońską, jak i całe miasto. Dokonano tego bez większych trudności; tylko po co? Brytyjczycy nie dysponowali żadną siłą okupacyjną, a bez niej utrzymanie portu było niemożliwe. Ale opinię publiczną w ojczyźnie uspokoił rozkaz sir Michaela, aby brytyjskie działa pozostały milczące w Dzień Pański.

Jednak wydarzenia w Kantonie doprowadziły do kolejnej debaty w Parlamencie i ostatecznie do zwołania wyborów powszechnych w 1857 roku. Właśnie zakończyła się wojna krymska – „totalnym triumfem”[36] Brytyjczyków i ich sojuszników – i głosujące masy były gotowe na nowe ekscytujące wiadomości z innych odległych części świata. Palmerston ze swoją partią wygrał przeważającą większością głosów. Podczas kampanii wyborczej, mimo że publicznie stanowczo bronił Parkesa, Seymoura i ich załóg, stwierdził, że rezydenci w Kantonie popadli w niebezpiecznie histeryczny nastrój. Zwrócił się więc do Jamesa Bruce’a, ósmego hrabiego Elgin, bezpośredniego potomka Roberta Bruce’a[37] i syna sławnego (lub niesławnego) zbawcy (albo grabieżcy) Partenonu[38]. Hrabia przyjął stanowisko głównodowodzącego ze złymi przeczuciami. Podobnie jak lord Napier przed nim, odziedziczył po przodkach, a zwłaszcza po swoim rozmiłowanym w sztuce ojcu gigantyczne długi. Potrzebował pracy[39]. Pojawiły się jednak opóźnienia. Powstanie w Indiach, wówczas nazywane buntem, ściągnęło na subkontynent oddziały z innych baz wojskowych, również z Chin. Sam Elgin zatrzymał się w Kalkucie jako gość gubernatora generalnego. Widział akcje odwetowe wymierzone w bun-

towników (oraz tych, których uznano za zbuntowanych) i przeraziły go. Pisał do swojej żony:

> Rzadko od mężczyzny czy kobiety, odkąd przybyłem na Wschód, słyszałem wypowiedzi mniej dające się pogodzić z hipotezą, że do tego świata dotarło chrześcijaństwo. Nienawiść, pogarda, zaciekłość, brutalność i żądza zemsty – to wszystko widziałem u moich rodaków, odkąd się tu znalazłem. O Boże, uchroń mnie od takiego zła, czy skierowanego przeciwko Hindusom, czy Chińczykom[40].

Mógłby być jeszcze bardziej przerażony, gdyby wiedział, że w ciągu kilku lat sam padnie ofiarą tej samej trucizny.

* * *

Wielkie światowe potęgi – jakby wyczuły, że wkrótce zostanie wystawiony ostatni akt chińskiego dramatu – wysłały swoich emisariuszy i wokół chińskiego wybrzeża zaczęły się zbierać odpowiednie kontyngenty wojskowe. Nikt nie twierdził, że pragnie wojny, ale też nikt nie chciał być wykluczony z podziału łupów czy podpisywania kontraktów. Francuską opinię publiczną rozjuszyło zamordowanie w środkowych Chinach świątobliwego misjonarza, ojca Auguste'a Chapdelaine'a. Przypuszczalnie wzięto go za zwolennika tajpingów, ale wyjaśnienia zazwyczaj nic nie dają w obliczu rozwścieczonych mas. Do Chin jako pełnomocnik Francji przybył na nowym okręcie wojennym „L'Audacieuse" baron Jean-Baptiste Gros; miał przeprowadzić dochodzenie, wymierzyć sprawiedliwość i zostać na miejscu w pogotowiu[41]. Elgin, początkowo podejrzliwie odnoszący się do intencji Francuzów, stopniowo nawiązał z baronem przyjazne stosunki. Ponad narodowymi waśniami połączyła ich wspólna niechęć do sir Johna Bowringa, nowego brytyjskiego konsula w Hongkongu, nudziarza, despoty i bigota[42]. Następnie zjawił się William Reed, przyjaciel prezydenta Stanów Zjednoczonych Buchanana, profesor historii na Uni-

wersytecie Pensylwanii. Przypłynął na olbrzymim okręcie wojennym „Minnesota”, który choć robił zastraszające wrażenie, był bezużyteczny, ponieważ nie dało się nim nawigować na płytkich wodach przybrzeżnych i w ujściach rzek. Podobnie jak prezydent, Reed nie lubił handlu opium i był zdecydowany nie dać się wciągnąć w wojnę, która by taki handel promowała. Chciał jednak pozostać w odwodzie jako mediator (a możliwie też beneficjent) w sporze. Ostatni w kolejce ustawił się rosyjski książę Jefimij Putiatin, dla swego narodu bohater wojny krymskiej; przypłynął na parostatku łopatkowym dziwnie nazwanym „Amierika”. Jednostka była wyposażona zaledwie w sześć starodawnych dział, ale książę miał pewność, że Syn Niebios nie odmówi przyjęcia osoby reprezentującej jego autokratycznego kolegę po fachu, cara Aleksandra II. Książę Putiatin miał przekazać Pekinowi, że jeżeli Chiny bez awantur oddadzą Rosji Mandżurię, wówczas car pomoże swojemu imperialnemu bratu wyplenić tajpingów. W obu oczekiwaniach Rosjanina czekało rozczarowanie. Cesarz nie zamierzał przyjmować nikogo, kto nie byłby spokrewniony z carem, a pokonanie tajpingów, jak powiedziano księciu, i tak jest nieuchronne. Była to bzdura, ale nie dało się z nią polemizować. Ponadto Mandżuria, ojczyzna panującej dynastii, nie jest na sprzedaż. Urażony Putiatin dołączył do stojących na kotwicy Amerykanów, Francuzów i Brytyjczyków.

* * *

W marcu 1858 roku Elgin z brytyjską flotą i baronem Grosem oraz nowo przybyłymi dwiema francuskimi kanonierkami popłynęli na północ i dotarli do ujścia rzeki dającej dostęp do Pekinu. Grosowi bardzo zależało na tym, żeby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, aż dostał reprymendę od swojego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jedyna krew,

jaka najprawdopodobniej zostanie przelana, to krew chińska, więc nie jego zmartwienie. Cesarz ze swoim dworem wycofał się w głąb lądu, co oficjalnie wydany biuletyn określił jako wycieczkę myśliwską. W Tiencinie, zaledwie 30 kilometrów od Pekinu, miejscowi przyjęli zdobywców z entuzjazmem, mylnie zakładając, że wiozą opium. Na szczęście w porę zjawili się emisariusze pokojowi od cesarza.

* * *

Na papierze traktat tienciński dawał zachodnim mocarstwom wszystko, czego chciały. Co najważniejsze, zachodni podróżnicy, w tym handlarze i misjonarze, dostali pozwolenie na przemieszczanie się po imperium bez przeszkód, a w Pekinie miała być ustanowiona stała brytyjska ambasada. Reparacje zostaną wypłacone. Chińczycy uroczyście przyrzekli nie nazywać Brytyjczyków Czerwonymi Barbarzyńcami. W typowym dla siebie ambiwalentnym stylu Elgin znowu nie wspomniał o handlu opium *expressis verbis*. Ale w zasadzie, jak zauważył baron Gros, w tej wojnie chodziło o opium. Lecz podczas gdy w raporcie Elgina dużo miejsca zajmował handel, baron skrupulatnie przestrzegał francuskich konwenansów.

> *Je suis heureux de pouvoir annoncer aujourd-hui a Votre Excellence que la Chine s'ouvre enfin au Christianisme, source réelle de toute civilisation, et au commerce* (…) *occidentale.* [Z radością obwieszczam dziś Waszej Ekscelencji, że Chiny w końcu otworzyły się na chrześcijaństwo, prawdziwe źródło wszelkiej cywilizacji, oraz na handel][43].

W rozmowach królowały pustosłowie i dwuznaczności. Reed w imieniu Stanów Zjednoczonych formalnie zasugerował, że Wielka Brytania powinna zakazać eksportu opium do Chin. Jakby dla podkreślenia jego zarzutu, że „połowa kraju jest już zatruta", przepisywanie traktatu na język

chiński zajęło więcej czasu niż jego negocjowanie, ponieważ większość skrybów była półprzytomna. W odpowiedzi Elgin wskazał, że konsulowie Stanów Zjednoczonych w Kantonie i Szanghaju, obaj będący bliskimi przyjaciółmi Reeda, są udziałowcami największych kupieckich domów handlujących tym narkotykiem. Reed wówczas wyraził nadzieję, że po nałożeniu wysokich podatków na importowaną truciznę stać będzie tylko najbogatszych. Rosja nie dostała nic i Putiatin odpłynął do domu, mamrocząc przekleństwa.

W rzeczywistości żaden z sygnatariuszy nie zamierzał dotrzymać postanowień traktatu. Im bardziej upokarzające były warunki, tym mocniej „patrioci" w Pekinie gotowali się z wściekłości. Im większe były oczekiwania po stronie Zachodu, tym wyraźniej osoby będące na miejscu (ale nie władze w Londynie, Paryżu, Waszyngtonie czy Petersburgu) uświadamiały sobie, że nic nie zapewni ich realizacji, jak tylko druzgocąca militarna porażka. Ale – by jeszcze bardziej skomplikować sprawę – Zachód zgadzał się co do tego, że dynastię Qing należy zachować na tronie w takiej czy innej formie. Przejęcie władzy przez opiofobicznych wyznawców Boga, którzy obecnie władali jedną trzecią kraju i wciąż zagrażali reszcie – co Gros określił jako „bałkanizację Chin" – nie wchodziło w grę i trzeba było temu zapobiec. Takie, często sprzeczne ze sobą, wypowiedzi będą dominowały podczas wojny przez najbliższe kilka lat[44].

* * *

Na jakiś czas lord Elgin wrócił do Londynu i dołączył do gabinetu lorda Derby jako minister łączności. Po Chinach było to dla niego jak urlop zdrowotny. Aby interes wojny opiumowej pozostał w rodzinie, na poprzednim stanowisku zastąpił Elgina jego młodszy brat, czcigodny Frederick Bruce. Ten miły młody człowiek szybko stracił grunt pod nogami. Jak

sam się połapał, jego zainteresowanie historią kościoła w Szkocji na nic się nie przydawało, kiedy stanął na czele wielojęzycznej armady nastawionej na wymuszenie niewykonalnych warunków na nieznanym zbyt dobrze wrogu. Na szczęście misją wojskową obecnie kierowało dwóch zaprawionych w bojach generałów: po francuskiej stronie Charles Cousin-Montauban, a po brytyjskiej – nieskory do rozmów generał sir James Hope Grant. A jednak, ku powszechnej konsternacji, gdy odnowiły się wrogie nastroje, Chińczycy odnieśli swe pierwsze i jedyne zwycięstwo.

Zaledwie 65 kilometrów od stolicy posuwające się w górę rzeki zachodnie okręty wojenne zostały zatrzymane przez trzy bambusowe zapory pływające, każda metrowej grubości. Taką sztuczkę po raz pierwszy wypróbowano za panowania chana Kubiłaja i wciąż działała. Statki nie tylko zatrzymały się, lecz także utknęły, zaplątane w bambus. Bombardowanie z brzegu okazało się bezprecedensowo skuteczne. Hope Grant, ubrany w mundur obwieszony złotymi galonami, postanowił dowodzić swymi podkomendnymi, stając na pokładzie okrętu flagowego. Został jednak trafiony przez strzelca wyborowego i zmuszony do przekazania dowództwa swojemu zastępcy, dzielnemu, lecz nierozważnemu kapitanowi Shadwellowi. Przed końcem dnia wszystkie jednostki były unieruchomione, a jedna z brytyjskich kanonierek wybuchła. Choć Amerykanie oficjalnie zachowywali neutralność, komandor Josiah Tattnall, słysząc o trudnej sytuacji Hope’a Granta, zignorował dyplomatyczne niuanse i pośpieszył potrzebującym na ratunek swoim parowcem „Toeywhan”, najbardziej nowoczesną jednostką w zachodniej flocie. „Byłbym przeklęty, gdybym stał i się przyglądał, jak Chinole na moich oczach wyrzynają białych” – ryknął, przepływając koło brytyjskiego okrętu flagowego. O wyrzynanie właściwie nie trzeba się było martwić. Chińskie siły

pod dowództwem księcia Gong, młodszego brata cesarza, pozostały w fortach. Kanonada trwała, a z zapadnięciem wieczoru rozbłysły fajerwerki, przydając bitwie świątecznego nastroju. Później, kiedy kapitan Shadwell z 50 żołnierzami brytyjskiej piechoty morskiej oraz setką francuskich marynarzy z komandorem Tricaultem na czele próbowali postawić stopę na mulistej równinie, prymitywne chińskie *gingall* – wielkokalibrowe muszkiety skałkowe, długie na 2,3 metra i wymagające dwuosobowej obsługi – zademonstrowały swoją skuteczność mimo krótkiego zasięgu. Shadwell został ranny, Tricault i 50 podkomendnych zginęli. Flota wycofała się w końcu nie bez trudności. Dla Zachodu był to niechlubny dzień, ale – ostatni taki.

Bruce, wysyłając do Londynu meldunek, nadał mu nowoczesny szlif. Chińczycy osiągnęli sukces dzięki tajnemu uczestnictwu rosyjskich oficerów, którzy „spoglądali z murów w futrzanych czapach, pomagając Chińczykom i wyglądając groźnie". Nie uwierzono wprawdzie w takie wyjaśnienie, ale brytyjski ambasador w Petersburgu i tak przekazał Rosjanom notę protestacyjną. Wiadomość o upokorzeniu jeszcze bardziej nadwerężyła pozycję rządu lorda Derby. Na stanowisku premiera zastąpił go lord Palmerston, w wieku 75 lat równie nastawiony na rozwiązania militarne jak zawsze. „Musimy w jakiś sposób sprawić, żeby Chińczycy pożałowali tej zniewagi" – obwieścił[45], a „The Times of London" 12 września 1859 roku grzmiał:

> Damy tym podstępnym hordom taką nauczkę, żeby od tej pory nazwa „europejski" była na ich ziemi paszportem strachu, jeżeli nie mogła oznaczać miłości. Musimy zająć Pekin[46].

Lord Elgin, bawiący z wizytą u królowej w Balmoral, dostał rozkaz natychmiastowego powrotu do Chin. Wcześniej lord John Russell, nowy minister spraw zagranicznych, po-

instruował Bruce’a, by ten zażądał od Chińczyków niesprecyzowanych reparacji. Obecnie działało połączenie telegraficzne Londynu z Szanghajem i po raz pierwszy w historii polecenie z brytyjskiej stolicy docierało do odbiorcy w ciągu kilku tygodni. Odpowiedź Chińczyków też okazała się nadzwyczaj szybka i, jak to opisał Hope Grant, „bezczelna do granic”. Jakiekolwiek lord Elgin miał poglądy na opium i na chiński problem, teraz został urażony w swej rodzinnej dumie i zgodził się wrócić na Wschód.

* * *

Drugi marsz na Pekin rozpoczął się 2 czerwca 1860 roku w atmosferze lęku. Mimo że teraz flota wiozła z sobą specjalne przecinaki do zapór na wodzie, wszystkim ciążyła pamięć poprzedniej porażki. Czarne obawy były tym większe, że Chińczycy mieli dwóch brytyjskich zakładników: sir Harry’ego Parkesa i korespondenta „Timesa”, Thomasa Bowlby’ego. Ci dwaj zostali wcześniej wysłani z białą flagą na negocjacje w sprawie więźniów, ale znak parlamentariuszy nie został rozpoznany – albo też celowo go zignorowano – i obaj Brytyjczycy dostali się do niewoli. Czy pekiński dwór odzyskał swą czelność – a może raczej: bezczelność? Reporterzy bywają wścibscy, więc możliwe, że Bowlby z czymś się zagalopował, ale Parkes był wychowankiem szkoły w Harrow[47], tak samo jak lord Palmerston i lord Aberdeen. Nie można było pozwolić, by go upieczono na rożnie, jak to Chińczycy uwielbiali robić w ramach egzekucji na cudzoziemskich diabłach.

Tym razem zachodni alianci wygrali walkowerem. Baron Gros snuł przypuszczenia, że książę Gong stawia na kartę przetargową w postaci zakładników. Krążyły pogłoski, że cesarski brat spiskuje, żeby obalić zniewieściałego władcę i zająć jego miejsce. Prawda jednak przedstawiała się ina-

czej. Książęce wojska odkryły tajny skład opium, który uchował się w opuszczonym buddyjskim klasztorze, a ładunek zostawiła w nim ostatnia karawana zmierzająca z wybrzeża do Pekinu. Dlaczego towar został porzucony – tego nie wiedział nikt wówczas ani nie wie dziś. Handel makowym sokiem był zakazany, ale prohibicję od dawna ignorowano. Oceniano, że połowa cesarskich domowników jest uzależniona. Najprawdopodobniej kupcy usłyszeli pogłoski o zbliżających się siłach tajpingów. Tak czy inaczej nie byłoby to pożądane spotkanie, a posiadanie ładunku opium skończyłoby się dla handlarzy natychmiastową śmiercią. W wojsku księcia Gong nikogo to nie obchodziło. Znalezisko uznano za cud. A tak naprawdę okazało się ono zgubą dowódcy i jego armii. I choć nie od razu było to oczywiste – również zgubą całego kraju. Żołnierze, od dawna będący na makowym głodzie, szybko się uraczyli narkotykiem. W ciągu kilku godzin wielu leżało już nieprzytomnych. Oficerowie byli tak samo uzależnieni jak ich podkomendni. To, co pozostało z armii, stopniało w ciągu kilku następnych nocy. Na miejscu znaleziono tylko około setki ciał – martwych lub pogrążonych we śnie, z którego nigdy nie miały się już obudzić. Ich błogie uśmiechy zdumiały francuskich żołnierzy, którzy przybyli jako pierwsi z zachodnich oddziałów. „To było – jak donosił baron Gros księżnej Marie d'Angouleme – najdziwniejsze pole bitwy, jakie w życiu widziałem”[48]. Jednym z martwych okazał się książę Gong, zaszlachtowany przez własnych ludzi.

Z sukcesu narodziła się zgoda. Jedyna dyskusja, jaka wywiązała się między sojusznikami, dotyczyła wysokości masztów, na których miały być wywieszone ich flagi. Nadeszły wieści, że wobec zdrady księcia Gong cesarz i jego dwór ponownie udali się na wyprawę myśliwską w głąb lądu. Do obrony stolicy pozostawiono tylko symboliczny garnizon. El-

gin martwił się jednak: „A co ze starym Parkesem?”. Ale gdy wojska otoczyły Pekin, nie napotykając prawie żadnego oporu, nawet jemu nastrój zaczął się poprawiać[49].

Oblężenie oznaczało, że należało zająć cesarski Pałac Letni poza murami miasta. Kompleks pałacowy słynął szeroko jako jeden z cudów świata, lecz rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. Słowo „pałac” było niedomówieniem. Zespół okazał się istnym miastem pałaców, jedne z nich były rozleglejsze od większości europejskich siedzib królewskich, inne małe, lecz bez wyjątku znakomite[50]. Na terenie posiadłości, „pięknej ponad wiarę”, w pomniejszonej skali odtworzono każdy chiński region. Były tu jeziora, sztuczne pagórki, wąwozy, mosty, zagajniki, polany, ogród botaniczny i zwierzyniec. Bajeczne fontanny wciąż tryskały wodą. Ogrody zostały jednak przyćmione przez wnętrza. Te ostatnie były skarbnicą nie tylko chińskiego rzemiosła i sztuki o 3000-letniej tradycji, lecz także wspaniałości, jakie cudzoziemcy z dawien dawna składali cesarzom w hołdzie. Znajdowały się tu dary od lorda Macartneya, ale wyglądały skromnie w porównaniu z prezentami od dworu indyjskich Mogołów, od chanów Mongolii, szogunów Japonii i paszów z Azji Południowo-Wschodniej. Skarby obejmowały: ceramikę, dywany, tekstylia, sztandary, meble, malowidła ścienne, złote i srebrne sztaby oraz monety, a także brązy, cenne kamienie, niezrównaną bibliotekę i kilka pokoi wypełnionych cesarską kolekcją pornografii. Gdy rozpoczęła się grabież, hrabia de Tassin de Moligny, przyzwyczajony do luksusu francuskich wyższych warstw, pisał do swojego ojca w stanie graniczącym z ekstazą:

> *Je prends la plume, mon bon père, mais sais-je que je vais tu dire? Je suis ébahi, ahuri, abasourdié de ce que j’ai vu. Les mille et une nuit sont pour moi une chose parfaitment véridique maintenant. J’ai marché pendant presque deux jours sur plus de 100 ou 1000*

millions de francs de bijoux, de porcellaines, bronzes, sculptures, de trésors enfin non imaginables Je ne crois pas qu'on a vu chose pareille depuis le sac de Rome par les barbares. [Mam w ręku pióro, ojcze, lecz nie wiem, co powiedzieć. Jestem zdumiony, zachwycony, oszołomiony tym, co widziałem. Tysiąc i jedna noc wydaje mi się teraz doskonale realna. Przez ostatnie dwa dni przechadzałem się wśród setek, a może tysięcy milionów franków, bo tyle muszą być warte jedwabie, klejnoty, porcelana, brązy, rzeźby, nieskończone skarby! Nie wierzę, że ktoś oglądał coś takiego od czasu złupienia Rzymu przez barbarzyńców][51].

Jedynymi żywymi ludźmi, jacy zostali w pałacu, było 200 cesarskich eunuchów, wszyscy mocno znarkotyzowani. Dzierżąc starożytną broń, próbowali ochronić cesarski marmurowo-jadeitowy prywatny apartament. Kilkunastu zastrzelono, reszcie pozwolono uciec. Francuzom wolno było zabrać, ile zdołali unieść, Brytyjczycy dostali mniej, ale i tak się obłowili. Część pozostałych przedmiotów zlicytowano na miejscu[52]. Do wywiezienia skarbów do Szanghaju potrzeba było ponad setki wozów zaprzężonych w woły, a przecież zabrano tylko ułamek cesarskich kolekcji. De Montauban miał sprezentować cesarzowej Eugenii diamentowy naszyjnik, który paryscy jubilerzy ocenili jako bezcenny. Hope Grant odmówił swojego udziału w łupie, jednak jego królowa przyjęła jadeitowo-złote berło[53]. Wśród grabieżców znalazł się miłośnik zwierząt, który uratował kilka psów z pilnie strzeżonej przez Chińczyków rasy. Kudłate zwierzaki przypominały chińskiego heraldycznego lwa, były dzielne, inteligentne i rozpieszczone, jako że od wielu pokoleń pełniły rolę wyłącznie piesków pokojowych na dworze cesarza. Niektóre przetrwały podróż do Anglii i oczywiście zostały nazwane pekińczykami. Szczeniak złożony w darze królowej, noszący stosownie imię Lootie („mały łup"), z ujadaniem pętał się pod nogami biskupów odwiedzających

władczynię w Osborne House, aż w końcu zdechł, opłakiwany z wielkim żalem, w 1872 roku[54].

* * *

Po sprowadzeniu sprzętu do kruszenia budowli z łatwością zrobiono wyłomy w rzekomo niezdobytych murach obronnych Pekinu i miasto wpadło w ręce zdobywców. Niemal cudem, a może dlatego że Chińczycy obawiali się nieuchronnych srogich reperkusji, Parkes i Bowlby uniknęli egzekucji. Potem, 16 października 1860 roku, lord Elgin wydał rozkazy, aby Pałac Letni i jego ogrody zostały spalone. Co nim kierowało – do dziś pozostaje zagadką[55]. Według barona Grosa, jego przyjaciel znajdował się wówczas w stanie „ostrej nerwicy". Wciąż powtarzał, że ten symboliczny akt jest konieczny, aby Chińczycy stracili twarz, a nie życie. Był człowiekiem słabego ducha, ściganym przez reputację ojca szkalowanego za ratowanie (bądź grabienie) wielkich dzieł sztuki. A może tak na niego wpłynął los 22 brytyjskich i sipajskich żołnierzy, których Chińczycy schwytali kilka miesięcy wcześniej. Poddano ich odrażającym torturom, których Parkes i Bowlby byli świadkami, zanim wszyscy, z wyjątkiem jednego, nareszcie wyzionęli ducha. Właśnie odkryto ich okaleczone szczątki.

Pałac Letni, nadal mieszczący znakomitą kolekcję dzieł sztuki i skarbów – niektóre były trudne do wywiezienia – płonął przez pięć dni. Całą posiadłość metodycznie zniszczono. Był to najbardziej spektakularny akt wandalizmu w dziejach od czasu spalenia Biblioteki Aleksandryjskiej do wydarzeń XX wieku. Podpułkownik Garnet Wolseley, przyszły marszałek polny, zauważył:

> Kiedy wkroczyliśmy do ogrodów, przypominały jedną z tych magicznych krain opisywanych w baśniach. Gdy wymaszerowywali-

śmy, zostały za nami posępne zgliszcza i zrujnowane pustkowia[56].

Inny świadek odnotował, że:

> Słońce przeświecające przez kłęby dymu nadawało okropny odcień każdej roślinie i każdemu drzewu, a płomień odbijający się w twarzach żołnierzy sprawiał, że wyglądali jak demony upajające się zniszczeniem, którego nigdy nie da się już naprawić[57].

Jednak w Londynie wiadomości zrobiły z Elgina bohatera[58]. Na najbliższym dorocznym bankiecie w Królewskiej Akademii podejmowano go jako gościa honorowego. Siedząc między prezesem (którym, tak się złożyło, akurat był Frank Hope Grant, brat generała Jamesa) a sir Edwinem Landseerem, przy porto i cygarach wygłosił mowę:

> Nie jestem barbarzyńcą. Głęboko poruszają mnie wspaniałe dzieła sztuki, które otaczają nas w tym szacownym gmachu. (…) I niech mi wolno będzie powiedzieć, że nikt bardziej niż ja nie żałował nieuniknionego zniszczenia pięknych pawilonów i kiosków noszących w Chinach zaszczytną nazwę Pałacu Letniego (…). Cały zespół budynków był przeżarty zepsuciem, przesycony ohydnym zapachem narkotyków. Trzeba go było zniszczyć[59].

Jego słowa przyjęto owacją. Kilka dni później rząd uhonorował go najbardziej pożądaną w tamtych czasach nagrodą – tytułem wicekróla Indii[60]. Spalenie Pałacu Letniego było, zdaniem „The London Times”, „odpowiednim zakończeniem dla od dawna przeciągającej się utarczki związanej ze złym, otępiającym narkotykiem”. Zasadę wolnego handlu podtrzymano. Obroniono też honor chrześcijańskiego imperium.

ROZDZIAŁ 18

Żółte niebezpieczeństwo

Dziennik „The London Times” prawie – ale tylko prawie – miał rację. Walki w Chinach ustały i w odczuciu większości czytelników gazety o utarczce związanej z opium najlepiej było zapomnieć. Postrzegano ją jako triumf albo też jako pomniejsze niepowodzenie na drodze do budowania wielkiego, łaskawego dla poddanych imperium. A jednak mimo doniesień londyńskiego dziennika wojnom opiumowym daleko było do końca – ich długofalowe konsekwencje będą tak pełne napięcia jak konflikty zbrojne i potrwają dłużej.

Nie od razu się jednak ujawniły. Jeśli chodzi o Wielką Brytanię, cele walki zostały osiągnięte. Cztery lata po podpisaniu traktatu pekińskiego siedem ósmych całego chińskiego importu pochodziło z samej Wielkiej Brytanii lub jej kolonii. W szczególności w latach 1859–1882 import opium z Indii do Chin wzrósł z 51 000 skrzyń do bezprecedensowej liczby

112 000[1]. Jardine i Matheson rozszerzyli swoją działalność na inne pola[2], ale ich miejsce zajęli oszałamiająco prężni Sassoonowie. Świetnie sobie radząca rodzina handlarzy, pochodząca z Hiszpanii, na arenę międzynarodową wypłynęła w latach 20. XIX wieku w Bagdadzie, wówczas należącym do imperium osmańskiego. Założycielem rodu był szejk Sassoon ben Sali, sprytny bankier, któremu opłaciła się polityka wspierania podupadających hodowców maku na zasadzie udzielania im niskoprocentowych pożyczek w chudych latach. Jego syn David, późniejszy patriarcha rodu i ojciec 20 dzieci, w 1832 roku przeniósł się do Bombaju i jego działalność zaczęła się rozwijać. W latach 60. XIX wieku firma David S. Sassoon & Sons miała już oddziały w Bombaju, Kalkucie, Stambule, Singapurze, Hongkongu i Szanghaju, a wszystkie prowadzili Sassonowie albo przynajmniej osoby wżenione w ich szeregi. Judaizm oraz plemienna spójność biznesmenów okazały się niewyczerpanym źródłem siły, dzięki czemu ten rodzinny interes szybko zdominował stosunki handlowe Wschodu z Zachodem nie tylko w dziedzinie opium, lecz także srebra, złota, jedwabiu, przypraw korzennych, bawełny oraz wszystkiego „cokolwiek porusza się na lądzie i morzu”. Opium było jednak prawdziwą podporą działalności firmy, która ostatecznie posiadała i rozprowadzała trzy czwarte całego opium wyprodukowanego w Indiach. Jej przeciętny roczny zysk z handlu szacowano na trzy miliony funtów. W 1874 roku główna siedziba firmy zainstalowała się w Londynie, a sir Albert Abdullah David Sassoon został przyjacielem i życzliwie puszczającym długi w niepamięć wierzycielem księcia Walii. Syn biznesmena poślubił dziedziczkę fortuny Rothschildów i przez 20 lat zasiadał w Parlamencie jako przedstawiciel konserwatystów. Brzmi to jak baśń i trwa nadal, tyle że nie

w zakresie powiązań rodziny z opium, ale na polu jej tradycji naukowych[3].

W takich okolicznościach patetycznie sformułowane prośby Pekinu o powstrzymanie albo przynajmniej ograniczenie handlu opium tak długo przekazywano z jednego resortu rządowego do drugiego, aż się zgubiły. Gdy Chiny usiłowały obniżyć sprzedaż, podwyższając narzucony na nią podatek, ich inicjatywę legislacyjną zgnieciono zawoalowanymi groźbami liberalnego rządu w Londynie. W 1870 roku sir Wilfred Lawson wysunął w Izbie Gmin wniosek potępiający „ciągnące się od dawna, celowe rujnowanie i zatruwanie starożytnego kraju Chin". Wysłuchano go uprzejmie, lecz potraktowano jak nieszkodliwą skamieniałość. W tamtym okresie Ministerstwo Skarbu czerpało z handlu opium jedną piątą swego całościowego dochodu, co stanowiło ogromny wzrost w porównaniu z jedną osiemnastą sprzed wojny. Pan Gladstone, teraz zasiadający w rządzie, argumentował ze swoją zwykłą siłą przekonywania, że mając na uwadze ciężar brytyjskiej misji cywilizacyjnej na świecie, „nie moglibyśmy sobie pozwolić na stratę takiego źródła [dochodu]". Wniosek upadł, przegłosowany 146 do 36.

W miarę jak uprawa maku rozprzestrzeniała się w Chinach, handlowi opium przez jakiś czas groził upadek. Wobec tego abolicjonista, poseł Parlamentu sir Rutherford Alcock, mający duże udziały w firmie David Sassoon & Sons, porzucił swoją dawną odrazę i zaproponował zalanie Chin tanim, zaniżającym cenę opium – do czasu, aż zniechęceni miejscowi zaniechają swych prób. Potem cenę będzie można znów wywindować na poprzedni, zyskowny poziom. Antycypował tym samym taktykę Rockefellerów, Carnegiech i innych XX-wiecznych amerykańskich wyzyskiwaczy. W 1888 roku „The London Times" szacował, że 70% dorosłych Chińczyków płci męskiej pali opium z nawyku lub na-

łogu. Dwa lata później 15-letni cesarz, wyczerpany bezskutecznymi protestami, pod naciskiem swej wielkiej ciotki, cesarzowej wdowy Cixi – byłej prostytutki i cesarskiej konkubiny, seryjnej morderczyni, od niepamiętnych czasów opiumistki – odwołał wszystkie prawa skierowane przeciw uprawie, handlowi i konsumpcji opium. Wspomnianych ustaw i tak nikt nie respektował, toteż ich zniesienie właściwie przeszło bez echa.

* * *

Na ponad 100 lat od zakończenia wojen opiumowych Chiny przestały być krajem samowystarczalnym, to jest takim, które zapewnia swoim mieszkańcom zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Posiadacze ziemscy w dotkniętych głodem południowych prowincjach chciwie wyciskali z najemców opłaty, sami często zagrożeni ruiną. Podatki narzucone przez Pekin wyniszczały ludność, ale były ściągane bezlitośnie – z tych, którzy jeszcze żyli. Niegdyś najbardziej zorganizowane państwo świata, z systemem dróg, mostów i przydrożnych schronień, rozsypywało się w oczach. Na obszarach wiejskich bezkarnie grasowali bandyci. Kiedy runęły niezadbane tamy, woda zalała i zdewastowała niżej położone regiony. W Chinach wszystko się działo na ogromną skalę. Nawet przedsięwzięcia podejmowane w dobrej wierze kończyły się katastrofą. Na mocy konwencji pekińskiej, głównie z inicjatywy Francji, w Państwie Środka znów mogli szerzyć Ewangelię chrześcijańscy misjonarze. Przybywali z różnych krajów, reprezentowali niejedno wyznanie, ale wszyscy szybko uświadomili sobie spustoszenie czynione przez opium. Leżało ono, jak napisał niemiecki pastor, doktor Wilhelm Mott, „u korzeni wszelkiego zła, jakie nęka moją biedną udręczoną trzodę”[4]. Niestety, wiele misjonarskich stowarzyszeń przyjęło modny wówczas w Europie po-

gląd, jakoby niedawno odkryta morfina, a później heroina, nie wywoływały takiego uzależniającego „skutku ubocznego” jak substancja wyjściowa. Owo rażąco ignoranckie fałszywe przekonanie na pozór zdawało się wiarygodne: skoro oba odkryte związki są czynnymi pochodnymi opium, znoszą głód narkotykowy i przeciwstawiają się mu. Dziś naiwność takiego rozumowania może się wydawać karygodna, ale wtedy szczera nadzieja na wyleczenie z nałogu (a także nadzieja na zyski, żywiona przez producentów morfiny i heroiny) zaślepiała nawet zrównoważone umysły. Przez kilkadziesiąt lat zarówno morfinę, jak i heroinę uważano za medykamenty, na zakup których należy przeprowadzać kościelne składki. I mimo że George Calkins w swoim dziele *Opium and Opium Appetite*, opublikowanym w 1871 roku, w niezaprzeczalny sposób obalił mit „morfinowej terapii”, kilkanaście lat później skrzynie z morfiną opłaconą przez amerykańskie Medyczne Stowarzyszenie Misyjne wciąż przybywały do Chin. Gdy wreszcie błąd został dostrzeżony, efekt okazał się druzgocący. W wielu częściach Chin uzależnienie od „Jezusowego opium” – to jest morfiny lub heroiny – na zawsze podminowało stosunki miejscowej ludności z misjonarzami. Do dziś można jeszcze usłyszeć odległe echa tamtej zadawnionej urazy.

Swoje żniwo zebrał też zamęt polityczny. Powstanie tajpingów stłumiono dopiero w 1864 roku, gdy „Zawsze Zwycięska Armia”, zbieranina europejskich najemników i chińskie cesarskie wojska pod dowództwem charyzmatycznego Charlesa „Chińskiego” Gordona, zdobyła Changzhou Fu, bazę wojskową powstańców[5]. Po porażce tajpingowie założyli kilka z najbardziej bezlitosnych organizacji w dziejach zorganizowanej przestępczości. Niektóre z nich kwitną do dziś.

* * *

Szczęśliwym czy może tragicznym zbiegiem okoliczności podczas gdy w Chinach warunki się pogarszały, w innych częściach świata gwałtownie rosło zapotrzebowanie na tanią siłę roboczą. Rozpoczął się więc handel kulisami[6], wkrótce określany jako „świński". Nie był tak szeroko znany jak transatlantycki handel czarnoskórymi niewolnikami sprzed ponad wieku, ale nie mniej ponury. Pierwsza fala migracji z Chin ruszyła do Azji Południowo-Wschodniej, głównie do kopalni cyny i na plantacje kauczukowców na Półwyspie Malajskim. W 1910 roku 60 000 Chińczyków mieszkało w Rangunie, 120 000 w Sajgonie i 200 000 w Bangkoku. W Singapurze stanowili większość etniczną, choć bez przedstawicieli politycznych. Rozpaczliwie biedni, ponad wszelkie potrzeby życiowe przedkładali głód opium. W 1902 roku większość dorosłej ludności chińskiej była już uzależniona. Z drugiej strony, licencjonowane palarnie opium stały się dochodową atrakcją turystyczną i przyczyniły się do położenia fundamentów pod późniejszą prosperity Singapuru.

Nie minęło 10 lat, gdy kulisów zaczęto wysyłać za morza. Głównymi portami przerzutowymi były Hongkong, Makau i Xiamen (ang. Amoy). Ludzki „ładunek" zapędzano do zagród i piętnowano literami według miejsca przeznaczenia (najczęściej P, C i S, odpowiednio: Peru, Kalifornia i wyspy Sandwich, czyli dzisiejsze Hawaje). Warunki podróży niewiele się różniły od tamtych, w których 100 lat wcześniej przewożono afrykańskich niewolników. Nie wszyscy docierali do celu żywi. Brytyjska jednostka „John Calvin" straciła 58% ładunku w drodze do Indii Zachodnich (obecnie Karaiby). Na amerykańskich statkach śmiertelność transportowanych kulisów z reguły wynosiła 35–40%. Kobiety zwykle

stanowiły część tego handlu, choć odbywało się to nielegalnie, nawet według ówczesnego prawa międzynarodowego. Brytyjski transportowiec „Inglewood” miał już wypłynąć z Xiamen z ładunkiem około 100 dziewcząt w wieku poniżej 12 lat. Załoga, w większości złożona z Chińczyków, zbuntowała się i jej przywódca złożył raport do brytyjskiego konsula. Sir Harry Toogood, wierny Kościoła anglikańskiego, podjął samowolną akcję i zrujnował sobie karierę, uwalniając dzieci i załatwiając im powrót do Chin. Dokąd się jednak miały udać i kto miał je eskortować? Zgłosiła się do tego grupa francuskich zakonnic z matką Parduce na czele. Już kilka kilometrów za miastem otoczyła je horda „wyrzutków”. Przełożoną zakonu ścięto, siostry pobito i rozgoniono, a ich podopieczne ostatecznie wywieziono z innego portu.

Za granicą zdecydowana większość Chińczyków z pierwszego pokolenia emigrantów żyła krótko i było to przygnębiające życie. Jedyną ucieczkę od fizycznego i psychicznego cierpienia dawało im opium. Importowali je chińscy handlarze, a pracodawcy mieli udział w zyskach. Handel czarnoskórymi niewolnikami był oczywiście nieludzki, ale Afrykańczycy przynajmniej do pewnego stopnia cieszyli się w Stanach Zjednoczonych namiastką ochrony prawnej. Kulisi harujący w kalifornijskich kopalniach złota nie mieli się z czego cieszyć. Kiedy najbardziej niebezpieczne złoża kruszcu wyczerpywały się, robotnicy po prostu tracili pracę i zostawiano ich samym sobie. Ci, którym szczęśliwie udało się przeżyć i nie stracili zdolności do pracy z powodu postępującej choroby płuc, zasilali drugorzędne palarnie opium w najbliższym mieście.

* * *

To właśnie za sprawą handlu kulisami opium rozprzestrzeniło się po zakątkach świata, do których wcześniej nie do-

tarło. Musiało zawsze minąć kilka lat, zanim władze zorientowały się, co to oznacza dla społeczeństwa. W Australii, do połowy XIX wieku niemal wolnej od opium, w 1890 roku sprzedano 800 kilogramów importowanego narkotyku. Przy Lower George Street w Sydney i Bourke Street w Melbourne tłoczyły się już wtedy palarnie opium. Jak to zwykle bywa, „rozwój" ten sprawił, że Chińczyków nie tylko wyzyskiwano, lecz także nienawidzono. Kiedy w 1888 roku do portu w Melbourne zawinął SS „Afghan" z 250 chińskimi imigrantami, wybuchły zamieszki i zablokowano statek, nie pozwalając mu przybić do brzegu. Co się stało z ładunkiem? Źródła o tym milczą. Do podobnych zdarzeń dochodziło w Limie, Kapsztadzie, San Francisco, Amsterdamie, Liverpoolu i przypuszczalnie gdzie indziej.

Australijski rząd zaniepokoił się dopiero wówczas, gdy narkotyk zyskał popularność wśród białej ludności. W stanie Wiktoria, na przykład, w 1890 roku „władze wiedziały" o 700 Europejczykach przyjmujących opium. Z czasem narodziło się nowe wyrażenie. Nikt nie wie, gdzie ukuto ten termin, ale wkrótce znał je już cały świat. „Żółte niebezpieczeństwo", rozumiane jako zagrożenie, plaga, przedstawiano w uosobieniu potwora na tysiącach satyrycznych rysunków. Ukazywały one wynędzniałą, złą zjawę, która wyciąga szponiaste, ociekające krwią dłonie, czasami rozrywając małe białe postacie obu płci i każdego wieku. Co nieuniknione, strach i odraza najbardziej zaraźliwie rozprzestrzeniały się w krajach, które dotąd nie znały tych spraw. Powieść Australijczyka Edwarda Dysona zatytułowana *Mr and Mrs Sin Fat*[7] opisuje, jak zaciekawiony podróżnik odkrywa miejsce zamieszkania pana Sin Fata w pewnym australijskim mieście:

> Przez kłęby duszących, odstręczających wonią opiumowych oparów dostrzegłem wycieńczonych Chińczyków o zwierzęcych twa-

> rzach zdążających do piekła wśród niebiańskich wizji (…), a co najgorsze, europejskie dziewczyny – piętnasto- czy szesnastoletnie, może młodsze – zwabione w wejściowych drzwiach połyskiem jedwabiu i brzękiem złota, po czym zostawione, by się przesączyć przez to straszne miejsce, nieodwracalnie skalane, a w końcu porzucone wśród szlamu i zgnilizny jakiegoś zaułka na tyłach (…)[8].

Perth[9] zmierzał do tego, aby się stać największym Chinatown, przyszłym Miastem Smoka na antypodach.

* * *

W swojej ostatniej, niedokończonej powieści *Tajemnica Edwina Drooda* Dickens dał upust własnej niechęci do opium. (Choć był to raczej stosunek pełen i nienawiści, i miłości, ponieważ pisarz zażywał specyfik na uspokojenie nerwów, kiedy odbywał ostatni objazd z wykładami po Stanach Zjednoczonych). Główny bohater, John Jasper, jedna z najbardziej odpychających postaci stworzonych przez Dickensa, jest szanowanym chórmistrzem przy katedrze w Cloisterham, ale prowadzi podwójne życie. W tym drugim, sekretnym, ten uzależniony od opium nikczemnik zaleca się do narzeczonej własnego bratanka, którego być może sam zamordował. Wszystkie pieniądze Jaspera oraz fundusze innych ludzi idą na zaspokojenie jego nałogu. Dickens twierdził, że się zapoznał z londyńskimi palarniami opium, odwiedzając zapuszczoną dzielnicę East End z policją, jednak w jego czasach w stolicy imperium nie było zbyt wielu takich przybytków. Nieważne: istniały gdzie indziej i w wyobraźni pisarza. Gdy Drood budzi się z narkotycznego snu i próbuje pozbierać swoją „rozkojarzoną świadomość”, odkrywa, że:

> Znajduje się w małym i nad wyraz nędznym pokoju. Przez postrzępione zasłony wpada z obskurnego podwórka światło wczesnego poranka. Mężczyzna leży w ubraniu w poprzek dużego, całkiem niepasującego do otoczenia łoża, które zdążyło się już załamać

pod znajdującym się na nim ciężarem. Leżą bowiem na nim – też w poprzek i również ubrani – Chińczyk, hinduski marynarz i wynędzniała kobieta. Obaj mężczyźni śpią lub ogarnęło ich zamroczenie, kobieta natomiast dmucha w coś na kształt fajki, usiłując ją rozpalić. Dmuchając, osłania ją wychudłą dłonią, w mdłym świetle poranka mężczyzna posługuje się rozniecanym żarem jako słabo świecącą lampką.

– Jeszcze jedną? – pyta kobieta zniecierpliwionym, ochrypłym szeptem. – Chcesz jeszcze jedną?

Mężczyzna rozgląda się z dłonią przyciśniętą do czoła.

– Od chwili, gdy przywlokłeś się tu o północy, wypaliłeś już pięć – ciągnie kobieta, biadoląc bez przerwy. – O, ja nieszczęsna, ja nieszczęsna, jakże mnie boli głowa! Tamtych dwóch przywlokło się po tobie. O, ja nieszczęsna, interes idzie marnie, och, jak marnie! W dokach mało Chińczyków, jeszcze mniej hinduskich marynarzy. Powiadają, że żadne statki nie zawijają do portu. O tu, jeszcze jedna dla ciebie, miły. Pamiętasz, duszyczko, że cena rynkowa jest teraz piekielnie wysoka[10]?[11]

W opowiadaniu sir Arthura Conan Doyle'a *Człowiek z wywiniętą wargą* oraz w *Portrecie Doriana Graya* Oscara Wilde'a wcieleniem żółtego niebezpieczeństwa są Malajowie. Dla Arthura Rimbauda Chińczycy to po prostu *petits jaunes*[12], ale przesłanie pozostaje to samo. Mowa tu o literaturze wyższych lotów, stanowiącej zaledwie ułamek całości. Większość ówcześnie wydawanych czytadeł była tanimi powieścidłami – kosztowały pensa, były przerażające pod każdym względem, zawierały mieszaninę opium, zbrodni, seksu i elementów orientalnych, a czytelnicy pochłaniali je pasjami. Podczas wypadu do Limehouse we wschodnim Londynie pisarz Arthur Henry Ward zaprzyjaźnił się z chińskim marynarzem znanym tylko z imienia – Wu. Niczym Szeherezada ów Wu zasiał w umyśle pisarza szereg porywających opowieści. Pewnego dnia nie stawił się na umówione spotkanie i Ward nigdy go już nie zobaczył, jednak jego historie wydały nieoczekiwane owoce. Publikując pod pseudonimem

Sax Rohmer, Ward wprowadził do anglosaskiej kultury arcyłotra – doktora Fu Manchu. „Skośnooki doktor" stał się wcieleniem wszelkiego zła, jakie opinia publiczna widziała w opium i w przybyszach z Dalekiego Wschodu. Stawiając sobie za cel zagładę białej rasy oraz zdominowanie świata, posługuje się on niezwykle urozmaiconym arsenałem broni, od pocisków rakietowych po magnetyzm zwierzęcy, ale główna jego moc zasadza się na opium. Sam, „jak większość żółtków", bezkarnie przyjmuje narkotyk, ale przede wszystkim z niezrównaną przebiegłością używa go do osłabiania wrogów. Nie jest, jak zdarzało się usłyszeć od wybitnego lekarza, ozdobą swojej profesji. Tło dla jego występków stanowią urządzane w ambasadach bale, liniowce oceaniczne i królewskie domki myśliwskie, a także odpychające dziury podziemnego świata. (Sieć kanalizacji miejskiej jako siedziba przestępców, uwieczniona przez Grahama Greene'a w *Trzecim człowieku*, przypuszczalnie po raz pierwszy pojawiła się u Victora Hugo, a w pełni wykorzystał ten motyw właśnie Sax Rohmer). Niecne knowania doktora zawsze zostają udaremnione dzięki genialnemu sir Denisowi Naylandowi Smithowi i doktorowi Petriemu, których wspiera grupa detektywów idiotów ze Scotland Yardu. Mimo wszystko doktorowi Fu Machu zawsze udaje się ujść z życiem, żeby mógł wrócić w następnej opowieści[13]. Jego przygody sprzedawały się świetnie, wiele z sukcesem zekranizowano. Wcielił się w niego między innymi Peter Sellers w swojej ostatniej znakomitej kinowej roli[14]. Co nieprawdopodobne, kilka z opowieści oparto na prawdziwych zdarzeniach, a fikcyjny Kung był wzorowany na cieszącym się złą sławą baronie narkotykowym Genialnym Changu.

Żółte niebezpieczeństwo napędzało również sprzedaż prasy. Liczba chińskiej ludności w Londynie w 1910 roku wynosiła 1300, a w 1921 – 3000. Była więc bardzo mała w po-

równaniu z San Francisco czy choćby z Paryżem, gdzie na Sorbonie kształcili się Mao Zedong, Zhou Enlai i Ho Chi Minh. Tak niewielka mniejszość wystarczyła jednak, by zainspirować stały dopływ doniesień z pierwszej ręki. Relacje „z życia" białych dziewcząt zniewolonych przez żółte potwory oraz ich narkotyk mogłyby zawstydzić niejeden dzisiejszy goniący za sensacją tabloid.

Fobie i opowieści grozy być może wzmacniało utrzymujące się wciąż poczucie winy. Przez około 10 lat od 1870 roku Anglo-Orientalne Stowarzyszenie na rzecz Stłumienia Handlu Opium publikowało bałamutnie zatytułowany dziennik „Friend of China" („Przyjaciel Chin"), łączący pseudochrześcijańskie bicie się w piersi z przerażającymi historiami ilustrującymi „pomstę" Chinoli, którzy przybywają za Zachód, by zepsuć białe społeczeństwo. Jeden z aktywnych zwolenników Stowarzyszenia, wielebny George Piercy, ostrzegał przed poczuciem „fałszywego bezpieczeństwa":

> Ci, którzy głosili sprawiedliwość dla Chin [i zadośćuczynienie za] handel opium w rękach naszego rządu, zapominają o konsekwencjach rzekomych działań retrybucyjnych (...). Co innego może z tego wyniknąć, jak nie plaga rozprzestrzeniająca się [u nas] i atakująca nasze wnętrzności? (...) Zaczyna się od Chińczyków wśród nas, ale się na nich nie kończy[15].

* * *

W Stanach Zjednoczonych płomienie nienawiści rozdmuchiwał syndykat prasowy Hearsta. Dopomogła w tym jedna okoliczność. W 1874 roku Ameryka wpadła w recesję gospodarczą. Powodem była, jak zwykle, chciwość przedsiębiorców w Nowym Jorku, Bostonie i Chicago. Oni sami szybko podnieśli się z zapaści, ale dla zwykłych Amerykanów chwilowy koniec prosperity – a wówczas nie wiedzieli, że będzie tylko chwilowy – stał się wydarzeniem na miarę

wstrząsu sejsmicznego. W pełnych desperacji latach 70. XIX wieku, w miarę jak rosło bezrobocie, coraz chętniej jako wytłumaczenie przyjmowano, że żółte niebezpieczeństwo zarówno psuje białe kobiety, jak i odbiera pracę białym mężczyznom. Było w tym ziarno prawdy. Podczas budowy kolei transkontynentalnych tylko kulisi ryzykowali przy spinaniu ciężkimi stalowymi kratownicami ziejących przepaści, przebijaniu tuneli w skałach za pomocą niesprawdzonych materiałów wybuchowych, z trudem brnęli przez rozległe solniska, stawiali czoło Indianom usiłującym bronić swojej ziemi oraz byli kąsani i zjadani przez dzikie zwierzęta. Komandor Cornelius Vanderbilt nie mógłby znaleźć białych robotników do tych prac, nie mówiąc już o tym, żeby im płacił tak śmieszne wynagrodzenie jak Chińczykom, dzięki czemu zbił swoją nieprzyzwoicie wielką fortunę. Opium stanowiło kluczowy element tego układu. Uzależnieni pracownicy zrobiliby wszystko, byle tylko dostali narkotyk. Mimo to dziesiątki tysięcy osób nie wytrzymywało presji. Z 800 Chińczyków wysłanych do pracy przy budowie linii kolejowej w Przesmyku Panamskim 468 popełniło samobójstwo w ciągu trzech dni od przybycia. Jednak dla prasy trąbiącej o żółtym niebezpieczeństwie prawda i fakty znaczyły niewiele.

> Większość z nas słyszała co nieco [typowy napuszony ton] o kolonii „Celestials”, skupionej przy dolnym końcu naszej cudownej Bowery[16], ale niewielu wie o setkach amerykańskich dziewcząt, które są tam ściągane co roku z kamienic czynszowych i fabryk papierosów, by zostać towarzyszkami, a następnie niewolnicami Mongołów. To opium porywa kobiety i trzyma je w niewoli[17].

A skoro potwór narkoman podąża za białymi kobietami, co go powstrzyma przed uwiedzeniem dzieci białego mężczyzny?

> W naszym wspaniałym San Francisco młodzi chłopcy, tak, i małe dziewczęta o wyglądzie cwanych staruszków i staruszek wymykają się z plugawych zaułków chińskiej dzielnicy na nasze piękne słońce i ożywczą morską bryzę, z wymalowaną na twarzach nikczemnością, dwulicowością i chciwością tylko po to, by zepsuć nasze własne dzieci. Jako broń niosą z sobą przekleństwo Chin, opium. Należy ich wyplenić razem z ich trucizną, zanim zdziesiątkują naszą własną młodzież i wytrzebią przyszłe pokolenia Amerykanów[18].

W czasach gospodarczej zapaści ludzie uwierzą w każdą bzdurę, a rynsztokowa prasa nie była jedyną trybuną, z której głoszono brednie. Przywódca ruchu związkowego Samuel Gompers, europejski imigrant nadal czczony za swoje poświęcenie w działaniu na rzecz amerykańskiej klasy robotniczej, twierdził, że znalazł w Kalifornii chińskie pralnie „zanieczyszczające" białe sieroty i porwane ofiary.

> (…) maleńkie zagubione duszyczki (…) zmuszone do oddawania swoich dziewiczych ciał maniakalnym żółtym porywaczom (…). Jakie inne zbrodnie są popełniane w owych ciemnych, cuchnących miejscach, gdy te niewinne małe ofiary chińskich podstępnych oszustów pozostają pod wpływem narkotycznego opium, zbyt strasznie jest sobie wyobrażać. Są ich setki, a jakże, tysiące naszych amerykańskich dziewcząt i chłopców, którzy weszli w śmiertelny nawyk i są potępieni, beznadziejnie potępieni, bez [możliwości] odkupienia[19].

A wielce szanowany w San Francisco lekarz, Winslow Anderson, pisał:

> To oburzający widok (…) młode dziewczęta (…) leżące bez ubrania lub na wpół ubrane na podłodze albo na leżankach, palące ze swoimi żółtymi „kochankami", mężczyznami i kobietami, w tych chińskich palarniach[20].

* * *

W Chinach los zwykłego zjadacza ryżu niewiele się zmienił po tym, jak w 1911 roku doktor Sun Jat-sen proklamował

republikę. Jego szlachetne idee oraz cierpliwe, łagodne podejście nie zdołały wykorzenić z narodu opiumowego nałogu. W latach 30. XX wieku następca Sun Jat-sena, Czang Kaj-szek, wykorzystywał nałożone na opium podatki do finansowania swego korupcyjnego reżimu. Sam Czang, podobnie jak jego żona, brzydził się narkotykiem i być może nie miał innego wyjścia, ale stan zdrowia w kraju nie był sekretem dla sąsiadów. W przeciwieństwie do nich europejscy obserwatorzy z niedowierzaniem patrzyli na upadek niegdyś potężnego imperium, tak łatwo poddającego się najazdowi Japończyków w 1937 roku. Druga wojna światowa uratowała Chiny od zupełnej klęski[21], ale hojna pomoc płynąca z Ameryki nie powstrzymała komunistycznych armii Mao Zedonga. Czy to wiara w Marksa, Lenina i Mao sprawiła, że wojska parły niezwyciężenie naprzód? Czy raczej fakt, że wyjęto spod prawa opium?

W 1950 roku nowy komunistyczny rząd zakazał produkcji, zażywania oraz sprzedaży wszelkich narkotyków i tym razem prawo było egzekwowane z całą surowością. Handlarzy i dilerów opium stracono – według jednego źródła wyrok wykonano na dziesiątkach tysięcy osób – albo zesłano do chińskich obozów pracy. Opiumistów, którzy wyrazili chęć poprawienia się, leczono w bardziej humanitarny sposób – poradnie odwykowe wyprzedziły praktykę stosowaną później w Stanach Zjednoczonych – ale beznadziejne przypadki, opornych oraz ludzi z nawrotami nałogu (stanowiących większość) eksterminowano.

Symbolicznie na tle tych wydarzeń przedstawia się los Wan Jung, żony ostatniego cesarza, Puyi[22]. Zaczęła palić opium w wieku 16 lat i ostatecznie potrzebowała dwóch uncji dziennie – dawki, która zabiłaby początkującego palacza. Na początku lat 30. jej mąż zgodził się na współpracę z Japończykami i został marionetkowym władcą Mandżurii

(przemianowanej na Mandżukuo). Najeźdźcy sprzyjali uzależnieniu byłej cesarzowej. Jej historię nagłośniono w Europie i Stanach Zjednoczonych w celu ilustrowania moralnego upadku Chin. Jednak kolejni zdobywcy, komuniści, mieli inne poglądy. W 1946 roku Wan Jung została rozdzielona z mężem i ostatnie dni życia spędziła w klatce. Zstępując w piekło nagłego odstawienia, stała się edukacyjnym eksponatem. Do jej więzienia ciągnięto uczniów na „wycieczki" szkolne. Cierpienia byłej cesarzowej uwieczniała ekipa filmowa. A były one widowiskowe. Kobieta szlochała i krzyczała, aż inni więźniowie błagali o jej egzekucję. Potem nagle popadła w urojenia, wyobrażając sobie, że znów jest w swoim pałacu w Pekinie, wydaje rozkazy dworzanom i służącym. Strażnicy w końcu odmówili wchodzenia do środka z powodu smrodu i brudu. W 1987 roku Bernardo Bertolucci, włoski reżyser filmu *Ostatni cesarz*, znany z marksistowskich inklinacji, pod naciskiem recenzentów wyciął ze swego dzieła ostatnie sceny. Wytłumaczono mu, że europejska publiczność ma zbyt słabe serce, żeby oglądać coś takiego.

* * *

W 1960 roku reżim komunistyczny ogłosił, że dawne Niebiańskie Królestwo jest wolne od opium – po raz pierwszy od 150 lat. Przynajmniej przez kilkadziesiąt lat prawdopodobnie było to prawdą. Ta deklaracja wyznaczyła rzeczywisty koniec wojen opiumowych[23]. Sprowadziły one na chiński naród niewyobrażalne cierpienia, a ich motorem napędowym była czysta chciwość. Na Zachodzie pamięć o tamtych wydarzeniach wygasła. W Chinach zaś pozostaje żywa. Nie zniknęło też ich pokłosie – na Zachodzie znaczna część zorganizowanej przestępczości i fanatyczna ksenofobia.

ROZDZIAŁ 19

Doktorzy rządzą

Okrągłe daty naprawdę rzadko zbiegają się z ważnymi historycznymi wydarzeniami, ale rok 1850 wyznacza dogodną cezurę. Stłumienie europejskich ruchów rewolucyjnych z lat 1848 i 1849 wykazało, jak daremne były „boskie niezadowolenia” romantyków[1]. Romantyczne poglądy utrzymywały się jeszcze przez jakiś czas w literaturze, muzyce i sztuce – *Nędznicy* i *Pierścień Nibelungów* miały dopiero nadejść – lecz ulotniło się to, co je do niedawna łączyło z codziennością. Przez kolejne półwiecze zwykłego człowieka miało prowadzić coś innego – nauka prezentująca nieograniczoną pewność siebie oraz zastępująca mgliste pojęcia, takie jak braterstwo wszystkich ludzi, wolność, dusza, a nawet zwycięstwo proletariatu[2]. Nauka przynajmniej działała i dawała wymierne efekty. Zmiany, jakie z sobą niosła, dotyczyły wszelkich aspektów życia, a zatem również zdrowia.

W ciągu 10 czy 20 lat anestezja i antyseptyka przeobraziły chirurgię z rzeźnictwa w prawdziwą sztukę uleczania. Mikrobiologia ujawniła przyczyny kilku chorób siejących wówczas największy postrach. We wcześniejszych stuleciach mijały całe pokolenia, zanim postępy czynione na gruncie nauk podstawowych przyniosły jakieś efekty w praktyce. Pod koniec XIX wieku korzyści odnoszone na poziomie klinicznym uwidaczniały się niemal natychmiast. Chorobom takim jak wścieklizna, tyfus i błonica (dyfteryt) można było teraz zapobiec, a czasem nawet wyleczyć z nich pacjenta. Otwarte złamanie nie oznaczało już natychmiastowej amputacji. (Jedynymi poważnymi chorobami zakaźnymi, które trzymały się jeszcze przez pół wieku od momentu odkrycia ich przyczyny, były gruźlica i syfilis). Zastąpienie przyjemnej w smaku tynktury o niepewnym składzie czystą substancją i strzykawką z igłą pasowało do tego wzorca naukowej precyzji.

* * *

Ponieważ morfina to tylko „rodzaj opium”, badaczom czasami umyka wpływ, jaki owe zmiany wywarły w tej dziedzinie. Co najistotniejsze, wstrzyknięcie morfiny zazwyczaj (choć oczywiście niekoniecznie) oznaczało większą dawkę. Jedna uncja dobrej jakości laudanum zawierała przeciętnie jeden gran morfiny. A zatem nawet opiumiści zażywający dwie uncje płynu dziennie narkotyzowali się znacznie mniej niż większość uzależnionych używających strzykawki. Co prawda ci drudzy na ogół trzymali się dziennej dawki sześciu granów, ale niektórzy brali aż 20, a nawet 40. To ostatnie stanowi z grubsza ekwiwalent 38 uncji laudanum[3]. Dla porównania, regularna dawka mocno uzależnionego Coleridge’a wynosiła 38 uncji (2 pinty) tygodniowo – tyle, na ile mógł sobie pozwolić, zważywszy na jego długotrwałe uza-

leżnienie. Wstrzykiwana morfina eliminowała ponadto niepewność wchłaniania jelitowego. Nawet jeżeli tynktura pochodziła z zaufanego źródła, rzadko wchłaniało się więcej niż 80%, a zdarzało się też mniej niż 20%. (W stanach powiązanych z biegunką, kiedy działanie leku akurat mogło być korzystne, wchłanianie być może spadało do zera). I chociaż morfina w tabletkach nie lepiej się wchłaniała od pastylek do ssania, łatwiej się ją zażywało, a poza tym w latach 60. i 70. XIX wieku była znacznie tańsza.

Stoczone w połowie stulecia dwie wojny udowodniły przydatność nowej formy opium. Na Krymie walczyły tylko zawodowe wojska, ich stan liczebny był stosunkowo niewielki i – z wyjątkiem Rosji – działania wojenne prowadzono tysiące kilometrów od ojczystych stron. Żołnierzom często przychodziło znosić paskudne cierpienia, ale w Wielkiej Brytanii i Francji mniej niż jedna rodzina na 50 miała wśród nich syna, męża czy ojca. Nigdy oficjalnie nie przyznano się do wykorzystywania opiatów w wojnie krymskiej. Ministerstwo Wojny nie pochwalało „otępiających leków", ale nie wydało wyraźnego zakazu ich stosowania. Był to jeden z kilku tematów, na które nawet panna Nightingale[4] nigdy nie wyraziła opinii, przynajmniej publicznie. Prywatnie w 1866 roku napisała do przyjaciółki, Harriet Martineau, że często nic nie przynosiło jej ulgi w znużeniu, jak tylko „ciekawy nowomodny mały zabieg podawania opium pod skórę za pomocą igły". Najwyraźniej „Dama z lampą" sama narkotyzowała się podczas swojego pobytu w Scutari[5], a być może również przez resztę swojego długiego życia, kiedy nie była już czynna zawodowo[6]. Podczas służby na Krymie w listach do przyjaciela, ministra wojny, raz za razem prosiła o więcej środków przeciwbólowych dla swoich rannych podopiecznych. Jeśli w słynnej rycinie opublikowanej w „Illustrated London News" 24 lutego 1855 roku, po raz pierw-

szy przedstawiającej Florence Nightingale jako legendarną „Damę z lampą” w trakcie nocnego obchodu wśród rzędów spokojnie śpiących – albo otumanionych – pacjentów, jest coś więcej niż tylko patriotyczne podnoszenie czytelników na duchu, to można przypuszczać, że opium i morfina były szczodrze wydzielane również rannym żołnierzom. W przeciwnym razie w różnych stadiach szpitalnej gorączki owi pacjenci hałasowaliby i majaczyli – ilustracja musiałaby przedstawiać istne pandemonium[7].

W swoich mrożących krew w żyłach raportach William Russell z „The Times” wspomina morfinę w kontekście wybuchu cholery. Korespondent sądził, że lek ten ratuje ludziom życie, ale nigdy nie było go dość. Polowi chirurdzy w wojsku francuskim, choć przypuszczalnie nie w brytyjskim ani nie w rosyjskim, stosowali zastrzyki morfiny. Leki sprzedawała ponadto obszarpana armia obnośnych handlarzy i markietanek, która materializowała się po każdej bitwie. Lord Cardigan szacował, że bywało ich nieraz trzy razy więcej niż mężczyzn w mundurach. Sprzedawali wszystko, a głównie szczęście w płynie – pradawne makowe pola Anatolii i stosunkowo nowe w Bułgarii były wszak tuż za rogiem. W jednym z dziennych rozkazów marszałek Pélissier polecił, aby ocalałym, ale śmiertelnie rannym francuskim żołnierzom niskich rang podawać *une grande dose de morpheine*. W rosyjskim wojsku w akcie miłosierdzia przebijano ich bagnetem.

Amerykańska wojna secesyjna była katastrofą na inną skalę. Ponad 620 000 osób zginęło w walce – 10 razy więcej niż na Krymie – a 50 000 wróciło do domów jako kaleki z amputowanymi kończynami. Teatr wojenny nie znajdował się przecież na odległym półwyspie, lecz bezpośrednio w ojczyźnie, a rodziny cierpiały tak samo jak walczący na froncie mężczyźni. Była to również pierwsza wojna, w której

morfina stała się stałym elementem na polach bitew. Grządki białego maku pojawiły się w przydomowych ogródkach zarówno po stronie Konfederacji, jak i Unii. Najwięcej produktu początkowo dostarczały stany: Wirginia, Tennessee, Karolina Południowa i Georgia. Uprawiający nie mieli doświadczenia, zatem wydajność była raczej mała, lecz nikt nie próbował na tym zarabiać. A wkrótce stały się dostępne morfinowe tabletki i zastrzyki, najpierw importowane z Anglii, ale z czasem coraz częściej produkowane w małych warsztatach po obu stronach podziału politycznego[8]. Podobnie jak tanie metalowe strzykawki z zamocowaną na stałe igłą, trudne do wyczyszczenia i często tępe, ale kuloodporne. Pod koniec pierwszego roku walk morfinę podawano na masową skalę w obu armiach – najlepiej koiła skołatane nerwy walczących i uśmierzała boleści fizyczne. Chirurg major Nathan Mayer nie trudził się zsiadaniem z konia, kiedy rozdawał płyn: wylewał sobie „wymaganą dawkę” prosto na dłoń i pozwalał rannemu wysiorbać ją stamtąd. Albo, jeśli były dostępne tabletki, rozdawał je garściami. Wyczerpany trudami, ostatnie zatrzymywał dla siebie. W armii Unii wydano ponad 10 milionów pigułek morfiny i dwa miliony uncji opiatów w postaci tynktur i proszków; po stronie Konfederacji przypuszczalnie skonsumowano niewiele mniejsze ilości. Jak to się będzie działo później, po innych konfliktach zbrojnych, zwyczaj zażywania nie skończył się wraz z wojną. Dziesiątki tysięcy weteranów wróciło do domów z przedłużającymi się kłopotami żołądkowo-jelitowymi, na które jedynym lekarstwem była morfina. W 1868 roku Horace Day pisał w książce *The Opium Habit* („Opiumowy nawyk”):

> Okaleczeni i zdruzgotani żołnierze ocalali z setek pól bitewnych, schorowani i niepełnosprawni jeńcy uwolnieni z wrogich więzień, udręczone, pozbawione nadziei żony i matki, które utraciły naj-

bliższych w rzezi – wielu z nich odkrywało, że chwilową ulgę, jedyną ulgę w cierpieniach daje im morfina[9].

* * *

W innych, pomniejszych wojnach opium też czasami okazywało się jedynym zwycięzcą. Agonalne jęki rannych po bitwie pod Solferino w 1859 roku przejęły zgrozą przybyłego z wizytą bankiera z Genewy, Henriego Dunanta. Co go najbardziej przeraziło, to brak morfiny czy opium do ulżenia w cierpieniu tym, dla których niewiele już można było zrobić w celu uratowania życia. Jego zażalenia spotkały się z niezrozumieniem. Kto miałby zapłacić za lekarstwo i kto je zaaplikuje rannym? Rezultatem tych zdarzeń było założenie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża – pierwotna funkcja tej organizacji polegała na dostarczaniu środków przeciwbólowych, zwłaszcza morfiny, na pola bitew.

* * *

W Wielkiej Brytanii, podobnie jak w większości krajów zachodnioeuropejskich, coraz głośniej domagano się wprowadzenia jakiegoś rodzaju regulacji. Najwcześniejsze raporty dyrektorów urzędu stanu cywilnego – funkcję tę ustanowiono w 1837 roku – pokazują, że śmierć niemowląt spowodowana przedawkowaniem była na porządku dziennym. Taki stan rzeczy wywoływał płomienne odezwy i pamflety wydawane przez różne grupy nacisku, jak na przykład Stowarzyszenie Prozdrowotne Dam. Obok takich tytułów, jak *Rzeź niewiniątek* czy *Morderstwa na waszych podwórkach* nie można było przejść obojętnie. W publikacjach tych pobrzmiewa nuta uspokajającego samozadowolenia z klasowej przynależności autorów. Sugerują oni – niemal na pewno niesłusznie – że ratowania wymagają rodziny z klasy pracującej, szczególnie młode, a wykształcone klasy średnie i wyższe potrafią zadbać o siebie same. Po długich debatach

i dwóch nieudanych próbach Parlament w 1868 roku uchwalił Ustawę o truciznach i farmacji. Był to pionierski akt prawodawczy i w swoim czasie nie zadowolił nikogo. Zbyt wielu prawników, lekarzy, wytwórców leków i innych grup zainteresowanych sprawą domagało się uwzględnienia swych żądań. W rezultacie otrzymano konstrukcję legislacyjną kunsztownie zbudowaną na poziomie werbalnym, lecz pełną praktycznych nieścisłości. Nie obejmowała ona na przykład opatentowanych lekarstw zawierających opium, w tym większości „uspokajaczy" dla niemowląt – prawodawca nie zainteresował się nimi przez następne 30 lat. Mimo to być może dzięki nagłośnieniu sprawy umierania niemowląt z przedawkowania liczba takich przypadków zmalała – według raportów dyrektorów urzędu stanu cywilnego – z 20,5 na milion ludności w połowie lat 60. XIX wieku do 6,5 na milion 20 lat później. Skrupulatnie uregulowano przepisywanie i sprzedaż opium oraz jego pochodnych (a także 14 innych substancji określonych jako trucizny), jednakże kary przewidziane za niestosowanie się do tych regulacji były śmiechu warte. W ciągu najbliższych 28 lat w sprawach związanych z Ustawą nie postawiono w stan oskarżenia nikogo. Przez kolejne 20 lat grzywny na ogół ignorowano i nie stosowano się do nakazów oskarżenia.

Odzwierciedlało to nie tyle brak kompetencji, ile panujący zamęt. Nawet zagorzali przeciwnicy prowadzący kampanie antyopiumowe stanęli przed dylematem. Uważali opium za niewyobrażalne zło. Z drugiej strony pomysł, aby prawnie zakazać używania jakiegoś leku odpowiedzialnym dorosłym obywatelom, kłócił się z liberalnymi zasadami. Nawet dla najbardziej bezkompromisowych pamflecistów myśl o tym, że zwyczajne posiadanie leku – jakiegokolwiek – ma być traktowane jak wykroczenie przeciw prawu, zakrawała na szaleństwo. Było jasne, że ktoś będzie musiał podjąć trudne

decyzje, tylko kto? Ostatecznie Ustawa miała trzy ważne osiągnięcia. Wprowadziła charakterystyczny symbol czaszki i skrzyżowanych piszczeli na oznaczenie trucizny. Ponownie otoczyła opium i morfinę nimbem zakazanego owocu. I, co najważniejsze, uczyniła z ludzi branży medycznej legalnych arbitrów w sprawach leków.

To ostatnie było nowym konceptem, a niosło z sobą implikacje, które niemal na pewno umknęły prawodawcom. Po 1868 roku osoba przyłapana na posiadaniu „kontrolowanego" leku, takiego jak morfina, stawała się albo przestępcą, albo pacjentem. Rozróżnienie miało zależeć od medycznego orzeczenia. Innowacja ta była częścią szerszego trendu i w tym być może tkwi przyczyna faktu, że znaczenie tej zmiany nie zostało w porę uchwycone. Lekarze otrzymali wówczas kolejną sądowniczą kompetencję – przyznano im orzecznictwo w sprawach zarzutu o niepoczytalność przestępcy, mieli zatem orzekać, czy podsądny jest tylko winny, czy winny i niepoczytalny na umyśle. W ten sposób profesja lekarska wzbogaciła się o nowy status, dający doktorom władzę w obszarach, na których rozróżnienie między prawdą a opinią zawsze było niepewne. Nie była to jakaś celowa zmowa[10]. Sformowane ostatnio medyczne organizacje – takie jak Brytyjskie Towarzystwo Medyczne, będące w rzeczywistości związkiem zawodowym, i Generalna Rada Medyczna, sama wydająca regulacje – nadawały tej grupie zawodowej wymiar polityczny oraz swego rodzaju moralną wiarygodność, ale miały konkurencję. Podobnie dobrze zapowiadające się Towarzystwo Farmaceutyczne starało się zarówno na opinii publicznej, jak i na władzach zrobić wrażenie, że kontrolą nad lekami powinni się zajmować wyłącznie wykwalifikowani aptekarze. Ze swoimi medycznymi adwersarzami zgadzali się co do tego, że kompetencje te należy odebrać sprzedawcom artykułów spożywczych czy tyto-

niowych, winiarzom i dostawcom pokarmu dla zwierząt, ale twierdzili, że dystrybucja leków ma trafić w ręce nie lekarzy, tylko farmaceutów. Doktorzy – argumentowano – są zbyt zajęci, za mocno skoncentrowani na czym innym, a nade wszystko zbyt zobowiązani wobec swoich pacjentów. Bądź co bądź, to pacjenci ich utrzymują. Jak to ujął jeden z czołowych farmaceutów, ta „delikatna relacja mogłaby nieświadomie dla lekarzy wywierać wpływ na ich wiecznie czymś zaprzątnięte umysły". Argument nie był pozbawiony podstaw, lecz zawiódł. Tych dwóch możliwości nigdy nie dyskutowano w Parlamencie ani nie rozważano zbytnio poza nim. Farmaceuci początkowo odnosili zwycięstwa, jednak w końcu przegrali, ponieważ mieli niższy status społeczny niż lekarze. Władza, jaką Ustawa złożyła w ręce tych ostatnich, była niesprecyzowana, ale ogromna. Obejmowała – lub wkrótce nieuniknioną koleją losu miała objąć – monopol na dostarczanie pacjentom opium i morfiny, prawo karania wszelkich prób ominięcia owego monopolu oraz niepisaną, niemniej niemożliwą do podważenia moc przymuszania jednostek do tego, żeby się poddawały medycznemu leczeniu.

Wynik wprawił w zakłopotanie nielicznych trzeźwo myślących lekarzy, takich jak James Paget (przyszły sir James Paget). „Jesteśmy rzemieślnikami, nie kapłanami, filozofami ani policjantami (…). Nie jesteśmy tu po to, żeby od ręki ferować gotowe moralne wyroki w sprawach niemedycznych". Ale takich jak on uważano za Żydów. Czasy sprzyjały rozwojowi. Medycyna odnosiła niebywałe sukcesy. Skoro skutecznie rozprawiła się z nieuleczalnymi do niedawna chorobami, takimi jak dyfteryt i wścieklizna, wydawało się, że tylko mały krok dzieli ją od obwieszczenia, że uzależnienie to problem medyczny, z którym nie poradzi sobie nikt inny, jak tylko w pełni wykwalifikowany lekarz. Pięćdziesiąt

lat wcześniej taką bzdurę wykpiliby sami lekarze. Ich powołanie polegało wszak na leczeniu chorych, a nie na roztrząsaniu prawnych zawiłości, nie byli też strażnikami sumienia narodu. Teraz ich nowa rola została przyjęta jako coś oczywistego. I miała przypadkowe, ale dalekosiężne konsekwencje. W Wielkiej Brytanii przynajmniej uzależnienie od opium i morfiny miało być odtąd kategoryzowane nie jako nawyk, odchylenie od normy, grzech czy nawet przestępstwo, lecz jako choroba.

To też było czymś nowym. Alkoholizm, z wyjątkiem kilku jego rzadkich form, nie doczekał się wskazań do interwencji medycznej. Z nałogowym pijakiem radziła sobie rodzina, być może przyjaciele, kapłani, adwokaci, a w wojsku dowódcy. Doktorzy rzadko. Palenie papierosów też nie dorobiło się statusu choroby. Rzecz jasna, lekarze mieli wiele do powiedzenia w obu kwestiach – niektórzy mówili nawet z sensem – ale odpowiedzialność za dotknięte nałogiem osoby pozostawiano w gestii polityków, kapłanów, nauczycieli i społecznikowsko nastawionych obywateli. Uzależnienie od morfiny, przeciwnie, stało się – i co bardziej zaskakujące, jest nadal – sprawą medycyny. Bardziej przez przypadek niż z celowego zamysłu taki stan rzeczy umocniło kilka wydarzeń.

W 1857 roku francuski psychiatra Bénédict Augustin Morel ogłosił, że *la morphéine* to nadrzędne niebezpieczeństwo zagrażające rodzajowi ludzkiemu. W swoim długim, swego czasu poczytnym, ale obecnie niestrawnym dla czytelnika dziele *Traité des Dégénérescences* („Traktat o zwyrodnieniach”), przetłumaczonym na angielski w ciągu roku od francuskiej premiery, Morel utrzymywał, że gatunki w swoim rozwoju nie tylko nie posuwają się naprzód ku ostatecznej doskonałości, lecz w dużej mierze coraz bardziej degenerują, staczając się ku dysfunkcji. Nawet zwykli

obywatele, na pozór żyjący z dala od świata narkotyków, mogą się stać ofiarami i zapewne nimi zostaną. Ponadto nieuchronnie – twierdził już w pierwszych akapitach swojego traktatu – w ciągu życia kilku pokoleń doprowadzi to do ich wymarcia[11]. Dziś taka ponura prorocza preambuła mogłaby być wstępem do rozważania o zanieczyszczeniu środowiska, inżynierii genetycznej, terroryzmie, zmianach klimatycznych czy innych czynnikach wróżących zagładę. W postromantycznej Europie zagrożenie stanowił „paraliż poczucia moralności". Czy raczej był bezpośrednim zagrożeniem. Paraliż bowiem nie na długo pozostanie jedynie moralny. W ślad za nim podąży najpierw powolna, lecz ostatecznie gwałtowna degradacja fizyczna. A główny powód był oczywisty. Nie tylko chodziło o ogłupiające działanie opium i jego jeszcze bardziej śmiercionośnej pochodnej, morfiny. Zdaniem Morela krytycznym czynnikiem jest ich transpokoleniowy efekt. Ponieważ narkotyk działa destrukcyjnie nie tylko na uzależnionych – jego wpływ zostaje przekazany potomstwu, rzutując na kolejne generacje.

Doktor Morel nie wykazywał osłabiającej autorytet skromności. Twierdził, że owa zdradliwa plaga opatrznościowo ukazała się jego wyjątkowo spostrzegawczym oczom, choć raczej nie oczom zwyczajnych lekarzy, a już na pewno nie objawiła się laikom. To prawda, że wciąż nie ma na to twardych dowodów, a powód tego jest jasny. Nikt ich nie szukał. Ale katastrofa wkrótce będzie już oczywista. A wtedy może być za późno. Książka wzbudzała w czytających dreszcz zrozumienia. Wielu zaczęło rozmyślać o nierozpoznanych dotąd przykładach nieszczęsnego dziedzictwa w kręgu własnych znajomych. („Zawsze myślałam, że ciotka Sybilla – albo wuj Philibert – jest co najmniej dziwna/-y"). Co wydawało się bardziej ekscytujące, z czasem doktryna Morela niejako splatała się z rewolucyjnymi nowymi ideami darwi-

nizmu. Wybitni naukowcy sugerowali, że Francuz odkrył uboczny, niepożądany skutek ewolucji – zagładę najbardziej nieprzystosowanych. Tylko lekarze mogli ją powstrzymać, zanim będzie za późno.

Ostrzeżenie miało tym większy ciężar, że pochodziło z Francji, wylęgarni sprzecznych z naturą występków (a także ojczyzny strzykawki). Żadne działania legislacyjne nie ograniczały tam zażywania narkotyków czy picia aż do 1889 roku, a kiedy w końcu uchwalono stosowną ustawę, na papierze bardziej rygorystyczną niż regulacje brytyjskie, przestrzeganie jej – podobnie jak stosowanie się do surowego zakazu plucia w miejscach publicznych, kolejny francuski wynalazek – okazało się szokująco opieszałe. Z wyjątkiem gruntu literatury. Opium było co prawda nielegalne, ale otwarcie je konsumowano w każdej kawiarni i barze, a mimo to zbiór niezrozumiałych wierszy Charles'a Baudelaire'a, zatytułowany *Kwiaty zła* (1857), został natychmiast zakazany[12].

Jednak mimo formalnych i na ogół nieskutecznych zakazów fin de siècle kwitł we Francji, rozwijając się w jeden z literackich złotych wieków opartych na narkotyku. W istnej lawinie powieści, opowiadań, biografii, autobiografii i wierszy znalazło się kilka prawdziwych literackich klejnotów. Guy de Maupassant eksperymentował z morfiną (oraz innymi narkotykami) w swoim zmaganiu z syfilisem i postępującym obłędem, a jego uderzająco piękna opowieść *Sur l'eau* zalicza się właśnie do perełek[13]. Inne, jak *L'Evangeliste* Alphonse'a Daudeta i *La Comtesse Morphine* Maurice'a Taine'a, mają wartość literacką[14]. Satyra autorstwa Meg Villars i Willy'ego[15], *Les imprudences de Peggy*, rzuca cień złej sławy na Colette i jej uzależnioną od morfiny kochankę, Missy[16]. Jean Lorrain, tragiczny i niezupełnie niegodny uczeń Baudelaire'a, stylizował się na *l'ambassa-*

deur de Sodom à tout Paris. Była to smutna próżność umierającego suchotnika. „Mam wyrozumiałą duszę – pisał w mniej górnolotnym nastroju – człowieka, który musi wkrótce umrzeć. Trzeba skończyć z tymi desperackimi zastrzykami morfiny”[17]. Liczył 39 lat, gdy perforacja jelita położyła kres jego cierpieniom. Edouard Dubus, współzałożyciel gazety „Mercure de France”, prowadził rozwiązłe życie i zmarł z przedawkowania w *chalet de nécessité*[18] na placu Maubert z kilkoma „pravazami” w kieszeni. Miał 31 lat[19]. Jego przyjaciel Victorien du Saussay w powieści *La Morpheine*, surowo naturalistycznej nawet jak na epokę Zoli, zmieszał w niemal równych proporcjach uzależnienie, nieudane kuracje, kazirodztwo, cudzołóstwo i sadyzm. Ciężko się to czyta, ale jeszcze trudniej jest oderwać się od lektury[20].

Również findesieclowa scena teatralna po obu stronach Kanału była przesiąknięta narkotykami[21]. Sarah Bernhardt, boska Sarah, nie ukrywała, że zażywa opium z powodu rozlicznych boleści, ale w rzeczywistości tłumiła nim tremę. Czasami z powodu narkotyku zapominała swych aktorskich kwestii. W Londynie zasłynęła tym, że zgubiła 250 wersów z sensacyjnej *Cudzoziemki* Alexandre’a Dumasa syna, skracając sztukę o 20 minut i pozbawiając ją istotnego wątku. Autor szarmancko zapewnił ją, że jego dzieło znacznie na tym zyskało. Przypuszczalnie miał rację. Lecz wiele lat później Sarah napisała w swej autobiografii:

> Opium, które przyjmowałam, sprawiało, że wychodziłam na scenę w stanie półprzytomności, zachwycona otrzymywanym aplauzem, choć niezupełnie pewna, czego ten aplauz dotyczy (…). Moje stopy sunęły po dywanie bez wysiłku, własny głos brzmiał dla mnie, jakby dobiegał z wielkiej odległości (…). Byłam w tym cudownym odurzeniu, jakiego doświadcza się po morfinie, ale potem czułam się źle, mimo że dostawałam brawa i wywoływano mnie na scenę zza kurtyny[22].

Jej sławny partner sceniczny, Lucien Guitry, „pierwszy i bodaj na zawsze już największy Cyrano” (według słów krytyka Jeana Gauthiera), też zażywał opium przed występami, choć przypuszczalnie nie był uzależniony.

Co być może dziwne, geniusze, którzy rozsławili tę piękną epokę poza strefą francuskojęzyczną – Manet, Monet, Pissarro, Renoir, Sisley, Berthe Morisot, Rodin, Toulouse-Lautrec, Cézanne oraz inni malarze i rzeźbiarze – pozostali nietknięci narkotykową falą; nawet Gauguin, społeczny buntownik żyjący na odległym Tahiti, miał narkotyki w pogardzie. A Degas narzekał, że *morphinomanie* „rujnuje najlepsze kawiarnie”. Czy to zapach terpentyny trzymał czarodziejkę morfinę z daleka od artystów? A może zdrowy rozsądek, którego mistrzowie pędzla i dłuta podobno zawsze mieli więcej niż ludzie pióra, aktorzy i muzycy? Cokolwiek było przyczyną, tradycja ta przetrwa w XX wieku.

* * *

W Niemczech i Europie Środkowej regulacje na ogół wprowadzano cząstkowo i zazwyczaj spotykały się ze znacznym oporem. Szczególne rozgoryczenie wzbudziła bitwa rozegrana w Berlinie. Profesor Rudolf Virchow, „papież” medycyny, ponadto przywódca parlamentarnej opozycji, a w sprawach zdrowia prawdziwa wyrocznia, miał świadomość rabunkowego działania narkotyków i żarliwie argumentował za ich medyczną kontrolą. Ku zaskoczeniu większości posłów kanclerz książę Otto von Bismarck nie chciał o tym słyszeć. To, co ludzie łykają czy sobie wstrzykują, to ich sprawa. Płaszcz obrońcy wolności jednostki dziwnie nie pasował do tego twardego przywódcy. Niewielu uświadamiało sobie, że Żelazny Kanclerz nigdy nie wszedł do Parlamentu, nie wzmocniwszy się uprzednio zastrzykiem morfiny.

* * *

Kolejną okolicznością, która przemawiała za medykalizacją, było dawkowanie. W przeciwieństwie do większości leków (również tych powodujących uzależnienie) widełki, w jakich zamyka się ilość skuteczna, a przy tym stosunkowo bezpieczna, w przypadku morfiny są niebezpiecznie wąskie. Osoby narkotyzujące się konopiami, a później kokainą mogły zażywać wielokrotnie większą dawkę niż zwykle i często faktycznie to robiły bez szczególnej szkody dla organizmu. Jednak dawka morfiny dwa albo trzy razy większa od zazwyczaj przyjmowanej mogła zabić, głównie z powodu zatrzymania czynności oddechowych. To uczyniło z morfiny ulubione narzędzie samobójcze wśród kobiet i drugie pod tym względem (po rewolwerze) u mężczyzn. Morfina stała się też przyjaciółką morderców. Jeśli się posłużyli trutką na szczury, strychniną albo tasakiem, zostawiali po sobie wyraźny ślad. Z morfiną – zazwyczaj wręcz przeciwnie. Zazwyczaj, ale nie zawsze. We Francji doktor Edme-Samuel Castaing stanął przed sądem pod zarzutem otrucia morfiną swojego kuzyna Claude'a-Auguste'a Balleta w celu odziedziczenia rodzinnego majątku. W toku procesu wyszło na jaw, że matka, ojciec, wujowie i brat domniemanej ofiary lekarza zmarli w podobnie podejrzanych okolicznościach[23]. Absolutnej pewności jednak nie uzyskano: do lat 30. XX wieku nie istniały badania krwi ani moczu pozwalające wykryć obecność opium, morfiny czy heroiny[24].

* * *

Choć w okresie powszechnego zachwytu nowo odkrytą morfiną i metodą podskórnego jej podawania lekarze zazwyczaj uczyli swoich pacjentów, głównie ze średnich i wyższych klas, jak mają samodzielnie dawać sobie zastrzyki – nie żeby było potrzebne specjalne szkolenie – już w latach 70.

XIX wieku zaczęli sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie taka „samoobsługa". Nie tylko sprzyjała przedawkowaniu, lecz także – w świetle przełomowych odkryć nowej nauki, mikrobiologii – pojawiła się świadomość możliwości przeniesienia tą drogą niewidzialnych zarazków. To ostatnie postrzegano jako zagrożenie zwłaszcza dla klas pracujących, których pojęcie o higienie osoby z wyższych warstw społecznych uważały za pożałowania godne. Pisarka prowadząca kampanie w słusznych sprawach, pani Humphry Ward, z domu Arnold, zastrzegała: „Moja strzykawka i igła, podobnie jak moja szczoteczka do zębów i modlitewnik, są nietykalne. Ani mi w głowie, by ich pozwolić użyć choćby najlepszej przyjaciółce"[25]. W rzeczywistości morfina nigdy nie zeszła pod strzechy górników i robotników fabrycznych taką falą jak 50 lat wcześniej laudanum. Nie chodziło o strach przed mikrobami. Wypicie mieniącego się płynu czy przełknięcie grudki galaretki przychodziło naturalnie. Zadrapywanie sobie skóry, jak do szczepienia, wydawało się co najwyżej ekscentryczne. Strzykawki i igły to co innego. I była w tym oczywiście racja.

Nawet wśród średnich i wyższych klas lekarze wkrótce zaczęli uważać, że zastrzyki powinny wrócić pod skrzydła medycyny albo przynajmniej trafić pod nadzór medyczny. Autorytarnie wyrażała się na ten temat zwłaszcza jedna gałąź medycyny. Na kontynencie pod koniec XIX wieku nowa specjalizacja *Nervenarzt*[26] stała się jedną z najbardziej lukratywnych (co się wiązało z dużą konkurencją) dziedzin prywatnej praktyki medycznej[27]. Wielka Brytania szybko szła tu w ślady innych krajów, choć w języku angielskim nie wynaleziono słowa będącego dokładnym odpowiednikiem niemieckiego terminu; *neurologist*, czyli neurolog, to specjalista zajmujący się fizycznymi nerwami, a nie chorobami psychicznymi[28]. W 1877 roku berliński lekarz Edward Levin-

stein, mający spore doświadczenie w nowej specjalizacji i od 20 lat prowadzący klinikę dla uzależnionych, wydał skromne dziełko pod tytułem *Die Morphiumsucht*. Zapoczątkowało ono wysyp publikacji w kilkunastu językach. Sam tytuł, na angielski przełożony jako *Morbid Craving for Morphia* („Chorobliwe łaknienie morfii"), przyczynił się do powstania kilkunastu nowych opisowych kategorii. Morfinistami nazywano odtąd ludzi, którzy nawyk zażywania rozwinęli u siebie wskutek leczenia medycznego i nie byli w stanie sami się go pozbyć. „Morfinomaniakami" – przyjmujących specyfik dla przyjemności i niechętnych do zaprzestania. „Narkomaniakami" określano szalone z natury indywidua, których zaburzenia psychiczne skupiały się na narkotykach. Od czasu do czasu zdarzał się wysyp innych mniej lub bardziej odpowiednich pojęć. Trend osiągnie apogeum w dosadnym amerykańskim określeniu *dope fiend*[29] – ćpun[30].

Jeszcze bardziej imponujące, choć dla laika również dezorientujące było twierdzenie niektórych *Nervenärzte*, że potrafią rozpoznać wrodzoną, organiczną predyspozycję do uzależnienia u osobników jeszcze nieuzależnonych. Wśród tych, którzy z największym prawdopodobieństwem byli skażeni utajonym obłędem, znaleźli się „pracownicy umysłowi", homoseksualiści, alkoholicy, „kryminalne typy" doktora Lombroso oraz osoby dziedziczące upośledzenia umysłowe. Pojemnym określeniem we wstępnej diagnozie, mającym wymiar zarówno etyczny, jak i medyczny, stała się „moralna niepoczytalność". Jednak niedługo miała pozostawać po prostu moralna. Wkrótce w ślad za nią szło oddawanie w zastaw rodzinnych sreber w celu zaspokojenia straszliwego głodu narkotycznego.

* * *

Połowa stulecia przyniosła jeszcze jedną zmianę. Wcześniej nawet w oczach tych, którzy potępiali wszelkie leki odurzające, laudanum nigdy nie traciło odrobiny tajemniczego uroku. Taki nimb nigdy jednak nie otaczał zastrzyku morfiny. Może chodziło o chłodny dotyk techniki, o to, że strzykawka i igła nie miały w sobie nic romantycznego. A może nastąpiło przesunięcie w społecznym nastawieniu. Książę regent i jego gromadka kolesiów nie byli już w modzie. Prawdziwy wiktoriański dżentelmen zachowywał się godnie, poważnie, statecznie. Wśród wysoko cenionych cnót kobiety królowała skromność. Zmiana przyniosła z sobą nagłe rozdzielenie stref prywatnej i publicznej. Co człowiek robił w prywatnym życiu – to jedno. Co robił, a także co mówił publicznie – to drugie. Uświęconym zwyczajem dżentelmen dogadzał sobie, paląc po obiedzie cygaro. Dama mogła sobie pozwolić na odrobinę „nieprzyzwoitości” w postaci łyku likieru. Zastrzyki morfiny zaś zaliczały się do tych rzeczy, o których nie wypada wspominać. Nawet wśród młodych lekkoduchów narkotykowa niewola wyszła z mody[31]. Nie oznacza to, że uzależnienie zanikało czy słabło. Wręcz przeciwnie. Nawyk czy nałóg podskórnego przyjmowania morfiny rozprzestrzeniał się, lecz towarzyszył mu rumieniec wstydu.

Wilkie Collins, uzależniony pisarz z drugiej połowy XIX wieku, miał dziewięć lat, kiedy usłyszał, jak jego matka rozmawia z Coleridge’em. Poeta ze łzami uskarżał się na swoją walkę z opium. Pani Collins, rozsądna kobieta, która większość swojego zamężnego życia spędziła wśród nieuleczalnych bohemistów, pocieszyła go: „Panie Coleridge, niech pan nie rozpacza. Jeżeli opium robi panu dobrze i musi je pan zażywać, czemu po prostu pan nie pójdzie i go nie weźmie?”. Ta wymiana zdań wywarła na chłopcu głębokie wrażenie. Kilka lat później młodzieniec widział, jak jego ojciec

William Collins, członek Akademii Królewskiej, w swej ostatniej, bolesnej chorobie znajduje pokrzepienie w kroplach Battleya, będących formą laudanum. Nic więc dziwnego, że Wilkie sam sięgnął po lek, kiedy zaczęły go boleć kończyny i oczy, przypuszczalnie z powodu gorączki reumatycznej. Poszukiwanie chwilowej ulgi przerodziło się w zniewolenie na całe życie – najpierw uzależnienie od opium, potem od morfiny. Nie będąc w stanie pewną ręką trzymać pióra, dyktował *Kamień Księżycowy* sekretarce. Większość jej poprzedniczek czmychnęła, nie mogąc znieść pisarza to jęczącego w narkotycznym głodzie, to płaczącego w trakcie prób oparcia się potrzebie. Fakt, że myśl o narkotyku nigdy nie opuszczała jego umysłu, był zrozumiały: akcja powieści, skomplikowana, ale ekscytująca i dobrze skonstruowana, obraca się wokół bohatera, który w narkotycznym transie wykrada wspaniały diament, tytułowy Kamień Księżycowy. Jednak w przeciwieństwie do Coleridge'a, de Quinceya i innych literackich person wcześniejszego pokolenia, Collins nie czerpał ze swego uzależnienia bohaterskiej aury. Jego książki odnosiły sukcesy, on sam przyjaźnił się z Dickensem i nigdy nie żył w nędzy, ale będąc niskim, korpulentnym, krzaczastobrodym mężczyzną, nie mógł się stylizować na bajroniczną postać. I nie miał co do tego złudzeń. Pochwalił się zaprzyjaźnionemu powieściopisarzowi, Hallowi Caine'owi, że morfina to wspaniały stymulator wyobraźni. Lecz kiedy Caine zapytał go, czy poleciłby ją przyjacielowi, Collins odpowiedział przecząco: „Nie! Przyjacielowi – nigdy! Nigdy! Nigdy! To okropna zmora! Nie wierz nikomu, kto powie ci co innego”[32]. Choć medykalizacja uczyniła z uzależnienia chorobę, jej status był wciąż nietypowy. Lekarze mogli oczywiście doradzać, ale to od pacjentów zależało, czy się wyleczą, czy polegną w oparach nałogu. Potrzebo-

wali więc moralnego kręgosłupa – części ciała, którą wiktoriańscy profesjonaliści medyczni cenili ponad wszystko.

* * *

Jeszcze przed rokiem 1870 niektórzy czołowi lekarze zaczęli wyrażać zaniepokojenie. Nawyk wstrzykiwania sobie morfiny okazywał się bardziej brzemienny w skutki niż popijanie „starego dobrego laudi", a odstawienie nastręczało większych problemów. Zbyt wielu młodych ludzi z dobrych rodzin popadało w nałóg. Zbyt wielu lekarzy zaczynało uważać strzykawkę i pudełko z fiolkami za swoje niezbędne wyposażenie zawodowe, na równi ze stetoskopem i termometrem. W Niemczech Hans von Niemeyer zanotował w 1877 roku, że lekarze typowo wyruszają na codzienny obchód ze strzykawką i pełną butelką morfiny w kieszeni surduta, a wracają z butelką opróżnioną[33]. Potępiał tę praktykę jako niehipokratejską, bo też faktycznie taka była. W Wielkiej Brytanii tego rodzaju ostrzegawcze uwagi wciąż zdarzały się rzadko. Młody, dobrze zapowiadający się lekarz z Yorkshire, T. Clifford Albutt, przeniósłszy się do Londynu, z niepokojem i rozdrażnieniem obserwował coś, co postrzegał jako „epidemię" wśród londyńskich lekarzy. Doradzono mu, aby dał sobie spokój, ale to nie leżało w jego naturze.

> Stopniowo nabierałem przekonania, że zastrzyki z morfiny, choć wolne od zwyczajnych przypadłości opiumizmu, mogą mimo wszystko stwarzać jeszcze gorszą sztuczną potrzebę i zyskać akceptację jako środek kojący niepokoje i przygnębienie, których sam jest powodem (…). Jeśli tak jest w istocie, ściągamy na siebie poważne ryzyko, zalecając ludziom, aby [ją] sobie wstrzykiwali, ilekroć poczują potrzebę, i mówiąc im, że wstrzyknięta nie może wywołać żadnych szkodliwych skutków, o ile robi się to z lekarskim błogosławieństwem, a niesie chwilowe ukojenie i dobre samopoczucie[34].

Wybitni koledzy po fachu ostro skrytykowali Albutta za „osłabianie w pacjentach wiary pokładanej w lekarzy” – nieomylny wskaźnik tego, że coś jest nie w porządku. Niejako w sukurs Albuttowi zaczęły przychodzić oparte na faktach raporty opisujące przypadki dramatycznych zapaści u uzależnionych osób, wprowadzonych w błąd przez lekarzy i cierpiących udręki spowodowane próbami zerwania z nałogiem.

Uzależnienie mogło być też wyniszczające moralnie. Po raz pierwszy morfinizm prowadzący do życia w zbrodni zaczął się pojawiać nawet w szanowanych gazetach. Niewielu w tamtych czasach miało wątpliwości co do tego, że Kuba Rozpruwacz, seryjny morderca prostytutek z East Endu, jest kimś wysoko urodzonym, być może nawet z królewskiego rodu, i uzależnionym. Ponadto wyższych rangą nauczycieli z królewskich uczelni medycznych zaczynał niepokoić pewien mało nagłośniony, w rzeczywistości wręcz celowo zatajany trend.

Wyglądało na to, że lekarze są tak samo dotknięci plagą jak ich coraz częstsze ofiary. W 1885 roku amerykański lekarz J.B. Mattison zrobił szokujące zestawienie, ujawniając, że większość osób uzależnionych od morfiny w Stanach Zjednoczonych to lekarze; wysunął też przypuszczenie, że w Nowym Jorku nałóg ten dotyczy około jednej trzeciej licencjonowanych lekarzy[35]. W Wielkiej Brytanii poważane sondaże – zwłaszcza jeden, przeprowadzony przez eksperta od opium i apostoła „bezbolesnego wyrzeczenia się poprzez wiarę”, O. Jenningsa – kończyły się konkluzją, że lwią część uzależnionych osób stanowią lekarze, pielęgniarki i ich rodziny[36]. Życie tej grupy zawodowej zawsze było pełne stresu, dostęp do narkotyków łatwy, a w chwilach kryzysu pokusa sięgnięcia po „chemiczną ulgę” trudna do odparcia. Jennings o tym wiedział: sam był uzależniony. Problem na-

gle okazał się bardziej rozpowszechniony, niż ktokolwiek przypuszczał. Berliński psychofarmakolog doktor Louis Lewin w swoim sondażu oszacował, że w Niemczech 40% uzależnionych stanowią lekarze, a kolejne 20% – ich żony[37]. Lewin był uczciwym lekarzem, nie szukał sławy, ale jego odkrycia trafiły na pierwsze strony gazet.

Nagłośnienie w prasie nie rozwiązywało jednak problemów. Nie było widoków na proste powstrzymanie epidemii w kręgach medycznych. Wypieranie się działało na krótką metę, ale na dłuższą stawało się nieskuteczne. Od czasu do czasu jakiś skandal sprawiał, że domagano się „drastycznych akcji". O ile tego rodzaju żądania cokolwiek znaczyły czy znaczą, o tyle prowadzą do zaostrzonej kontroli. Głośnym echem odbiło się samobójstwo profesora Eberharda Sachera z Wiednia, autorytetu w dziedzinie chorób kobiecych. Sacher sam nie był uzależniony, ale oskarżał się o wpędzenie w nałóg własnej nastoletniej córki, która po niewłaściwie wykonanej aborcji cierpiała na bóle brzuszne. W 1891 roku zabił ją przypadkowo, a potem siebie – celowo. A może obie śmierci były dziełem przypadku lub też były to dwa samobójstwa. Adolphus von Stolz, biskup Grazu, zasugerował, że wszelkie wydawane przez lekarzy recepty na morfinę powinien dodatkowo podpisywać wyznaczony do tego ksiądz: w tym celu można by nawet założyć specjalną kongregację. Na szczęście w imperium Habsburgów niczego nie czyniono w pośpiechu i jakkolwiek na wpół upieczone pomysły mają zazwyczaj większą szansę na szybkie wprowadzenie w życie niż te dojrzałe, ta propozycja spaliła na panewce.

* * *

Jeżeli jakiś handel zyskuje zainteresowanie przestępczego świata, jest to zawsze znakiem jego dochodowości. Pod ko-

niec XIX wieku kiełkująca legislacja antynarkotykowa powoli sprawiała, że potajemny biznes opiumowy zaczynał się opłacać. Rozwijały się nowe porty przerzutowe. Słoneczna Nicea od dawna była przystankiem ostatniej nadziei dla gruźlików. Teraz, skoro Marsylia znajdowała się dogodnie blisko, Nicea stała się ośrodkiem dystrybucji morfiny. „To nie jest już Lazurowe Wybrzeże – żartował młody, umierający na gruźlicę Aubrey Beardsley – tylko Opiumowe Wybrzeże". Nałóg nie ograniczał się teraz do jednego regionu czy klasy społecznej. Tajemnicza, ekscytująca otoczka sprawiała, że posądzano o niego szczególnie wysoko urodzonych. Cesarz Franciszek Józef zakazał swoim medykom przepisywania czegokolwiek silniejszego niż *Bouillon mit Knoedel*. Jednak kiedy jego jedyny syn popełnił samobójstwo, opanowanie władcy przypisywano „uspokajającym zastrzykom" podawanym przez znachora. A czy podwójna tragedia z pałacu Mayerling sama nie cuchnęła narkotykiem? Nieszczęśliwa żona arcyksięcia Rudolfa, arcyksiężna Stefania, od dawna podejrzewała małżonka o branie opium. W Petersburgu szeptano, że uspakajający wpływ, jaki mnich Rasputin miał na carycę, polegał właśnie na podawaniu opium, dla niepoznaki nazywanego świętą wodą. Większość z tych plotek była zwykłymi pomówieniami, ale bełkotliwe narzekanie królewskich lekarzy na szarlatanów z ich tajemnymi medykamentami podtrzymywało te pogłoski.

Protesty lekarzy zazwyczaj puszczano mimo uszu, po części z powodu upadku moralnego autorytetu tej grupy zawodowej. Finansowo i społecznie nigdy nie cieszyła się ona wyższym statusem, ale im wyższy status, tym bardziej staroświeckie cnoty – takie jak współczucie – zdawały się zanikać. Albo przynajmniej tak to odczuwało wielu zwykłych ludzi. Kąśliwy pan George Bernard Shaw w oczach lekarzy uchodził za klauna, jednak klauni najczęściej mówią praw-

dę, a jego krytyka elity z Harley Street[38] jako „licencjonowanych zabójców” trafiła w dziesiątkę[39]. Rzecz jasna, była to jedynie na nowo wygłoszona stara przypowieść o wielbłądzie i uchu igielnym, ale do krytyki przyczyniła się hipokryzja związana z rozprzestrzenieniem uzależnienia w kręgach medycznych oraz nawoływanie do zwalczania zła, jakim są narkotyki. Wiele z owych niepokojących kwestii z większą siłą wypłynie na powierzchnię nie w Wielkiej Brytanii, lecz w Stanach Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ 20

Głosy z Ameryki

Po wieku naiwności, jakim w Stanach Zjednoczonych były pierwsze dekady XIX stulecia, w kraju tym powstał najbardziej rozwojowy rynek samego opium i opiatów. Nawet w latach poprzedzających wojnę secesyjną mieszkańcy Nowej Anglii importowali takie ilości narkotyków – w 1840 roku około 16 000 kilogramów – że musiało to zwrócić uwagę amerykańskiego Urzędu Celnego. Nałożył on cło na te towary, co spowodowało wzrost ceny z niespełna dolara do 2,8 dolara za kilogram i trend ten miał się utrzymać w przyszłości. Mimo takich niepopularnych regulacji import nie malał i w 1850 roku wynosił już 44 000 kilogramów. Oprócz staroświeckiego laudanum, nadal preferowanego przez tradycjonalistów, na rynku zaczęły się pojawiać morfinowe tabletki, maści, tynktury, lewatywy i inne ciekawostki. Zanim w 1861 roku padły pierwsze strzały w Fort Sumter,

roczny import zdążył wzrosnąć do 60 000 kilogramów, a w 1870 roku, co mogło być spuścizną wojny, osiągnął poziom 250 000 kilogramów. Tak przedstawiały się oficjalne dane. Nieznane dodatkowe ilości szmuglowali do kraju przedsiębiorczy kapitanowie szkunerów z Zachodniego Wybrzeża, a tuż po zakończeniu działań wojennych amerykańscy farmerzy sami uprawiali mak. Nigdy nie tknęli go rdzenni mieszkańcy Ameryki, ale wracający do domów weterani roznieśli nałóg po wszystkich zakątkach kraju.

A była przecież jeszcze jedna wspaniała nowinka: podobnie jak w Europie, strzykawki i igły stawały się coraz tańsze i lepsze. Profesor H.H. Kane z Harwardu rozwodził się w lirycznym tonie:

> Szklany cylinder i obudowany metalem instrument jest doskonały: mocny, widać płyn wewnątrz cylindra, można wykryć bańki powietrza i łatwo usunąć większość brudu (...). Panowie Codman & Shurtleff z Bostonu wytwarzają najdoskonalsze instrumenty, tak zahartowane i połączone, jak z całą pewnością należy[1].

Chociaż zastrzyki z założenia były podskórne i jako takie je opisywano, coraz częściej trafiano w naczynia krwionośne. Jeden z mimowolnych pionierów, doktor George Jones z Cincinnati, opisał początkowo alarmujące, a ostatecznie satysfakcjonujące doświadczenie z leczeniem pacjentki mającej przemarznięte ramię:

> Pacjentka wyrzuciła ramiona w górę, skarżąc się na duszności, zawroty głowy, słabość, silne mrowienie rozchodzące się po ciele wraz z krwią. Twarz jej najpierw pobladła, potem spłonęła rumieńcem, oczy stały się nienaturalnie błyszczące, mięśnie drgały, pojawiło się obfite pocenie i zziębły kończyny. Po kilku minutach kobieta zapadła w głęboki sen, który trwał kilka godzin. Kiedy się obudziła, czuła się „znacznie lepiej”[2].

Ten wypadek zdecydowanie warto było rozważyć jako celową terapię: technika dożylna wymagała pewnej zręczności,

ale wytrwałe ćwiczenie mogło ją doprowadzić do mistrzostwa.

* * *

Zaczęły się też jednak ujawniać niebezpieczeństwa i niepożądane skutki. Zaledwie 20 lat po optymistycznych oświadczeniach wielebnego Coltona[3] William Rosser Cobbe, wydawca gazety i morfinista, pisał: „Z powodu wiążących się z nią insynuacji i ponieważ w swoim postępie nie robi hałasu, ludzie zazwyczaj milczą o tym, jakie wewnętrznie czyni spustoszenie. Niestety! Jej złowieszcza moc polega właśnie na milczeniu. Milczące siły natury są najpotężniejsze”[4].

Cobbe uderzał na alarm jako jeden z wielu. Po pełnych wzburzenia ostrzeżeniach z połowy stulecia ostra krytyka i informacje o katastrofalnych skutkach zaczęły napływać zarówno od ofiar, jak i od działaczy społecznych. Byli wśród nich lekarze, kaznodzieje, politycy i literaci, od osób świątobliwych po psychopatyczne. Fitz Hugh Ludlow, w swoich czasach opisywany nawet jako „amerykański de Quincey”, a bliżej naszej epoki jako „pionier przestrzeni wewnętrznej”, zajmuje miejsce raczej w szeregach tych świątobliwych.

* * *

Fitz Hugh przyszedł na świat w 1836 roku w Nowym Jorku jako syn pastora abolicjonisty w czasach, kiedy abolicjonizm sług bożych był daleki od popularności nawet na Północy. Zaledwie miesiąc przed narodzinami syna rodzinę pastora wywlókł z domu rozwścieczony tłum antyabolicjonistów; gdy Ludlowowie wrócili, zastali mieszkanie splądrowane. Fitz Hugh zawsze będzie cenił swoje moralne dziedzictwo, nawet jeżeli sam nie zdoła osiągnąć tak wysokich standardów. Zainspirowały one jego pierwszą opublikowaną

pracę, wiersz zatytułowany *Truth on His Travels* („Prawda w swej podróży”). Tytułowa Prawda w utworze na próżno przemierza Ziemię w poszukiwaniu grupy ludzi, którzy ją uszanują. To smutna i nieszczególnie oryginalna idea, lecz przesycona szlachetnymi uczuciami. W swej pierwszej książce autor wkrótce przedstawi się jako oczytany, chorowity młodzieniec, „rozmyślający i czytający na sofie, podczas gdy powinienem grać w krykieta, polować lub jeździć konno. (…) Moje pragnienie przygody szybko gasło, kiedy wraz z von Humboldem mogłem się wspiąć na Chimboraco lub ścigać z Cummingiem bawolce, spokojnie zajadając muffiny”[5].

Studiując filozofię, najpierw w College of New Jersey (obecnie Uniwersytet Princeton), a potem w Union College w Schenectady, dobrze sobie radził; między innymi pisywał podniosłe pieśni, do dziś śpiewane podczas rozdania dyplomów oraz przy innych uroczystych okazjach. Interesował się też farmakologią, działając jako anestezjolog przy operacjach, które musiały być najwcześniejszymi, jakie przeprowadzono w znieczuleniu ogólnym. Jednak to samo zainteresowanie popychało go do przetrząsania apteki przyjaciela w poszukiwaniu, jak sam to ujął: „upajających i inspirujących substancji, które ożywiłyby i pobudziły moją wyobraźnię”. Rezultatem tego eksperymentowania stała się książka *The Hasheesh Eater* („Haszyszysta”), którą opublikował, mając 23 lata, i na której w znacznej mierze opierała się jego sława. Tekst, najwyraźniej napisany z polecenia lekarza i mający pomóc autorowi przebrnąć przez okres odstawienia, jest ciekawą spowiedzią, przemieszaniem obserwacji i refleksji – fascynującym, ale rzadko w pełni wiarygodnym.

> Przez szczeliny swojego ziemskiego więzienia dostrzegłem przebłyski niezmierzonego nieba, które pewnego dnia utworzy nade

> mną łuk z niepojętą urokliwością widoku i zabrzmi w mych uszach niewysłowioną muzyką (…)[6].

Przywoływane przez niego fantastyczne doświadczenia dziwnie się różnią od tych zwykłych, znanych z opisów osób zażywających konopie nawet w ogromnych ilościach. Z drugiej strony jako żywo przypominają marzenia senne de Quinceya, pod którego wrażeniem Ludlow wyraźnie pozostawał. Czy jego euforyczne przeżycia były bardziej literackie niż fizyczne? A może pod terminem „haszysz", podobnie jak u Baudelaire'a, kryje się u niego opium? W przeciwieństwie do melodyjnego „opium", haszysz brzmiał egzotycznie i w nieokreślony sposób groźnie. Cokolwiek było przyczyną, książka odniosła *succès de scandale* i otworzyła autorowi drogę do nowojorskiej bohemy. Była to hałaśliwa gromadka, bardziej podobna do Dzielnicy Łacińskiej Murgera niż do ówczesnego statecznego literackiego Londynu. Jej najbardziej znani bywalcy – Walt Whitman, Fitz-James O'Brien, Bayard Taylor, Thomas Bailey Aldrich, Edmund Steadman, Artemis Ward oraz ich chłopcy i dziewczyny – spotykali się w piwiarni Pfaffa przy Broadwayu, a w sobotnie wieczory u Richarda Henry'ego Stoddarda i wylewali swoje uczucia w utworach publikowanych przez nową generację czasopism. Ludlow czuł się w tym dekadenckim sosie jak ryba w wodzie. Zdał egzaminy niezbędne do prowadzenia praktyki prawniczej, ale postanowił poświęcić się zawodowemu, pełnoetatowemu pisarstwu. Zachwycało go, że Nowy Jork toleruje złą sławę, którą on pieczołowicie kultywował: „Żadna dawka ekscentryzmu nie zdziwi nowojorczyka ani nie skłoni go do nieuprzejmości. Na Broadwayu trudno nawet przyciągnąć tłumek chłopców dziwaczną postacią, miną, zachowaniem czy strojem"[7].

Ludlow dużo pisał do nowych czasopism i sporo na tym zarabiał; potem wyjechał na Zachód i rzucił się w wir literac-

kiego życia San Francisco. W wielki podziw wprawił go młody Mark Twain: „nie naśladuje nikogo (…), sam w sobie jest szkołą”. Twain zrewanżował mu się w nieco bardziej powściągliwym tonie. Ludlow zetknął się też z wyniszczającymi skutkami zażywania opium u chińskich imigrantów i tak je opisał:

> Do końca mych dni nie zapomnę strasznej chińskiej twarzy, która kazała mi ściągnąć wodze mego konia przed drzwiami opiumowego *hongu*, gdzie się pojawiła po nocnej hulance o szóstej rano (…). Przemówiła w tak niewypowiedzianej zgrozie [z głębi] duszy swego właściciela, że pokazałem znak oznaczający fajkę i zaproponowałem w *pigeon English*, że dostarczę niezbędną monetę. Chińczyk zniknął w wejściu, zstępując po schodach do *hongu*, jak człowiek słyszący, że zaproponowano mu lekarstwo na gangrenę pożerającą go od stóp do głów, i wykonał gest dłońmi w dół, do ziemi, jak ktoś, kto mówi: „Wyczerpałem już ostatnie zasoby (…). Spłacam weksle od zasądzonej kary”[8].

Być może to właśnie takie spotkania uczyniły z Ludlowa postać heroiczną – uzależnionego, który do końca życia będzie walczył z uzależnieniem. Heroiczną i zarazem tragiczną. Pisarz publikował liczne pamflety i artykuły przeciw opium, a ono stało się centralnym punktem zarówno jego życia, jak i pisarstwa: „nadrzędną pasją mojego życia jest – w prawdziwej udręce – poszukiwanie środków, które by wywodziły nałogowych opiumistów z ich okropnej niewoli bez – lub stosunkowo bez – bólu”. W 1868 roku zamieścił swój esej *What shall they do to be saved?* („Co mają zrobić, by się uratować?”) w zbiorze Horace’a Daya *The Opium Habit* – pierwszej w Stanach Zjednoczonych książce, która próbowała w obiektywny sposób podjąć trudny temat narkotyków[9]. Była to również jedna z pierwszych publikacji, jakie zauważały, że problem urasta do skali stanowiącej zagrożenie dla narodu. Ludlow rozszerzył swój wkład na papierze,

zarówno utopijny, jak i rozpaczliwy, dodając tekst zatytułowany *Outlines of the Opium Care* („Zarysy opiumowej opieki”), w którym przedstawił wizję bezpłatnych i ogólnodostępnych poradni leczących z nałogu:

> Osoba uzależniona od opium zasługuje nie na naganę, lecz na medyczne leczenie. Problem ten nie powinien nikogo wprawiać w zakłopotanie. Jest czysto fizyczny, tak samo jak ospa (…). [Taka osoba] cierpi z powodu choroby samej maszynerii woli i nie powinna być bardziej srogo osądzana za swoje działania aniżeli rana za to, że ropieje, czy jelita za to, że kontynuują swój ruch robaczkowy[10].

Ludlow nie tworzył takich udatnych zdań jak de Quincey, ale w jego twórczości była – i jest nadal – nuta szczerego zatroskania, która sprawiła, że tysiące uzależnionych pisało do niego z prośbami o radę. Zdaje się, że żadnego listu nie pozostawił bez odpowiedzi, niektóre z jego zwrotnych korespondencji wciąż wychodzą na światło dzienne. Ostatnie lata swego życia pisarz poświęcił na leczenie narkomanów jako niewykwalifikowany, lecz pełen oddania lekarz. Jeden z jego przyjaciół odnotował:

> Wiedziałem, że potrafił przez trzy tygodnie nie zdejmować ubrania do snu, tak był zajęty chorymi. Jego twarz stała się znana na wielu szpitalnych oddziałach (…). Ze swoich skromnych środków wspierał pewną rodzinę, której jeden z członków padł ofiarą opium. Nie miał wobec tej rodziny żadnych zobowiązań, [wszystko to robił] ze współczucia, jakie tego rodzaju nieszczęścia zawsze w nim wzbudzały. Lekarstwa i pieniądze dla tej rodziny w sumie były warte nie mniej niż sto dolarów, a był to zaledwie jeden przypadek z wielu[11].

Sam Ludlow jednak nie umiał się wyrwać ze szponów nałogu. Ponadto tuż po ukończeniu 30 lat zapadł na gruźlicę płuc, rozkaszlaną siostrę bliźniaczkę opium. Ożenił się ze starszą kobietą mającą rodzinę z poprzedniego małżeństwa

i żona wraz z jego siostrą Helen opiekowały się nim z zaangażowaniem, jakie uzależnieni suchotnicy zawsze otrzymywali od ich rodziny. Dla pacjentów było to tym ważniejsze, że rzadko mogli liczyć na współczucie ze strony obsługi medycznej.

> Doktor Smith powiedział niedawno, że nie ma sensu, żeby marnował swoje siły i czas na leczenie pana Ludlowa, ponieważ ten co najmniej raz dziennie brał łyżeczkę morfiny na kieliszek wódki, a skoro to robił, [lekarz] tylko marnował na jego leczenie czas i siły[12].

Inny przyjaciel wspominał:

> Podczas gdy tak się starał ostrzegać innych przed skutkami tego strasznego nałogu i wyciągać ich z niego, sam wciąż tkwił w jego niewoli. Raz za razem wydawało się, że już się wyrwał: tylko ci, którzy go znali, wiedzieli, jak w tych okresach cierpiał (...). Pamiętam noc, którą ze mną spędził (...) i [po udaniu się na spoczynek] długo czynił przygotowania. W końcu zacząłem podejrzewać, że oddaje się swemu staremu nałogowi, i po raz pierwszy i jedyny w życiu odezwałem się do niego szorstko i (...) powiedziałem, że traktuje swoich przyjaciół haniebnie (...). W odpowiedzi zbył moje słowa i zgasiwszy lampę gazową, poszedł do łóżka (...). Czując wyrzuty z powodu swej surowości, rzekłem: „Pomyśl, Fitz, o własnych ostrzeżeniach w tej materii i o swoich wysiłkach, jakie czynisz dla innych". On zaś patetycznym tonem, którego nigdy nie zapomnę, odparł mi cytatem: „Innych wybawiał, siebie nie może wybawić[13]"[14].

Suchoty Ludlowa pogorszyły się i pisarz z żoną i siostrą wyjechał do Europy. Po odpoczynku i zwiedzaniu muzeów w Anglii udali się do Szwajcarii. Tam, w odludnych, niegościnnych górskich okolicach jak grzyby po deszczu wyrastały sanatoria. Ludlow zmarł w jednym z tych przesiąkniętych katastroficzną atmosferą przybytków w 1870 roku, w swoje 34. urodziny. W eseju *What shall they do to be saved?* zawarł pamiętne słowa: „Na trumnie opiumisty napiszcie:

Dzięki Bogu! Żona i siostra mogą przestać płakać i rzec: Jest wolny”[15]. Tak mogłoby brzmieć jego własne epitafium.

* * *

Blisko przeciwległego końca skali, tego z podejściem psychopatycznym, plasował się Anthony Comstock reprezentujący tradycję sięgającą wstecz do XVII-wiecznych polowań na czarownice, czym przyćmił nawet senatora McCarthy’ego z XX wieku. Syn farmera ze stanu Connecticut musiał przerwać swą edukację z powodu wybuchu wojny secesyjnej, a w 1870 roku, w wieku 26 lat, był już weteranem. Tyle że niezwykłym. Towarzysze broni zapamiętali go głównie z powodu memorandów, jakie wysyłał do dowódcy, by się poskarżyć na „bluźniercze słowa wygłaszane przez brać oficerską w trakcie bitwy i po niej”. Został samozwańczym „roznosicielem Boga”, a wkrótce miał być twórcą nowojorskiego Stowarzyszenia na rzecz Wyplenienia Występku. Posiadał niemały dar przekonywania. W 1874 roku z powodzeniem lobbował w Kongresie za „prawem Comstocka”, zakazującym dostarczania oraz transportowania „obscenicznego, sprośnego bądź lubieżnego materiału (…), jakiejkolwiek metody lub informacji dotyczącej kontroli urodzeń” oraz „wszelkich rodzajów substancji upajających”. Wkrótce już nienawidziły go organizacje optujące za swobodami obywatelskimi, ale z pasją popierali religijni fundamentaliści o zacięciu fanatycznym. Mistrz politycznych manewrów z pomocą grup kościelnych został mianowany agentem specjalnym Służby Pocztowej Stanów Zjednoczonych z uprawnieniami policyjnymi, w tym prawem do noszenia i używania broni. Podróżował teraz, gdzie tylko chciał, i mógł aresztować sprzedawców pornografii oraz lekarzy i aptekarzy podejrzanych o związki z narkotykami. Dzisiaj wprawdzie pamięta

się go głównie jako zaciekłego wroga obscenicznych publikacji, nie wyłączając atlasów anatomicznych czy albumów przedstawiających dzieła sztuki z nagimi aktami, a także jako samozwańczego „plewiciela bożego ogrodu”, ale w rzeczywistości opium i inne narkotyki zajmowały wyższe miejsce na liście tego, co brał na celownik:

> Ojcowie i matki, spójrzcie w twarz swego dziecka, a jeśli zobaczycie, że brakuje wigoru młodości, policzki stopniowo bledną, oczy są zapadnięte, bez połysku, krok ospały i chwiejny, ciało osłabłe i nachodzi je częste pragnienie przebywania w samotności; gdy pilne przykładanie się do nauki zaczyna męczyć, a młodzieńcza pogoda ducha ustępuje opryskliwości i rozdrażnieniu, szukajcie przyczyny i pomnijcie ulubione słowo samego Diabła: NARKOTYKI![16]

Kampania Comstocka, prowadzona z pozycji obrońcy Boga, co najmniej 15 ludzi doprowadziła do samobójstwa, a on sam „niezmiernie się radował”, ilekroć do czegoś takiego dochodziło. Pewna starsza dama z Greenwich Village, którą dwa razy wtrącił do więzienia Tombs za to, że publikowała swe zainspirowane przez opium schadzki z Archaniołem Michałem, usłyszała, że po raz trzeci wydano dla niej nakaz aresztowania, i włożyła głowę do piecyka gazowego. Dla Comstocka był to kolejny „dobry dzień”, ale incydent wywołał krytyczne komentarze w gazetach i na jakiś czas dotacje kierowane na jego kampanie przeciw występkowi zmalały. Były to jednak tylko chwilowe problemy. Działacz rzadko się trudził sądowym ściganiem farmaceutów podejrzanych o sprzedawanie opium, morfiny, środków przeciwciążowych czy poronnych – wolał po prostu zjawić się osobiście z siekierą i zniszczyć aptekę. Wypromował się również na „Postrach Palarni Opium”, demolując budynki, które podejrzewał tylko dlatego, że widział wchodzących do środka „krzywo patrzących Kitajców”. Twierdził, że poprzez

swoje kontrowersyjne kampanie jest odpowiedzialny za zniszczenie 15 ton książek, 284 000 klisz z obscenicznym materiałem, czterech milionów ilustracji oraz nieprzeliczonych butelek opium i morfiny. Przypisywał sobie też doprowadzenie do 4000 aresztowań i 500 wyroków skazujących.

A jednak, mimo tak wielu triumfów i pochlebstw płynących od milionów osób w ciągu ponadtrzydziestoletniej kariery, sam nie uważał się za szczęśliwego. Nigdy co prawda nie wyraził publicznie rozpaczy, ale zło, które zwalczał, zwłaszcza szerzenie się narkotyków, nie dawało się powstrzymać. Wręcz przeciwnie. Liczba zażywających, uzależnionych, dilerów i naganiaczy wciąż rosła. Nałóg ponadto przekraczał bariery społeczne. Jego ofiarami tak samo padali chrześcijanie, jak ateiści czy żydzi. Niemal nie do uwierzenia był fakt, że uzależnione kobiety zaczynały przewyższać liczebnie uzależnionych mężczyzn. Lobby opiumowo-morfinowe przystępowało do kontrataku, nie kurczyło się pod wpływem przemocy fizycznej. W późniejszych latach wigor Comstocka osłabł, być może dlatego, że jakiś anonimowy napastnik dał mu po głowie. Z tego powodu działacz był zmuszony często zażywać niesprecyzowane środki przeciwbólowe. I zdarzało mu się przeliczyć z siłami. W 1902 roku sukcesem zakończył kampanię o wycofanie z wszystkich nowojorskich bibliotek publicznych *Profesji pani Warren* Bernarda Shawa, a odpowiedź pisarza nie tylko zepsuła mu reputację, lecz także boleśnie go zraniła:

> Nikt poza Ameryką nie będzie ani trochę zaskoczony. Comstockeria jest na całym świecie stałym tematem strojenia sobie żartów ze Stanów Zjednoczonych (…). Potwierdza to głęboko zakorzenione przekonanie Starego Świata, że Ameryka jest mimo wszystko miejscem prowincjonalnym, drugorzędnym wiejskim miasteczkiem cywilizacji[17].

Określenie „comstockeria” weszło do języka codziennego. Comstock nadal dawał wykłady i do końca pisał, ale w coraz większym stopniu stawał się obiektem żartów. Nigdy mu jednak nie zabrakło dobrze zapowiadających się akolitów i jego spuścizna nie została zaprzepaszczona. Do ostatnich uczniów niestrudzonego działacza zaliczał się utalentowany młody prawnik J. Edgar Hoover[18]. Comstock zmarł w 1915 roku w wieku 75 lat.

* * *

Comstock może był potworem, ale inni, bardziej zrównoważeni obywatele również dostrzegali zawisające nad narodem niebezpieczeństwo narkotyków. W 1867 roku doktor Joseph Parrish, dyrektor jednej z najskuteczniejszych poradni odwykowych, w Media koło Filadelfii, bez zbytniej przesady napisał:

> Apetyt na opium, który nawet w Stanach Zjednoczonych osiągnął niesłychane rozmiary, czając się pod fundamentami zdrowia i szczęścia, od medycznych pisarzy do tej pory nie doczekał się więcej jak przelotnej uwagi, gdy tymczasem z góry skazane na porażkę ofiary, a ich liczba idzie w tysiące, po omacku brną przez otchłań półprzytomności, bez choćby jednego, jedynego promienia, który by im rozświetlił (…) ścieżkę [i dopomógł] w stawieniu oporu i przezwyciężeniu samych siebie[19].

Tylko w jednym punkcie przeszacował sprawę. Owszem, odzywały się już głosy i pojawiły się książki traktujące o uzależnieniu. W 1870 roku nowojorski lekarz Alonzo Calkins opublikował pracę *Opium and the Opium-Appetite*, klasykę na polu, na którym wcześniej dominowały śmieciowate teksty. Książka ta, ożywiona cytatami ze światowej literatury oraz oparta na lakonicznie, lecz barwnie opowiedzianych historiach konkretnych przypadków, to wszechstronny przegląd rodzącego się amerykańskiego narkotycznego nałogu.

Calkins, porównując opium i morfinę z alkoholem, konopiami, kokainą, tytoniem i innymi substancjami uzależniającymi, nie miał wątpliwości, że makowy sok i jego pochodne stanowią – jak dotychczas – największe zagrożenie dla przyszłości jego kraju:

> Opium i otrzymywany zeń produkt morfina to najsilniejsze środki pobudzające, odurzające, przeciwbólowe i zarazem toksyczne. Zażywane nałogowo, wyzwalają wyobraźnię ze szkodą dla [trzeźwego] osądu: im wyżej szybuje ta pierwsza, tym niżej upada ten drugi (…). W okowy zostaje zakuty nie tylko osąd, lecz także wola (…). Umysł zaczyna się poddawać halucynacjom i pogrążać w świecie marzeń (…). Szczególny chorobliwy wpływ, subtelny i początkowo powolny w działaniu, w miarę postępu nałogu narasta. Reakcja na początku dotyczy jedynie mózgu i żołądka, ale ostatecznie doprowadza do ogólnego zepsucia organizmu oraz przedwczesnego, postępującego zniedołężnienia. Przeczulica, apatia, zaburzenia snu i zator naczyń krwionośnych to najważniejsze objawy (…). Wraz z rozchwianiem zamiarów przychodzi wrażenie moralnego upodlenia (…), paraliż sumienia, otępiałość uczuciowa oraz beznamiętna obojętność przeplatająca się być może z bezmyślnością rozpaczy[20].

Calkins ostro krytykował tych, którzy się chełpią, że są z natury odporni. „Przeciw pokusie nałogowego zażywania nie zapewni nam odporności ani indywidualna kondycja zdrowotna, ani status społeczny i warunki życia (…). Samodzielnie nałożone na siebie ograniczenia w zakresie ustalonych miar należą do najrzadszych wyjątków”[21]. Jedyną nadzieję dawał nadzór ekspertów oferowany przez niektóre wyspecjalizowane kliniki czy poradnie, takie jak ta założona przez doktora Parrisha.

Jednak Calkins, podobnie jak większość zorientowanych w temacie Amerykanów w połowie XIX wieku, nie pokładał zbytniej ufności w druzgocącej legislacji. Po części wynikało to z wiedzy historycznej. Autor przypomniał, jak potężny

szach Abbas w 1582 roku, mimo swej wielkiej władzy, zmuszony był pod wpływem protestów zażywającej narkotyk ludności „wycofać swój dekret wymierzony w opium”. Liczne ogłaszane z pompą edykty wydawane przez kolejnych cesarzy Chin nie sprawdziłyby się w życiu nawet bez zachodniej interwencji. Bliżej współczesności…

> …chirurg wojskowy Smith obserwował na malajskiej wyspie Penang, że wprowadzenie zakazów nie zdołało powstrzymać zalewu [narkomaństwa], a złodziejstwa, grabieże i morderstwa mimo przewidzianych kar popełniano w coraz większej liczbie, tak żywiołowe i niekontrolowane było opaczne łaknienie oparów opium (…). Mądry legislator bierze pod uwagę zarówno fakty historyczne, jak i przewidywania naukowe; nierozważny entuzjasta zaś, popychany gorliwym zapałem, często będzie się sprzeciwiał nieumiarkowaniu jednego rodzaju, [a nie dostrzeże] nieumiarkowania w innej postaci, nie mniej szkodliwego (…). Co smutne, często filozof skupiony na jednej idei nie czuje obawy przed groźnym huraganem, który sam rozpętał. Gdy się ogłosi prohibicję, należy w ślad za nią ustanowić monopol, a on pociąga za sobą [przestępczą] zmowę, korupcję i oszustwo. Czy istnieje jakakolwiek korzyść z wprowadzenia nielicznych zamiast licznych strażników publicznego sumienia? I w czyje ręce należy złożyć ostateczny nadzór? [22]

Jak w przypadku wielu jego poprzedników i następców, był to głos wołającego na puszczy.

* * *

W 1871 roku, gdy Calkins wydał swoją książkę, prasa – zarówno codzienna, jak i branżowa, medyczna – pełna była ostrzegawczych i alarmujących opowieści[23]. Przerażająca „diateza” z europejskiej literatury medycznej właśnie przekraczała Atlantyk. W przeciwieństwie do spostrzeżeń Calkinsa i innych Amerykanów, europejskie podejście sugerowało, że niektórzy nieszczęśni ludzie dziedziczą tajemniczą predyspozycję do nerwowej słabości, która z kolei sprawia,

że padają ofiarą narkotyków. Ale dlaczego nagle ich liczba tak rośnie? Jak zaobserwował William Rosser Cobbe: „Naukowcy często składają na karb dziedziczności fizyczne tendencje, których nie potrafią wyjaśnić i których nie da się przypisać rasie”[24]. Amerykanie w szczególności lubili myśleć o sobie, że są sprawni, dynamiczni, innowacyjni i nie boją się nowych pomysłów: w rzeczy samej niekiedy wydawali się wręcz prosić o niebezpieczeństwo w pogoni za tym, co niewypróbowane. Czy obsesja na punkcie „haszyszu” była właśnie poszukiwaniem nowinek? Jak półżartem zauważył stateczny magazyn „Knickerbocker”: „My, Jankesi, zawsze chcemy coś wypróbowywać, od nowych urządzeń mechanicznych, przez nowy patent medyczny, po nowy lek”[25]. Zastrzyki z morfiny łączyły w sobie wszystkie te trzy czynniki, pokusa była więc nie do odparcia.

Jak to zwykle bywa po kataklizmach, w latach bezpośrednio po wojnie secesyjnej kraj rzucił się w szaleńczą pogoń za nowymi emocjami. Młodsze pokolenie chciało zostawić bolesne wspomnienia za sobą. „Jesteśmy niespokojnymi, szybko myślącymi ludźmi, którzy wszędzie wściubią nos; nie możemy pozwolić, by opium nas ominęło” – oświadczył pewien uzależniony młody człowiek[26]. Wśród starszych osób tego rodzaju deklaracje budziły strach całkiem podobny do tamtego, który gnębił Thomasa Trottera w Szkocji 100 lat wcześniej. Czy owe emocjonalne potrzeby wynikające z postępu technicznego były za ciężkie do zniesienia? Postęp powinien nieść z sobą szczęście. A tymczasem niósł pokusę do „zwiększenia energii”. Kiedy dążenie do czegoś lepszego zawodziło, prowadziło do rozczarowania. Rozczarowanie zaś do narkotyków. W wypowiedziach zaczęły pobrzmiewać rasistowskie podteksty.

> Myślimy i wyczerpujemy się, snujemy plany, korzystamy z wyobraźni, studiujemy, martwimy się i cieszymy i proporcjonalnie do

> tego marniejemy. W znacznie mniejszym stopniu dotyczy to ludzi pozbawionych ogłady, prymitywnych. W przeciwieństwie do nas barbarzyńcy nie są nerwowi. To może im dawać nad nami ogromną przewagę. Trzeba z tym skończyć[27].

Ostatnie dekady XIX wieku były w Ameryce zarówno triumfalistyczne, jak i podszyte niepokojem. Kwestionowanie korzyści płynących z postępu technicznego byłoby herezją, ale myślące osoby trapiła troska. Bez względu na zachłyśnięcie się technicznym zaawansowaniem, skutki, jakie wywierało ono na słabszych członków społeczeństwa, mogły być różnorodne. Nadzieje wyrażane jeszcze 30 lat temu przez osoby pokroju wielebnego Coltona teraz zdawały się bezmyślne. W miarę jak popularyzowało się zażywanie morfiny i korzystanie z podskórnej strzykawki, w oczach wielu ludzi narkotyki stały się znacznie większym zagrożeniem dla egzystencji niż alkohol.

> Z każdym rozwojem naukowym życie staje się bardziej skomplikowane. Ujawniają się nowe umiejętności i talenty, powoływane są do istnienia nowe siły, których powiązanie z życiem i zdrowiem wciąż wymaga zbadania. Stąd upojenie, obłęd i szereg nowych chorób, a nade wszystko leków i narkotyków! Każdy rozwój lub udoskonalenie przynosi konflikt, za który trzeba zapłacić krwią, nerwami i życiem[28].

Takie napięcia wywoływały niepokoje w wielu krajach, ale cnotliwe amerykańskie społeczeństwo wyolbrzymiało niebezpieczeństwa. Jeśli nie liczyć tych zaognionych wstrząsów, jak wojny napoleońskie, gdy laskę marszałkowską czy książęcy diadem mógł sobie nieść w tornistrze każdy szeregowiec, w Europie wciąż utrzymywał się stary sztywny porządek klasowy. Owszem, bogate grupy mogły się przedrzeć przez bariery społeczne, ale dokonywało się to w ciągu życia pokolenia czy dwóch, nikt nie dostępował takich awansów w pojedynkę, a tym bardziej w krótkim czasie. W Sta-

nach Zjednoczonych – wręcz przeciwnie – dumą każdego Amerykanina było, że może się wspiąć na szczyt bez względu na okoliczności swego urodzenia. Tak powinno być. Obawiano się jednak, że nieograniczone sposobności mogą wzbudzić apetyt na nieograniczone oczekiwania, a kiedy nieograniczone oczekiwania nie zostaną spełnione – z jakiegoś powodu działo się tak prawie zawsze – mogło to prowadzić do rozpaczy. Sprawdzało się to, co w przypływie natchnienia przewidział Fitz Hugh Ludlow: „Musimy [coś] osiągnąć (…), a jeśli nie możemy [tego] osiągnąć, musimy udawać, że osiągnęliśmy. To często oznacza narkotyki”[29].

Podczas wojny secesyjnej pewien lekarz proroczo napisał:

> Po wojnie zapanuje większa wolność, ale też większe będą brak zakorzenienia i niezadowolenie (…). Amerykański sen o wiecznym poszukiwaniu tego, co nowe i co lepsze, jest szlachetnym dążeniem, to on sprawia, że nasz naród jest nadzieją świata; lecz jakże często zmierza do rozczarowania. A na pocieszenie w naszym rozczarowaniu cóż będzie łatwiejsze niż sięgnąć po błogosławiony narkotyk zapomnienia?[30]

ROZDZIAŁ 21

Wyczerpanie nerwowe

W miarę jak ostatnie ćwierćwiecze XIX stulecia zmierzało ku końcowi, wyglądało na to, że ofiarami nałogu w coraz większym stopniu padają młodzi Amerykanie. Ignorancja podsycała niepokoje. W gazetach pisano o „amerykańskiej chorobie”. Co to takiego? Jakaś epidemia? Dlaczego wybuchła tak nagle? Doktor George M. Beard nazwał ją neurastenią – dosłownie „wyczerpaniem nerwów” – i twierdził, że zna większość odpowiedzi na związane z nią pytania.

Beard, syn pastora ze stanu Connecticut, w 1862 roku ukończył Uniwersytet Yale, mając 23 lata i mocne postanowienie dotyczące swojej przyszłej kariery zawodowej. Zamierzał poświęcić się badaniu powszechnie występującej choroby, o której lekarze nic nie wiedzieli. Był tego pewien od momentu, gdy go dotknęła podczas studiów medycznych

i nikt nie mógł nic na nią poradzić. Nawet nie miała nazwy. By uzupełnić ten brak, wymyślił określenie „neurastenia”.

W dzisiejszych czasach neurastenia w medycznych podręcznikach i leksykonach zajmuje nie więcej jak kilka linijek utrzymanych w protekcjonalnym tonie. Jedna standardowa praca definiuje ją jako „uskarżanie się na chroniczną słabość, łatwą męczliwość i czasami nieokreślone uczucie wyczerpania (…), pacjent narzeka na przedłużające się, mało prawdopodobne dolegliwości, które mu jednak dokuczają, i nic nie świadczy o tym, by szukał jakichś dodatkowych korzyści innych niż uwaga (…). Nie ma lekarstwa”. To daleka droga od przytłaczającej listy fizycznych dolegliwości, które Beard wyliczył jako elementy syndromu:

> Nadwrażliwość skóry na głowie, sporadyczne rozszerzenie źrenic (…), chorobliwe bóle głowy i innych części ciała, ucisk i ciężkość z tyłu głowy, spojrzenie świadczące o słabości (…), plamki w polu widzenia, okazjonalne podwójne widzenie i przerażające oznaki ślepnięcia, szumy w uszach, „atoniczny” głos, co oznacza „miękkość, słabość, brak odwagi i wyrazistości tonu” (…), niewystarczająca kontrola umysłu nad mową i działaniem, niezdolność do skupienia się, heterofemia [mówienie innego słowa niż to, które się ma na myśli], drażliwość, nadmierne poczucie beznadziei, chorobliwe lęki bez wyraźnego powodu, przedsmak śmierci, nadmierna potliwość dłoni, rumieniec na twarzy (…), bezsenność, drganie powiek, zmienna nadwrażliwość całego ciała, podrażnienie (raczej to niż zwykłe swędzenie) skóry, przeszywający bądź tępy ból w kręgosłupie lub głowie (…)[1].

Lista jest długa, ale bynajmniej nie kompletna. Autor nie tylko wyszczególnił dolegliwości, lecz także je omówił. Jego zdaniem reprezentują one prawdziwe i ważne objawy choroby, którą należało za taką uznać. Ponadto był pewien – i głośno to obwieszczał – że się ją da wyleczyć! W tym ostatnim twierdzeniu, opartym głównie na rozmaitych elektrycznych stymulacjach, Beard był mniej przekonujący i na dłuż-

szą metę zepsuło mu to reputację. Lecz na poziomie opisowym został pionierem medycyny psychosomatycznej[2]. Ponadto z bystrością analizował przypadki tej „najokropniejszej, będącej dziełem człowieka zarazy i najpowszechniejszej przyczyny wyczerpania nerwowego – narkomanii".

> Zło konieczne specjalizacji w nowych, zindustrializowanych społeczeństwach zawęża, ale też intensyfikuje życie każdego człowieka i prowadzi do nieustannej obawy o wyniki (...). Nasz przypadek wzrostu chorób nerwowych, czyli neurastenii, oraz ucieczka w narkotyki biorą się stąd, że konwencje społeczne wymagają, aby tłumić emocje, podczas gdy nasza cywilizacja daje nam bezprecedensową wolność i okazję do wyrażania naszego intelektu[3].

Pół wieku przed Freudem Beard surowo ganił tłumienie „biologicznych popędów", których wypieranie może prowadzić jedynie do niepokoju, niezadowolenia i zwrócenia się ku narkotykom. Jeśli go ktoś usłyszał lub przeczytał po raz pierwszy, nadzwyczaj łatwo dawał się przekonać i dlatego Beard szybko zyskał naśladowców. Jeden z jego wielbicieli, J.B. Mattison, pisał z troską o zaletach powściągliwości, a także o czyhających na dłuższą metę pułapkach:

> Człowiek dzięki swej sile woli jest w stanie zachowywać się w granicach stosowności i przyzwoitości. Właśnie dzięki swej woli jest wstrzemięźliwym zwierzęciem, a gdy nadmiernie pofolguje sobie, biorąc narkotyki, po prostu daje dowód atawistycznym zasadom, które tak często pojawiają się w procesie ewolucji. Cywilizacja naucza człowieka, aby pragnienia i oczekiwania wielu rzeczy podtrzymywać w tym życiu z nadzieją na ich spełnienie w jakiejś przyszłej egzystencji, jeżeli już nie w tej, a także że powściąganie własnych namiętności i apetytów służy mu jeśli nie natychmiast, to długoterminowo. Jednakże czasami takie powściąganie może mieć straszliwe skutki ujemne: może się wręcz okazać bardziej niebezpieczne niż same szkodliwe popędy i właściwie może nawet zniszczyć jednostkę. Należy zatem znaleźć umiarkowany kurs pośredni[4].

Zazwyczaj opisuje się determinację jako jedną z cech typowych dla Amerykanina, ale niesłabnący strumień wspomnień odnoszących się do zniewolenia nałogiem podkreśla, że coś jest nie tak. Bo przecież uzależnienie to nic innego jak niewola. „To nie człowiek zażywa opium, lecz opium zużywa człowieka" pisał Nathan Allen[5], a William Rosser Cobbe w swej znakomicie sprzedającej się książce *Dr Judas* sugerował: „Nałogowego opiumistę pociąga nie oczekiwana przyjemność, lecz potrzeba, której można się przeciwstawić nie bardziej niż Losowi. Nawet mityczni bogowie by się nie oparli"[6]. W swoich wyznaniach uzależnieni uparcie opisywali, jak czynią desperackie wysiłki, by się wyleczyć i zostać normalnymi członkami społeczeństwa. Niektórzy niepotrafiący zerwać z nałogiem szukali wolności w śmierci. „Nie bardziej ich przerażała niż życie bez opium"[7]. Większość jednak zaniechiwała prób, nawet jeżeli przez to stawali się wyrzutkami społecznymi. Przyznanie się do porażki było zawsze boleśnie przygnębiającym momentem. „Nie ma sytuacji bardziej tragicznej niż ta, kiedy opiumista, który był zdeterminowany, by zerwać z nałogiem, zmuszony jest do niego powrócić i uświadomić sobie, że do końca życia będzie chodzącym cieniem (…), że będzie marnieć, tęskniąc za swą naturalną egzystencją, zamknięty jak więzień w ramionach obmierzłego demona"[8]. Czy jak inny opiumista zwierzył się swemu lekarzowi: „Naprawdę słowo *fiend*[9] jest dla nas właściwe. Opium uczyni nikczemnika z najlepszego z nas. Były czasy, gdy uważałem, że jeśli nie będę mógł zdobyć pieniędzy na opium inaczej, zdejmę buty żonie lub dziecku i sprzedam je albo zastawię"[10].

Dawniej uzależnieni twierdzili, że w swym nałogu odkrywają nowe, egzotyczne światy, teraz jednak stawało się to podejrzane. Epoki, podobnie jak ludzie, mają swoje charakterystyczne priorytety. Amerykanie pod koniec XIX wieku

cenili raczej konkret niż abstrakt, fakty niż fantazje i realność niż marzenia. Wiedza i umiejętności społeczne nabyte w wyniku pracy z innymi ludźmi były o wiele bardziej w cenie niż poetyckie wizje i metafizyczne spekulacje. Pogląd ten podzielała większość samych uzależnionych. „Wszelkie przyjemności, jakie mogę czerpać z morfiny, nie będą się równać radości, które człowiek ma z normalnego życiowego animuszu; i cała poetycka moc, jaką dostaję z opiumowej stymulacji, nigdy się nawet nie zbliży do tej, którą mogłyby mi dać własna wolność i naturalny stan”[11]. Dla nowych imigrantów liczyło się, by zostać członkami społeczności. Jeśli dla zadomowionych Amerykanów ważne były osiągnięcia, świeżo przybyli też chcieli coś osiągnąć. Również uzależnieni starali się dokonać czegoś, co bliźni mogliby podziwiać. Amerykańska literatura traktująca o uzależnieniu obfituje w opowieści o narkomanach, którzy postanowili napisać wspaniałe książki, odkryć doniosłe naukowe prawdy, zrobić przełomowe udoskonalenia w swej profesji lub stać się potentatami biznesu. W końcu marzenie zawsze ich przerastało. Jak napisał popularyzator nauki David Starr Jordan, wyrażając osąd przeciętnego człowieka:

> Kultywować sensację dla samej sensacji, bez żadnego stojącego za nią celu, czy to w sztuce, muzyce, miłości, czy religii, to żyć czysto zmysłowym życiem, życiem słabości, dekadencji i – nade wszystko – społecznej bezużyteczności[12].

Ale bezużyteczność to nie wszystko. Neurastenia sprawiała ponadto, że u narkomanów rozwijały się cechy, których zwykli Amerykanie bali się i którymi gardzili. Po jakimś czasie uzależniona osoba stawała się oszukańcza, pochłonięta sobą, niezainteresowana publicznymi sprawami, obojętna wobec przyszłości, zaprzątnięta jedynie własną nadrzędną potrzebą. U narkomanów wykształcała się swego rodzaju

niska przebiegłość. Zasięgając porady lekarza czy farmaceuty, prosili o najróżniejsze rzeczy, aby ukryć, że tak naprawdę chcą tylko jednego. I podczas gdy aptekarz czy lekarz krzątał się, żeby ich obsłużyć, ukradkiem ściągali butelkę albo pudełko z półki. Rzadko ich przyłapywano, ale po pewnym czasie było wiadomo, że są złodziejami. Często w ten sposób zaczynało się błędne koło. Świadomość tego, że nie mają publicznego zaufania, sprawiała, że jeszcze bardziej zamykali się w sobie i wywoływali jeszcze większą nieufność. Postrzegano ich – bo rzeczywiście tacy byli – jako obojętnych na potrzeby i dążenia innych: dzień jutrzejszy dla nich nie istniał, a przecież żyli w kraju zapatrzonym w przyszłość.

Uzależnienie zagrażało małżeństwu i rodzinie, dwóm kotwicom na wzburzonym morzu gorączkowego postępu technicznego. „Problem polega na tym – pisał poważnie doktor Charles W. Earle – że uzależnieni zupełnie nie zważają na swoje życiowe zobowiązania i tak łatwo dają się ponieść radosnym wzlotom związanym z narkotykiem, temu, że unikają wszelkich kłopotów, boleści i potrzeb normalnego życia, że nie dostrzegają, iż ich nadrzędnym obowiązkiem wobec siebie samych, przyjaciół i rodziny jest zerwanie z nałogiem”[13]. Ale gdyby nawet chcieli z nim zerwać – co wielu postanawiało w chwilach wywołanej narkotykiem euforii – jak mieliby wytrwać w tym postanowieniu?

* * *

Podobnie jak w Europie, amerykańscy lekarze niewiele wiedzieli o naturze uzależnienia (oprócz tych, którzy sami byli uzależnieni). Nie poruszano tego tematu w programie nauczania na studiach medycznych, a nauczyciele akademiccy na ogół podzielali powszechne obrzydzenie do narkomanów. Wiedzieli za to na pewno, że leczenie uzależnienia niemal

zawsze kończy się niepowodzeniem, a żadna grupa zawodowa nie będzie się cieszyć nieprzerwaną serią porażek. Jednak obojętność wykwalifikowanych lekarzy otwierała pole do działania szarlatanom. Przedsiębiorczy hochsztaplerzy bardzo skorzystali na zmianach zachodzących w Ameryce po wojnie secesyjnej. Gazety przyjmowały teraz do druku tanie ogłoszenia i trafiały do każdej najmniejszej osady. Zmalały opłaty pocztowe, co sprawiło, że ludzie mogli sobie pozwolić na zamawianie medykamentów wysyłkowo. Zwykły brązowy papier pakowy miał ukryć – i faktycznie mniej więcej to robił – zawartość przesyłki, tak aby o uzależnieniu nie dowiedzieli się krewni i sąsiedzi. Dla naiwnych odbiorców wydrukowane na etykietach rządowe patenty i zastrzeżenia (cokolwiek, byle sprawiało wrażenie oficjalności) zdawały się oznaczać odgórne zatwierdzenie specyfiku, którego sprzedaż w rzeczywistości była zupełnie nieuregulowana i pozbawiona państwowego nadzoru. Nowe pokolenie naciągaczy sprytnie wykorzystywało naukowe, medyczne i technologiczne nowinki, by sprzedać klientom swój towar, a zarazem korzystało z nieufności, jaką przeciętny człowiek żywił do medycyny głównego nurtu. Na Środkowym Zachodzie i na Południu dodatkowo wzmacniała to zadawniona niechęć do Wschodniego Wybrzeża, będącego bastionem zarówno medycznego establishmentu, jak i władzy kojarzącej się z finansowym i politycznych uciskiem.

Samuel Collins z La Porte w stanie Indiana był z zawodu murarzem, ale rozkręcił intratny biznes polegający na wysyłkowej sprzedaży butelkowanych leków, które – gwarantował – zadziałają nawet w najbardziej opornych przypadkach. Jako że krąg jego odbiorców rósł, Collins zbudował sobie imponujące centrum biznesowe – dla siebie rezydencję w stylu rancho, a dla przybywających klientów kwatery. (Placówka nie pretendowała do nazwy sanatorium, ponie-

waż nie miała wykwalifikowanej obsługi medycznej). Przedsiębiorca publikował ponadto magazyn, „Theriaki”, pełen ekscytujących historii w rodzaju „przed i po” oraz świadectw opowiedzianych przez wdzięczne rodziny. Szczególnie wzruszające były listy od dzieci. Ikoną stała się stworzona przez Collinsa ośmioletnia Mary Stubbs z warkoczykami w mysi ogonek i dołeczkami na twarzy, wczesne wcielenie Dorotki z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Na wszystkie listy, jakie napisał do niej profesor Sam Collins, odpowiadała swym czarująco nieporadnym charakterem pisma – również wychodzącym spod pióra profesora Sama Collinsa. Obsługę klienta (nie pacjenta, jako że petenci nie byli przecież chorzy) doprowadzono do perfekcji. Każdy klient wypełniał szczegółowy kwestionariusz ze swoją historią choroby, uwzględniającą zwłaszcza zażywane uprzednio narkotyki, dawki i negatywne skutki, jeśli jakieś były. Następnie opracowywano „w pełni unikatowy i spersonalizowany” program leczniczy. Standardowy płyn, jaki ostatecznie wysyłano, zawsze zawierał małe ilości opium z dodatkiem bromków, chloralu, alkoholu, czasami kokainy i innych środków uspokajających, które łagodziły cierpienia związane z odstawieniem i na jakiś czas stwarzały wrażenie, że klient wolno, ale faktycznie ogranicza swoje uzależnienie. Marzenia o spełnieniu pragnienia mogą mieć nieskończenie większą moc sprawczą niż rzeczywistość. Klienci donosili o swoich sukcesach, wiele raportów wręcz tryskało radością. Opublikowane drukiem, nawet 100 lat później wzruszają i budzą litość. Choć raczej nie poruszały „profesora” ani nie budziły u niego litości. Collins sam siebie oceniał jako doskonały przykład amerykańskiego przedsiębiorcy. Inni mieli jednak obiekcje. Profesor Albert Prescott z Uniwersytetu Michigan zasugerował, że sprzedawcy środków przeciw uzależnieniom są jak pająki pożerające muchy i że katorga z kulą u

nogi nie byłaby dla nich zbyt srogą karą. Lecz kto by słuchał starego, zrzędzącego nauczyciela akademickiego? Handel takimi środkami znalazł się pod oficjalnym nadzorem dopiero w 1906 roku, a kiedy wreszcie to nastąpiło, prawne przeszkody tylko pobudziły do działania tych, którzy dzięki wrodzonym talentom i z powołania zawsze umieją ominąć prawo.

* * *

Na przeciwnym końcu skali niż szarlatani znajdowało się sanatorium – *sanitarium*, jak je nazywano w Ameryce – czyli placówka kojarząca się z najnowszymi postępami w nauce, technologii, psychiatrii i farmakologii[14]. Pod koniec XIX wieku w Stanach Zjednoczonych powstało ponad 100 takich instytucji przyjmujących wszelkiego rodzaju klientelę. Niektóre miały chrześcijańskie zaplecze, inne stylizowano na tybetańskie klasztory, część nastawiała się na dogadzanie klientom z wyższej półki, inne reklamowały się jako „skromne, lecz pełne życzliwości i wyrozumiałości". Ogólnie stawiały sobie za cel przywrócenie uzależnionych do życia w normalnym społeczeństwie, co mieli osiągnąć, ucząc się panowania nad swoimi napięciami i niepokojami. Nawet placówki zlokalizowane w centrum zgiełkliwych miast starały się roztaczać wiejską aurę, zgodnie z przekonaniem, że to miejsko-przemysłowy styl życia przyczynia się do sięgania po narkotyki. Battle Creek Sanitarium w stanie Michigan korzystało z wyprodukowanej na miejscu organicznej żywności (co wówczas było zupełnie nowym pomysłem), aby stworzyć wrażenie nieskazitelnie naturalnego otoczenia. W Bornmouth Sanitarium, udającym farmę, głównym elementem terapii była jazda konna. (Najwyraźniej w każdej epoce jakaś część medycznego środowiska daje się zauroczyć korzyściom płynącym z bliskości koni). Shultheiss

w stanie Nowy Jork, sanatorium ucharakteryzowane na pograniczne obozowisko, miało nawet wozy amerykańskich osadników oraz obsługę pielęgniarską przebraną za dzielnych indiańskich wojowników i pracowite squaw.

Przez jakiś czas owe instytucje cieszyły się sporym powodzeniem i sukcesami. Ruch osiągnął apogeum, kiedy swoje kliniki założył Leslie F. Keeley, bodaj najbardziej kontrowersyjny samozwańczy lekarz w Stanach Zjednoczonych. Jego pochodzenie otacza tajemnica, a kwalifikacje medyczne – jak sam twierdził – miał zdobyć w chicagowskim Rush College. Utrzymywał ponadto, że służył jako chirurg wojskowy podczas wojny secesyjnej. Często reprodukowano jego szlachetny lewy profil z nobliwą krzaczastą brwią, ale on sam rzadko pokazywał się osobiście, nawet wśród ludzi swej klasy. Nigdy nie uczestniczył w konferencjach ani nie udzielał wywiadów. Zapoczątkowana przez niego krucjata była przede wszystkim wymierzona w alkoholików, lecz za stosownie wyższą opłatą jego instytuty zajmowały się też kompulsyjnymi palaczami i osobami uzależnionymi od narkotyków. Pierwszy kompleks, jaki założył w Dwight w stanie Illinois, stał się mekką i wzorcem dla ponad setki franczyzowych placówek, które powstały w każdym większym amerykańskim mieście oraz w wielu stolicach Europy. Nieokreślenie modernistyczna architektura była w swojej epoce tak rozpoznawalna jak dziś wystrój restauracji McDonald’s. Oprócz intensywnych sesji odbywanych w cztery oczy z terapeutą, dyskusji grupowych w stylu „wszystkie chwyty dozwolone” oraz kursów z ćwiczeń fizycznych głównym elementem programu był roztwór „dwuchlorku złota”, opracowany przez Keeleya po długim eksperymentowaniu i ceremonialnie rozdawany trzy razy dziennie rezydującym „studentom”[15]. Był krzepiąco nieprzyjemny w smaku, ale co dokładnie zawierał oprócz złota – tego nigdy nie ujawniono.

Franczyzowe kliniki otrzymywały dostawy specyfiku przygotowanego w laboratorium w Dwight. Choć „świeżo przyrządzony medykament”, podobnie jak świeżo wyciśnięty sok z owoców, opisywano jako „niewątpliwie najlepszy”, można go było również nabyć w butelkach do spożycia domowego. Mikstury zawsze sprzedawano parami – nieco inne dla poszczególnych postaci uzależnienia. Nałogowi palacze płacili 5 dolarów, neurastenicy 8, alkoholicy 9, a opiumiści – 10 dolarów. Kształt butelek, płaskich z jednej strony i brzuchatych z drugiej, projekt etykiet i inne zewnętrzne elementy zostały zastrzeżone prawnie, ale Keeley nigdy nie starał się o taką ochronę dla receptury. To wymagałoby wyjawienia składu. Mimo tajemniczości i wysokiej ceny – a może właśnie dzięki nim – substancja odniosła zdumiewający sukces[16]. W latach 1892 i 1893 przyjmowało ją ponad 14 000 ludzi, a odpowiedź: „Nie, dzięki, byłem w Dwight”, stała się akceptowaną uprzejmą odmową na propozycję drinka w nowojorskich klubach. Keeley nawet jako milioner żył w odosobnieniu; zmarł w 1900 roku, mając 55 lat, ale niektóre z jego instytutów przetrwały nawet do lat 20. XX wieku. Konkurencyjne placówki opierały się na innych teoriach i miksturach. Klinika doktora George’a E. Petteya w Memphis zasadzała się na idei utajonej taksemii, którą należało obficie wypocić w trakcie długich sesji. Działający w Nowym Jorku doktor Ernest S. Bishop był zwolennikiem przeciwciał oraz heroicznych, długotrwałych przeczyszczeń i wymiotów. Doktor William E. Waugh z Chicago nudził ponuro o gastrycznych truciznach generowanych przez narkotyki. Rozwiązaniem miało być płukanie żołądka (na długo przed tym, nim zabieg ten wszedł w skład stałych procedur medycznych). Wszystkie metody znajdywały obrońców i zwolenników, wszystkie też chwaliły się wyleczeniami.

Wiele przynosiło zyski. Żadna jednak nie osiągnęła powtarzalnych wyników.

* * *

Jako że narkotyczna „epidemia” – termin coraz częściej stosowany, choć nieadekwatny – nie ustępowała ani nie słabła, narastały naciski na jakieś „działanie”. Coraz częściej powtarzała się fraza, która w życiu publicznym niemal zawsze zapowiada katastrofalne decyzje: coś w końcu trzeba zrobić. Potrzeba stała się tym pilniejsza, że na horyzoncie pojawiło się nowe zagrożenie, które miało zmienić historię narkotyków.

ROZDZIAŁ 22

Heroiczna substancja

Ta historia zaczyna się w Londynie, w Szpitalu Świętej Marii, w dzielnicy Paddington, gdzie w 1874 roku doktor C.R. Alder Wright, chemik i przyszły członek Towarzystwa Królewskiego, próbował znaleźć pochodną morfiny, która byłaby skuteczna, ale nie powodowała uzależnienia. Dość oczywistą możliwością było wykorzystanie reakcji chemicznej znanej jako acetylacja: przeniesienie grupy acetylowej, -CH_2-COOH, albo kilku takich grup, z bezwodnika octowego, to jest reaktywnej formy kwasu octowego, na związek, który zamierzamy zmienić. W wyniku doświadczenia Alder Wright otrzymał szarawy proszek, co do którego słusznie przypuszczał, że jest to diacetylomorfina. Podał go swojemu psu, ponieważ zwierzę w przeszłości wykazywało słabość do morfiny i mogło wyczuć lekką różnicę. Pies jednakże nagle zasłabł, potem zrobił się nadpobudliwy i o mało nie

zdechł. Dla angielskiego miłośnika zwierząt było to, mówiąc dzisiejszym „politycznym” żargonem, nie do przyjęcia. Alder Wright wyrzucił cały proszek do kosza, ale ponieważ potrzebował asystenta, wspomniał o swoim odkryciu w krótkim artykule zamieszczonym w branżowym czasopiśmie „Chemical and Pharmaceutical Journal”[1].

Sprawa przycichła na ponad 20 lat i mogłaby pozostać w uśpieniu na zawsze, gdyby nie młody profesor chemii z Uniwersytetu w Getyndze, na ułamek etatu zatrudniony w małej, borykającej się z kłopotami firmie farmaceutycznej Bayer w Nadrenii. Człowiek ten, Heinrich Dreser, kompulsyjnie przeglądał stare czasopisma i dzięki temu natknął się na doniesienie o odkryciu Aldera Wrighta. Pomysł z acetylacją poruszył właściwą strunę – była to reakcja chemiczna, której Dreser ze swoim małym zespołem próbował na kwasie salicylowym (leku typowo zażywanym przy gorączce reumatycznej), aby go uczynić bardziej znośnym dla podniebienia[2]. Podekscytowany Dreser polecił jednemu ze swoich podoktoranckich studentów, Felixowi Hoffmanowi, żeby powtórzył doświadczenie Aldera Wrighta. Hoffman miał ręce pełne innej roboty, ale profesorskie polecenie w Niemczech epoki wilhelmińskiej (i następnych zresztą też) nie podlegało dyskusji. Ostatecznie student nie miał żadnej trudności z otrzymaniem szarego proszku, ale zamiast go wypróbować na psie, pewnego wrześniowego dnia 1898 roku podał królikom i szczurom. A im się spodobało. Wówczas Dreser namówił czterech młodych pracowników warsztatu – Bayer nie miał jeszcze fabryki – by spróbowali specyfiku. Nie istniały w tamtych czasach żadne komisje etyczne, a Dreser niczego nie robił połowicznie. Jego ludzkie króliki doświadczalne dostały potężną, ale na szczęście nie śmiertelną dawkę nowej substancji. Przyswajanie doustnie podanej diacetylomorfiny jest jeszcze mniej przewidy-

walne niż morfiny, ale znaczna jej część musiała trafić do krwiobiegu „ochotników”. Gdyby eksperyment się nie powiódł, proszek z powrotem zostałby zapomniany, być może na zawsze, jednak nawet najbardziej sceptyczny z czwórki stwierdził, że działanie było doprawdy cudowne. Z najpotulniejszego z czwórki nowa substancja uczyniła osobę zdecydowaną i pewną siebie, istnego drugiego Horacjusza Koklesa[3]. Wtórnie, po otrzeźwieniu, pojawiło się lekkie przygnębienie, u dwóch „ochotników” wystąpiły bóle głowy, a u jednego siny odcień ust, ale wszyscy czterej byli gotowi, a nawet chętni, żeby powtórzyć eksperyment. Jeden z nich opisał działanie proszku jako „heroiczne”, co zainspirowało Dresera do wymyślenia nazwy. Zastanawiał się nad określeniem „cudowny” (*wunderlich*), ale religijne skojarzenia mogłyby obrazić katolickich członków rady nadzorczej Bayera. Heroina (od *heroisch*) wydawała się lepszym wyborem.

* * *

Chociaż kontrolowane próby kliniczne wciąż należały do przyszłości, zarówno Dreser, jak i zarząd Bayera szczycili się swoją troską o bezpieczeństwo klientów. Firma subsydiowała dwóch lekarzy ogólnych w Berlinie, którzy mieli rozprowadzać lek losowo wśród swoich pacjentów i obserwować, jakie przynosi u nich efekty. (Losowość uważano za ostatnie słowo w naukowym rygorze). Lekarze mieli cztery tygodnie na wyciągnięcie wniosków – co w tamtych czasach było prawdziwą szczodrością – ale wystarczyło im kilka dni. Zareagowali entuzjastycznie. Najbardziej zdumiewające skutki lek wywierał w przypadku podatności na przeziębienia, bólów gardła i kaszlu, szczególnie częstych w Berlinie w połowie grudnia. Objawy znikały. Dwie pacjentki cierpiące na chroniczną gruźlicę przestały odkrztuszać krew. Co najbardziej niespodziewane, nawet wyjątkowo przygnębio-

ne osoby stwierdziły, że nowe lekarstwo przyniosło im błogosławioną ulgę w zaburzeniach psychicznych. Gdy te ustąpiły, ustały też rozsadzające bóle głowy. Zajaśniała nadzieja – najcenniejszy towar, jaki można sprzedać i kupić. Wszyscy cieszyli się okresem świątecznym. W jednym przypadku wyglądało na to, że minął od dawna utrzymujący się głód morfiny. Nawet pacjent terminalnie chory na raka wydawał się spoglądać w przyszłość z nową pogodą ducha. Widząc takie cudowne skutki, niejeden przyjaciel i krewny błagał, by jemu też podano ten lek. Ścisłe trzymanie się protokołu wymagało, aby odmawiać tym prośbom. Wyjątek uczyniono jedynie dla księżnej von Roon, krewnej samego kanclerza. Później się okazało, że podała lekarstwo swojemu cierpiącemu na depresję psu, który – w przeciwieństwie do czworonożnego przyjaciela Aldera Wrighta – natychmiast odzyskał swoje radosne usposobienie. Nie było żadnych komplikacji ani poważnych skutków wtórnych.

Byłoby nieetycznie trzymać taki eliksir pod kluczem dłużej, niż to absolutnie konieczne. Dreser przedstawił swoje odkrycie na Kongresie Niemieckich Przyrodników i Lekarzy, gdzie wiadomość przyjęto owacją. Uznał zasługę wcześniejszych eksperymentów Aldera Wrighta, ale w tej chwili liczyła się przyszłość. A zapowiadała się świetlana: dla milionów osób cierpiących z powodu kaszlu i przeziębień oraz – tak się złożyło – dla Bayera. Ogłoszono, że nowy produkt jest dziesięć razy silniejszy niż kodeina i osiem razy mniej toksyczny. W porównaniu z morfiną miał być pięć razy mocniejszy i zupełnie nieuzależniający. (Nikt nie zapytał, jak ta ostatnia, bezcenna cecha została określona w wyniku prób trwających zaledwie cztery tygodnie). Nawet stojący na czele firmy dynamiczny, ale sceptyczny Carl Duisberg dał się porwać ogólnej ekscytacji. Wraz z acetylowanym kwasem salicylowym, który właśnie otrzymano i wypuszczono

na rynek pod nazwą „aspiryna”, heroina miała zapewnić firmie przyszłość.

Sprzedawano ją w pudełkach zawierających ampułki do wstrzyknięć, a także w atrakcyjnych saszetkach z pieczęcią przedstawiającą lwa i kulę ziemską; na obu rodzajach opakowania etykiety głosiły, że w wyniku chemicznych procesów nowy lek został oczyszczony z uzależniających właściwości morfiny. Przy wprowadzeniu podskórnym skutek miał być odczuwalny „już na końcu igły”, ale najpopularniejszą formą stały się pastylki do ssania – „heroinowe dropsy na kaszel” – wkrótce sprzedawane w milionach. Dostępny był również glicerynowy roztwór, który podobno wchłaniał się z żołądka w ciągu kilku minut. W każdej formie nowy lek można było bezpiecznie podawać dzieciom w dowolnym wieku, nawet niemowlętom, oraz kobietom w ciąży.

W ślad za dystrybucją w Niemczech poszedł agresywny eksport, a reakcje z zagranicy, zwłaszcza z Anglii, były jeszcze bardziej entuzjastyczne. Co więcej, ujawniły nowe wskazanie do podawania leku i nowe potencjalnie korzystne działanie. Otóż niektórzy angielscy lekarze zauważyli, że heroina jest wyjątkowo skuteczna jako środek leczący z uzależnienia od morfiny. Pewien lekarz z Brighton zrelacjonował przypadek zaawansowanego morfinisty, „byłego oficera armii Jej Królewskiej Mości w Indiach, obecnie niezdolnego do prowadzenia normalnego życia czy nawet do czytania gazety”. Jego głód morfinowy został „cudownie ucięty” po serii heroinowych zastrzyków aplikowanych cztery razy dziennie w ciągu dwóch tygodni. (Zdaje się, że nie zraportowano długofalowych następstw). Na fali tych triumfów nowe lekarstwo szybko przeprawiło się przez Atlantyk i pierwszy oraz do tamtej pory jedyny przedstawiciel Bayera w Stanach Zjednoczonych, niejaki Friedrich Muller z Nowego Jorku, donosił, że „jeszcze żadnego leku

nie obwieszczono ani nie przyjęto w tym kraju z takim entuzjazmem". Specyfik nie zawiódł oczekiwań. „Miał wszystko do zaoferowania i nie odbywało się to kosztem zdrowia, w dodatku za nieprawdopodobnie niską cenę"[4]. Zapotrzebowanie przerosło wszelkie oczekiwania.

* * *

Jako najsilniejszy i najszerzej stosowany produkt otrzymywany z opium heroina przetrwała ponad 100 lat i nie zanosi się na to, by w najbliższej przyszłości miała być czymś zastąpiona. Warto może zatem zrobić tu krótką dygresję i omówić jej wytwarzanie oraz – co jeszcze ważniejsze – kliniczne działanie.

W przeciwieństwie do tego, co czasami można zobaczyć na małym i dużym ekranie, do przetworzenia surowego opium w heroinę nie potrzeba skomplikowanego sprzętu laboratoryjnego. Morfinę otrzymuje się, gotując opium w wodzie z dodatkiem wapna. Strącają się przy tym organiczne pozostałości, a morfina i kilka podobnych do niej związków pozostaje zawieszona w cieczy nad osadem w postaci słabo widocznego białawego pasma. Wyciąga się ją i na nowo podgrzewa. Po dodaniu stężonego amoniaku morfina zestala się i opada na dno. Oddziela się ją od cieczy przez filtrowanie, a jest na tym etapie około dziesięć razy lżejsza od wyjściowego materiału. Następnie przez sześć godzin podgrzewa się równe ilości morfiny i bezwodnika octowego w temperaturze 85ºC i dodaje się chloroform, aby wytrącić pozostałe zanieczyszczenia. Roztwór trzeba przecedzić. Kiedy się doda węglan sodu, heroina opadnie na dno. Dalej oczyszcza się ją węglem aktywnym i alkoholem. Alkohol należy ostrożnie odparować, aby otrzymać w naczyniu czystą heroinę w postaci szarawej, bezpostaciowej, rozpuszczalnej w wodzie soli – chlorowodorku. Cała procedura nie wymaga

innego sprzętu niż standardowe wyposażenie małego szpitalnego laboratorium, a jej powodzenie zależy raczej od przytomnego dodawania substratów niż od jakichś szczególnych umiejętności. Żaden proces chemiczny nie jest dziecinnie łatwy do przeprowadzenia, ale wyspecjalizowane laboratoria produkujące heroinę pokazywane w niektórych filmach to fantazja twórców.

W krwiobiegu heroina gwałtownie zamienia się w morfinę, jednak ponieważ znacznie lepiej rozpuszcza się w tłuszczach w swoim wyjściowym stanie, część jej od razu przenika do ośrodkowego układu nerwowego. Dlatego jej natychmiastowe działanie jest silniejsze od działania morfiny, ale zarazem krótsze. Skrzywione poczucie czasu sprawia, że trudno o bezpośrednie porównanie, uważa się jednak, że wagowo heroina jest od pięciu do ośmiu razy silniejsza jako środek wywołujący wrażenie szczęścia oraz jako niebezpośredni analgetyk. Działanie przeciwbólowe jest niebezpośrednie, ponieważ w dużej mierze polega raczej na psychologicznej odpowiedzi na ból niż na obiektywnym tłumieniu eksperymentalnie wywoływanych bolesnych impulsów nerwowych. Nawet po 100 latach nauka nie wie jeszcze dokładnie, jak to zjawisko należy rozumieć.

* * *

Znaczną część wczesnej literatury o heroinie dziś czyta się z zakłopotaniem. W przypadku kaszlu czy bólu gardła – pierwszych „absolutnych wskazań” do podania leku – aby zupełnie stłumić objawy, zalecano cztery lub pięć dziennych dawek przez cztery albo pięć dni. To wystarczyłoby, żeby po zaprzestaniu przyjmowania zastrzyków czy pastylek czuć się okropnie – pierwsza obserwacja, która powinna uderzyć na alarm. Nie uderzyła. Odnotowano kilka niefortunnych wypadków. Żona pastora z Bielefeld, niedaleko od siedziby

Bayera, kiedy jej odmówiono dalszych zastrzyków przeciw atakom migreny, popełniła samobójstwo. Takie nieszczęśliwe zdarzenia lekceważono jako wyjątkowe, zakładając, że mogą się trafić przy każdym lekarstwie, jeśli je zażyje wyjątkowo podatna osoba. Ale dowody ryzyka stawały się coraz mocniejsze. W 1902 roku z różnych części Niemiec napłynęły opublikowane informacje o co najmniej 12 przypadkach uzależnienia i kilku zgonach niemowląt. Trzy lata później liczba poświadczeń była już przytłaczająca. Pewien starszy, zaniepokojony sytuacją członek zarządu Bayera zasugerował, żeby zamiast rozprowadzać na rynku „czystą heroinę" jako produkt własnej marki, sprzedać lek innym firmom farmaceutycznym, aby włączyły go do swoich opatentowanych lekarstw pod nazwą „środka wspomagającego". Nie było potrzeby wspominać samej heroiny. Propozycja odpadła w głosowaniu jako przypuszczalnie niezgodna z prawem. Znacznie prostsze i całkowicie legalne raporty o toksyczności, uzależnieniu i śmierci będą ukrywane. W ramach gestu dobrej woli obniżono zawartość heroiny w cieszących się największym powodzeniem dropsach na kaszel z 82 do 65%. Nadal był to jeden z najlepiej sprzedających się leków bez recepty. Później twierdzono, że to przez niewiedzę Bayer nie wycofał heroiny z rynku ani nie zaprzestał reklamowania jej jako całkowicie bezpiecznej aż do 1913 roku. Kiedy wreszcie sprzedaż wstrzymano, przyzwyczajeni do zażywania klienci nie dostali żadnego wytłumaczenia ani porady. Jeszcze w 1912 roku cytowano J.D. Trawicka, amerykańskiego lekarza ze stanu Kentucky, twierdzącego, że rzucanie oszczerstw na ten „cudowny lek" to jak „kwestionowanie wierności dobrego przyjaciela"[5].

* * *

Heroina była może niebezpieczna, ale jako lekarstwo stawiające na nogi zbierała wiele pochwał. Skutki zażycia pojawiały się znacznie szybciej niż w przypadku morfiny, a wiele osób utrzymywało (i wiele robi to nadal), że znacznie lepiej działa, natychmiast dodając człowiekowi pewności siebie. Paradoksalnie – zważywszy na to, że jest pochodną morfiny – jej cena poza obrotem aptecznym była przez długi czas w licznych krajach niższa niż cena opatentowanego leku. Działo się tak z kilku powodów. Jako białawy bezpostaciowy proszek bez trudu dawała się „fałszować". Nawet ze zwiększającymi objętość i ciężar domieszkami jej działanie zdawało się zadowalające. Nieco łatwiej można ją było ukryć niż morfinę, co upraszczało nielegalny handel. Z jakiegoś – do dziś nie do końca wyjaśnionego – powodu w mniejszym stopniu wywoływała zaparcia (przynajmniej tak twierdzili jej zwolennicy). Również mniej narażała pacjentów na nudności i podrażnienie żołądka[6]. Podobno rozluźnienie po haju rzadziej wiązało się z sennością i koszmarami. Jak w przypadku wszystkich środków uzależniających, trudno dojść do absolutnej prawdy. Obydwa leki łatwo przenikają przez barierę łożyska w łonie ciężarnej kobiety, ale heroina przypuszczalnie prześciga na tym polu morfinę. Dzieci kobiet, które zażywały narkotyk podczas ciąży, mogą przychodzić na świat poważnie uzależnione. To bardzo przygnębiający fakt. Noworodek tak samo nie chce ani nie może być raptownie odstawiony od narkotyku jak dorosły. Śladowe ilości heroiny są obecne również w mleku matki.

W wielu eksperymentach naukowych badano skutki podawania morfiny i heroiny zwierzętom. Między poszczególnymi gatunkami widać wyraźne różnice, ale nawet w obrębie jednego gatunku występują znacząco odmienne skutki zaaplikowania morfiny i heroiny. Większość psów (ale nie wszystkie), podobnie jak terier Aldera Wrighta, raczej nie

lubi heroiny, ale nie morfiny; przedstawiciele niektórych ras mogą przyjmować heroinę bezpiecznie, u innych zaś jest fatalna w skutkach nawet w małych dawkach. U kotów wywołuje drgawki, a morfina nie. Chomiki i szczury lubią oba leki. Konie i charty wyścigowe po heroinie dostrzegalnie, choć nie rażąco zwalniały i przegrywały w ważnych wyścigach. Nie jest szczególnie trudno wykryć obecność jednego czy drugiego narkotyku w krwi, tkankach i moczu, lecz nie istnieje nic takiego jak wykrywanie opium w wydychanym powietrzu.

Jedna właściwość heroiny nigdy nie ulegała wątpliwości. Z wszystkich opiatów, a przypuszczalnie również z wszystkich narkotyków, jest najbardziej uzależniająca. Ta cecha nie daje się łatwo zmierzyć. Są jednostki, może nawet jest ich sporo, które mogą przez całe życie utrzymywać się na tej samej dawce. Inne odczuwają potrzebę lekkiego zmieniania dawki, na ogół zwiększania, ale doświadczają nieznacznych skutków ujemnych albo nie zaznają ich wcale. Jednak najbardziej oczywistym miernikiem mocy uzależniającej są cierpienia spowodowane odstawieniem i tu heroina wyprzedza wszystkie inne środki odurzające. Opis tych potworności zawarty w książce Roberta S. de Roppa *Drugs and the Mind* („Narkotyki a umysł”) jest niedościgniony, ale też nieprzeznaczony dla wrażliwych oczu czy uszu:

> Od ośmiu do dwunastu godzin po ostatniej dawce uzależniony zaczyna się robić niespokojny. Ogarnia go poczucie słabości, ziewa, drży i poci się cały jednocześnie, podczas gdy z jego oczu i we wnętrzu nosa ścieka wodnista wydzielina, którą porównuje do „gorącej wody spływającej do ust”. Na kilka godzin może zapaść w niespokojny sen, w którym rzuca się i miota. Po przebudzeniu, od 15 do 24 godzin od zażycia ostatniej dawki, uzależniony zaczyna zstępować głębiej. Ziewanie może się stać bardzo gwałtowne, aż do zwichnięcia żuchwy, z nosa cieknie wodnisty śluz, z oczu płyną łzy. Źrenice są mocno rozszerzone, włosy stają dęba, skóra

jest zimna i pokryta tak wyraźną gęsią skórką, że wydaje się to wyjaśniać określenie z żargonu nałogowców „zimny indyk”[7].

Teraz, aby zwielokrotnić cierpienia uzależnionego, jego wnętrzności zaczynają działać z fantastyczną gwałtownością: przez żołądek przechodzą potężne fale skurczów, powodując ostre wymioty; w wymiocinach czasami znajdują się ślady krwi. Owe skurcze wnętrzności są tak silne, że na powierzchni brzucha widać pobrużdżenia i węzły, jakby pod jego skórą przemieszczało się kłębowisko węży. Coraz dotkliwszy staje się ból brzucha (…). W ciągu 24 godzin uzależniony może oddać aż 60 dużych wodnistych stolców (…).

Od 24 do 36 godzin po przyjęciu ostatniej dawki uzależniony przedstawia sobą doprawdy przerażający widok. W desperackim usiłowaniu, aby się rozgrzać mimo dreszczy wstrząsających jego ciałem, okrywa się każdym kocem, jaki może znaleźć. Całe jego ciało trzęsie się od drgawek, nogi wierzgają mimowolnie (…).

W tym okresie uzależniony nie zaznaje snu ani odpoczynku. Bolesne skurcze mięśni sprawiają, że rzuca się na łóżku lub na podłodze. To wstaje i chodzi w kółko. To się kładzie. O ile nie jest wyjątkowo stoicką jednostką [a stoicy nie uzależniają się], wydaje ponure krzyki. Ilość wydzieliny płynącej z oczu i nosa jest ogromna, [podobnie jak] ilość płynów wydalanych z wnętrzności. Od obfitych potów pościel i materace są wciąż przemoczone. Brudny, nieogolony, zaniedbany, usmarowany własnymi wymiocinami i odchodami, uzależniony na tym etapie przedstawia sobą niemal nieludzki widok. Ponieważ nie je ani nie pije, gwałtownie się wycieńcza i w ciągu 24 godzin może stracić na wadze nawet pięć kilo. Jego słabość może się stać tak wielka, że nie będzie w stanie podnieść głowy. Na tym etapie wielu lekarzy zacznie się niepokoić o życie swojego pacjenta i poda mu zastrzyk narkotyku. To niemal natychmiast wycofa przerażające objawy, ale tylko na jakiś czas[8].

Śmierć z powodu odstawienia zdarza się, ale rzadko. Pacjent może błagać, żeby skrócono mu męki, ale na ogół jest zbyt słaby, by sam odebrać sobie życie. Jeśli nie poda się dodatkowego narkotyku, objawy zaczynają ustępować w czwartym, piątym lub szóstym dniu, lecz człowiek jest dogłębnie wyczerpany, nerwowy i niespokojny. Może cierpieć

na uporczywe zapalenie okrężnicy. Dzisiaj przebieg kliniczny można znacząco załagodzić lekami uspokajającymi, odpowiednikami opiatów oraz hipno- i psychoterapią prowadzoną pod kierunkiem specjalistów, ale odstawienie i tak pozostaje jednym z najbardziej bolesnych doświadczeń – i jedną z najbardziej skutecznych metod torturowania – w technicznie zaawansowanym świecie.

* * *

Ogólnie rzecz biorąc, okres zauroczenia nową „bezpieczną” pochodną opium był nieco krótszy niż po wprowadzeniu morfiny, która miała zastąpić laudanum. W 1906 roku Rada Farmacji i Chemii Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego przy heroinie, zaliczonej do „nowych i nieoficjalnych leków przeciwkaszlowych i przeciwbólowych”, dodała ostrzeżenie, że „łatwo powstaje nałóg i może prowadzić do opłakanych skutków”. Takie spostrzeżenia zazwyczaj nie od razu rozchodzą się wśród członków medycznej profesji, a 100 lat temu rozpowszechniały się jeszcze wolniej. Przez kilka krytycznych lat przestrogi jakoś omijały lobbystów i polityków w Waszyngtonie, gdzie grzmiało się, aby wszelkie leki, których można nadużyć, zostały raz na zawsze zakazane. Aktywistom ze wzrokiem utkwionym w takich świetlanych celach czasami umykają nieistotne z pozoru szczegóły. Takim szczegółem przez kilka lat była heroina.

ROZDZIAŁ 23

Narodziny krucjaty

Kampania – choć może odpowiedniejszym określeniem byłaby „krucjata” – podjęta w celu zakazania wszelkich leków powodujących uzależnienie, i to wszędzie, była pierwszą akcją, w której Stany Zjednoczone postanowiły zająć wiodącą pozycję w świecie. Znowu polityka międzynarodowa splotła się z kwestią opium. Po triumfalnym zakończeniu wojny amerykańsko-hiszpańskiej – 1 maja 1898 roku komandor George Dewey zatopił w Zatoce Manilskiej całą hiszpańską flotę pacyficzną – Stany Zjednoczone ku zdumieniu wielu Amerykanów stały się imperialną potęgą. Dla niektórych było to w najwyższym stopniu niepożądane. Ojcowie Założyciele narodu nie mieli w swej wizji imperialnych podbojów. Ale konsekwencje zwycięstwa są tak samo nieuniknione jak następstwa klęski, a ci, którzy czuli się zakłopotani sytu-

acją, znaleźli się w mniejszości. W 1902 roku „Washington Post” tak podsumował panujące w narodzie nastroje:

> Polityka izolacjonizmu jest martwa. Nowa świadomość zdaje się napawać nas świeżą siłą (…), a wraz z nią nowym apetytem, pragnieniem, aby pokazać naszą siłę (…). Ludzie mają w ustach smak imperium, nawet jeżeli jest to smak krwi w dżungli[1].

Najbardziej namacalnym rezultatem amerykańskiej nowej siły było nabycie terytoriów, które nigdy nie miały się stać częścią Unii, ale najwyraźniej było im pisane – w ich najlepszym interesie – by się dały prowadzić Stanom Zjednoczonym. Sformułowanie cokolwiek niejasne, ale lepiej użyć wielosłownego omówienia, aniżeli stanąć twarzą w twarz z nieprzyjemnym faktem. Oto w charakterze łupów wojennych Stanom Zjednoczonym przypadły terytoria, które inne państwa nazwałyby koloniami. I od samego początku posiadłości te nastręczały takich samych kłopotów, z jakimi borykały się kolonialne imperia. Zwłaszcza na Filipinach, będących zbiorem około 7000 wysp, od lat tlił się ruch niepodległościowy wymierzony w Hiszpanię. Gdy tylko przegrała ona wojnę, powstańcy natychmiast ustanowili republikę. Prezydent McKinley stwierdził, że nie ma takiej opcji. W jego rozumieniu istniało prawdopodobieństwo, a nawet pewność, że Filipińczycy zostawieni samym sobie zaraz wpadną w ręce jakiejś kolonialnej potęgi. Niepodległe Filipiny rządzone przez miejscowych dzikusów były nie do pomyślenia. „Nie pozostaje nam nic innego – obwieścił prezydent na zgromadzeniu współwiernych metodystów[2] – jak wyedukować Filipińczyków i podnieść ich poziom moralny, ucywilizować ich i schrystianizować własnymi siłami”[3].

Niestety, w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat wyspiarze raczej się tego nie doczekali. Partyzanckie oddziały, które do tej pory gromadziły się, by walczyć przeciwko Hiszpa-

nii, teraz zwróciły się przeciw Amerykanom. Obie strony prowadziły wojnę niezwykle brutalnie. Generał Jacob H. Smith, czule nazywany Piekielnie Niesamowitym Jake'em[4], w słynnych słowach poinstruował majora Littletona Wallera: „Życzę sobie, by pan zabijał i palił, im więcej pan zabije i spali, tym bardziej mnie zadowoli. Chcę, aby zabito wszystkie osoby zdolne do noszenia broni przeciwko Stanom Zjednoczonym"[5]. Bodaj bardziej reprezentatywna była opinia wojskowego lekarza: „Co za złodziejska, zdradziecka, bezwartościowa banda drani [jest] z tych Filipińczyków (…). Nie można ich traktować jak cywilizowanych ludzi. To naprawdę zwierzęta"[6]. Jego antypatię – jak wielebny Stephen Stegner, metodystyczny misjonarz, doniósł swoim zwierzchnikom – odwzajemniali Filipińczycy, a raczej ich elita. Istniała na wyspach nieliczna, ale wpływowa hiszpańskojęzyczna miejska klasa, która ludzi niemówiących po hiszpańsku, w tym dużą mniejszość chińską, miała w pogardzie. Antagonizm ten nie wróżył dobrze na przyszłość, a już na pewno nie zapowiadał nic dobrego w kwestii, która zaczynała być na Filipinach dręczącym problemem – opium.

Dokładniej rzecz ujmując, opium stało się dręczącym problemem wraz z amerykańską okupacją. Przez pół wieku Hiszpanie prowadzili lukratywny monopolistyczny handel, zaspokajając potrzeby 700 000 Chińczyków. Kontrakty na sprzedaż narkotyku zawierano w wyniku przetargu z istotnym zastrzeżeniem, że towar nie będzie sprzedawany Filipińczykom. Zarówno licytujący, jak i właściciele publicznych palarni opium byli Chińczykami, dlatego ochoczo przystawali na ten warunek. Bogaci Chińczycy, zbyt wybredni, by palić w towarzystwie hołoty, mieli od Hiszpanów pozwolenie na zakładanie bardziej ekskluzywnych klubów. System ten kolonialnym władzom przynosił równowartość 600 000 dolarów rocznie, a cena na ogół odstraszała rdzennych Fili-

pińczyków od zgubnego nałogu. Amerykańskie władze z miejsca odrzuciły ten układ jako „odrażający dla amerykańskiej praktyki i teorii sprawowania władzy”. Nie miało być więcej przetargów, sklepy z opium zamknięto, a palenie narkotyku zostało zakazane. Spożycie od razu zaczęło rosnąć. W teorii zniesienie monopolu było uczciwym posunięciem zmierzającym do wstrzymania handlu. W praktyce zaś i przy niepowstrzymanym dopływie towaru z przemytu skutek okazał się taki, że cena spadła, i to na tyle, że biedniejsi Filipińczycy mogli sobie pozwolić na zakazany owoc. W niedługim czasie wielu rozwinęło takie samo upodobanie do opium jak Chińczycy. Kiedy wkrótce po wprowadzeniu prohibicji w Manili wybuchła szczególnie ostra epidemia cholery, gubernator William Taft zaproponował czasowe zniesienie zakazu. Wiadomość o tym, nieco przeinaczona, przeciekła do Stanów Zjednoczonych i wywołała protesty. Czy podstępni Chińczycy wywierają na gubernatora niestosowny nacisk? Taft miał prezydenckie ambicje i wycofał swą propozycję. Nie będzie odwrotu. Filipiny miały się stać poligonem doświadczalnym dla „wielkiej siły działającej w słusznej sprawie” – siły, która nabierała rozpędu i była gotowa do uderzenia.

* * *

Ruch stawiający sobie za cel ogólnoświatową prohibicję narkotykową początkowo skupiał się w Międzynarodowym Biurze Reform – misyjnej organizacji z główną siedzibą w Filadelfii i licznymi placówkami rozmieszczonymi na wschodzie Stanów Zjednoczonych. Jej świątobliwy dyrektor, wielebny Wilbur Crafts, od wielu lat lobbował za światowym zakazem sprzedawania zarówno alkoholu, jak i opium, „szczególnie wśród dziecięcych ras, które cywilizowane narody usiłują chrystianizować”. Do tych ostatnich zawsze za-

liczał Chińczyków, ale gdy jego ojczyzna nabyła Filipiny, oficjalny kurs się zmienił. Biuro Reform odniosło się do tego faktu z szacunkiem, jak postąpiłaby każda organizacja o nieskazitelnej moralności bez większych nadziei na sukces. Jednak w przeciwieństwie do Chińczyków i innych niesprecyzowanych „dzieci", Filipińczycy znaleźli się teraz pod bezpośrednią pieczą Amerykanów. Ich prawdziwe czy potencjalne uzależnienie oraz jego konsekwencje to coś, czego nie wolno było ignorować.

Do zmiany kursu przyczyniły się inne sprawy. Biały Dom Theodore'a Roosevelta[7] tętnił życiem, pełen szalejących dzieci, hałaśliwych zwierząt, zdesperowanych służących i nieustannie dokądś śpieszących sekretarzy. Od czasu do czasu ponad zgiełk wybijał się ryk samego pana domu, było to więc całkiem inne miejsce niż spokojne, czasami nieco zastałe domostwo jego poprzedników. Nowy prezydent nie miał wątpliwości co do tego, że przyszedł czas, aby Stany Zjednoczone utwierdziły swoją potęgę. Jego sekretarz stanu, Elihu Root, zgadzał się z tym. Natychmiast i z entuzjazmem przyjął program Międzynarodowego Biura Reform: „Jeśli chodzi o opium w Chinach oraz wśród dzikich ras, są one hańbą dla cywilizacji". Przyklasnęli temu inni zajmujący wpływowe pozycje. W 1902 roku prezydencki sojusznik w Kongresie, Henry Cabot Lodge z Bostonu, przepchnął w Senacie rezolucję zakazującą sprzedaży opium i alkoholu wszystkim „pierwotnym plemionom i niecywilizowanym rasom". Postanowienia Ustawy wkrótce rozszerzono o zakaz sprzedaży narkotyków i substancji upajających w samej Ameryce „niecywilizowanym elementom", takim jak Indianie, rdzenni mieszkańcy Alaski i robotnicy kolejowi (czyli Chińczycy), a także tubylcza ludność Hawajów i – nade wszystko – Filipin. Do nowych kolonii miała się udać prezydencka komisja, by zbadać problem z opium i wydać zalece-

nia. Wybór przewodniczącego komisji, który zarazem miał zostać biskupem episkopalnym Manili, okazał się trafiony.

Charles Henry Brent był już znany ze swojej pasterskiej posługi w czarnych gettach Bostonu i Filadelfii. Syn kanonika z katedry w Toronto słynął jako człowiek głębokiej chrześcijańskiej wiary. Reformatorom, którym się powiodło, zwykle przysługuje chwała działająca wstecz. Po namyśle, z perspektywy wielu lat, Brent postrzegał swoją służbę w Filipinach jako porażkę. I w pewnym sensie miał rację. Zdobył przyjaźnie i nawet dokonał kilku nawróceń oraz nauczył się większości tego, co trzeba było wiedzieć o handlu opium. Ale w ciągu 20 lat od zniesienia hiszpańskiego monopolu liczba uzależnionych wśród Filipińczyków wzrosła czterokrotnie. Brent należał do tych nielicznych działaczy antyopiumowych, których przeciwnicy darzyli szacunkiem. Stawiał raczej na perswazję niż na prawienie kazań, ale jego oddanie sprawie nigdy nie ulegało wątpliwości. Zakorzenione było w osobistej tragedii. Dziesięć lat wcześniej brat Brenta, Willoughby, wiejski lekarz prowadzący praktykę na wybrzeżu Nowej Szkocji, uzależnił się od opium. Charles opiekował się nim, aż doktor sam się zabił. Nic więc dziwnego, że nienawiść biskupa do narkotyku czasami wywoływała u niego nietypowe porywy:

> Z twoim bogatym, nieprzebranym pięknem żadna polna uprawa pod słońcem się nie równa. Kwitnący mak jest pełen życia, dramatyzmu i pasji, niczym wspaniała, żądna przygód dama wabiąca zastępy kochanków i jak wampirzyca wysysająca z nich dusze pocałunkiem.

Niemniej miał intuicyjne zrozumienie dla tego, co cierpiących i zacofanych ludzi przyciąga do narkotyku, ponadto nigdy nie uważał, że można coś zmienić przymusem. Nie wykazywał osobistych ambicji. Nie prosił się o skierowanie na

Filipiny, ale kiedy się tam znalazł, odrzucał propozycje napływające od prestiżowych episkopalnych siedzib w Stanach Zjednoczonych. Szybko jednak stało się jasne, że opium zalewa wyspiarzy zewsząd i tu na miejscu nigdy nie uda się znaleźć rozwiązania. Pod tym względem – i chyba pod żadnym innym – zgadzał się z najgłośniej wyrażającym swoje opinie członkiem komisji, człowiekiem, który później zostanie okrzyknięty Ojcem Amerykańskich Praw Antynarkotykowych.

* * *

Hamilton (znany wszystkim jako Ham) Wright ukończył medycynę na Uniwersytecie McGill. Przystojny, sprytny kłamca z niebezpiecznego gatunku „przejrzyście uczciwych", nawet gdy to, co mówił, wyraźnie kłóciło się z faktami, trudno było mu nie uwierzyć. Jego wczesne badania nad bakteryjnym pochodzeniem choroby beri-beri (którą w rzeczywistości wywołuje niedobór witaminy B_1) zyskały wielkie uznanie, choć wysunięte przezeń tezy szybko obalono. Znalazł więc sobie nową misję – lidera w ogólnoświatowej wojnie opiumowej. W tej roli stał się bezczelny i tyranizował słabszych, a obie te cechy doskonale pasowały do świty Theodore'a Roosevelta. Sam prezydent nabrał przekonania, że ma do czynienia z człowiekiem, który zna rozwiązania narkotykowego problemu, a jako że większość zagranicznych kłopotów miała wymiar narkotykowy, była to cenna wiedza. Cudzoziemcy przeciwnie – uważali doktora za aroganckiego, traktującego ich z góry i niegodnego zaufania, on zaś rewanżował im się taką samą niechęcią. Z wyjątkiem Chińczyków, których postrzegał jako zacofanych, ale naturalnych sprzymierzeńców, wszystkich niebiałych Amerykanów uważał za należących do niższego rzędu ewolucyjnego.

Wybór Chin na potencjalnego sojusznika był sprytnym posunięciem. Chylące się ku upadkowi imperium stanowiło znakomity przykład tego, co opium może zrobić z całym narodem. Nałóg wyzwalał w ludziach gnuśność zamiast energii, zsyłał im marzenia zamiast osiągnięć i złudzenia zamiast realnych myśli. „Cały świat – pisał Wright – wzdrygając się, patrzy na skrajne wyczerpanie Chin uginających się pod przekleństwem narkotyku; a Amerykanie powinni się wzdrygać najmocniej”[8]. Chińskie imperium nigdy się nie podźwignie, jeśli nie strząśnie z siebie klątwy, a misją Stanów Zjednoczonych jest dopomóc mu w tym. Ameryka może zaproponować nie tyle pomoc, towary czy nawet religijną wiarę, ile techniczne know-how. Chińczycy wkrótce się przekonają, że to prawdziwe błogosławieństwo boże. Przepełni ich to wdzięcznością. Postęp technologiczny pomoże im przezwyciężyć trawiący ich nędzny głód maku. Wright nie głosił tego z czysto fałszywych pobudek. Należał do pierwszego pokolenia swoich rodaków, które wierzyło, że pod amerykańskim przywództwem można osiągnąć ogólnoświatowy dobrobyt dla wszystkich, którzy nań zasługują. Nie miał również wątpliwości co do tego, że opium i jego pochodne to największe bezpośrednie przeszkody na drodze do tego dobrobytu. Lecz w swym dążeniu do celu nie przebierał w środkach i bez najmniejszych skrupułów odsuwał na bok zastrzeżenia, które komuś mniej zdeterminowanemu mogłyby przysporzyć kłopotów. Ponadto nie docenił wroga – nie on pierwszy ani nie ostatni.

Wright był utalentowanym mówcą, toteż orędzia, jakie wygłaszał przed zwykłymi obywatelami, politykami i kręgami religijnymi różniły się nieco jedno od drugiego. Najpierw omawiał sam problem narkotyku. Czy szanowni słuchacze zdają sobie sprawę, że „z wszystkich państw świata największe spożycie substancji uzależniających w przeliczeniu

na obywatela mają Stany Zjednoczone (…)? Czy słuchacze uświadamiają sobie, że opium, najbardziej szkodliwy narkotyk znany ludzkości, w tym kraju zostało otoczone mniejszymi zabezpieczeniami niż w jakimkolwiek europejskim państwie?”[9]. Oba zdania były nieprawdziwe, ale komu chciałoby się sprawdzać? Następnie Wright sięgał po kartę rasową i grając nią, stopniowo podkręcał intensywność wypowiedzi: „Czy szanowni słuchacze wiedzą, że na Południu odnotowano wzrost liczby przypadków Murzynów uzależniających się zarówno od opium, jak i od nowej formy nałogu (…) wąchania koki (…), które nieodparcie skłaniają ich do gwałcenia białych kobiet (…). Co sprawia, że zagrożenie jest jeszcze okropniejsze, to fakt, że narkotyki udoskonaliły u nich umiejętności strzeleckie”[10]. Wreszcie przychodziła kolej na popisowy temat Wrighta: wdzięczność Chińczyków za wsparcie ze strony Stanów Zjednoczonych. Była ona bezgraniczna, zwłaszcza po 1894 roku, kiedy Parlament Wielkiej Brytanii haniebnie odrzucił zalecenia własnej Królewskiej Komisji i nie zakazał handlu indyjskim opium. Cóż to za kontrast wobec zdecydowania okazanego przez Kongres Stanów Zjednoczonych, który wyjął spod prawa palenie opium wśród Filipińczyków i zaproponował systematyczne działania odwykowe wszystkim żyjącym na wyspach uzależnionym Chińczykom. „To – zdaniem Wrighta – ogromnie podniosło na duchu najlepszych chińskich mężów stanu”[11]. Zaiste, tak potężny był wpływ amerykańskiej polityki, że nie minęło wiele czasu, a antyopiumowy ruch szykował się już w Pekinie do „całkowitego zakazania narkotyku w imperium”[12].

Okoliczności przyczyniły się do tego, że przynajmniej wśród biznesmenów nawoływania Wrighta padły na podatny grunt. Amerykańscy przedsiębiorcy nigdy nie zdołali zgarnąć dla siebie więcej niż nędzne 8% chińskiego handlu

opium, co było irytującą anomalią przypisywaną podstępnym knowaniom europejskich rywali. Czas, żeby konkurencja dostała wreszcie nauczkę. Amerykańskie doświadczenie w kolejnictwie, niezmiernie dochodowej gałęzi gospodarki, zostanie entuzjastycznie przyjęte przez zamroczonych narkotykiem mandarynów. Sprawi, że ujrzą światło i przyznają, jak wielki dług wdzięczności mają wobec Stanów Zjednoczonych. Okazało się to jednak nie takie proste, jak się wydawało.

Dopóki antyopiumowa legislacja była skierowana przeciw odległym wyspiarzom, Kongres Stanów Zjednoczonych chętnie współpracował. Ale uzależnienie w ojczyźnie to co innego. Znaczna część kongresmenów i senatorów odczuwała, że federalne prawo nakładane na sprawy moralne – a uzależnienie od narkotyków można było postrzegać jako taką – byłoby niezgodne z konstytucją i zupełnie niepożądane. Egzekwowanie takich regulacji wymagałoby – argumentowali – działania policji, a to tradycyjnie leży w gestii poszczególnych stanów. Była to instynktowna reakcja, ale niepozbawiona mocy przekonywania. Prawodawcy – albo przynajmniej spora ich część – nie byliby chętni do przekazania federalnej administracji nowych uprawnień. Jednak Wright dostrzegł sposób, jak można to obejść. Gdyby wszechstronny zakaz nałożony na narkotyki był częścią międzynarodowego traktatu ratyfikowanego przez Kongres i podpisanego przez prezydenta, wówczas poszczególne stany musiałyby się na niego zgodzić. Pomysł zorganizowania międzynarodowej konferencji, która by zbadała taką możliwość, rozważano kilka lat wcześniej w kręgach religijnych antyopiumowych działaczy, ale odłożono go wtedy na bok jako przykład pobożnych bzdur. W 1908 roku Wright odświeżył go z wielkim zapałem. Poprzednio nie miał oficjalnego statusu, ale teraz prezydent mianował go opiumowym komisarzem z ra-

mienia Stanów Zjednoczonych. Powinien więc przygotować grunt pod wielkie zgromadzenie narodów.

* * *

Pierwsza Międzynarodowa Konferencja na temat Opium odbyła się w Szanghaju w 1909 roku i była kamieniem milowym zarówno w zakresie stosunków międzypaństwowych, jak i walki z opium. Miała też w sobie coś z farsy. Jej otwarcie opóźniło się o tydzień na pozór z powodu szacunku dla zmarłej niedawno cesarzowej wdowy, która całe życie spędziła w uzależnieniu. Opóźnienie dało delegatom okazję do zakosztowania rozkoszy portowego miasta. A były one egzotyczne, liczne i zaprawione narkotykiem. Pewien włoski dyplomata wplątał się w burdę w cieszącej się złą sławą palarni i skompromitowany, został odesłany do domu. Amerykańska piechota morska musiała przeganiać lobbystów i manifestantów naprzykrzających się delegatom. (Stany Zjednoczone i mocarstwa europejskie cieszyły się szerokimi eksterytorialnymi uprawnieniami, w tym prawem do stacjonowania oddziałów zbrojnych mających chronić dyplomatyczne enklawy). Przewodniczącym konferencji ostatecznie wybrano biskupa Brenta. Tymczasem przybyły delegacje z Chin, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Holandii, Włoch, Japonii, Austro-Węgier, Persji, Portugalii, Rosji i Syjamu. Delegacja Stanów Zjednoczonych przedłożyła najważniejszy wniosek: „Nie istnieje niemedyczne zastosowanie opium ani jego pochodnych, które by się nie wiązało z poważnymi niebezpieczeństwami”. Nie było jednak pełnej, jednogłośnej zgody. Brytyjczycy nic nie mówili o narkotyku w obecności nieakredytowanego reprezentanta Indii, ten zaś sznurował usta i trwał w milczeniu w obecności brytyjskiego lorda. Francja zgłosiła protest wobec faktu, że francuski, ówczesny główny „język dyplomacji”, nie jest oficjalny na konfe-

rencji. Persję, która wraz z Indiami była głównym dostawcą zagranicznego opium do Europy Wschodniej, reprezentował kupiec mocno zaangażowany w handel makowym sokiem; uśmiechał się mdło, zdawał się słuchać z uprzejmym zainteresowaniem, ale nic nie mówił. Za to większość delegatów niemających nic ciekawego do powiedzenia perorowała długo, zalecając zaostrzenie regulacji kiedyś w przyszłości, lecz jeszcze nie teraz. Na to mniej więcej wyrażono zgodę, głosując przez podniesienie ręki (głosy zliczył biskup Brent). Delegat Holandii zgłosił pomysł zwołania następnej konferencji i to spotkało się z entuzjazmem. Był to dołujący szczyt, ale Wright dostał to, czego chciał. Osiągnięto, jak głosił, „silną zgodność opinii", przez co na Stanach Zjednoczonych „zaciążyło zobowiązanie", aby zrobić krok, którzy przekształci „deklarację szanghajską" w międzynarodowe prawo. Co nie mniej ważne, propozycja, aby kolejna konferencja odbyła się w Hadze w Holandii, nada sprawie rozpęd.

Nastąpiło intensywne politykowanie. Huntingdon Wilson, stojący na czele Oddziału Dalekowschodniego w Departamencie Stanu, uważał Wrighta za nudziarza, ale Wright znalazł wsparcie w osobie nowego sekretarza stanu, Philandera C. Knoxa. Wspólnymi siłami przygotowali projekt ustawy łagodnej na jednym poziomie, ale drakońskiej na drugim. Właściwie domagali się tylko rejestracji i uiszczenia skromnego, niemal symbolicznego podatku nałożonego na wszelkie opiaty i inne uzależniające leki oraz zarejestrowania wszystkich sprzedawców leków; jednak tych, którzy by naruszyli to prawo, czekała bynajmniej nie symboliczna kara pięciu lat więzienia oraz grzywny do 5000 dolarów. W przeciwieństwie do cesarskich złorzeczeń w Chinach oraz do na ogół bezsilnych legislacji w kilku europejskich państwach, miała to być pierwsza naprawdę skuteczna

ustawa antynarkotykowa w świecie. Rzecz jasna, gdyby została uchwalona.

Ktoś musiał przedstawić projekt ustawy w Kongresie. Wright najpierw próbował zwerbować do tego Jamesa R. Manna, który kilka lat wcześniej przeforsował akt o białym niewolnictwie – pierwsze federalne prawo dotyczące spraw moralnych. Gdy Mann odmówił, Wright zbliżył się do członka Izby Reprezentantów Davida Fostera ze stanu Vermont, a ten podjął się zadania, aczkolwiek niechętnie. W trakcie obrad nad „projektem Fostera" wypuszczono – starannie dobierając moment – raport z konferencji w Szanghaju, w całości napisany przez Wrighta. „Zgodnie" przedstawiono w nim opium jako ogólnoświatowe zło, które teraz nie tylko zatruwa dziecięce rasy, lecz także rozprzestrzenia się po świecie dorosłych. „Ameryka heroicznie wzięła na siebie obronę" innych krajów przeciw temu globalnemu przekleństwu. Oprócz opium raport ze szczególnym jadem rozwodził się o „tym najbardziej odrażającym narkotyku", kokainie, która w rzeczywistości w ogóle nie była przedmiotem obrad w Szanghaju. Wright miał nadzieję, że rasistowskie opowieści grozy – „opium i kokaina coraz częściej zachęcają Murzynów na Południu do gwałtów" – pokonają opór południowych kongresmenów, których sentymenty żywione wobec stanowych praw stanowiły największą przeszkodę dla projektu ustawy. Mimo to i mimo że do Kongresu zaapelował prezydent Taft, projekt ustawy Fostera utknął w martwym punkcie i ostatecznie upadł. Dobiły go dwie szczególne grupy interesu działające w sojuszu: lobby farmaceutów (ponieważ projekt nie zakładał wyjątku dla opatentowanych leków zawierających opiaty) oraz browarnicy (ponieważ widzieli w tym preludium do ustawy antyalkoholowej). Było to jednak tylko chwilowe niepowodzenie. Znalazł się nowy sponsor w osobie Francisa Burtona Harrisona, jednego

z najbardziej znanych pijaków na Kapitolu. Pijaństwo okazało się cenną cechą. Działania Kongresu, jak to wyjaśnił browarniany milioner Zacharia Knobloch, mogą wyglądać na zdradzieckie w interpretacji prostego sędziego milczka. Sponsoring Harrisona gwarantował, że do ustawy nie zostanie ukradkiem przemycona żadna klauzula ograniczająca sprzedaż i spożycie alkoholu. Tak więc nowy projekt ustawy obejmował morfinę i kokainę, ale czynił wyjątek dla opatentowanych lekarstw zawierających mniej niż połowę grana heroiny. W rezultacie przez następne 10 lat można było bez przeszkód kupić heroinę bez recepty.

Jednakże zanim w Waszyngtonie w końcu uchwalono ustawę, w 1912 roku odbyła się pierwsza Konferencja w Hadze. Wynikło krótkie opóźnienie. Wielka Brytania zgłosiła sprzeciw w sprawie proceduralnej i Wright wyładował swe rozdrażnienie na Bogu ducha winnym arcybiskupie Canterbury, Randallu Davidsonie, zasłużonym abolicjoniście. Brent nalegał, by Wright przeprosił, ale atmosfera pozostała skwaszona. W końcu reprezentanci Portugalii, Japonii, Rosji, Włoch, Niemiec, Persji, Holandii, Stanów Zjednoczonych i Chin zasadniczo wyrazili zgodę na globalną legislację, ale z zastrzeżeniami. Portugalia była za zakazem z wyjątkiem handlu odbywającego się w Makau. To w praktyce dawałoby portugalskiej enklawie światowy monopol na handel opium. Ale podobne żądanie wysunęła Holandia względem Holenderskich Indii Wschodnich. Niemcy, aby chronić swój szybko rozwijający się przemysł farmaceutyczny, postulowali wyłączenie heroiny z klauzuli wymieniającej „pochodne opium”. Japonia zaprzeczyła, jakoby eksportowała strzykawki i igły do Chin czy gdziekolwiek indziej: liczne przykłady zaprezentowane przez delegację Chin uznała za podróbki. Rosja i Persja nalegały na dalszą uprawę maku w „celach zgodnych z prawem”, cokolwiek to miało oznaczać. De-

legacja francuska zaprotestowała przeciwko naruszeniu „odwiecznych praw Indochin do handlowania czymkolwiek”. Konferencja ostatecznie zażegnała spory, wydając komunikat, w którym delegaci przystali na to, że będą „dążyć” do wprowadzenia odpowiednich legislacji w swych krajach oraz kontrolować wszelkie fazy produkcji opium, morfiny i heroiny z wyjątkiem opatentowanych leków zawierających wymienione (ale w praktyce nie do sprawdzenia) ilości morfiny, kokainy i heroiny. Jednak, jako że z 48 państw obecnych na konferencji w Szanghaju do Hagi przysłało delegatów jedynie 12, żadna ugoda nie mogła być wiążąca do czasu, aż zbierze się więcej podpisów.

Takie „drobne” komplikacje nie mogły powstrzymać Hama Wrighta od proklamowania międzynarodowego porozumienia. Kariera działacza sięgnęła zenitu. W długim, mającym szeroki zasięg wywiadzie udzielonym „New York Timesowi” wychwalano go jako:

> Osobę, która wie o opium więcej niż jakikolwiek inny żyjący człowiek (…), żarliwą, energiczną, pełną werwy, magnetyczną (…), w Białym Domu często nazywaną „doktorem Opium” i dumną z tego (…). Stoi na czele światowej krucjaty, jego sława rozciąga się na cały świat. Wszędzie jest uważany za człowieka, który działając w pojedynkę, dokonał najwięcej[13].

Po tym pełnym uniesienia wprowadzeniu Wright mógł się rozwodzić o niegodziwościach wszystkich tych, którzy sprzeciwiają się wprowadzeniu legislacji (włącznie z przemysłem farmaceutycznym):

> Przemysł stracił już wiele ze swojej godności, pasąc się na uzależniających lekach. Jeden aptekarz na pięciu żyje z zysków czerpanych ze złych, uzależniających lekarstw. (…) Brak przezorności już uczynił z tego narodu największego narkomana świata, nie wyłączając Chińczyków (…). Żaden inny kraj w świecie nie stoi dziś

> przed takim opiumowym problemem ani nie dokłada tylu wysiłków, by sprostać problemowi stawiającemu tak zaciekły opór[14].

Wspaniały dowód na to, co można osiągnąć, dostarczyły Filipiny.

> [Tam] narkotykowy występek tak się już zadomowił, że byłby zupełnie zniszczył całą ludność, gdyby nie interwencja pana Tafta, pana Roota i Opiumowej Komisji. Należy im się ogromne uznanie (…). Prawdziwy problem mamy teraz w ojczyźnie (…). Rocznie konsumujemy 500 000 funtów narkotyku, podczas gdy łączne spożycie sześciu europejskich krajów wynosi 40 000[15]. Tylko natychmiastowe i drastyczne działanie może nas uchronić przed tym samym ponurym losem, który stał się udziałem Niebiańskiego Królestwa Chin. Na szczęście prezydent, sekretarz stanu i kilka innych osób umiejących spoglądać dalej, poza własne żałosne interesy, w końcu uświadamia sobie [powagę sytuacji][16].

Ani protokoły haskie, ani żaden inny podniosły manifest nie mogły zapobiec kolejnemu wybuchowi rasistowskiej histerii. Tym razem w sprawę włączył się oficjalny organ Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego, publikując słowa: „Z doniesień wynika, że czarni na Południu uzależniają się od nowej formy nałogu – „wąchania kokainy” (…). Wygląda na to, że popycha on czarnych do gwałcenia białych kobiet”[17]. Z kolei 8 lutego 1914 roku „New York Times” zamieścił artykuł Edwarda Huntingtona Williamsa zatytułowany *Czarni narkomani są nowym zagrożeniem Południa*.

> Morderstwo i obłęd spowodowane narkotykiem szybko się nasilają wśród niższych klas czarnych. Szeryfowie na Południu zwiększyli kaliber swej broni z 0.32 do 0.38[18], by móc powalić oszalałych Murzynów siejących zniszczenie pod wpływem narkotyków[19].

Zorganizowano dwie kolejne konferencje w Hadze: drugą w 1913 roku i trzecią, rozpoczętą w maju 1914. Ta ostatnia położyła kres wpływom Wrighta. Roosevelt podzielił Partię

Republikańską, która odmówiła mu ponownej nominacji prezydenckiej, i wybory 1912 roku wprowadziły do Waszyngtonu administrację Demokratów, a w jej szeregach licznych osobistych wrogów Wrighta. W szczególności był mu nieprzychylny William Jennings Bryan, nowy sekretarz stanu, mieszanina ewangelickiej gorliwości i wątpliwej polityki. Oskarżył on Wrighta, niemal na pewno fałszywie, o alkoholizm, co stało się sygnałem do zmasowanego ataku na doktora. Kiedy odmówił „złożenia deklaracji", został zwolniony[20]. Ale nawet jego upadek nie mógł na długo powstrzymać projektu Ustawy Harrisona. Przeszła w Kongresie i została podpisana przez prezydenta Woodrowa Wilsona w dniu świętego Walentego 1914 roku.

* * *

Podobnie jak niektóre inne doniosłe akty prawne, Ustawa Harrisona po uchwaleniu zaczęła żyć własnym życiem. Początkowo utrzymywano, że jej cel został wyraźnie wskazany w preambule: zasadniczo miała być środkiem regulującym podatki ściągane z „narkotycznych leków". Jej drugorzędny i jeszcze mniej szkodliwy cel miał polegać na „gromadzeniu wiarygodnych informacji". Ale zawierała niewinnie brzmiącą klauzulę, w myśl której lekarzowi wolno było przepisać lek i korzystać z niego „wyłącznie w trakcie wykonywania pracy zawodowej". Po 1917 roku interpretowano to w ten sposób, że lekarzom nie wolno przepisywać opiatów w ramach leczenia czyjegoś uzależnienia, ponieważ uzależnienie nie jest chorobą. Na ostrzeżenie aresztowano kilku lekarzy znanych z tego, że naruszają ustawę, a jeden trafił nawet do więzienia. Debata mogłaby się ciągnąć, gdyby Sąd Najwyższy z nadzwyczajną szybkością nie orzekł, że zaostrzona interpretacja ustawy jest w całości poprawna. Wkrótce potem sąd w Webb potwierdził, że lekarzom nie wolno przepi-

sywać narkotyków tylko po to, by pomóc uzależnionym w radzeniu sobie z „moralną niemocą, którą sami na siebie ściągnęli i która nie jest chorobą”.

* * *

Wciąż utrzymywała się poważna niepewność. Do pilnowania postanowień ustawy można było skierować jedynie małą grupę niespełna 100 funkcjonariuszy federalnych, którzy przy Departamencie Skarbu badali przypadki uchylania się od podatku dochodowego. Ustawa Harrisona w rzeczywistości została przedstawiona jako legislacja w głównej mierze podatkowa, ponieważ ten niewielki oddział policji był jedyną dostępną siłą federalną, która mogła sobie poradzić z egzekwowaniem nowych przepisów. Powstało teraz pytanie, czy należy interpretować ustawę w wąskim rozumieniu, przez co można by nadzorować jej przestrzeganie na poziomie stanowym, czy rozszerzyć i interpretację, i skład federalnej brygady. Debata była zaogniona, jak zawsze gdy ścierały się kwestie stanowych i federalnych kompetencji. Jak na ironię, decyzja ostatecznie zapadła nie w Waszyngtonie, a nawet nie w Stanach Zjednoczonych, tylko w Paryżu[21]. Tam w 1919 roku twórcy światowego pokoju w przypływie pobożnych intencji – którym nie towarzyszyło przemyślenie sprawy – włączyli protokół ostatniej opiumowej konferencji haskiej do dokumentów traktatu pokojowego. Protokół, sklecony naprędce latem 1914 roku, był mieszaniną nieokreślonych nadziei i niesprecyzowanych zaleceń, a nie projektem legislacyjnym. Ale Stany Zjednoczone podpisały ten traktat. Dzięki temu ci Amerykanie, którzy obstawali przy federalnym nadzorze, dostali gotowy środek nacisku. Międzynarodowe prawo musi być przestrzegane i tylko federalne siły mogą tego dopilnować. W rzeczywistości żaden inny kraj nie podszedł do protokołu haskiego w tak dosłow-

ny sposób, bo też tak naprawdę tylko nieliczni przeczytali go w całości. Zadziałał trik oparty na nadużyciu społecznego zaufania.

Jak można było przewidzieć, zadanie wprowadzenia ustawy w życie przypadło Biuru do spraw Narkotyków, działającemu przy Departamencie Skarbu. Mimo powojennych oszczędności, wprowadzonych w niemal każdym departamencie stanu, liczba agentów tego bura w ciągu pięciu lat potroiła się. Na początku lat 20. XX wieku powoli pojawiało się bezrobocie, toteż rekrutacja nie nastręczała trudności. Oprócz młodego wieku i „dynamizmu" jedynym istotnym wymaganiem, jakie stawiano kandydatom, była „wrodzona" nienawiść do narkomanów. Komisja rekrutacyjna szczyciła się, że potrafi wychwycić autentyczne okazy. Niewielu lubiło organizację, która najwyraźniej przed nikim nie była odpowiedzialna, ale też nikt nie mógł jej oskarżyć o marnowanie publicznych pieniędzy. W latach 1920–1925 aresztowała ponad 2000 osób, w tym 124 lekarzy, za „nielegalne rozprowadzanie bądź zapewnianie pochodnych opium". Jedną ósmą lekarzy uznano za winnych i choć jedynie czterech uwięziono, wielu skompromitowano. Doktor Wilbur Muffet, od dawna cieszący się szacunkiem 84-letni bostoński lekarz, zanim usłyszał werdykt, popełnił samobójstwo. Krucjata nabierała rozpędu.

ROZDZIAŁ 24

Wojna i pokój (tak jakby)

Ale nie należy wyprzedzać historycznych faktów. Dwa fatalne w skutkach strzały suchotniczego serbskiego studenta oddane do austriackiego arcyksięcia i jego żony 28 lipca 1914 roku doprowadziły do wojny, która – nie licząc niespokojnych przerw w hurtowym zabijaniu – zajmie 31 lat XX stulecia[1]. Wraz z wybuchem wrogości 3 września 1914 roku hascy negocjatorzy rozproszyli się wśród lamentów, ale przyrzekli sobie zebrać się znów wiosną, kiedy to pożałowania godne, głupie nieporozumienie będzie już przeszłością. Tymczasem postanowienia dotyczące opium trzeba było odłożyć na półkę. Ani potrzeba zażywania opiatów, ani praktyczne następstwa tej potrzeby nie znajdowały się wysoko na niczyjej liście priorytetów. Jednak choć nie istnieją dokładne statystyki, świadectwa płynące z anegdot sugerują, że spożycie opiatów w wojujących krajach zaczęło

rosnąć niemal od razu po wybuchu wojny i nie przestało przez najbliższe cztery lata.

Mimo obustronnych blokad i kampanii U-botów, które w niejednym kraju niebezpiecznie ograniczyły zaopatrzenie w niezbędne leki, takie jak chinina, zapasy opium rzadko się wyczerpywały. Turcja, Bułgaria i w mniejszym stopniu Węgry zaspokajały zapotrzebowanie państw Osi. Zachodni alianci na ogół korzystali z dostaw z Indii i Egiptu. Tureckie opium przemycano też do Włoch. Setki tysięcy czerwonych maków na polach Flandrii[2], zasilanych młodą krwią, nie rodziły żadnych substancji narkotycznych.

Kiedy morfina i heroina zaczęły jednak przyciągać uwagę podczas wojny, ministerialne umysły zaprzątał efekt działania tych substancji na morale i dyscyplinę żołnierzy. Pod koniec 1915 roku niektórym przywódcom wojskowym zaczęło świtać, że wielka ilość przemielonego ogniem karabinów maszynowych mięsa armatniego może się okazać decydującym czynnikiem tej wojny. A liczba szeregowców na frontach zaczynała topnieć z powodu fali dezercji i niezdolności do walki po przedłużających się pobytach w szpitalu. Feldmarszałek Franz Conrad von Hötzendorf, szef austro-węgierskiego sztabu generalnego, jako pierwszy wydał twarde rozkazy zakazujące sprzedawania żołnierzom narkotyków. Kara za złamanie tego rozkazu szybko (w lutym 1916 roku) wzrosła od kilkudniowego aresztu i utraty przepustki do śmierci. Już 15 marca w Galicji wykonano egzekucję na dziesięciu winnych: pięciu żołnierzach i pięciu cywilach, wśród których był prawosławny kapłan. W następnym tygodniu na pierwszych stronach budapeszteńskich gazet ukazały się zdjęcia ciał. Jednak w obliczu śmierci kara śmierci traci swą odstraszającą moc. Géza Csáth, lekarz psychiatra, poeta i cudowne dziecko węgierskiej literatury, w momencie wybuchu wojny zaciągnął się do armii i służył w szpitalu

wojskowym w Karpatach. „Wojna to ból, wojna to strach, wojna to rozpacz, wojna to śmierć”[3]. Rozdzielając hojnie morfinę pacjentom okaleczonym i rozbitym zarówno na ciele, jak i na umyśle, sam zażywał coraz większe ilości narkotyku. Uzależnił się w ciągu sześciu miesięcy.

Inni głównodowodzący poszli za przykładem von Hötzendorfa. Wycofanie dostaw morfiny było bezpośrednią przyczyną pierwszego buntu, jaki w marcu 1917 roku wybuchł we francuskiej armii. Nie zakończono go, dopóki rozkaz nie został uchylony. Główny chirurg Boissier de Brune ostrzegł naczelne dowództwo, że jeżeli morfina nie będzie dostarczana do szpitali polowych, cały korpus medyczny zdezerteruje. We wciąż niedokładnie zbadanym brytyjskim rozdziale historii wojny niektórzy żołnierze wyrokiem sądu wojennego zamordowani za tchórzostwo, w tym podporucznik John Wilson, odznaczony Krzyżem Zasługi, przypuszczalnie popełnili swoje „wykroczenie” pod wpływem narkotyków.

Tylko odrobinę mniej niepokojące było rozprzestrzenianie się opiatów poza liniami frontu. Nielegalnie kupowały narkotyki zarówno osoby służące w wojsku, kiedy znalazły się na przepustce lub korzystały z urlopu rekonwalescencyjnego, jak i cywile. Tuż po wybuchu wojny Parlament brytyjski niemal bez obrad uchwalił Ustawę o obronie królestwa (Defence of the Realm Act, DORA). Znosiła ona lub mocno ograniczała swobody, którymi naród cieszył się od stuleci. Sir Malcolm Delevingne, podsekretarz w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zaproponował, aby do pojemnego worka, jakim okazało się nowe prawo, dołożyć sprawy związane z lekami. Potrzeba wydawała się z dnia na dzień bardziej nagląca. W lutym 1916 roku dwa londyńskie ekskluzywne domy towarowe, Harrods oraz Savory & Moore, zostały ukarane grzywną za ignorowanie istniejącej legislacji i reklamowanie w „Timesie” ślicznie owiniętych w papier

prezentowy paczuszek z morfiną w postaci „listków”, zachwalanych jako „użyteczny i atrakcyjny prezent dla przyjaciół na froncie”. Jak zauważył sir William Glyn-Jones, prokurator w sprawie Harrodsa, byłoby to „nadzwyczaj niebezpieczne, gdyby narkotyczny lek wpadł w ręce ludzi pozostających w czynnej służbie”: nie tylko mógł sprawić, że będą nieuważni na warcie, a tym samym narażą życie towarzyszy broni, lecz także nałóg mógłby ich uczynić „ponurymi, posępnymi, wybuchowymi, a nawet niesubordynowanymi”. W świetle takich zagrożeń oraz wobec coraz dłuższych list ofiar w opinii publicznej narastało wzburzenie. Dlatego do ustawy DORA dodano rozporządzenie 40B, w myśl którego sprzedawanie substancji oszałamiających członkom sił zbrojnych uznano za karalne przestępstwo. Jako pierwszych za wykroczenie przeciw ustawie 10 lutego skazano byłego żołnierza Horace’a Kingsleya i londyńską prostytutkę Rose Edwards – zasądzono im sześć miesięcy ciężkich robót za sprzedawanie narkotyków kanadyjskim żołnierzom kwaterującym w Folkestone przed przerzuceniem do Francji. Sprawa wzbudziła wiele ekscytacji, ale też pokazała ograniczenia wymiaru sprawiedliwości. Po skomplikowanym śledztwie, obejmującym prowokację z przynętą oraz pościg prowadzony przez policjantów na rowerach, schwytano dwie płotki z przypuszczalnie tysięcy osób zamieszanych w proceder. W tym samym czasie kapitan J.B. McMurray, zawiadujący szpitalem wojskowym w Folkestone, zaświadczył, że na leczeniu przebywa już 40 żołnierzy, których próbuje się odciąć od nałogu. Niektórzy mogą się okazać trwale niezdolni do czynnej służby wojskowej. Nastąpiły kolejne aresztowania. Sir Edward Henry, komisarz Policji Metropolitalnej, oraz sir Edward Lloyd, głównodowodzący w dystrykcie londyńskim, nalegali na natychmiastową akcję. Ale jaką?

Odpowiedzi kręgów medycznych na takie bełkotliwe ponaglenia zazwyczaj były powściągliwe, jednak w wojennej gorączce stały się wręcz entuzjastyczne. Czasopismo „Lancet” pisało, że warunki panujące na Wielkiej Wojnie ponownie domagają się wprowadzenia opóźnionej legislacji, którą lekarze zalecali od dawna, ale ignorowano ich przez wiele lat bezczynnego pokoju[4].

Jednak nawet po wprowadzeniu nowej regulacji wyplenienie handlu narkotykami w angielskich miastach okazało się niemożliwe. Od czasu do czasu można było organizować spektakularne operacje, takie jak ta wymierzona w Kingsleya i Edwards, ale rzecz jasna nie na co dzień. Policja i tak była przeciążona. Kiedy aresztowano Williama Johnsona, dobrotliwego odźwiernego z Café Royal, szeroko znanego jako mózg stojący za sprzedażą narkotyków w Soho, jedynym zarzutem, jaki dało się mu postawić, było posiadanie pojedynczej próbki leku kupowanego na receptę, opatrzonego niewłaściwą etykietą. Sędzia pokoju umorzył sprawę ze zgryźliwą uwagą na temat stanu rozwoju umysłowego sierżanta prokuratury. Gorsze miało dopiero nadejść. Zaczęły krążyć przerażające opowieści o przykładach żołnierzy – z nazwiskami i miejscami – których narkotyki doprowadziły do stosowania przemocy. Doktor C.W. Saleeby w „Daily Chronicle” pisał, jak żołnierze ostatkiem sił wtaczają się do aptek we Francji, błagając o swój ulubiony lek. „Czy rozprzestrzenienie morfiny może być spiskiem Hunów chcących rzucić Imperium na kolana?”. Można by było wskazać (ale nikt tego nie zrobił), że to samo ostrzeżenie, tylko z odwrotną wymową, ukazało się w dzienniku „Berliner Zeitung”. W Wielkiej Brytanii wprowadzono bardziej rygorystyczne regulacje i znów spotkało się to z ogólną aprobatą. „Lancet” wyraził ciekawy pogląd: „W przyszłości, kiedy nowe regulacje już się zakorzenią, uzależnieni od morfi-

ny będą musieli polegać na potajemnych źródłach, a jako że podejmuje się szczególne wysiłki, by powstrzymać przemyt, koszt [narkotyków] będzie już wkrótce tak wysoki, że – jak można przypuszczać – uzależnieni staną się wymierającym typem”[5]. Rzadko czasopismo medyczne bywa tak proroc-ze i tak niemądre w jednym zdaniu. Mimo wszystko oparto się agitacji prowadzonej przez gazety koncernu Northcliffe, aby dilerów narkotykowych natychmiast powiesić na najbliższej latarni.

* * *

Pokój, czy raczej rozejm, podpisany w Wersalu, zmienił narkotykową scenę. W pokonanych krajach: Niemczech oraz niektórych częściach rozpadających się Austro-Węgier żołnierzy zdemobilizowano i kazano im wracać do domów na własną rękę. Géza Csáth był już wówczas pacjentem oddziału odwykowego w szpitalu wojskowym w Kraju Zadunajskim. Pewnego dnia skończyły się żywność, świece i paliwo i wszystkich wypisano ze szpitala. Csáth, w niebezpiecznym stanie, powędrował piechotą do domu, do miasta Baja na południu Węgier, oddalonego o jakieś 130 kilometrów. Padł w ramiona swej żony Olgi, po czym ją zastrzelił. Aresztowany, zmarł z przedawkowania morfiny.

Nie był jedynym mordercą ani jedynym samobójcą związanym z narkotykiem. W marcu 1919 roku w Monachium wyczerpał się zapas morfiny i fałszowanie leku osiągnęło nowe szczyty. Tysiące uzależnionych osób przyjęto do szpitali chorych na żółtaczkę, z ostrą niewydolnością wątroby. Początkowo podejrzewano infekcję bakteryjną, lecz prawda szybko wyszła na jaw. Nigdy nie zidentyfikowano, kto był fałszerzem, lub raczej nigdy tego nie ujawniono. Część pacjentów zmarła szybko, inni na pozór wyzdrowieli tylko po

to, by kilka tygodni później doznać nawrotu i umrzeć bardziej opieszałą śmiercią.

* * *

Po stronie zwycięzców koniec wojny przesunął narkotykową scenę w kierunku świata – czy raczej półświatka – ludzi modnych i rozrywkowych. W Londynie panna Billie Carleton, piosenkarka i aktorka, została znaleziona w swym mieszkaniu martwa – zmarła z przedawkowania. W trakcie dochodzenia w sprawie zgonu jej przyjaciel i projektant strojów Reggie de Veulle, postawiony przed sądem, wyjaśnił, że urządzał w West Endzie przyjęcia, na których narkotyki udostępniano bez przeszkód, a panna Carleton była na nich bardzo mile widziana. Takie zabawy miały zwykle wyluzowany charakter, panie i panowie – jak to określił „Times" – „często rozdziewali się ze swych wierzchnich ubrań". Z dreszczem zgrozy wspominano „nikczemne rytuały". To niefortunne, że panna Carleton, „krucha piękność, zbyt delikatna dla tego świata", za bardzo sobie pofolgowała (albo możliwe, że była wyjątkowo wrażliwa na narkotyk), lecz tak to już jest: nie ma przyjemności bez ryzyka[6]. Podczas śledztwa w sprawie samobójstwa lub zamordowania za pomocą heroiny panny Fredy Kempton, 23-letniej instruktorki tańca z klubów West Endu, pojawił się we własnej osobie wytworny chiński diler narkotykowy Olśniewający Chiang. Był nie lada osobistością – zupełnym przeciwieństwem stereotypowego Chińczyka z gazetowych karykatur, przystojny, emanujący władzą, stale oblegany przez tłum rozkochanych w nim młodych dam. „Jedna śmielsza od drugiej – donosił dziennik „Empire News" – głaszczą i pieszczą jego gładkie czarne włosy, a nawet sugerują, że zapuszczają palce pod jego bogato haftowaną koszulę". W gazetach i codziennych rozmowach zaroiło się od żargonowych określeń:

narkotykowy znak, kokainowe oczy, morfinowy tik. W języku Brytyjczyków zadebiutował amerykański *drug fiend*.

Najwybitniejszym brytyjskim wkładem w powojenną menażerię był człowiek w biografii określony jako Wielka Bestia – pisarz i poeta Aleister Crowley. Potomek braci plymuckich[7] stał się – według własnej oceny – „Najbezecniejszym Człowiekiem na Świecie". Za drobne wykroczenia wydalono go z dwóch szkół publicznych, ale potem odziedziczył ojcowski majątek z rodzinnego browaru i dobrze sobie radził w Trinity College w Cambridge. Zainteresował się jednak okultyzmem i aby wywoływać u siebie mistyczne, sadomasochistyczne i erotyczne wizje, zaczął zażywać morfinę i heroinę. Był płodnym pisarzem, publikował pełne namiętności autobiograficzne powieści o dobrze zarysowanej akcji, a kulminacją jego twórczości stał się *Diary of a Drug Fiend* („Dziennik narkomana"), wydany w 1922 roku, gdy autor miał 47 lat. Książka okazała się międzynarodowym bestsellerem. Niektórzy krytycy na podstawie własnej wiedzy o narkotykach zawsze twierdzili, że jego „doświadczenia z pierwszej ręki pod wpływem" są fikcyjne, ale to pozostaje kwestią sporną. W procesie, który Crowley wytoczył pewnej gazecie o zniesławienie, sędzia orzekł, co następuje:

> Dowiedziałem się z tej sprawy tyle, że zawsze możemy się nauczyć czegoś nowego. Nigdy nie słyszałem tak przerażających, okropnych, bluźnierczych i do cna obrzydliwych rzeczy, jak to, co wypisuje ten człowiek podający się za największego poetę naszych czasów. Zwykłych ludzi przyprawia to o dreszcze[8].

Była to znakomita reklama. Ale co właściwie Crowley zrobił prócz tego, że dręczył kozy, celebrował czarne msze, głosił seksualną wolność i zachęcał do zażywania wyzwalających narkotyków – „o, sława ci, boska heroino" – w zasadzie nie wiadomo. Jak większość tego rodzaju skandalistów

wyszedł z mody, kiedy na Londyn i inne miasta zaczęły spadać prawdziwe bomby. Zmarł w tanim pensjonacie w Hastings w 1947 roku, opłakiwany tylko przez swego podstarzałego pręgowanego kota.

* * *

„Dziwnie jest sobie uświadomić – zauważył pan Garrett, sędzia pokoju z Bow Street, komentując w 1919 roku sprawę Reggiego de Veulle – że do niedawna [przed ustawą DORA] te straszne narkotyki mogli kupować wszyscy, nawet dzieci, w zwykłych sklepach, takich jak spożywcze czy z karmą dla zwierząt". Była to lekka przesada, ale na tyle prawdziwa dla sir Malcolma Delevingne'a, żeby napisał memorandum do ministra spraw wewnętrznych: „Nie wolno nam nigdy dopuścić, żeby powrócił tak opłakany stan rzeczy. Nawet w czasie pokoju nie należy pozwalać (…) na żadne złagodzenie regulacji"[9]. W Parlamencie posłowie domagali się ostrej akcji odwetowej wymierzonej w nielegalnych handlarzy, takich jak Reggie, i bluźnierców, jak ten odrażający Crowley. W odniesieniu do nikczemnych „chińskich wspólników" de Veulle'a parlamentarzysta pułkownik C.E. Burn domagał się natychmiastowego przywrócenia kary chłosty: „Osobiście nigdy nie czerpałem zadowolenia z takich praktyk, ale ci obcy nie boją się niczego innego". Sir Malcolm zdołał pokrzyżować plany miękkiego Departamentu Zdrowia i niemrawej Izby Handlowej i kontrola nad narkotykami pozostała w twardym ręku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

* * *

Wkrótce dla dyskusji o reformach otworzyła się szersza scena. Z ruin pierwszej wojny światowej wynurzyło się coś, co prezydent Wilson z błyskiem swoich binokli nazwał „Nową Nadzieją dla Świata" – międzynarodowa organizacja mająca

za zadanie „zapobiegać przyszłym wojnom poprzez ustanowienie stosunków [międzynarodowych] w oparciu o sprawiedliwość i honor oraz promować materialną i intelektualną współpracę wszystkich krajów”[10]. Miała przyjąć nazwę Ligi Narodów, a jedną z jej najwcześniejszych i najbardziej śmiałych akcji było inaugurowanie stałego „Międzynarodowego Komitetu Doradczego w sprawie Nielegalnego Handlu Opium i innymi Narkotykami”. Pierwsze posiedzenie tego zespołu wyznaczono na 4 sierpnia 1924 roku, dokładnie 10 lat od rozpoczęcia pierwszej wojny światowej. Komitet opisywano wówczas raczej jako „przybrane dziecko” Ligi niż jej prawowitą latorośl, co pozwalało na niezwykle ważne uczestnictwo Stanów Zjednoczonych i innych krajów nienależących do Ligi. Ale jak się upierał belgijski przewodniczący w swojej mowie inauguracyjnej, i tak był to historyczny moment. Zwiastował koniec niemoralnego, złego handlowania ogłupiającymi narkotykami i okropnego nałogu, który w ciągu stuleci rujnował życie milionów. Obecna na sali hiszpańska królowa matka popłakała się ze wzruszenia.

Pierwszym działaniem Komitetu było sporządzenie listy 62 krajów (w języku Ligi zawsze określanych jako „potęgi”), które przez podpisanie traktatu wersalskiego zobowiązywały się do przestrzegania ostatniej konwencji haskiej. Nie ratyfikowały go tylko Argentyna, Litwa, Paragwaj, Persja, Meksyk, Monako i Rosja – z różnych przyczyn, od niedopatrzenia (Paragwaj, Persja i Monako) po kłopoty na własnym podwórku ze światową rewolucją (Rosja i Meksyk)[11]. Następnym krokiem miało być ustalenie bieżącego stanu handlu – Komitet w tym celu zwrócił się o informacje do krajów Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, tradycyjnie będących ośrodkami uprawy maku. Z otrzymywanych odpowiedzi wynikało, że przed Komitetem stoi tytaniczne zadanie.

Indie wprawdzie oficjalnie zaniechały eksportowania opium do Chin, ale wciąż były największym producentem tego narkotyku – wytwarzały 75 000 kilogramów rocznie, z czego około połowa szła na eksport. Indyjskie opium zawierało mało morfiny i dlatego nie za bardzo nadawało się do ekstrakcji, ale było „idealne do palenia i konsumpcji doustnej". Dalsze informacje okazały się już niejasne. Biuro do spraw Indii w Londynie, najwyraźniej dotknięte tym, że sir Malcolm Delevingne nie skonsultował się z nim, wydało „nieoficjalny" dokument *The Truth about Indian Opium* („Prawda o indyjskim opium").

> Zakazanie uprawy i spożywania opium w Indiach uważamy za niemożliwe, a wszelkie próby wprowadzenia zakazu – za brzemienne w najpoważniejsze konsekwencje dla ludzi i władzy (…). Wielowiekowe dziedziczone doświadczenie nauczyło lud Indii zachowywania umiaru w zażywaniu tego narkotyku (…). Nawet gdyby prawne zakazanie opium w Indiach było możliwe – na co ani obecnie, ani w dającej się przewidzieć przyszłości i tak nie ma szans – geograficzne i polityczne ograniczenia sprawiłyby, że udaremnienie eksportu, importu i uprawy znalazłoby się poza naszymi możliwościami[12].

To wywołało głębokie zaniepokojenie, ale nikomu nie nasunęło się natychmiastowe rozwiązanie. Baron von Mettau, delegat z Łotwy, zastanawiał się, czy można by zakazać uprawy maku pod groźbą niezwłocznej egzekucji winnego i całej jego rodziny. Jeden z przodków barona z powodzeniem stosował tę metodę. Niestety, zwrócono mu uwagę, że XX-wieczne Indie to nie XVII-wieczna Łotwa. Kto właściwie miałby wypłacać odszkodowania? Nie było gorliwych chętnych[13].

Inne kraje azjatyckie okazały się bardziej skłonne do współpracy. Japonia ogłosiła, że dzięki surowym środkom zapobiegawczym Cesarskiej Rady Ministrów kraj jest całko-

wicie wolny od „złowrogiego nałogu palenia opium”. W Korei sytuacja była podobna. Rozległy się aplauzy. Ale w Straits Settlement[14], gdzie niemal połowę milionowej ludności stanowili Chińczycy, dystrybucja opium była dochodowym monopolem rządu, a zarówno wytwarzanie, jak i konsumpcja narkotyku rosły. W Sarawaku i Brunei[15] spożycie też było coraz większe i przypuszczalnie tak samo na Cejlonie (w dzisiejszej Sri Lance). Niewykluczone, że trend ten odzwierciedlał zadowalającą poprawę standardów życiowych – bądź co bądź, opium zaliczało się do towarów luksusowych, choć niewątpliwie pożądanych. Nie wszyscy delegaci zgadzali się z sobą. Duże ilości opium konsumowano w królestwie Syjamu (dzisiejszej Tajlandii), gdzie handel tym artykułem stanowił podstawę fortun kilku z najznamienitszych rodów w kraju. Ale jedną czwartą podatku nałożonego na dochody płynące z opium, w wysokości około siedmiu milionów dolarów, przeznaczano na potrzeby szkolnictwa. Było tu – jak to ujął pan Nicolae Titulescu z Rumunii – wiele spraw, które dla europejskich obserwatorów pozostawały niejasne[16]. Portugalska enklawa Makau cały swój dochód państwowy czerpała z hazardu i opium (domy publiczne płaciły łapówki, ale nie podatki), toteż prohibicja nałożona na narkotyk w ogóle nie wchodziła w grę. Rząd portugalski nie miał świadomości, że podobno jedna dziesiąta światowego opium przechodzi przez tę maleńką kolonię; tak czy inaczej osiągi Makau przyćmiewał Hongkong, którego prosperity w całości opierała się na narkotykach. Sir Malcolm Delevingne zaprotestował bez przekonania – on też nie wiedział zbyt wiele o zarządzaniu Biurem do spraw Kolonii. Delegat Francji wyjaśnił, że Francuskie Indochiny graniczą z krajami, w których uprawa maku jest w praktyce nie do wykorzenienia. Granice przechodzą przez nieprzebyte góry, są więc nie do skontrolowania dla policji. Rdzenna

ludność, w liczbie około 20 milionów osób, konsumuje mniej więcej 64 tony opium rocznie, co nie jest błahą ilością, ale nie powoduje poważnych problemów zdrowotnych. Przeciwnie, młodzi mieszkańcy Francuskich Indochin wydają się wyjątkowo sprawni, niektórzy zdobywają prestiżowe stypendia na Sorbonie. Insynuacje, jakoby francuscy wyżsi urzędnicy byli mocno zamieszani w handel opium, są haniebne. W Holenderskich Indiach Wschodnich stosunkowo niewielka liczebnie ludność chińska przedstawiała się jako niepoprawnie „opiofilna", ale pod każdym innym względem byli to praworządni i pracowici obywatele. Trudno byłoby sobie wyobrazić, aby Parlament w Hadze zgodził się na zakazanie opium lub jakiegokolwiek narkotyku.

W zgodnej opinii jednak ośrodkiem opiumowego handlu wciąż były Chiny, a pozycję kraju opisano jako „wieloaspektową". Główny chiński delegat, doktor Alfred Sao-Ke Sze, absolwent szkoły w Harrow i Uniwersytetu Harvarda, jako jeden z nielicznych cudzoziemców w kosmopolitycznym tłumie zatruwającym czyste powietrze nad Jeziorem Lemańskim został przez genueńskie społeczeństwo przywitany przyjaźnie na rue des Granges. Ale mimo czarującego uśmiechu, rzucanych od czasu do czasu błyskotliwych uwag i klasycznej francuskiej wymowy jego wypowiedzi o grabieżach z czasów wojen opiumowych i o powojennej polityce europejskich mocarstw, „których większość ma reprezentantów w tej sali", sprawiały, że przysypiający na swoich miejscach zachodni delegaci podskakiwali we wściekłym wzburzeniu[17]. „Na oko" – rzekł doktor Sze, jego kraj produkuje około 15 000 ton opium rocznie. Francuski delegat natychmiast zasugerował, że liczbę tę należy pomnożyć przez 100. Doktor Sze uśmiechnął się enigmatycznie.

Nie zaskakują zatem chyba ostateczne mgliste rezolucje, miejscami wręcz niezrozumiałe. (Wielojęzyczne tłumaczenie

nie było jeszcze wówczas tak rozwiniętą sztuką jak dziś). Zaplanowano jednak drugą i trzecią konferencję, w których miała wziąć udział amerykańska delegacja. Po długich deliberacjach zaproszono też Rosję. Okazało się jednak, że zmarnowano tylko czas. Kreml odpowiedział bezzwłocznie:

> Narodowy Komisariat Spraw Zagranicznych pragnie przede wszystkim zwrócić uwagę na fakt, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich znacznie wyprzedza wszystkie kraje europejskie w kampanii skierowanej przeciw rozprzestrzenianiu się narkotyków oraz przedsięwziął szereg skutecznych i stanowczych środków, jakich inne rządy, obecnie nadal będące przy władzy w pozostałych krajach, nie miały odwagi wprowadzić z powodu obawy o swoje prywatne interesy. Własnym wysiłkiem i z własnej inicjatywy rząd radziecki otrzymał rezultaty, które Konferencja [w Genewie] może jedynie podziwiać jako cel do osiągnięcia w odległej przyszłości[18].

„Nie ma w tym wiele prawdy” – podobno mruknął pod nosem monsieur Édouard Herriot z francuskiej delegacji[19], ale przecież nikt nie mógł nic Rosjanom nakazać. Czas wciąż zdawał się sprzyjać tylko pustosłowiu. Prawdziwymi ofiarami padali zwykli ludzie w pokonanych krajach (które aż do połowy lat 20. nie miały prawa należeć do Ligi), usiłujący przeżyć wśród gospodarczej ruiny, upadku moralnego i politycznej przemocy.

Ofiary i niedobitki

Lata hiperinflacji, która dotknęła niemiecką Republikę Weimarską po wojnie, wisząca nad Niemcami groźba niemożliwych do spłacenia reparacji oraz okupacja przemysłowego serca kraju teraz są pamiętane głównie ze względu na ówczesny *Galgenhumor*[1]. Był to złoty wiek kabaretu i wyzwolenia seksualnego, surrealistycznych filmów i wolnoamerykanki. W świecie superbogatych lał się szampan, a *der himmlische Pravaz*[2] stał się modnym przyborem. Morfina i heroina kosztowały niemało, ale za dolary wszystko można było kupić. Zwykłym ludziom, niezainteresowanym kabaretem i egzotycznym seksem, żyło się mniej zabawnie. Ich świat się zawalił, bogowie ich opuścili. Powieść *Kleiner Man was nun?* (1932) dziś nie jest szczególnie znana[3], ale w swoich czasach wyjątkowo dobrze dokumentowała niedole tytułowego szarego człowieka[4].

Autor książki, Hans Fallada, pochodził z dość zamożnej, surowej, ale niepozbawionej miłości saksońskiej rodziny z klasy średniej[5]. Po wieczornym posiłku ojciec, sędzia, czytał na głos skarby światowej literatury. Szekspir i Schiller pozostaną ulubionymi pisarzami Hansa, a z dzieł – szczególnie sztuki historyczne. Biblia była przeznaczona na niedziele. Rodzina Hansa należała do klasy ludzi, którzy przed wojną, a nawet w czasie wojny żyli sobie dość wygodnie, lecz teraz, zanim się spostrzegli, ich zarobki i emerytury nie były warte tramwajowego biletu. Co jeszcze bardziej niezrozumiałe, patriotyczne wojenne obligacje stały się zwykłymi świstkami papieru. Szarym ludziom jakoś udawało się przeżyć – przynajmniej większości – ale właśnie te czasy pisarz będzie wspominał w swoim najlepszym dziele. Później romantyczny szkolny pojedynek (kultura pojedynków przetrwała wojnę) zakończył się fatalnie śmiercią przyjaciela. Hansa nie można było oskarżyć zgodnie z prawem, ale nacisk opinii publicznej zmusił go do zmiany nazwiska z rodowego Dietzen na Fallada (od imienia mądrego gadającego konia z baśni braci Grimm; również imię Hans wywodziło się z baśni Grimmów, naprawdę pisarz miał na imię Rudolf). Ponadto młodzieniec wyjechał do odległej części kraju i został robotnikiem rolnym. Zaczął sobie wstrzykiwać morfinę i popadł w uzależnienie. Odniesienia do narkotyku znajdują się w większości jego powieści, ale najwięcej prawdy odsłaniają niepublikowane fragmenty znalezione po jego śmierci. *Sachlicher Bericht über das Glück, ein Morphinist zu sein* („Oparta na faktach opowieść o szczęściu w życiu morfinisty”) daje wgląd w rzeczywistość Berlina lat 20. i przedstawia wiarygodną osobistą relację z trudnego położenia osoby uzależnionej.

> To właśnie w tamtych kiepskich berlińskich latach wpadłem w szpony morfiny. Przez kilka tygodni wszystko było świetnie.

Miałem dobrą tymczasową pracę w gazecie, dobre kontakty i żadnych trudności w zdobyciu „benzyny”, jak między sobą nazywaliśmy narkotyk. Ale z powodu odebranego wychowania i pochodzenia trochę się niepokoiłem, toteż postanowiłem, że po ostatniej uczcie, czyli po ostatniej solidnej dawce, rzucę nałóg na dobre. (…) Lecz kiedy się obudziłem następnego dnia rano i na stoliku koło łóżka nie było nic do wstrzyknięcia, uświadomiłem sobie, że po prostu muszę wziąć kolejną dawkę, po prostu muszę, za jakąkolwiek cenę. Całe moje ciało zdawało się trawione jakimś bolesnym pobudzeniem, ręce mi drżały, a nienasycone pragnienie wypełniało nie tylko moje spierzchnięte usta, lecz także całe ciało. Chwyciłem słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do Wolfa. Nie dałem mu się nawet odezwać, tylko wychrypiałem: „Masz benzynę? Przyjeżdżaj zaraz, umieram”. Rozłączyłem się i położyłem do łóżka. Ogarnęło mnie głębokie uczucie błogiego oczekiwania. Sama myśl o tym, że zastrzyk przybędzie w ciągu kilku minut, sprawiła, że ciało się rozluźniło. Wtem ostro zadzwonił telefon. Wolf. „Czemu się rozłączyłeś? Nie mogę ci przywieźć benzyny. Sam nie mam. Dopiero wychodzę, żeby coś zdobyć”. „Ale jeden zastrzyk, tylko jeden zastrzyk. Wolf, nie przeżyję bez tego”. „Przecież ci mówię, Hans, że nie mam”. „Ale masz, masz, wiem o tym”. „Przysięgam…” „Ale słyszę to w twoim głosie: właśnie się naszprycowałeś. Taki jesteś zadowolony”. „Dziś o dziewiątej wieczorem”. „Ale… ale… nie mogę czekać. Nie…” Bez skutku. „Dobra, tylko nie oszukuj! Przysięgnij!”. „Nie gadaj bzdur, Hans. Dziewiąta na Alexie [Alexanderplatz]”.

Wstaję powoli. Trudno mi się ubrać. W kończynach czuję słabość, drżą spazmatycznie. Mój mózg nie wierzy już, że dostanę morfinę. Ale dostanę. Miły Wolf przyjeżdża i zabiera mnie do samochodu. Jedziemy do apteki na Alexie. Wolf wysiada, kulejąc. Ma zapalenie węzłów chłonnych w pachwinach. Rozluźniam się. Za kilka minut będę mieć swoją benzynę. Za chwileczkę. Całe ciało zaczyna mi znów sprawiać ból. Nie mogę przełykać. Próbuję sobie wyobrazić igłę wślizgującą się pod skórę. Co za szczęście! Nareszcie! Nareszcie! Jeszcze tylko kilka minut. Wraca Wolf. Od razu widzę, że nie dostał. Jest blady i spocony. Siada za kółkiem, mamrocze inny adres. Ale to nie ludzie! To bestie! Zwierzęta! Jak mogą pozwolić, żeby człowiek tak cierpiał? „Myślałem, że to pewne” – burczę. „Nie, nie ma w tej chwili staruszka, tylko jakiś nieokrzesa-

ny młodzik. Ostry jak brzytwa. Żadnych prochów". Auto zatrzymuje się przy kolejnej aptece. Wolf znika, potem wraca. „Nic?" „Nic"[6].

I opowieść ciągnie się dalej, strona po stronie. Następuje napad niekontrolowanych szlochów. Wolf wzywa lekarza. Strach przed wysłaniem do szpitala jest obezwładniający. Ostatnio władze miejskie Berlina założyły nowe, specjalne oddziały, na których zadziornych pacjentów podobno przykuwa się do ścian. Ale doktor okazuje się starym Żydem i nie przejmuje się policyjnymi regulacjami. Jadą do jego zapyziałego gabinetu. W końcu zastrzyk. Nieopisana błogość. Niewielka opłata. Opowiadanie nie ma prawdziwego zakończenia, podobnie jak go nie miało uzależnienie Fallady.

Fallada był w połowie leczenia odwykowego, gdy Hitler doszedł do władzy. Niespodziewanie pisarz stał się jednym z ludzi, których doktor Goebbels chciał pozyskać do swoich celów. Niestety – zwierzył mu się doktor – wielu najbardziej poczytnych niemieckich pisarzy było Żydami. Nic dziwnego zresztą, skoro wszystkie domy wydawnicze i prasa znajdują się w rękach międzynarodowego żydostwa. Ale Herr Fallada jest przecież nieskazitelnym Aryjczykiem. Jego dotychczasowe powieści przedstawiały upodlenie za czasów Republiki Weimarskiej. Kolejne powinny opisywać odrodzenie kraju pod rządami nazistów na chwałę nowego porządku. Kilka antysemickich epizodów zaskarbi mu łaski Partii i ministra propagandy Rzeszy. A w ramach zasłużonych przywilejów może się znaleźć dostęp do dóbr normalnie niedostępnych. Największe osobistości w Rzeszy nie są ograniczone zwykłymi prawami. Pisząc powieści w interesie nazistów, Herr Fallada automatycznie wszedłby do ich grona i wszelkie niedostatki przestały mu doskwierać.

Problem polegał na tym, że Herr Fallada czuł niechęć do nazistów. Jego najlepsi przyjaciele zostali upokorzeni. Nie-

którzy udali się na wygnanie. Kilku przebywało w obozach koncentracyjnych, nie było z nimi kontaktu, być może nie żyli. Fakt, że fagasi doktora Goebbelsa na nowo piszą historię i literaturę Niemiec, napawał go obrzydzeniem. Ukochany Heine był teraz *ein Dichter unbekannt* („poetą nieznanym"). Kiedy pod koniec lat 30. presja ze strony ministra propagandy zaczęła Falladę jawnie tyranizować, pisarz z żoną i dziećmi załatwił sobie wizę wyjazdową, aby pojechać na wakacje do Anglii. Wystawili swój dom na sprzedaż, a skromny majątek oddali na przechowanie. Hollywoodzka wersja „szarego człowieka"[7] stała się kasowym przebojem i Fallada był teraz na Zachodzie chodliwym towarem. (Nie mógł znieść, że jego książka została przerobiona na wyciskacz łez, i nigdy nie poszedł na ten film). Jego angielski wydawca, Putnam, załatwił dla rodziny wizy wjazdowe i wysłał pocztą bilety na pociąg. Kilka minut przed opuszczeniem rodzinnego domu Hans poszedł na spacer nad jedno z jezior w okolicy ich małego gospodarstwa rolnego Carwitz. Tu przez ostatnie pięć lat usiłował uodpornić się na narkotyk, pisząc, utrzymując rodzinę głównie z roli, a także sprzedając nadwyżki produkcji. Dla ludzi z zewnątrz to miejsce – 80 kilometrów na północ od Berlina, na nijakiej nizinie Brandenburgii, gdzie hulały wichry zawiewające spod Uralu – miało niewiele uroku. Ale dla Hansa to było *zu Hause*. Wróciwszy z przechadzki, powiedział żonie, żeby się rozpakowała. Nie mógłby żyć nigdzie indziej. Ale nie mógł też pisać takich książek, jakich żądał od niego Goebbels. Jednak to nazistowskie szaleństwo chyba nie potrwa długo. Tymczasem będzie pisał baśnie. Wspaniały polityczny thriller *Sam w Berlinie*[8] trafi na dno szuflady. W Niemczech przynajmniej miał zapewnioną skromną, lecz regularną dzienną dawkę narkotyku, od której był teraz zależny. Mor-

fina dla poszczególnych ludzi oznaczała różne rzeczy. Dla niego będzie ścianami wewnętrznego wygnania.

Fallada przeżył wojnę, okupację Armii Czerwonej oraz początek komunistycznych Niemiec Wschodnich. Kulturalny boss nowego reżimu, Johannes R. Becher, był wyszkolonym w Moskwie komunistą, ale od dawna podziwiał pisarstwo Hansa. Robił, co w jego mocy, żeby promować przyjaciela, jednakże ten – zamroczony alkoholem i narkotykami – nie miał już przed sobą wybawienia. Dokończył swoją ostatnią książkę, *Każdy umiera w samotności*, lecz nie dała mu satysfakcji. „Nie mam apetytu na resztę życia" – pisał do matki ze szpitalnego oddziału odwykowego. Wciąż jednak dawał studentom medycyny wykłady o swoim uzależnieniu i o życiu w nałogu. Podczas jednego z nich jego wyniszczona, ale wciąż jaśniejąca żarliwością osoba wywarła ogromne wrażenie na Wernerze Goetzem, późniejszym berlińskim profesorze medycyny. „To był najbardziej porywający wykład medyczny, jakiego w życiu słuchałem" – zwierzył się profesor autorowi niniejszej pracy w 1960 roku[9]. Fallada zmarł wkrótce potem, jak zapowiedział swoim słuchaczom. Miał 54 lata.

* * *

Morfina zniszczyła miliony innych ludzi – niektórzy z nich byli sławni, zdecydowana większość nie. A jednak taki los nigdy nie był nieunikniony. Morfina i heroina znacznie gwałtowniej wyniszczają organizm niż laudanum czy opiumowa fajka, a uzależnienie od nich poważnie utrudnia produktywną pracę. Ale czasami uzależnieni potrafili pełnić ważne funkcje i żyć w taki sposób, że społeczeństwo później oceniało ich jako ludzi sukcesu.

Sir Thomas Lauder Brunton, lekarz z londyńskiego Szpitala Świętego Bartłomieja, odkrywca korzystnego wpływu

azotynu amylu w dusznicy bolesnej, opisał przypadek pewnego członka Parlamentu. Człowiek ten regularnie przyjmował podskórnie największe dawki morfiny, jakie doktor Brunton odnotował w swojej karierze: minimum 24 grany i maksimum około 39 granów dziennie.

> Siedząc w Izbie Gmin z pozornie skrzyżowanymi ramionami, wkłuwał sobie igłę w biceps przez rękaw żakietu i wstrzykiwał morfinę. Albo z ręką spoczywającą na pozór spokojnie na udzie, robił sobie zastrzyk w mięsień czworogłowy. Nosił w kieszeni kamizelki trzy albo cztery gotowe, załadowane strzykawki. Nie należy go winić w najmniejszym stopniu (…), ponieważ to nadzwyczajna czystość charakteru doprowadziła go do tego nałogu[10].

Tak przynajmniej uważał doktor Brunton. Ów członek Parlamentu, z zawodu adwokat, stracił żonę podczas porodu, a narkotyk zaczął sobie wstrzykiwać podczas poważnej i ostatecznie śmiertelnej choroby swej córki. Miała 18 lat, kiedy zaczęła cierpieć z powodu guza mózgu. „Obawiał się, że niepokój i bezsenność uniemożliwią mu właściwe zajmowanie się sprawami w sądzie i że zawiedzie swoich klientów”. Zapotrzebowanie na morfinę stale u niego rosło.

> Poczynił bardzo odważną próbę odstawienia, a cierpienie, jakiego wówczas doświadczył, było po prostu okropne. Powiedziano mu, że aby się pozbyć nałogu, będzie musiał przejść piekło. Ten biedny człowiek wyznał mi pewnego dnia: „Tak, ale są różne poziomy piekła, a ja zszedłem na bardzo niski”[11].

Mimo wszystko polityk – teraz uważa się, że był nim sir Frank Lockwood – został szanowanym prokuratorem generalnym w rządzie lorda Rosebery’ego, podziwianym za jasność umysłu. Większość kolegów widziała w nim kolejnego lorda kanclerza[12]. Miał jednak również drugą stronę osobowości. Jego bliska przyjaciółka, aktorka Madge Kendal, zauważyła u niego „obsesję śmierci”. Nie była to „chorobliwa fascynacja, raczej coś w rodzaju nostalgii”. Ogarniała

go, gdy się wyłączał, opóźniał u siebie kolejny zastrzyk. W takich momentach był nieosiągalny, obecny jedynie ciałem. W końcu aplikował sobie kolejną dawkę, odzyskiwał swoją zwykłą błyskotliwość i na powrót stawał się towarzyską osobą. Tyle że nie miał czasu na życie towarzyskie. Pod wpływem narkotyku pracował bez przerwy, a następnego dnia mógł olśnić sędziów w sądzie albo wygłosić w Izbie Gmin dobrze przemyślaną mowę. Nikt z jego służących nie spostrzegł, że pan prowadzi życie uzależnionego, choć zauważono, że wystrzega się zajęć, które nie byłyby konieczne i związane z pracą[13]. Zmarł w 1897 roku, mając 49 lat. W nekrologach epoki wiktoriańskiej nie rozwodzono się nad medycznymi szczegółami.

* * *

Nie mniej godne uwagi były osiągnięcia największego amerykańskiego chirurga. W wieku 30 lat William Stewart Halsted był wyróżniającym się absolwentem amerykańskiej uczelni: dobrze urodzony były kapitan uniwersyteckiej drużyny futbolowej Yale, towarzyski, sympatyczny, bogaty (ale nie za bardzo) i – zdaniem swego przyjaciela Williama Oslera – pierwszorzędny umysł oraz wirtuozerska para rąk. Jak przystało na dobrze zapowiadających się młodych lekarzy, w 1891 roku Halsted i kilku jego przyjaciół wyruszyli po rozszerzenie wiedzy do Europy. Tam odwiedzili ówczesne wiodące ośrodki chirurgii – w Wiedniu operował Theodor Billroth, w Leeds pierwszy lord Moynihan i właśnie w tej dekadzie narodziła się nowoczesna chirurgia jamy brzusznej. Na Amerykanach największe wrażenie zrobiło jednak niedawne odkrycie młodego, nieznanego szerzej wiedeńskiego okulisty Carla Kollera. W 1884 roku przedstawił on na zjeździe Niemieckiego Towarzystwa Okulistycznego w Heidelbergu analgetyczny wpływ kokainy na niezwykle

wrażliwą rogówkę oka[14]. Halsted uchwycił potencjalnie szersze implikacje tego odkrycia. Wykazał, że podczas gdy kokaina nie wywiera żadnego wpływu na nienaruszoną skórę, to jeśli się ją wstrzyknie pod najbardziej zewnętrzną warstwę, działa jak silny miejscowy środek znieczulający. Wraz z kolegami urządził istną orgię doświadczeń – eksperymentowali sami na sobie i na sobie nawzajem. Poczynili genialne spostrzeżenia. Gdy kokainę wstrzyknięto w nerw czuciowy, cały obszar obsługiwany przez ten nerw zostawał znieczulony. Zatem nie tylko zabiegi okulistyczne, lecz także chirurgię dentystyczną można było stosować bezboleśnie. Operacje jamy brzusznej u pacjentów niskiego ryzyka można było wykonywać pod miejscowym znieczuleniem. Ale ich odkrycia miały też wymiar śmiercionośny. Żaden z tych młodych ludzi nie rozumiał niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą ten narkotyk nawet wstrzykiwany miejscowo. A wykorzystując się nawzajem jako króliki doświadczalne, wszyscy się uzależnili. Trzej nigdy się z tego nie podnieśli, zmarli w ciągu kilku lat. Halsted podzieliłby ich los, gdyby przyjaciel go nie uratował.

William Henry Welch, profesor bakteriologii i dziekan nowo założonej Uniwersyteckiej Szkoły Medycznej Johnsa Hopkinsa w Baltimore, znał Halsteda z Yale i próbował go zwerbować do swojego dzieła, *my baby* – jak je określał. Halsted zgodził się, jeszcze zanim wyjechał do Europy. Szczegóły akcji ratunkowej przeprowadzonej przez Welcha zostały ujawnione dopiero w 1989 roku, kiedy upubliczniono prywatne dzienniki Oslera[15]. Welch, sam będący wzorem łagodności, wynajął dwóch zbirów, aby porwali jego przyjaciela i dostarczyli na prywatny jacht. Ten zabrał Halsteda na przymusowe wakacje. Zapewniono mu wszelkie wygody, w tym – jak głosiła plotka – francuskiego szefa kuchni, celem wycieczki było jednak leczenie. Zaokrętowa-

ny doktor zarzekał się Welchowi, że w ciągu miesiąca wyleczy z kokainowego uzależnienia każdego, kogo mu wskażą. I tak też uczynił. Niestety, jego metoda polegała na tym, że uspokajał swoich pacjentów/ofiary morfiną. Halsted wrócił, by zająć przyrzeczone stanowisko w Baltimore; był wyleczony z kokainowego głodu, lecz stał się morfinistą.

Zmienił się nie do poznania. Nic nie zostało z jego dawnej, tryskającej energią osobowości. Był teraz chłodny, powściągliwy i nieprzewidywalny, chociaż czasami dla starych przyjaciół okazywał się nieoczekiwanie i wręcz ekstrawagancko szczodry. Drobne błędy chirurgiczne, zwłaszcza wykroczenia przeciw antyseptycznemu rytuałowi i „technice bezdotykowej" na sali operacyjnej, wprawiały go czasem w niepohamowany gniew, ale przy poważnych zagrożeniach zachowywał spokój[16]. Jako że na ogół się nie odzywał, nikt nigdy nie wiedział, co Halsted zauważa, a czego nie. Pewnego dnia ku zaskoczeniu ludzi ze swojego zespołu, którzy uważali, że szef nie zwraca uwagi na kręcący się wokół niego personel, zapytał, dlaczego nie ma na sali jednej ze stałych pielęgniarek. Odpowiedziano mu, że musiała się przenieść na inny oddział, ponieważ jej skóra okazała się nadwrażliwa na nowy płyn antyseptyczny, który profesor wprowadził do sterylizowania instrumentów. Tydzień później Halsted przybył do pracy z dwiema parami specjalnie zrobionych cienkich gumowych rękawiczek, jakich do tej pory nigdy nie używano w chirurgii. Zakładając je, pielęgniarka mogła wrócić na salę operacyjną, a dwa miesiące później wyszła za mąż za Halsteda. Caroline Hammond wywodziła się z szacownej południowej rodziny, która straciła majątek podczas wojny secesyjnej, lecz nadal mieszkała w na wpół zrujnowanej rezydencji w dolinie Cashiers w Paśmie Błękitnym. Halsted zakupił tę posiadłość, wyremontował ją i na corocznych urlopach z powodzeniem uprawiał warzywa

i zioła. On i Caroline stanowili małżeństwo staroświeckiego typu – zajmowali przyległe, ale oddzielne mieszkania i widywali się nieczęsto, choć przypuszczalnie były to spotkania pełne czułości.

Ku wielkiej uldze Welcha zmiana charakteru ani trochę nie umniejszyła chirurgicznych umiejętności Halsteda. Nieraz można było odnieść wrażenie, że stało się wręcz przeciwnie. Na jego oddziale niemal co roku pojawiały się innowacje, niektóre rewolucyjne i w większości wymagające intensywnych wstępnych badań w prosektorium. Krąg zainteresowań Halsteda obejmował całą chirurgię. Jego sława rozprzestrzeniała się. Wskaźnik udanych operacji był tak duży, że sceptycy z niedowierzaniem unosili brwi, dopóki sami nie ujrzeli go w działaniu. „Teraz wierzę – powiedział lord Moynihan, po tym, jak przyglądał się usunięciu tarczycy w wydaniu profesora. – Jest mistrzem. Cóż, myślę, że jest tak dobry jak Moynihan”. W całym świecie rozsławił go pomysł na usunięcie dotkniętego nowotworem gruczołu piersiowego z jednoczesnym wycięciem węzłów chłonnych pachowych po tej samej stronie (do dziś nazywane zabiegiem Halsteda, choć rzadko już stosowane). Ta poważna, okaleczająca pacjentkę operacja, zwana radykalną mastektomią, była pierwszą i przez wiele lat jedyną metodą, jaka niekiedy okazywała się skuteczna w tej śmiertelnej chorobie[17].

W ciągu całej swojej kariery Halsted dwa razy dziennie przyjmował zastrzyki z dużą dawką morfiny, organizował sobie zawodowe obowiązki wokół tych godzin oraz regularnie znikał w swoich prywatnych pokojach, kiedy ostatnio zaaplikowana dawka przestawała działać. Nieznana pozostaje rola Caroline w tym układzie; niektórzy uważają, że ona też lekko się uzależniła, takie małżeńskie pary nie należały do rzadkości. Jednak wyłącznie bliscy przyjaciele, tacy jak Osler, Welch i położnik Howard Kelly, wiedzieli o jego

brzemieniu. Sekret został ujawniony dopiero po śmierci Halsteda. Wydaje się, że – w przeciwieństwie do ogromnej większości uzależnionych – modyfikował sobie nieco dzienną dawkę, lecz stale opierał się jej zwiększaniu. Inaczej nie przeżyłby tak długo. Ale też nie próbował pozbyć się nałogu albo jeżeli próbował, nikt nie miał pojęcia o takich usiłowaniach. Mistrz zachowywał ścisłą prywatność, obiady jadał samotnie, stawiał się na służbowych zebraniach, lecz stronił od spotkań towarzyskich. Przybywający z wizytą chirurdzy byli mile widziani na sali operacyjnej, ale niewielu zostało zaproszonych, by skosztowali kulinarnych dzieł Caroline. Halsted sam prawie nie podróżował. Jednak jego wpływ na ewolucję chirurgii był ogromny i jak na tamte czasy niemal bez wyjątku korzystny. Halsted miał 65 lat, kiedy w 1917 roku Stany Zjednoczone przystąpiły do pierwszej wojny światowej i dwie trzecie personelu chirurgicznego oraz starszych studentów ze szkoły Johnsa Hopkinsa na ochotnika zgłosiło się do służby czynnej. Nawet po zrezygnowaniu z zajęć dydaktycznych mistrzowi dwukrotnie przybyło pracy, ale dał sobie radę. Co więcej, w latach 1917 i 1918 opublikował dwa ważne artykuły o chirurgii tarczycy. Zmarł na chorobę pęcherzyka żółciowego w przeddzień swoich 70. urodzin, 7 września 1922 roku.

* * *

Podczas gdy pojedyncze osoby, takie jak Halsted, toczyły prywatną wojnę przeciw nałogowi – nieliczni z dobrym skutkiem, większość nie – Liga Narodów w Genewie wciąż deliberowała nad tym, jak raz na zawsze wykorzenić plagę. Drugą Konferencję na temat Narkotyków, zorganizowaną w 1929 roku, zdominowali Amerykanie – podziwiani, lecz nielubiani. Pod mesjanistycznym przywództwem kongresmena Stevena Portera przybyli: świątobliwy, lecz chory bi-

skup Brent (wkrótce miał umrzeć w Lozannie); doktor Rupert Blue, zadufany w sobie ekspert medyczny; Edwin Neville, były amerykański konsul w Chinach, uważany za autorytet w sprawach związanych ze wszystkimi azjatyckimi kwestiami; oraz najbardziej oddana sprawie z nich wszystkich pani Elizabeth Wright, wdowa po komisarzu opiumowym Hamiltonie Wrighcie. Ani ona, ani Porter nie mieli najmniejszych wątpliwości co do tego, że bezzwłocznie można wprowadzić całkowitą międzynarodową kontrolę nad opium, jeśli tylko pozostałe kraje okażą takie samo zaangażowanie jak Stany Zjednoczone. Jeszcze w ojczyźnie Porter głosił chełpliwie (choć przypuszczalnie sam w to nie wierzył), że problem opium można szybko rozwiązać, trzeba się tylko wykazać determinacją i twardą ręką. Dlaczego inne kraje miałyby nie pójść za przewodnictwem Ameryki? Tego rodzaju wypowiedzi nie zaskarbiały mu uznania ze strony niewydarzonych delegatów pozostałych państw.

Lord Cecil, stojący na czele delegacji brytyjskiej, mówił z kolei rozwlekle, ale cieszył się popularnością.

> Niech mi wolno będzie przypomnieć Konferencji, że w Anglii jest tradycją, i to – uważam – bardzo zdrową tradycją, że pełną odpowiedzialność za zarządzanie naszymi odległymi posiadłościami powierzamy człowiekowi, którego nazywamy „Człowiekiem na Miejscu". A Człowiek na Miejscu mówi mi, że handel opium to bardzo skomplikowany problem (…)[18].

Obudziwszy się z sennego odrętwienia, M. Aristide Briand, sprzedawca pokoju i smakosz, pogratulował Anglikowi jego *bonne sense Anglaise*. W swoim czasie obaj dostaną Pokojową Nagrodę Nobla, podobnie jak sama Liga zbiorowo, i to niejeden raz. Regularnie cytowano jej antynarkotykowe prace.

Ale słowa się ulatniają, dyplomy pokrywa kurz. Tabele statystyczne pokazywały, że w latach 1925–1930 handel opium

stale rósł. W 1930 roku do nielegalnych kanałów dystrybucji (poza zgodnymi z prawem medycznymi zamówieniami) przeciekło co najmniej 90 ton morfiny. To – przypomniał Konferencji skandynawski delegat – oznacza 1 161 156 000 granów morfiny, a jeden gran jest „bardzo odpowiednią dzienną dawką dla początkującego, 10 granów zaś stanowi dużo dla zaprawionego”. Rzeczywiście dawało to do myślenia, lecz nie skłaniało do działania.

Potem nastąpił szereg wstrząsów politycznych, niektóre z opiumowym podtekstem. W latach 20. Japonia była rycerzem w lśniącej zbroi, którego rygorystyczną antynarkotykową politykę wszystkim dawano za przykład. Ale w 1931 roku bez ostrzeżenia wkroczyła do Mandżurii i najeźdźcy zaczęli stosować opium jako broń. Efekt był przerażający.

> Handlarze zakładali poradnie na wiejskich targach [podbitych terytoriów], ogłaszając, że leczą gruźlicę i inne choroby. Sprzedawane lekarstwo zawsze było to samo: heroina i morfina. Kiedy pacjenci wracali, rejestrowano ich i dawano więcej narkotyku. Była to celowa polityka uzależniania, prowadzona przez Japończyków metodycznie[19].

Gdy sprawę zrelacjonowano w Genewie, raport wywołał oburzenie. Wykorzystywanie opium jako środka do osłabiania wroga lord Cecil określił jako „najbardziej rażąco niesprawiedliwy akt dokonany przez jakiekolwiek państwo w historii wojny”. Tyle że oprócz wypowiedzenia wojny agresorowi Liga nie mogła nic zrobić; właściwie jej statut nie zakładał nawet możliwości wydalenia członka. W tym wypadku wydalenie nie było konieczne. Japonia sama odeszła ze wzgardą. Wkrótce o swoim wystąpieniu z Ligi zawiadomiły hitlerowskie Niemcy, pośpiesznie się remilitaryzujące. Następnie w iście operowym stylu odeszły Włochy, obrażone tym, że Liga wystosowała zaproszenie do cesarza Abi-

synii[20]. W ich ślady poszło kilka państw Ameryki Południowej.

* * *

Podczas gdy większość krajów zgłaszała swoje gołosłowne poparcie dla Ligi – w Anglii kwitły stowarzyszenia wspierające Ligę, a ich ogrodowe przyjęcia zasługiwały na wzmiankę w magazynie „Tatler” – rządy poszczególnych państw z konieczności prowadziły własną politykę narkotykową. W Wielkiej Brytanii po długich dyskusjach Ministerstwo Zdrowia powołało Komisję Doradczą pod przewodnictwem prezesa Królewskiego College’u Lekarskiego w Londynie, a zarazem międzynarodowego autorytetu w zakresie chorób powiązanych z alkoholem, sir Humphry’ego Rollestona. Skład komisji był wyłącznie medyczny, tak samo jak większość powoływanych świadków należała do kręgów medycznych. To mogło się spotkać z krytyką – i się spotkało. Nie przesłuchano ani jednego uzależnionego, tylko dwóch średniej rangi policjantów i rzecz jasna żadnych przestępców. Oparto się jednak dyskretnemu naciskowi ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz sir Malcolma Delevingne’a, którzy domagali się przykładnej surowości (Komisja nie uległa także pochlebnym wzmiankom, jakimi ją wyróżniono z okazji urodzin monarchy).

Kiedy w 1926 roku Komisja opublikowała swój raport, natychmiast przypisano jej ustanowienie czegoś, co nazwano „Systemem Brytyjskim”, w odróżnieniu od „Systemu Amerykańskiego”. Żaden z nich nie został nigdy zdefiniowany, ale „Rolleston” stanowczo odrzucił nastawienie na kary, jakie prezentowała amerykańska Ustawa Harrisona, popierana przez brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Raport nie zalecił też całkowitego zakazu używania heroiny. Zgadzał się na powołanie „medycznych trybunałów” składa-

jących się pospołu z urzędników państwowych i lekarzy, ale nie mieli to być – jak sugerowało ministerstwo i sir Malcolm – lekarze policyjni. Zakres obowiązków owych trybunałów pozostawiono niedookreślony, toteż idea wkrótce umarła śmiercią naturalną. Co najważniejsze, jak zauważył „British Medical Journal", ponownie wyrażono brytyjski pogląd, że uzależnienie jest raczej wymagającą leczenia chorobą niż wołającym o karę przestępstwem. Przymusowe leczenie i różne metody wymuszonego odwyku, „gdy będą dostępne i wykaże się, że są skuteczne", mogą być częścią wspomnianego medycznego podejścia, ale należy dołożyć wszelkich starań, aby nie rzucać uzależnionych w ramiona szarlatanów i przestępców. Co istotne, lekarze nie będą ścigani za dostarczanie uzależnionym osobom narkotyków, nawet heroiny, pod warunkiem że zrobią to w ramach programu leczenia.

Wyraźna „miękkość" rekomendacji wzbudziła oburzenie w kręgach zwolenników twardej ręki. „Zalecenie mistrzowskiej bezczynności w obliczu nieistniejącego problemu" – drwił dziennikarz David Downes. Ale nie miał racji. Problem nie istniał tylko w tym sensie, że zdaniem Komisji nie mógł zniknąć w wyniku wprowadzenia drakońskich praw czy jakiejkolwiek legislacji niemającej wsparcia w postaci innych środków. Łatwo było przeoczyć negatywne wartości raportu (jak zawsze bywa z negatywnymi wartościami), ale przedstawiały się imponująco. Jego rekomendacji nigdy nie przedyskutowano w Parlamencie; Departament Zdrowia opisał je jako „cenne", ale Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie dołączyło się do tej opinii. W ciągu najbliższych 10 lat przyjmą je i wprowadzą u siebie władze wielu zachodnioeuropejskich krajów[21].

* * *

Jedna ważna konsekwencja raportu Rollestona okazała się przypadkowa. Mimo że żaden z członków Komisji nie był psychiatrą, w tekście wspomniano o „psychologicznym podejściu” i „psychiatrycznym wsparciu”, a uzależnienie raz po raz określano jako „neurozę” bądź „chorobę umysłową”. Od tego czasu psychiatria zaczęła się odsuwać od czysto instytucjonalnej roli – która była spuścizną XIX wieku – i poszukiwać nowej, indywidualnej klienteli. Przez kilkadziesiąt lat lwią część owej klienteli w Wielkiej Brytanii będą stanowić uzależnieni. W sądach na biegłych świadków też coraz częściej będą powoływani specjaliści od zdrowia psychicznego. Dla wielu osób, w tym sir Malcolma Delevingne’a, było to irytujące. Czemu specjalista od chorób psychicznych miałby coś wiedzieć o uzależnieniu, skoro „jest to raczej dolegliwość fizyczna niż wada moralna”? Ale mimo swej pozornej nijakości raport Rollestona będzie kształtował postawy Brytyjczyków aż do lat 70. XX wieku, a jego ludzki duch od czasu do czasu odzywa się do dziś.

* * *

Podczas gdy poszczególne kraje na własną rękę rozwijały sposoby radzenia sobie (albo nieradzenia) z narkotykami, Liga wciąż deliberowała nad wielkimi międzynarodowymi opcjami. Ganiła, chwaliła i zbierała dane. W prawdziwym świecie działo się coraz więcej: gwałty zadane Abisynii, Anschluss, układ monachijski, rozbiór Czechosłowacji – żadne z mocarstw przy tych wydarzeniach nie konsultowało się z Ligą. Potem, 1 września 1939 roku, wojska Hitlera najechały Polskę, a zaraz po nich to samo zrobiła armia jego przyjaciela Stalina. „Nadzieja Świata” poszła spać.

Rozdział 26

Nieświęte przymierza

Nikt, kto doświadczył okropieństw drugiej wojny światowej – czy nosił broń, czy przeżył ten czas jako cywil (a straty wśród ludności cywilnej były większe niż wśród żołnierzy po raz pierwszy od wojny trzydziestoletniej) – nie miałby wątpliwości, że cierpienia byłyby nieskończenie większe bez morfiny i heroiny. Zapożyczając słowa Hansa Fallady: „morfina była jedynym opiekuńczym aniołem, który bez ideologii czy wojennych celów bezstronnie służył rodzajowi ludzkiemu w jego szaleństwie”. Narkotyki były dostępne w większości armii (i w tych nielicznych obozach jenieckich, które odwiedzał Międzynarodowy Czerwony Krzyż), a zapasy wyczerpywały się tylko w wyjątkowych okolicznościach. Gdy tak się działo, następstwa były katastrofalne. W oblężonym Stalingradzie w styczniu 1943 roku, kiedy zużyto ostatnią ampułkę, rozpacz wywołała falę samobójstw

w niemieckim wojsku. W związku z tym ostatni rozkaz dnia feldmarszałka Paulusa zabrzmiał cokolwiek surrealistycznie: samobójstwo będzie karane śmiercią. Ale sam feldmarszałek miał swój osobisty podręczny zapasik niemal nienaruszony, gdy dostał się do radzieckiej niewoli[1].

W okupowanych krajach, gdzie w 1941 roku zaczął się organizować ruch oporu, morfina wciąż odgrywała swoją tajną rolę. Emmanuel d'Astier de la Vigerie, czarna owca francuskiej arystokratycznej rodziny i założyciel oddziału Resistance Liberation-Sud, utrzymywał, że w początkowych dniach można było stawiać opór, tylko jeżeli ktoś już był nieprzystosowany. W jego przypadku i przypuszczalnie wielu innych oznaczało to również uzależnienie. Jednak po przyłączeniu się do podziemia przeszedł rygorystyczny odwyk i stał się jednym z bohaterów. Drobny sprzedawca narkotyków Georges Deshayes został zaszantażowany przez marsylską policję, by działał jako podwójny agent, i przez to był w dużej mierze odpowiedzialny za wpadkę ważnej grupy ruchu oporu Mediterranée. Wśród zdradzonych znalazł się Jean Moulin, agent de Gaulle'a w okupowanej Francji. Aresztowano go, torturowano i pozbawiono życia. „Unikać wszelkich kontaktów z narkotykami i narkomanami" – stało się zasadą ruchu oporu, ale zalecenie przyszło za późno. W Holandii i Norwegii ruch oporu i czarny rynek opiumowy pozostały blisko ze sobą powiązane. Niektóre z najbardziej skutecznych grup podziemia finansowały się z nielegalnego handlu narkotykiem i wykorzystywały go do przekupywania urzędników. Wciąż nie jest pewne, czy rzeczywiście w paczkach, które alianci zrzucali na spadochronach w okupowanej Europie, aby pomagać grupom oporu, znajdowała się również heroina.

* * *

Po 1943 roku żołnierzy alianckich wysyłano na front zaopatrzonych w awaryjne zapasy morfiny, której mógł użyć również personel niemedyczny, aby udzielić pierwszej lub terminalnej pomocy rannym towarzyszom broni. Była to rewolucyjna i miłosierna innowacja. Kiedy zapasy się wyczerpywały, to tylko dlatego, że kierowano je na czarny rynek, który niemal natychmiast rozkwitał na świeżo wyzwolonych ziemiach. Proceder był nie mniej zgubny, lecz mniej nagłośniony niż handel fałszowaną penicyliną przedstawiony przez Grahama Greene'a i Carola Reeda w filmie *Trzeci człowiek* (1949). W pewnej scenie powieści Josepha Hellera *Paragraf 22* antybohater Yossarian, amerykański bombardier, próbuje ulżyć w cierpieniu rannemu kumplowi, Snowdenowi. „Zimno mi…" – jęczy Snowden i nic dziwnego, skoro wnętrzności wylewają mu się z brzucha. Yossarian sięga po awaryjne pudełko z morfiną. Jest puste. Wszystkie 10 strzykawek zabrał na sprzedaż przedsiębiorczy kolega z oddziału. Zamiast leku w pudełku leży poświadczenie posiadania udziału w firmie i notka: „Co jest dobre dla M & M Enterprises, jest dobre dla naszego kraju. Milo Minderbinder".

W końcu świat otrząsnął się z rzezi i zaczął przemyśliwać nad pokojem. Albo mniej więcej pokojem. Na sztandarach trzepotał Picassowski gołąb pokoju, ale gałązka oliwna, którą trzymał w dziobie, coraz bardziej przypominała kałasznikowa. Potem chłodny pokój przerodził się w zimną wojnę. Zwykłym ludziom ta zmiana bynajmniej się nie podobała, a poza tym zwiastowała zmartwychwstanie międzynarodowego handlu narkotykami.

* * *

Jedną z nieprzewidzianych, ale nieuniknionych konsekwencji Ustawy Harrisona z 1914 roku było pojawienie się

w Ameryce nowego rodzaju przestępcy. „Gangster”, jak go nazwano, zadebiutował w Nowym Jorku. Stąd przedstawiciele gatunku z impetem rozprzestrzenili się po kraju – jak ich kule. Pod koniec lat 20. termin był już używany w większości cywilizowanych języków świata i stał się częścią nowoczesnego miejskiego folkloru. Od samego początku miał etniczne podłoże. Przekonanie, że sycylijscy gangsterzy, zwani mafią, początkowo celowo wystrzegali się narkotyków jako zła, to mit wyhodowany przez Hollywood. Handel morfiną i heroiną przez jakiś czas pozostawał głównie w rękach żydowskich gangów pod wodzą takich „przyjemniaczków”, jak: Waxey Gordon, Meyer Lansky, Dutch Schultz czy Benjamin „Bugsy” Siegel. Ich siła polegała na międzynarodowych powiązaniach rozciągających się od Marsylii po Szanghaj. Dopóki mafia skupiała się na błogosławionym darze niebios, jakim stało się dla niej szmuglowanie alkoholu w okresie prohibicji, konkurencja siedziała cicho. Jednak takie pomyślne podziały interesów rzadko trwają długo. W 1929 roku Salvatore Lucania, lepiej znany jako Charles „Lucky” Luciano („Lucky”, ponieważ w młodości szczęśliwie przeżył łomot, po którym powinien był umrzeć, a tymczasem pozostał mu po nim tylko lekki zez), kazał wymordować wszystkich swoich rywali z mafii i wszedł w sojusz z żydowskim gangiem Meyera Lansky’ego. Nieortodoksyjny alians nieoczekiwanie rozkwitł i rozbudował się w coś, co do czasu powstania międzynarodowych triad będzie najpotężniejszą organizacją przestępczą, jaką widział świat. Jej pole działania obejmie wszelki możliwy kryminalny proceder, ale zaczęło się „skromnie” od wiodącej roli na rynku dystrybucji heroiny. Pierwszy szczytowy okres działalności trwał około trzech lat – do momentu, gdy zezowatego szczęściarza chwilowo opuściło szczęście.

Aby ratować własną skórę, jeden z przybocznych zbirów Luciana zaczął sypać i wprowadził do policyjnego słownika określenie „śpiewać jak kanarek”. W 1938 roku szef został aresztowany, skazany i zamknięty w więzieniu. Na domiar złego druga wojna światowa spowodowała niemal zupełny zastój w nielegalnym handlu. Narkotyk nadal przerzucano w dużych ilościach, ale robił to głównie personel wojskowy pod swoim płaszczykiem. Dawne nielegalne drogi przerzutu zablokowano albo zrobiły się niebezpieczne. Koniec wojny był bodaj jedynym momentem w historii, kiedy zorganizowaną narkotykową przestępczość – przynajmniej w jej przedwojennej formie – można było zupełnie stłumić. Jednak w chwili, gdy się tego najmniej spodziewali, gangsterzy znaleźli nieprawdopodobnego sprzymierzeńca.

* * *

Początki kontaktów mafii z amerykańskim wywiadem sięgają 1943 roku, ale ujawniono je dopiero 30 lat później. W 1972 roku Alfred W. McCoy wykazał i udokumentował, że w 1943 roku, przygotowując lądowanie na Sycylii, wywiad marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych nawiązał bliską tajną sieć współpracy z mafiosami[2]. Dostarczywszy wojsku cennych informacji, po inwazji sojuszników na Palermo mafia współpracowała z nimi nadal, ścigając ukrywających się opornych faszystów. Włoscy faszyści nigdy nie kochali się z mafią; przeciwnie – nikt nie był tak bliski wykorzenienia jej z ziemi włoskiej jak Mussolini. (Do wykorzenienia jednego gangstera potrzeba drugiego, twardszego). Ale to Cosa Nostra miała się śmiać ostatnia. Armia amerykańska przymykała oko na to, że mafiosi organizują sprawnie działający czarny rynek handlujący żywnością, papierosami, nylonowymi pończochami i – nade wszystko – narkotykami. W ślad za sojuszniczym wojskiem mafia łatwo przeniosła się

z Sycylii na Półwysep Apeniński i w bezpiecznej odległości podążała za aliantami w ich bolesnym marszu na północ.

W 1946 roku Lucky Luciano został warunkowo zwolniony z więzienia – uznano znaczącą pomoc, jakiej udzielił w wysiłku wojennym aliantom, i od razu deportowano go na Sycylię. Nie był to szczęśliwy powrót do domu – podobnie jak większość mafiosów z Nowego Świata, Lucky urodził się w Nowym Jorku i uważał, że w pełni zapracował na spełnienie swego amerykańskiego snu. Wbrew sobie odesłany na ziemię praojców, wkrótce zwerbował sobie ekipę przestępczą, po części miejscową, po części włosko-amerykańską. I tak z pomocą korsykańskich gangsterów, kontrolujących grupę producentów heroiny, przedwojenny światowy syndykat narkotykowy zaczął powstawać z popiołów. Ośrodki dystrybucji ustanowiono w europejskich miastach – Nicea znów znalazła się w odpowiednim miejscu – i po niedługim czasie towar płynął już przez Atlantyk. Potencjalnie Stany Zjednoczone wciąż były największym i najbogatszym rynkiem zbytu, a dogodnym punktem przerzutowym stała się leżąca prawie po drodze Kuba. Tam brutalny reżim sprzed czasów Fidela Castro, mający nienaganne kapitalistyczne referencje, z radością powitał ten nieoczekiwany uśmiech losu. Biznes dopiero raczkował, wciąż był ryzykowny i oparty na kruchych podstawach. Potem scenariusz się zmienił.

Wobec narastających napięć zimnej wojny Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) Stanów Zjednoczonych, od 1947 roku opoka światowej obrony przed komunizmem, szukała antyczerwonych sprzymierzeńców, gdzie popadło. Nadal istniały ślady powiązań między wywiadem amerykańskiej marynarki wojennej a sycylijską mafią. Teraz kusiły odświeżeniem. Jakiekolwiek były wykroczenia mafii na innych polach – a być może w tej kwestii przesadzano – jej antykomunistyczna metryka przedstawiała się solidnie. Wszy-

scy członkowie mafii bez wyjątku byli zdeklarowanymi kapitalistami, a wielu potajemnie podziwiało Agencję. Po cichu czuli się prawie braćmi. Odnowiono zatem kontakty i około 1949 roku operacje Lucky'ego przeobraziły się. Chroniony przez CIA pod antykomunistycznym sztandarem zamknął swoją sycylijską „kuchenną" wytwórnię narkotyków i przeniósł oczyszczanie do laboratoriów w Marsylii, prowadzonych przez doświadczonych chemików nazywanych „kucharzami". Nawet w kiepsko woniejącym marsylskim starym porcie, Vieux Port, zapach bezwodnika octowego zdradzał produkcję heroiny, ale w mieszczących się poza centrum nieużywanych piwnicach winnych, fabrykach fajansu i stajniach można było postawić wirówki, chłodziarki i inny sprzęt laboratoryjny. Przenoszenie go nie stanowiło problemu. Surowe opium napływało z Turcji lub przez Turcję niepowstrzymanym strumieniem. W szczytowym okresie produkcji, w latach 60. XX wieku, w pobliżu Marsylii całodobowo pracowało około 25 laboratoriów wytwarzających heroinę o 98-procentowej czystości. Był to „francuski łącznik" w pełnej krasie, potem nieco tylko podkolorowany przez Hollywood.

W 1949 roku alians mafii z CIA zyskał dodatkową ochronę ze strony francuskiego rządu. Silne komunistyczne związki zawodowe, finansowane przez Moskwę, zorganizowały w Marsylii szereg szkodliwych strajków, a bębenek do tego podbijały władze miejskie. Partia komunistyczna nie wchodziła już w skład paryskiego rządu, ale wciąż miała nadzieję dostać większość głosów na prowincji. Po tej stronie żelaznej kurtyny była to straszna perspektywa. Za wszelką cenę należało zapobiec takiemu obrotowi sprawy. Marsylski sojusz mafii z CIA był cierniem w oku komunistycznej Rady Miejskiej. Wszystkie takie ciernie troskliwie więc hodowano. Waszyngton i Paryż zgodnie przymykały oko na narkoty-

kowy proceder, a nawet ułatwiały jego działanie. W końcu parę ładunków heroiny to śmiesznie niska cena za osłabienie światowego komunizmu. Francuski rząd zastrzegał sobie tylko, że cała wysokiej jakości heroina wyprodukowana w okolicy portu ma być eksportowana. Na to szefowie mafii, co do jednego francuscy patrioci, przystali ochoczo. Mimo owych ustaleń spożycie narkotyku we Francji po 1960 roku stale rosło.

* * *

Handel nadal zależał od doświadczonych prawników, ale udoskonalone przed wojną techniki teraz wystarczyło tylko trochę unowocześnić. Nie było jeszcze wtedy taniego transportu lotniczego, więc cała kontrabanda podróżowała morzem. Liniowce oceaniczne i statki towarowe oferowały szeroki wybór kryjówek. Oprócz korzystania z szybów wentylacyjnych, systemu odpływowego, fałszywego dna w tankowcach i innych sprytnie wbudowanych skrytek heroinę przewożono „przebraną" za krewetki, mydło, solone orzeszki ziemne, kacze jaja zapakowane z prawdziwymi, a także wetkniętą w bolońską mortadelę, bochenki chleba, baryłki cementu, konserwy rybne i słoje z kiszoną kapustą. Opium umieszczano w ozdobnych świecach, rzymskich popiersiach czy martwych kotach. Pod koniec lat 40. przemytem z Meksyku zajęli się wieśniacy lokalnie nazywani „mułami".

We wczesnych latach funkcjonowania francuskiego łącznika kupcy morscy regularnie przerzucali narkotyk bezpośrednio do Nowego Jorku. Kiedy przeszkodził w tym amerykański Urząd Celny, transport poszedł okrężną drogą – najpierw przez Kanadę, a potem przez Amerykę Łacińską. Tę drugą trasę organizował jeden z najgłośniejszych mafijnych ojców chrzestnych, Santo Trafficante Junior[3]. Gładki w słowach miłośnik Marii Callas, której się zresztą oświad-

czył, nawet jak na mafijne standardy był niezwykle okrutny. Miał pod swoją władzą Florydę i Karaiby, a jego kurierzy, prawdziwa elita, dostarczali heroinę do Miami przez francuską Gwadelupę, Martynikę i Portoryko. Ich droga była usiana niezidentyfikowanymi zwłokami.

* * *

Międzynarodowych handlarzy narkotykowych zarówno demonizowano, jak i otaczano romantycznym nimbem. Złapani na gorącym uczynku amatorzy wciąż trafiali na pierwsze strony gazet. Czasami byli to 17-letni urodziwi turyści plecakowi urządzający sobie dziekankę podczas nauki w prestiżowej szkole. Ale tacy stanowili mniejszość. Trzon przemytu należał do profesjonalistów. William Burroughs w *Nagim lunchu* (1959) napisał, że handlarze narkotykowi różnią się od pozostałych przedsiębiorców jedynie tym, że ich towar jest nielegalny.

> Hera nie jest dla nich ani dobra, ani zła. To idealny, najlepszy możliwy towar. Nie potrzeba do niego reklamy ani zachęcającej gadki. Koszty pośrednie są minimalne. Nikt się nie targuje. Właściwie przygotowany klient przepełznie przez ścieki i będzie żebrał o zakup[4].

Dostawy również nie stanowiły problemu. Jeszcze zanim Afganistan stał się niedoścignionym dostawcą, pokrywającym 90% światowego nielegalnego zapotrzebowania, uprawa maku w wielu krajach była zgodna albo na wpół zgodna z prawem. Turcja zakazała jej, dopiero kiedy tymczasowo została przekupiona przez administrację Nixona. Pakistan w latach 60. legalnie produkował tylko sześć ton opium rocznie, ale kolejne 200 ton regularnie rozpływało się w powietrzu. Niestabilną scenę powstrzymywały od rozkołysania dwie stałe kotwice. Pierwsza to fakt, że dla milionów drobnych rolników mak wciąż był najbezpieczniejszą, umożliwia-

jącą utrzymanie się przy życiu uprawą, choć na poziomie wioski przynosił mizerne zyski. Drugą były znakomite marże narzucane na ten towar na wyższych szczeblach sprzedażowej drabiny. Handlarze i pośrednicy zazwyczaj zarabiali na tyle dobrze, by móc przekupić tych, którzy wymagali łapówek. Często zresztą coś tak prymitywnego jak łapówka nie było konieczne. Narkotykowy handel dysponował (i dysponuje nadal) najtęższymi prawniczymi umysłami i biegłymi sądowymi o nieposzlakowanej opinii. Kiedy w niektórych krajach „sole morfiny", podobnie jak sama „morfina", zostały zakazane – załatano w ten sposób starą lukę w przepisach – okazało się, że wciąż można handlować benzoilomorfiną, która nie jest solą, tylko innym związkiem chemicznym, jak zaświadczył w 1976 roku profesor chemii, laureat Nagrody Nobla. Tyle że, tak się złożyło, z tego związku łatwo można otrzymać morfinę.

Prawdziwym skarbem nielegalnego handlu jest stosunek wartości towaru do jego objętości. Kilogram czystej heroiny po zmieszaniu z wypełniaczami może dać 200 000 porcji. To sprawia, że szmuglowanie nawet niewielkich ilości jest opłacalną propozycją. Nagroda zawsze skusi amatora, a jeśli nie, można się uciec do szantażu. I tak ciężarne kobiety miewały w brzuchu nie płód, lecz paczki heroiny. Ćwierćkilogramowe woreczki ukrywano wszyte w pośladki jak implanty, z linią cięcia przebiegle ukrytą w naturalnych bruzdach. Przez kilka lat klasyczną metodą były prezerwatywy związane dentystyczną nicią, bardziej rozciągliwą od bawełnianej, odporną na kwas żołądkowy i niewiotczejącą pod wpływem wilgoci. Paczuszka, posmarowana syropem, łatwo daje się przełknąć. Metoda ta pochodzi co najmniej z 1945 roku. Wówczas właśnie na lotnisku Laredo w Teksasie celnicy po otrzymaniu donosu zbadali fluoroskopowo panią Chowning z Meksyku. Kondomy były taniego sortu

i ukazały się jako niewyraźne ciała obce. Od tamtej pory technika poszła do przodu. Wysokiej jakości „wynalazki” nie dają się wykryć radiowo, potrzeba do tego bardziej zaawansowanych metod obrazowania, które raczej nie będą dostępne w urzędzie celnym na lotnisku. Pani Chowning została zatrzymana, a po podaniu środków przeczyszczających wydaliła 31 paczek heroiny. W ciągu następnych 20 lat liczba połykanych i wykrywanych kondomów wzrosła: przeciętna wynosi 80, a rekord padł w Wielkiej Brytanii – 261. Ale przy tej metodzie coś może pójść źle nawet bez udziału celników. W 1982 roku podczas sekcji zwłok pewnego amerykańskiego studenta z jego żołądka i jelita cienkiego wydobyto 42 prezerwatywy – każda zawierała cztery gramy heroiny. Jedna paczuszka jednak pękła, powodując obstrukcję jelit i bolesną – a może przeciwnie: bezbolesną – śmierć. Rzecz jasna, regularni kurierzy rzadko wpadają, a opisane pomysły to dla nich dziecinada.

* * *

Po potajemnym aliansie z CIA największy ruch w narkotykowym interesie przyniosła wojna w Wietnamie. Kiedy Francuzi ponieśli klęskę w wojnie indochińskiej, zwołana w 1954 roku konferencja w Genewie podzieliła dotychczasową kolonię, jaką były Francuskie Indochiny, na cztery państwa: Laos, Kambodżę oraz Północny i Południowy Wietnam. Odgórny podział w praktyce okazał się gryzmołami na mapie. Azja Południowo-Wschodnia pozostała tyglem niezależnych państewek, ziem lennych, byłych kolonii walczących o niepodległość, terytoriów rządzonych przez watażków (niektóre z nich lepiej sobie radziły niż uznane na międzynarodowej arenie państwa) oraz pozostałości pokonanej armii Kuomintangu Czang Kaj-szeka[5]. Nad wszystkim tym zawisło coś, co eksperci w Waszyngtonie postrzegali jako

zagrożenie światowym komunizmem. Gdy Mao Zedong przejął władzę w Chinach, Azja Południowo-Wschodnia zdawała się logicznym kierunkiem dla jego niepowstrzymanego pochodu. Niepowstrzymanego, o ile nie zbuduje się niezawodnych antykomunistycznych szańców obronnych i zapór. Wietnam Północny dostał się pod władzę komunistów, a Południowy stał się ich następnym celem. Oba kraje były rozpaczliwie biedne i potencjalnie bogate zarazem. Do biedy przyczyniały się głównie korupcja polityków, podziały etniczne i zbyt szybko rosnąca liczba ludności. Źródłem potencjalnego bogactwa mógł się stać mak.

Niemal od samego początku 10-letniego konfliktu opium i jego pochodne były podporą coraz bardziej sprzedajnych reżimów w Sajgonie. Przez pierwsze krytyczne lata handel dzierżyli w swych rękach korsykańscy gangsterzy blisko powiązani z CIA. Korsykanie dostarczyli know-how dla powstających laboratoriów rafinacyjnych, współtworzyli lokalną sieć dilerów, naganiaczy, płatnych morderców, skorumpowanych urzędników i polityków. Amerykański wywiad użyczał zbrojnego zaplecza, gdy było potrzebne, oraz – co najbardziej istotne – załatwił transport z obszarów uprawy maku do laboratoriów. Flota zwinnych, doskonale pilotowanych małych samolotów, nazywana zamiennie albo Air America, albo Air Opium, miała się stać kluczowym elementem zaopatrzenia najpierw miejscowego rynku, a potem Armii Stanów Zjednoczonych.

Ponieważ konflikt Północy z Południem zaogniał się. Na Północy komunistyczny reżim otrzymywał wsparcie od komunistycznych Chin, a później od Związku Radzieckiego. Na Południu amerykański kontyngent, początkowo składający się z kilkuset, a potem kilku tysięcy doradców i przeszkolonego militarnie personelu, teraz rozrósł się do armii liczącej pół miliona osób. Po tym jak fanatycznie katolicki

prezydent Ngô Đình Diệm został zamordowany przez niezadowolonego podwładnego, zniecierpliwionego jego wydumanymi wypowiedziami, fotel prezydencki kolejno zajmowały coraz mniej nadające się do tego marionetki Stanów Zjednoczonych. Straty w ludziach rosły i rosły, a amerykańscy dowódcy wygłaszali optymistyczne oświadczenia – jedno bardziej niedorzeczne od drugiego (co nie przeszkadzało, by każdego z nich ogłaszać wybawcą). Prawdziwą triumfatorką w tym konflikcie bez zwycięzców była heroina.

Kiedy rynek narkotykowy stał się dla Korsykanów zbyt skomplikowany, handel przejęły chińskie Smocze Syndykaty, czyli triady operujące z Hongkongu. Przysłały wyszkolonych lokalnych zarządców, aby ze szczególną dbałością zaspokajali potrzeby amerykańskich żołnierzy, dostarczając im wysokiej jakości heroinę „numer 4”. W 1972 roku na obszarze, który wkrótce będzie nazywany Złotym Trójkątem, działało 29 wysoko wydajnych rafinerii[6]. Produkowały tysiące kilogramów narkotyku, w tym słynnej marki Double Globe. Na zgrabnych paczuszkach z wydrukowanym logo chiński i tajski napis w kolorze purpury (dla Chińczyków to barwa szczęścia) doradzał kupującym: „Strzeżcie się podróbek”, oraz życzył im: „Bezpiecznej morskiej podróży” (chiński odpowiednik „Szerokiej drogi”). Amerykańscy lekarze wojskowi oceniali wówczas, że 37 000 jankeskich żołnierzy w Wietnamie nałogowo bierze heroinę. Niemal na pewno było to niedoszacowanie, może nawet wielkie. Już w ciągu pierwszego dnia od przyjazdu 85% wojskowego personelu niezależnie od rangi spotykało się z propozycją spróbowania narkotyku; szacuje się, że przyjmowało ją 80%. Handel, choć nielegalny, odbywał się zupełnie otwarcie pod łaskawym, ale sokolim okiem generała Dang Van Quanga, szefa prezydenckiego wywiadu. Wielu żołnierzy miało na swych zapalniczkach Zippo (będących częścią zestawu każdego

rekruta) wygrawerowane wierszyki lub maksymy związane z narkotykiem. Ulubionym hasłem było: *Say Hi! if you’re high*[7]. Niejeden amerykański wojak od strzykawki wolał fajkę, zrobioną nieraz z łuski naboju czy ludzkiej kości. Czarny humor rozkwitał w tej bodaj najokropniejszej ze współczesnych wojen[8].

Nałóg nabywany w Wietnamie wkrótce zaczął mieć następstwa w ojczyźnie. Tysiące kilogramów przemycano z Azji Południowo-Wschodniej w żołnierskich listach i paczkach. Fakt ten był doskonale znany, ale skoro w teatrze wojennym brało udział pół miliona aktorów, amerykańska poczta wojskowa, jak zwykle cierpiąca na brak rąk do pracy, była przeciążona. Sprawdzano nie więcej jak jedną przesyłkę na 100, a kiedy już wykryto heroinę, prezydent Lyndon Johnson czy Greta Garbo nie wydawali się prawdziwymi nadawcami. W krótkim czasie wymyślono nowe genialne sposoby transportowania pokaźniejszych ilości. Co najmniej pół kilograma heroiny można było ukryć w worku zawierającym nieboszczyka, czasami w jego ranach. Metodę tę wykryto dopiero po roku, i to tylko dlatego, że cena heroiny w Kalifornii spadła na łeb, na szyję. Wielu od dawna wyczekiwało tego spadku. Od dawna też nazywano ich ćpunami.

ROZDZIAŁ 27

Ćpuny

Angielskie słowo *junky* jako określenie człowieka uzależnionego pojawiło się w Nowym Jorku na początku lat 20. XX wieku. Istniało już przedtem i przez bardzo długi czas oznaczało szmaciarza czy graciarza, który przemierzał ulice z ręcznym wózkiem i kotem, skupując i sprzedając złom, drewno, szmaty i inne rupiecie (*junks*). Wiedząc, że nadające się do sprzedania rzeczy można nieraz znaleźć w śmieciach, taki łachmaniarz od czasu do czasu grzebał po śmietnikach. Tak samo robiło pokolenie młodych, zazwyczaj biednych białych mężczyzn – przetrząsali miejskie składowiska odpadków w poszukiwaniu czegoś, czym mogliby spłacić kolejną działkę. Stąd *junky* i w liczbie mnogiej: *junkies*[1]. Pierwsze pokolenie nazywano również „heroinowymi chłopcami” (*heroin boys*). W 1916 roku neuropsychiatra Pearce Bailey opisywał ich ze współczuciem:

> Są na ogół zdrowi i zdolni do podjęcia pracy, a do tego dość inteligentni. Wielu ma ujmującą osobowość. Ale, jak to często bywa z ujmującymi osobowościami, są niestali, łatwo ulegają czyimś wpływom i dają się zasugerować (...). Pochodzą głównie z biednych miejskich, imigranckich środowisk, walczą o zatrudnienie na niepewnym, nieprzyjaznym rynku pracy, od czasu do czasu uzupełniając sobie dochody drobnymi kradzieżami i wstępując do miejscowych gangów, roztaczających romantyczną aurę przygody i dających poczucie koleżeństwa[2].

Stanowili drugie pokolenie imigrantów: Włochów, Żydów, Irlandczyków, Skandynawów, przybyszów z Europy Wschodniej, a zażywanie heroiny było częścią ich amerykańskiej tożsamości. Gdy raz zaczęli, większość wpadała w nałóg. Słabo odczuwali więzi rodzinne albo odrzucali je całkiem. Ważniejsze więzy łączyły ich z członkami gangu. W Nowym Jorku, a potem też w innych amerykańskich miastach niemal wszystkie narkomanki były prostytutkami. Co przychodziło pierwsze: uzależnienie czy prostytucja, trudno powiedzieć (tak zresztą jest do dziś).

Dlaczego to właśnie heroina stała się standardowym narkotykiem na początku XX wieku? Z powodu przeoczenia – nie włączono jej w pierwszą antynarkotykową legislację, nie była nielegalna aż do 1924 roku, kiedy w Kongresie pośpiesznie przepchnięto poprawkę do Ustawy Harrisona. Jednak przez kilka lat heroina była narkotykiem niemal wyłącznie nowojorskim – jeszcze w 1926 roku 90% uzależnionych od heroiny mieszkało w odległości do niespełna 300 kilometrów od Manhattanu. W tamtych czasach przeważnie przyjmowano ją w postaci zastrzyków, najpierw podskórnych, a wkrótce potem dożylnych. Wstrzykiwanie miało tę nieocenioną przewagę, że dawało błyskawiczne efekty, nawet jeżeli towar został prymitywnie podrobiony. Narkomani pragnęli właśnie tej ulotnej, lecz natychmiastowej i wszechogarniającej błogości. Jeżeli trwała za krótko, zawsze moż-

na to było poprawić kolejnym zastrzykiem. Rzecz jasna, pod warunkiem że i kasa, i towar były dostępne. Dla ćpunów zdobycie hery szybko stawało się nadrzędnym celem życiowym. W połowie lat 20. nowojorski Departament Zdrowia założył kilka darmowych poradni odwykowych. Okazały się niewypałem. Heroinowi chłopcy podejrzewali, prawdopodobnie słusznie, że część personelu tych instytucji współpracuje z policją, czyli wrogiem. W rzeczywistości, jak zauważył dziennikarz David Phear: „Nie było ratunku dla żywych trupów”[3]. Dwa ostatnie słowa zasiliły język angielski jako kolejne określenie narkomana.

* * *

Do końca dekady heroina zdążyła się rozprzestrzenić po całych Stanach Zjednoczonych, a skład społeczny uzależnionej ludności zmieniał się. W latach 30. największą grupą narkomanów stali się Murzyni, którzy wcześniej przybyli na Północ na fali gospodarczego boomu. Krach na giełdzie z 1929 roku pogrążył kraj w najgłębszym kryzysie gospodarczym w historii: liczba bezrobotnych skoczyła do milionów, a czarni migranci znaleźli się na spodzie tej piramidy. By jakoś znieść zimno, głód i upodlenie panujące w czarnych gettach na Północy, można było tylko grać jazz, śpiewać blues i szprycować się herą. To ostatnie często do codziennego życia wprowadzało przestępstwa. Sycylijscy handlarze byli bezlitośnie skuteczni. Pierwsze próbki zazwyczaj rozprowadzali za darmo lub po zaniżonej cenie, aby wyrobić w klientach trwałe zapotrzebowanie. Potem cena pięła się niestety w górę. Pojawiało si pytanie, co przyjdzie pierwsze: morderstwo czy samobójstwo? Heroina stopniowo rozpełzła się z czarnych slumsów i ruszyła na Zachód. W połowie lat 30. słowo *junky* było znane nie tylko w całych Sta-

nach Zjednoczonych, lecz także wszędzie, gdzie język angielski przyjął się jako uniwersalny.

* * *

Po drugiej wojnie światowej spożycie heroiny w Stanach Zjednoczonych wciąż wzrastało, początkowo powoli, potem wybuchowo. Moment eksplozji – przełom lat 50. i 60. – nie był przypadkowy. W dojrzałość wchodziło pokolenie powojennego wyżu demograficznego: w ciągu dekady liczba ludzi w wieku 15–24 lat podwoiła się. Z nadejściem nowej generacji stare zahamowania i zakazy straciły sens. Nagle narkomanami byli już nie tylko wyrzuceni poza nawias społeczeństwa heroinowi chłopcy z Manhattanu czy zdesperowani czarni. Dołączyli do nich przedstawiciele białej klasy średniej z przedmieść, mieszkający w domach ze spryskiwaczami na trawniku i podwójnymi garażami, wielu bystrych, choć może nieco bujających w obłokach. Spotykali się na uniwersyteckich campusach, głośnych festiwalach muzycznych i marszach protestacyjnych. Te ostatnie były coraz liczniejsze, bo też nie brakowało kwestii do oprotestowania. Jedną z nich stanowiła segregacja rasowa na Południu, drugą – kolonialna wojna w odległym zakątku świata. A ten zakątek stawał się nie aż tak odległy, jeśli dostało się wezwanie do służby albo już się ją odbywało. W obu przypadkach świat się kurczył. Młodzi przemierzali z plecakami Europę i Azję i wracali duchowo odnowieni. I choć dobrze bawili się w podróży, imprezy rozkręcały się dopiero w kraju. Nowojorska Greenwich Village oraz odrodzone dawne miasto gorączki złota, San Francisco, tętniły życiem pełnym odjazdowych happeningów. Ci, którzy je organizowali, śmiali się z uprzedzeń rodziców i dziadków. Tacy z nich nudziarze i tak świetnie można się z nich ponabijać. Młodzi dostrajali się do nowych rytmów. Bujali się z rock and rollem. By ich

zgromadzić, nie trzeba było nadętych przemów, machania flagą ani nawet gilotyny. Jak kilka lat później zaśpiewają w nieśmiertelnym refrenie Beatlesi: *all you need is love*[4]. Albo prawie. Młode pokolenie wplatało sobie kwiaty we włosy i zbiorowo wrzucało na luz. Niemal niczym zbawienny znak z niebios (o ile takie miejsce istnieje, lecz w końcu czemu nie?) pojawiła się pigułka – mała biała rzecz, a jak cieszy! Wkrótce do porno-szyku dołączył narko-szyk, a czasem oba się łączyły[5]. Do narkotyzowania się służyły nie tylko opium i jego pochodne. Aby się jak najlepiej wyluzować, wypróbowywano cały szereg nowych substancji. Wśród nich wciąż jednak królowała heroina – po części ze względu na swoją straszliwą reputację, a po części dlatego, że była naprawdę dobra. W latach 1960–1970 liczba zażywających ją Amerykanów wzrosła z około 50 000 do 500 000. Do tej pory nigdy nie zdarzyło się nic takiego.

* * *

Nowe sceny społeczne potrzebują nowych bohaterów. Niepiśmienni znaleźli ich w postaci gwiazd popu i sław sportowych. Do piśmiennych przemówił Jean-Louis (mów-mi-Jack) Kerouac. Prorok kultury bitników – twierdził, że sam wymyślił ten termin, ale go nie lubił ani nie używał – urodził się we francusko-kanadyjskiej rodzinie w Lowel w stanie Massachusetts. Później, podobnie jak wielu czołowych rewolucjonistów, to poszukiwał swoich przodków wśród bretońskiej szlachty, to wywodził swój ród od rdzennych amerykańskich wojowników. Pisał po francusku i po angielsku z taką samą niedbałą łatwością, często niezrozumiale, ale czasami wzniośle. Na Uniwersytecie Columbia, gdzie zdobył stypendium, redagował studencką gazetę, ale kiedy w wyniku kontuzji załamała się jego kariera futbolowa, rzucił uczelnię. Pod wpływem impulsu wstąpił do floty handlo-

wej po Pearl Harbor, ale po kilku tygodniach został zwolniony z „przyczyn zdrowotnych”. Na komisji medycznej powiedział, że jest niewymownie niechętny wszystkiemu, co widział w wojsku: na sam widok munduru dostaje „rytmicznego bólu głowy”. Podobno to dla niego wynaleziono najniższy poziom psychicznej zdolności do służby.

Po wojnie imał się różnych nużących zajęć, ale też zaczął pisać i tworzył całe stosy niepublikowanych i niepublikowalnych tekstów, które jednak z perspektywy czasu wyrywkowo stanowią interesujący materiał. Potem, w 1951 roku, żyjąc w Nowym Jorku z zarobków swej drugiej żony, pociął arkusze kalki kreślarskiej na długie pasy szerokości nadającej się do maszyny do pisania i skleił je razem, tworząc 35-metrowej długości zwoje. Wkręciwszy coś takiego na wałek maszyny, mógł stukać w klawisze bez przerwy i bez potrzeby zmieniania kartek, bez rozdziałów czy podziału na akapity i w śmielszych słowach, niż ostatecznie zostaną opublikowane. Ale zanim doszło do publikacji, odebrał stos pełnych oburzenia odpowiedzi odmownych, z których część zawierała ostrzeżenie, że większość tego, co przedstawił, kwalifikuje się do zaskarżenia w sądzie. Nawet dziś zawarte w książce *W drodze* (1957) chaotyczne, lecz drastycznie obrazowe i podobno autobiograficzne opisy zażywania narkotyków oraz seksualnych praktyk, zarówno homo, jak i hetero, wywołują uniesienie brwi. Rzecz jasna, Kerouac, podobnie jak Coleridge, z którym łączy go dalekie, ale wyraźne pokrewieństwo, był łgarzem i fantastą, a jednak to, co pisał, często wzbudzało fascynację i wspomniane dzieło stało się jedną z czterech czy pięciu najbardziej wpływowych książek stulecia[6]. Sugerowano, że znaczna część tych rękopisów (czy raczej „maszynopisów, duża różnica”, zdaniem Allena Ginsberga) powstała pod wpływem heroiny, ale owa pisanina nie jest podobna do znanej literatury opiumowej. Kero-

uac następnie zainteresował się buddyzmem, jak wielu przedstawicieli pokolenia bitników, lecz się do niego zniechęcił, kiedy buddyjscy uczeni zaczęli go sprowadzać na ziemię. Pisał poezje i scenariusze filmowe, z jego maszyny zeszło też kilka powieści autobiograficznych. Żadna nie jest tak intrygująca jak *W drodze*. W ciągu ostatnich 10 lat życia był zarówno osobistością cieszącą się sławą, jak i odludkiem wylewającym słowa pogardy na własnych fanów. Coraz bardziej przesiąkał alkoholem i heroiną. Miał 47 lat, kiedy zmarł w 1969 roku z powodu krwawienia z żylaków przełyku, które rozwinęły się jako powikłanie marskości wątroby. Trzydzieści lat później
Uniwersytet Massachusetts, z jego rodzinnego miasta, uhonorował go stopniem doktora filologii.

* * *

Wiele innych większych lub mniejszych talentów dawało wyraz bitnikowskim przekonaniom i niedowierzaniom. Nierzadko ich piosenki i pisma prezentują szokujący, a jednak dziwnie łagodny światopogląd. Czy rzeczywiście byli podobni do wczesnych chrześcijan, jak sami twierdzili? A może raczej nastawili się na zniszczenie zachodniej cywilizacji? Niewykluczone, że i jedno, i drugie[7]. Herbert Huncke, pionier ruchu pokoleniowego, drobny przestępca i heroinowy narkoman, w 1946 roku poznał Williama S. Burroughsa i wprowadził wiodących nowojorskich bitników w żargon oraz styl życia ćpunów. Dla wielu było to objawienie. Burroughs pochodził z bogatej rodziny (jego dziadek wynalazł pierwszą udaną rynkowo maszynę liczącą do dodawania i odejmowania), ponadto skończył studia na Harvardzie. Wkrótce stał się wcieleniem bitnikowskiej sceny i jej odgałęzień. (Były liczne). Pierwszą książkę Burroughsa, *Ćpuna* (1953), pomógł wydać i wypromował jego przyjaciel Allen

Ginsberg, którego brzemienny w następstwa poemat *Skowyt* rozległ się w 1956 roku jak sygnał trąbki. Pobrzmiewały w nim echa Wolterowskiego *Ecraser l'infame!*[8], choć bezecnikiem nie był już teraz Kościół, lecz kapitalistyczne społeczeństwo. Wiersz ściągnął na autora oskarżenia o nieprzyzwoitość i mocno nagłośniony proces. Kto wygrał? To zupełnie nie miało znaczenia. Przesiąknięta narkotykami powieść Burroughsa *Nagi lunch* (1959) też trafiła do sądu – w 1962 roku. Podobnie jak londyński proces *Kochanka lady Chatterley*, przyniosło to dziełu rozgłos i pomogło ustawić kulturę bitników na mapie. Styl *Skowytu* daje się poznać już w jego pierwszych, często cytowanych wersach:

> Widziałem najlepsze umysły mego pokolenia zniszczone szaleństwem, głodne histeryczne nagie,
> włóczące się o świcie po murzyńskich dzielnicach w poszukiwaniu wściekłej dawki haszu,
> anielogłowych hipstersów spragnionych pradawnego niebiańskiego podłączenia do gwiezdnej prądnicy w maszynerii nocy[9].[10]

Burroughs ukuł później chodliwą frazę: „Po prostu powiedz narkotykowej histerii NIE" w odpowiedzi na slogan Nancy Reagan: „Po prostu powiedz narkotykom NIE"[11]. Mniej subtelną ripostą było: „Po prostu powiedz narkotykom TAK" nabazgrane na ścianach niezliczonych ubikacji. Narkotyki znajdowały się w sercu bitnikowo-hipisowskiej-flower-power kultury, a tak samo jak opiaty liczyły się: amfetamina (również pod nazwą „benzedryna"), marihuana i inne psychodeliki. Z opiatów najpopularniejszą formą była morfina w małych tubkach z igłą, którą wkłuwało się pod skórę, a następnie naciskało tubkę. Bardzo modne i łatwe do przewożenia. W miarę jak ruch bitnikowski rozprzestrzeniał się i różnicował na bitników, hipisów, dzieci kwiaty i inne podgatunki, zmieniała się scena narkotykowa – zależnie od miejsca i czasu. Lato Miłości (1967) było też Latem

Odurzenia: oprócz zapuszczonych bród, sandałów, kaftanów, długich włosów, gitar, braku makijażu i braku biustonoszy ważnym elementem tej kultury były wielokolorowe małe pigułki i kapsułki beztrosko spożywane garściami. Ale zdaniem wielu to festiwal w Woodstock, zorganizowany dwa lata później, był wcieleniem hipisowskiej kontrkultury oraz jej ideałów miłości i życia. Rozrywkę zapewniały na nim gwiazdy estrady lat 60.[12], a dla tych, którzy ich słuchali, było to przeżyciem jedynym w swoim rodzaju. I okazało się niepowtarzalne, jak zazwyczaj bywa z takimi wydarzeniami. Następny festiwal, w Altamont w Kalifornii, zapisał się w historii zgrzytem – podczas występu Rolling Stonesów ochrona zadźgała nożem 18-letniego Mereditha Huntera. Jednak czy śmierć nie jest też częścią życia?

Niektórzy z luminarzy bitnikowskiej kultury ostatecznie dostali się do literackiego establishmentu i zostali zaproszeni do grona akademickiego. Inni pozostali hipisami do końca, nierzadko wczesnego[13].

* * *

Nieuniknioną koleją losu kultura bitników w ciągu kilku lat po podbiciu Ameryki dotarła do Wielkiej Brytanii i na kontynent europejski. Rzecz jasna, w Starym Świecie przybrała nieco złagodzoną formę, ale zaznaczyła się na tyle mocno, by do teraz budzić w podstarzałych panach i paniach nostalgiczne wspomnienia. W Europie Zachodniej jednak przedwojenne tło było inne niż w Stanach. Auden nazwał lata 30. „podłą, nieuczciwą dekadą” i nie ma w tym przesady. Faszyzm rósł w siłę. Masowe bezrobocie stanowiło nieopisaną plagę. Ale w Paryżu czy Londynie nie istniały czarne getta, w których kiełkowałby heroinowy nałóg, a kulturę narkotykową podtrzymywało głównie środowisko cyganerii. Do ofiar heroiny zaliczał się między innymi Christopher

Wood, wschodząca gwiazda angielskiego odrodzenia sztuki z lat 30., zawstydzająca lękliwych polityków i służalczych dziennikarzy. Miał 29 lat, kiedy zamroczony przez opium wypadł albo wyskoczył z rozpędzonego pociągu. Na Montmartre eksperymentowanie z heroiną należało do dobrego tonu, choć wielu mieszkających tam wówczas twórców – jak Picasso czy Giacometti – nienawidziło jej. Podobnie zresztą jak ich genialny rywal z Montparnasse – Matisse. Ale Raymond Radiguet, Francis Poulenc i Georges Auric przez jakiś czas brali narkotyki, a sprzedawcy byli stałym elementem ulicznej sceny placu Pigalle. Stali się także częścią jego mitologii; Maurice Chevalier w niedościgniony sposób scenicznym szeptem zachwalał *héroïne*, choć sam był o wiele za rozsądny, by się uzależnić. Jean Cocteau uważał się za proroka, nawet kiedy zapadł w narkotykowe odurzenie w windzie, jadąc do mieszkania Picassa. Temu ostatniemu, jako że mu przeszkodzono w pracy (albo w czymkolwiek innym), nie było do śmiechu. Jednak pozostawiony przez Jeana Cocteau rysunek kreskowy przedstawiający uzależnionego podczas odstawiania to jeden z najbardziej przejmujących wizerunków w świecie opium. Dumnymi ekspertami od narkotyków byli także Guillaume Apollinaire i Louis Leroy; ten drugi nawet opublikował elegancki i umiarkowanie zabawny bestseller zatytułowany *Livre de la fumée*. Jednak eksplozja na narkotykowej scenie Europy nastąpiła dopiero w latach 60.

Na potrzeby tej radosnej epoki zmodernizowano narkotykowy handel. Wysyłkę dostosowano do konteneryzacji oraz do specjalnie budowanej floty ciężarówek z podwójnym dnem, fałszywymi zapasowymi oponami, dodatkowymi pustymi w środku cylindrami oraz innymi genialnymi skrytkami. Wielka Brytania zaczęła otrzymywać większość dostaw transportem kołowym, i tak jest do dziś[14]. Ale rozwijał się

nie tylko handel narkotykami. W bezprecedensowym tempie rosła liczba międzynarodowych podróży pasażerskich. Socjolodzy wyjaśniali, że to bardzo dobrze: spotykanie Niemców w ich rodzimej piwiarni, smakowanie francuskiego sera w Dordogne i przywożenie zabawek z Chin to najlepsze sposoby przeciwstawiania się doktorom Strangelove'om tego świata. To, że owe zmiany utrudniły działanie środków mających zapobiegać przemytowi, było błahym skutkiem ubocznym. Zawodowi szmuglerzy poczynali sobie coraz śmielej. Z góry przyjmowali, że niewielki odsetek towaru i niektórzy kurierzy wpadną w ręce celników. Ryzyko było wkalkulowane w cenę. Małym płotkom wyrównywano straty. Rodziny bardziej zaangażowanych przemytników dostawały hojne wsparcie, gdy ich żywiciel przebywał na przymusowym urlopie za kratkami. Tak czy inaczej w więzieniach handel też kwitnął. Międzynarodowe stawki za najem kurierów nieraz się zmieniały, ale nigdy nie stało się tak, by brak chętnych zagroził równomiernemu spływowi towaru. Oprócz profesjonalistów przemytem parały się harcerki, sportowcy o międzynarodowej sławie, gwiazdy popu i ich świta, członkowie chórów kościelnych oraz ambasadorowie i ich żony. Kurierów było takie mrowie, że zamiast mułami zaczęto ich nazywać mrówkami.

* * *

Muły, mrówki czy zwykli szmuglerzy stanowili jedynie front. Za nimi kryli się i zdalnie nimi poruszali poważni biznesmeni średniego szczebla, a jeszcze wyżej znajdowało się kilku feudalnych baronów narkotykowych. Organizacja przynosiła na tyle zysków, że ci ostatni mogli sobie stworzyć każdy front, jaki tylko zechcieli. Niektórzy zostali filantropami, mecenasami sztuki i przedsiębiorcami, którym nieobca jest troska o społeczeństwo. Sponsorując partie polityczne, za-

spokajali potrzeby swych żon pragnących należeć do śmietanki towarzyskiej. Swoją cenę miało też honorowe członkostwo w takim czy innym klubie. Jak zaobserwował Paul Simonet (gangster spokojnie korzystający z emerytury), biznes przynosił na tyle zysków, że łatwo dało się dostosować styl i „usatysfakcjonować ministrów, dworzan, szefów policji i kardynałów". Środowiska handlujące narkotykami były teraz etnicznie bardziej jednolite niż inne międzynarodowe przedsięwzięcia. Dostawami do Stanów Zjednoczonych na ogół zajmowali się Włosi, do Francji – Korsykanie, do Niemiec – Turcy, a do wielu części Azji – Chińczycy. Im bliżej końca wieku i tysiąclecia, tym bardziej w branży zaznaczali się nuworysze: głównie Nigeryjczycy, w ślad za którymi podążyli Rosjanie, Ukraińcy, Rumuni i Albańczycy. Węgrzy podobno mieli handel narkotykowy w pogardzie, o ile zyski nie okazały się niebotyczne. Więzy językowe i pokrewieństwo nadal przeważały nad domniemanymi minusami chowu wsobnego.

* * *

Wprawdzie w Wielkiej Brytanii scena narkotykowa nigdy nie osiągnęła takiej kwiecistości ani nie stała się takim zagrożeniem społecznym (jak ją niektórzy postrzegali), żeby dorównać amerykańskiemu pokoleniu bitnikowsko-hipisowskiej-flower-power, ale przez jakiś czas była ożywiona, nieraz wręcz śmiertelnie. Zaczęło się w 1967 roku niemądrym oskarżeniem wniesionym przeciw Rolling Stonesom, kiedy policja dowiedziała się z „News of the World"[15] o narkotykowej imprezie urządzonej przez jednego z przyjaciół Micka Jaggera. Dziennik „The Times" nagłośnił to mało istotne wydarzenie jako „symbol konfliktu między tradycyjnymi wartościami a nowym hedonizmem". Przyszły sir Mick został skazany na trzy miesiące więzienia, ale wyrok unie-

ważniono po apelacji. Minister spraw wewnętrznych lord Stonham wyraził troskę trzeźwiejszego pokolenia: idole popu wodzą młodzież tego narodu na pokuszenie. I to była prawda. Przez dekadę czy dwie pop ociekał narkotykami. Kto mógł się oprzeć pełnej miodopłynnych podtekstów piosence Boba Dylana *Rainy Day Women* z prowokacyjnym refrenem: *everybody must get stoned*[16]? Albo Stonesom z ich przebojami *Mother's Little Helper* i *Connection*? Albo Beatlesom śpiewającym *Lucy in the Sky with Diamonds* i *With a Little Help from my Friends*? Albo Frankowi Zappie i jego zespołowi Mothers of Invention z porywającym *Hungry Freaks, Daddy* i *Help I'm a Rock*? Albo grupie Jefferson Airplane z jej przebojem *White Rabbit*? Albo zespołowi Procol Harum z jego tęsknym *A Whiter Shade of Pale*? Albo grupie Velvet Underground i piosence *Heroin*? Albo setkom innych hymnów pochwalnych, tylko nieco mniej trwale zapisanych w ludzkiej pamięci? Były niewinne, ale nie do końca. Po spowodowanej narkotykami śmierci Kurta Cobaina, twórcy nurtu grunge, zmarłego w wieku 27 lat, jego matka płakała: „Teraz niemądry chłopiec dołączył do tego głupiego klubu". Miała na myśli klub młodych, poważanych przez niego geniuszy, którzy zmarli przed nim śmiercią powiązaną z narkotykami. Należeli do nich między innymi: znakomity Brian Jones ze Stonesów, elektryzujący Jimi Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison, Gram Parsons, Keith Moon z grupy The Who i Sid Vicious z Sex Pistols. Ich liczba będzie rosła. Imponująca lista wielkich nieobecnych do opłakiwania.

* * *

Podobnie jak w poprzednich epokach, opiumową literaturę zasiliły także teksty prezentujące wyższy poziom. Graham Greene, zbierając informacje do napisania powieści *Spokoj-*

ny Amerykanin, z akcją osadzoną w Sajgonie, sporządził klasyczny opis opiumowego snu:

> Po dwóch fajkach odczułem pewną senność, po czterech mój umysł stał się czujny i spokojny – nieszczęście i strach przed przyszłością stały się jak coś zamazanego, co kiedyś nie wiadomo czemu uważałem za ważne. Ja, zawsze nieśmiały, gdy mam się posłużyć swoim okropnym francuskim, ku własnemu zdziwieniu zacząłem recytować towarzyszowi wiersz Baudelaire'a. Kiedy wróciłem tej nocy do domu, po raz pierwszy doświadczyłem białej nocy opium. Człowiek leży wyluzowany, nie śpi i nie chce mu się spać. Boimy się bezsenności, kiedy coś niepokoi nasze myśli, ale w tym stanie człowiek jest spokojny, choć błędem byłoby powiedzieć, że szczęśliwy, ponieważ szczęście zaburza puls. Nagle, niespodziewanie zasypia. Nigdy nie spał aż tak głęboko całonocnym snem, aż tu po przebudzeniu spogląda na świecącą tarczę zegara i okazuje się, że minęło zaledwie dwadzieścia minut tak zwanego realnego czasu[17].

ROZDZIAŁ 28

Strażnicy prawa

Na ćpunów, dzieci kwiaty, narkomanów, nałogowców, uzależnionych i ich dostawców jest gotowa rzucić się stale rosnąca armia narodowych i międzynarodowych agencji czuwających nad egzekwowaniem antynarkotykowych praw. Wzorcowa dla nich organizacja, amerykańska Federal Narcotics Control Board (Federalna Izba Kontroli Narkotyków), rozpoczęła działalność w 1928 roku w wyniku morderstwa popełnionego na Arnoldzie Rothsteinie, ważnym nowojorskim gangsterze. Postrzelony nie zginął na miejscu, lecz był przesłuchiwany w sprawie tego, kto do niego strzelał. Nabrał jednak wody w usta. „Ale panie Rothstein, nie chce pan, żeby złapano pańskiego zabójcę?” – pytał detektyw. „Chcę. Jednak niech pan się trzyma swojej pracy, panie władzo, a ja swojej”[1].

Mordercy nigdy nie ujęto, lecz w papierach Rothsteina znaleziono dokumenty obciążające czołowych członków nowojorskiej administracji oraz agencji egzekwujących prawo dotyczące handlu heroiną. Dochodzenie ławy przysięgłych ujawniło, że zmarły jako swego osobistego adwokata zatrudniał syna pułkownika Leviego Nutta, dyrektora Wydziału Antynarkotykowego z nowojorskiej Jednostki Zakazu Narkotyków, a zięcia Nutta jako swego osobistego księgowego. Ława przysięgłych usłyszała również dowody na to, że narkotykowi agenci, podkomendni Nutta, rutynowo brali łapówki, gubili dowody, przypisywali sobie aresztowania dokonane przez inne agencje oraz kłamali pod przysięgą. Świadkowie dali do zrozumienia, że znaczną część heroiny przechwyconej przez policję następnie sprzedawano specjalnymi kanałami po okazyjnej cenie. Nutt był osobiście odpowiedzialny za rażąco zawyżone liczby aresztowań w narkotykowych sprawach, jego podkomendni zaś regularnie zatrzymywali tych samych drobnych handlarzy, a jednocześnie równie regularnie odpuszczali grubym rybom. Sprawa zwiastowała upadek stowarzyszenia Tammany Hall[2] oraz dojście do władzy żywiołowego, reformatorskiego burmistrza Fiorello La Guardii. Mniej szczęśliwą okolicznością był wstrząs, jakiego doznał stary miejski aparat antynarkotykowy. Nowo utworzone Federalne Biuro Narkotykowe zostało podporządkowane bezpośrednio Ministerstwu Skarbu. Sąd przysięgłych zalecił również, aby Biuro otrzymało więcej pieniędzy i by kary za przestępstwa związane z narkotykami zostały usztywnione. Okoliczności otaczające mianowanie szefa Biura pozostają niejasne; dość, że stanowisko zamiast trafić w ręce emerytowanego admirała, już nominowanego przez Ministerstwo Skarbu, zostało powierzone mało znanemu urzędnikowi konsularnemu, Harry’emu J. Anslingerowi. Pisane mu było rządzić or-

ganizacją przez 30 lat oraz odcisnąć własne piętno na antynarkotykowej polityce Stanów Zjednoczonych i świata – piętno odczuwalne jeszcze długo po jego odejściu.

* * *

Anslinger przyszedł na świat w 1892 roku w skromnie żyjącej rodzinie szwajcarsko-niemieckich imigrantów w małym miasteczku w Pensylwanii i z dumą należał do solidnej amerykańskiej klasy średniej. Twierdził, że wyrobił sobie „niewykorzenialną nienawiść do narkotyków", kiedy bohater jego dzieciństwa Jimmy Munger, najlepszy bilardzista w mieście, zmarł z przedawkowania heroiny. Wielce przereklamowane umiejętności językowe Anslingera – liznął zaledwie nieco niemieckiego od rodziców – pomogły mu zdobyć pracę w amerykańskiej służbie konsularnej, a sukces, jaki odniósł w ograniczeniu rumu płynącego do Stanów Zjednoczonych z Bahamów, wyniósł go na stanowisko szefa organizacji, która dopiero miała się stać najważniejszą sekcją Biura Prohibicji. W dalszej karierze na pewno nie zaszkodziło mu małżeństwo z siostrzenicą Andrew W. Mellona, ministra skarbu. Po kilku latach został dyrektorem Federalnego Biura Narkotykowego, a tak naprawdę (choć jeszcze nie z nazwy) pierwszym narkotykowym carem świata.

Anslinger nie miał ujmującej osobowości i nie próbował wydawać się uroczy. Był raczej podstępny niż bystry, podejrzliwie traktował każdego, kto go przewyższał wykształceniem czy inteligencją, oraz bez skrupułów stawiał na swoim. Gdy potrzebował kozła ofiarnego, pod ręką zawsze znalazł się ktoś z najlojalniejszych pomocników. Dyrektor Biura lubował się tytułem cara narkotykowego, wymyślonym przez jakiegoś niedoinformowanego dziennikarza. Określenie sugerowało autokratyczne rozwiązywanie problemów, które takiego rozwiązania nigdy nie miały ani nie będą

mieć. Wątpliwe jednak, by Anslingera zaprzątały jakiekolwiek rozwiązania. Jego credo było proste:

> Uzależnienie od narkotyków to zło, które należy nie wyleczyć, lecz wykorzenić i całkowicie zniszczyć. My [czyli Stany Zjednoczone, ponieważ Anslinger uważał się za namaszczonego rzecznika swojego kraju] musimy postępować jak dobrze prowadzona drużyna futbolowa, zwięzła w blokadach, ostra w szarżach i dobrze wyszkolona we wszelkich podstawach. Potrzebujemy sztywniejszych praw karnych[3].

Był równie zdecydowany wyplenić marihuanę, jak i zniszczyć opiaty, czym osiągał efekt przeciwny do zamierzonego. Jako że jego opowieści o marihuanie były wyraźnie przesadzone, ostrzeżenia dotyczące heroiny – choć mające lepsze podstawy – traciły wiarygodność[4]. Albo straciłyby, gdyby ludzie podeszli do nich z niedowierzaniem. Takich było jednak niewielu. Anslinger miał dar przekonywania: mówił wprawdzie rozwlekle, ale w dobrze wyważonych odstępach stosował charakterystyczne „przytkane” brzmienie mające zdradzać ledwie powstrzymywane emocje. Wygłaszał swoje mowy do organizacji rodzicielskich, na szkolnych zebraniach i konferencjach dydaktyków, prawników, lekarzy, policjantów, biznesmenów i – nade wszystko – polityków. Brał za to skromne opłaty, nie był zachłanny finansowo. Wielu wytykało mu rażące kłamstwa w retoryce, ale i tak skutecznie trafiał do słuchaczy. Opisując wstrząsające zgony uzależnionych lub ich dostawców, zazwyczaj trzykrotnie powtarzał zdanie: „Ile takich morderstw mamy jeszcze darować… lub raczej umożliwiać?”[5].

Jak przed nim robił Nutt, a po nim będzie czyniło wielu jego następców i naśladowców, Anslinger skupiał się na zatrzymywaniu narkomanów i drobnych sprzedawców, szczyty handlowej piramidy zaś pozostawiał w spokoju. Nigdy nie postawił w stan oskarżenia organizacji przestępczej ani na-

wet nie podjął w takiej sprawie żadnego śledztwa. W zamian za to bossowie od czasu do czasu urządzali spektakularne, szeroko nagłośnione w mediach pseudołowy – Anslingera fotografowano w napoleońskiej pozie stojącego obok skrzyń z etykietami „Heroina". Takie skrzynie w rzeczywistości nigdy nie istniały; nawet najciemniejsi narkotykowi szefowie nie byli aż tak ciemni. Tak duże ilości, choćby i prawdziwego towaru, zaniżyłyby tylko jego cenę na rynku.

Oprócz „misjonarskiej" pracy na ulicach wielkich miast Anslinger miał specjalny jad zarezerwowany dla gwiazd show-biznesu. Jego zdaniem były one winne nie tylko uzależnienia, lecz także przekraczającej wszelkie granice prowokacji. Uwielbiał nadużywanie władzy, ale nie lubił być przedmiotem kpin, a tymczasem natrząsał się z niego cały nowojorski teatralny światek. Szumowiny chełpiły się swoją przyjaźnią z wielkimi i dobrymi ludźmi, nawet z rodzinami kolejnych prezydentów. Ich bogactwo było nieprzyzwoite. A wszystko to w ich własnym mniemaniu i czasami naprawdę czyniło ich nietykalnymi. Nietykalni, otóż to, dopóki są gwiazdami Hollywoodu i Broadwayu. Jeśli spadali z piedestału, nie było dla nich litości. Kiedy w 1959 roku piosenkarka Billie Holiday leżała w nowojorskim szpitalu, umierając z powodu marskości wątroby, zbiry Anslingera wpadły do jej sali i ignorując protesty lekarzy i pielęgniarek – dwóm lekarzom i jednej siostrze trzeba było opatrzyć rany po szamotaninie – skonfiskowały jej heroinę, radio, gramofon, kolorowe magazyny, kwiaty i czekoladki. To o heroinę chodziło: bez niej ostatnie dni piosenkarki stały się torturą. Zawodowy fotograf prasowy uchwycił ją na zdjęciach w stanie rozbicia; fotografie zostały opublikowane z podpisem od Anslingera: „Występna społeczna trędowata dostaje, na co zasłużyła". Prezydent Eisenhower, żeby nie być nieuprzejmym, wysłał mu gratulacje.

Lecz takie grube ryby w sieci należały do rzadkości. Większość ofiar Anslingera stanowili młodzi czarni i Latynosi, nikogo nieobchodzący. Aresztowanie ich nie tylko było łatwe, lecz także podsycało jego pogardę dla ras, które uważał za podludzi. W 1952 roku Ralph Ellison, muzyk i pisarz z Oklahomy, opublikował powieść *Niewidzialny człowiek*. Dziadek narratora na łożu śmierci doradza swojemu synowi, jak ma traktować białych: „Oczadź ich, potakując, podminuj uśmiechami, zgadzaj się z nimi do upadłego, daj się pożerać, aż zwymiotują (…). Dla własnego osobistego bezpieczeństwa daj im zrozumieć, że możesz być niebezpieczny”[6]. Książka maluje wstrząsający, lecz beznamiętnie przedstawiony obraz młodych Murzynów wykluczonych z amerykańskiego snu, zażywających narkotyki po części po to, by zrobić na złość białym władzom, ale także dlatego, żeby sobie poradzić ze stresami wczesnej dorosłości w slumsach. Narrator staje się jednym z dziesiątek tysięcy ofiar Anslingera. Ale nie musimy polegać na fikcji, choćby i bliskiej rzeczywistości. Trend ten potwierdzają statystyki z więziennego szpitala w Lexington. Z 2943 przyjętych w 1946 roku czarnoskórzy stanowili 7,3%; w 1950 roku wśród 4534 przyjętych było 42,2% czarnych, a w 1956 wśród 5875 przyjętych Murzyni tworzyli już zdecydowaną większość, 72%. Osiemdziesiąt jeden procent przyjęto z powodu popełnienia przestępstw związanych z narkotykami. Za kratkami prochy były dostępne bez przeszkód, choć miały swoją cenę. Nawet młodzi ludzie trafiający do zakładu karnego po raz pierwszy z powodów innych niż narkotykowe po odsiedzeniu wyroku wychodzili na wolność uzależnieni. Ponad dwie trzecie wszystkich osadzonych w więzieniu – niektórzy szacują nawet, że aż 85% – odsiadywało karę nie po raz pierwszy.

U Anslingera liczby nigdy się nie zgadzały. Służyły do jego celów w danej chwili. Z jednej strony, „wygrywamy właśnie

wojnę narkotykową i zostanie ona zakończona lada moment, jeśli kary będą współmierne do [dziejącego się] zła”. Z drugiej, w 1955 roku Anslinger oświadczył, że w USA wciąż 45 000 ludzi zażywa heroinę, więcej niż kiedykolwiek przedtem, „a ich liczba rośnie”. Wszystko zależało od tego, jaki zestaw liczb ma szansę pomóc mu w osiągnięciu celu. A jego stałym celem była władza. Na ogół wierzono mu, jak zauważył pewien ekspert od spraw narkotykowych, „ponieważ słuchacze chcieli mu wierzyć”. Osobisty szczyt szczęścia zdobył w 1956 roku, gdy weszła w życie Ustawa o kontroli narkotyków – jeden z najbardziej opresyjnych aktów prawnych, jakie uchwalono w amerykańskim Kongresie. Znów podwyższono kary za przestępstwa związane z narkotykami. Ponadto wprowadzono bezprecedensową w federalnym prawie klauzulę pozwalającą aresztować obywatela bez nakazu, wyłącznie na podstawie „przekonania”, że popełniono przestępstwo mające związek z heroiną. W niektórych stanach można było teraz ścigać obywateli za wykroczenia przeciw narkotykowemu prawu, nawet jeżeli władze nie miały dowodu, że człowiek ten kupił czy posiadał narkotyk. Anslinger rozkwitał w tej atmosferze zakłamania i zastraszania, w dodatku znalazł sobie podobnie myślących sprzymierzeńców. Był wśród nich młodszy senator ze stanu Wisconsin, który właśnie wyrabiał sobie nazwisko.

Ostentacyjnym przypieczętowaniem przymierza Anslinger – McCarthy było ich wspólne uznanie zagrożenia ze strony komunistycznych Chin, ale u podstaw łączącej ich więzi legło uzależnienie McCarthy’ego od morfiny. Widząc, jak bardzo przyjaciel jest narażony na szantaże, Anslinger załatwił mu dostęp do najlepszej jakości morfiny w aptece na Kapitolu, działającej pod protekcją Anslingera. Jak później on sam relacjonował w słabo zawoalowany sposób w swojej au-

tobiograficznej powieści *The Murderer* (którą opublikował po przejściu na emeryturę):

> Jeden z najbardziej wpływowych członków Kongresu tamtych czasów i jeden z moich najgodniejszych zaufania stronników był nałogowcem uzależnionym od morfiny. Był miłym człowiekiem, ale nie robił nic, żeby sobie pomóc w pozbyciu się nałogu. (…) Odmawiał porady medycznej i nalegał, aby nikomu nigdy nie pozwalać mieszać się do niego czy do jakiegokolwiek nawyku, jakim zapragnie sobie dogadzać. (…) Dużo też pił, ale największym zagrożeniem dla niego samego i dla kraju było uzależnienie od morfiny, mimo że w interesie narodu nieprzerwany dostęp do narkotyku zagwarantowało mu moje Biuro. Pewnego dnia zmarł i opłakiwałem go szczerze jako przyjaciela, lecz także dziękowałem Bogu, że ulżył mi, zdejmując z mych ramion wielki ciężar i zażegnując pewne zagrożenie[7].

Anslinger miał z McCarthym wiele wspólnego, ale przeciwnie niż Joe, który utrzymał się u władzy zaledwie cztery lata, Harry królował przez trzy dekady. Ku własnemu zaskoczeniu, w 1961 roku został ponownie powołany na to samo stanowisko przez nowo wybranego prezydenta Johna F. Kennedy’ego. Rok później przeszedł na emeryturę.

ROZDZIAŁ 29

Zero tolerancji

W 1970 roku sędzia okręgowy Whitman Knapp został poproszony o przestudiowanie poważnych i niepokojących oskarżeń wniesionych przez pewnego policjanta. W swoim raporcie sędzia zakonkludował, że „dotychczasowe próby legislacyjne zmierzające do wyplenienia narkotykowych uzależnień najwyraźniej doprowadziły do tego, że mamy jeszcze więcej uzależnień, więcej biznesu dla zorganizowanej przestępczości i więcej dowodów wskazujących na korupcję policji”.

> Korupcja w ostatnich latach wzrosła do tego stopnia, że wysokiej rangi oficerowie policji postrzegają ją jako najpoważniejszy problem, przed jakim stoi Departament. W toku naszego śledztwa zaznajomiliśmy się z takimi praktykami, jak:
> – zatrzymywanie sobie pieniędzy i/lub narkotyków skonfiskowanych w trakcie aresztowania bądź nalotu;

– sprzedawanie narkotyków uzależnionym informatorom w zamian za skradzione dobra;
– przekazywanie skonfiskowanych narkotyków policyjnym informatorom na sprzedaż dla uzależnionych;
– podrzucanie narkotyków aresztowanej osobie w celu stworzenia dowodu, że naruszyła prawo;
– przechowywanie narkotyków, igieł i innych narkotykowych przyborów w szafkach funkcjonariuszy policji;
– przyjmowanie i domaganie się pieniędzy lub narkotyków od osób podejrzewanych o naruszenie prawa narkotykowego w zamian za ujawnienie im oficjalnych informacji; oraz
– finansowanie heroinowych transakcji[1].

Ale mimo że komisja Knappa opublikowała swoje rewelacje, prezydent Richard M. Nixon pod naciskami ogółu wydał „wojnę narkotykom”, pierwszą tak dramatyczną deklarację ze strony amerykańskiego prezydenta. Jego alarm nie był nieuzasadniony. Od czasu gdy Stany Zjednoczone zaangażowały się militarnie w Azji Południowo-Wschodniej, w kraju liczba uzależnionych wciąż rosła i z grubsza proporcjonalnie do tego rozwijał się świat powiązanych z narkotykami przestępstw, co skutkowało przepełnieniem więzień, stagnacją w sądach oraz licznymi zgonami spowodowanymi przez przedawkowanie i przenoszone na igłach choroby. W wyczekiwanym przez społeczeństwo przekazie telewizyjnym nadanym 17 czerwca 1971 roku prezydent ogłosił: „Kraj powinien przestać poszukiwać tak zwanej głównej przyczyny narkotykowych przestępstw i zamiast tego przeznaczyć pieniądze na zwiększenie sił policyjnych i postawić na zaostrzenie prawa”. I tak kryjący się z własnym problemem alkoholowy hulaka dał się ponieść fanatycznemu zapałowi wymierzonemu w cudze problemy.

Przywódcza klasa Ameryki zostanie zapamiętana ze względu na rolę, jaką odegrała w przegraniu dwóch wojen: wojny w Wietnamie i – przynajmniej jak do tej pory – wojny z narkotykami. Klasę

> tę tworzą wysoko wykształceni ludzie sztuki, mediów, społeczności akademickiej, biurokracji rządowej, a nawet biznesu. Charakteryzuje ją intelektualna arogancja, pusta obsesja na punkcie stylu, mody i klasy, a nade wszystko pobłażliwa postawa wobec narkotyków[2].

Jego szczególną furię wywołał muzyczny festiwal miłości i pokoju w Woodstock, który – wypada przyznać – nie był herbatką na plebanii:

> Aby wymazać ponurą spuściznę Woodstocku, musimy wydać narkotykom totalną i nieprzejednaną wojnę. To oznacza walkę na wszystkich frontach. To będzie nasza druga wojna domowa[3].

Lecz płaszcz Abrahama Lincolna wyszedł z mody już 100 lat temu. Jedna wojna domowa (secesyjna) wystarczająco wyczerpała naród. Wygranie wojny z narkotykami, przestępczością, terrorem i innymi abstrakcjami okaże się trudniejsze. Administracja Nixona przekupiła Turków, by zakazali u siebie uprawiania maku, a osiągnięcie to nagłośniono jako historyczny przełom. Zakaz utrzymał się przez niespełna dwa lata, w Turcji spotkał się z ogromną niechęcią, ponadto przyśpieszył przeniesienie uprawy maku do Iranu, Afganistanu i Pakistanu. Spożycie heroiny w Stanach Zjednoczonych nie spadło. Nixon, jak wielu przed nim i po nim, walczył zarówno z samym handlem, jak i z siłami odpowiedzialnymi za egzekwowanie prawa, a tak naprawdę żadna z tych dwóch stron nie życzyła sobie zakończenia wojny. Gore Vidal pisał:

> Antynarkotykowa machina biurokratyczna ma żywotny interes w odgrywaniu zabawy w policjantów i złodziei (…). Zarówno agencje stojące na straży porządku, jak i przestępcy chcą ostrzejszych praw wymierzonych w sprzedaż i zażywanie narkotyków, ponieważ gdyby narkotyki były sprzedawane po kosztach, nie byłoby z nich ani pieniędzy, ani zatrudnienia dla tylu osób (…). Gdyby narkotyki były tanio dostępne, uzależnieni nie popełnialiby prze-

> stępstw, żeby zdobyć następną działkę, a zatem Biuro Narkotykowe nie miałoby co robić i zostałoby rozwiązane, na co nie zamierza pozwolić bez walki[4].

Nixon odszedł, ale jakiś czas po nim na fotelu prezydenckim zasiedli inni bojownicy wojujący z narkotykami. Ronald Reagan i jego następca George H.W. Bush posługiwali się mocną retoryką „przeciwko pladze narkotyków" i przeznaczali miliardy dolarów na antynarkotykowe kampanie. Sondaże Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz badania akademickie sugerowały, że pieniądze wydawane na leczenie i resocjalizację są od trzech do czterech razy skuteczniejsze (w przeliczeniu kosztów na efekty) niż fundusze przeznaczone na działania prohibicyjne i wysyłanie narkomanów do więzień; ale fakty niewiele się liczą dla polityki. Trzy czwarte nowych funduszy zawsze wydawano na egzekwowanie prawa.

* * *

Wielu miało nadzieję na zmianę po tym, jak walka przeciw komunizmowi przestała przesłaniać wszelkie inne cele – liczono na bardziej naukowe, racjonalne, może nawet ludzkie podejście. Tak się jednak nie stało. Po 1989 roku moralnym imperatywem przesłaniającym wszystko inne okazała się wojna wydana narkotykom. Rozwijało się to nie bez szczypty ironii. Niedoceniani ani przez prezydenta Reagana, ani przez jego przyjaciółkę, premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher, narkotykowi bossowie byli najbardziej zaangażowanymi obrońcami sił rynkowych i swobód przedsiębiorczości – tak wychwalanych przez obie głowy państw. Jak pisał Philippe Bourgeois, profesor antropologii na Uniwersytecie Pensylwanii:

> Podobnie jak większość innych ludzi, tylko może bardziej, narkotykowi handlarze w Stanach Zjednoczonych przepychają się, żeby

> jak najszybciej dostać z tortu kawałek dla siebie (…). Agresywnie podążają swą ścieżką kariery jako uznani prywatni przedsiębiorcy, podejmują ryzyko, ciężko pracują i nie dopraszają się o zasiłki czy subwencje. Szczerze się modlą o powodzenie w biznesie. Są najwytrwalszymi indywidualistami, dzielnie sobie poczynającymi na nieprzewidywalnym pograniczu, gdzie szczęście, sława, ale także możliwa zguba są tuż za rogiem, a wroga należy ścigać bez litości[5].

W Stanach zaroiło się od jednostek do zadań specjalnych, inicjatyw antynarkotykowych, strategii kontroli i budzących grozę akronimów. W 1986 roku Kongres dużą większością głosów uchwalił Ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii. Przeznaczała ona dodatkowe sześć miliardów dolarów na wykorzenienie narkotyków i wprowadzała obowiązkową karę pozbawienia wolności dla dilerów. Panowanie Williama Bennetta jako narkotykowego cara pod względem absurdalności niektórych posunięć przewyższyło nawet epokę Anslingera. Jeden skutek był oczywisty. W ciągu 10 lat od zaprzysiężenia prezydenta Reagana do 1994 roku amerykańska populacja więzienna, już i tak najwyższa na Zachodzie w przeliczeniu na liczbę ludności, powiększyła się trzykrotnie. Tak samo jak do tej pory, był to wzrost selektywny. Pod koniec wspomnianego okresu więcej czarnych mężczyzn w wieku 15–25 lat przebywało w więzieniu, niż uczęszczało do szkół na wolności. Czarnoskórym i latynoskim kobietom odpowiednio dziewięć i cztery razy częściej zasądzano wyrok pozbawienia wolności za przestępstwo związane z narkotykami niż kobietom białym. Przeciętnie federalne sądy za sprzedawanie niewielkich ilości heroiny i za pierwsze tego rodzaju wykroczenie orzekały odsiadkę długości 10,5 miesiąca, a więc 59% dłuższą niż za gwałt czy nieumyślne spowodowanie śmierci. Jak wyjaśnił Departament Sprawiedliwości, polityka zgodnie z hasłem „trzy razy i wylatujesz” oznaczała, że wiele osób z nieleczonym uzależnieniem i nie-

wielką liczbą związanych z narkotykami przestępstw na koncie (w większości młodych czarnych ludzi) spędzi w więzieniu całe życie. A Ustawa o wyższym wykształceniu z 1998 roku odmawiała stypendiów studentom kiedykolwiek skazanym za wykroczenie związane z narkotykiem, ale nie żadne inne. I jeszcze więcej powtórek z dawniejszych prób „zgniecenia narkotyków jedną potężną obławą" (według słów Williama Bennetta). „Nie była to wojna z narkotykami – w 1993 roku powiedział pierwszy otwarcie przyznający się do zarażenia HIV uzależniony od heroiny na międzynarodowej konferencji na temat AIDS. – Jak zawsze, była to wojna z ofiarami narkotyków"[6].

* * *

Wielka Brytania, przez długi czas uważana w Ameryce za nagannie miękką w sprawach narkotykowych, w latach 80. zaczęła „nadrabiać zaległości". Kiedy Amerykanie wycofali się z Wietnamu, wielcy dostawcy z Azji Południowo-Wschodniej zaczęli się skupiać na Europie. Niektórzy irańscy wygnańcy, uciekając spod władzy ajatollahów, próbowali uratować dorobek życia w postaci heroiny. Co najważniejsze, handel – któremu nigdy nie brakowało materialnych wynagrodzeń – z dnia na dzień stawał się bardziej dochodowy. W roku milenijnym kilogram heroiny zakupionej w formie opium od rolnika w Afganistanie czy Pakistanie za równowartość 500 funtów, zanim opuścił centra dystrybucyjne w Kabulu lub Islamabadzie, był już wart 10 000 funtów, a dwa razy tyle – kiedy docierał do Londynu bądź Paryża. Po podzieleniu na małe paczki miał wartość 40 000 funtów. Towar sprzedawano na ulicach w paczuszkach kosztujących 5 albo 10 funtów. Zatem łączna wartość wyjściowego kilograma wzrastała do 100 000 funtów.

Po dodaniu domieszek znaczna część zawartości torebek była zbyt nieprzyjemna, by ją wstrzykiwać do ciała, dlatego w brytyjskich miastach przyjął się inny sposób: „gonienie smoka” – podgrzewanie proszku na folii aluminiowej i wdychanie oparów[7]. Dale Beckett, psychiatra i bezstronny obserwator sceny narkotykowej, w użyteczny sposób rozróżnił „nasienie”, „glebę” i „klimat” w rozprzestrzenianiu się uzależnienia[8]. Jeśli heroina była „nasieniem”, „glebą” – atmosfera rozpaczy rozsnuta nad pozbawionymi dawnych więzi przemysłowymi społecznościami. Tam heroinowy biznes na poziomie ulicznym stawał się domeną młodych, niezatrudnionych mężczyzn z klasy robotniczej, jedną z nielicznych możliwości, jakie pozostały dla nich otwarte w firmie Wielka Brytania pod rządami pani Thatcher. W żargonie handlarzy wkrótce zaistniało rozróżnienie między *smackheads*, którzy dilerowali, żeby zdobyć pieniądze na swoją następną działkę i najczęściej padali ofiarą policyjnych nalotów, a *bread-heads*, którzy sprzedawali prochy, mając na widoku zrobienie interesów w wolnym, przedsiębiorczym społeczeństwie. Sporo było takich, którym się udało, jeden czy dwóch zostało nawet finansowymi rekinami londyńskiego City. W większości miast „scena narkotykowa” skupiała się na określonym, ograniczonym obszarze. Po upadku kopalń węgla w regionie Barnsley w hrabstwie Yorkshire kilka ulic w Grimthorpe zostało dosłownie przejętych przez gangi narkotykowe. Miało to miejski sens: praworządni obywatele mogli unikać terenu należącego do gangu, a gangi na ogół działały sobie, pozostawione w spokoju.

Wśród sprzyjających uzależnieniom zmian „klimatu” trzeba wspomnieć zachwianie wiary w istnienie skutecznego leczenia. Lekarzom nie podobało się, że przypadła im rola „dilerów heroiny z przyzwolenia rządu Jej Królewskiej Wysokości”. Ich narzekania odzwierciedlały niezadowolenie

z Narodowej Służby Zdrowia. W latach 80. dawny pionierski duch tej instytucji zaczął się rozwiewać; pojawiły się podejrzenia, że rozrastający się sektor prywatny zgarnia zyski, stosując dla bogatych uzależnionych drogie i czasami skuteczne terapie. Pewien dobrze znany psychiatra odmówił pomagania uzależnionym w ramach Narodowej Służby Zdrowia „z powodów moralnych", później zaś wyszło na jaw, że leczył 20 prywatnych pacjentów, biorąc od nich po 1000 funtów tygodniowo. Poradnie czy kliniki Narodowej Służby Zdrowia też często zmagały się z trudnościami. Radzenie sobie z uzależnieniami stawało się coraz bardziej skomplikowane. Na narkotykowej scenie występowały teraz crack, amfetamina, barbiturany i inne nowe środki odurzające. Uzależnienia od poszczególnych substancji mają pewne cechy wspólne, ale też wiele swoistych, odrębnych problemów, a obsługa klinik rzadko była przeszkolona do zajmowania się każdym z nim.

Zmienił się również klimat polityczny. Podobnie jak prezydenci Reagan i Bush za oceanem, konserwatywne rządy Wielkiej Brytanii nie miały wiele cierpliwości, żeby śledzić społeczne przyczyny uzależnień, promować resocjalizację czy wydawać pieniądze na narkomanów. Uzależnionych często oskarża się o to, że się skupiają na zdobyciu następnej działki z wykluczeniem wszystkiego innego, i tak jest w istocie, ale są też wrażliwi na „atmosferę". Wielu zauważyło, jak zmienia się postawa rządu w Whitehall. W 1970 roku Arthur Hawes wyraził swoją „dogłębną wdzięczność Wydziałowi Narkotyków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (...). Uzależnieni często przychodzili po pomoc i radę; i zawsze spotykali się ze wsparciem, nigdy z wrogością"[9]. Bing Spear, w 1977 roku mianowany szefem tego wydziału, postrzegał się jako strażnik „tradycji Rollestona": osobiście znał w Londynie każdego zarejestro-

wanego uzależnionego od heroiny i interesował się losami tych ludzi. W połowie lat 80. on i jemu podobni walczyli już na straconych pozycjach. Nastroje niemal namacalnie sztywniały, „penalizacja” nie wydawała się brudnym słowem. Wręcz przeciwnie – coraz wyraźniej jawiła się jako skuteczny kurs. Minister spraw wewnętrznych Douglas Hurd porównywał napływ heroiny do „średniowiecznej zarazy, którą na nas zesłano”, Margaret Thatcher zaś zarzekała się, że handlarze heroiną, choćby mało znaczący, „nie znajdą w tym kraju bezpiecznej przystani”. Wiodącą zasadą miało być „zero tolerancji”. Do tych, którzy wyrazili obiekcje, przylgnęła nieszczęsna etykietka „mięczak”.

Obraz się nieco zaciemnił, kiedy na scenę, na której do tej pory wśród wielu innych narkotyków główną rolę grała heroina, wkroczyła kokaina. Nowego rodzaju uzależnieni połączyli te dwie substancje i wstrzykiwali je sobie na przemian albo mieszali razem, tworząc miksturę zwaną *speedball*. Nie było łatwo radzić sobie z tym uzależnieniem, w dodatku obrosło we własną mitologię. Pewne osiedle w dzielnicy Lewisham w południowym Londynie, gdzie głównym problemem była właściwie kokaina podawana dożylnie, zostało przez prasę i policję okrzyknięte jako Crack City[10]. Kiedy ujęto mało znaczący gang młodych jamajskich imigrantów, zwany Yardies, politycy i media zdemonizowali grupę dla swoich celów.

> Są skazani przez swoje pochodzenie i kulturę reggae na podróżowanie z jednego miejsca w drugie; i taki jest ich koczowniczy styl życia, że poważne przestępstwa, jak morderstwa, są i będą popełniane, gdziekolwiek z jakiegoś powodu zatrzyma się ich wóz orkiestrowy[11].

Jeszcze w 1997 roku Narodowa Kryminalna Służba Wywiadowcza opisywała ich jako „zagrażających podstawowemu

bezpieczeństwu i stabilności narodu”. Początkowo większość dezinformacji dostarczali policji i prasie biali baronowie narkotykowi z południowego Londynu, niechętnie widzący napływ czarnych lumpów na swoim podwórku. Później się okazało, że powiązania baronów z policją były niewygodnie bliskie.

Z jednej strony rządziła paranoja, z drugiej rozprzestrzeniała się heroina. W latach 1978–1982 liczba rejestrowanych rocznie uzależnień zwiększyła się o 250%. Łączna liczba uzależnionych, o których wiadomo było Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, wzrosła z 2657 w 1970 roku do 6107 w 1980, 14 688 w 1985 i 19 987 w 1990 roku. Jak zawsze zarejestrowani reprezentowali tylko niewielką część ludzi faktycznie dotkniętych problemem. Pod koniec epoki Margaret Thatcher pokątne ośrodki przyjmowania i dystrybucji narkotyków w Wielkiej Brytanii były tak odporne na interwencję policji jak wcześniej w wielu częściach Stanów Zjednoczonych.

* * *

W latach 80. nad narkotykową sceną zaczęła się zbierać kolejna, naprawdę groźna chmura. W przeciwieństwie do gromkich, lecz niepomiernie przejaskrawionych biadań wieszczących upadek narodu w wyniku zażywania heroiny – a taki właśnie wydźwięk miały orędzia Narodowej Kryminalnej Służby Wywiadowczej i podobnych instytucji – niebezpieczeństwo ze strony zespołu nabytego niedoboru odporności (AIDS) miało iście biblijny wymiar. Od dawna przyjmowano do wiadomości, że wspólne używanie igieł w gronie uzależnionych niesie z sobą ryzyko dla zdrowia: rozprzestrzenianie się zapalenia wątroby i malarii było poważnym problemem władz Egiptu w latach 20. oraz wśród nowojorskich imigrantów od czasów pierwszej wojny świa-

towej. Tamtych spraw nie dało się jednak porównać z plagą, która początkowo zdawała się dotyczyć wyłącznie środowisk gejowskich. Powiązanie jej z igłami wspólnie używanymi przez uzależnionych sprawiło, że narosły dodatkowe uprzedzenia. Tak naprawdę, jeśli się spojrzy z perspektywy czasu, powiązanie to miało jedną jasną stronę. Coraz większa liczba osób cierpiących na AIDS wśród narkomanów wszelkiej orientacji seksualnej w istotny sposób wpłynęła na brytyjską strategię przedstawiania choroby jako zagrożenia dla całej populacji, a nie tylko jako produktu ubocznego stosunków homoseksualnych. A jednak, mimo że strategię częściowo wykorzystano do zredukowania bigoterii i aktów przemocy wymierzonych w gejów, akcja ta mogła odnieść odwrotny skutek. Roy Robertson, lekarz przyjmujący pacjentów na edynburskim osiedlu Muirhouse, od wielu lat leczył uzależnionych, jako że większość szpitali miejskich odmówiła prowadzenia przychodni odwykowych. Teraz policja wtargnęła do jego gabinetu i skonfiskowała mu strzykawki. Jego pacjenci zaczęli uczęszczać na „strzelnice", gdzie jedna strzykawka była wspólna dla 20–30 osób. Kiedy w 1985 roku dostępne stały się testy na obecność HIV, ponad dwie trzecie ze 164 heroinowych pacjentów Robertsona miało wynik pozytywny[12]. Wysiłki, jakie inni lekarze czynili, aby wprowadzić realny program wymiany igieł, niekiedy kończyły się tym, że zostawali bez środków do życia[13].

* * *

Na początku lat 90. powiązanie AIDS z narkotykami przedstawiało się bardzo poważnie. Odsetek zakażeń wśród Europejczyków zażywających narkotyki w 1993 roku (dane były nieaktualne już w momencie ich opublikowania) wynosił: 16,4% w Anglii, 18% w Niemczech, 32% we Włoszech,

45% w Szwajcarii oraz 68% w Austrii, Szkocji i Hiszpanii. Z różnic niewiele wynika, prawdziwe liczby przypuszczalnie wszędzie były wyższe. Jednak w niektórych kręgach uparcie zaprzeczano problemowi. Komitet Królewskiego College'u Psychiatrów w tym samym roku oświadczył, że „z pewnością niewłaściwe byłoby traktowanie AIDS jako wymówki do rozrzutnego przepisywania [narkotyków na receptę]"[14]. Bardziej alarmujący raport wydany przez komitet z lady Ruth Runciman na czele, domagający się rozszerzonej usługi czystych strzykawek, został natychmiast odrzucony przez ministrów jako „jawnie przyzwalający" na zażywanie narkotyków[15].

Kolejny aspekt Reaganowskiej i Thatcherowskiej polityki narkotykowej przyciągnął stosunkowo niewiele uwagi. Pod koniec lat 80. wartość globalnego obrotu w handlu narkotykami przewyższyła obrót w przemyśle alkoholowym i winiarskim. Potężne transakcje zawierane w tym pierwszym, przypuszczalnie o rocznej wartości między 300 a 500 miliardów dolarów, zupełnie nie podlegały opodatkowaniu. Ale tajność stwarzała problemy wykraczające nawet poza straty możliwych wpływów podatkowych. W przeszłości na czarną gospodarkę składały się dziesiątki tysięcy małych transakcji dotyczących szerokiego wachlarza towarów i usług. W dużym stopniu ich fluktuacje w obu kierunkach równoważyły się. Teraz czarny rynek zdominowały ruchy jednego masywnego bloku nielegalnego towaru, heroiny – ruchy zupełnie niezbadane i niejawne. W nowoczesnym społeczeństwie przewidywanie finansowej przyszłości, główny powód istnienia ministrów finansów oraz prezesów Banku Anglii, zależy od przepływu dokładnych informacji. Wzrosty i spadki cen ropy naftowej, zbóż, złota czy kawy mogą nastręczać problemów, ale są znane. Natomiast wzrosty i spadki w globalnym nielegalnym handlu heroiną pozostają zagadką. Jak

zauważył pewien urzędnik z Ministerstwa Skarbu: „Niewielu to przyznaje, ale kryminalizacja narkotyków uczyniła z finansowego przewidywania farsę”. Ponad pół wieku wcześniej sir Malcolm Delevingne w bardziej podniosłych słowach ujął to następująco: „Szkodliwy handel przez to, że pozostaje ukryty, a także nielegalny, stanowi fundamentalne wyzwanie dla możliwości zarządzania państwem”. Miał rację.

ROZDZIAŁ 30

Lekarstwo samego Boga

Zmartwienia rządów i szkodliwy handel zawsze reprezentowały tylko jedną stronę opiumowej historii. Tymczasem w drugiej połowie XX wieku rozwój po przeciwnej stronie był nie mniej doniosły.

* * *

Nawet zwierzęta opiekują się swoimi rannymi i umierającymi – niektóre ze szczególnym oddaniem – a specjalne instytucje przeznaczone dla terminalnie chorych ludzi istniały od czasów, gdy zaczęto dokumentować działania medyczne. We współczesności niekiedy jako pionierkę na tym polu wymienia się madame Jeanne Garnier, zamożną, zacną wdowę z Lyonu. Pani Garnier pochowała dwóch synów, których odebrała jej powoli prowadząca do inwalidztwa i bolesna choroba; kobieta straciła też kilkoro przyjaciół.

W 1875 roku otworzyła pierwszy z szeregu przytułków dla nieuleczalnie chorych, nazywanych z niejaką rozpaczą *Calvaires*[1]. Dwadzieścia lat później irlandzkie Siostry Miłosierdzia swój dom dla „odchodzących” w Dublinie nazwały „hospicjum”, a w 1905 roku zakon utworzył podobną instytucję na East Endzie w Londynie. Kościoły protestanckie nie zostawały daleko w tyle. Właśnie do Szpitala Świętego Łukasza dla Umierających we wschodnim Londynie, założonego przez metodystów, 20 kwietnia 1948 roku zgłosiła się do pracy nowa osoba.

Cicely Saunders miała wtedy 30 lat, była niezamężna, wysoka, niezgrabna, cierpiała na krótkowzroczność i na chroniczne bóle pleców. Ale od zakończenia drugiej wojny światowej domy dobroczynne rozpaczliwie potrzebowały pielęgniarek[2], a panna Saunders mimo problemów z plecami wyglądała na chętną i zdolną do pracy. Kto z przyjmujących ją mógł przypuszczać, że ta kobieta zmieni oblicze nowoczesnej medycyny? Jej dotychczasowe życie niczym się nie wyróżniało. Pochodziła z dobrze sytuowanej, ale dysfunkcyjnej rodziny z północnego Londynu. W ekskluzywnej szkole z internatem, do której wysłano ją w wieku 10 lat, dużo chorowała i nie miała przyjaciół. Nie lepiej jej się wiodło podczas wojny w Oksfordzie, gdzie studiowała politologię, filozofię i ekonomię[3]. Pod koniec studiów licencjackich jej poglądy przeobraziły się z nieokreślonego agnostycyzmu w niemodny wówczas rodzaj ewangelicznego chrześcijaństwa. I zamiast rozpocząć karierę osobistej sekretarki jakiegoś szanowanego, ale niezbyt ważnego torysowskiego polityka, zapisała się do najbardziej tradycyjnej z pielęgniarskich szkół, Florence Nightingale School of Nursing przy Szpitalu Świętego Tomasza w Londynie. Dobrze sobie radziła, ale nadal nie miała przyjaciół, poza tym jej kariera zawodowa znowu skręciła w inną stronę. Kontuzja pleców zmusi-

ła Cicely do porzucenia pielęgniarstwa i podjęcia szkolenia na „pracownicę opieki społecznej” – taka posada o cokolwiek niejasnym zakresie obowiązków istniała w trzewiach ówczesnych dużych szpitali. Dalekie to było od obiecujących początków, ale wykształcenie nadawało młodej damie tę nieuchwytną i całkowicie nieuświadamianą klasę, która w połowie XX wieku w Anglii wciąż była atutem, jeśli się chciało wkraść w łaski establishmentu[4]. Później panna Saunders z powodzeniem będzie się przypochlebiać osobistościom medycyny, ministrom, wyższym urzędnikom, arcybiskupom, wydawcom prasowym i członkom rodziny królewskiej, przekonywać ich, a nawet besztać z tą samą łagodną, lecz stanowczą pewnością, z jaką podchodziła do nieuprzywilejowanych pacjentów i ich rodzin[5]. Praca w Szpitalu Świętego Tomasza dała jej również wgląd w oczywistą potrzebę ludzi terminalnie chorych. Potrzebę oczywistą dla niej i – jak się wydawało – dla nikogo innego.

Były to czasy, gdy na oddziałach słynnych londyńskich uczelnianych szpitali pacjenci, którzy wymagali długoterminowej opieki paliatywnej, szybko dostawali etykietkę „blokujący łóżka” (w żargonie bezdusznych studentów mówiono o nich „śmieciuchy”). Był to wyrok wypisania z placówki. Skoro szpital miał uczyć studentów i szkolić przyszłą kadrę lekarską – żadnej innej kariery w medycynie nie uważano za wartą rozważenia – siłą rzeczy wymagał szybkiego przerobu pacjentów z „dobrymi” (czyli złymi) objawami. Od takich pacjentów oczekiwano, że wyzdrowieją lub umrą. Ów nadrzędny cel sprawiał, że „chronicznych” przerzucano do innych instytucji przeznaczonych do zajmowania się nimi. W rzeczywistości były do tego przeznaczone tylko dlatego, że nie nadawały się do niczego innego. Niektóre były przytułkami czy domami pracy z czasów wiktoriańskich, z hermetycznie oddzielonymi skrzydłami dla mężczyzn i kobiet.

Wiele niegdyś pełniło funkcję gruźliczych sanatoriów, a teraz, po wynalezieniu streptomycyny, straciły rację bytu i stały się zbędne. Te ostatnie łatwo dawały się rozpoznać po otwartych loggiach, a jeszcze łatwiej po lokalizacji w odległych częściach kraju, celowo niedostępnej dla przyjaciół i rodzin. Takie usytuowanie sprawiało również, że trudne, czasami wręcz niemożliwe stawało się zrekrutowanie niezbędnej obsługi medycznej do takich placówek. Niekiedy w tych długopobytowych szpitalach – bo umieranie może się ciągnąć miesiącami – na zmianę pełnili służbę lokalni lekarze ogólni. Pojawiali się w nieregularnych odstępach czasu. Albo i nie.

Brytyjskie umieralnie, jakkolwiek zróżnicowane, miały jedno wspólne podejście. Okres ciężkiego fizycznego bólu uważano za smutne, ale nieuniknione – a może nawet pożądane – preludium do zgonu. Nie było to zbyt humanitarne ani nigdy nie zostało wypowiedziane na głos. Ale pogląd, że śmierć musi nadejść (późnowiktoriańska fraza) jako „błogosławiona ulga", nie był może nawet taki zły. Medyczne hasło „leki przeciwbólowe na żądanie", podchwycone i powtarzane przez podręczniki, pojawiło się w latach 80. XIX wieku i oznaczało – albo przynajmniej miało oznaczać – że pacjentom podaje się opiaty jako jedyne (dla większości osób) skuteczne środki uśmierzające ból, ponieważ tego „potrzebują", a zatem ich „żądają". W rzeczywistości jednak dostawali je za późno albo wcale. Powszechnie utrzymywało się przekonanie, że opiaty są uzależniające, niebezpieczne i najprawdopodobniej grzeszne. Śmierć nie śmierć, trzeba je zatem stosować oszczędnie albo najlepiej w ogóle nie podawać. Wyraźnie dawano to do zrozumienia pacjentom. Mieli „żądać" opiatów dopiero wówczas, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Umieranie nie usprawiedliwiało jęków. Moralny imperatyw otrzymywał dodatkowe wsparcie w po-

staci niedoborów kadrowych. Podanie opiatu wymagało, by zastrzyk zrobił pacjentowi ktoś z wykwalifikowanego personelu. Często nikt taki nie był dostępny. Cierpiąca osoba musiała wybierać między bólem a upokorzeniem. By sobie oszczędzić kazań, pełnych wyrzutu spojrzeń albo ciężkiej ciszy, wielu wolało nie prosić o leki.

Jeden fakt, dziś na ogół przyjmowany do wiadomości, wtedy był niedoceniany lub ignorowany. Otóż znacznie łatwiej jest zapobiec bólowi, niż z nim walczyć. W ujęciu półilościowym stłumienie bólu może wymagać 10 razy więcej opiatów niż niedopuszczenie do tego, by się w ogóle pojawił. Dlaczego tak jest, wciąż pozostaje niejasne, choć medycyna wysuwa najróżniejsze mniej lub bardziej nieprzekonujące wytłumaczenia[6]. Troskliwe rodziny często zabierały ze szpitala chorego w ciężkim stanie psychicznym i fizycznym, by się nim opiekować w domu. Bez wsparcia i wskazówek specjalisty, bez dostępu do opiatów to też mogło powodować dużo cierpienia. Uporczywie utrzymująca się zła reputacja raka jako nieuniknienie bolesnego końca życia wywodzi się właśnie z tamtego okresu, a nie z bardziej odległej przeszłości.

By się nauczyć podstaw tego, co jeszcze wtedy nie nosiło nazwy medycyny paliatywnej, Cicely Saunders przeszukała literaturę. „Nie zajęło to dużo czasu – opowiadała później autorowi niniejszej książki – ponieważ nie było żadnych publikacji”. Standardowe opracowania medyczne poświęcały terminalnie chorym pacjentom co najwyżej akapit czy dwa, podobnie niefrasobliwie traktowały ten temat podręczniki dla pielęgniarek[7]. Katoliccy autorzy na ogół podkreślali siłę modlitwy, a *bona mors*, czyli dobra śmierć, miała spore wsparcie w literaturze religijnej. Pobożni pisarze jednak zwykle wysławiali ból, zamiast podpowiadać, jak go uśmierzyć[8].

* * *

Mimo dominującego braku zainteresowania (przynajmniej na ile odzwierciedlają to teksty medyczne) nieliczni lekarze epoki wiktoriańskiej publikowali artykuły nawołujące do świeżego spojrzenia. W 1896 roku doktor John Snow z Wolnego Szpitala Onkologicznego (obecnie Royal Marsden Hospital) w Londynie napisał pracę o uśmierzaniu bólu w chorobie nowotworowej i zakończył ją wnioskiem, że dostępne środki przeciwbólowe inne niż opiaty są „mniej niż zadowalające", z opiatami zaś „trudno sobie radzić"[9]. Za bardzo ważne uznał moralne wsparcie – słusznie chwalił posługę szpitalnego kapelana, wówczas będącą czymś stosunkowo nowym. Większość terminalnie chorych pacjentów, zakonkludował, psychicznie lepiej się czuje w domu niż w szpitalu, ale domowa opieka nawet w zamożnych rodzinach często obarcza domowników ciężarem zarówno fizycznym, jak i emocjonalnym. W 1905 roku sir William Osler, świeżo po objęciu stanowiska szefa katedry medycznej w Oksfordzie, przejrzał historie 500 umierających pacjentów. Odkrył, że „390 cierpiało wielkie cielesne bóle takiego czy innego rodzaju; 210 wykazywało głębokie psychiczne lęki, z czego połowa – prawdziwe przerażenie"[10]. Ubolewał nad tym „wielce niezadawalającym stanem spraw", ale miał niewiele praktycznych sugestii, które mogłyby poprawić sytuację. Nalegał jednak (ku ogromnej konsternacji niektórych jego kolegów), aby chętniej przepisywano opiaty, szczególnie morfinę. Po prostu nie było dla niej zamiennika. Niestety, Osler miał przeciwko sobie ducha czasu.

Jako prekursor nowoczesnej opieki paliatywnej bodaj najbardziej zasługuje na uwagę dziś mało już pamiętany lekarz rodzinny z Nowej Anglii. W 1935 roku, w wieku 80 lat, Alfred Worcester opublikował tekst trzech „nieprzymuso-

wych” wykładów, jakie dał bostońskim studentom medycyny pod tytułem: *Care of the Aged, the Dying and the Dead* („Jak zadbać o starszych, umierających i martwych”). Najbardziej zaprzątała go druga z wymienionych kategorii. Wskazał na rosnące presje w nowoczesnym miejskim życiu, które utrudniają domową opiekę nad terminalnie chorymi ludźmi. Jednak instytucjonalne świadczenia nawet w „naszym bogatym i prastarym mieście” często nie odpowiadały zapotrzebowaniu albo nie istniały. Wszędzie dominował irracjonalny strach przed opiatami. Tymczasem w przypadku umierających pacjentów ulga w bólu i udręce zdecydowanie powinna być ważniejsza od wszystkich innych potrzeb[11]. Podobnie jak Osler, Worcester wyprzedzał swe czasy i znalazł niewielu uczniów. Ale w 1945 roku cztery amerykańskie szpitalne pracownice opieki społecznej: Ruth Abrams, Gertrude Jameson, Mary Poehlman i Sylvia Snyder, zamieściły w prestiżowym branżowym czasopiśmie „New England Journal of Medicine” żarliwą prośbę:

> Powinien istnieć kompetentny medyczny nadzór, nieprzerwany przez cały czas trwania ostatniej choroby, dobra opieka pielęgniarska jako uzupełnienie medycznego nadzoru, świadczenia medycznych pracownic opieki społecznej dla wparcia lekarzy, pielęgniarek i, nade wszystko, rodzin pacjentów, oraz uważnie kontrolowane, ale zawsze dostępne opiaty (…). Żaden pacjent w XX wieku nie powinien być pozostawiony przedłużającemu się, silnemu bólowi[12].

Musiało to brzmieć wtedy jak marzenie ściętej głowy, a 60 lat później w wielu częściach świata brzmi tak nadal.

* * *

Cicely Saunders, zdeterminowana, by wszystko to zmienić, zasięgnęła rady znajomych. Wybitny specjalista medyczny powiedział jej, że nie ma szans wpłynąć na praktykę klinicz-

ną, ponieważ nie jest wykwalifikowaną lekarką. Miało to być łagodnym ostrzeżeniem, ale podziałało odwrotnie: panna Saunders znów zapisała się do Szpitala Świętego Tomasza, tym razem jako studentka medycyny, i w 1957 roku, w wieku 38 lat, została wykwalifikowaną lekarką. Kilka miesięcy później w „St Thomas's Hospital Gazette" ukazał się jej historyczny artykuł *Dying of cancer* („Umieranie na raka"). Przypuszczalnie niewielu go wówczas przeczytało, ale jej raport o 900 pacjentach leczonych w Hospicjum Świętego Józefa wywołał szerokie zainteresowanie, choć mało natychmiastowego działania. Zmienił jednak naukowe i praktyczne podejście do uśmierzania bólu, stosowania opiatów i opieki nad terminalnie chorymi.

> Nasze badania jasno wykazują, że opiaty nie są uzależniające dla pacjentów z zaawansowanym rakiem; że regularne podawanie opiatów nie powoduje u nich poważnego problemu tolerancji; że doustnie podawana morfina działa i uśmierza ból, a nie powoduje zobojętnienia na ból. Aby oddalić powszechne mity i obawy o tolerancję i uzależnienie, [przytoczę przykład] pacjentki, która po przyjęciu do Świętego Józefa powiedziała: „Ból w poprzednim szpitalu był tak straszny, że kiedy ktoś zbliżał się do mojego łóżka, krzyczałam: »Nie dotykaj mnie! Nie podchodź!«". Przy regularnym profilaktycznym leczeniu morfiną dostosowaną ilościowo do jej potrzeb (…) stała się przytomna i radosna oraz zachowała spokój aż do śmierci, która nastąpiła dwa miesiące później[13].

Przede wszystkim „profilaktyczne leczenie" oznaczało określenie dobowych rytmów bólu i skupienie się na tym, by zapobiec jego nawrotom, zamiast próbować radzić sobie z nim, gdy już zaatakuje. Takie podejście obniżyło – a nie powiększyło – wymaganą dawkę analgetyku. Z tego prostego odkrycia wypłynął szereg skomplikowanych paliatywnych działań, zarówno fizycznych, jak i psychologicznych, tak zaprojektowanych, aby nieuleczalnie chorzy pacjenci zachowali psychiczną, fizyczną i duchową godność.

A z owych działań ostatecznie wyrosła nowa specjalizacja medyczna.

W wyniku wysiłków czynionych przez Cicely Saunders, która mobilizowała ministrów, miejscowe organizacje dobroczynne, kościoły, prasę, a nade wszystko tysiące zwykłych ludzi zamieszkujących dzielnicę Sydenham w południowym Londynie, w czerwcu 1967 roku otwarto Hospicjum Świętego Krzysztofa, gdzie opracowane przez nią zasady wprowadzono w życie[14]. Przyjęto 57 pacjentów. Dwa lata później dodano program opieki domowej. W ciągu pięciu lat zaczęto postrzegać hospicja jako podstawową potrzebę medyczną. Wciąż są niedofinansowane, ale dziś w samej Wielkiej Brytanii wraz z rozszerzonym programem opieki domowej mają w swojej pieczy dziesiątki tysięcy pacjentów[15].

* * *

Nowa specjalizacja przyniosła z sobą szerszą zmianę. Dla większości przedstawicieli profesji medycznej „leczenie symptomatyczne” od wieków oznaczało kiepsko zawoalowany synonim medycyny drugorzędnej. Likwidować same objawy – bóle głowy, bolesne oddawanie moczu, kaszel, bezsenność – choćby i z powodzeniem, oznaczało przyznać się do porażki. Na szczere gratulacje zasługiwało dotarcie do praprzyczyny choroby, nawet jeżeli nic nie dało się z nią zrobić. A teraz nagle leczenie symptomatyczne stało się umiejętnością o podstawach naukowych, z osobną branżową prasą, podręcznikami i medyczną hierarchią. Synchroniczność tego i innego zjawiska zakrawała na ironię. W wielu krajach w drugiej połowie XX wieku opium zyskało status zagrożenia wymagającego wojen prezydenckich, narkotykowych carów oraz zaangażowania kolosalnych międzynarodowych sił policyjnych. W tym samym czasie zaś medycyna

paliatywna ujawniła, że specyfik jest niezrównanym błogosławieństwem, niedoścignionym w zwalczaniu nie tylko „bólu”, ale – jak go nazwała Cicely Saunders – „bólu totalnego”. To ostatnie określenie w swych implikacjach było wręcz zniechęcające. Obejmowało odczuwanie bolesności, co typowo rozumie się przez słowo „ból”, a także ukrywające się za nim i nieskończenie skomplikowane konsekwencje. Oznaczało, że pacjenci odzyskiwali sposób na kontrolowanie własnego życia i uwalniało ich z obezwładniającego poczucia winy. (Cicely Saunders rozumiała, jak wielu z nich czuło się upokorzonych tym, że są dla kogoś ciężarem). To, że esencja makowego soku często przynosi ulgę w tego rodzaju lękach, byłoby niemal nie do uwierzenia, gdyby rozwój dokonujący się w laboratoriach nie ujawnił jeszcze bardziej zdumiewających, lecz poświadczonych doświadczalnie faktów.

* * *

Momenty naukowych objawień zdarzają się naprawdę, tyle że w danej chwili rzadko docenia się je jako takie. Claude Bernard wywodził się z rodziny biednych robotników pracujących w winnicach Saint-Julien w Burgundii. Chodził do wiejskiej szkoły, gdzie nie we wszystkim radził sobie znakomicie, a potem – przyjęty na czeladnika do miejscowej apteki – marzył, by zostać pisarzem. W 1838 roku, kiedy miał 25 lat, poszedł pieszo do Paryża z rękopisami kilku swoich sztuk w plecaku i pokazał je dobrze znanemu krytykowi teatralnemu, swemu rodakowi Burgundczykowi, Saint-Marcowi Girardinowi. Girardin pomyślał, że teksty może ujdą, ale wyraził szczęśliwą sugestię, żeby młody człowiek, wykazujący „niezwykły zmysł obserwacji”, zapisał się do Faculté de Médicine. Cztery lata później Bernard skończył studia jako jeden z najgorszych uczniów w klasie, ale wtedy jego losy

się odmieniły. Został asystentem François Magendiego, najbardziej kontrowersyjnego klinicysty we Francji – niektórzy nazwaliby go przekornym. Magendie głosił, że 90% tego, czego studenci uczą się w szkołach medycznych, to bzdury, a u Bernarda podziwiał coś, co nazywał „opornym umysłem". Obaj nawzajem rozpoznali w sobie geniuszy. W 1855 roku, gdy jego mentor zmarł, Bernard objął po nim profesorskie stanowisko w Collège de France. Jego prace ożywiły każdy aspekt ówczesnej medycyny. W 1864 roku (między odkryciem chemii cukrzycy a sformułowaniem rewolucyjnego pojęcia stabilności środowiska wewnętrznego) przeprowadził szereg eksperymentów z niedawno wyizolowaną trucizną z południowoamerykańskich grotów strzał, kurarą. Jak dziś wie każdy student biologii, ale wtedy jeszcze nie wiedział nikt, podłączenie prądu elektrycznego do nerwu obsługującego mięśnie odizolowanej od ciała tylnej nogi żaby sprawia, że kończyna drga. Claude Bernard odkrył, że jeżeli w tę nogę wstrzyknie się kurarę, zanim została odłączona od ciała, odpowiedzi na prąd nie będzie. Albo – rozumował z bezbłędną galijską logiką – z powodu kurary nerw stał się niezdolny do przewodzenia impulsów, albo mięsień nie jest przez nią w stanie odpowiedzieć na impuls. Ku jego rozdrażnieniu, szereg doświadczeń wykazał ponad wszelką wątpliwość, że nerw nadal przewodzi impulsy, a potraktowany kurarą mięsień, jeśli się go bezpośrednio stymuluje, i tak drga. Wówczas nad galijską logiką zatriumfował galijski geniusz. Jeśli kurara nie działa ani na nerw, ani na mięsień, musi wywierać wpływ na jakąś dotąd nieznaną strukturę między tymi dwoma elementami ciała – jakieś specjalne miejsce, w którym nerw wchodzi w kontakt z mięśniem. Nie mogąc tego właściwie wykazać, nazwał to miejsce *jonction neuromusculaire*[16]. Narodziła się nowoczesna neuronauka.

Albo raczej narodziłaby się, gdyby za tym odkryciem i hipotezą poszły dalsze badania. Ale Bernard miał grafik pełen pilniejszych projektów i przez niemal 50 lat nikt nie zainteresował się jego odkryciem. Dopiero w 1909 roku John Newport Langley z Cambridge, badając inhibicyjne działanie nikotyny na kurarę, doszedł do wniosku, że kiedy impuls nerwowy dociera do płytki nerwowo-mięśniowej, w zakończeniu nerwowym uwalnia się maleńka ilość jakiejś substancji chemicznej i to właśnie ta substancja przenosi przekaz z nerwu do mięśnia. Potem albo wraca do swojego wyjściowego zbiorniczka, albo – co bardziej prawdopodobne – zostaje zniszczona i na nowo zsyntetyzowana w swoim pierwotnym miejscu[17].

Jednakże musiało minąć kolejne 20 lat, zanim ten dziwny pomysł podjęli młody Henry Hallett Dale (później uhonorowany tytułem szlacheckim) z University College London oraz austriacki farmakolog, późniejszy przyjaciel Dale'a, Otto Loewi. W szeregu prostych, przejrzystych doświadczeń wykazali, że impulsy nerwowe skierowane do serca i do mięśni gładkich są przekazywane przez stosunkowo prostą cząsteczkę acetylocholiny – pierwszego neuroprzekaźnika, jaki zidentyfikowano. To nareszcie wywołało jakiś oddźwięk i w 1936 roku przyniosło odkrywcom Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny i fizjologii. Ale prawdziwa rewolucja nadeszła dopiero 30 lat później. Wówczas w stosunkowo krótkim okresie wykazano, że impulsy z nerwu do mięśnia, a także z nerwu do nerwu przekazuje niezwykły wachlarz licznych substancji chemicznych. To one są właściwie połączeniami w nieskończenie skomplikowanym zespole obwodów elektrycznych mózgu oraz połączeniami pomiędzy mózgiem a obwodowym układem nerwowym, tworzonym przez nerwy. I jak wkrótce się przekonano, jedną z ich najbardziej

uderzających cech jest ich specyficzność czy raczej specyficzność ich „dopasowania”.

Aby to lepiej zrozumieć, można sobie wyobrazić model klucza i zamku – pod warunkiem że nie weźmie się go zbyt dosłownie. Aby neuroprzekaźnik przekazał wiadomość z jednej komórki nerwowej (neuronu) do drugiej lub z nerwu do narządu docelowego, substancja nie tylko musi zostać uwolniona we właściwym momencie, właściwym miejscu i właściwej ilości, lecz także pasować do specyficznej „dziurki” w receptorze. Do każdej dziurki pasuje tylko jeden klucz, żaden inny. To właśnie ta specyficzność z powrotem sprowadza na scenę opium. W przeciwieństwie do tego, czego można by się spodziewać po analogii, w przypadku własnej „morfiny” ludzkiego ciała i substancji morfinopodobnych jako pierwszy odkryto nie klucz, lecz jego dziurkę. W 1973 roku doktor Candace Pert i doktor Sol Snyder ze Szpitala Johnsa Hopkinsa w Baltimore wykazali, że w mózgu świni istnieją specyficzne receptory morfiny, czyli „dziurki”. A ponieważ wydawało się mało prawdopodobne, że zostały stworzone po to, by świnie mogły zażywać wyciąg z białego maku, badacze przyjęli ponadczasową zdroworozsądkową zasadę Sherlocka Holmesa i wysunęli odrobinę mniej nieprawdopodobny pomysł: owe receptory istnieją po to, by pasowała do nich własna „morfina” świń albo jakiś morfinopodobny produkt. Pert i Snyder nazwali te wciąż cokolwiek enigmatyczne przekaźniki endorfinami – od „endogenne (wewnętrzne) morfiny”[18].

Dla fundamentalnego odkrycia naukowego zawsze jest właściwy moment (oraz mnóstwo niewłaściwych), a od chwili, kiedy zidentyfikowano owe receptory, postęp dokonywał się już szybko i wściekle[19]. Doktor John Hughes z Edynburga oraz jego koledzy ze Szkocji i Cambridge ustalili, że naturalne morfinopodobne neuroprzekaźniki istnieją

w ludzkim mózgu i innych tkankach; te własne opioidy ludzkiego ciała nazwali enkefalinami. Obecnie wiadomo, że istnieją co najmniej trzy różne endorfiny i kilka nieco różniących się od siebie enkefalin, a każda ma swe specyficzne właściwości, podobne do właściwości morfiny. Analogicznie nie ma jednego receptora, ale co najmniej trzy, a także kilka „sierocych", których funkcja na razie nie jest jasna[20]. Niektóre z własnych „morfin" ciała okazują się chemicznie różne od morfiny otrzymywanej z maku, ale inne są niemal identyczne, a w dodatku obecne lub indukowalne w licznych narządach[21]. Na tym polu rozwój dokonuje się tak szybko zarówno na poziomie klinicznym, jak i eksperymentalnym, że jakiekolwiek przykłady mogą być tylko przypadkowym wyborem.

Jako możliwy przejaw działania endogennych „morfin" dość szybko rozpoznano tak zwaną euforię biegacza. Zjawisko nie ma szczególnego klinicznego znaczenia, ale jest znane z widzenia mieszkańcom większości współczesnych miast, a na wielu poziomach pozostaje zagadką. Czy endorfiny lub enkefaliny mogą sprawiać, że ciało przekracza swoje normalne fizyczne granice? Nie są jedynymi kandydatkami do tej roli, ale ostatnie badania z obrazowaniem mózgów sportowców dostarczają dowodów popierających to wyjaśnienie[22]. Endorfiny mogą być ważne w modulowaniu odpowiedzi na stres, pomagać w radzeniu sobie z sytuacjami, które w innym razie spowodowałyby fizyczną i psychiczną zapaść oraz śmierć. Pod lupę wzięto również efekty – niekiedy imponujące – akupunktury. Czy te zabiegi mogą wywoływać nagłe uwolnienie endorfin? Dowody, nadal cokolwiek nieprzekonujące, sugerują, że efekt uśmierzania bólu w tej prastarej metodzie może być blokowany przez inhibitor morfiny o nazwie nalokson[23]. Po trzecim miesiącu ciąży płodowa część łożyska zdaje się wydzielać do krwi matki

substancje podobne do endorfin. Jeżeli to sprawia, że ciężarna kobieta staje się umiarkowanie zależna od endorfiny – czyli morfiny – wówczas nieprzyjemne czy niefortunne objawy po porodzie, jak depresja poporodowa, mogłyby być rezultatem nagłego odstawienia. W doświadczeniach robionych na zwierzętach enkefaliny i endorfiny mają silne działanie antydepresyjne[24]. Białe krwinki też mogą wytwarzać endorfiny, a in vitro wzmożone uwalnianie następuje pod wpływem nikotyny, alkoholu i kokainy[25]. Zarówno prace doświadczalne, jak i kliniczne sugerują, że często nadmierne łaknienie słodkich i tłustych pokarmów oraz wynikająca z nich otyłość częściowo mogą mieć związek z pośrednictwem endorfin[26].

Co bodaj najważniejsze, nowe endogenne substancje mają szansę zmienić nastawienie opinii publicznej do uzależnienia od opiatów. Czy niektóre przypadki mogą być rodzajem empirycznego zastąpienia terapii, korygowaniem braku substancji endogennych? W takich przypadkach opiaty byłyby tak samo „fizjologiczne” albo przynajmniej tak samo terapeutyczne jak insulina u diabetyków. Warto tutaj przypomnieć powracającą postać długoterminowego uzależnionego, który nie tylko potrafi przetrwać dzięki stałej dawce opiatów, lecz także prowadzić długie i twórcze życie. Ten gatunek nie wymarł[27]. W tej chwili jest to czysta i być może naganna spekulacja, ale można żywić niepozbawioną podstaw nadzieję, że postęp pewnego dnia doprowadzi do lepszego zrozumienia mechanizmu uzależnień i do stosunkowo bezbolesnej metody ich leczenia.

ROZDZIAŁ 31

Kuracje odwykowe

Pewnego dnia – ale odważny będzie ten, kto przewidzi kiedy. Nikomu nie uśmiecha się porażka w wykorzystywaniu postępów na polu podstawowych nauk. Na samym początku XX wieku entuzjastów znalazła hipoteza antytoksyny. Wyewoluowała z wielkich odkryć związanych z odpowiedzią immunologiczną. W zdrowych organizmach toksyny bakteryjne zapoczątkowują wytwarzanie wysoce specyficznych antytoksyn. I chociaż mechanizm na poziomie cząsteczkowym nie został jeszcze dokładnie zrozumiany, w niektórych dawniej kończących się fatalnie chorobach – takich jak wścieklizna i błonica (dyfteryt) – antytoksyny okazały się triumfalnie skuteczne w leczeniu. Takie postępy czasami przynoszą czysto werbalne, a więc wprowadzające w błąd analogie. Doktor Lorenzo Gioffriedi, modny lekarz z Rzymu, przekonywał, że morfina i heroina są truciznami, czyli „tok-

synami”, zatem „muszą” być w stanie wygenerować antytoksyny. Zakładał, że leki czy narkotyki działają głównie na śluzówkę żołądka i że wobec tego to komórki tej wyściółki powinny produkować owe dzielne, wojownicze cząsteczki. Uzależniono psy, podając im doustnie morfinę, po czym przetestowano na pacjentach surowicę psiej krwi (jak sądzono, zawierającą antytoksyny). Pacjenci przeżyli, a życzeniowo myślący terapeuci czasami nawet tak skromne wyniki interpretują jako sukces. Na poparcie teorii znalazło się zresztą więcej życzeniowych dowodów. Skoro morfina wywołuje zaparcia, po jej antytoksynie spodziewano się, że spowoduje biegunkę; jeżeli morfina sprawia, że pacjenci czują się po niej dobrze, antytoksyna pogorszy ich samopoczucie. Oba te przewidywania sprawdziły się, zwłaszcza kiedy antytoksynę uzupełniono małymi dawkami belladonny, strychniny oraz galwaniczną i faradyczną stymulacją. Belladonna, czyli pokrzyk wilcza jagoda, roślina zawierająca atropinę, była prastarym antidotum dla opium, zastępowała morfinową euforię bełkotliwą sennością. (Sprawiała, że pacjenci nawet nie myśleli o tym, żeby się wymknąć z oddziału w poszukiwaniu następnej działki opium). Strychnina zaś służyła do dalszego pobudzania jelit, z kolei stymulacja elektryczna – choć nie było na to dowodów – miała pobudzić działanie tak zwanej antytoksyny.

W pierwszych latach stulecia metodę tę wprowadzono w kilku najlepszych – co należy rozumieć: najdroższych – prywatnych klinikach odwykowych Europy Zachodniej i chwalono się znaczącymi sukcesami. Oznaką postępów w leczeniu miały być zwłaszcza zielonkawożółte wypróżnienia, jeden z najbardziej nieprzyjemnych skutków kuracji. Dziwna moda następnie przeprawiła się przez Atlantyk. Charles B. Towns, sprzedawca ubezpieczeń z Georgii, rozkręcił dochodowy biznes, lecząc uzależnionych i zaglądając

do ich basenów w poszukiwaniu „zielonego stolca nadziei”. W 1906 roku jego pomysłowi udzielił poparcia sam Alexander Lambert, wielki autorytet, osobisty lekarz prezydenta Theodore’a Roosevelta. Połączywszy siły, dwaj Amerykanie opracowali niemożebny „skopolaminowy i antytoksynowy reżim”. Towns udowadniał, jak głęboka przyjaźń łączy Amerykę z Chinami, lecząc setki kulisów w „pomocniczej przychodni” założonej podczas Konferencji na temat Opium w Szanghaju. W uznaniu dla jego wkładu w chińsko-amerykańskie braterstwo Departament Stanu wystosował do niego oficjalną pochwałę. Dokument opisywał metodę Townsa–Lamberta jako „najbardziej skuteczne leczenie uzależnienia od opium i morfiny w dotychczasowej historii”. Wkrótce w prestiżowej nowojorskiej dzielnicy Central Park West wyrósł czterokondygnacyjny Szpital Charlesa B. Townsa, gdzie bogaci uzależnieni płacili 300 dolarów za dzień w prywatnym pokoju, a mniej zamożni 70 dolarów za łóżko w wieloosobowej sali. Instytucja zamknęła działalność po 10 latach, ale Towns pozostał majętnym człowiekiem, a Lambert wpływowym kongresowym lobbystą optującym za ostrą legislacją antynarkotykową.

Jedno szaleństwo wiodło do drugiego: zarówno dwudziestolecie międzywojenne, jak i lata po drugiej wojnie światowej były świadkami wysypu nowych metod o rozmaitym stopniu skomplikowania, absurdalności i nakładów finansowych. Wszystkie stawiały sobie za cel bezbolesny odwyk uzależnionych i trwałe wyzwolenie ich od potrzeby zażywania morfiny czy heroiny. Leczenie dwutlenkiem węgla polegało na tym, że najpierw wprowadzano pacjenta w stan nieprzytomności za pomocą podtlenku azotu, a następnie mieszaniny składającej się z 30% dwutlenku węgla i 70% tlenu. Jeszcze w 1972 roku doktor Albert LaVerne dawał wykłady o skuteczności tej metody, prób jednak zaniechano, kiedy

jedna pacjentka nigdy nie wyszła ze śpiączki. W więzieniach stanowych Marylandu ochotnikom podawano duże dawki (300–500 mikrogramów) dietyloamidu kwasu lizergowego (LSD), co łączono z psychoterapią. Podobno jedna trzecia osób z leczonej grupy sześć miesięcy po zwolnieniu z zakładu karnego nie brała heroiny. W latach 20. i 30. w Europie i Stanach Zjednoczonych znalazł zwolenników kurs terapii opartej na pełnej freudowskiej interpretacji uzależnienia. Głód morfiny identyfikowano jako farmakologiczny dreszcz seksualny, innym cechom przypisywano skomplikowane freudowskie wyjaśnienia. Kuracja miała być prosta: należało tylko „rozpromienić i uwznioślić libido, które uzależniony rozpustnie marnuje na fetysz narkotykowego uzależnienia". Koncept ten dobrze przyjęło Federalne Biuro Narkotykowe, ale jego wdrożenie uznano za przedwczesne. Niemniej w praktyce prywatnej szeroko stosowano psychoanalizę i inne formy intensywnej psychoterapii.

Nie wszystkie próby były tak nieszkodliwe. W latach 30. i 40. w specjalistycznych klinikach wypróbowano szereg nowych leków. Szczególnie głośno było o Antynarkotykowej Farmie w Lexington, do której sądy i różne antynarkotykowe agencje wysyłały pacjentów na „przymusowy odwyk". „Dlaczego nazywacie tę salę tortur farmą? – pytał jeden z pensjonariuszy. – Naprawdę uprawiacie tu zioło?" Niektóre programy przeprowadzano ze złośliwą gorliwością. Większość osadzonych/pacjentów raz po raz próbowała ucieczki, a ponad jedna czwarta podobno skutecznie popełniała samobójstwo (odsetek nigdy nie został ujawniony). Wszystkie sprawdziany wskazywały na to, że po jakiejkolwiek farmakologicznej „kuracji" pacjenci wykazywali silną tendencję do popadania w głęboką depresję albo w ciągu sześciu miesięcy wracali do igły. Jednak negatywne skutki zdawały się

w najmniejszym stopniu nie gasić zapału eksperymentatorów.

* * *

Podczas procesów norymberskich, kiedy sądzono nazistowskich zbrodniarzy wojennych, wielu zastanawiało się, dlaczego przedstawiciele Stanów Zjednoczonych odmówili podpisania części końcowego protokołu, która zakazywała (i wciąż zakazuje) przeprowadzania eksperymentów medycznych na więźniach, nawet przy „pełnym wyjaśnieniu i zgodzie". Z wszystkich okropieństw ujawnionych w trakcie procesów nic nie wywołało w świecie większego szoku niż wykorzystywanie osób osadzonych w obozach koncentracyjnych do tak zwanych eksperymentów medycznych. Powodem amerykańskiej odmowy było to, że podpisanie protokołu zbiegło się w czasie z wydarzeniem w ojczyźnie: Ośrodek Badań nad Uzależnieniami w Lexington właśnie otrzymał spore dofinansowanie od Narodowego Instytutu Zdrowia Psychicznego na nowe antynarkotykowe próby. Co prawda w Lexington zaniechano już najgorszych praktyk, ale nadal największą spodziewaną grupą królików doświadczalnych mieli być „ochotnicy z więzień". A wyszukane programy odwykowe z zastosowaniem leków o tak złej reputacji, jak nalorfina czy cyklazocyna – obie w licznych przypadkach szkodliwe dla wątroby, szpiku kostnego i innych narządów – bynajmniej nie należały do przeszłości.

Najskuteczniej jednak udaremniało postęp ogólne nastawienie personelu. I nie chodzi wyłącznie o Lexington. W 1971 roku doktor David Smith pisał o lekarzach i pielęgniarkach jednego ze szpitali ratunkowych o bardzo dobrej reputacji:

> Większość przedstawicieli publicznej służby zdrowia, podobnie jak większość policjantów, patrzy na młode osoby mające narkotyko-

wy problem jak na podludzi. Kiedy nastolatkowie przychodzą do szpitala Park Emergency po pomoc, lekarze często dręczą ich kazaniami, potajemnie zgłaszają ich na policję albo poddają skomplikowanym, przeciągającym się procedurom związanym ze skierowaniami. Pielęgniarki niekiedy mówią potencjalnym pacjentom, żeby szli ze swoimi problemami gdzie indziej. Kierowcy ambulansu „zapominają" o wezwaniach do nagłych wypadków. Wraz z innym personelem medycznym najwyraźniej uważają, że najlepszy sposób na wykorzenienie uzależnień w okolicy to pozwolić młodszym mieszkańcom, żeby się sami wyniszczyli[1].

Pierwszy wartościowy lek przeciw uzależnieniom, wciąż będący w użyciu, zsyntetyzowano jeszcze przed drugą wojną światową w Niemczech, lecz wówczas odłożono tę sprawę na dalszy plan. Dopiero gdy wojna na Bałkanach zagroziła odcięciem tureckiego opium, kilku wiodących niemieckich chemików podjęło się zadania znalezienia substytutu. Odkurzono wyniki sprzed wojny, wznowiono wysiłki i w rezultacie otrzymano lek znany dziś jako metadon, ale początkowo nazwany dolofiną[2]. Stosowano go już w przeciwbólowych mieszankach przed drugą wojną światową, ale w czasach powojennej bonanzy „uwolnionych" niemieckich patentów został zapomniany. Dwadzieścia lat po wojnie Vincent P. Dole, profesor psychiatrii na Uniwersytecie Rockefellera w Nowym Jorku, oraz jego koleżanka i przyszła żona, Marie Nyswander, przeszukiwali literaturę pod kątem możliwych pomysłów na skuteczną metodę odwyku. Coraz bardziej niepokoiło ich leczenie uzależnionych jako „społecznych trędowatych" w rozmaitych ośrodkach „resocjalizacyjnych" i „odwykowych" ze wskaźnikiem nawrotów bliskim 100%. W końcu natknęli się na zapomniane eksperymenty z dolofiną jako możliwym zamiennikiem heroiny. Na szczęście lek, przemianowany na metadon, był wówczas na tyle mało znany, że nie wciągnięto go na listę substancji objętych prohibicją. Wkrótce wykazano, że jest skuteczny, choć

daleko mu do idealnego środka odwykowego. Jego główne działanie polegało na blokowaniu euforycznego efektu heroiny, niwelowało zatem jej głód. Podawany w dużych, ale stopniowo zmniejszanych dawkach, znosił albo przynajmniej łagodził „chorobę abstynencji”. To współgrało ze zdumiewającym eksperymentalnym odkryciem: chociaż pod względem kształtu cząsteczki dolofina nie jest podobna do morfiny, najwyraźniej pasowała do jednego z receptorów endorfin.

W krótkim czasie metadon pozwolił pewnej liczbie uzależnionych na nowo podjąć normalne życie, nauczyć się fachu, utrzymać zatrudnienie i cieszyć się funkcjami społecznymi. Mimo to jego stosowanie spotkało się z zaciekłym oporem Federalnego Biura Narkotykowego i innych oficjalnych instytucji oraz indywidualnych polityków i policjantów. Zastrzeżenia oponentów budził nie tyle sam lek, ile podejście Dole’a i Nyswander do uzależnienia. Na szczęście opozycja mogła jedynie spowolnić postęp. Dole nie zmienił swoich poglądów i po 30 latach doświadczeń napisał, że leczenie pomogło tysiącom pacjentów, którzy w innym razie umarliby albo skończyli w więzieniu.

> Dla mnie najbardziej pouczające doświadczenie z minionych trzech dekad to zdobycie wiedzy, że tradycyjny wizerunek człowieka uzależnionego od narkotyku – słaby charakter, hedonista, niesolidny, zdeprawowany, niebezpieczny – jest całkowicie fałszywy (…). Mit, w który wierzy większość przedstawicieli medycznego środowiska, a wiarę tę podziela opinia publiczna, wypaczył i przestawił zasady porządku publicznego na 70 lat (…). Moje doświadczenia z tysiącami pacjentów wywodzących się z najróżniejszych kultur wykazały, że typowy pacjent uzależniony od heroiny jest łagodną osobą złapaną w pułapkę chemicznego zniewolenia, wzruszająco wdzięczną za okazane zrozumienie i skuteczne leczenie (…). Ale dyskusje o programach zachowawczych zostały beznadziejnie zaciemnione przez polityczne interesy, ideologiczne pozy

i dezinformacje szerzone w mediach oraz przez publiczne postacie aspirujące do urzędniczych stanowisk[3].

Żaden z istniejących obecnie programów odwykowych nie był ani nie jest idealny. Metadon zamienia jedno uzależnienie w drugie, a żadne z nich nie może być pożądane. Pod niektórymi względami korzyści odnosi nie tyle uzależniony, ile jego rodzina: po trzech latach przyjmowania metadonu uzależnieni podobno o 90% rzadziej niż przedtem trafiają do aresztu z powodu kradzieży, napaści, sprzedaży narkotyków, wystawiania czeków bez pokrycia i innych drobnych oszustw, włóczęgostwa, paserstwa, publicznego odurzania się, prostytucji, prób samobójczych czy zakłócania porządku publicznego. Wśród minusów należy wymienić fakt, że wielu uzależnionych odczuwa wstręt do leczenia – twierdzą, że czują się po nim „zjechani". Mogą też zauważyć, że wycofanie się z niego jest równie ciężkie jak odstawienie heroiny. W każdym kraju, w którym stosuje się tę metodę, odsetek rezygnujących z programu jest duży, ale znaczna część rezygnujących przystępuje do niego z powrotem. Nadzieję budzi dostrzegany nieraz cel: kiedy u uzależnionych wygaśnie głód heroiny, uznają swoje wysiłki za warte zachodu – znacznie bardziej, niż gdy wciąż ściga ich stara zmora. Mogą nawet odkrywać prozaiczne przyjemności domowego życia.

Jedną z przypadkowych konsekwencji udanych lub stosunkowo udanych programów resocjalizacji było obniżenie prawdopodobieństwa zakażenia wirusem HIV. W miarę jak epidemia rozprzestrzeniała się i pochłaniała coraz więcej młodych istnień, rosła liczba uzależnionych szukających lekarstwa oraz stosujących metadon. Albo przynajmniej działo się tak tam, gdzie na to pozwolono. W Rosji wzmianki o nawet ograniczonym programie wciąż wywołują oburzenie. Jednak w większości krajów kontynuuje się poszukiwa-

nia innych i lepszych leków oraz proleków – prekursorów leku, które w ciele pacjenta przekształcają się w aktywną substancję o działaniu farmakologicznym.

* * *

Rzecz jasna, lekarstwa nie są jedyną drogą ratunku. Niektórzy uzależnieni odstawili heroinę dzięki akupunkturze i innym holistycznym metodom. Wiara religijna również może góry przenosić, jak udowodniła Jacqueline Pullinger. W 1966 roku ta 22-letnia Angielka, nauczycielka muzyki, wybrała się do Hongkongu na pokładzie frachtowca; dokładniej – podróżowała na Wschód w poszukiwaniu misji, a wysiadła w Hongkongu pod wpływem impulsu[4]. Dostała pracę nauczycielki w szkole podstawowej w dzielnicy Kowloon Walled City (nie miała kontrkandydatów). Ten wydzielony skrawek ziemi był arcygęsto zabudowany wielopiętrowymi blokami mieszkalnymi i poprzecinany tak wąskimi zaułkami, że wprawdzie ograniczały lejący się z nieba żar, ale nie dopuszczały też wiele światła słonecznego. Dzielnica miała reputację najniebezpieczniejszego kilometra kwadratowego na świecie i była to reputacja zasłużona. W latach 60. grunt pod budynkami krył plątaninę piwnic i podziemnych przejść sięgających na głębokość trzech albo czterech kondygnacji w dół. Na powierzchni zaś domy czynszowe dzieliły się na maleńkie, przepełnione mieszkania i jednopomieszczeniowe fabryczki wytwarzające wszystko, od mielonych kotletów rybnych po seks-zabawki. Ale przede wszystkim Kowloon Walled City był najważniejszym na świecie ośrodkiem produkcji heroiny. Biały proszek, wyjątkowej czystości, kupowali tu na kilogramy akredytowani przez triady handlarze. Mogli go również nabywać wolni strzelcy, pod warunkiem że byli gotowi ryzykować wbicie noża pod żebro. Zyski mogły być jednak bajeczne. Jedynie nieliczni

mieszkańcy dzielnicy w dowolnym wieku nie byli mocno uzależnieni. Na wpół zmumifikowani starcy – ale niewykluczone, że według kalendarzowych lat znacznie młodsi – kucali w drzwiach niczym obszarpane symbole śmierci. Większość nie była zdolna do innego ruchu jak nerwowe pociągnięcie dymu z fajki. Nawet zwykłe wdychanie tutejszego powietrza wystarczyło, by człowiek się uzależnił albo przynajmniej poczuł bóle głowy. W latach 30. brytyjskie władze Hongkongu milcząco odpuściły sobie tę enklawę; policja nie miała tu odtąd wstępu, osiedlem rządziły triady. Ich władza była absolutna, a tolerancja zerowa.

I właśnie do tego dolnego kręgu piekieł zstąpiła Jackie (jak wkrótce będzie nazywana), by uczyć i zapoczątkować ewangeliczne spotkania modlitewne. Zbierali się na nich uzależnieni pochodzący z Australii, Ameryki Północnej i Południowej oraz Europy. Podczas spotkań czasami wpadali w trans, kiwali się, mruczeli pod nosem i osuwali się na podłogę, a kiedy wychodzili z transu, wyczerpani, niektórzy byli wyleczeni. Jackie i jej kilku pomocników kontynuowali swe dzieło bez przeszkód, chronieni przez triady. (Późniejsze publikacje nie wspominają o tym, ale w przeciwnym razie nie przetrwałaby w tym świecie). Turystów przybywających do Hongkongu ostrzegano, by się nie zapuszczali do dzielnicy – właściwie zabraniano im tego – inaczej niż w towarzystwie Jackie lub kogoś z jej kręgu. Z nimi byli bezpieczni. W końcu grupa, przemianowana na Stowarzyszenie Świętego Stefana, zyskała wsparcie władz Hongkongu – przydzieliły jej działkę, na której mogła zbudować schronisko. Jak zauważył pewien sceptycznie nastawiony do religii historyk: „Było to prawie tak, jakby Bóg, czując się winnym przez to, że Swe własne lekarstwo uczynił przekleństwem, zaoferował też Swoje własne ukojenie, i to być może nie z boskiego natchnienia, ile z boskiej ironii okazał Swą mi-

łość właśnie w Chinach, sercu opiumowej historii”[5]. Kowloon Walled City zburzono na początku lat 90. i na jego miejscu założono nudny skrawek zieleni, ale Stowarzyszenie działa nadal i obecnie ma filie poza Hongkongiem. Organizacje religijne dedykowane uzależnionym funkcjonują na mniejszą skalę również w innych miejscach, a niezrzeszeni i niezauważani indywidualni wierzący wykorzystują swoją wiarę jako uniwersalne lekarstwo przypuszczalnie w każdym kraju.

* * *

Wiara, niekoniecznie religijna, albo przynajmniej pragnienie wyleczenia, pozostaje niezbędnym elementem każdego odwyku. Nieuzależnieni, zwłaszcza ci, którzy chcą pomóc, zwykle zakładają, że to pragnienie ma każdy narkoman. Takie przekonanie nie zawsze jest jednak usprawiedliwione. Świat uzależnionych wygląda inaczej oglądany od wewnątrz niż widziany z zewnątrz. Patrzący z zewnątrz widzą upodlenie, chorobę i perspektywę ruiny. Przyjaciele i rodzina przeżywają udręki. Jeśli natomiast ktoś znajduje się w tym świecie i spogląda na zewnątrz, czasami widzi tam tylko szaleństwo, chciwość i próżność nieuzależnionych. To spojrzenie musi się zmienić, zanim będzie można oczekiwać wyleczenia. Żaden lek nie dokona tego sam z siebie.

Obecnie w większości krajów Europy Zachodniej istnieją kliniki stawiające sobie za cel trwałe uwolnienie pacjentów od uzależnienia. Działają pod przewodnictwem specjalistów w dziedzinie psychiatrii, polegając na kombinacji psychoterapii i nieuzależniających leków uspokajających, i niektóre osiągają godne pochwały wyniki. Ale zadanie nadal wymaga dużego nakładu pracy i w związku z tym jest kosztowne. Można się również spierać o to, czy uratowani pacjenci to głównie osoby, które uzależniły się z powodu wpływu rówie-

śników albo przejściowych niepomyślnych okoliczności, czy raczej „naturalni” uzależnieni. Czy ta druga kategoria w ogóle istnieje? Wiele autorytetów odrzuca ją jako wynikającą wyłącznie z ogólnych przekonań, ale w świetle rozwoju dokonującego się w naukach podstawowych trudno tę koncepcję wykluczyć. Pomoc oferują także darmowe poradnie; w niejednej pracuje oddany sprawie personel, często sam mający za sobą narkotykowe przejścia. Możliwe, że znaczącym postępem okażą się reżimy odwykowe oparte na połączeniu zastępczego lekarstwa ze starannie dobranymi, małymi i powoli zmniejszanymi dawkami narkotyku.

ROZDZIAŁ 32

Życie i śmierć narkotykowego barona

Literatura narkotykowa ostatnich 50 lat jest usiana geometrycznymi wzorami – trójkątami, księżycami, a ostatnio kwadratami – zwykle opisywanymi jako złote[1]. Kształty odnoszą się do oglądanych na mapie obszarów, które kolejno zaopatrywały świat w narkotyki. Określenie „złoty” to przypuszczalnie aluzja do zysków, jakie ciągnie z tego kilku przestępców mieszkających tysiące kilometrów od makowych upraw[2]. Dla większości zwykłych ludzi zamieszkujących każdy z tych geometrycznych obszarów odpowiednie dekady bynajmniej nie były złote.

Chronologicznie jako pierwszy wsławił się Trójkąt – prawie milion kilometrów kwadratowych pięknego górzystego terenu w Azji Południowo-Wschodniej, obejmujący północne

części krajów: Mjanma (Birma), Wietnam, Laos i Tajlandia (dawniej: Syjam)[3]. „Trójkątność” ignoruje wyznaczone przez człowieka granice, które zresztą zawsze były czystym wymysłem. Obszar ten przecinają majestatyczne rzeki poznaczone wspaniałymi wodospadami, a dzikie górskie grzbiety porasta dżungla. W przeciwieństwie do tego, co się czasami słyszy, region ten nie jest jedną z prastarych ojczyzn maku. Roślinę przynieśli w te strony Chińczycy uciekający na południe po wojnach opiumowych i powstaniu tajpingów, a uprawa na dużą skalę rozpoczęła się dopiero po drugiej wojnie światowej. Oprócz chińskich imigrantów i ich potomków teren ten zamieszkuje kilka ludów, z których najliczniejsi są Szanowie[4]. Pod koniec drugiej wojny światowej być może jacyś niezbyt kompetentni osobnicy obiecywali im niepodległość, bawiąc się złotymi galonami przy mundurze, ale żądań Szanów nie potwierdza żadna deklaracja Balfoura[5].

Wojna i okupacja japońska zmiotły resztki wiarygodności władzy kolonialnej i zostawiły znaczną część Azji Południowo-Wschodniej w stanie wielkiego zamętu. Na region natarły z północy pozostałości armii Kuomintangu, pokonane, ale wciąż wyposażone w sprawną amerykańską broń. Dawne Francuskie Indochiny wybuchły na południu postkolonialnymi wojnami. Sąsiednia Tajlandia, rządzona przez niewielką, interesowną elitę, była dogłębnie skorumpowana[6]. Jej bliski rywal, Laos, niedawno odzyskał niepodległość[7]. Świeżo upieczona demokracja Birmy była zagrożona etnicznymi, religijnymi i ideologicznymi podziałami. Chaos może sprzyjać nowym ruchom politycznym, ale walka o niepodległość Szanów wciąż potrzebowała jakichś źródeł materialnych, a z tych Szanowie posiadali tylko jedno. Po źródło to sięgnął charyzmatyczny przywódca, może bohater jeszcze nienapi-

sanych kronik, a może najbardziej nikczemny narkotykowy baron wszech czasów.

* * *

Khun Sa urodził się jako Zhang Qifu w 1934 roku w Loi Maw w stanie Mong Yai, który wówczas stanowił jeszcze północną część brytyjskiej kolonii Birma. Ojciec przyszłego przywódcy był Chińczykiem, matka wywodziła się z Szanów. Ojciec zmarł, gdy syn miał zaledwie trzy lata, a matka poślubiła wówczas posiadacza ziemskiego, co w hierarchicznym społeczeństwie miało spore znaczenie. Khun Sa nigdy się nie pozbył arystokratycznych fumów, a pseudonim, który przybrał, oznacza z grubsza „Księcia Dobrobytu". Trzej przyrodni bracia przyszłego bohatera zostali wysłani do szkoły misyjnej i później ochrzczeni jako: Oscar, Billy i Morgan, Zhang jednak trafił na wychowanie do swego wykształconego chińskiego dziadka. Jego edukacja pozadomowa zakończyła się we wczesnej młodości na kilku latach służby świątynnej w buddyjskim klasztorze. W późniejszych czasach Khunowi trzeba było odczytywać korespondencję oraz pisać listy, które dyktował. Nie był jednak wioskowym prostaczkiem. Miał wyrobiony gust w zakresie chińskiej sztuki, wolał terakotę z okresu dynastii Tang od XIX-wiecznego kiczu, jego szeroka wiedza historyczna obejmowała nie tylko Azję Południowo-Wschodnią, a matematykę opanował na tyle dobrze, by się utrzymać na wysokiej pozycji w ogólnoświatowym handlu.

W wieku około 16 lat został siłą zwerbowany do wojska Kuomintangu, przyczajonego w „tymczasowych" ostojach. Rozbita armia od czasu do czasu dostawała wsparcie od tajwańskiego rządu Kuomintangu oraz bardziej regularnie od CIA. Była to co prawda hołota, ale miała znakomite antykomunistyczne referencje i głosiła, że lada chwila przystąpi

do zbrojnego odzyskania Chin. Dla miejscowej ludności stanowiła prawdziwe nieszczęście: ściągała zawyżone podatki, siłą werbowała młodych ludzi i zachęcała do uprawiania maku w celach zarobkowych. Khun Sa nauczył się w szeregach tej armii zasad walki partyzanckiej i poznał subtelności polityki makowej w Azji Południowo-Wschodniej. Wkrótce sformował własny oddział, by walczyć ze swoimi byłymi zwierzchnikami; a robił to tak skutecznie, że rząd w Rangunie uznał w nim przywódcę „obrony terytorialnej kraju". Mając rządowe pieniądze, Khun Sa zakupił w sąsiedniej Tajlandii i Laosie francuski i amerykański sprzęt wojenny i w wieku 33 lat stanął do walki z birmańskim reżimem. Przegrał z kretesem i dostał się do niewoli, a jego oddziały rozproszyły się w dżungli. W końcu go uwolniono, podobno w zamian za dwóch rosyjskich lekarzy porwanych w tym celu przez lojalnego zastępcę Khuna. Taką informację można znaleźć w literaturze, ale nawet jak na makowe standardy wydaje się przedziwnie mało prawdopodobna. Skąd wzięli się ci rosyjscy lekarze? Co robili w ksenofobicznej Birmie? I dlaczego rząd w Rangunie wypuścił cennego jeńca w zamian za dwóch cudzoziemców? Prawda, jak zazwyczaj bywa z tym towarem we współczesnej Azji Południowo-Wschodniej, musiała być bardziej nieuchwytna, najprawdopodobniej obejmowała zawiłe transakcje, nigdy niewypowiedziane na głos, a tym bardziej niezapisane. (Rejestry w handlu opiumowym, czy to w Birmie, czy bliżej naszych czasów w Afganistanie, służyły i służą raczej do zaciemniania niż do wyjaśniania sprawy).

Pomijając szczegóły, w latach 1976–1990 Książę Dobrobytu władał krajem wielkości mniej więcej Anglii i dowodził dobrze wyposażonymi siłami zbrojnymi znanymi jako Armia Zjednoczonych Szanów. Głównym jej celem było pilnowanie opium nielegalnie transportowanego do rafinerii i dalej,

ochrona nowych laboratoriów przetwarzających opium, pierwszych, jakie zbudowano w regionie, oraz eskortowanie gotowego produktu do punktów dystrybucji w Tajlandii i gdzie indziej. Armia ponadto rozprawiała się z nieautoryzowanym handlem: niszczono wsie, które dały się skusić konkurencyjnym intruzom, czyli dawnym lub przyszłym narkotykowym baronom. Do wojska Szanów rekrutowano chłopców i młodych mężczyzn. Roczna produkcja opium w królestwie Khuna Sa zaczęła się od około 100 ton w 1976 roku; w 1980 roku wynosiła już 400–600 ton, w 1985 – ponad 1000, a w 1995 – ponad 3000 ton. Zdjęcia satelitarne pokazują, jak obszar zajęty pod uprawę maku rozrastał się od 34 000 hektarów w 1987 roku do ponad 200 000 w 1991. Zebrane plony już na miejscu przerabiano na wyjątkowej czystości heroinę i całość eksportowano. Mimo że na każdym etapie biznesu trzeba go było opłacać u szefów politycznych i smarować łapówkami na niższych poziomach, produkt lądujący na ulicach Nowego Jorku, Los Angeles, Toronto, Sydney, Londynu czy Paryża, znany jako „chiński biały”, był wciąż dobrej jakości; a zyski w kraju pochodzenia wystarczały na budowę dróg, szpitali i szkół, na programy szczepień oraz na luksusowe zachcianki księcia. Inni watażkowie w Azji Południowo-Wschodniej, również mający interes w tym handlu, niektórzy starsi i z większym stażem niż Khun Sa, zostali doprowadzeni do ruiny albo sami zwinęli swój biznes. Do zabójstw uciekano się w ostateczności. Nielegalna Birmańska Partia Komunistyczna, kontrolująca pas pól makowych na granicy birmańsko-chińskiej, nagle odkryła, że rafinerie przestały działać. Nikt się nie zjawił, żeby je naprawić.

Powiązania Księcia Dobrobytu ze Smoczymi Syndykatami, znanymi też jako triady, pozostają niejasne, lecz przypuszczalnie były bliskie. Władca rządził swym feudalnym krajem

skutecznie, ale nie miał na tyle mocnej pozycji, by zorganizować światową sieć sprzedaży. Tymczasem Smocze Syndykaty obracały się w opiumowym handlu już od lat 80. XIX wieku, a w latach 70. XX wieku kontrolowały przepływ narkotyku przez Bangkok i Hongkong. Oparcie miały w chińskiej diasporze, liczącej 40–60 milionów osób (największej na świecie) i dzięki niej rozwinęły własny system bankowy korzystający z tradycyjnych więzi rodzinnych, a także działający bez zakłóceń aparat prania pieniędzy. W jego funkcjonowanie byli wmieszani wpływowi ludzie w większości krajów, a w niektórych też głowy państw. Jednak, w przeciwieństwie do sycylijskiej mafii z jej eleganckimi jachtami i prywatnymi odrzutowcami, syndykaty stroniły od rozgłosu, a Khun Sa stanowił dla nich idealną przykrywkę. Można go było demonizować w mediach i twierdzić, że jest najważniejszym tuzem globalnego handlu narkotykowego. Był ponadto zręcznym negocjatorem i dogadywał się z oficjalnymi rządami Birmy, Tajlandii, Laosu i Wietnamu.

Ale nawet ze wsparciem syndykatów niekiedy nieuniknione były tymczasowe komplikacje. W 1982 roku pod naciskiem Stanów Zjednoczonych na armię Szanów uderzyły siły zbrojne Tajlandii. Co się następnie stało, zależy od tego, którą z licznych kłamliwych wersji zdarzeń wybierzemy. Możliwe, że Tajowie pokonali Szanów w zażartej, trwającej dwa dni bitwie i wynikł z tego spory rozlew krwi. Bardziej prawdopodobne jednak, że po upozorowanej walce wynegocjowano przyjacielską ugodę: tajska armia wycofała się w glorii chwały, a Khun Sa przeniósł swoją siedzibę tuż za granicę państwową, do Homong (Homein) w Birmie. Tu jego kariera osiągnęła szczyt.

O miejscowości Homong pisano czasami, że to „zagubiona w dżungli kryjówka bandytów”, ale według jednego z naocznych świadków było to „coś najbardziej przypominające-

go Milton Keynes[8] jak na warunki Azji Południowo-Wschodniej". Miało starannie wytyczoną sieć ulic i centrum handlowe pełne dobrze zaopatrzonych sklepów. Po przystępnych cenach można tu było kupić wszelkie zachodnie gadżety, od laptopów po fałszywe rolexy. Płaciło się w dolarach. W drewnianych lub betonowych domach otoczonych drzewami owocowymi, strzyżonymi żywopłotami i ogrodami, w których kwity bugenwille i nagietki, mieszkało od 20 000 do 30 000 dusz. Zapach w październiku był upajający.

> Wyraźne szyldy wskazywały, gdzie można kupić pozwolenie na podróż do Tajlandii, a tym samym dokądkolwiek, nawet do Stanów Zjednoczonych. Miasteczko szczyciło się dwiema szkołami i klasztorem buddyjskim. Choć Szanowie wyznają buddyzm, mile widziani byli wierni kościoła założonego przez wielebnego Moona z Korei Południowej[9] (...). Szpital z salą operacyjną i możliwością wykonania prześwietleń rentgenowskich prowadzili uprzejmi i kompetentni chińscy lekarze. Działały świetlica z wideo, bar karaoke, hotel i dyskoteka, był również mały park z ławeczkami dla zmęczonych stóp. W rozmównicy telefonicznej można było zamawiać rozmowy międzykontynentalne. W jednoizbowym muzeum kultury wystawiono dzieła miejscowego rzemiosła oraz okropne malowidła historyczne w europejskim stylu (...). Wśród projektów w 1989 roku będących w realizacji należy wymienić hydroelektrownię, która miała zastąpić dotychczasowe generatory zasilane ropą naftową, oraz 18-dołkowe pole golfowe. Podobno Khun Sa dobrze grał w golfa, ale budowano je głównie z myślą o gościach z Tajlandii, Tajwanu, Singapuru, Hongkongu, Korei Południowej i Japonii. Niektórzy przybywali pod pretekstem zakupu cennych kamieni z ośrodka, który Książę prowadził w ramach hobby. Ale jeśli odwiedzający spodziewali się narkotykowego raju, czekało ich rozczarowanie. Handlowanie narkotykami na miejscu było zakazane i w przeciwieństwie do Bangkoku, San Francisco czy Manchesteru, prohibicję egzekwowano[10].

Sam Książę mieszkał w bungalowie, który odróżniał się od pozostałych jedynie bardziej rozległym terenem, z rabatami pełnymi storczyków, araukariami oraz poziomkami, jego

ulubionymi owocami. Siedzibę władcy otaczały ponadto betonowe bunkry skrywające antylotnicze karabiny maszynowe kalibru 50 mm. Charakterystyczne odgłosy obrony przeciwlotniczej miały upewniać mieszkańców, że są strzeżeni i chronieni. Ale Homong było też miastem garnizonowym. W kawiarniach przesiadywali żołnierze, a pędzące z piskiem wozy opancerzone stwarzały zagrożenie dla życia i kończyn przechodniów. Co bardziej wymowne, ludzie na ulicach zachowywali się zadziwiająco poprawnie (tak jak w stalinowskiej Moskwie czy w Bagdadzie za Saddama Husajna): żadnych pijaków, żadnego chuligaństwa, żadnych antyspołecznych wyskoków. „Mam armię, więc jestem wolny – powiedział Khun Sa dziennikarzowi i pisarzowi Bertilowi Lintnerowi. – Biedna Aung San Suu Kyi nie ma armii i dlatego przebywa w areszcie domowym". To jego zdaniem stanowiło jedyną różnicę między nim a zdobywczynią Pokojowej Nagrody Nobla, demokratycznie wybraną przywódczynią narodu. W opisie jednego z gości:

> Na pierwszy rzut oka nie robił sympatycznego wrażenia. Miał nerwowe ruchy, szorstki głos, malaryczną cerę i nieświeży oddech; ale kiedy rozluźnił twarz, potrafił się rozjaśnić w dziecięcym, ujmującym uśmiechu. A w rzadkich i niespodziewanych momentach okazywał się niepozbawiony poczucia humoru. „Jak pan widzi, nie jestem bogatym człowiekiem. Rzecz jasna, byłbym milionerem, gdybym sam siebie wydał nowojorskiej policji"[11].

Wszystko pięknie, ładnie, ale trzeba pamiętać, że w 1990 roku państewko Khuna Sa, z handlową pomocą triad, dostarczało na rynek lwią część nielegalnej heroiny spożywanej w Stanach Zjednoczonych i Australii oraz znaczący ułamek tego, co trafiało do Ameryki Południowej i Europy. W 1989 roku rzeczniczka Departamentu Stanu w Waszyngtonie publicznie nazwała go Księciem Śmiercią i stwierdziła, że Khun Sa w niczym nie ustępuje najgorszym

mafijnym donom. W 1992 roku Drug Enforcement Administration[12] wyznaczyła za jego ujęcie nagrodę w wysokości dwóch milionów dolarów. Magazyn „Time” okrzyknął go najbardziej poszukiwanym gangsterem na świecie, a William Brown, amerykański ambasador w Tajlandii, opisał go jako „najgorszego wroga, jakiego ma dziś świat”. Nie jest to jednak pełny obraz. Lady Brackett, była modelka, a obecnie bywalczyni nowojorskich salonów, chwaliła się, że poznała Księcia i uznała go za czarującego. Pokazywała znajomym wysadzane drogimi kamieniami pantofle – prezent od „potwora”. Bardziej znaczące – i być może bardziej zgodne z prawdą – przeżycia opisał Jean-Louis Destruelle, emerytowany pułkownik francuskiej armii, który poświęcił lata na próby znalezienia grobów lub jeśli to możliwe, śladów życia francuskich więźniów z pierwszej (francuskiej) wojny w Wietnamie. Długo walczył z uporczywym, złośliwym utrudnianiem ze strony władz w Hue, Sajgonie i Rangunie (spędził nawet krótki czas w więzieniu, oskarżony o szpiegostwo), dopóki nie zwrócił się o pomoc do Khuna Sa.

Książę przychylnie odniósł się do prośby, a jego przychylność – jak Destruelle później wspominał – była „niczym machnięcie czarodziejską różdżką. Nie musiałem wspominać jego nazwiska ani pokazywać dokumentów. Od tego momentu drzwi stały przede mną otworem, nie tylko w urzędach, lecz także u starszyzny wioskowej setki kilometrów dalej”[13]. Podobne doświadczenia zaskarbiły Khunowi Sa przyjaźń albo przynajmniej wdzięczność Jamesa „Bo” Gritza, amerykańskiego weterana z Wietnamu, uhonorowanego wysokimi odznaczeniami. Gritz poszukiwał jeńców wojennych oraz zaginionych w akcji po drugiej, czyli amerykańskiej, wojnie w Wietnamie i jemu też watażka udzielił pomocy. Wysiłki Amerykanina częściowo finansował Ross Perot, potentat naftowy i kandydat na prezydenta Stanów

Zjednoczonych; Perot wyraził aprobatę dla pomocy Khuna Sa. Shirley D. Sac, handlująca w Nowym Jorku kamieniami szlachetnymi, zaproponowała zbieranie funduszy na Armię Wyzwolenia Szanów pod wodzą Khuna Sa. Książę miał także wysoko postawionych znajomych wśród wojskowej junty w Rangunie oraz przyjaciół na wysokich stanowiskach w Bangkoku i Singapurze – inaczej nie mógłby przetrwać.

* * *

Na wczesnym etapie kariery Khun Sa poznał Josepha Nellisa, asystenta kongresmena Lestera Wolffa, wówczas przewodniczącego Specjalnej Komisji Kongresu do spraw Narkotyków. Książę przedstawił mu „sześcioletni plan" wyplenienia opium ze Złotego Trójkąta w zamian za „nieujawnioną, ale pokaźną sumę". Administracja Cartera odrzuciła propozycję. Kilka lat później za pośrednictwem australijskiego dziennikarza Stephena Rice'a Khun Sa zaoferował, że sprzeda całe swoje zbiory opium australijskiemu rządowi za około 800 milionów dolarów australijskich wypłacanych co roku przez osiem lat. Czy taki układ by się sprawdził – trudno orzec; tak czy inaczej władze Australii odmówiły. Senator Gareth Evans oznajmił, że „ten rząd nie ma interesu w płaceniu przestępcom za to, że się powstrzymają od działalności przestępczej". A jednak, po 100 latach względnego spokoju jego kraj, z linią brzegową nieułatwiającą policyjnego nadzoru, znów borykał się z eskalacją narkotykowej plagi[14].

Następny zaskakujący ruch Khuna Sa przyszedł w 1996 roku: filmowany przez telewizję, Książę poddał się przed armią Mjanmy[15]. Aresztowano go i przewieziono do Rangunu. Ruch ten w oczach Szanów popierających Khuna podobno zmienił go z wyzwoliciela w zdrajcę, ale fakty przypuszczalnie są nieskończenie bardziej skompliko-

wane. Mówiono, że Stany Zjednoczone podnoszą nagrodę za jego schwytanie do pięciu milionów dolarów; przy takiej motywacji nawet najlepiej strzeżony cel może zacząć odczuwać obawy. Poza tym dzieci księcia – pięciu synów i trzy córki – były gotowe do podjęcia studiów albo kariery w biznesie. W państwie Szanów, choćby i prosperującym, nie było na to perspektyw. Może też zdrowie nie dopisywało władcy tak samo jak dawniej. No i poddał się na własnych warunkach. Nie jest pewne, jakie ustępstwa wynegocjował dla Zjednoczonych Stanów Szanów (jeśli w ogóle jakieś), ale sam sobie zapewnił ważną pozycję w gospodarce Mjanmy, a swojej rodzinie – bezpieczeństwo. Rządząca krajem junta, choć słynęła z represji, miała swój kodeks wojskowy i dotrzymała obietnic. Stare kontakty Khuna Sa w finansowych bastionach Singapuru i Bangkoku rząd przypuszczalnie uznał za przydatne, ponieważ sam musiał teraz prać milionowe zyski czerpane z produkcji narkotyku. Troje dzieci księcia wysłano na zagraniczne uniwersytety, w tym jedno do szacownej brytyjskiej uczelni. W 2010 roku jego ulubiony syn prowadził luksusowy hotel i kasyno w malowniczym miasteczku Tachilek, blisko granicy z Tajlandią. Sam książę (jak go wciąż wszyscy tytułowali) zamieszkał w dobrze wyposażonej kolonialnej willi na jednym z przedmieść Rangunu, dokąd w 2003 roku zaprosił na wizytę domową wybitnego brytyjskiego lekarza, który właśnie bawił na konferencji w Bangkoku. Doktor zastał pacjenta nieco przygnębionego. Khun Sa chorował na neuropatię cukrzycową (która zatruwała również ostatnie lata życia prezydenta Egiptu Nassera). „Co za ironia – zauważył książę – że nawet błogosławiona heroina nie przynosi ulgi w moim cierpieniu”. Niewiele można było zrobić, żeby ukoić jego ból, lecz pacjent mimo to wcisnął gościowi rubinową spinkę do krawata w kształcie smoka[16].

* * *

Khun Sa umarł spokojnie w październiku 2007 roku. Wbrew plotkom, które twierdziły, że jego odejście rozsierdziło Szanów, ówczesny przywódca Armii Zjednoczonych Szanów powiedział agencji prasowej Reutera, że Książę będzie szczerze opłakiwany przez swój lud. „Był człowiekiem o wzniosłych ideach. Okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu, ale czas oczyści go z zarzutów". Odejście byłego potentata spowodowało też czy – co bardziej prawdopodobne – zbiegło się w czasie z geograficznym przemieszczeniem międzynarodowego handlu narkotykami. Ilość heroiny wywodzącej się ze Złotego Trójkąta zmalała, region stał się za to głównym światowym dostawcą metamfetaminy[17]. Handlowanie szaleństwem może się okazać równie dochodowe jak handlowanie marzeniami i tak samo śmiertelnie niebezpieczne[18]. Uprawa opium przemieściła się ze Złotego Trójkąta do Złotego Półksiężyca, a w bardziej prozaicznej mowie – z Azji Południowo-Wschodniej do Afganistanu.

ROZDZIAŁ 33

Utworzenie współczesnego narkostanu

W przeciwieństwie do Złotego Trójkąta, obszar Azji Środkowej nazywany Złotym Półksiężycem był ojczyzną maku od wieków. Region, rozpościerający się wzdłuż odcinka Jedwabnego Szlaku, łączącego Chiny z basenem śródziemnomorskim, zawsze wysyłał część swojego produktu na Zachód, ale w ujęciu globalnym handel ten był niewielki. Ostatni sondaż na temat narkotyków przeprowadzony przez Ligę Narodów stwierdza, że leżący w sercu Półksiężyca Afganistan dostarcza na światowy rynek niespełna 2% nielegalnej heroiny[1]. Co sprawiło, że w pierwszej dekadzie XXI wieku kraj stał się nowoczesnym narkostanem? Polityka.

Przez mniej więcej sto lat przed pierwszą wojną światową kraj był przedmiotem niewypowiedzianej, ale zaciekle prowadzonej wojny znanej jako Wielka Gra. Uczestniczyły w niej dwa imperia: brytyjskie i rosyjskie, a głównym motywem konfliktu była paranoja. Owładnięte ideą panslawizmu petersburskie oczy świdrowały zza Uralu, patrząc, jak brytyjska ekspansja w Indiach sięga Himalajów, coraz wyraźniej zagrażając zajęciem wielkich pustych przestrzeni w Azji Środkowej. Po drugiej stronie rzecznicy „brzemienia białego człowieka”[2], nie mniej zwichnięci mentalnie, w rosyjskim zainteresowaniu dostrzegali ciemne plany dostania się do Indii „tylnymi drzwiami”[3]. Tak więc aby zapewnić bezpieczeństwo brytyjskim posiadłościom w Indiach, a także zadbać o przetrwanie przemysłu tekstylnego w Manchesterze, należało koniecznie zająć owe azjatyckie pustynie. W centrum tego osobliwego zamieszania znajdował się Afganistan – biedny, ale jeszcze niewyludniony kraj mający długą historię, obfitującą w niemal totalne zniszczenia dokonywane przez hordy koczowniczych łupieżców, przeplatające się ze świetlanymi okresami rozkwitu sztuki, rzemiosła i architektury[4]. Dzięki kombinacji szczęścia i waleczności oraz pomyłkom niedoszłych najeźdźców Afganistanowi udawało się utrzymać niepodległość, a jego dominującą, choć niezbyt spajającą siłą był islam.

* * *

Można by się spodziewać, że kraj, który pozostał neutralny w drugiej wojnie światowej, zazna wreszcie okresu spokoju i prosperity, ale narosłe od stuleci psychotyczne podejrzenia niełatwo dają się wyciszyć. W 1972 roku Związek Radziecki, podobno wyprzedzając zamysły Zachodu, najechał na Afganistan i narzucił mu komunistyczne rządy – każdy kolejny gabinet był równie nieudolny jak poprzedni. Co naj-

mniej milion Afgańczyków zbiegło z kraju, ale najazd zelektryzował islamskie sentymenty w ojczyźnie i za granicą. Z całego świata zaczęli napływać młodzi muzułmanie, aby dołączyć do antyradzieckiego oporu, wśród nich bogaty saudyjski biznesmen Osama bin Laden. Tymczasem po stronie zachodniej płaszcz szaleństwa spoczął na Stanach Zjednoczonych i wkrótce główna grupa opozycjonistów, nazywanych mudżahedinami (z arabskiego *mujāhidīn*, święty wojownik zaangażowany w dżihad), zaczęła otrzymywać hojne wsparcie w postaci amerykańskiej broni i wywiadu. Mimo to mało kto w tamtych czasach spodziewał się, że wygrają: celem pocisków rakietowych ziemia-powietrze, które stały się nemezis dla radzieckich śmigłowców bojowych, było możliwie jak największe zaszkodzenie Sowietom, ale nie pokonanie ich. Jednak mudżahedini wygrali czy raczej Rosja za czasów Michaiła Gorbaczowa doświadczyła jednego z tych przypływów zdrowego rozsądku, które tak rzadko zdarzają się w historii wielkich mocarstw. Po latach ponoszenia ciężkich strat zarówno w ludziach, jak i w sprzęcie – co od niepamiętnych czasów przydarzało się wszystkim siłom najeżdżającym Afganistan – Moskwa niespodziewanie wycofała swe wojska. Pozostały po nich wypalone sowieckie czołgi rozrzucone po kraju jak stado prehistorycznych potworów, które na żerowisku zaskoczył upadek asteroidy. Mogły posłużyć jako ostrzeżenie dla następnej inwazji, rozpoczętej 13 lat później, ale najeźdźcy nic sobie z tej przestrogi nie zrobili.

* * *

Mimo że Związek Radziecki wycofał się, a potem nawet rozpadł, w Afganistanie nadal trwały walki między władcami plemiennymi, wciąż aktywnymi mudżahedinami i gangami przestępczymi. Wszyscy oni ściągali z rolników rujnujące

podatki i zachęcali do uprawy maku, która sfinansowałaby ich wyniszczające poczynania. W odpowiedzi na to z religijnych szkół sąsiedniego Pakistanu wyłonili się talibowie (słowo „talib”, wywodzące się z arabskiego, oznacza studenta, ucznia) i wkrótce wywołali na Zachodzie wiwaty. Pokonali niektórych watażków i ugłaskali innych, usunęli niekompetentnych urzędników, uspokoili mudżahedinów i obiecali zbudowanie dochodowych gazo- i ropociągów do Pakistanu. Co najważniejsze, wydali sformułowany w ostrych słowach zakaz uprawy maku. Do 2000 roku, ku zdziwieniu większości obserwatorów, udało im się ponownie zjednoczyć spustoszony kraj.

Ale zniszczenia nie znikły i stały się główną przyczyną kolejnych wydarzeń. Mosty, drogi, przydrożne schronienia i magazyny były zdewastowane. Bez nich nadzieje na szybkie odrodzenie rolnictwa rozwiały się. Tak samo jak uznanie Zachodu dla talibów. Wielu przeraziło narzucenie prawnego i etycznego porządku, który był humanitarny w VII wieku, ale w XX wydawał się barbarzyński. Jeśli tliła się gdzieś jeszcze dobra wola, eksplodowała pamiętnego 11 września. Rząd w Kabulu stwierdził, że nic nie wie o miejscu przebywania Osamy bin Ladena (uważanego za architekta wrześniowych ataków), i odmówił jego ekstradycji. Zachód wydał wówczas wojnę terroryzmowi, cokolwiek to miało oznaczać. Skupił się na talibach. Odwiecznie uświęconą modą poszukano sprzymierzeńców wśród niezadowolonych plemion i nadano im szumną nazwę Sojuszu Północnego. Kabul został podbity przez ekipę telewizyjną BBC pod wodzą nieustraszonego Johna Simpsona, redaktora od spraw ogólnoświatowych. Zgodny szturm sił amerykańskich, brytyjskich i europejskich sprawił, że w innych częściach kraju zgnieciono talibów w ciągu kilku tygodni. Przynajmniej tak się wydawało[5]. W Kabulu powołano antytalibski rząd. Nowo

wybrany prezydent, Hamid Karzaj, został zaproszony do wygłoszenia mowy przed obiema izbami Kongresu w Waszyngtonie. Jako honorowy gość uczestniczył w posiedzeniu gabinetu przy Downing Street w Londynie. W mocnych słowach potępił terroryzm, korupcję, opium i grzech. Nowemu Afganistanowi obiecano hojną pomoc, aby mógł powstać jak feniks z popiołów, a najlepiej od razu przeobrazić się w azjatycką Szwajcarię.

* * *

Tak przedstawia się tło przekształcenia kraju w XXI-wieczny narkostan. Afgańska gospodarka upadła nisko pod okupacją radziecką, ale stoczyła się jeszcze niżej pod rządami mudżahedinów, a potem talibów. Surowa polityka społeczna tych ostatnich sprawiła, że Afgańczycy mający techniczne umiejętności i doświadczenie w biznesie zbiegli z kraju. Ale najbardziej ucierpiała wieś. Przez 50 lat nie przeprowadzono żadnego wiarygodnego spisu ludności, szacuje się jednak, że trzy czwarte mieszkańców kraju (obecnie około 18–20 milionów[6]) zawsze żyło z ziemi. Uprawiano głównie pszenicę, a także kukurydzę, ryż i jęczmień. W większości prowincji system nawadniania, od którego zależały zbiory – opady na tej pustynnej ziemi zasilały niespełna 20% pól obsadzonych zbożami – teraz leżał w ruinie. Przed radziecką inwazją kraj słynął z doskonałych cytrusów, fig, daktyli i pistacji – najlepszych na świecie. W tej chwili handlowa infrastruktura niezbędna do podtrzymywania sadownictwa nie istniała. Jeszcze w latach 60. XX wieku hodowla zwierząt dostarczała nie tylko mięsa i nabiału, lecz także skór i wełny, w tym słynnych karakułów[7]. Teraz ani hodowli, ani związanego z nią przemysłu nie było, do czego przyczyniły się susza i wojna. Znaczną część drzew w kraju wycięto, a drewno wywieziono do Rosji albo zużyto na opał. Odwró-

cenie strat spowodowanych przez wylesienie zajmie kilkadziesiąt lat. Litanię można by kontynuować. Milionom rolników pozostała ostatnia deska ratunku.

Oficjalne dokumenty jako główny powód gwałtownego wzrostu uprawy maku podają „brak bezpieczeństwa żywnościowego". W zwykłym języku oznacza to klęskę głodu – rolników patrzących, jak najpierw ich inwentarz, a potem rodziny „nikną w oczach". (Pod tym biblijnym określeniem kryje się proces nie do wyobrażenia, o ile się go nie doświadczyło lub nie widziało na własne oczy). Kiedy pod koniec lat 90. pojawili się handlarze i zaproponowali zapłatę za opium z góry, tak zwany system kredytowania *salaam*, nie rozważano nic innego, jak zwykłe przetrwanie[8]. Uprawa maku wymaga dużego nakładu pracy: David Mansfield oszacował, że w Afganistanie, zależnie od składu siły roboczej, do obrobienia jednego hektara obsianego makiem potrzeba 250–400 osobodni; dla porównania przy hektarze obsianym pszenicą wystarczy 45 osobodni, a przy hektarze czarnego kminu – 57. Siły roboczej w tym kraju nigdy nie brakowało. W wiejskich rodzinach „osobą" jest każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko, a ich liczba w Afganistanie urosła z powodu przesiedleń i zawieruch wojennych. Setki tysięcy ludzi straciło domy, ich ziemia leżała odłogiem. Pracowali za bezcen. A umiejętności już mieli. Nawet w ledwie dziś pamiętanych czasach spokoju i dostatku życie bez maku byłoby naprawdę ciężkie. Błogosławiona roślina ma niewielkie wymagania glebowe i nie trzeba jej tak podlewać jak pszenicy czy jęczmienia. Jeśli zasiewy zniszczeją, wystarczy obsiać pole na nowo. Mak wydaje cudownie dużo nasion i można je przechowywać wiecznie.

Oficjalne raporty wydawane pod auspicjami Agencji Antynarkotykowej Stanów Zjednoczonych, odpowiednich jednostek ONZ, afgańskiego rządu i różnych organizacji charyta-

tywnych sugerowały, że część produkowanego w kraju opium jest dochodowym ubocznym zajęciem chciwych rolników i nielicznych prosperujących posiadaczy ziemskich. Obie te kategorie istnieją, ale stanowią drobną mniejszość. Większość ludności wiejskiej uprawiającej mak z trudem zarabia na życie. Rzecz jasna, gdyby opium nie przetwarzano w heroinę i następnie nie eksportowano, nie byłoby nawet takiego życia. Afgańczycy nie mogliby skonsumować więcej jak 0,1% tego, co zbiorą z pól. Ale po zebraniu opium, wysuszeniu i zapakowaniu – dobrze zachowane przetrwa przynajmniej rok – jego dalszy los nie leży już w rękach rolnika.

Kilka liczb (nie zawsze wiarygodnych) może ilustrować szybkość i skalę przeobrażeń. W latach 70., zanim pokojowe rolnictwo padło ofiarą wojny, Afganistan produkował przeciętnie 700 ton opium rocznie. W 1995 roku zbiory szacowano na 4600 ton. Kiedy w 2000 roku talibowie próbowali zyskać szacunek na arenie międzynarodowej, liczba ta została obcięta do 185 ton (co poświadczyli obserwatorzy z ramienia ONZ), choć nie jest pewne, ile nadwyżki zachowano na późniejszą zmianę polityki. Mimo wszystko można to uznać za znaczące wydarzenie: nie tylko spadek o 95% w stosunku do poprzedniego roku, lecz także najniższa wartość za ludzkiej pamięci. Trendu jednak nie utrzymano. Kiedy kraj został uznany za terrorystyczny i talibowie zaprzestali prób przypodobania się Zachodowi, w 2001 roku rekordowe zbiory opium wyniosły 5800 ton. Przerobiono je na 580 ton heroiny, która na pakistańskich hurtowych rynkach była warta z grubsza 2,5 miliarda dolarów. Na ulicach Londynu i Nowego Jorku, przerobiona na biały proszek, osiągnie łącznie wielokrotnie wyższą wartość.

* * *

Mówiąc językiem Banku Światowego, opiumowy problem w Afganistanie jest „wielowymiarowy”. Poza pierwszym wymiarem, czyli pragnieniem przetrwania wiejskich rodzin, istnieje wymiar transportowania opium do rafinerii, a następnie za granicę. Odbywa się to sprawnie i z zyskiem, ale opiumową działalność potępia prezydent państwa, podobnie jak – tylko nieco ciszej – odwiedzający kraj politycy, ONZ, Unia Europejska i większość światowych mediów. Proceder kwitnie z trzech powodów. Po pierwsze, dlatego że poza Afganistanem zapotrzebowanie na heroinę jest jak studnia bez dna. Po drugie, ponieważ pośrednio czy bezpośrednio większość Afgańczyków czerpie z tego środki do życia. A po trzecie, gdyż egzekwowanie prawa, podobnie jak każdy aspekt życia publicznego, jest tam głęboko przeżarte korupcją.

Korupcja może oznaczać wiele rzeczy[9], a przykłady odmiany afgańskiej mogłyby zasilić gabinet absurdalnych osobliwości. Dowódcze stanowiska na posterunkach granicznych są de facto wystawiane na sprzedaż przez ministerstwo odpowiedzialne za kontrolę granic. Kupujący odzyskuje wydaną sumę z niejaką nawiązką od handlarzy narkotyków. Narkotyki przepływają przez granicę swobodnie, tyle że do ich przyszłej ceny dolicza się niewielki procent. Pieniądze zebrane przez ministerstwo trafiają do potrzebujących, między innymi do grup, które w przeciwnym razie mogłyby robić afery, czyli donieść o sprawie zagranicznym mediom. Ci, którzy mimo wszystko wywlekają sprawę, choćby zajmowali wysokie stanowiska i byli szanowani, zostają zwolnieni albo przesunięci na bezpieczniejsze pozycje. Na żer zagranicznym mediom od czasu do czasu rzuca się wiadomości o przechwyconej, zwykle skromnej, „kontrabandzie”: winnych przy szumie kamer telewizyjnych aresztuje się i osądza. Dostają przykładne wyroki, po czym na-

tychmiast wychodzą pod jakimkolwiek (lub żadnym) pozorem. Aresztujący policjant i łotrzyk mogą się spotkać na targu już kilka dni później. Witają się serdecznie, wymieniają pozdrowienia. Sędziowie chętnie przyjmują prezenty dla rodziny i darowizny jako pożądane uzupełnienie dla swoich nieodpowiednio niskich zarobków. Na początku 2010 roku oceniano, że około 80% funkcjonariuszy policji i 60% żołnierzy nowej afgańskiej armii bierze łapówki[10]. Podobnie jak większość zwykłych ludzi. Nie jest to zbrodnia, nawet nie grzech. Po prostu sposób życia.

Trzecim i ostatnim wymiarem są same siły okupacyjne. Przez kilka lat po inwazji aliantów, gdy talibowie upadli, wyeliminowanie źródła heroiny stało się celem wojennym, który pod względem priorytetu ustępował tylko wykorzenieniu terroryzmu. Gdyby udało się skończyć z uprawą maku, byłby to krok do politycznego i moralnego odrodzenia kraju. Oficjalna wersja głosiła, że to talibowie zmusili mieszkańców wsi do uprawiania maku, aby sfinansować światowy terroryzm. W ślad za siłami zbrojnymi do kraju napłynęli antynarkotykowi agenci, dziennikarze i przedstawiciele środowisk akademickich. Międzynarodowe konferencje w Kabulu miały optymistyczny wydźwięk. Dobre nastroje utrzymywały się przez z grubsza dwa lata. Potem antymakowy szum przycichł – głównie w odpowiedzi na głosy dowódców wojskowych z terenu. Żołnierze zaprotestowali wobec pustosłowia. By zadośćuczynić wzniosłym obietnicom politycznym, należałoby zniszczyć ludziom życie. Nie było dla nich alternatywnej strategii przetrwania.

I nie chodzi o to, że inne sposoby się nie sprawdziły. Wielu ekspertów uważa, że nigdy takich strategii nie wypróbowano[11]. Przed sowiecką inwazją i kolejnymi falami wojny domowej gospodarka Afganistanu nie opierała się na opium. I znów mogłoby tak być, gdyby istniały materialne podsta-

wy do takiej gospodarki. Na Zachodzie w modzie jest mówić, że „materialne podstawy" oznaczają demokrację i skończenie z korupcją. Tymczasem choć to zapewne pożądane, wydaje się wątpliwe. Jeżeli coś należy wykorzenić, to głód czy raczej strach przed głodem. Gospodarka oparta na czymś innym niż opium mogłaby osiągnąć ten cel, ale wymagałaby długoterminowych inwestycji w odbudowę handlowej infrastruktury kraju. A to mogłoby się okazać równie kosztowne jak wojna oraz bardziej złożone, niż sugerują oklepane frazesy. Jedną z wielu trudności, jak wyjaśnił David Mansfield, jest zróżnicowanie problemu. „Traktowanie rolników uprawiających mak jako jednolitej grupy zawsze okaże się nieskuteczne"[12]. Ale indywidualne podejście jest skomplikowane i czasochłonne. W ciągu ostatnich 10 lat dokonano ważnych teoretycznych postępów w zakresie zastępczych upraw (chociaż niektóre tezy sformułowano w ledwie zrozumiałym języku), ale w momencie pisania tego tekstu perspektywy wprowadzenia ich w życie były nikłe.

Niedrogie alternatywy istnieją. W innych krajach na małą skalę wypróbowano wymuszoną eliminację upraw z powietrza oraz z poziomu gruntu. Podejście to nagłośniono i z sukcesem zastosowano w Tajlandii. W Afganistanie też podejmowano sporadyczne próby. W 2005 roku siły skierowane do niszczenia upraw spotkały się z oporem dwóch tysięcy rolników w południowym dystrykcie Maiwand. Zginął co najmniej jeden żołnierz, a „duża liczba" mieszkańców wsi odniosła obrażenia. W Kabulu rozległy się spodziewane ostre protesty. Dyskutowano też opryski z powietrza i być może je wypróbowano. Raporty o nieautoryzowanej akcji w prowincji Nangarhar zaowocowały gorączkowym śledztwem prowadzonym przez afgańskie ministerstwa rolnictwa i zdrowia. Doniesiono, że pod wpływem „niezidentyfikowa-

nych, lecz trujących chemikaliów” zniszczeniu uległy uprawy zarówno narkotykowe, jak i nienarkotykowe. Wśród mieszkańców okolicznych wiosek wykryto nasilenie „powiązanych chorób” – objawy i oznaki nie były specyficzne, lecz poważne i domagały się współmiernych odszkodowań.

Zalmay Khalilzad, ówczesny ambasador Stanów Zjednoczonych, wydał oświadczenie, w którym stwierdził, że „jacyś powiązani z narkotykami ludzie” musieli spryskać uprawy, by „wzbudzić brak zaufania i wywołać problemy między afgańskim ludem a jego sprzymierzeńcami”[13]. Prezydent Karzaj zawetował wówczas pomysł niszczenia upraw z powietrza, powołując się na troskę o zdrowie ludzi i stan środowiska. Mieszane uprawy wciąż istnieją, a poważne szkody poczynione legalnym zasiewom mogłyby w końcu uciszyć mantrę o trafianiu do serc i umysłów.

Zachodnim żołnierzom nie jest jednak łatwo ignorować ciężką woń opium unoszącą się w powietrzu podczas zbioru soku, kiedy przemieszczają się po mocno zaminowanych wiejskich drogach. Niektórzy z nich przed wstąpieniem do wojska mogli się zetknąć z heroiną. „Moja mama była narkomanką – mówi gwardzista R. – Nie miałem przez to szczęśliwego dzieciństwa. A teraz cackamy się z ludźmi, którzy robią ten towar. Niedobrze mi od tego”. Szkoleniowcy na obozach rozwodzili się nad koniecznością skończenia z narkotykowym interesem. Co w takim razie zrobić z łanami białych maków chwiejących się łagodnie na wietrze? Czy należy je zachować dla tych, których żołnierze przybyli tu chronić i dla których sami od czasu do czasu wylatują w powietrze? Takich pytań zazwyczaj unikają wpadający z wizytą pełni werwy politycy. Lecz w 2011 roku niektórzy mężczyźni i kobiety w mundurach mogą się zadumać nad wiadomością, że kraj, którego niepewne odrodzenie powierzo-

no ich nadzorowi, właśnie zwiększył swój udział w dostarczaniu heroiny do wolnego świata z 91 do 93,5%.

ROZDZIAŁ 34

Nowe szlaki, stare perypetie

Jakikolwiek będzie ostateczny wynik wojny w Afganistanie, nie sprawi, że heroina zniknie. W 1995 roku, 20 lat po tym, jak Richard Nixon wypowiedział narkotykom wojnę, Thomas Constantine, stojący na czele amerykańskiej Drug Enforcement Administration, przyznał przed Kongresem, że „dostępność i czystość (…) heroiny jest stale wysoka”[1]. I trend ten utrzymuje się. Przybliżone szacunki sytuują liczbę poważnie uzależnionych na świecie w granicach 16–20 milionów, a liczbę okazjonalnie i eksperymentalnie zażywających narkotyki ocenia się jako pięć razy większą. Nawet jeżeli plaga nie trafia na pierwsze strony gazet w jednym kraju, w innych nieustannie penetruje nowe, do tej pory wolne od niej obszary.

* * *

Historycznie Rosjanie mieli raczej słabość do wódki niż do maku[2]. Dziś na Syberii przypuszczalnie jest więcej osób uzależnionych od heroiny niż w Wielkiej Brytanii. Szczególnie chętnie sięgają po nią studenci nowych, tętniących życiem uczelni, tak jak robili młodzi ludzie w Stach Zjednoczonych i Europie Zachodniej w latach 60. XX wieku. Potwierdzają ten stan grzmiące noty adresowane przez Moskwę do środkowoazjatyckich republik oddzielających Afganistan od Rosji. „Handel heroiną jest sprzeczny z międzynarodowym prawem. Władzom nie wolno zapewniać bezpiecznych przejść, a nawet bezpiecznych przystani dla przestępczych handlarzy". Takie zabiegi dyplomatyczne jako żywo przypominają pisma, które na początku XIX wieku Niebiańskie Królestwo kierowało do Czerwonych Barbarzyńców. Podobieństwo nie wróży wielkich nadziei, tak samo jak spojrzenie na mapę. Granice ciągnące się tysiącami kilometrów wśród stepów i gór nie dadzą się patrolować, a tym bardziej uszczelnić.

Nieuniknioną koleją losu mieszkańcy Uzbekistanu, Kazachstanu, Tadżykistanu, Turkmenistanu i Kirgistanu stali się konsumentami i handlarzami. Narkotyk w tych stronach jest tani: w Oszu w południowo-zachodnim Kirgistanie wystarczy dolar i minutowy spacer o dowolnej porze dnia czy nocy, by dostać dobrej jakości działkę. Na powierzchni pieniądze płyną wartkim strumieniem, ale warstwa zamożnych osób jest cienka jak papier. Pod nią rozciąga się głęboka, rozpaczliwa nędza. W większości regionów bezrobocie wśród młodych ludzi sięga 60–80%. Tadżykistan, podobno najbardziej na świecie dotknięty plagą narkotyków, jest także najbiedniejszy, a jego 1400-kilometrowa granica z Afganistanem słynie jako bodaj najmniej szczelna. Na papierze kary przewidziane za handel narkotykami są srogie, ale tylko płotki dają się złapać, rekiny hasają na wolności. Dilerzy

sprzedający na rogach ulic zazwyczaj – jak zawsze i wszędzie – dostają zapłatę w naturze, handel uzależnia więc własne szeregi. W Uzbekistanie w półmilionowej armii uzależnionych jedną czwartą podobno stanowią dzieci, niektóre poniżej 10 lat. Szerzy się korupcja: policjanci czerpią z handlu narkotykowego środki do życia tak samo jak handlarze. Zasady rodzinne potępiają branie środków odurzających, ale stare zakazy odchodzą w przeszłość.

Przerzutowy biznes w Azji Środkowej jest obecnie wart około 15 miliardów funtów i będzie się rozrastał, dopóki ludzie będą żyli na skraju nędzy i głodu. Będzie również prowadził – jak to bywało zawsze – do rozlewów krwi. Akty przemocy, które nastąpiły po wyborach prezydenckich w Kirgistanie latem 2010 roku i wymusiły usunięcie drugiego prezydenta wybranego od czasu zyskania niepodległości, były w dużej mierze spowodowane przez narkotykową rywalizację, podobnie jak późniejsze starcia Kirgizów z Uzbekami, pochłaniające tysiące istnień ludzkich. Na tej niegościnnej ziemi ci ludzie od wieków żyli obok siebie zjednoczeni we wspólnym oporze wobec ciężkiej ręki Petersburga, a później Moskwy. Zażarte rywalizowanie o łupy z heroinowego handlu przemieniło dawne wspólne dążenia w zajadłą nienawiść.

* * *

Ale środkowoazjatyckie republiki czy nawet Syberia to jedynie przystanki na trasie przerzutu. Podobnie jak Jedwabny Szlak w średniowieczu, heroinowy szlak biegnie na zachód oraz dzieli się na południowe i północne odgałęzienie. To drugie przemierza Rosję i dociera do krajów bałtyckich, Polski i Czech. Do niedawna znaczna część towaru podróżowała koleją w zardzewiałych wagonach pasażerskich z epoki radzieckiej i nikt nie podejrzewał, że w ten sposób przez

granice przechodzi towar wart miliony. Z ośrodków dystrybucyjnych w Polsce i Czechach – prowincjonalne miasteczka z reguły wybierano chętniej niż duże miasta – heroinę kierowano dalej, do Skandynawii, Niemiec i na Zachód. Białoruś i Ukraina z ich stosunkowo dobrymi sieciami drogowymi i kolejowymi stają się tańszą i krótszą alternatywą. Przechwycenia kontrabandy, czasami prawdziwe, lecz częściej wyreżyserowane, odbywają się głównie na granicy polsko-niemieckiej. Sumy, na które przelicza się zdobycz i podaje widzom zachodnich telewizji, wyglądają jak najwyższe wygrane na loterii. Południowa trasa, bałkańska, przecina Morze Kaspijskie i biegnie na Kaukaz oraz do Turcji. Stamtąd heroinę wysyła się statkami do Grecji i Włoch albo transportuje ciężarówkami przez Macedonię, Serbię i Węgry do Austrii. Dawne stateczne uniwersyteckie miasto Graz, gdzie 100 lat temu grał na organach Anton Bruckner, przez jakiś czas było wschodnioeuropejskim ośrodkiem handlu. Ale dogodnie położony okazał się też węgierski Pecz, leżący około 250 kilometrów od Budapesztu; handel rozwija się tutaj wśród świeżo upieczonych absolwentów szkół. Zakłady poprawcze dla młodocianych pękają w szwach, ale tak samo pełne są kawiarnie, w których uzależnieni spotykają się z dostawcami. Biznesem skutecznie zawiadują głównie środkowoeuropejskie syndykaty, wciąż w dużej mierze zorganizowane na zasadzie etnicznej. Prowadzone od czasu do czasu wojny terytorialne dają okazję do wkroczenia antynarkotykowej policji, ale infiltracja pozostaje śmiertelnie niebezpieczna. Syndykaty nie lubią popełniać błędów i nie biorą jeńców. Szczególnie mrożącą krew w żyłach reputację mają Albańczycy: ich szlak jest usiany okaleczonymi ciałami domniemanych oszustów działających na dwie strony. Nie wszystkie zyski idą na zakup luksusowych jachtów dla bossów; część sfinansuje dostawy broni i mate-

riałów wybuchowych przeznaczonych do odległych zakątków świata.

* * *

Wielka Brytania, leżąca blisko zachodniego krańca szlaków, pod względem ilości spożycia od jakiegoś czasu znajduje się w czołówce, a populacja jej uzależnionych staje się coraz młodsza. Z pięciu młodych kobiet zabitych przez seryjnego mordercę w Ipswich między październikiem a grudniem 2006 roku trzy zaczęły wstrzykiwać sobie heroinę, zanim skończyły 16 lat, dwie pozostałe – przed osiemnastką[3]. Wszystkie zostały prostytutkami, żeby sfinansować swój nałóg. Ipswich to prosperująca stolica hrabstwa Suffolk, trudno je postrzegać jako gniazdo nieprawości i zapewne nim nie jest. Taka tragedia mogła się zdarzyć w którejkolwiek ze stu „dzielnic czerwonych latarni", jak pompatycznie nazywa się w miastach odcinek niechlujnej uliczki koło głównego centrum handlowego czy w pobliżu katedry. Rosną statystyki śmierci spowodowanej przypadkowym przedawkowaniem oraz samobójstw. Tymczasem w większości pozostałych krajów zachodnioeuropejskich panuje stosunkowa stabilizacja, dlaczego więc w Wielkiej Brytanii tendencja jest zwyżkowa? Nie brakuje wyjaśnień i chociaż żadne nie wydaje się w pełni przekonujące, niewątpliwie istnieje powiązanie między zażywaniem narkotyków a liczbą osób przebywających w więzieniach. Pod tym ostatnim względem Wielka Brytania zdecydowanie przoduje w Europie[4]. W niektórych zakładach karnych osadzeni rutynowo przechodzą narkotykową inicjację, nawet jeśli tylko czekają w areszcie na proces. Oficjalna odpowiedź na przeludnienie w celach brzmi: więcej więzień.

Kiedy w 1997 roku Hongkong powrócił do Chin, odbiło się to na przestępczym krajobrazie. Przed przekazaniem enkla-

wy komisja parlamentarna deklarowała: „Jesteśmy usatysfakcjonowani, że nic nie wskazuje na to, aby bazy triad miały się przenieść z Hongkongu do Wielkiej Brytanii. Słowo »triada« można w praktyce usunąć z policyjnego słownika". Rzadko się zdarza, żeby tego rodzaju deklaracje były aż tak monstrualnie błędne. Jeszcze przed 1990 rokiem angielskich i szkockich policjantów pilnie wysyłano do Hongkongu na szkolenia. Triady nie tylko zadomowiły się w Londynie, Glasgow i Manchesterze (który jako jeden z czterech ośrodków poza Chinami zyskał przydomek „Smocze Miasto"), lecz także znalazły sobie nowe, dochodowe pola działalności powiązane z handlem narkotykami. Niektóre opuszczone budynki w śródmieściach, zajęte jako squaty – gdzie po 30 i więcej osób śpi na podłodze na zmianę w jednym pomieszczeniu – stały się niejako spadkobiercami czynszówek zamieszkanych przez kulisów w XIX-wiecznym Hongkongu. I podobnie jak w starym Hongkongu heroina ma nad tymi ludźmi władzę absolutną.

* * *

Dzięki obfitemu dopływowi afgańskiej heroiny koszt jednej działki w Londynie czy Glasgow obecnie jest z grubsza porównywalny z ceną taniego biletu do kina. Mimo to brytyjski uzależniony rocznie wydaje na swój nałóg przeciętnie 20 000 funtów. Większość tych pieniędzy pochodzi z przestępstw, głównie ulicznych napaści, włamań do domów i samochodów, kradzieży w miejscach publicznych i w sklepach. To uzależnienia stoją za podkradaniem rzeczy i pieniędzy w domach, co jest strasznym problemem, ale skrywanym w rodzinach. Większość pacjentów w drogich klinikach odwykowych w Hiszpanii i Szwajcarii to młodzi Brytyjczycy. Wahania ekonomiczne, takie jak recesja, która nastąpiła po kryzysie bankowym w 2008 roku, zdają się potwier-

dzać wspomnienia z przeszłości: spożycie narkotyków zwykle wzrasta na obszarach dotkniętych największą gospodarczą zapaścią.

* * *

Podczas gdy uzależnienie wzrasta, dyskusja nad dekryminalizacją trwa i od czasu do czasu wybucha, doprowadzając do aktów werbalnej, a niekiedy wręcz fizycznej przemocy. Żaden temat z zakresu polityki społecznej nie stwarza tylu podziałów: nawet historycy, zobowiązani do bezstronności, nie potrafią podejść do niego z dystansem. Dla rodziców, których dzieci dostały się w tryby narkotyzmu, prostytucji, zbrodni, samobójstw i morderstw, pomysł o „zalegalizowaniu" narkotyków pozostanie nieprzyzwoitością. Ale czy doszłoby do tych tragedii, gdyby narkotyków już wcześniej nie wyjęto spod zakazu? Legalne przymusy i ograniczenia zawiodły – kryminalizacja niemal na pewno nie powstrzymała fali uzależnień. Jedynym wyjątkiem były komunistyczne Chiny, gdzie jednak posłużono się metodami, które nawet w dzisiejszych Chinach nie zostałyby zaakceptowane. Historia podpowiada, że antynarkotykowa legislacja zazwyczaj odnosiła skutek przeciwny do zamierzonego, ale kontrolowane eksperymenty nigdy nie były ani nie mogą być możliwe. Kluczowym argumentem zwolenników reform pozostaje niepowodzenie alkoholowej prohibicji w Stanach Zjednoczonych w latach 20. XX wieku; jednak w rzeczywistości z nadużywania alkoholu wynikają odmienne problemy niż z zażywania narkotyków. Tamta prohibicja została wprowadzona po wielu wiekach swobodnego spożywania napojów alkoholowych, zatem ten nawyk czy nałóg był głębiej zakorzeniony niż narkotyczny. I kiedy niektórzy zwolennicy reform twierdzą, że „kryminalizacja narkotyków była kompletną katastrofą", przykładają do sprawy niewłaściwą mia-

rę. W Europie Zachodniej nie uspokaja się już dzieci wyciągiem z maku. Od 84 lat w Wielkiej Brytanii nie odnotowano zgonu niemowlęcia z powodu podania opiatów.

* * *

W Europie dekryminalizację – czy raczej depenalizację – wprowadzono pioniersko w Portugalii i jak do tej pory uważa się to za sukces. Przed zmianą przestępstwa związane z narkotykami paraliżowały działanie sądów. Ponad połowa osób świeżo zakażonych wirusem HIV była uzależniona od narkotyków. Co roku 3000 uzależnionych po zrobieniu testów dowiadywało się, że ma AIDS. Dzisiaj wartości te wynoszą odpowiednio: 20% i niespełna 2000. Skala poprawy może się wydawać niewielka, ale należy na nią spojrzeć przez pryzmat przewidywań, które były katastroficzne. W większości krajów Europy Zachodniej nadal przyjmuje się za pewnik, że niezależnie od długofalowych następstw depenalizacja narkotyków doprowadzi do tymczasowego wzrostu liczby eksperymentów z prochami. W Portugalii tak się jednak nie stało i nie stanie się gdzieś indziej, jeżeli grunt zostanie właściwie przygotowany. W Portugalii uświadomiono sobie, że kara pozbawienia wolności nie przeciwdziała szerzeniu się uzależnień, tylko albo mu sprzyja, albo – w najlepszym razie – nie ma żadnego efektu. Co mogło – jedynie mogło – doprowadzić do spadku, to pewna forma traktowania. Człowiek aresztowany z powodu posiadania heroiny na własny użytek nie trafia teraz do sądu, tylko do Izby Odradzania. Ma ona siedzibę w nowoczesnym biurze, gdzie nie widać ani prawniczej togi, ani policyjnego munduru. Izba może zażądać, aby zatrzymany poddał się ocenie i terapii, ale nie może do tego zmusić. Organizatorów już na samym początku do głębi poruszyła gotowość, z jaką uzależnieni rozmawiali o swoim brzemieniu, oraz skwapliwość,

z jaką wielu z nich spróbowało leczenia. Jeszcze bardziej zaskakująca była akceptacja społeczeństwa, które uznało uzależnionych raczej za problem społeczny niż kryminalny – to ogromna zmiana w tak tradycjonalistycznym kraju o katolickich korzeniach. Najbardziej zaś zasługuje na uwagę fakt, że świadomie postawiono na głowie uświęconą przez czas zasadę, zgodnie z którą wszyscy przyłapani na przestępstwie muszą być traktowani równo wobec prawa. „Wręcz przeciwnie – powiedział pewien sędzia pokoju autorowi niniejszej książki. – Robimy teraz wszystko, co w naszej mocy, aby stosować prawo odpowiednio do każdego indywidualnego przypadku". Na przykład kogoś, kto brał narkotyki rekreacyjnie, można ukarać grzywną, ale kar pieniężnych unika się raczej w przypadkach, gdy wiązałyby się z wysokim ryzykiem popełniania przestępstw. Nie wszystkich udało się przekonać do tego pomysłu. Nawet niektórzy spośród początkowych entuzjastów teraz obawiają się, że ludzkie podejście zdejmuje z uzależnionych zbyt dużo nacisku. „Dostali czyste ubrania, odpowiednie wyżywienie i moralne wsparcie. Dlaczego mieliby się zmienić?". Nigdy jednak nie było społecznych postępów bez tymczasowych problemów.

* * *

Dyskusje toczą się w wielu innych krajach. Chile w 2005 roku zdekryminalizowało posiadanie małych ilości narkotyków na własne potrzeby użytkownika, a wcześniej to samo, tylko w mało nagłośniony sposób, zrobiły Paragwaj (1988) i Urugwaj (1998). Brazylia zmieniła swoją politykę w 2006 roku, a Argentyna w lecie 2010. Martin Acuna, sędzia z Buenos Aires i elokwentny zwolennik reform, orzekł, że ściganie i pozbawianie wolności ludzi za samo posiadanie nielegalnych substancji jest niezgodne z konstytucją.

W 2009 roku prezydenci Kolumbii i Brazylii zaapelowali o nową globalną strategię opartą raczej na względach publicznego zdrowia niż na penalizacji. Niewielu wątpi w to, że zapadalność na AIDS znacząco spadła w każdym kraju, który wypróbował liberalniejsze podejście. Ale zyski z nielegalnego handlu są zbyt duże. A tych, którzy dzielnie nie poddają się korupcji i potrafią stawić czoło ryzyku skrytobójstwa, jest garstka. W Meksyku wojna władz z rywalizującymi ze sobą narkotykowymi kartelami (zajmującymi się głównie kokainą, ale ostatnio również heroiną) dotychczas pochłonęła ponad 30 000 istnień ludzkich i w większości były to niewinne osoby postronne. Nawet w krwawych annałach narkotykowych wojen jest to rzecz bezprecedensowa.

Odpowiedzi z Europy są zmienne. W tradycyjnie pobłażliwej Holandii konopie w każdej formie od zawsze są uważane za miękki narkotyk, a ich palenie jest dozwolone tak samo w miejscach prywatnych, jak i publicznych; ale handlowanie twardymi narkotykami wykracza poza prawo. Niejeden uczciwy liberalny obywatel, zaniepokojony narkotykową turystyką – zbyt wiele wzdętych ciał pływających w kanale Herengracht – życzy sobie zaostrzenia istniejących przepisów. W Szwajcarii w zuryskim Platzspitzpark w 1987 roku obiecująco rozpoczęto eksperyment z darmowymi czystymi strzykawkami. Uzależnieni napłynęli tłumnie do parku, przynieśli własną heroinę i wstrzykiwali ją sobie otwarcie. W 1992 roku ich liczba wzrosła z kilkuset do 20 000 – stała się nie do ogarnięcia i eksperyment w jego oryginalnej formie trzeba było zatrzymać. W Wielkiej Brytanii za reformą wypowiadali się początkujący i odchodzący na emeryturę politycy, ale nie tacy, którzy aktualnie byli u władzy.

Niektóre kraje wydają się zastygłe w starych poglądach. W obecności prezydenta Miedwiediewa i premiera Putina Tatiana Dmitrijewa, wiceprzewodnicząca Międzynarodowej Izby Kontroli Narkotyków, ostatnio zadeklarowała w Moskwie: „Nie jesteśmy po to, by redukować szkody (…). Jesteśmy po to, by redukować dostawy". A minister zdrowia obiecał, że Rosja zawsze pozostanie „kategorycznie przeciwna zapewnianiu zastępczego leczenia (…). Nawet dystrybucja sterylnych igieł i strzykawek tylko stymuluje tolerancję społeczną". Metadon i inne odpowiedniki opiatów są nielegalne, serwisy wymiany strzykawek nieliczne, a programy odwykowe nie istnieją. Taka polityka prowadzi do stale rosnącej liczby osób zakażonych wirusem HIV zarówno wśród uzależnionych, jak i ogólnie wśród ludności. W kurczącym się świecie jest to zatrważający obraz[5].

* * *

W krzyżowym ogniu kontrowersji ofiarami padły zdrowy rozsądek i rygor naukowy. Oponenci reform zazwyczaj sugerują: „Powinniśmy wyciągnąć lekcję z pięciu milionów osób co roku padających ofiarą innych narkotyków, takich jak tytoń". To tak, jakby czołowi naukowcy zapewniali, że jazda konna jest niebezpieczniejsza niż ectasy. Palenie papierosów jest czynnikiem etiologicznym, ale bezpośrednio nie powoduje żadnej znanej choroby z wyjątkiem alergii na nikotynę. A ta zabija około jednej osoby na 10 lat. A jak można zmierzyć niebezpieczeństwo związane z jazdą konną albo z zażywaniem ectasy, nie mówiąc o porównaniu tych dwóch rzeczy? Ale w temacie narkotyków chwytliwe hasło często zastępuje argumenty. „Zrobić tak a tak – recytują politycy – to znaczy wysłać niewłaściwy sygnał". Co ten nonsens oznacza? Myśl, że dany odgórnie sygnał pokieruje decyzjami obywateli i ich tokiem myślenia, to spuścizna z po-

przedniej epoki. Pan Gladstone mógł w taki sposób wywierać wpływ na społeczeństwo, ale obecnie trudno o klony pana Gladstone'a.

Przeszkodą, która najbardziej blokuje racjonalną debatę, jest nieuznawanie faktu, że tak naprawdę być może nie stoimy przed wyborem pomiędzy dobrem a złem, tylko pomiędzy złem a nie-takim-znowu złem. Należy również rozważyć powiązane koszty. Choć powszechnie wiadomo, że amerykańska wojna wydana narkotykom okazała się porażką, i tak Stany Zjednoczone co roku wydają 40 miliardów dolarów na próby wyeliminowania dostaw heroiny. Kraje europejskie są mniej przejrzyste, jeżeli chodzi o finanse, ale proporcjonalnie do ich wielkości zapewne nie pozostają daleko w tyle. Ponadto Stany Zjednoczone co roku aresztują pięć milionów swoich obywateli z powodu przestępstw związanych z narkotykami, z czego zamykają w więzieniach pół miliona. Prawa narkotykowe są głównym powodem, dla którego co piąty czarny Amerykanin spędza jakiś czas za kratkami. Obecnego prezydenta kraju[6] też mógł spotkać taki los w konsekwencji nierozważnego zaciągania się w młodości. Gdyby tak się wtedy stało, nie mógłby teraz być prezydentem[7]. Koszt procedur prawnych wynikających z przestępstw związanych z narkotykami oraz koszt utrzymania w więzieniu skazanych za owe przestępstwa są niepoliczalne. Podobnie jak koszt zrujnowanego życia milionów ludzi.

Kryminalizacja jest usprawiedliwiona, jeżeli odstrasza potencjalnych przestępców i chroni niewinnych. Niewiele dowodów (o ile w ogóle są jakieś) sugeruje, że obecna legislacja spełnia oba te warunki. Co więcej, przestępstwa związane z nielegalnymi narkotykami zawsze zaliczały się do najbardziej bezwzględnych. Al Capone i jego kolesie z czasów prohibicji nie należeli do mięczaków, ale mogliby brać lekcje brutalności od tych spokojnych ludzi w garniturach, któ-

rzy obecnie prowadzą narkotykowy biznes w Wielkiej Brytanii. A ile krwi przelewa się w takich zapomnianych krajach jak Gwinea Bissau czy choćby Meksyk; od kul giną zarówno kilkuletnie dzieci, jak i prezydenci.

Na polu, na którym uczestnicy dyskusji wciąż powołują się na szczególne okoliczności, wypada szukać twardych dowodów. Na zachodnioeuropejskich i amerykańskich ulicach cena heroiny prawie się nie zmienia, co rzuca cień wątpliwości na chełpliwe zapewnienia agencji rządowych twierdzących, że połowa nielegalnych narkotyków jest obecnie przechwytywana i niszczona[8]. Nieco bardziej wiarygodne wydają się nieoficjalne, lecz dobrze poinformowane szacunki ujawniające, że 88% heroiny wysyłanej z jednego punktu w świecie do drugiego ma duże szanse na dotarcie do adresata, czasami nawet większe niż kartka świąteczna. Na poparcie oficjalnych zapewnień przytacza się argument, że nawet jeśli cena pozostaje stabilna, czystość towaru sprzedawanego na rogach ulic spada. Skoro jednak czystość oznacza bezpieczeństwo, nie ma się z czego cieszyć. Fatalne zbiory maku w Afganistanie w 2010 roku po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat doprowadziły do deficytu heroiny na brytyjskich ulicach. Nowe tanie i toksyczne domieszki sprawiają, że dożylne zastrzyki stają się niebezpieczne. Ale zaistniałe ryzyko nie wpłynęło na liczbę uzależnień. Co bodaj najważniejsze, kryminalizacja i edukacja wciąż są rozbieżne: nie można wpajać włamywaczowi, że prywatna własność jest święta, jeśli się uwięziło jego ciało. Mimo to edukacja, choćby powolna i ociężała, musi mieć najlepsze widoki na zmianę.

Najsilniejszy argument przeciwko dekryminalizacji mówi, że w ujęciu globalnym będzie ona faworyzowała bogatych, a pognębi biednych. Nawet w okresie gospodarczych trudności Portugalia mogła i może sobie pozwolić na zastąpie-

nie kar działalnością edukacyjną. Podobnie mogłaby Wielka Brytania i inne zachodnie rządy, gdyby to mądrze rozważyły. Jednak resocjalizacja uzależnionych pozostanie na końcu długiej listy priorytetów zdrowotnych w krajach walczących o przetrwanie. Zalegalizowana heroina najprawdopodobniej znacznie by potaniała, a tym samym podobnie jak tytoń i alkohol stała się dostępną ucieczką od rozpaczy. W rywalizacji z nimi przypuszczalnie odniosłaby zwycięstwo. Takiej możliwości, mimo że nie jest pewna, nie wolno lekceważyć.

Epilog

Miło by było zakończyć tę opowieść optymistyczną nutą. Wizja palącego fajkę brodatego afgańskiego rolnika, który o zmierzchu ogarnia wzrokiem pole maku ze świadomością, że uchroni ono jego rodzinę od głodu, jest prawdziwa. Młody kwitnący mak pozostaje pełen uroku jak zawsze. Ulga, jaką niosą opiaty cierpiącym na całym świecie, to nieocenione błogosławieństwo. Przytoczone w tej książce pochwały, którymi obdarzali mak poeci, muzycy i pisarze minionych epok, miały swoje uzasadnienie. Jednak takie zwieńczenie opowieści graniczyłoby z nieuczciwością. Opium i jego pochodne wciąż są śmiertelnym zagrożeniem. Żaden inny lek czy narkotyk tak podstępnie i urzekająco nie wypacza rzeczywistości. Żaden nie przyciąga ludzi tak nieodparcie. Żaden nie wzbudza takiej pogardy. I żaden nie wyniszcza tak doszczętnie. Spory zwolenników karalności i orędowników

depenalizacji wciąż odbijają się szerokim echem i wydają się niemożliwe do rozstrzygnięcia. Ta kontrowersja nigdy nie była polityczna ani gospodarcza. Dotyczy zdrowia, ale nie jest w głównej mierze medyczna. Nie daje i nigdy nie dawała prostego wyboru pomiędzy dobrem a złem. Mimo to wzbudza żywiołowe reakcje. Dla milionów ludzi miłość do narkotyku pozostaje przemożna. Podobnie jak nienawiść. Tej pierwszej nie przygaszą żadne argumenty. Tej drugiej nie przytłumią statystyki. A ci, którzy tkwią w uścisku, pośrednio czy bezpośrednio, wciąż cierpią i umierają.

Jednak jednolicie ponury obraz też nie byłby usprawiedliwiony. Świat robi ważne kroki w kierunku skutecznych programów odwykowych. W świetle odkryć laboratoryjnych lepiej rozumiemy dziś naturę uzależnień niż pół wieku temu. W praktycznej polityce ostatecznie może przeważyć zdrowy rozsądek: zło być może zostanie zastąpione mniejszym złem. Za wcześnie jeszcze, żeby przewidzieć inne możliwe postępy. Naukowcy stymulują mikroorganizmy, aby syntetyzowały morfinę, tak jak już syntetyzują hormony. Ta technologia może zwiastować koniec 10 000 lat historii, położyć kres uciążliwej uprawie maku, zapoczątkować laboratoryjne wytwarzanie jego soku i ekstrahowanie magicznej esencji – być może będzie to kolejny krok człowieka ku gwiazdom.

Podziękowania

Czy istnieje coś takiego jak opiumowy nudziarz? Jeśli tak, moja rodzina z anielską cierpliwością znosiła wyjątkowo zjadliwy okaz. Właściwie podsycała jego obsesję na sto jeden sposobów. Bez Liz nie byłoby tej książki. Charlotte prowadziła mnie przez mało znane (dla mnie), lecz interesujące peryferie angielskiej literatury oraz dzieliła się ze mną swoimi spostrzeżeniami i uprzedzeniami. Richard taktownie poprawiał mnie w moich pisarskich niepewnościach. Michael był moim niezwykle wytrwałym źródłem informacji w zakresie klasycznego piśmiennictwa, a Letty przyciągnęła moją uwagę do kilku niesamowicie nudnych, ale ważnych książek. Próbowała też, czasami niemal z sukcesem, na bieżąco zaznajamiać mnie z postępami medycyny XXI wieku dotyczącymi narkotyków.

Przyjaciele, pacjenci i uzależnieni, którzy mi pomagali, są zbyt liczni, bym wymienił każdego z osobna, ale muszę szczególnie podziękować przynajmniej kilku. Najhojniejsi w przedstawianiu swoich osobistych wrażeń byli Joe, Mike i Tessa. George Watts przekazał mi wiele informacji i wiedzy z zakresu chirurgii. John Zieger, daleki kuzyn, zawsze znajdował się blisko, kiedy potrzebowałem rady, pomocy i konstruktywnego krytycyzmu. Ian Douglas-Wilson, stary przyjaciel i świetny były wydawca „Lanceta", jak zawsze okazał się wspaniałym słuchaczem i krytykiem. Cicely Saunders i Adrian Tookman nauczyli mnie wszystkiego, co wiem o opiece paliatywnej. Jestem wdzięczny doktor Judith Zerkowitz za udzielenie mi użytecznych informacji o Gézie Csáthu oraz szacownym węgierskim chemiku i wynalazcy Jánosu Kabayu. Miklos Ghyczy przesłał mi cenny materiał z Niemiec. Ted Chapman był moim głównym źródłem informacji o farmaceutycznych aspektach nowoczesnej produkcji opiatów i wskazał mi ważne odkrycia. Jestem ogromnie wdzięczny im wszystkim.

Wspaniała sztuka kreatywnego edytorstwa w dzisiejszych czasach odchodzi już w przeszłość. Na szczęście wciąż pozostaje żywa w londyńskim wydawnictwie Yale University Press. Rachael Lonsdale nie tylko przede wszystkim zasugerowała mi napisanie tej książki, lecz także wspaniałymi zabiegami redakcyjnymi w wielkim stopniu przyczyniła się do jej udoskonalenia. Jestem jej dogłębnie wdzięczny. Gorące podziękowania kieruję też do przyjaciółki i wydawcy Heather McCallum za niesłabnące wsparcie, zachętę i krytycyzm. Adiustacja w wykonaniu Beth Humphries była znakomita.

Dla technologicznie zapóźnionego pisarza postawionego przed nowymi systemami komputerowymi cierpliwość, przyjazne podejście i specjalistyczna wiedza obsługi biblio-

tecznej z Royal Society of Medicine, Wellcome Medical Historical Library i British Library stanowiły nieocenioną zaletę. Dziękuję Wam z całego serca.

Moje ukochane rodzeństwo, będące adresatami dedykacji tej książki, Daisy i John, jest w całości odpowiedzialne za wszelkie błędy, potknięcia, literówki i mylne interpretacje zawarte w tym tekście. [Powyższe żartobliwe zdanie zostało napisane, zanim Daisy umarła w marcu 2011 roku; ale w moim sercu i umyśle pozostaje tak żywa, że pozostawiam je w pierwotnym brzmieniu].

Przypisy autorskie

Wstęp

[1] Doktor Fu Manchu – postać z brytyjskich powieści, komiksów i filmów, geniusz zła. (Przypisy dolne, jeśli nie oznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

[2] Cicely Saunders (1918–2005) – brytyjska lekarka, założycielka Hospicjum św. Krzysztofa w Londynie, uważana za twórczynię nowoczesnej medycyny paliatywnej.

1. Skamieniałe bułeczki

[1] Od tamtej pory w górskich jeziorach odkryto wiele takich wiosek, nie tylko w Szwajcarii, lecz także w tak odległych krajach jak Hiszpania i Słowacja, ale Meilen było pierwsze. Zob. F. Keller, *The Lake Dwellings of Switzerland* (London, 1866).

[2] Odkrycie nadjeziornej wioski rozbudziło szwajcarską dumę narodową. Diorama zamówiona przez rząd federalny w Bernie była główną atrakcją Szwajcarskiego Pawilonu podczas Wystawy Światowej w Paryżu w 1867 roku.

[3] Nazwę naukową *Papaver somniferum* nadał opiumowemu makowi Linneusz w swoim wielkim dziele *Genera plantarum*. Starożytne określenie może być także źródłem nienaukowych nazw, takich jak angielskie *poppy* czy węgierskie *pipacs*. Słowo „opium” pochodzi od greckiego *ὄπιον*, oznaczającego mak, oraz *ὀπός*, odnoszącego się do soku roślinnego w ogóle.

[4] Papirusy pochodzą z około 700 roku przed naszą erą, ale obejmują wiedzę i informacje przekazywane z pokolenia na pokolenie przez 2000 lat. Smith nabył oba

zabytki w 1862 roku. Dobrze sobie radził i zgromadził niemałą fortunę, sprzedając swoje udatne podróbki wczesnym turystom podróżującym w górę Nilu w ramach zorganizowanych wycieczek agencji Thomasa Cooka – wiele wytworów Smitha stanowi obecnie ozdobę prestiżowych kolekcji na całym świecie. Gdy zmarł w 1906 roku, jego córka podarowała papirus Smitha Nowojorskiemu Towarzystwu Historycznemu.
W 1930 roku ukazało się wspaniałe wydanie – faksymile z transkrypcją i tłumaczeniem Jamesa Henry'ego Breasteda oraz medycznymi adnotacjami doktora A.B. Luckhardta.

[5] Papirus Ebersa podobno został znaleziony między nogami jakiejś mumii w tebańskiej nekropolii. Za życia Ebersa często przypisywano mu odkrycie tego dokumentu, a on nie śpieszył się ze skorygowaniem schlebiającego mu nieporozumienia. Pod koniec kariery akademickiej odnosił sukcesy jako autor dziecięcej literatury przygodowej osadzonej w starożytnym Egipcie; szczególnie trzyma w napięciu opowieść *Die Nilbraut* („Narzeczona Nilu"), w której krytycznym epizodem jest odurzenie wywołane makowym sokiem. Papirus Ebersa omówiono w książce *Der Papyrus Ebers. Die grösste Buchrolle zur Heilkunde Altaegyptens* autorstwa R. Scholla (Leipzig, 2002).

[6] Opium nie wpływa zauważalnie na ostry ból wywołany zabiegiem chirurgicznym, ale może sprawić, że okresy okołooperacyjne będą mniej stresujące, a nawet – w jakiś tajemniczy sposób – że sama operacja stanie się bardziej znośna. Możliwość korzystania z opium podpowiada, że neolityczne znaleziska ze śladami po trepanacji czaszki wydają się nieco mniej makabryczne niż na pierwszy rzut oka. Nowe przyrosty kości wokół krawędzi otworów wskazują na to, że pacjent żył po zabiegu jeszcze co

najmniej przez kilka miesięcy. Takie przeznaczenie makowych bułeczek z nadrzecznej osady wydaje się bardziej prawdopodobne niż spożywanie ich przy herbatce w epoce kamienia.

[7] Ten sposób nadal praktykowano w niektórych częściach Europy Środkowej jeszcze na początku XX wieku.

[8] Okres ten pod pewnymi względami był podobny do intelektualnego fermentu w XIX-wiecznej Europie Zachodniej.

2. Magiczne wysączenie

[1] Przypadkowy gość, który znalazłby się na polu makowym w porze zbierania opium, mógłby pod wpływem wdychanego powietrza nagle poczuć się senny – podobnie jak Dorotka w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz* – ale nie miejscowy pracujący przy maku rolnik.

3. Dar bogów

[1] Księga IV, wers 219 *Odysei* Homera. Pochodna opium o tej nazwie przetrwała w brytyjskiej farmakopei aż do połowy XX wieku.

[2] Chodzi o Pliniusza Starszego (wuja Pliniusza Młodszego, znanego z pisania listów), admirała, cesarskiego administratora i wszechstronnego uczonego. Niezaspokojona ciekawość trzymała go w Pompejach podczas wybuchu Wezuwiusza w 79 roku naszej ery, gdzie zginął, przypuszczalnie uduszony wulkanicznymi wyziewami, w wieku 56 lat.

[3] Pindar, *Ody pytyjskie*, 3.1.

[4] Homer, *Iliada*, XI, 847.

[5] Podobnie jak opis działania napoju Lotofagów wychwalanego przez lorda Alfreda Tennysona 2000 lat później. Tennyson nie pochwalał nawyku czy nałogu zażywania opium u licznych swoich przyjaciół, ale w jego

poetyckiej rekonstrukcji tamtej historii pobrzmiewa nostalgia.

[6] Doceniali go również dawni wrogowie. Pomnik, który dla Hannibala wzniósł w tym miejscu rzymski cesarz Septymiusz Sewer, wciąż stał w XI wieku, gdy podziwiali go pierwsi krzyżowcy. [Septymiusz Sewer sam pochodził z terenów dawnej Kartaginy, być może z rodziny o rodowodzie punickim, toteż Hannibal był dla niego nie tyle dawnym wrogiem, ile rodakiem – przyp. tłum.].

[7] W końcu Neron postarał się jej pozbyć – najpierw próbował ją utopić w dziurawej łodzi, ale dzielnie dostała się wpław na brzeg, a potem, bardziej skutecznie, skorzystał z usługi płatnych morderców.

[8] *The Banquet of Xenophon*, tłum. [z greckiego na angielski] James Wellwood (London, 1750), księga II; 24.

[9] Edward Gibbon (1737–1794) – brytyjski historyk, autor monumentalnej monografii *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* (1776–1789).

[10] Wergiliusz, *Eneida*, VI.

[11] Fragment księgi VI z *Eneidy* Wergiliusza, w tłumaczeniu Tadeusza Karyłowskiego.

[12] Wergiliusz, *Georgiki*, I, 77–8

[13] Wergiliusz, *Georgiki*, II, 14–16.

[14] Owidiusz, *Fasti*, IV, 661–662.

[15] Owidiusz, *Sztuka kochania*, III, 647–648.

[16] Kto był ojcem Triptolemosa, nie wiadomo, poszczególni klasyczni autorzy przypisują ojcostwo różnym śmiertelnym herosom. Platon później awansował go na jednego z sędziów osądzających zmarłych w podziemnym świecie.

[17] Na wszelki wypadek jednak Ludwik XV wydał zakaz sprzedawania nasion holenderskiego maku. Prawo to utrzymywało się w kodeksie aż do 1926 roku.

[18] Słynny watykański fresk Rafaela *Szkoła Ateńska* ukazuje go tuż obok Arystotelesa.

[19] Dzieło Teofrasta *De historia plantarum* zawiera opisy 550 gatunków roślin, zebranych z terenów od Hiszpanii po Indie. Autor zmarł w 287 roku przed naszą erą.

[20] Opis działania opium Teofrast zawarł w swoim drugim wielkim dziele, *De causis plantarum*. W średniowieczu popadło ono w zapomnienie, ale po ponownym odkryciu w okresie renesansu zainspirowało utworzenie pierwszych ogrodów botanicznych we Włoszech i Francji. Maki były ulubionymi kwiatami Lukrecji Borgii.

[21] Lucian, *True Story*, [w:] tom I, *Works*, s. 337 [z tłumaczeniem na angielski A.M. Harmona] (Cambridge, Mass. and London, 1961).

[22] Choć w średniowieczu była rzadko czytywana, w 1528 roku ukazała się pod tytułem *De re medicina* jako jedna z pierwszych drukowanych książek medycznych i szybko doczekała się licznych kolejnych wydań.

[23] W mało której książce autorzy potrafili podsumować złożoność ostrego zapalenia w czterech dźwięcznych słowach: *dolor* (ból), *rubor* (zaczerwienienie), *tumour* (obrzęk) i *calor* (gorąco, podwyższona temperatura). Thomas Sydenham 1600 lat później dodał *functio laesa* (zaburzenie funkcji tkanki).

[24] Celsus, *De medicina* [trzytomowe wydanie z tłumaczeniami W.G. Spensera], tom II, s. 230.

[25] W przeciwieństwie do dzieł wielu współczesnych mu pisarzy, znacząca część twórczości Galena przetrwała upadek cesarstwa zachodniorzymskiego i była dostępna dla islamskich tłumaczy w IX i X wieku.

[26] Cytat za: V. Nutton [red.], *Galen: Problems and Prospects* (London, 1981), s. 56.

[27] Termin ten (ang. *carotid*) wywodzi się z greckiego *καρωτικός*, ogłupiać, i *καρότώιδεζ*, tętnice szyjne. Rufus z Efezu wyjaśnia: „Starożytni nazwali tętnice szyjne w ten sposób, ponieważ uważali, że kiedy się je mocno uciśnie, zwierzę robi się ospałe”. Starożytni mieli rację, a ich obserwacje stosują się również do ludzi.
[28] Cytat za: Nutton, *Galen*, s. 63.

4. Konkurencyjne mikstury

[1] Z jakiegoś powodu dzieło nie od razu zyskało szerokie uznanie i autor zmarł stosunkowo nieznany. Urtekstową wersją jego pracy jest pięknie ilustrowany *Codex Anicia*, na początku VI wieku naszej ery złożony w prezencie Julianie Anicii, córce cesarza zachodniorzymskiego Aniciusa Olibriusza.
[2] Rośliny psiankowate były standardowym składnikiem „premedykacji”, zanim wynaleziono znieczulenie ogólne, ponieważ pomagały osuszyć wydzieliny w jamie ustnej i drogach oddechowych. Atropina (otrzymywana z pokrzyku wilczej jagody, kolejnej rośliny psiankowatej) nadal jest stosowana w okulistyce do czasowego blokowania zwężania źrenicy.
[3] Być może polskie słowo „podchmielony” początkowo nie oznaczało lekkiego upojenia alkoholowego, tylko oszołomienie oparami chmielu.
[4] Obecnie napady królewskiego szaleństwa przypisuje się – na podstawie wyjątkowo nikłych dowodów – porfirii ostrej przerywanej.
[5] Cytat za: V. Robinson, *Victory over Pain* (London, 1947), s. 17.
[6] W starożytnej łacinie nazywany cicuta, podobnie jak szalej jadowity (*Cicuta virosa*).
[7] I. Benedek, *Mandragora*, 2 tomy (Budapest, 1962).

[8] Dziś takie oświadczenie poczynione w odniesieniu do poważnego dzieła medycznego mogłoby spowodować uniesienie brwi.
[9] C.J.S. Thompson, *The Mystic Mandrake* (London, 1973), s. 71.
[10] Cytat za: A. Maday, *Romai orvostudomány* [„Rzymska medycyna”] (Budapest, 1936), s. 98.

5. Affyon

[1] Jako stolica Abbasydów Bagdad zastąpił Damaszek i przyćmił Ktezyfon, byłą stolicę imperium perskiego, położoną 30 kilometrów na południowy wschód. Harun al-Raszyd zmarł w 809 roku, mając 43 lata. Karol Wielki zmarł w 814 roku w wieku 72 lat. Władcy wymienili się pozdrowieniami i prezentami. Kalif wysłał do kraju Franków dwa słonie, które dotarły do Akwizgranu w ciągu 14 miesięcy.
[2] Dopiero w VIII wieku zgromadzenia religijne zaczęły przechowywać klasyczne zwoje, ale w obrębie ich zainteresowania znajdowały się głównie teksty religijne.
[3] Byli lepiej opłacani i cieszyli się większą estymą niż tłumacze kiedykolwiek przedtem i potem.
[4] Starannie złożone liście miejscowych palm tworzyły opakowanie niemal niemożliwe do podrobienia gdzie indziej.
[5] Na Zachodzie w tych ciemnych wiekach jedyną międzynarodową walutą były święte relikwie.
[6] W tym kamforę, gałkę muszkatołową, strączyniec, kwiat muszkatołowy, owoc tamaryndowca, mannę i imbir. Wielu składników nie daje się dziś łatwo zidentyfikować.
[7] Jak sam to ujął, żył „szeroko, nie długo”.
[8] W tym Kręgu Dante wypatrzył wielkich ludzi, którzy – podobnie jak jego przewodnik Wergiliusz – „są niewinni

grzechu; / jednak jako że brak im chrztu, nie zasługują / na łaskę zbawienia, są więc potępieni na wieki". W tym smutnym miejscu poeta rozpoznaje Dioskurydesa, „uczonego ziołowych esencji", a także Hipokratesa, Galena i Awicennę. Lekarze dzielą to miejsce wiecznego pobytu z niemedycznymi osobistościami jak: Sokrates, Platon, Diogenes, Hektor, Eneasz, Seneka, Orfeusz, Brutus Starszy, Homer, Horacy, Owidiusz i Juliusz Cezar. Przedziwna zbieranina: nie licząc wspólnego wzdychania, o czym mogli rozmawiać?

[9] Cytat za: S.M. Soheil, *Avicenna, his Life and Work* (London, 1958).

[10] O. Cameron Gruner, *A Treatise on the Canon of Avicenna* (London, 1930).

[11] Ibid., s. 342.

[12] W swojej chałturniczej pracy literackiej nie silił się na wysokich lotów poezję. Arabscy uczeni krytykują styl Awicenny jako „przeciążony nowo ukutymi wyrazami", ale chwalą jego precyzję. W swoich pracach naukowych też nie popisywał się arystotelesowską magią.

[13] Pewien angielski „doktor fizyki" zabawiał towarzyszy pielgrzymujących wraz z nim do Canterbury, chwaląc się, że przeczytał wszystkie dzieła wielkiego Persa. [„Był to lekarz naprawdę doskonały. Poznawszy przyczynę i źródło dolegliwości, wnet aplikował choremu lekarstwo. (…) Znał dobrze Eskulapa i Deskurydesa, a także Rufusa, starego Hipokratesa, Haliego, Galena, Serapa, Rhazesa, Awicennę, Aweroesa, Jana z Damaszku, Konstantyna, Bernarda, Gatesdena i Gilbertyna" – przeł. Jarek Zawadzki].

[14] Cytat za: W.H. Grohlman, *The Life of Ibn Sina* (London, 1930), s. 56.

[15] Majmonides urodził się w 1135 roku, a zmarł w wieku 69 lat.

[16] Saladyn, znany w muzułmańskim świecie jako Wielkoduszny, obalił nieskutecznie rządzącą Egiptem dynastię Fatymidów i ostatecznie został sułtanem. Zmarł w Damaszku w 1193 roku, mając 56 lat.
[17] Maimonides, *Correspondence*, [red.] I. Twersy (New York, 1972), s. 357.
[18] Cytat za: R. Weiss i C. Butterworth [red.], *The Ethical Concepts of Maimonides* (New York, 1975), s. 193.
W cynicznym ujęciu – taka postawa sprawia, że publiczne okazywanie smutku w krajach muzułmańskich lepiej się sprzedaje w telewizji niż reakcje Anglosasów na porównywalne katastrofy.
[19] Jeszcze w 1979 roku ajatollah Chomejni oświadczył, że wino i inne napoje alkoholowe są nieczyste pod każdym względem, ale opium używane dla celów medycznych – bynajmniej.
[20] Taki szpital nazywano *maristan*. Oficerowie armii napoleońskiej, kiedy okupowali Egipt, nie mogli się nadziwić łagodności, z jaką w tych placówkach traktuje się obłąkanych (gen. J.-P. Bertrand, *Mémoires*, Paris, 1836, s. 47).
[21] Cytat za: D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood: The Story of Opium* (New York, 1981), s. 42.
[22] Cytat za: ibid., s. 38.

6. Nasenna gąbka

[1] Nawet najbardziej zachłanni obywatele Wenecji czuli, że część skarbu należy przekazać na dobre cele. Dlatego założono Scuole Grandi – instytucje wbrew nazwie charytatywne, nie edukacyjne.
[2] Ostatecznie atakujących poprowadził sam doża Enrico Dandolo, wówczas 90-letni i ślepy. [Ślepa była też jego

nienawiść; wzrok stracił wiele lat wcześniej właśnie w Konstantynopolu – przyp. tłum.].

[3] Był to ten moment w historii Wenecji, który przyciągnął uwagę i wyobraźnię tego, kto wymyślił opowieść o kupcu weneckim Antoniu i Shylocku z jego funtem ciała. Zanim Szekspir zdążył opracować ten temat, ów moment przeminął.

[4] I tak pozostało do dziś.

[5] Tę czynność często ilustrowano w średniowiecznych kodeksach. Przesąd przypuszczalnie wziął się z nieco antropomorficznego kształtu korzenia, z grubsza podobnego do małego człowieczka, który w dzisiejszych czasach kieruje ludzi szukających ulgi do męskiej toalety.

[6] Szekspir wspomina ją siedem razy, o maku zaś pisze tylko dwukrotnie.

[7] Pomysłowe, sprytne pakowanie było szeroko znanym osiągnięciem i wizytówką weneckich domów kupieckich.

[8] N.G. Siraisi, *Medieval and Early Renaissance Medicine: An Introduction to Knowledge and Practice* (Chicago, 1990); R. Porter, *The Greatest Benefit to Mankind* (London, 1997).

[9] B. Lawn, *The Salernitan Questions: An Introduction to the History of Medieval and Renaissance Problem Literature* (Oxford, 1963); P.W. Cummins, *A Critical Edition of 'Le Regime Tresutile et Toututilisable pour Conserver et Garder la Santé du Corps Humaine* (Chapel Hill, NC, 1976).

[10] Najpopularniejszy angielski przekład wyszedł spod pióra sir Johna Haringtona, który był dworzaninem króla Jakuba I i wynalazcą spłukiwanej toalety. Napomnienia stworzonych przez niego wspaniałych postaci, doktorów: Milczka, Diety i Wesołka, to skarbnica zdrowego rozsądku. Bramą do szczęśliwego życia ma być umiarkowanie.

Melancholia i zaparcia sprowadzają smutek. Na tę pierwszą najlepszym środkiem zaradczym jest makowy sok, „bez względu na jego koszt”; i zaiste król, z natury podejrzliwy, nigdy nie podróżował bez tego specyfiku. Smak mikstury poprawiano miodem i winem. Przekład Haringtona w 1920 roku przedrukował P.I. Hoeber z Nowego Jorku, a następnie w 1970 roku – A.M. Kelley pod tytułem *The School of Salernum, Regimen Sanitatis Salernitanum. The English Version by Sir John Harington with a History of the School of Salernum by Francis R. Packard, M.D. and a Note on the Prehistory of the Regimen Sanitatis by Fielding H. Garrison, M.D.*

[11] Theodoric, *Chirurgica*, tom IV, cytat za: A.S. Ellis, *Ancient Anodynes* (London, 1936). Wynalazek przeżyje renesans 700 lat później: 30 marca 1842 roku doktor Crawford Williamson Long, miejski lekarz w Jefferson, w amerykańskim stanie Georgia, spryskał eterem siarczanym zgniecioną chusteczkę do nosa (w ten sposób stała się ona bezpośrednią potomkinią nasennej gąbki) i trzymał ją przed nosem pana Jamesa Venablesa, któremu trzeba było usunąć guz szyi. Pan Venables szybko zapadł w sen, a po przebudzeniu nie odczuwał ani nie pamiętał nic z zabiegu. Tak narodziło się ogólne znieczulenie.

[12] Kwas octowy (stężony ocet) mógł być czasami skuteczny. W ciele ulega reakcjom, których produktem jest między innymi dwutlenek węgla, a ten pobudza ośrodek oddechowy w mózgu.

[13] Grupa acetylowa, -COOH, w którą obfitują soki owocowe, stosunkowo łatwo przenosi się z jednej substancji na drugą. Acetylacja na papierze może się wydawać niewielką zmianą, ale w realnych warunkach drastycznie wpływa na biologiczne właściwości substancji.

[14] Chodzi o reakcję chemiczną, w której Heinrich Dreser w 1898 roku zmieni morfinę w heroinę. Zob. rozdział 22.
[15] Fragmenty tej książki niemal dosłownie przytaczano jeszcze w *Captain's Handbook* (podręczniku kapitańskim), wydawanym przez brytyjską Admiralicję dla kapitanów Królewskiej Marynarki Wojennej za czasów Nelsona.
[16] E. Nicase [red. i tłum.], *La grande Chirurgie de Guy de Chauliac, compose en l'an 1363* (Paris, 1890), s. 436. Bogato ilustrowany oryginał znajduje się w paryskiej Bibliotece Narodowej.
[17] De Chauliac zmarł w 1370 roku, mając 63 lata.
[18] Niepokój (*anguor animi*) towarzyszący chorobie niedokrwiennej serca, dawniej nazywanej dusznicą bolesną lub dławicą piersiową (*angina pectoris*), nieraz dodatkowo pogarsza dolegliwości. Za pomocą morfiny można przerwać to błędne koło.
[19] Zob. T. Dormandy, *The Worst of Evils* (London, 2006).
[20] Epidemia objęła również Europę Północną i Wschodnią, a wolne od niej były jedynie izolowane enklawy w Pirenejach i w okolicy Mediolanu oraz ziemie polskie (pod rządami Kazimierza Wielkiego).

7. Większy niż Celsus?

[1] Termin może pochodzić od greckiego *λαδανον* (*ladanon*), krzewu rosnącego na Bliskim Wschodzie, ale raczej nie od łacińskiego *laudo*, „wychwalam". Wspomniany krzew znany był Pliniuszowi i być może kiedyś uchodził za źródło opium. Michael Scott użył tego słowa w 1200 roku w odniesieniu do ciężkiego, usypiającego zapachu, przypuszczalnie wydawanego przez mak, ale nazwa się nie przyjęła aż do czasu, kiedy wynalazł ją czy raczej odświeżył Paracelsus.

[2] Takie przybrane imiona były humanistyczną manierą, nie dziwniejszą niż inne ówczesne i dzisiejsze kaprysy mody.
[3] Cytat za: W. Pagel, *Paracelsus. An Introduction to Philosophical Medicine in the Era of the Renaissance* (London, 1982), s. 134.
[4] Ibid., s. 187.
[5] Johannistag [dzień świętego Jana] był w Bazylei świętowany tak, jak w Norymberdze za czasów Wagnera.
[6] J. Jacobi [red.], *Paracelsus, Selected Writings* (London, 1951), s. 267.
[7] Ibid., s. 325.
[8] Nie przypuszczał, że pewnego dnia zdołają połączyć te dwie rzeczy w jedno.
[9] „Olejem witriolu" średniowieczni europejscy alchemicy nazywali kwas siarkowy; dawna polska nazwa – witriol, olej szklany. Pod nazwą „siarkowy eter" może się kryć etyl siarczanu lub eter dietylowy, powstający z alkoholu etylowego pod wpływem działania nań stężonym kwasem siarkowym, czyli właśnie witriolem.
[10] W. Pagel., *Paracelsus*, s. 252.
[11] Ibid., s. 342.
[12] J. Jacobi, *Paracelsus*, s. 452.
[13] Skrupuł aptekarski – jednostka masy równa jednej dwudziestej czwartej uncji.
[14] Ibid., s. 468.
[15] Zob. A.G. Debus, *The English Paracelsians* (New York, 1966).
[16] W 1982 roku książę Walii Karol stwierdził przed publicznością zebraną na konferencji Brytyjskiego Towarzystwa Medycznego, że lekarze „dobrze by wyszli na tym, gdyby poważali zasady, w które wierzył Paracelsus, ponieważ jest w nich przesłanie dla naszych czasów, gdy

nauka i medycyna zupełnie oddzieliły się od natury (…)". Naraził się na lodowate spojrzenia i nie sprecyzował, jakie by to miało być przesłanie. Za sięganie do „ludowej mądrości" chwalili Paracelsusa niemieccy naziści, ale nie można go przecież winić za ich idiotyzmy.

[17] Christopher Wren, wówczas 35-letni, wielką karierę architektoniczną miał jeszcze przed sobą. [Jego najsłynniejsze dzieło to katedra św. Pawła w Londynie – przyp. tłum.].

[18] Zob. L. Jardine, *Ingenious Pursuits: Building the Scientific Revolution* (London, 1999).

[19] Zob. T. Dormandy, *The Worst of Evils* (New Haven i London, 2006), s. 93.

[20] Rzadko mylił się całkowicie. Mimo postępów w neuronaukach do tej pory nie znaleziono żadnego innego usytuowania duszy ani też nie przypisano szyszynce żadnej wyraźnie określonej roli w organizmie.

[21] Thomas Sydenham (zob. następny rozdział), gorliwy wielbiciel Cervantesa, napisał, że *Don Kichot* to „najlepszy traktat, z którego można się uczyć medycyny".

[22] Kwestię tę porusza artykuł: F. Lopez-Munoz, P. Garcia-Garcia i C. Alamo, *The virtue of that precious balsam: approach to Don Quixote from the psychopharmacological perspective*, „Actas Españolas Psiquiatria", 2007 (35) 19.

[23] Książę elektor lubił zwierzęta i wolał, żeby eksperymenty wykonywano na więźniach w zamian za darowanie im części wyroku.

[24] Bethlen zmarł w 1629 roku, mając 49 lat. G. Halász, *Erdély Története* [„Historia Siedmiogrodu"] (Budapest, 1932), s. 68.

[25] Thomas Browne (1605–1682) – angielski lekarz, pisarz i uczony.

[26] Sir T. Browne, *Works*, [red.] H. Robbins, 2 tomy (Oxford, 1986), tom II, s. 342.
[27] Robert Burton (1577–1640) – autor erudycyjnego traktatu *The Anatomy of Melancholy*.
[28] R. Burton, *Anatomy of Melancholy*, [w:] *Works*, [red.] T.E. Faulkner, N.K. Kiesling i R.L. Blair, 3 tomy (Oxford, 1989–1994), s. 343.
[29] John Dryden (1631–1700) – angielski poeta i dramaturg.
[30] J. Dryden, *Selected Poems*, [red.] Hopkins (London, 1998), s. 256. Jeszcze bardziej raniąco (i celnie trafiając w pamięć) Dryden wykpił Shadwella jako „ostatniego wielkiego proroka tautologii" oraz „Reszta w jakiś sposób unika bezsensu, / Lecz Shadwell nigdy nie zbacza w stronę sensu".

8. Tynktura i proszek

[1] Ale nawet biedna mała dziewczynka ma na nogach szyny, mocno sugerujące wrodzony syfilis.
[2] W czasach, kiedy gorączka reumatyczna w dzieciństwie była powszechna, jedno z powikłań – nieskoordynowane, mimowolne ruchy spowodowane zaatakowaniem ośrodkowego układu nerwowego – nazywano pląsawicą Sydenhama. [Wśród laików bodaj bardziej znana była nazwa „taniec św. Wita" – przyp. tłum.].
[3] Jeden z jego braci zginął w bitwie, drugi zajmował ważne stanowiska w rządzie Cromwella.
[4] Utrzymywał przyjazne stosunki z wieloma czołowymi intelektualistami tamtych czasów, w tym z Johnem Lockiem, który sam był lekarzem, choć nie praktykował w tym zawodzie.
[5] Pierwsze wydanie jego dzieł wszystkich, *Opera omnia*, ukazało się w 1683 roku. Sydenham Society opublikowało

tłumaczenie na angielski w dwóch tomach, autorstwa doktora Greenhilla, z życzliwie napisanym biograficznym wprowadzeniem doktora R.G. Lathama. Krótką biografię z wyjątkami z prac Sydenhama pod redakcją K. Dewhursta wydano w 1966 roku.

[6] T. Sydenham, *Collected Works*, tłum. doktor Greenhill, 2 tomy (London, 1884), tom II, s. 34. Laudanum jest często określane słowem „roztwór". Tak naprawdę jednak opium nie rozpuszcza się ani w alkoholu, ani w wodzie, a słynny płyn Sydenhama był starannie spreparowaną zawiesiną (jak majonez, tylko bardziej rozcieńczoną). Trudno jest przygotować stabilną i dobrze rozproszoną zawiesinę, stąd rozmaita jakość i cena laudanum na przestrzeni 200 lat.

[7] Ibid., tom I, s. 345.

[8] W gruncie rzeczy stanowił, że wyznanie – katolickie czy protestanckie – ludności danego regionu lub kraju ma być takie, jakie wybierze władca: *cuius regio, eius religio*. Odnosiło się to zarówno do 300 malutkich księstewek, na jakie podzielone były wówczas Niemcy, jak i sporych królestw, jak Francja.

[9] Podczas wojen religijnych prześladowano i palono na stosach na bezprecedensową skalę zarówno heretyków, jak i czarownice, i to po obu stronach konfliktu religijnego. Tylko Huldrych Zwingli z Zurychu obwieścił, że czarownice nie istnieją.

[10] Walki nie ustały po zawarciu traktatu wersalskiego, ale w porównaniu z religijnymi pożogami, kampanie dynastyczne w XVIII wieku były profesjonalnie przeprowadzonymi, a nawet eleganckimi sprawami, w których ludność cywilna ucierpiała stosunkowo mniej.

[11] Główne dziedziny sztuki baroku, w tym architektura, stały się wspaniałymi potwierdzeniami wiary religijnej; ale

byłoby niestosownie tę samą miarę przykładać do rozwoju takich „pomniejszych” dziedzin jak wytwarzanie porcelany.

[12] T. Dover, *The Ancient Physician’s Legacy to his Country* (London, 1732), s. 543.

[13] Rabusiów morskich działających z upoważnienia monarchy nazywano korsarzami, a prywatnych po prostu piratami.

[14] Kilka lat później cztery samotne wyspiarskie lata Selkirka zainspirują Daniela Defoe do napisania powieści o przygodach Robinsona Crusoe, opartej na relacji kapitana statku. Tak się przynajmniej na ogół uważa. Z tą wersją dyskutuje T. Severin w swojej pracy badawczej *Seeking Robinson Crusoe* (London, 2007).

[15] Gran – anglosaska jednostka masy; 1 gram jest równy 1,197 604 790 419 grana.

[16] Posset – popularny niegdyś w Wielkiej Brytanii gorący napój ze zsiadłego mleka zmieszanego z piwem lub winem, doprawiany wedle upodobania.

[17] Dover, *The Ancient Physician’s Legacy*, s. 246.

[18] Ibid., s. 248.

[19] R.S. de Ropp, *Drugs and the Mind* (London, 1958), s. 56.

[20] Niestety, po lekarstwie Karol II jeszcze mocniej popadł w oczarowanie.

[21] P. Pomet, *L’Histoire générale des drogues, traitant des plantes, des animaux et des mineraux, etc.* (Paris, 1684), s. 243. Wydanie francuskie zawiera ponad 400 ilustracji. Przetłumaczone anonimowo na angielski, zostało opublikowane w mniej bogatej postaci w 1712 roku w Londynie pod tytułem *A Compleat History of Drugs*.

[22] Ibid., s. 312.

[23] Mimo to oczekiwano, że monsieur Pomet uwolni monarchę od bólu powstającego w szczelinie odbytu albo

przynajmniej ulży w królewskim cierpieniu.

[24] Mme de Sévigné, *Selected Letters*, [tłum. i red. oraz wstęp] L. Tancock (Penguin Classics, 1982), s. 283. Wspomniany ojczulek był człowiekiem wykształconym, należał do kręgu akademickiego.

[25] Kwakrom nie wolno było spożywać alkoholu, ale nie opium, jako że jest to „cenny środek znoszący ból", jak je opisał Joseph Jackson Lister, ojciec Josepha Listera, sam będący szanowanym naukowcem. [Joseph Lister (1827–1912) – brytyjski chirurg, inicjator antyseptyki w szpitalach – przyp. tłum.].

[26] J. Jones, *Mysteries of Opium Revealed* (London, 1700), s. 49.

[27] Ibid., s. 387.

[28] Ibid., s. 412.

[29] Ibid., s. 485.

[30] J. Boswell, *Life of Johnson* (Everyman, London, 1949), s. 347.

9. Nad brzegami Gangesu

[1] Jak wiele decydujących wydarzeń militarnych w historii, zwycięstwo pod Palasi było w dużej mierze dziełem przypadku i błędnej oceny okoliczności. Hindusi znacznie przewyższali Brytyjczyków liczebnie, ale nie zabezpieczyli odpowiednio prochu przed deszczem i w związku z tym ich działa nie wystrzeliły. Widząc to, Mir Jaffar, jeden z przywódców antybrytyjskiej koalicji, w środku bitwy wraz ze swoimi żołnierzami przeszedł na stronę wroga. Clive cały czas zachowywał zdrowy osąd sytuacji i powstrzymał się od straceńczych akcji, za co historia go doceniła. Lord Macauley w przychylnych słowach porównał go jako przywódcę do Napoleona Bonaparte.

[2] Clive, latorośl jednej z najstarszych, ale zubożałej rodziny z hrabstwa Shropshire, w latach młodości został kolejno wyrzucony najpierw ze szkoły parafialnej w Market Drayton, potem z podstawówki w tym samym mieście, a w końcu ze szkoły krawiectwa i kupiectwa w Londynie. Nigdy nie zdobył kwalifikacji księgowego ani nie uczęszczał do żadnej wyższej uczelni.

[3] J. Auersperg [red.], *Erinnerungen des Prinzen Joachim von Auersperg, 1740–1748* (Vienna, 1889), s. 364. Zob. bibliografia.

[4] Była pierwszą z licznych późniejszych kompanii wschodnioindyjskich w Europie – w ostatnim dniu XVI wieku Elżbieta I nadała brytyjskiej organizacji przywilej królewski. Przed opium kompania handlowała głównie bawełną, jedwabiem, barwnikami indygo, saletrą (używaną do produkcji prochu strzelniczego) i herbatą.

[5] B. Stout i M. Misra (red.), *Reports of the English East India Company* (Bombay/Mumbai, 1932), s. 34.

[6] Ibid., s. 153.

[7] Diagnozowanie z retrospekcji jest zawsze trudne. Choroba Clive’a przyszła, jeszcze zanim najpowszechniejszą przyczyną dolegliwości brzusznych stała się gruźlica.

[8] Przynależność do irlandzkiej szlachty, jak w przypadku Clive’a, a później lorda Palmerstona, nie uprawniała automatycznie do zasiadania w Izbie Lordów, ale dawała prawo do ubiegania się o wybór do Izby Gmin.

[9] Gdybania te dotyczą przebiegu i wyniku wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, która rozpoczęła się w 1775 roku.

[10] Chodzi o przyszłego króla Jerzego IV, w młodości znanego z hulaszczego trybu życia.

10. Turecki łącznik

[1] Określenie, przypisywane carowi Mikołajowi I, opisujące stan gospodarczy i polityczny Turcji w XIX wieku.
[2] J.-P. de Récamier, *Voyage au Levant* (Paris, 1850), s. 58.
[3] To w Izmirze lady Mary Wortley Montagu wykonywała swoje pierwsze eksperymenty ze szczepieniami przeciwko ospie.
[4] Karą za przyjęcie łapówki była śmierć przez poćwiartowanie.
[5] W 1815 roku kongres wiedeński [kończący wojny napoleońskie – przyp. tłum.] włączył Wenecję w skład imperium Habsburgów; Wenecja aż do roku 1859 pozostawała prowincją Austrii, z krótkim okresem niepodległości w 1848 roku. Od 1861 należała do Królestwa Włoch.
[6] Gwinea – dawna brytyjska złota moneta o wartości 21 szylingów (1,05 funta).
[7] West Country – południowo-zachodnia rolnicza część Anglii ciesząca się stosunkowo łagodnym klimatem sprzyjającym uprawom.
[8] D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood* (New York, 1981), s. 134.
[9] Ibid., s. 136.
[10] J. Hill, *Family Herbal* (Bristol, 1812).
[11] G. Young, *A Treatise on Opium* (London, 1765), s. 84.
[12] S. Crumpe, *An Inquiry into the Nature and Properties of Opium* (London, 1793), s. 65.
[13] R. Boyle, *The Skeptical Chymist*, [cytat za:] M. Booth, *Opium* (London, 1996), s. 57.

11. Romantyczne opium

[1] T. Trotter, *A View of the Nervous Temperament* (Edinburgh, 1788). Znakomita i pouczająca praca.

[2] „Celtycki bard” był przez jakiś czas bardziej popularny w kontynentalnej Europie niż Szekspir, ale w większości europejskich krajów to Szekspir pozostał największym angielskim dramatopisarzem.

[3] *Incroyables* i *Merveilleuses* (fr. dosł. „niewiarygodni” i „cudowne”) – w rewolucyjnej Francji, w ostatniej dekadzie XVIII wieku, młodzi ludzie (odpowiednio: mężczyźni i kobiety) ostentacyjnie buntujący się przeciwko nowym, prostym trendom w modzie.

[4] Danton nawoływał: „Do zwycięstwa trzeba nam odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi”.

[5] Znakomita przemowa Dantona zmobilizowała Francję do odparcia najazdu pierwszej europejskiej koalicji. Podczas „bitwy” pod Valmy stetryczały książę Brunszwiku był tak zaskoczony, napotykając jakikolwiek opór (sądził, że rewolucja upadnie na samą wieść o jego przybyciu), że nakazał masowy odwrót. Goethe, należący do świty księcia, przeczuł wówczas świt nowej epoki.

[6] Areteusz, *Opera* (połowa II wieku naszej ery), [tłum. na angielski] F. Adams (London, 1856), s. 78.

[7] Ci dostawali pochodne opium: morfinę lub heroinę. Granicę wyznacza rok 1947; jednym z pierwszych, których leczono streptomycyną, był George Orwell. Niestety, okazał się uczulony na ten lek i wkrótce potem zmarł.

[8] Clark uważał, że najlepszym remedium na *phthisis* jest jazda konna, modny idiotyzm tamtych czasów. Był życzliwą osobą i pewnie dlatego na imponującej liście swoich ofiar miał takie osobistości, jak sir Robert Peel czy książę małżonek królowej Wiktorii.

[9] Książę Reichstadt – jeden z wielu tytułów Napoleona II Bonaparte, zwanego Orlątkiem; Reichstadt to niemiecka nazwa czeskiego miasteczka Zákupy.

[10] Synowi Napoleona Bonaparte już przy urodzeniu nadano tytuł „króla Rzymu”. Był ponadto wnukiem Franciszka I, cesarza Austrii. Nie uchroniło go to jednak przed gruźlicą – Orlątko zmarło w wieku 21 lat.

[11] „To mój wyrok śmierci” – zawołał Keats, kiedy zobaczył świeżą krew na swej chusteczce. Shelley wprawdzie utonął w żeglarskim wypadku, ale i tak w ciągu roku czy dwóch lat umarłby na gruźlicę.

[12] Pierwsza miłość Dumasa syna, Marie Suchet, zmarła na gruźlicę. Murger sam padł ofiarą tej choroby w wieku 39 lat.

[13] Cytat za: P. Toussaint, *Marie Dupléssis, la vrai Dame aux Camélias* (Paris, 1958), s. 342.

[14] Rząd brytyjski po niejakiej zwłoce uległ tej prośbie dostojnego więźnia. Narkotyk mógł osłodzić wygnanemu cesarzowi ostatnie dni życia.

[15] Cytat za: G. Denes, *A Savonai Fogoly* [„Więzień Savony”] (Budapest, 1942), s. 43.

[16] Stetoskop wynaleziony przez Laënneca był małą drewnianą trąbką. Nowoczesny stetoskop z dwiema słuchawkami pochodzi z lat 80. XIX wieku.

[17] Żonie przypuszczalnego dziedzica tronu, jedynego syna Karola X.

[18] *L’alliance du Bon Dieu et l’opium* (fr.) – w przymierze z Bogiem i w opium.

[19] Cytat za: R. Kevran, *Laënnec: médicin Breton* (Paris, 1955), s. 346.

[20] J. Keats, *Complete Poems*, [red.] John Barnard (London, Penguin Classics, 2003), s. 234.

[21] Ibid., s. 266.

[22] Novalis zmarł, mając 29 lat.

[23] Komentarz Richarda Cappella na temat *Requiem* (*Allerseelen*) Schuberta w książce *Schubert’s Songs*

(London, 1954) – osąd, z którym autor niniejszej pracy skromnie się zgadza.

[24] I morderstwo, i egzekucja są w symfonii częściami wspomnianych wizji bohatera. Świst gilotyny nie kończy dzieła – w ostatniej części, piątej, muzyk jest świadkiem sabatu czarownic z udziałem jego ukochanej.

[25] William Turner (1775–1851) – wielki angielski malarz romantyczny, uważany za prekursora impresjonizmu.

[26] W przekładzie S. Barańczaka: „porą mgieł i miękkiego owoców rumieńca”.

[27] *Még nyílnak a völgyben a kerti virágok!* („Ogrodowe kwiaty wciąż kwitną w dolinie” – na pozór banalne, ale tak naprawdę nieprzekładalne, jak każda wielka poezja).

12. Pałac rozkoszy w Xanadu

[1] Korespondencja pochodzi z publikacji: J. Gillman, *The Life of Samuel Taylor Coleridge* (London, 1834). Dalsze akapity są cytowane ze wstępu do książki *Samuel Taylor Coleridge, A Bondage of Opium*, autorstwa Molly Lefebure (London, 1974).

[2] Gillman, *Life*, s. 25.

[3] Ibid. 1, s. 27.

[4] Ich przyjaźń została opisana w pouczającej pracy: A. Sisman, *Wordsworth and Coleridge. The Friendship* (London, 2006).

[5] Kwaterka to w tym przypadku ćwierć angielskiego galonu, około 1,2 litra.

[6] Jednak jego rozprawa o *Hamlecie*, wówczas jednej z najbardziej poważanych sztuk Szekspira, jest wciąż cytowana w programach teatralnych naszych czasów.

[7] Dom przy Grove w Highgate oraz dobudówka, którą doktor Gillman wzniósł dla swojego lokatora, stoją nadal.

[8] Chodzi o nadwrażliwą reakcję na hemolizujące paciorkowce, powodujące również szkarlatynę i inne choroby, jednak etiologia gorączki reumatycznej wciąż nie jest w pełni poznana. Choroba najczęściej dotyka kolan, łokci i innych stawów średniej wielkości. Jeżeli atakuje serce, zazwyczaj niszczy oba płatki zastawki dwudzielnej.
[9] Salicylany, jedyne skuteczne środki przeciwbólowe w gorączce reumatycznej, wprowadzono dopiero w połowie stulecia, zob. T. Dormandy, *The Worst of Evils* (New Haven i London, 2006).
[10] S.T. Coleridge, *Collected Works*, [red. ogólna] K. Coburn (Princeton, 1971–2001), s. 324.
[11] Ibid., 10/I, s. 23. Czarne Krople z Kendall były popularnym preparatem opium zmieszanego z kwasami otrzymanymi z warzyw, podobno cztery razy silniejszym od typowego laudanum Sydenhama. Krople wynalazł i wytwarzał kwakierski lekarz John Airy Braithwaite, a kiedy zmarł w 1810 roku, produkcją zajęły się jego żona i córka Hannah. Nazwa specyfiku pochodzi od miejsca wytwórni – Kendal w hrabstwie Westmorland.
[12] Z błogosławieństwem dla Coleridge'a (oraz ku uldze przynajmniej jednego przyszłego lekarza) doktor Gillman z nawiązką odkupił winy swoich kolegów po fachu.
[13] N. Fruman, *Coleridge, the Damaged Archangel* [„Przetrącony archanioł"] (London, 1971).
[14] Pałac rozkoszy – motyw z wiersza *Chan Kubiłaj*, albatros – z *Rymów o sędziwym marynarzu*.
[15] Albo, by zapożyczyć od T.S. Eliota: „Niedojrzali poeci naśladują, dojrzali – kradną".

13. Opiumiści

[1] St Augustine, *Confessions* [*Wyznania* świętego Augustyna], [tłum. na ang.] H. Chadwick, 3 tomy (Oxford,

1992).

[2] Szczególnie Johna Bunyana *Grace Abounding to the Chief of Sinners* [„Łaski hojnie udzielone naczelnemu grzesznikowi”] (1666), najbardziej lubiane z jego dzieł po *Pilgrim’s Progress*.

[3] Nigdy nie wyrósł ponad 153 centymetry.

[4] T. de Quincey, *Confessions of an English Opium-Eater and Other Writings*, [red. i wstęp] Barry Milligan (I wyd. 1822; London, 2003), s. 29.

[5] Ibid., s. 34.

[6] Ibid., s. 68.

[7] M. Booth, *Opium, A History* (New York, 1996), s. 111.

[8] De Quincey, *Confessions*, s. 156.

[9] Książę Myszkin wspomina de Quinceya w najbardziej autobiograficznej powieści Dostojewskiego, *Idiocie* (1868).

[10] Jak zaświadcza inskrypcja na jego nagrobku: „Skromnie urodzony, sam uczynił się tym, kim był, wyłamując się z ciemności swego pochodzenia siłą własnego geniuszu; nigdy jednak nie stracił współczucia dla tych, którym się mniej poszczęściło, wchodził w pragnienia i smutki swych najbiedniejszych parafian (…)”. Byron nazwał Crabbe’a „najbardziej nieugiętym malarzem Natury, jeśli nie najlepszym”. Podziwiał go również Thomas Hardy.

[11] *Peter Grimes*, [w:] *The Borough* [*Wioska*] (1810), [w:] *The Works of the Rev. George Crabbe* (London, 1828), s. 56.

[12] Ibid., s. 64.

[13] J. Markus, *Dared and Done: The Marriage of Elizabeth Barrett and Robert Browning* (London, 1995), s. 54.

[14] L. Foxcroft, *The Making of Addiction: The Use and Abuse of Opium in Nineteenth-Century Britain* (Aldershot, 2007), s. 24.

14. Ludzie

[1] Zupełnie innego zdania był książę małżonek królowej Wiktorii – głęboko niepokoiło go nadmierne zażywanie makowej tynktury przez zwykłych ludzi. Wybitny chirurg sir Benjamin Brodie doradził mu, żeby nie budził licha. Zdaniem księcia była to „bardzo angielska odpowiedź".

[2] V. Berridge, *Fenland opium eating in the nineteenth century*, „British Journal of Addiction", 1977 (72) 275.

[3] C. Kingsley, *Alton Lock* (London, 1850), s. 79.

[4] Cytat za: V. Berridge, *Opium and the People* (London, 1981), s. 38.

[5] R.G. Vicars, *Laudanum drinking in Lincolnshire*, „St George's Hospital Gazette", 1893 (1) 24.

[6] Koroner – w Anglii urzędnik państwowy zajmujący się nagłymi zgonami.

[7] Z uprawy maku słynęli Mitterandowie, stary owerniacki ród.

[8] Berridge, *Opium and the People*, s. 40.

[9] *Das Irdische Leben*, pieśń z cyklu *Des Knaben Wunderhorn*, z muzyką Gustava Mahlera.

[10] W Polsce – chleb. Cytat z niemieckiej pieśni Mahlera: „Matko, ach matko, jestem głodny. Daj mi chleba! Daj mi chleba!".

[11] Kaiserstadt (niem.) – cesarskie miasto, Wiedeń. *Dreitakt* – trzytaktowy chód konia, aluzja do Hiszpańskiej Szkoły Jazdy w Wiedniu. *Kuchen mit Schlag* – ciasto z bitą śmietaną, szerzej: wykwintnie podany deser. *Echt Wiener Charme* – prawdziwy wiedeński urok.

15. Balsam na wszelkie boleści

[1] Oświecone koronowane głowy (jak cesarz Józef II) lubiły odwiedzać domy dla obłąkanych oraz przytułki znajdujące

się w odległości umożliwiającej odbycie spaceru z monarszej siedziby.

[2] T. Dormandy, *The Worst of Evils* (London, 2006), s. 348.

[3] W. Bateman, *Magnacopia* (London, 1839).

[4] A więc w połowie XVII wieku.

[5] I. Benedek, *Semmelweis Elete es Kora* (Budapest, 1960), s. 47.

[6] V. Berridge, *Opium and the People* (London, 1981), s. 68.

[7] Ibid., s. 70.

[8] W 1813 roku, w wieku 28 lat, Louis skończył Uniwersytet Paryski i wkrótce zdał sobie sprawę z jałowości wielu medycznych dysput czy rozumowań spowodowanej brakiem wiarygodnych danych. Jego „statystyczne" badania stopniowo znalazły naśladowców, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

[9] F. Langhans, *Erinnerungen eines Arztes* (Tübingen, 1852), s. 67.

[10] W. Colton, *Turkish Sketches* (Philadelphia, 1836), s. 67.

[11] „New York Times", 15 marca 1840, s. 132.

[12] Większość autorytetów uważa, że skłonność do uzależnienia się od morfiny czy heroiny nie zdradza wyraźnych oznak, by była dziedziczna. Z powodów społecznych dzieci uzależnionych mogą być raczej mniej niż bardziej skłonne do uzależnienia się.

[13] To zgubne zastosowanie opium, a później morfiny utrzymywało się jeszcze długo w XX wieku. Śmierć poety Dylana Thomasa w 1953 roku w Nowym Jorku jego lekarz, pożałowania godny doktor Feltenstein, „specjalista od chorób powiązanych z alkoholem", przypisał właśnie majaczeniu alkoholowemu, czyli delirium tremens (DT). Bardziej prawdopodobne jest jednak, że w tym

szczególnym przypadku poeta cierpiał na zapalenie płuc, a bezpośrednią przyczyną śmierci było „hojne” podskórne podanie morfiny przez doktora. Choć Thomas niewątpliwie był mocno uzależnionym alkoholikiem, autopsja nie wykazała poważnej marskości wątroby, a i mózg wydawał się w porządku. Płuca były „zajęte”.

16. Kształt snów

[1] Dzisiaj cokolwiek niemodna, jak można mniemać na podstawie zapotrzebowania na uczelniach (zresztą być może to tylko pozory).

[2] Wielu z najbardziej zasłużonych chemików czynnych zawodowo w złotym wieku chemii organicznej rozpoczynało karierę jako farmaceuci, na przykład Scheele w Szwecji, Dumas we Francji, a w Niemczech Liebig i właśnie Sertürner.

[3] M. Seefelder, *Opium. Eine Kulturgeschichte* (Hamburg, 1987), s. 105.

[4] *Ochs* (niem.) – wół.

[5] *Principium somniferum* (łac.) – składnik niosący sen.

[6] T. Dormandy, *The Worst of Evils* (New Haven i London, 2006), s. 207.

[7] Gay-Lussac potem przeniósł się na Sorbonę, a ostatecznie do Jardin des Plantes. Zmarł w 1850 roku, mając 72 lat.

[8] Była to jedna z pomniejszych nagród, ale jedyna, jaką przyznawano naukowcom niefrancuskiego pochodzenia. Sertürner zmarł w 1841 roku w wieku 58 lat.

[9] W tych samych mniej więcej czasach scharakteryzowano również strychninę, kofeinę, nikotynę, akonitynę, atropinę, papawerynę i chininę.

[10] Tętniaki łuku aorty (w odróżnieniu od obecnie znacznie bardziej powszechnych tętniaków części brzusznej aorty)

były późnym powikłaniem syfilisu. Mogły być bardzo bolesne i niemal nieuniknienie prowadziły do śmierci pacjenta.

[11] J. Pereira, *Elements of Materia Medica* (London, 1839), s. 246.

[12] F. Accum, *A Treatise on Adulterations of Food, and Culinary Poisons* (London, 1820).

[13] Dzieło to miało wydania anonimowe i raczej nie wyszło spod pióra F. Accuma (przyp. red.).

[14] V. Berridge, *Opium and the People* (London, 1981), s. 68.

[15] Heron wynalazł również silnik parowy do napędzania ozdobnych fontann oraz zegar wodny.

[16] F. Rynd, *The subcutaneous injection of medicated fluids for neuralgias and other painful ailments*, „Dublin Medical Press", 1845 (5) 564.

[17] *Cadeau d'amour* (fr.) – prezent miłosny.

[18] „Ten kraj" to Wielka Brytania, polityczny i gospodarczy zwycięzca wspomnianej wojny.

17. Najbardziej nikczemna z wojen

[1] Cytat za: J. Beeching, *The Chinese Opium Wars* (San Diego, Calif., 1975), s. 12.

[2] M. Booth, *Opium. A History* (New York, 1996), s. 202.

[3] R. Newman, *Opium smoking in late Imperial China: A reconsideration*, „Modern Asian Studies", 1995 (29/4). Rewizjonistyczną historię pokrótce przedstawiono w: V. Berridge, *Opium and the People* (London, 1981), s. xxvi.

[4] Wśród darów znalazły się: okazały powóz, teleskop, zegar bijący, atlas z mapami, Biblia i wypchany dzik. Ku rozdrażnieniu Macartneya, sir George'a Stauntona Barta, w jego olśniewającej szkarłatnej szacie oksfordzkiego doktora czegoś tam, regularnie mylnie brano za króla

Anglii. Baronetowi towarzyszył jego 12-letni syn, który w drodze do Chin nauczył się mandaryńskiego i podczas audiencji wymienił kilka przyjaznych słów z cesarzem. Kiedy dorośnie, będzie utrapieńcem, ale za młodu najwyraźniej był uroczy.

[5] Cytat za: M. Booth, *Opium. A History* (New York, 1996), s. 219.

[6] Z jakiegoś powodu Wielkiej Brytanii ogromnie na tym zależało.

[7] Cytat za: W. Travis Hanes III i F. Sanello, *The Opium Wars* (Naperville, Ill., 2002), s. 58.

[8] Co najmniej 3000 lat przed Karolem II legendarny chiński cesarz Shennong odwiedził region, w którym jakaś zaraza sprawiła, że spożywanie nieprzegotowanej wody było niebezpieczne – najwyraźniej Chińczycy odkryli przyczynę zaraźliwości tysiące lat przed Pasteurem. Podobno do cesarskiej filiżanki z gorącą wodą wpadł liść z dzikiego krzewu herbacianego, rośliny występującej naturalnie w centralnych prowincjach. Mimo alarmującej zmiany koloru napój – pierwsza na świecie filiżanka herbaty – nie tylko pachniał i smakował bosko, lecz także dał przygnębionemu władcy siłę i determinację, by mógł sobie poradzić z dewastacją prowincji.

[9] M. Collis, *Foreign Mud* (London, 1952), s. 76.

[10] Biały krzyż świętego Andrzeja na niebieskim tle to flaga Szkocji.

[11] Cytat za: Travis Hanes III i Sanello, *Opium Wars*, s. 58.

[12] Beeching, *Chinese Opium Wars*, s. 134.

[13] Nie były to faktorie w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, lecz raczej siedziby biznesu i mieszkania „faktorów”, czyli kierowników rozmaitych kompanii handlowych na pozór zajmujących się herbatą, a w rzeczywistości nielegalnym opium. Każde z głównych

zainteresowanych handlem państw miało tu własną faktorię.

[14] John Napier z Merchistoun (1550–1617) – szkocki matematyk, twórca wczesnych tablic logarytmicznych i popularyzator przecinka w zapisie ułamków dziesiętnych.

[15] Adam Smith (1723–1790), John Knox (1514–1572) – wybitni Szkoci; łączy ich m.in. to, że żarliwie głosili swoje poglądy oraz obaj zmienili w którymś momencie życia wiarę.

[16] Collis, *Foreign Mud*, s. 134.

[17] Beeching, *Chinese Opium Wars*, s. 149.

[18] Makau było portem portugalskim, dlatego dzwony dzwoniły w kościołach katolickich, a Napier był protestantem.

[19] W. Turner, *British Opium Policy and its Results in China* (London, 1876), s. 56.

[20] Wciągnięcie na maszt brytyjskiej flagi było w rzeczywistości czynnością rutynową i nie miało nic wspólnego z patriotyczną prowokacją. Zanim wiadomości z Kantonu dotarły do Londynu, mijało od czterech do dziesięciu miesięcy i w chwili przybycia bywały mocno przekręcone.

[21] Beeching, *Chinese Opium Wars*, s. 157.

[22] John Gladstone, jego ojciec, położył podwaliny pod ogromną fortunę, po części inwestując w zachodnioindyjskie plantacje cukru obsługiwane przez niewolników. O pochodzeniu rodzinnego majątku nie wspominało się wiele w wiejskim dworze w hrabstwie Lancashire, gdzie William i Helen dorastali ze swoimi kucykami, rodzinnymi modlitwami i muzykowaniem. Jednak przemowa Williama wygłoszona podczas opiumowej debaty stanowiła punkt zwrotny w jego karierze. Nieugięty młody torys, który kilka lat wcześniej

głosował za karą chłosty dla żołnierzy i wykluczeniem Żydów z Parlamentu, zaczynał mówić dorzecznie i z czasem został przywódcą liberałów.

[23] Beeching, *Chinese Opium Wars*, s. 109.

[24] Ibid., s. 110.

[25] Taki urząd ustanawiano w Chinach tylko wyjątkowo, by piastująca go osoba stawiła czoło nadzwyczaj trudnej sytuacji.

[26] Znana była zwłaszcza jego interwencja w 1828 roku, kiedy wylała rzeka Sung i ludzie wystąpili w proteście przeciw cesarskim podatkom. Lin Zexu przeprawił się wówczas przez rzekę sam, bez asysty, i załatwił sprawę bez rozlewu krwi.

[27] Jego poezja nadal cieszy się w Chinach wielkim uznaniem.

[28] Cytat za: Hanes III i Sanello, *Opium Wars*, s. 42. Pierwsza trudność Lina polegała na tym, aby jego list przetłumaczono na angielski. Oficjalny tłumacz odstawił takie dziadostwo, że Lin zmuszony był szukać pomocy u najlepszego językoznawcy w Kantonie, Amerykanina doktora Petera Parkera. Parker rozpoczynał karierę zawodową jako kamieniarz, ale potem studiował teologię na Uniwersytecie w Yale oraz medycynę w Filadelfii, a następnie wyjechał do Chin, gdzie prowadził darmową przychodnię okulistyczną dla miejscowej biedoty. „Z Bożą pomocą i w szczytnym celu” zrobił, co w jego mocy. Lin ponadto wyobrażał sobie, że Wielka Brytania znajduje się tuż za Kalkutą i że jego przesłanie dotrze do adresatki w ciągu około dwóch miesięcy. W rzeczywistości list znalazł się w Londynie po niemal 10 miesiącach i do dziś niewyjaśnioną drogą trafił do rąk wydawcy dziennika „The Times”. Potem często był cytowany podczas obrad parlamentarnych, wywołując różnego stopnia wesołość.

[29] Republika Teksasu istniała w latach 1836–1845.
[30] Sir C. Elliot, *Memoirs* (London, 1863), s. 453.
[31] Cytat za: Collis, *Foreign Mud*, s. 92.
[32] Mt 19, 21 – cytat z Biblii Tysiąclecia.
[33] A.F. Lindley, *Taiping and Tien-kwoh: The History of the Taiping Rebellion*, 2 tomy (London, 1866).
[34] S.Y. Teng, *The Taiping Rebellion and the Western Powers* (Oxford, 1971).
[35] Wydarzenie to zanalizował D. Hurd w publikacji *The Arrow Incident* (London, 1967). Prawdziwym winnym, który rozdmuchał płomyk do pełnowymiarowej pożogi wojennej, był przypuszczalnie odpychający sir John Bowring, mianowany przez lorda Palmerstona konsulem w Hongkongu (zob. przypis 35).
[36] W ocenie lorda Palmerstona.
[37] Robert I Bruce (1274–1329) – król Szkocji, bohater narodowy wsławiony walkami z Anglią o niepodległość Szkocji.
[38] Nawiązanie do marmurów Elgina, czyli rzeźb, które siódmy hrabia Elgin, Thomas Bruce, zabrał z ateńskiego Partenonu i przewiózł do Londynu w latach 1801–1812. Rzekomo zrobił to po to, by je uratować przed tureckimi grabieżcami. Zdania na temat jego działalności były i są podzielone. O „splądrowaniu krwawiącego kraju” pisał już lord Byron: „Czego nie dokonali Goci, to uczynili Szkoci”. Zabytki wciąż pozostają w zbiorach Muzeum Brytyjskiego.
[39] J.L. Morison, *The 8th Earl of Elgin* (London, 1928). Szczególnie siódmy hrabia Elgin doprowadził rodzinę do bankructwa, płacąc za usunięcie fryzów z ateńskiego Partenonu i przewiezienie ich do Londynu, po czym odsprzedając je za bezcen Muzeum Brytyjskiemu. Zatrzymał sobie jedynie marmurową stopę jako odbojnik drzwiowy.

[40] T. Waldrond [red.], *Letters and Journals of James, 8th Earl of Elgin* (London, 1878), s. 98.
[41] Był synem Antoine'a-Jeana Grosa, najlepszego napoleońskiego malarza scen batalistycznych.
[42] Sir John Bowring rozpoczął karierę jako literat radykał, choć niektóre dowody sugerują, że mógł być jednym z prywatnych informatorów lorda Palmerstona i donosił mu o tym, co się dzieje w radykalnych i rewolucyjnych kręgach. Mianowany gubernatorem Hongkongu, po przybyciu lorda Elgina zasypał go nieproszonymi radami. Baron Gros również uskarżał się na werbalną tyranię ze strony Bowringa.
[43] Marquis de Moges [red.], *Recollections of Baron Gros's Embassy to China and Japan in 1857–58* (London, 1860), s. 234.
[44] F.S. Turner, *British Opium Policy and its Results in China* (London, 1876), s. 46.
[45] Morison, *8th Earl of Elgin*, s. 298.
[46] „The Times", 19 September [września] 1859, s. 15.
[47] Harrow School – istniejąca od XVI wieku szkoła z internatem, wyłącznie dla chłopców, w której kształciło się wielu przyszłych mężów stanu. Obecnie czwarta z najdroższych szkół w Wielkiej Brytanii.
[48] Moges [red.], *Recollections*, s. 256.
[49] L. Oliphant, *Narrative of the Earl of Elgin's Mission to China*, 2 tomy (London, 1859).
[50] Do projektu kilku budynków wnieśli wkład włoscy i francuscy jezuici, łącząc tradycyjne chińskie style z kontrreformacyjnym barokiem w jego najbujniejszym wydaniu.
[51] J.-M. Comte de Tassin de Moligny, *Mémoires de ma jeunesse* (Paris, 1880), s. 368.

[52] Przyszły lord Rothschild miał tam swojego agenta, przebranego za amerykańskiego majora, i dzięki nowo zainstalowanemu połączeniu telegraficznemu zdołał nabyć kilka rzeczy po okazyjnej cenie.

[53] Wciąż należy ono do Klejnotów Koronnych.

[54] Rasę tę ceni się również za jej lojalność, inteligencję i nieustraszoność.

[55] Być może należałoby tu powiedzieć co nieco o grabieniu takich skarbnic jak chiński Pałac Letni. W taki czy inny sposób większość łupów trafiała do publicznych kolekcji, na przykład do Muzeum Brytyjskiego, albo do nowo udostępnionych do zwiedzania zbiorów prywatnych, takich jak nowojorska kolekcja Fricka. Stopniowo rozbudziły one zainteresowanie chińską sztuką (takie zainteresowanie w momencie łupienia właściwie nie istniało), a ich oglądanie sprawiło przyjemność milionom ludzi, którzy ani w tamtych czasach, ani w obecnych nigdy nie wybraliby się do Pekinu. Jednak nawet dla najbardziej cynicznego miłośnika sztuki celowe podpalenie Pałacu Letniego pozostaje aktem kompletnego barbarzyństwa.

[56] G.J. Wolseley, *Narrative of the War with China 1860* (London, 1862), s. 245. To jedna z najlepszych relacji ze spalenia Pałacu Letniego. Bliska łez odraza może się wydać zaskakująca u zawodowego żołnierza, ale przyszły marszałek polny nie był zwykłym wojakiem.

[57] R. Swinhoe, *Narrative of the North China Campaign of 1860* (London, 1861), s. 168. Autor był oficjalnym tłumaczem wyprawy i znakomitym obserwatorem.

[58] Tylko królowa Wiktoria i książę Albert wyrazili dezaprobatę albo przynajmniej zastrzeżenia. Władczyni napisała, że „palenie monarszych pałaców, nawet w celu dania zbawiennego przykładu, jest złe”. Książę, którego poglądy na chińską sztukę daleko wyprzedzały tamte

czasy, rozpaczał nad zniszczeniem „bezcennego dziedzictwa”. W przeciwieństwie do nich lord Elgin wyjaśnił członkom Królewskiej Akademii: „Niejednokrotnie jestem pytany, czy otwarcie Chin ma szansę w jakiś sposób wpłynąć na zainteresowanie sztuką. Nie sądzę (…). Nie uważam, aby nasi artyści mieli się czegokolwiek nauczyć od tamtego kraju (…). Niemniej jestem skłonny uznać, że w masie poronionych pomysłów i śmiecia tli się tam jakaś ukryta iskra, którą geniusz moich rodaków może rozdmuchać w płomienie”.

[59] Morison, *8th Earl of Elgin*, s. 462.

[60] Cieszył się tym wysokim stanowiskiem tylko przez 18 miesięcy, ponieważ w 1864 roku zmarł z powodu „ataku” albo pęknięcia tętniaka (źródła podają różnie).

18. Żółte niebezpieczeństwo

[1] Traktat pokojowy nazwano konwencją pekińską. Zawarty „pokój” nie odnosił się do trwającej wojny z tajpingami.

[2] William Jardine i James Matheson opuścili Chiny, choć ich firma nadal prosperowała. Jardine zainwestował majątek w dzieła sztuki, kupił sobie członkostwo parlamentarne z okręgu wyborczego Ashburton i zasiadł w Izbie Gmin jako poplecznik lorda Palmerstona. Nie cieszył się długo swoją karierą polityczną, ponieważ zmarł w 1843 roku na niezdiagnozowaną, ale bolesną chorobę. Jego śmierć dała początek mitowi o klątwie podobno spadającej na wszystkich tych, którzy ciągną zyski z handlu opium (nieważne, że jego partner w biznesie miał dożyć 91 lat). Matheson również dostał się do Parlamentu i w 1887 roku się ożenił. Kupił sobie całą szkocką wyspę Lewis i wybudował na niej zamek, co go kosztowało pół miliona funtów. Ufundował ponadto katedrę sinologiczną

na Uniwersytecie Londyńskim. Jego dziedzic i bratanek Donald znienawidził opiumowy handel i jeszcze w młodości wystąpił z firmy. W starszym wieku został przewodniczącym Towarzystwa na rzecz Stłumienia Handlu Opium w Wielkiej Brytanii.

[3] Krewnym biznesmenów w linii bocznej był wojenny poeta Siegfried Sassoon.

[4] W. Mott, *Über Opium in China* (Tübingen, 1880), s. 237.

[5] Wyczyny Gordona dokonane w Chinach sprawiły, że później powierzono mu dowództwo wojsk w Sudanie. [W Sudanie zginął w 1885 roku, próbując tłumić powstanie Mahdiego; wówczas miał już przydomek Gordon Pasza, a po śmierci mówiono o nim „Gordon z Chartumu" – przyp. tłum.].

[6] Słowo „kulis" ma tutaj szersze znaczenie niż „azjatycki tragarz". Chodzi o ludzi zatrudnianych do najcięższych, najbardziej niewdzięcznych prac.

[7] *Sin Fat* – ang. dosł. „grzech tłusty" – nazwisko mówiące.

[8] Cytat za: D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood* (New York, 1981), s. 210.

[9] Perth – miasto na południu Australii.

[10] Charles Dickens, *Tajemnica Edwina Drooda*, s. 4, tłum. Jan S. Zaus.

[11] C. Dickens, *The Mystery of Edwin Drood* [*Tajemnica Edwina Drooda*] (1870; Penguin, London, 1980), s. 342. Ale najbardziej błyskotliwą i przerażającą wycieczką Dickensa w dziedzinę opium jest rozdział 11 *Samotni*, w którym prawnik pan Tulkinghorn znajduje ciało uzależnionego, który zmarł w samotności i zapomnieniu z powodu przedawkowania opium.

[12] *Petits jaunes* (fr.) – małe żółtki.

[13] Rohmer/Ward mimo skromnego formalnego wykształcenia był utalentowanym pisarzem, choć pisał

nieortograficznie. Po drugiej wojnie światowej przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie zmarł w 1959 roku.

[14] Była to sprytna parodia, zatytułowana *Szatański plan doktora Fu Manchu*, ale nie została ukończona ani nie trafiła do dystrybucji. [Film ukończono w 1980 roku i pokazywano w kinach, ale ani krytyka, ani publiczność nie przyjęły go dobrze. Peter Sellers wystąpił tu w dwóch głównych rolach: doktora i jego przeciwnika, Naylanda Smitha, oraz był współreżyserem. Dwa lata później zagrał swoją ostatnią kinową rolę w *Śladzie Różowej Pantery* – przyp. tłum.].

[15] Cytat za: Latimer i Goldberg, *Flowers in the Blood*, s. 214.

[16] Bowery – ulica na dolnym Manhattanie, miejsce gromadzenia się bezdomnych.

[17] Cytat za: Latimer i Goldberg, *Flowers in the Blood*, s. 235.

[18] Ibid., s. 237.

[19] Ibid., s. 239.

[20] Ibid., s. 238.

[21] Zupełny zakaz chińskiej imigracji do Stanów Zjednoczonych, ściśle przestrzegany przez 20 lat, został uchylony w 1943 roku, gdy Chiny stały się walecznym sprzymierzeńcem w wojnie z Japonią.

[22] Wan Jung była pierwszą żoną cesarza; poślubiła go w wieku 15 lat i nie będąc przez niego akceptowaną, sięgnęła po opium. Puyi z własnej inicjatywy rozstał się z nią już w 1934 roku.

[23] Z ponurym ostatnim akordem. W 2007 roku brytyjski obywatel, mieszkaniec Finchley w północnym Londynie, został aresztowany w Chinach za posiadanie pięciu kilogramów heroiny. Pomimo próśb składanych na najwyższym dyplomatycznym poziomie wykonano

egzekucję – winny otrzymał śmiercionośny zastrzyk w ostatnim tygodniu 2009 roku.

19. Doktorzy rządzą

[1] Dźwięczne wyrażenie autorstwa Anity Brookner [zmarłej w 2016 roku brytyjskiej pisarki – przyp. tłum.].

[2] *Manifest partii komunistycznej* Marksa z 1848 roku jest dokumentem w pełni romantycznym. Napisany przezeń później *Kapitał* nosi niewiele śladów romantycznego sentymentu.

[3] Przybliżone przeliczniki:
1 kropla = 1/20 ml
20 kropli = 1 ml
1 uncja objętości = 29,5 ml
20 uncji objętości = 1 angielska pinta
1 gran opium = około 25 kropli laudanum, według de Quinceya. Gran był najmniejszą brytyjską jednostką wagi, równał się przeciętnej masie ziarna zboża [jego angielska nazwa *grain* dosłownie oznacza „ziarno”], to jest około jednej siedmiotysięcznej funta.
24 krople laudanum = 1 gran opium = 6,4 mg morfiny
1 gran opium = 64 mg opium = 6,4 mg morfiny
1 uncja objętości laudanum = 590 kropli laudanum = 24 grany opium
24 grany opium = 1520 mg opium
1520 mg opium = 152 mg morfiny.

[4] Florence Nightingale (1820–1910) – angielska pielęgniarka, która podczas wojny krymskiej organizowała w Stambule od podstaw opiekę nad rannymi żołnierzami, kładąc podwaliny pod nowoczesne pielęgniarstwo. Nazywana „Damą z lampą”.

[5] Scutari – obecnie Üsküdar, dzielnica Stambułu.

[6] W zbiorze biografii zatytułowanym *Eminent Victorians* (1918) Lytton Strachey napisał: „To nie przez swoją słodką łagodność i kobiece samozaparcie wyprowadzała porządek z chaosu (…). To przez rygorystyczną metodę, surową dyscyplinę, sztywne przywiązanie do szczegółu, przez niestrudzoną pracę i utwierdzoną determinację nieugiętej woli". Ani wzmianki o morfinie, być może ważniejszej od wymienionych godnych podziwu cech; autor biografii, nawet zatwardziały ironista, nie powinien pomijać medycznych potrzeb i prywatnych nawyków związanych z lekarstwami. (Każde z czworga opisanych przez Stracheya wybitnych ludzi epoki wiktoriańskiej miało interesujące choroby, ale autor nie wspomniał o żadnej z nich).

[7] Śmiertelność wśród nowo przyjętych do szpitala w Scutari była niemal dwa razy większa niż podczas szarży Lekkiej Brygady. [Szarża Lekkiej Brygady, upamiętniona w wierszu lorda Alfreda Tennysona niczym obrona reduty Ordona przez Mickiewicza, to szarża brytyjskiej lekkiej kawalerii przeciw Rosjanom w bitwie pod Bałakławą podczas wojny krymskiej, w 1854 roku. Brygada została omyłkowo wysłana na przygotowaną do strzału artylerię, przez co poniosła ogromne straty – przyp. tłum.].

[8] Szacunki co do ilości leków zażywanych w Stanach Zjednoczonych przez większą część XIX wieku opierają się zwykle na danych Urzędu Celnego związanych z importem opium i morfiny. Badaczom często umyka fakt, że krajowa produkcja oznaczała dramatyczny wzrost spożycia w latach wojny.

[9] Horace Day, *The Opium Habit* (New York, 1868).

[10] Z wyjątkiem światopoglądu à la G.B. Shaw, zgodnie z którym wszystkie zawody to zmowy przeciwko ludziom

spoza danego fachu.

[11] B.A. Morel, *Traité des Dégénérescences* (Paris, 1857). Dzieło stało się księgą zagłady swojej epoki, podobnie jak Spenglera *Untergang des Abendlandes* [*Zmierzch Zachodu*] będzie 70 lat później oraz *Rok 1984* Orwella po kolejnym półwieczu.

[12] Dokładniej poecie wytoczono proces o obrazę dobrych obyczajów w 13 ze 100 wierszy w zbiorze. Ostatecznie Baudelaire'a skazano na grzywnę, a zakazano publikacji sześciu wierszy.

[13] G. de Maupassant, *Sur l'eau* [*Na wodzie*] (Paris, 1888). Kolejną wspaniałą opowieścią autobiograficzną jest *Lettre d'un fou* (1885).

[14] Alphonse Daudet, *L'Evangeliste* (Paris, 1883). Powieść o silnej wymowie antyreligijnej i antymorfinistycznej. Jednak w domu opieki w Lamalou-les-Bains, gdzie autor spędził ostatnie lata życia, „morfina lała się jak woda". M. Taine, *La Comtesse Morphine* (Paris, 1885). Ekscytujące potępienie zarówno morfiny, jak i dekadencji.

[15] Willy – Henry Gauthier-Villars (1859–1931), francuski pisarz i krytyk muzyczny. Meg Villars była jego drugą żoną, Colette (Sidonie-Gabrielle Colette) – pierwszą.

[16] M. Villars i Willy, *Les imprudences de Peggy* (Paris, ok. 1885). Willy był nie tylko mężem Colette, lecz także pasożytem wysysającym ją jak pijawka.

[17] Cytat za: P. Jullian, *Lorraine* (Paris, 1905), s. 65.

[18] *Chalet de nécessité* (fr.) – dosł. „domek potrzeby", szalet miejski.

[19] Jak to opisał błyskotliwie B. Hodgson w swym dziele *In the Arms of Morpheus* (New York, 2001).

[20] V. du Saussay, *La Morpheine* (Paris, ok. 1895).

[21] Słynne zapytanie: „Czy jest na sali lekarz?", zostało wypowiedziane na scenie teatru Drury Lane 17 lutego

1902 roku, gdy panna Kitty Smiles zasłabła za kulisami. Tradycyjna opowieść utrzymuje, że jedyną osobą, jaka się zgłosiła, był student medycyny ze Szpitala Świętego Tomasza – nie tylko właściwie zdiagnozował przedawkowanie morfiny, lecz także poinstruował kierownika sceny, aby nie wlewał gorącej kawy do gardła pacjentki, póki się nie upewni, że ta może zwymiotować. Jeżeli to prawda (a czemu nie?), być może uratował jej życie.

[22] S. Bernhardt, *Memories of my Life* (New York, 1908), s. 165.

[23] Dumas ojciec przeobraził egzekucję w ponurą scenę w powieści *Hrabia Monte Christo*.

[24] Pierwszy mniej więcej dokładny pomiar ilości morfiny i heroiny we krwi oraz moczu opierał się na substancjach, które nawet w minimalnym stężeniu powodowały bolesne esowate wygięcie ogona myszy. Próba, nazywana mysim testem Strauba, od nazwiska farmakologa, który ją opisał, mogła być nawet wykonywana półilościowo. Obecnie jest zastąpiona tańszą i łagodniejszą chromatografią.

[25] Pani Ward to jedna z tych zażywnych wiktoriańskich dam, których różnorodne osiągnięcia byłyby godne uwagi nawet u osoby krzepkiego zdrowia fizycznego.
W rzeczywistości uskarżała się na rozliczne chroniczne dolegliwości, na które jedynym skutecznym lekarstwem była morfina.

[26] *Nervenarzt* (niem.) – dosł. „lekarz nerwów”, termin ten obejmuje neurologów i psychiatrów.

[27] Młody Zygmunt Freud wybrał tę specjalizację, aby zarobki umożliwiły mu poślubienie wybranki.

[28] Dla Bertiego Woostera, bohatera opowiadań i powieści sir P.G. Wodehouse’a, wybitny lekarz sir Roderick Glossop to „pomylony doktor”. Chyba nic dziwnego, że określenie

to nie przyjęło się w kręgach profesji medycznej. W czasach drugiej wojny światowej zaczęto na psychiatrów mówić *shrink*.

[29] *Dope fiend* (ang.) – dosł. „narkotykowy potwór, diabeł”.

[30] Eugene O’Neill wkłada takie słowa w usta Edmunda Tyrone’a w sztuce *Zmierzch długiego dnia*: „Czasami bardzo trudno jest mieć ćpunkę za matkę”. Matka dramatopisarza, Ella O’Neill, była beznadziejnie uzależniona.

[31] Mimo że powszechnie wiadomo, że morfina to substancja czynna z opium, a heroina jest jej silniejszą, ale bezpośrednią pochodną, w publicznym rozumieniu wciąż utrzymuje się różnica. W 1980 roku Yves St Laurent wypuścił cieszące się powodzeniem perfumy o nazwie Opium. Tylko przedsiębiorca sam sobie życzący śmierci mógłby nazwać swój produkt Morpheine, nie mówiąc już o Héroïne. [Opium Yves St Laurenta trafiło na rynek już w 1977 roku, a kontrowersyjna nazwa i równie kontrowersyjna reklama przyczyniły się do popularności perfum, która nie słabnie do dziś – przyp. tłum.].

[32] Cytat za: M. Jay [w:] *Emperors of Dreams* (Sawtry, Cambs, 2000), s. 77.

[33] Cytat za: M. Booth [w:] *Opium. A History* (New York, 1996), s. 245.

[34] T.C. Albutt, *On the abuse of hypodermic injections of morphia*, „Practitioner”, 1870 (5) 327. Autor był przypuszczalnie pierwowzorem doktora Lydgate’a w *Miasteczku Middlemarch* (powieści pisarki George Eliot). Lekarz ten, zaczynając praktykę w Yorkshire, entuzjastycznie wstrzykiwał pacjentom morfinę, zwłaszcza w chorobach serca. Zmienił jednak poglądy, kiedy zobaczył, jak nadużywają leku modni lekarze w Londynie.

[35] J.B. Mattison, *The Treatment of Opium Addiction*, „Journal of Nervous and Mental Diseases", 1885 (12) 249.
[36] O. Jennings, *On the Cure of the Morphia Habit* (London, 1880), s. 57.
[37] L. Lewin, *Phantastica* (1924); [tłum. na ang.] P.H.A. Wirth (Richmond, Vt., 1998). W latach 20. XX wieku w Niemczech uważano Lewina za największy autorytet w dziedzinie opium, ale ponieważ był wyznawcą wiary mojżeszowej, nie otrzymał katedry na żadnym niemieckim uniwersytecie, a było to jeszcze na kilka lat przed dojściem Hitlera do władzy.
[38] Harley Street – ulica Londynu pod koniec XIX wieku znana z licznych prywatnych gabinetów lekarskich, a później również szpitali i innych placówek medycznych.
[39] G.B. Shaw, *The Doctor's Dilemma*, *Preface* [*Lekarz na rozdrożu*, *Przedmowa*] (London, 1906), s. 45.

20. Głosy z Ameryki

[1] H.H. Kane, *Opium Smoking in America and China* (Philadelphia, 1882), s. 68.
[2] Cytat za: D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood* (New York, 1981), s. 187.
[3] W. Colton, *Turkish sketches: effects of opium*, „Knickerbocker", 1837 (7) 421.
[4] W.R. Cobbe, *Dr Judas: A Portrayal of the Opium Habit* (Chicago, 1895), s. 46.
[5] F.H. Ludlow, *The Hasheesh Eater* (Philadelphia, 1857), s. 35.
[6] Ibid., s. 46.
[7] Ibid., s. 68.
[8] Cytat za: D.P. Dulchinos, *Pioneer of Inner Space, The Life of Fitz Hugh Ludlow, Hasheesh Eater* (New York, 1998), s. 124.

[9] H. Day, *The Opium Habit with Suggestions as to the Remedy* (New York, 1868).
[10] F.H. Ludlow, *Outline of the opium care*, „Harper's Monthly", August [sierpień] 1864, s. 54.
[11] Cytat za: Dulchinos, *Pioneer of Inner Space*, s. 68.
[12] Ibid., s. 89.
[13] Cytat z Biblii odnoszący się do Jezusa umierającego na krzyżu; Biblia Tysiąclecia, Mt 27, 42.
[14] Cytat za: Dulchinos, *Pioneer of Inner Space*, s. 129.
[15] F.H. Ludlow, *What shall they do to be saved?*, „Harper's New Monthly Magazine", August [sierpień] 1867, s. 277. Krzyk rozpaczy.
[16] Cytat za: H. Broun i M. Leech, *Anthony Comstock, Roundsman of the Lord* (London, 1928), s. 68. Nie lada wyczyn: pisać o potworze wnikliwie i ze współczuciem, a zarazem przekonująco.
[17] Ibid., s. 346.
[18] J. Edgar Hoover – w latach 1924–1972 dyrektor FBI znany z bezkompromisowych akcji wymierzonych w gangsterów, dysydentów politycznych i aktywistów, m.in. w Martina Luthera Kinga.
[19] J. Parrish (dr), *The Opium Appetite* (Philadelphia, 1870), s. 98.
[20] A. Calkins, *Opium and the Opium-Appetite* (1871; Bibliobazaar, Charleston, SC, 2008), s. 68.
[21] Ibid., s. 124.
[22] Ibid., s. 312.
[23] Dokładnie przejrzane przez: H. Wayne Morgan, [w:] *Drugs in America: A Social History*, 1800–1980 (Syracuse, NY, 1981).
[24] Cobbe, *Dr Judas*, s. 135.
[25] „The Knickerbocker", February [luty] 1858, s. 197.
[26] Cytat za: Wayne Morgan, *Drugs in America*, s. 36.

[27] H.H. Kane *The Drugs that Enslave* (Philadelphia, 1881), s. 17.
[28] Ibid., s. 138.
[29] F.H. Ludlow, *What shall they do to be saved?*, s. 277.
[30] Cytat za: Wayne Morgan, *Drugs in America*, s. 268.

21. Wyczerpanie nerwowe

[1] G.M. Beard, *American neurasthenia or nervous exhaustion*, „Boston Medical and Surgical Journal", 1869 (80) 217. Słownictwo jest może trochę staroświeckie, ale pojęcia były pionierskie.
[2] To pompatyczne określenie zostanie „wynalezione" dopiero za 50 lat, ale to Beard najwyraźniej wpadł na ów pomysł. W literaturze opiumowej oprócz wyrazu „neurastenia" szeroko stosowano równie niejasne wyrażenie „wyczerpanie nerwowe".
[3] M. Beard, *American Nervousness: Causes and Consequences* (New York, 1881), s. 133.
[4] J.B. Mattison, *The Treatment of Opium Addiction*, „The Journal of Nervous and Mental Diseases", 1885 (12) 249.
[5] N. Allen, *The Opium Trade* (New York, 1850), s. 23.
[6] W. Rosser Cobbe, *Dr Judas: A Portrayal of the Opium Habit* (Chicago, 1895), s. 245.
[7] Ibid., s. 57.
[8] H.H. Kane, *The Drugs that Enslave* (Philadelphia, 1881), s. 57.
[9] *Fiend* (ang.) – potwór, szatan, maniak, ćpun.
[10] Anonim, *Opium eating. An autobiographical sketch*, „New York Times", 1877 (30) 33.
[11] Ibid., s. 34.
[12] D. Starr Jordan, *Drugs and character*, „The Independent", 1899 (52) 1059.

[13] C.W. Earle, *The responsibilities and duties of the medical profession regarding opium inebriety*, „Transactions of the Illinois Medical Society”, 1886 (39) 56.

[14] Amerykańskie *sanitarium* nigdy nie niosło z sobą takich samych konotacji jak europejskie sanatorium, kojarzące się głównie z gruźlicą. Być może znacząca jest odmienna etymologia tych dwóch słów. *Sanitarium* wywodzi się z łacińskiego słowa *sanitas*, oznaczającego „zdrowie” [oraz „rozsądek” i „trzeźwość” – przyp. tłum.]. Sanatorium zaś od *sanare* – „leczyć, uzdrawiać”.

[15] L.E. Keeley, *The Opium Habit: Its Proper Method of Treatment and Cure without Suffering and Inconvenience* (Dwight, Ill., 1882), s. 45.
Złoto jako czynnik leczniczy ma długą historię: było składnikiem w większości alchemicznych mikstur i niemal nieodmiennie figurowało w recepturach Paracelsusa. Lecz aż do czasów L.E. Keeleya nie polecano tego metalu jako jedynego czy głównego składnika lekarstwa. Nigdy nie wyjawiono, czym był ani jak powstawał „dwuchlorek złota”, o ile w ogóle istniał naprawdę.

[16] Książka Keeleya, *A Popular Treatise on Drunkenness and the Opium Habit and their Successful Treatment with Double Chloride of Gold, the Only Successful Treatment* („Popularny traktat na temat pijaństwa i nałogu opiumowego oraz ich udanego leczenia za pomocą dwuchlorku złota, jedynej skutecznej kuracji”; Dwight, Ill., 1890), jeśli wierzyć informacji zamieszczonej na zakurzonej obwolucie, doczekała się „niezliczonych wydań”.

22. Heroiczna substancja

[1] Później Alder Wright opublikował kilka popularnonaukowych książek dla młodzieży o doświadczeniach chemicznych.
[2] W rezultacie otrzymano aspirynę.
[3] Zdaniem Tytusa Liwiusza, Horacjusz Kokles jedną ręką zatrzymał wroga na moście prowadzącym do Rzymu. Dreser przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie nazwać nowego leku kokleiną.
[4] Cytat za: D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood* (New York, 1981), s. 235.
[5] Terry Pellens, *The Opium Problem* (New York, 1936), s. 77.
[6] Oba skutki są zminimalizowane, ponieważ substancja nie działa bezpośrednio na wyściółkę żołądka i jelit, tylko dociera tam przez ośrodkowy układ nerwowy.
[7] *Cold turkey* (ang.) – dosł. „zimny indyk", metoda leczenia uzależnień polegająca na nagłym i zupełnym odstawieniu środka uzależniającego.
[8] R.S. de Ropp, *Drugs and the Mind* (London, 1958), s. 68–70.

23. Narodziny krucjaty

[1] „Washington Post", 2 June [czerwca] 1898, [cytat w:] T.G. Paterson, J. Garry Clifford i K.J. Hagan, *American Foreign Policy: A History to 1914* (Lexington, Mass., 1983), s. 123.
[2] Prezydent Stanów Zjednoczonych William McKinley był wiernym Kościoła metodystycznego.
[3] „Oddać ich z powrotem Hiszpanii byłoby tchórzliwie i niehonorowo. Nie możemy ich wydać Francji czy Niemcom, naszym komercyjnym konkurentom na Wschodzie: byłby to kiepski i niegodny interes. Zostawieni samym sobie wkrótce doprowadziliby do anarchii

i nierządu gorszego niż pod władzą Hiszpanii". Cytat za: D. Reynolds, *America, Empire of Liberty* (London, 2010), s. 298.

[4] A pod koniec życia – Potworem.

[5] B. McAllister Linn, *The Philippine War, 1899–1902* (Lawrence University Press, Kan., 2000). Najlepsza i najbardziej wyważona relacja z konfliktu. Zob. też: Reynolds, *America*.

[6] Ibid., s. 192.

[7] Theodor Roosevelt w 1901 roku został prezydentem po Williamie McKinleyu, którego zastępcą był wcześniej.

[8] Cytat za: E. Marshall, „New York Times", 12 March [marca] 1911, s. 32.

[9] Ibid., s. 34

[10] Ibid., s. 33.

[11] Ibid., s. 35.

[12] Ibid., s. 37.

[13] „New York Times", 23 April [kwietnia] 1912, s. 65.

[14] Ibid., s. 68.

[15] 500 000 funtów to 226 796 kilogramów; 40 000 funtów to 18 144 kilogramy.

[16] „New York Times", 23 April [kwietnia] 1912, s. 69.

[17] „Journal of the American Medical Association", 1911 (34) 69.

[18] Kaliber 0.32 (cala) to 81 milimetrów; kaliber 0.38 to 97 milimetrów.

[19] E.H. Williams, „New York Times", 8 February [lutego] 1914, s. 5.

[20] Kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do pierwszej wojny światowej, zgłosił się na ochotnika i został wysłany do Francji z korpusem medycznym. Nie minął tydzień, jak rozbił swój ambulans (na szczęście nie wiózł pacjentów)

i odniósł ciężkie kontuzje. Wróciwszy do ojczyzny, zmarł w 1917 roku w wieku 50 lat.

[21] A dokładniej: w Wersalu, w ramach traktatu wersalskiego.

24. Wojna i pokój (tak jakby)

[1] Już w ciągu roku od podpisania traktatów pokojowych wybuchły wojny: w Polsce [najechanej przez bolszewików oraz prowadzącej własną kampanię na Litwie], Turcji [zaatakowanej przez Grecję] i Irlandii [walczącej o niepodległość spod władzy brytyjskiej]. W 1931 roku Japonia uderzyła na Chiny. Trzy lata później Włochy napadły na Abisynię. Dwa lata po tym wybuchła wojna domowa w Hiszpanii.

[2] Nawiązanie do wiersza *Wśród Flandrii pól kwitnący mak* autorstwa Kanadyjczyka Johna McCrae, który służył jako chirurg na frontach pierwszej wojny światowej. Maki kwitnące na zroszonej krwią ziemi są w krajach anglosaskich symbolem pamięci o poległych żołnierzach. Wiersz ma na Zachodzie taki sam wymiar jak w Polsce pieśń *Czerwone maki na Monte Cassino.*

[3] G. Csath, *The Diary of Geza Csath*, [tłum. na ang.] Peter Reich (London, 2000), s. 56.

[4] „Lancet”, edytorial, 1916 (ii), s. 534.

[5] „Lancet”, edytorial, 1917 (i), s. 28.

[6] Wysoki Sąd uwolnił Reggiego od zarzutów – nie było dowodów na to, żeby odpowiadał za śmierć Billie. Ta cokolwiek żałosna postać po rozprawie zniknęła z towarzyskiej sceny.

[7] Bracia plymuccy – konserwatywny nurt brytyjskiego protestantyzmu.

[8] Cytat za: M. Booth, *Opium. A History* (New York, 1996), s. 345.

[9] Cytat za: V. Berridge i G. Edwards, *Opium and the People* (London, 1981), s. 65.
[10] F.P. Walters, *A History of the League of Nations*, 2 tomy (Oxford, 1952), tom I, s. 32.
[11] W Argentynie trwały wewnętrzne zamieszki polityczne, z kolei kłopoty Litwy polegały na tym, że w 1920 roku została najechana przez wojsko polskie pod wodzą generała Żeligowskiego, który zajął litewską stolicę i wraz z okolicami przyłączył ją do Polski.
[12] Podsumowanie ibid., s. 128.
[13] Deliberacje Ligi na tematy związane z opium dobrze opisał J.M. Scott w publikacji *The White Poppy. A History of Opium* (London, 1971) oraz – w bardziej plotkarskim stylu – G. von Turkoczy w *Népszövetségi Krónika* [„Kronika Ligi Narodów”] (Budapest, 1942).
[14] Straits Settlement – brytyjskie terytorium zależne istniejące od 1826 roku do drugiej wojny światowej, utworzone na Półwyspie Malajskim z posiadłości Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.
[15] Brunei – państwo islamskie na wyspie Borneo; Sarawak – królestwo, które na początku XIX wieku oderwało się od Brunei, obecnie stan Malezji.
[16] Cytat za: J.M. Scott, *The White Poppy*, s. 243.
[17] G. von Turkoczy, *Népszövetségi Krónika* (Budapest, 1942), s. 176.
[18] Cytat za: Walters, *History of the League of Nations*, tom I, s. 324.
[19] A. Apponyi, Count, *Emlekezetek* [„Reminiscencje”] (Budapest, 1938), s. 432.

25. Ofiary i niedobitki

[1] *Galgenhumor* (niem.) – wisielczy humor.
[2] *Der himmlische Pravaz* (niem.) – boska strzykawka.

[3] W Polsce została po raz pierwszy wydana w 1934 roku pod tytułem *I cóż dalej, szary człowieku?*, wznowiona w 1960, a ponownie opublikowana w innym tłumaczeniu w 2013 roku pod tytułem *Co dalej, szary człowieku?*.

[4] Jest dostępny nowy przekład na angielski autorstwa Susan Bennett, wydany w miękkiej okładce (London, 2009).

[5] Urodził się jako Rudolf Ditzen w 1893 roku.

[6] Cytat za: M. Seefelder, *Opium. Eine kulturgeschichte* (Hamburg, 1987), s. 168.

[7] Nakręcona w 1934 roku (rok po filmie niemieckim) pod tytułem *Little Man, What Now?*.

[8] Książka ukazała się pośmiertnie pod tytułem *Każdy umiera w samotności*. Wydanie amerykańskie miało tytuł *Alone in Berlin*, angielskie: *Every Man Dies Alone*.

[9] Profesor Werner Goetze z Uniwersytetu Berlińskiego (zmarł w 2002 roku w Berlinie); osobista komunikacja.

[10] Sir T. Brunton, *Lectures on the Actions of Medicines* (London, 1897), s. 640.

[11] Ibid., s. 642.

[12] Lord kanclerz – przewodniczący Izby Lordów w brytyjskim Parlamencie.

[13] A. Birrel, *Sir Frank Lockwood* (London, 1898), s. 191.

[14] W imieniu autora artykuł odczytał na konferencji jego przyjaciel. Sam Koller, młodszy, nieopłacany asystent z uniwersyteckiej Kliniki Okulistycznej ani nie dostał urlopu, ani nie miał pieniędzy na przejazd pociągiem. Później wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i został szanowanym chirurgiem ocznym w nowojorskim Szpitalu Góry Synaj. Zmarł w 1944 roku, mając 87 lat.

[15] Osler zmarł w 1919 roku. Wśród jego książek znajdowała się zamknięta *Sekretna historia*, zawierająca szczegółową relację z uzależnienia Halsteda.

[16] Podczas wojny szpital cierpiał na deficyt personelu pomocniczego i salowych. Pewnego okropnego ranka zespół operacyjny, goście i studenci zostali zaalarmowani krzykami pielęgniarki, która dostrzegła przebiegającą po podłodze mysz. Zaraz potem zapadła cisza, przerwana pytaniem szefa: „Siostro, czy nasz kolega gryzoń poddał się sterylizacji?”.

[17] Najważniejszą cechą tej operacji było usunięcie podczas jednego zabiegu dotkniętej rakiem piersi oraz pachowych węzłów chłonnych, uważanych za miejsce, z którego najczęściej rozprzestrzenia się rak. Dopiero w latach 70. XX wieku tę okaleczającą metodę zastąpiono bardziej ograniczonym wycięciem samej tkanki dotkniętej nowotworem, przy czym po zabiegu stosuje się radioterapię.

[18] Cytat za: J.M. Scott, *The White Poppy. A History of Opium* (London, 1971), s. 145.

[19] *League of Nations Publications* (Geneva, 1936), tom X, s. 564.

[20] Niemcy wystąpiły z Ligi w 1933 roku, Włochy – w grudniu 1937 roku. W 1935 roku Włochy napadły na Abisynię, dokonując licznych zbrodni i stosując politykę terroru (użycie broni chemicznej, masowe egzekucje, masakry ludności cywilnej, obozy pracy). Cesarz Abisynii udał się na wygnanie.

[21] H.B. Spear, *The early years of the “British System” in Practice*, [w:] J. Strang i M. Gossop [red.], *Heroin Addiction and Drug Policy. The British System* (Oxford, 1994), s. 142.

26. Nieświęte przymierza

[1] Goering, kiedy go schwytano w 1945 roku, też miał przy sobie spory zapas morfiny.

[2] Kiedy Alfred W. McCoy opublikował swoją popartą starannymi badaniami książkę, Stany Zjednoczone znów prowadziły wojnę, tym razem w Wietnamie, dlatego dołożono wszelkich starań, by jego głos nie rozległ się zbyt donośnie.
[3] Santo Trafficante Junior – dosł. „święty przemytnik młodszy”.
[4] W. Burroughs, *Naked Lunch* [*Nagi lunch*] (1959; New York), s. 5.
[5] Zob. rozdział 32.
[6] Zob. ibid. 33.
[7] Powiedz *Hi!* (cześć), gdy masz haj.
[8] Kiedy siły Wietnamu Północnego zbliżały się do Sajgonu, prezydent Thieu, ostatni z szeregu marionetek, ustąpił z urzędu, oskarżając Henry’ego Kissingera i Stany Zjednoczone o zdradzenie Wietnamu.

27. Ćpuny

[1] Polskie słowo „ćpun” pochodzi od czasownika „ćpać”, który podobnie jak *junk* i *junky* jest starym wyrazem, a dawniej oznaczał „jeść dużo, powoli, ustawicznie opychać się jadłem, pakować w siebie” (w: *Słownik języka polskiego*, red. Karłowicz, Kryński, Niedźwiedzki, Warszawa 1898).
[2] P. Bailey, *The heroin habit*, „New Republic”, 12 April [kwietnia] 1916.
[3] D. Phear, *The living dead*, „Today”, 1928 (12) 24.
[4] Wystarczy miłość/potrzeba wam tylko miłości.
[5] W pewnym momencie aktorka Linda Lovelace twierdziła, że swoją główną rolę w *Głębokim gardle* grała w narkotykowym transie.
[6] J. Kerouac, *On the Road* [*W drodze*] (1957; Penguin Classics, London, 1986). Początek trudno się czyta, ale

potem lektura wciąga i staje się frapująca.

[7] Być może dałoby się ich raczej porównać do żebrzących zakonników, głównie franciszkanów i dominikanów, którzy – zainspirowani naukami świętego Franciszka – przemierzali chrześcijańską Europę w XIV wieku, albo może do ruchu młodzieżowego Wandervogel w XIX-wiecznych romantycznych Niemczech. [Wandervogel (niem.) – „wędrowny ptak”; pionierzy niemieckiego skautingu głoszący budowę nowego porządku – przyp. tłum.].

[8] Wolter kończył tym hasłem wiele swoich listów. Tłumaczy się to różnie: Zniszczcie tę hańbę! Zdepczmy, co bezecne! Zgniećmy ohydę! Zgniećmy nędznika! A za „bezecnika”, „hańbę” czy „ohydę” uważa się wszystko, co związane z fanatyczną religijnością i państwem wyznaniowym.

[9] Allen Ginsberg, *Howl and Other Poems* [„*Skowyt* i inne wiersze”] (New York, 1956), s. 7.

[10] Przeł. Marcin Walkowiak.

[11] Ale Burroughs mógł rozumować równie naiwnie jak Nancy. Opium, morfina i heroina nigdy nie były po prostu „wielkim ubogaceniem umysłu”.

[12] Wśród nich: Joan Baez, Janis Joplin, The Who, Jefferson Airplane i Jimi Hendrix.

[13] Jak Jimi Hendrix. Po ostrym debiutanckim albumie *Are You Experienced* (1967) jego kariera trwała zaledwie cztery lata (z których większość spędził w Anglii). Zmarł w 1970 roku z przedawkowania (przypadkowego? samobójczego? zabójczego?), mając 27 lat.

[14] Szacowano, że w roku milenijnym 33,9% dotarło na Wyspy w ciężarówkach, 19,9% w ładowniach statków, 14,9% w prywatnym bagażu, 3,8% wwieźli podróżni, z czego połowę wewnątrz ciała; pozostała część

przeniknęła w inny sposób, na przykład w przesyłkach pocztowych, torbach dyplomatów czy w postaci zrzutów z powietrza oraz z jednostek pływających.

[15] „News of the World” – niedzielne wydanie brytyjskiego tabloidu „The Sun”; ukazywało się regularnie do 2011 roku.

[16] *Everybody must get stoned* (ang.) – dwuznaczne: każdy musi się dać zamienić w kamień/każdy się musi naćpać.

[17] G. Greene, *My own devil*, „Vogue”, October [październik] 1973, s. 25.

28. Strażnicy prawa

[1] L. Katcher, *The Big Bankroll. The Life and Times of Arnold Rothstein* (New York, 1959), s. 324. Scott Fitzgerald wzorował się na Rothsteinie, tworząc postać Meyera Wolfsheima, przestępczego wspólnika Jaya Gatsby’ego.

[2] Tammany Hall – amerykańska organizacja istniejąca od 1786 roku do połowy lat 60. XX wieku; wspierając Partię Demokratyczną, kontrolowała miejscowych polityków i wspomagała imigrantów, szczególnie z Irlandii.

[3] Cytat za: D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood* (New York, 1981), s. 290.

[4] H. Anslinger i C.R. Cooper, *Marihuana, assassin of youth*, „American Magazine”, 1937 (124) 150.4.

[5] H. Anslinger, *The psychiatric aspects of marihuana intoxication*, „Journal of the American Medical Association”, 16 January [stycznia] 1943, s. 212.

[6] R. Ellison, *Invisible Man* [*Niewidzialny człowiek*] (Washington, 1953), s. 83.

[7] H. Anslinger i W. Oursler, *The Murderer* (New York, 1961), s. 131.

29. Zero tolerancji

[1] Cytat za: D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood* (New York, 1981), s. 298.
[2] R.M. Nixon, *In the Arena* (New York, 1990), s. 199.
[3] A. Summers, *The Arrogance of Power* (New York, 2000), s. 317.
[4] G. Vidal, *Collected Essays, 1952–1972* (New York, 1974), s. 374.
[5] Philippe Bourgeois, *In Search of Respect* (Cambridge, 1995), s. 345.
[6] A. Efthimiou-Mordaunt, *The user's voice*, „Inside Out", 2000 (14), s. 9.
[7] Lecz w przeciwieństwie do opium, czysta heroina nie dymi się dobrze i na ogół raczej się ją wstrzykiwało i wstrzykuje nadal. Do palenia zazwyczaj mieszano ją z inną substancją, na przykład kofeiną lub jakimś barbituratem; ta pierwsza mieszanka była powszechnie znana jako „chińszczyzna nr 3". „Brązowe opium", czyli irańska heroina zmieszana z kofeiną, było popularne w roku milenijnym wśród młodych modnych ludzi. Niektórzy dodawali do heroiny kwasek cytrynowy. „Czarna smołowa hera" zawierała tak dużo kwasu octowego, że paliła się stosunkowo łatwo (choć dym był drażniący); moda na nią panowała w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii w latach 80. XX wieku.
Palenie heroiny jest tak samo uzależniające jak wstrzykiwanie i może być równie śmiertelne. U niektórych palaczy heroiny rozwija się ostatecznie fatalna w skutkach choroba zwana leukoencefalopatią, polegająca na tym, że istota biała w mózgu ulega degeneracji, co się objawia postępującymi zaburzeniami mowy, utratą koordynacji ruchów oraz innymi symptomami neurologicznymi.
[8] Dale Beckett, *Heroin, the gentle drug*, „New Society", 26 July [lipca] 1979, s. 181.

[9] W. Self, cytat za: R. Davenport-Hines, *The Pursuit of Oblivion* (London, 2001), s. 367.
[10] Crack to kokaina w formie do podgrzewania i wdychania oparów.
[11] Cytat za: Davenport-Hines, *Pursuit of Oblivion*. W tej pracy szczególnie dobrze opisano narkotykową scenę Londynu lat 90. XX wieku.
[12] R. Robertson, *Epidemic of AIDS related virus infection among intravenous drug abusers*, „British Medical Journal", 1986 (i), 527.
[13] A. Dally, *A Doctor's Story* (London, 1990). Kluczowe źródło wiedzy o tym okresie.
[14] Royal College of Psychiatrists, *Drug Scenes* (London, 1987).
[15] V. Berridge, *AIDS in the UK* (Oxford, 1996).

30. Lekarstwo samego Boga

[1] *Calvaires* (fr.) – kalwarie; w tradycji francuskiej określa się tym słowem nie stacje Drogi Krzyżowej, tylko grupę rzeźb zwykle przedstawiającą trzy krzyże.
[2] Wiele działań dobroczynnych więdło w cieniu Narodowej Służby Zdrowia, błędnie postrzeganej jako instytucja wystarczająca na potrzeby narodu, przy której wszelka prywatna inicjatywa jest zbędna.
[3] Z perspektywy lat dyrektorka szkoły z internatem Roedean School przypomniała sobie, że dostrzegała w Cicely wyjątkowe talenty przywódcze.
[4] Pod tym i pod wieloma innymi względami istniało podobieństwo pomiędzy nią a Florence Nightingale. Dama z lampą, wywodząca się z rodziny hrabiowskiej, mogła pisać do „Sidneya" (Sidneya Herberta, ministra wojny i kuzyna hrabiego Pembroke) jak równa mu społecznie i tak też czyniła regularnie ze szpitala w Scutari.

[5] Była lekko rozczarowana tym, że papież Jan Paweł II podczas swej oficjalnej czterodniowej wizyty w Wielkiej Brytanii, planowanej w najmniejszym szczególe na wiele miesięcy wcześniej, nie znalazł chwili, by wpaść do Świętego Krzysztofa na herbatę. Zamiast papieża przysłano kardynała.

[6] Jeden standardowy podręcznik odrzuca tę dysproporcję „z oczywistych powodów". Dla autora niniejszej książki nigdy nie były one oczywiste.

[7] Postępowanie z osobami nieuleczalnie chorymi zajmowało wielkich francuskich klinicystów XIX wieku. Często cytowano zalecenie: *Guérír quelquefois, soulager souvent, embrasser toujours* [„Czasami uleczyć, często przynieść ulgę, zawsze pocieszyć"], ale nie była to idea anglosaksońska, a nawet we Francji tylko nieliczni wiedzieli, jak wcielić tę zasadę w życie.

[8] Z tej zasady, i nie tylko zresztą z niej, wyłamywał się Jean Martin Charcot. Jego monumentalne sześciotomowe dzieło *Système de medecine*, jedno z największych medycznych opracowań wszech czasów, zawiera znakomity rozdział poświęcony zastosowaniu opiatów.

[9] J. Snow, *Opium and cocaine treatment in cancerous disease*, „British Medical Journal", 1896 (21) 718. Autor był wybitnym lekarzem, ale nie miał nic wspólnego z Johnem Snowem wsławionym pracami nad cholerą i znieczuleniem.

[10] Sir W. Osler [w:] N. Sykes, P. Edmonds i J. Wiles [red.], *Management of Advanced Disease*, wyd. III (London, 1905), s. 15.

[11] A. Worcester, *The Care of the Aged, the Dying and the Dead* (Springfield, Ill., 1935; rep. Oxford, 1961).

[12] R. Abrams, G. Jameson, M. Poehlman i S. Snyder, *Terminal care in cancer. A study of 200 patients attending*

Boston clinics, „New England Journal of Medicine”, 1945 (232) 719.

[13] C. Saunders, *The treatment of intractable pain in terminal cancer*, „Proceedings of the Royal Society of Medicine”, 1964 (4) 68.

[14] Święty Krzysztof nie figuruje już w kanonicznym rejestrze świętych i niewykluczone, że był postacią mityczną, ale tradycyjnie uznaje się go za patrona osób udających się w długą podróż, zatem nazwanie jego imieniem hospicjum wydaje się całkiem właściwe.

[15] Doceniono również osobiste osiągnięcia Cicely Saunders. Obsypano ją deszczem honorowych członkostw i doktoratów, odznaczono Orderem Imperium Brytyjskiego oraz Orderem Zasługi. Ten ostatni wcześniej nadano również Florence Nightingale – została jedną z pierwszych dam tego orderu, gdy tylko ustanowił go król Edward VII. Dama Cicely zmarła w Hospicjum Świętego Krzysztofa 5 lipca 2005 roku.

[16] *Jonction neuromusculaire* (fr.) – połączenie nerwowo-mięśniowe; w polskim nazewnictwie: płytka nerwowo-mięśniowa.

[17] J.N. Langley, *The Autonomous Nervous System* (Cambridge, 1921). Przełomowa książka.

[18] C. Pert i S.H. Snyder, *Opium receptors: demonstration in nervous tissue*, „Science”, 1973 (179) 1011.

[19] A. Goldstein, *Addiction. From Biology to Drug Policy*, wyd. II (Oxford, 2001). Znakomita relacja spisana przez jednego z uczestników wydarzeń.

[20] A. Corbett, S. McKnight i G. Henderson, *Opioid receptors*, zob. http://opioids.com/receptors/index. html, dostęp lipiec 2010.

[21] S.A. Greenfield, *Brain Story* (London, 2000). Książka napisana na podstawie popularnonaukowej serii filmów

telewizyjnych, zapewne fascynujących.

[22] J. Fichna, A. Janecka, M. Piestrzeniewicz, J. Costentin i J.C. do Rego, *Antidepressant-like effects of Endorphin-1 and Endorphin-2 in mice*, „Neuropsychopharmacology", 2006 (6) 5.

[23] Goldstein, *Addiction*, wyd. II (Oxford, 2001), s. 79.

[24] Ibid., s. 86.

[25] W. Zhu, K. Mantione, R.M. Kream i G.B. Stefano, *Alcohol-, nicotine-, and cocaine-induced release of morphine from human white blood cells*, „Medical Science Monitor", 2007 (12) 350.

[26] A. Drewnowski, D.D. Krahn, M.A. Demitrach, L. Nairn i P.A. Gosnell, *Taste responses and preferences for sweet high-fat foods: evidence for opioid involvement*, „Physiological Behaviour", 1992 (51/2) 371.

[27] Angielska powieściopisarka Enid Bagnold uzależniła się od morfiny podczas pierwszej wojny światowej, kiedy pełniła służbę jako ochotnicza pielęgniarka. Nie pozbyła się uzależnienia, nawet dodała do niego amfetaminy, a mimo to żyła długo i pracowała aż do śmierci; zmarła w wieku 91 lat.

31. Kuracje odwykowe

[1] Cytat za: D. Latimer i J. Goldberg, *Flowers in the Blood* (New York, 1981), s. 247.

[2] Nawet poważne książki sugerują, że nazwa ta miała być hołdem złożonym Führerowi i była skrótem od „adolfiny". W rzeczywistości odnosiła się do łacińskiego słowa *dolor*, „ból", a upubliczniono ją dopiero po wojnie – zrobił to amerykański oddział firmy farmaceutycznej Ely Lilly.

[3] V. Dole, *Addictive behaviour*, „Scientific American", December [grudzień] 1980.

[4] J. Pullinger i A. Quickie, *Chasing the Dragon* (London, 1989), s. 65.
[5] M. Booth, *Opium. A Hist*ory (New York, 1996), s. 195.

32. Życie i śmierć narkotykowego barona

[1] Takie określenia najwyraźniej rozprzestrzeniają się nadzwyczaj szybko. O Złotym Trójkącie jako pierwszy wspomniał publicznie amerykański podsekretarz stanu Marshall Green podczas konferencji prasowej 12 lipca 1971 roku.
[2] Ale zdaniem Bertila Lintnera przymiotnik może się wywodzić od pierwszych handlarzy w pogranicznym rejonie Trójkąta, zwłaszcza tych z miasteczek po obu stronach granicy tajlandzko-birmańskiej, którzy wymieniali opium za 99-procentowej czystości złoto: B. Lintner, *Burma in Revolt* (Washington, DC, 1994).
[3] Nowa nazwa Birmy nie przyjęła się w świecie, jak Sri Lanka, Bangladesz czy Tajwan, ponieważ została wprowadzona przez wojskową juntę, która przejęła władzę w niedemokratyczny sposób. [W języku polskim status nowej nazwy wciąż nie jest jasny. Na arenie międzynarodowej zaakceptowało ją ONZ. Sprawę komplikuje fakt, że „Birma” (ang. Burma) to tylko lekko przekręcony uproszczony wariant fonetyczny birmańskiego „Mjanma” – przyp. tłum.].
[4] Potężne królestwo Szanów zaistniało po mongolskim najeździe w XIII wieku i niegdyś rozciągało się daleko poza północną Birmę. Później przeżyło schyłek, a w końcu padło ofiarą niefrasobliwego rysowania map w epoce kolonialnej oraz pośpiesznego przerysowywania ich po dekolonizacji.
[5] Deklaracja Balfoura – list brytyjskiego ministra spraw zagranicznych lorda Balfoura do barona Waltera

Rothschilda; pismo to stało się podstawą do utworzenia w 1922 roku Mandatu Palestyny, z którego w 1948 wydzieliło się państwo Izrael.

[6] W latach 70. XX wieku na szczycie tajlandzkiej hierarchii błyszczał marszałek Sarit: chełpił się, że ma 100 kochanek, arbitralnie przeprowadzał egzekucje przestępców, robiąc z tego publiczne spektakle, a po śmierci zostawił posiadłość wartą 150 milionów dolarów. Tajlandzka policja przypuszczalnie nawet nie mogła postawić w stan oskarżenia 15 największych handlarzy narkotykowych z Bangkoku, ponieważ odizolowali się oni od bezpośredniego kontaktu z tym procederem. Stany Zjednoczone, mimo że utrzymywały w Tajlandii 20 agentów i dysponowały rocznym budżetem w wysokości sześciu milionów dolarów, na polu operacji antynarkotykowych były zależne od współpracy z miejscową policją, a „policjanci są tak skorumpowani, że żołądek się od tego przewraca” – wypowiedział się jeden z działających w Bangkoku funkcjonariuszy agencji Drugs Enforcement Authority w wywiadzie z 1975 roku. „Graniczne patrole policyjne biorą łapówki za wpuszczenie opium i heroiny, a prowincjonalna policja »antynarkotykowa« transportuje towar z północnej Tajlandii do Bangkoku według instrukcji narkotykowych karteli” (A.W. McCoy, *The Politics of Heroin*, Chicago, 2003).

[7] W 1974 roku we Francji ustanowiono urząd laotańskiego ambasadora, na który – w dowód tradycyjnego w Laosie szacunku dla kultury francuskiej – powołano księcia Sopsaisanę. Był on nie tylko członkiem rodziny królewskiej, lecz także wiceprzewodniczącym laotańskiego zgromadzenia narodowego, członkiem licznych międzynarodowych organizacji, przewodniczącym

Akademii Laotańskiej i szefem laotańskiego sądownictwa. Po wylądowaniu na lotnisku Orly policyjny pies przeszkolony do poszukiwania narkotyków znalazł w osobistym bagażu księcia 50 kilogramów heroiny wiezionej na zlecenie triad Teochiu.
Mimo zastosowania wymyślnego sprzętu elektronicznego psy policyjne wciąż wygrywają z maszynami. Przedstawiciele aktywnych ras, jak spaniele, tańczą wokół swojego znaleziska i nic ich nie powstrzyma. Bardziej flegmatyczne setery i labradory siadają koło podejrzanego i nawet nie drgną. Snag, pracujący w służbie celnej Stanów Zjednoczonych, wykrył towar o łącznej wartości blisko miliarda dolarów.

[8] Milton Keynes – miasto założone w Wielkiej Brytanii w 1967 roku, w równej odległości od Birmingham i Londynu, będące nie naturalnie rozwiniętym, lecz celowo zaprojektowanym tworem urbanistycznym. W Polsce podobnym przykładem mogą być Tychy.

[9] Sun Myung Moon w 1954 roku założył chrześcijański Kościół Zjednoczeniowy.

[10] A.F.B. (zm. 2002) był osobistym przyjacielem, który trzy razy odwiedził ten region w celach służbowych.

[11] A.F.B., skrócona osobista relacja.

[12] Drug Enforcement Administration – amerykańska agencja rządowa zajmująca się egzekwowaniem praw antynarkotykowych.

[13] Jean-Louis Destruelle, osobista komunikacja.

[14] John Newman, polityk wypowiadający się przeciw narastającemu zagrożeniu ze strony narkotyków, został zastrzelony przed swoim domem na przedmieściu Cabramatta w Sydney. Zabójców dwa tygodnie później wyeliminował konkurencyjny gang. (Zob. McCoy, *Politics of Heroin*, s. 354.)

[15] Mjanma – nazwa Birmy forsowana od 1989 roku. Zob. przypis autorski numer 3 do tego rozdziału.
[16] A.T., osobista komunikacja. Profesorowie medycyny w Anglii nie noszą spinek do krawata w kształcie smoka, ale na szczęście klejnot dało się przerobić na damską broszkę.
[17] A.W. McCoy wykazał daremność przeznaczania ogromnych sum pieniędzy na próby ujęcia czy zabicia czołowych postaci narkotykowego handlu, co było głównym celem wojny wydanej narkotykom w Stanach Zjednoczonych. Na zwolnione w ten sposób miejsce zawsze szybko wskakuje ktoś następny. (McCoy, *Politics of Heroin*, wyd. przejrzane, Chicago, 2003).
[18] Dobrze opisali to B. Lintner i M. Black w książce *Merchants of Madness. The Methamphetamine Explosion in the Golden Triangle* (New York, 2009).

33. Utworzenie współczesnego narkostanu

[1] Na ziemiach dzisiejszego Pakistanu [do 1947 roku wchodzących w skład Indii Brytyjskich] i Iranu [dawna nazwa: Persja] zarówno uprawa maku, jak i konsumpcja opium były bardziej znaczące, ale żaden z tych dwóch krajów nigdy nie należał do czołówki światowych dostawców. [Afganistan leży pomiędzy Pakistanem a Iranem – przyp. tłum.].
[2] *Brzemię białego człowieka* – tak brzmi tytuł wiersza, który Rudyard Kipling napisał po amerykańskim podboju Filipin i innych kolonii hiszpańskich. Wiersz mówi o misji krajów chrześcijańskich, które z racji swojego poziomu rozwoju powinny szerzyć w świecie zdobycze cywilizacji. Jedni interpretowali to dosłownie, inni usprawiedliwiali tymi poglądami ekspansję kolonialną, a jeszcze inni uznali

wiersz za satyrę na kolonializm. Tytuł wiersza stał się chwytliwym sloganem.

[3] Pojęcie Wielkiej Gry podobno ukuł Michael Conolly, działający w XIX wieku oficer wywiadu, ale do powszechnego użycia wprowadził je Rudyard Kipling w powieści *Kim* w 1901 roku. Dwa lata wcześniej ukazał się jego wiersz *Brzemię białego człowieka*.

[4] Wielu ludziom otworzyła na to oczy dopiero urządzona w londyńskim Muzeum Brytyjskim w 2010 roku wystawa poświęcona sztuce Afganistanu.

[5] Na wieść o sromotnej porażce księcia Brunszwiku Karola I po wymianie ognia artyleryjskiego pod Valmy w 1792 roku młody Metternich zanotował w swoim dzienniku: „Nigdy nie uderzaj w rewolucję, przenigdy. Choćby się to wydawało nieprawdopodobne, rewolucja i tak zwycięży". W historii dowodzą tego niezliczone przykłady.

[6] Całkowita liczba ludności Afganistanu na rok 2016: 33,3 miliona.

[7] Czarne runo nowo narodzonych jagniąt rasy karakuł to podobno najmiększa, a zarazem najwytrzymalsza zwierzęca skóra. Karakułowa czapka najwyraźniej była ulubionym nakryciem głowy prezydenta Karzaja, jak niegdyś Jinnaha. [Muhammad Ali Jinnah (1876–1948) – polityk, pakistański bohater narodowy. Aby otrzymać miękkie futro karakułów, pozyskuje się je z płodów owiec, wywołując sztuczne poronienia; wkrótce po przyjściu na świat jagnięcia jego silnie skręcone włosy rozprostowują się – przyp. tłum.].

[8] System polega na tym, że w momencie wysiewu kupiec płaci rolnikowi połowę wynagrodzenia za spodziewane plony w przeciętnie otrzymywanej ilości.

[9] Korupcja w obecnym zachodnim sensie może istnieć tylko w takich społeczeństwach, w których nieposzlakowana uczciwość finansowa jest normą. A nie zawsze była nią nawet na Zachodzie. Nie była również w Indiach pod brytyjską władzą w XVIII wieku, kiedy energia obrotnych ludzi odstawiła etyczne zasady do lamusa. Nie była też normą dla księcia Talleyranda, który bez skrupułów przyjmował łapówki od wrogów swojego kraju w czasie wojny. I często nie bywa normą, gdy cudzoziemski system rządów zostanie narzucony niechętnemu społeczeństwu mającemu własne, odmienne tradycje. Normą nie jest także w dzisiejszym Afganistanie. Afgańczycy często ubolewają nad korupcją przed zachodnimi gośćmi, ale to tylko taki polityczny rytuał. Łapownictwo stało się w tym kraju siecią spajającą społeczeństwo, niedoskonałą, ale jedyną, jaką ten naród ma.

[10] Afganistan bywa czasem porównywany do Wietnamu. Jedna z różnic polega na tym, że heroinowy nałóg nie rozprzestrzenił się wśród amerykańskich i innych zachodnich oddziałów stacjonujących w Afganistanie. A może jednak? W wiadomościach BBC 14 września 2010 roku po raz pierwszy wspomniano o zarzutach, jakoby brytyjski personel wojskowy wykorzystywał armijną pocztę i inne służby do „wielkoskalowego nielegalnego handlu” heroiną. Oskarżenia przyjęto poważnie i wszczęto dochodzenie.

[11] Zob. P.-A. Chouvy, *Opium. Uncovering the Politics of the Poppy* (Cambridge, Mass., 2010), s. 151.

[12] D. Mansfield, *Beyond the Metrics: understanding the nature of change in the rural livelihood of opium poppy growing households in the 2006/7 growing season*. Raport

przygotowany dla brytyjskiej jednostki rządowej Afghan Drugs Interdepartmental Unit (London, 2007).

[13] Cytat za: Chouvy, *Opium*, s. 207.

34. Nowe szlaki, stare perypetie

[1] Cytat za: P.-A. Chouvy, *Opium. Uncovering the Politics of the Poppy* (Cambridge, Mass., 2010), s. 56.

[2] Nie odnosi się to do szczupłych artystyczno-literackich kręgów Moskwy i Petersburga. Portret Modesta Musorgskiego pędzla Ilii Riepina, namalowany na kilka dni przed śmiercią kompozytora, przedstawia zarówno alkoholika, jak i człowieka uzależnionego od narkotyku.

[3] Ofiarami były: Tania Nicol (19 lat), Anneli Alderton (24, matka jednego dziecka), Annette Nicholls (29, matka jednego dziecka), Paula Clennell (24, matka trojga dzieci) i Gemma Adams (25; jej partner też był uzależniony od heroiny).

[4] Do niedawna wyprzedzała ją Portugalia, ale tam liczba osadzonych wyraźnie zmalała po dekryminalizacji posiadania narkotyków.

[5] T. Rhodes, A. Sarang, P. Vickerman i M. Hickman, *Why Russia must legalise methadone*, „British Medical Journal", 2010 (341) 129. Znakomity, aktualny przegląd sytuacji.

[6] Książka powstawała w 2011 roku, za prezydentury Baracka H. Obamy.

[7] Barack H. Obama nigdy nie krył swoich błędów młodości, w tym eksperymentów z narkotykami. Jako prezydent ułaskawił setki osób skazanych za przestępstwa związane z narkotykami, ale popełnione bez użycia przemocy. Zabiegał też o złagodzenie kar przewidzianych za takie przestępstwa, a tym samym odciążenie więzień (koszty amerykańskiego więziennictwa w 2016 roku

szacowano na 80 miliardów rocznie; w amerykańskich zakładach karnych przebywało 25% więźniów świata, czyli cztery razy więcej niż w Chinach). Reformy nie zdążyły dość do skutku. Kolejny prezydent, Donald J. Trump, jest przeciwnikiem liberalizacji prawa narkotykowego. Źródło informacji: „Rzeczpospolita”.

[8] W Londynie, Glasgow i Manchesterze w ciągu ostatnich 10 lat cena heroiny była bardziej stabilna od ceny chleba.

Wybrana bibliografia, opatrzona uwagami

Z wyjątkiem kilku istotnych artykułów bibliografia obejmuje książki i dokumenty o objętości książek. Większość odniesień do pojedynczych tekstów prasowych, broszur itp. zawarto w przypisach autorskich.

Literatura dotycząca sławnych ludzi korzystających z opium – jak Coleridge, Keats, Poe, Novalis czy Baudelaire – jest ogromna. Dołożono starań, by wybrać prace biograficzne rzucające światło na opiumowy nawyk czy nałóg danej osoby.

Dołączono również kilka szczególnie wymownych dla tematu dzieł z zakresu fikcji oraz nagrań muzycznych.

Abraham, J., *Science, Politics and the Pharmaceutical Industry* (London, 1996).

Abrams, M.H., *The Milk of Paradise: The Effect of Opium Visions on the Works of De Quincey, Crabbe, Francis Thompson and Coleridge* (Boston, 1934). Interesująca i pionierska praca.

Accum, F., *A Treatise on Adulterations of Food, and Culinary Poisons* (London, 1820). Przełomowa książka; swego czasu wywarła spory wpływ, a i obecnie niektóre fragmenty ścinają krew w żyłach.

Adler, P.A., *Wheeling and Dealing: An Ethnography of an Upper-Level Drug Dealing and Smuggling Community* (New York, 1985). Nietypowa, ale przykuwająca lektura.

Alagappa, M. [red.], *Political Legitimacy in South-East Asia. The Quest for Moral Authority* (Stanford, 1995).

Albutt, T.C., *On the abuse of hypodermic injections of morphia*, „Practitioner”, 1870 (5) 327. Ważny i swego czasu bardzo prowokujący artykuł.
Albutt, T.C., *A System of Medicine* (London, 1897). Najsłynniejszy podręcznik swoich czasów, z długimi i sensownymi sekcjami poświęconymi zażywaniu i nadużywaniu morfiny aplikowanej zastrzykami.
Alexander, R., *The Rise and Progress of British Opium Smuggling*, wyd. III (London, 1886). Wciąż znakomita lektura.
Almeida, H. de, *Romantic Medicine and John Keats* (Oxford, 1991).
Alston, C., *A Dissertation on Opium*, [w:] *Medical Essays and Observations*, tom V (Edinburgh, 1742), s. 110. Pierwsze uprawy opium w Wielkiej Brytanii.
Anderson, F., *The Rebel Emperor* (London, 1958). Jedna z nielicznych pełnych życzliwości i twórczych relacji z powstania tajpingów.
Anderson, J., *The Taliban Opium War*, „New Yorker”, 9 July 2007.
Anderson, L., kapitan, *A Cruise in an Opium Clipper* (London, 1935). Rejs z Tajwanu w latach 50. XIX wieku; zachwycający.
Anderson, O., *Suicide in Victorian and Edwardian England* (London, 1987).
Anon., *Opium Eating. An Autobiographical Sketch by an Habituate* (Philadelphia, 1876). Jedna z wielu podobnych publikacji w duchu wyznania wywodzących uzależnienie od doświadczeń wojny secesyjnej.
Anstie, F.E., *Stimulants and Narcotics. Their Mutual Relations* (London, 1864).
Anstie, F.E., *Neuralgia and the Diseases that Resemble it* (London, 1871). Nadzieje na to, że donerwowe iniekcje

morfiny wyleczą newralgię, później zawiodły.
Ansubel, P.D., *Drug Addiction: Physiological, Psychological and Social Aspects* (New York, 1958).
Apponyi, A., hrabia, *Emlekezetek* [„Wspomnienia”] (Budapest, 1938). Apponyi był szefem węgierskiej delegacji w Lidze Narodów oraz cieszył się uznaniem, ponieważ gorąco popierał rewizję paryskich traktatów pokojowych. Wziął udział w trzeciej Konferencji na temat Opium.
Arethaeus, *Opera* [Areteusz z Kapadocji, *Dzieła*, poł. II w. n.e.], [tłum. na ang.] F. Adams (London, 1856).
Armstrong-Jones, R., *Notes on some cases of morphinomania*, „Journal of Mental Sciences”, 1902 (48) 478. Autor był jednym z wiodących „psychiatrów” w Wielkiej Brytanii.
Artaud, A., *Artaud Anthology* (San Francisco, 1965).
Ashley, R., *Heroin: The Myth and the Facts* (New York, 1972). Miażdżący atak na prawną kontrolę narkotyków.
Asad, A.Z. i Harris, R., *The Politics and Economics of Drug Production on the Pakistan–Afghanistan Border* (Aldershot, 2003).
Auersperg, J. [red.], *Erinnerungen des Prinzen Joachim von Auersperg, 1740–48* (Vienna, 1889). Autor udał się do Indii po części dlatego, że uciekał przed wierzycielami. Redaktor tej publikacji był jego prawnukiem, a poszczęściło mu się bardziej niż przodkowi dzięki roztropnie zawartym małżeństwom. Nie jest to szczególnie ekscytująca opowieść, ponieważ dominują w niej trawienne dolegliwości księcia.
Augustine, St, *Confessions* [św. Augustyn, *Wyznania*], [tłum. na ang.] H. Chadwick, 3 tomy (Oxford, 1992). Wzorzec dla niezliczonych pisarzy relacjonujących samoobjawienia, w tym de Quinceya.

Maung Htin Aung, *A History of Burma* (Cambridge, 1967). Wyważona praca, zawierająca informacje na temat aspiracji Szanów.
Ball, J.C. i Chambers, C.D. [red.], *The Epidemiology of Opium Addiction in the United States* (Springfield, Ill., 1970). Użyteczna książka, mimo że znaczenie terminu „epidemiologia” zostało w niej rozciągnięte do granic, a nawet bardziej.
Ball, P., *The Devil’s Doctor* (London, 2006). Najlepsze współczesne wprowadzenie do kariery Paracelsusa.
Balzac, H. de, *Opium*, [w:] *Oeuvres Diverses*, tom II, [red.] P. Castres, R. Chollet, R. Guise i C. Guise (I wyd. Paris, 1830; Paris, 1996).
Barbeau, J.W., *Coleridge, the Bible and Religion* (London, 2007). Interesująca.
Barker, J., *The Brontës* (London, 1994). Klasyczna praca na temat pisarskiej rodziny.
Barker, J., *The Brontës. A Life in Letters* (London, 1997). Uzupełnia powyższą pozycję.
Barzun, J., *Berlioz and his Century* (New York, 1956). Dobrze przedstawia powstanie *Symphonie fantastique* oraz środowisko kompozytora. Jego ojciec był wybitnym lekarzem, wprowadził do Europy akupunkturę, a sam później stał się nieuleczalnie uzależniony.
Baselt, R., *Disposition of Toxic Drugs and Chemicals in Man*, wyd. VIII (Foster City, Calif., 2008).
Bateman, W., *Magnacopia. A Chemico-Pharmacological Library of Useful and Profitable Information for the Practitioner, Chemist and Druggist, Surgeon Dentist, etc.* (London, 1839). Medyczny poradnik domowy swoich czasów.
Bates, A., *Weeder in the Garden of the Lord: Anthony Comstock’s Life and Career* (Lanham, M., 1995).

Świadectwo wielbiciela.
Bateson, F.W., *Wordsworth: A Reinterpretation* (London, 1905).
Baudelaire, C., *Les Paradis artificiels* (Paris, Livre de Poche, 2002). Doskonałe wydanie klasyka.
Baudelaire, C., *Selected Poems* (Penguin, London, 1986). Dobry wybór nieprzekładalnej poezji.
Baudelaire, C., *Intimate Journals*, [tłum. na ang.] Christopher Isherwood (London, 1949).
Baum, D., *Smoke and Mirrors: The War on Drugs and the Politics of Failure* (New York, 1996). Pełen życia, wiarygodny tekst.
Baumler, A., *The Chinese and Opium under the Republic* (New York, 2007). Solidne i dobrze napisane.
Baumler, A. [red.], *Modern China and Opium: A Reader* (New York, 2007).
Baxter, E., *De Quincey's Art of Autobiography* (Edinburgh, 1990).
Bayer, R. i Oppenheimer, G.M. [red.], *Confronting Drug Policy: Illicit Drugs in a Free Society* (New York, 1993). Rozważna dyskusja ekspertów o dekryminalizacji.
Beard, G.M., *Stimulants and Narcotics: Medically, Philosophically and Morally Considered* (New York, 1871). Beard był głosem zaniepokojenia środowiska medycznego w latach 70. i 80. XIX wieku, niestrudzenie ostrzegał o zbliżającym się niepostrzeżenie zagrożeniu dla przyszłości Ameryki.
Becher, J.R., *Über Hans Fallada* (Berlin, 1965). Życzliwe wspomnienie spisane przez komunistycznego patrona Fallady.
Becker, H.S., *The Outsiders: Studies in the Sociology of Deviance* (New York, 1963). Bardzo interesujące pod względem historycznym.

Beckett, D., *Heroin the gentle drug*, „New Society”, 1970 (4) 181.
Beeching, J., *The Chinese Opium Wars* (San Diego, 1975). W opinii autora niniejszej książki wciąż najlepsza książka o wojnach opiumowych – solidna, sugestywna i świetnie się czyta.
Behr, E., *Prohibition* (New York, 1997).
Bejerot, N., *Drugs and Society* (Springfield, Ill., 1980). Interesująca.
Bello, D., *Opium and the Limits of the Empire: Drug Prohibition in the Chinese Interior, 1729–1850* (Cambridge, Mass., 2005).
Bellot, H.H., *The Pharmacy Acts, 1851–1908* (London, 1908). Dobry przegląd tematyki.
Bence-Jones, M., *Clive of India* (London, 1974). Dobra opowieść o uzależnionym twórcy imperium.
Benedek, I., *Semmelweis Élete és Kora* (Budapest, 1960). Najlepsza książka o Semmelweisie.
Benedek, I., *Mandragora*, 2 tomy (Budapest, 1962). Nudna praca dobrego pisarza.
Benjamin, W., *Charles Baudelaire* (London, 1997).
Berlioz, H., *Symphonie fantastique* (Orchestre Nationale de France, Beecham); EMI 567972–2). Sam twórca tej symfonii uważał, że znaczną jej część skomponował w opiumowym zamroczeniu.
Berridge, V., *Victorian opium eating: responses to opium eating in nineteenth century England*, „Victorian Studies”, 1978 (21) 25.
Berridge, V., *Morality and medical science: concepts of narcotic addiction in Britain*, „Annals of Science”, 1979 (36) 67.
Berridge, V., *The origins of the British drug scene*, „Medical History”, 1988 (32) 521.

Berridge, V., *AIDS in the UK: the Making of Policy, 1981–1994* (Oxford, 1996).
Berridge, V. i Edwards, G., *Opium and the People. Opiate Use and Drug Control Policy in Nineteenth and Early Twentieth Century England* (London, 1981). Przełomowa książka, interesująca i łatwa w odbiorze.
Berridge, V. i Strong, P. [red.], *AIDS and Contemporary History* (Cambridge, 1993). Zawiera ważny artykuł o brytyjskiej polityce narkotykowej.
Bertram, E., Blackman, M., Sharpe, K. i Andreas, P., *Drug War Politics. The Price of Denial* (Berkeley, 1996).
Besant, W., *East London* (London, 1901).
Betts, W.R., *The discovery of morphine*, „Chemist and Druggist", 1954 (162) 63.
Bewley-Taylor, D.R., *The United States and International Drug Control, 1909–1997* (London, 1999).
Black, D., *Triad Takeover* (London, 1991).
Blake, C., *Charles Elliot, RN*, (London 1959). Pełna współczucia biografia otoczonej wzgardą postaci.
Blake, J.B., *Mr Ferguson's hypodermic syringe*, „Journal of the History of Medicine", 1960 (17) 337.
Blanchard, C.M., *Afghanistan, Narcotics and US Policy* (Nova Science, New York, 2009). Krótki, aktualny przegląd sytuacji.
Bliss, M., *William Osler. A Life in Medicine* (Oxford, 1999). Najlepsze i najaktualniejsze przedstawienie życia dobrego lekarza.
Blount, J., *The American Occupation of the Philippines, 1898–1912* (New York, 1912).
Blum, R.H. [red.], *The Dream Sellers* (San Francisco, 1970).
Blum, R.H., *Society and Drugs* (San Francisco, 1980). Bardzo wnikliwa praca.

Blum, R.H. i Nowlis, H.H., *Drugs and the College Campus* (New York, 1969). Wczesne studium zażywania opium na wyższych uczelniach.
Blunt, W., *Linnaeus. The Complete Naturalist* (London, 1971).
Bonavia, D., *China's Warlords* (Oxford, 1995).
Booth, M., *Opium: A History* (New York, 1996). Znakomita praca traktująca mniej więcej o tym co niniejsza książka.
Booth, M., *The Dragon Syndicates. The Global Phenomenon of the Triads* (New York, 1999).
Boswell, J., *Boswell's Life of Johnson* (I wyd. 1791; London, 1949).
Bourgeois, P., *In Search of Respect. Selling Crack in El Barrio* (Cambridge, 1995). Poruszająca i porywająca autobiograficzna powieść o sprzedawaniu narkotyku w Nowym Jorku.
Bowra, C.M., *The Romantic Imagination* (Oxford, 1950).
Bowring, sir J., *Autobiographical Recollections* (London, 1877). Zaskakująco dobrze się czytające wspomnienia o rzekomo okropnej postaci.
Bramall, C., *In Praise of Maoist Economic Planning: Living Standards and Economic Development in Sichuan since 1931* (Oxford, 1993). Użyteczne.
Breasted, J.H., [z medycznymi adnotacjami dra A.B. Luckhardta], *The Smith Papyrus* (New York, 1930). Wspaniałe faksymile z tłumaczeniem na angielski.
Brecher, E.M., *Licit and Illicit Drugs* (Boston, 1972). Przełomowa książka przedstawiająca argumenty za dekryminalizacją, z których wiele jest wciąż aktualnych.
Brereton, W.H., *The Truth about Opium* (London, 1882). Niezupełnie prawda, ale kompetentna obrona brytyjskiej polityki względem Chin.

Bressler, F., *The Chinese Mafia* (London, 1981). Godna uwagi wnikliwość.
Brett, R.L., *George Crabbe* (London, 1956).
British Pharmacopoeia (London, 1858).
Brontë, A., *The Tenant of Wildfell Hall* [*Lokatorka Wildfell Hall*] (I wyd. London, 1848; Panther edition, 1989). Na s. 37 zawiera interesującą dyskusję o „pożądaniu zakazanych rzeczy" i „złu [płynącym z] niepowściągliwości i abstynencji". „Czy to roztropne, by pozwalać dzieciom na zasmakowanie zakazanych substancji?"
Brontë, C., *Villette* (London, 1853; Panther edition, 1987). Zawiera zapadającą w pamięć sekwencję jakby opiumowych snów oraz incydent z opium przynoszącym ulgę w bólu i cierpieniu.
Brook, T. i Wakabayashi, B. [red.], *Opium Regimes: China, Britain and Japan, 1839–1952* (Los Angeles, 2000).
Brookner, A., *Romanticism and its Discontents* (London, 2000). Pięknie napisane, pełne wnikliwości.
Broun, H. i Leech, M., *Anthony Comstock, Roundsman of the Lord* (London, 1928). Nadzwyczaj wyważona i ludzka biografia potwora.
Brown, D., *Palmerston. A Biography* (London, 2010). Najnowsza i przypuszczalnie najlepsza biografia tej ekstrawaganckiej, lecz wciąż tajemniczej postaci.
Browne, J.C., *Practical Instructions for the Treatment and Cure of Cholera and Diarrhoea by Chlorodyne* (London, b.r., ok. 1840). Początek jednego z najpopularniejszych opiumowych preparatów, wykorzystywanego przez wiele pokoleń. Ratowano nim ludzkie życie podczas epidemii cholery.
Browne, T., sir, *Works*, [red.] H. Robbins, 2 tomy (Oxford, 1986).

Brunton, L.L., Chabner, B.A. i Knollman, B.C. [red.], *Goodman and Gilman's The Pharmacological Basis of Therapeutics*, wyd. XII (New York, 2009). Najlepszy obecnie podręcznik farmakologii, z sekcjami poświęconymi uzależnieniu od leków i ich metabolizmowi.
Bruun, K., Lynn, P. i Ingemar, R., *The Gentlemen's Club. International Control of Drugs and Alcohol* (Chicago, 1975).
Buddenberg, D. i Byrd, W.A. [red.], *Afghanistan's Drug Industry: Structure, Functioning, Dynamics and Implications for Counternarcotics Policy* (New York, 2006). Miarodajny i wszechstronny przegląd, zawierający kilka ważnych artykułów.
Bulgakov, M., *Morphine*, [w:] *A Country Doctor's Notebook* [Bułhakow, M., *Zapiski młodego lekarza*], [tłum. na ang.] M. Glenny (I wyd. 1925; London, 1975). Uzależniony od morfiny młody lekarz Poliakow to jeden z wielkich na pół fikcyjnych bohaterów morfinowej literatury.
Bullivant, K. [red.], *Culture and Society in the Weimar Republic* (Manchester, 1977). Zawiera znakomite artykuły i wiele odniesień do źródeł traktujących o narkotykach.
Bullock, H., *The Chinese Vindicated; or Another View of the Opium Question* (London, 1840). Znakomity, zaciekły atak na handel opiumowy.
Burke, T., *Limehouse Nights. Tales of Chinatown* (London, 1916). Najwyższej jakości dziennikarstwo tabloidowe.
Burke, T., *The Ecstasies of Thomas de Quincey* (London, 1928).
Burne, P.G., *Addiction* (New York, 1974). Świetny zbiór esejów, w tym wyjątkowo dobry rozdział autorstwa D.F. Musto na temat wczesnego rozprzestrzenienia się heroiny.
Burnett, J., *Plenty and Want. A Social History of Diet in England* (London, 1968). Dieta często łączyła się

z zażywaniem opium.
Burton, R., *Works*, [w tym] *Anatomy of Melancholy*, [red.] T.E. Faulkner, N.K. Kiesling i R.L. Blair (Oxford, 1989–94).
Butel, P., *Opium: Histoire d'un fascination* (Paris, 1995). Dobra lektura.
Bynum, F.W. i Porter, R. [red.], *Medical Fringe and Medical Orthodoxy, 1750–1850* (London, 1987). Bezcenny zbiór.
Calkins, A., *Opium and the Opium-Appetite* (Philadelphia, 1871). Ważna publikacja, która powinna była obalić mit o tym, że morfina jest lekarstwem na uzależnienie od opium, ale niestety nie obaliła.
Canby, H.S., *Thoreau* (Boston, 1939).
Cameron, N., *An Illustrated History of Hong Kong* (Oxford, 1991).
Carey, J.T., *The College Drug Scene* (Englewood Cliffs, NJ, 1968). Wczesne studium narkotykowej sceny na wyższych uczelniach.
Cartwright, F.F., *A Social History of Medicine* (London, 1977).
Celsus, *De Medicina*, 3 tomy, [z tłum. na ang.] W.G. Spenser.
Chang, Hsin-pao *Commissioner Lin and the Opium War* (Cambridge, Mass., 1964). Jedyna biografia tej wyjątkowej osobowości w wojnach opiumowych oparta na źródłach zarówno chińskich, jak i zachodnich. Fascynująca.
Charters, A. [red.], *The Portable Beat Reader* (I wyd. 1992; London, 2001). To wydanie w miękkiej okładce jest bodaj najlepszym wprowadzeniem do amerykańskiej literatury bitnikowskiej.
Charters, A., *The Portable Kerouac* (I wyd. 1995; London, 2007). Znakomita pozycja z serii Penguin Classic.
Checkland, S.G., *The Gladstones. A Family Biography, 1764–1851* (Cambridge, 1971).

Chesneaux, J. [red.], *Popular Movements and Secret Societies in China, 1940–1950* (Stanford, 1972).
Chin, Ko-Lin *The Golden Triangle. Inside South East Asia's Drug Trade* (Cornell University Press, Ithaca, NY, 2009). Relacja z pierwszej ręki ze Specjalnego Regionu Wa w północnej Birmie, sporządzona przez dzielnego podróżnika.
Chouvy, P.A., *The ironies of Afghan opium production*, „Asia Times", 17 September 2003.
Chouvy, P.A., *Afghanistan opium production in perspective*, „China and Eurasia Forum Quarterly", 2006 (February), 21.
Chouvy, P.-A., *Opium: Uncovering the Politics of the Poppy* (Cambridge, Mass., 2010). Przegląd współczesnego handlu opiumowego i jego historycznego tła.
Christison, R., *Of the Action of Opium and the Symptoms it Excites in Man* (Edinburgh, 1827). Proroczy esej, który nie doczekał się takiej reakcji, na jaką zasługiwał.
Christison, R., *On Poisons* (Edinburgh, 1829).
Christison, R., *A Treatise on Poisons* (Edinburgh, 1832). Pionierskie opracowanie traktujące o zagrożeniach płynących z laudanum.
Christison, R., *Cases and Observations in Medical Jurisprudence* (Edinburgh, 1834). Bezcenna literatura źródłowa.
Clarke, M., *The Secret Life of Wilkie Collins* (London, 1988). Dobra biografia z barwnie przedstawionym tłem wiktoriańskiej sceny literackiej.
Clement-Jones, V., McLoughlin, L., Tomlin, S., Besser, G., Rees, L. i Wen, H., *Increased beta-endorphin but not met-encephalin levels in human cerebrospinal fluid after acupuncture for recurrent pain*, „Lancet", 1980 (ii) 946.

Coates, A., *A Macao Narrative* (Hong Kong, 1978). Zajmujące.
Cobbe, W.R., *Dr Judas: A Portrayal of the Opium Habit* (Chicago, 1895). Niesamowicie dobra książka.
Cocteau, J., *Opium* (I wyd. Paris, 1938; London, 1957). Ikoniczny pean, a także ostrzeżenie udzielone przez uzależnionego wielbiciela.
Cohen, N.M., *Health and the Rise of Civilisation* (New Haven, Conn., 1989).
Cohen, R., *Tough Jews: Fathers, Sons and Gangster Dreams* (London, 1999). Znakomity opis żydowskiej sceny gangsterskiej w Nowym Jorku po uchwaleniu Ustawy Harrisona.
Colantuoni, C., Rada, P., McCarthy, J., Patten, C., Avena, N.M., Chadeayne, A. i Hoebel, B.G., *Evidence that intermittent, excessive sugar intake causes endogenous opioid dependence*, „Obesity Research", 2002 (0–6) 478.
Coleridge, E.H. [red.], *The Complete Poetical Works of Samuel Taylor Coleridge*, 2 tomy (London, 1912).
Coleridge, S., *Poppies* (London, 1834). Kilka wzruszających wierszy podobno pięknej, utalentowanej i uzależnionej od opium córki S.T.C., która jako pierwsza współredagowała, wraz ze swoim mężem Henrym Nelsonem Coleridge'em (kuzynem) oraz swoim bratem Derwentem, uprzednio nieznane dzieła wielkiego poety.
Coleridge, S.T., *Collected Letters*, [red.] E.L. Griggs, 6 tomów (Oxford, 1956–72).
Coleridge, S.T., *Notebooks of Samuel Taylor Coleridge*, [red.] K. Coburn, 2 podwójne tomy (London, 1957–62). Kathleen Coburn jako młoda absolwentka Uniwersytetu Oksfordzkiego niemal przypadkowo natknęła się na notatniki Coleridge'a i poświęciła resztę życia na zbieranie i wydawanie prac poety. Mało który poeta doczekał się tak

pięknie opracowanych i skomentowanych wydań całego swojego dorobku.
Coleridge, S.T. i Wordsworth, W., *Lyrical Ballads* (1798), [red.] D. Roper (London, 1968).
Collins, W., *No Name* (I wyd. w odcinkach w „Harper's Magazine", New York, 1862). Wstrząsająca opowieść o samobójstwie i morderstwie za pomocą laudanum w rodzinie, którą dziś uznano by za zupełnie dysfunkcyjną. Nie pozwala się oderwać.
Collins, W., *The Moonstone. A Romance* (I wyd. London 1868; Penguin, 1994). Porywająca powieść podobno napisana w morfinowym oszołomieniu.
Collis, M., *Foreign Mud* (London, 1952). Znakomita relacja z pierwszej wojny opiumowej i wydarzeń, które do niej doprowadziły, oparta na archiwach dotyczących Jardine'a i Mathesona, zebranych w bibliotece uniwersyteckiej w Cambridge.
Colton, W., *Turkish sketches* (Philadelphia, 1836).
Comstock, A., *Traps for the Young* (New York, 1884). Bodaj najznośniejsze z wypocin Comstocka.
Conrad, L.I., *Arab-Islamic Medicine*, [w:] F.W. Bynum i R. Porter [red.], *Companion Encyclopedia of the History of Medicine* (London, 1993), 676. Mistrzowskie.
Cook, M.C., *The Seven Sisters of Sleep* (London, 1867). Morfina w fabrykach: przykuwające.
Coomber, R. [red.], *Drugs and Drug Use in Society, A Critical Reader* (Greenwich, UK, 1904).
Cooper, J.R., Bloom, F.E. i Roth, R.H., *The Biochemical Basis of Neuropharmacology*, wyd. VII (Oxford, 1996). Najlepszy ze standardowych tekstów traktujących o neuroprzekaźnikach i lekach psychotropowych.
Costa, A.M., *Making Drug Control Fit for Purpose. Building on the UNGLASS Decade* (New York, 2008). Ważna ocena

osiągnięć i niepowodzeń.
Cottle, J., *Reminiscences of Samuel Taylor Coleridge and Robert Southey* (London, 1847). Wspomnienia pełne plotek i niemiłe w odbiorze, swego czasu bestseller.
Courtwright, D., *Dark Paradise. Opiate Addiction in America before 1940* (London, 1982).
Courtwright, D., *Forces of Habit: Drugs and the Making of the Modern World* (Cambridge, Mass., 2001). Wnikliwe.
Courtwright, D., Joseph, H. i Des Jarlais, D. [red.], *Addicts who Survived. An Oral History of Narcotic Use in America, 1923–1965* (Knoxville, Tenn., 1989).
Crabbe, G., *The Works of the Rev. George Crabbe* (London, 1828). Zawiera oryginalną opowieść *Peter Grimes*.
Crabbe, G., *The Life of George Crabbe, by his Son*, [wstęp] E. Blunden (I wyd. 1834; London, 1947). Czarujące i pełne czułości, lecz także odkrywcze wspomnienia syna poety, również duchownego.
Crepon, T., *Leben und Tote des Hans Fallada* (Hallen, 1978). Poruszający memuar.
Crothers, T.D., *Morphinism and Narco-Maniacs from Other Drugs* (Philadelphia, 1902). Przykład szkoły cenzorskiej o wysokich standardach moralnych. Interesujące, ale można sobie darować lekturę.
Crowe, S.J., *Halsted of Johns Hopkins. The Man and his Men* (Springfield, Ill., 1957). Dzieło pełne życzliwości i dyskrecji.
Crumpe, S., *An Inquiry into the Nature and Properties of Opium* (London, 1793).
Csath, G., *The Diary of Geza Chath*, [tłum. na ang.] P. Reich (Budapest, 2002). Jeden z zapadających w pamięć dzienników uzależnionego lekarza poety, teraz dostępny w dobrym angielskim przekładzie.

Cull, J.G. i Hardy, R.E. [red.], *Types of Drug Abusers and their Abuses* (Springfield, Ill, 1870). Stworzone piórem portrety szerokiego wachlarza anonimowych amerykańskich uzależnionych tamtych czasów.
Curgenven, J.G., *The Waste of Infant Life* (London, 1867). Wyraźne ostrzeżenie, w znacznym stopniu zignorowane.
Curtis Smith, T., *Hypodermic injection of morphine*, „Kansas City Medical Journal", 1872 (2) 73. Jeden z licznych artykułów zarówno wychwalających podskórne iniekcje, jak i ostrzegających przed płynącymi z nich zagrożeniami. „Strzykawka trwale zmieniła narkotykową groźbę", na dobre czy na złe, ale głównie na złe.
Cusket, W. i inni, *Drug Trips Abroad: American Drug Refugees in Amsterdam and London* (Philadelphia, 1972). Interesująca praca o międzynarodowych i kosmopolitycznych konsekwencjach narkotykowego świata.
Cutting, W.C., *Morphine addiction for 62 years*, „Stanford Medical Bulletin", 1942 (1) 39. Historia „stabilnego" uzależnienia wybitnego lekarza. To też wydarzyło się naprawdę.
Dally, A., *A Doctor's Story* (London, 1990). Fascynująca książka i kluczowe źródło informacji o narkotykowej scenie w Wielkiej Brytanii w latach 80. XX w.
Daly, G., *Pre-Raphaelites in Love* (London, 1989). Tragiczne uzależnienie Lizzie Siddal i Dantego Gabriela Rossettiego.
Danchin, P., *Francis Thompson, la vie et l'oeuvre d'un pòete* (Paris, 1959). Znakomita książka, jak zazwyczaj francuskie biografie angielskich ludzi pióra.
Daudet, L., *La Lutte* (I wyd. 1863; Paris, 1935). Autor był lekarzem, dziennikarzem i powieściopisarzem, intensywnie zajmował się uzależnieniem, ale w przeciwieństwie do swojego ojca sam się nie uzależnił.

W *La Lutte* młody lekarz o świetlanej przyszłości uzależnia się, sądząc, że ma gruźlicę.
Davenport-Hines, R., *The Pursuit of Oblivion: A Global History of Narcotics, 1500–2000* (London, 2001). Praca oparta na rzetelnych badaniach i dobrze napisana, ale chyba obejmuje zbyt szeroki temat. Większość narkotyków ma ze sobą coś wspólnego, jednak ich historia jest inna. Niemniej ta książka to cenny wkład, szczególnie w zakresie narkotykowych scen pod koniec XX wieku w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych.
Davies, A.M., *Clive of Plassey* (London, 1939). Życzliwa biografia ważnej postaci historycznej i interesującego człowieka.
Davis, J.F., *China during the War* (London, 1852). Żywa i stosunkowo wyważona relacja z wojen opiumowych, spisywana niemal na bieżąco.
Day, H., *The Opium Habit with Suggestions as to the Remedy* (New York, 1868). Jeden z najwcześniejszych poradników „zrób to sam”. Optymistyczny, jak większość z tego gatunku.
Debus, A.G., *The English Paracelsians* (New York, 1966). Drobiazgowe studium zaniedbanego tematu.
de Quincey, H.A., *Thomas de Quincey: A Biography* (Oxford, 1936).
de Quincey, T., *Confessions of an English Opium-Eater and Other Writings* (I wyd. 1822; London, 2003). Wydanie Penguina wciąż świetnie się czytającej klasyki, z dobrym wprowadzeniem i posłowiem dotyczącym życia autora, literackiego środowiska oraz opium, sporządzonym przez redaktora Barry’ego Milligana.
de Quincey, T., *The opium question with China*, „Blackwood’s Magazine”, May/June 1840.

de Quincey, T., *Reminiscences of the English Lake Poets*, [red.] J.E. Jordan (London, 1961).
de Quincey, T., *The Works of Thomas de Quincey*, 21 tomów, [red. og.] G. Lindop (London, 2000; BiblioBazaar, tom I, 2010). Zabawna, jeśli się w nią zagłębić.
Dickens, C., *Bleak House* [*Samotnia*] (London, 1853). W rozdziale 11. zawiera wspaniały opis znalezienia martwego narkomana.
Dickens, C., *Hard Times* [*Ciężkie czasy*] (London, 1854). Zawiera opis miasteczka uzależnionych od opium. Świetne.
Dickens, C., *The Mystery of Edwin Drood* [*Tajemnica Edwina Drooda*] (I wyd. 1870; Penguin, London 1980). Ostatnia, niedokończona powieść pisarza.
Dikotter, F., Laaman, L. i Zhy Xun, *Narcotic Culture. A History of Drugs in China* (Chicago, 2004). Doskonałe.
Dingle, A.E., *The Campaign for Prohibition in Victorian England* (London, 1980).
Disraeli, B., *Sybil, or The Two Nations* (London, 1845). Zawiera cudownie kąśliwy i tylko nieco zawoalowany portret Jardine'a. W naszych czasach doprowadziłby radców prawnych wydawcy do histerii.
Dols, M.W., *Diseases in the Islamic World*, [w:] K.F. Kiple [red.], *The Cambridge World History of Human Disease* (Cambridge, 1993), 334.
Doré, G. i Jerrold, B., *A London Pilgrimage* (London, 1872). Spostrzeżenia zbulwersowanego podglądacza londyńskiego świata przestępczego.
Dormandy, T., *The White Death. A History of Tuberculosis* (London, 2000).
Dormandy, T., *The Worst of Evils: The Fight against Pain* (New Haven/London, 2006).

Douglas, A., *Artists' Quarters. Reminiscences of Montmartre and Montparnasse* (London, 1941). Sugestywne.
Dover, T., *The Ancient Physician's Legacy to his Country* (London, 1732). Na s. 543 zawiera historyczną receptę na proszek Dovera.
Downes, D., *Contrasts in Tolerance: Post-war Penal Policy in the Netherlands and England and Wales* (Oxford, 1988). Wielce poglądowe.
Downing, C.T., *The Fan-Qui in China* (London, 1838). Sugestywna relacja z Kantonu spisana przez inteligentnego chirurga.
Dryden, J., *Selected Poems*, [red.] D. Hopkins (London, 1998).
Dubos, R. i I., *The White Plague. Tuberculosis, Man and Society* (London, 1953). Genialna książka.
Dubut de Laforest, J.-L., *Morphine* (Paris, 1891). Jedna z najostrzejszych w obrazowaniu naturalistycznych powieści fin de siècle'u.
Ducerf, L., *François de Menthon: Un Catholique au service de la République, 1900–1984*. Działalność de Menthona we francuskim ruchu oporu została zagrożona z powodu narkotyków.
Duffin, J., *To See with a Better Eye. A Life of R.T.H. Laënnec* (Princeton, 1998).
Duffy, A., *The Sanitarians* (Ithaca, NY, 1953). Historia początków amerykańskiej publicznej służby zdrowia.
Dulchinos, D.P., *Pioneer of Inner Space. The Life of Fitz Hugh Ludlow, Hasheesh Eater* (New York, 1998). Doskonała biografia.
du Maurier, D., *The Infernal World of Bramwell Brontë* (London, 1960).

Dupouy, R., *Les Opiomanes* (Paris, 1912). Użyteczne wprowadzenie do francuskiej sceny fin de siècle'u.
Dupree, L., *Afghanistan* (Oxford, 1998). Bodaj najostrzejsza w tonie książka amerykańskiego autorytetu.
Duster, T., *The Legislation of Morality: Law, Drugs and Moral Judgement* (New York, 1970). Pionierska i wciąż aktualna dyskusja o prawach społeczeństwa i jednostki.
Dutton, M.R., *Policing and Punishment in China* (Cambridge, 1992).
Dyos, H.J. i Wolff, M. [red.], *The Victorian City* (London, 1963). Zawiera interesujący rozdział autorstwa G. Rosena o chorobach, lekach i śmierci.
Eames, J.B., *The English in China* (London, 1909).
Eaton, H.A., *Thomas de Quincey, a Biography* (Oxford, 1936). Wciąż brzmi świeżo.
Edwards, G., *The British approach to the treatment of heroin addiction*, „Lancet", 1969 (i) 768.
Edwards, G., *What drives British drug policies?*, „British Journal of Addiction", 1989 (84) 219. Ogólny zarys historyczny.
Eldridge, W.B., *Narcotics and the Law: A Critique of the American Experiment in Narcotic Drug Control*, wyd. II (Chicago, 1967). Obecnie publikacja ma głównie wartość historyczną, ale i tak jest istotna.
Eliot, G., *Felix Holt, the Radical* (I wyd. 1866; Penguin, London, 1887). Bohater powieści, niewolnik opium, pociesza sam siebie, że „jeśli cierpienia staną się kiedyś zbyt częste lub nieznośne, zwyczajne zwiększenie dawki położy im wszystkim kres raz na zawsze".
Eliot, G., *Middlemarch* [*Miasteczko Middlemarch*] (I wyd. 1871–1872; Penguin, London, 1994). Doktor Lydgate, młody chirurg i idealista, zaczyna od czasu do czasu zażywać opium pod wpływem „przewidywanych

trudności”. Inna postać, Will Ladislaw, „doprowadza się do choroby, sięgając po opium”.
Eliot, G., *Daniel Deronda* (I wyd. 1871–1876; Penguin, London, 1976). Jeden bohater, Hans Meyrick, jest uzależniony, ale nie pochwala opium.
Elison, R.E., *Invisible Man* [*Niewidzialny człowiek*] (New York, 1952). Młodość Afroamerykanina w latach 40. XX wieku, po części powieść autobiograficzna, jedna z największych w minionym stuleciu.
Elliot, C., sir, *Memoirs of Admiral the Honourable Sir Charles Elliot* (London, 1863). Niezbyt ekscytujące wspomnienia, ale okraszone uroczymi akwarelami.
Elliott, G.J., *The Frontier. The Story of the North West Frontier of India* (London, 1968). Użyteczne jako tło historyczne dla dzisiejszego konfliktu w Afganistanie.
Ellis, A.S., *Ancient Anodynes* (London, 1936). Niesprawiedliwie krytykowana kompilacja licznych egzotycznych lekarstw.
Elvin, M., *The Pattern of China’s Past* (London, 1973).
Endacott, G.O., *A History of Hong-Kong* (Oxford, 1958). Dobra opowieść, ale bynajmniej nie budująca.
Escayrac, E., de Lauture, comte de, *Mémoires sur la Chine* (Paris, 1865). Autorem jest szef misji naukowej przy francuskich oddziałach wojskowych podczas drugiej wojny opiumowej, a przez krótki czas więzień w Pekinie. Absorbujące.
Fallada, H., *Kleiner Mann was Nun?* [*Co dalej, szary człowieku?*] (Leipzig, 1932). Wspaniała powieść z akcją osadzoną w Republice Weimarskiej.
Fallada, H., *Every Man Dies Alone* [*Każdy umiera w samotności*] (London, 2009). Pierwszy angielski przekład ważnej antynazistowskiej powieści, ostatniej w dorobku pisarza.

Farin, K., *Hans Fallada, Welche sind die haben kein Glück* (Munich, 1993).
Fay, P., *The Opium War, 1840–42* (Chapel Hill, NC, 1997).
Félice, P. de, *Poisons sacrés, ivresses divines* (Paris, 1936). Dobra opowieść o Baudelairze, jego chorobach i uzależnieniu.
Filan, K., *The Power of the Poppy. Harnessing Nature's Most Dangerous Plant Ally* (Rochester, V., 2011). Krótka aktualna historia z dobrą sekcją poświęconą pokoleniu bitników oraz współczesnym przygotowaniom i technikom.
Fischer, L., *The opium habit in children*, „Medical Record", 1894 (45) 194.
Fleming, D., *William H. Welch and the Rise of Modern Medicine* (Baltimore, Md., 1954).
Flow, K., *The Chinese Encounter with Opium* (Taipei, 2000). Droga, ale bogato ilustrowana.
Forbes, R.B., *China and the China Trade* (Boston, 1844).
Ford, J., *Coleridge on Dreaming. Romanticism and the Medical Imagination* (Cambridge, 1998).
Foster, M., *Selected Poems and Letters of Elizabeth Barrett Browning*, wyd. III (Baltimore, Md., 1988). Świetna.
Foxcroft, L., *The Making of Addiction. The Use and Abuse of Opium in Nineteenth Century Britain* (Aldershot, 2007). Łatwa w odbiorze praca naukowa.
Freches, J., *Les merveilles du Palais d'Été* (Paris, 2006). Ilustrowana krótka historia pekińskiego Pałacu Letniego, jego zniszczenia i częściowej (skromnej) rekonstrukcji za czasów cesarzowej wdowy Cixi. Serce się kraje przy czytaniu.
Fry, E., *China, England and Opium*, „Contemporary Review", 1875–1876 (30) 1. Zdecydowane kwakierskie poglądy.

Galagher, N., *Islamic and Indian Medicine*, [w:] K. Kiple [red.], *The Cambridge World History of Human Diseases* (Cambridge, 1993), 27. Cenne.
Gaskell, E., *Mary Barton* (I wyd. 1848; London, 1906). Zapadająca w pamięć historia zubożałych tkaczy, którzy się narkotyzują, aby odegnać troski.
Gavit, J.P., *Opium* (London, 1925).
Geller, M.L., *Ancient Babylonian Medicine* (London, 2011).
Gerin, W., *Bramwell Brontë* (London, 1961). Rzecz o marnotrawnym synu i bracie, który nigdy nie wrócił.
Ghodse, H., *Drugs and Addictive Behaviour. A Guide to Treatment* (Cambridge, 2002).
Ghosh, A., *Sea of Poppies* (London, 2008). Wolno rozwijająca się epicka opowieść ukazana na tle wojen opiumowych. Nastrojowa. Powieść nominowana do Nagrody Bookera.
Giersch, C.P., *Asian Borderlands: The Transformation of Qing China's Yunan Frontier* (Cambridge, Mass., 2006). Znakomite tło dla Złotego Trójkąta.
Gill, S., *William Wordsworth: A Life* (Oxford, 1989).
Gillman, J., *The Life of Samuel Taylor Coleridge* (London, 1834). Wnikliwe i pouczające wspomnienia lekarza, który opiekował się Coleridge'em przez ostatnie 18 lat życia poety.
Gilman, S., *Franz Kafka: The Jewish Patient* (London, 1995). Morfina uwolniła od cierpień pisarza umierającego na gruźlicę.
Glantz, M.D. i Hartel, C.R. [red.], *Drug Abuse. Origins and Interventions* (Washington, DC, 2000). Ostrożna publikacja Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologów.
Glendinning, V., *Anthony Trollope* (London, 1993).
Goldberg, J., *Anatomy of a Scientific Discovery* (New York, 1988). Dobrze napisana popularnonaukowa relacja

z odkrycia endogennych opioidów.
Goldsmith, M., *The Trail of Opium. The Eleventh Plague* (London, 1939). Stylowa praca i pełna informacji, ale nowe badania (zob. np. Newman) zakwestionowały niektóre z jej wniosków.
Goldstein, A., *Addiction. From Biology to Drug Policy*, wyd. II (Oxford, 2003). Przejrzyste, miarodajne opracowanie autorstwa wiodącego neurobiologa.
Goode, E., *Drugs in American Society* (New York, 1972).
Goodman, J., Lovejoy, P.E. i Sherratt, A. [red.], *Consuming Habits. Drugs in History and Anthropology* (London, 1995).
Goodson, L., *Afghanistan's Endless War, State Failure, Regional Politics and the Rise of the Taliban* (New York, 2002).
Gray, M., *Drug Crazy* (New York, 1998). Pełen energii traktat wymierzony w wojny antynarkotykowe.
Greenberg, M., *British Trade and the Opening of China* (Cambridge, 1969). Znakomita relacja dotycząca wczesnego handlu opiumowego.
Greene, G., *My own devil*, „Vogue", October 1973.
Griffiths, J.V., *Afghanistan, Land of Conflict and Beauty. A History of Conflict* (London, 2009). Doskonałe.
Grinspoon, L. i Bakalar, J., *Psychedelic Drugs Reconsidered* (New York, 1980). Zob. V. Rubin.
Grinspoon, L. i Hedbloom, P., *The Speed Culture, Amphetamine Use and Abuse* (Cambridge, Mass., 1975). Zob. V. Rubin.
Grohlman, W.H., *The Life of Ibn Sina* (London, 1930).
Gruner, O.C., *A Treatise on the Canon of Medicine of Avicenna* (London, 1930).
„An Habituate" [„Wciągnięty"], *Opium Eating, an Autobiographical Sketch* (Philadelphia, 1876). Praca wiele

wyjawiająca o amerykańskich realiach.
Haddakin, L., *The Poetry of Crabbe* (London, 1955).
Halász, G., *Erdély Története* [„Historia Siedmiogrodu”] (Budapest, 1932).
Hale-White, W., *Keats as Doctor and Patient* (Oxford, 1958).
Hall, M., *The effects of the habit of giving opiates on the infantine constitution*, „Edinburgh Medical and Surgical Journal”, 1816 (12) 423. Fakty zostały wyraźnie wyjaśnione, a ostrzeżenie – kompletnie zignorowane.
Han Suyin, *Eldest Son: Zhou Enlai and the Making of Modern China* (London, 1994).
Harding, G., *Opiate Addiction. Morality and Medicine* (New York, 1988).
Harradan, B., *Ships that Pass in the Night* (London, 1893). Prawdziwa sanatoryjna epika, pięknie opowiedziana.
Harrison, B., *Drink and the Victorians. The Temperance Question in England, 1815–1872* (London, 1904). Postawy wobec alkoholu były nierozerwalnie związane z nastawieniem do opium.
Hayter, A., *Mrs Browning* (London, 1952).
Hayter, A., *Opium and the Romantic Imagination* (London, 1968). Błyskotliwa książka, ale jeśli nie liczyć Baudelaire’a i Poego, ograniczająca się do brytyjskiej sceny literackiej.
Heishman, S.J., Schuh, K.J., Schuster, C.R., Henningfield, J.E. i Goldberg, S.R., *Reinforcing and subjective effects of morphine in human opioid abusers: effect of dose and alternative reinforcer*, „Psychopharmacology” (Berlin), 2000 (148) (3) 272.
Hellbrand, M., *Narcotic Agent* (New York, 1941). Fascynująca relacja „od środka”.
Helmer, J., *Drugs and Minority Oppression* (New York, 1975). Pasjonujące i przekonujące.

Henig, R.B. [red.], *The League of Nations. The Makers of the Modern World* (Edinburgh, 1973).
Hibbert, C., *The Dragon Wakes. China and the West, 1793–1911* (London, 1984).
Hill, J., *Family Herbal* (Bristol, 1812).
Hodgson, B., *Opium. The Portrait of a Heavenly Demon* (Oxford, 2000). Wspaniała lektura.
Hodgson, B., *In the Arms of Morpheus. The Tragic History of Laudanum, Morphine and Patent Medicines* (Buffalo, NY, 2001). Znakomita ilustrowana książka z reprodukcjami starodruków, kadrami z filmów i fotografiami bardziej wymownymi niż słowa.
Holmes, R., *Coleridge: Early Visions* (New York, 1990). Dobrze udokumentowana biografia.
Holmes, R., *Coleridge: Darker Reflections* (London, 1997). Ciąg dalszy powyższej.
Holt, E., *The Opium Wars* (London, 1964). Popularnonaukowa historia opowiedziana z brytyjskiego punktu widzenia.
Homer, *The Odyssey* [*Odyseja*] (Penguin, London 1948). Co było tym magicznym uspokajającym składnikiem w sekretnym eliksirze Afrodyty?
Hosie, A., *On the Trail of the Opium Poppy*, tom I (London, 1914). Świetny dziennik podróży; drugi tom nie został opublikowany.
Hovanesian, R., *The Divine Answer of Commissioner Lin: The Story of History's Largest Narcotics Seizure and its Aftermath* (Baltimore, Md., 2007). Pełna wyobraźni rekonstrukcja działań komisarza Lina podczas pierwszej wojny opiumowej, napisana w narracji pierwszoosobowej. Doskonała lektura.
Howard Jones, N., *Origins of hypodermic medication*, „Scientific American", 1971 (224) 96.

Chang Hsin-pao, *Commissioner Lin and the Opium Wars* (Boston, 1964). Wyczerpująca i pełna empatii relacja, zawiera cenne chińskie materiały źródłowe, do których inaczej trudno byłoby dotrzeć.
Hubbard, F.H., *The Opium Habit and Alcoholism* (New York, 1881).
Hughes, J.H., *The autobiography of a drug fiend*, „Medical Review of Reviews", 1916 (22) 42.
Hunter, C., *On the Speedy Relief of Pain and Other Nervous Affections by Means of the Hypodermic Methods* (London, 1865). Rzecz o niewinnych początkach.
Hurd, D., *The Arrow Incident* (London, 1967). Elegancka dyplomatyczna relacja z absurdalnego zdarzenia, które rozpętało drugą wojnę opiumową.
Huxtable, R.J. i Schwartz, S.K.G., *The isolation of morphine. First principles in science and ethics*, „Molecular Interventions", 2001, 189.
Imber, G., *Genius on the Edge. The Bizarre Double Life of William Stewart Halsted* (New York, 2010). Znakomita nowa biografia.
Inglis, B., *The Forbidden Game. The Social History of Drugs* (London, 1975). Praca pełna wnikliwości i przydatnych uogólnień.
Inglis B., *The Opium War* (London, 1976). Nie najlepsze dzieło tego autora.
International Opium Commission. *Report of the International Opium Commission, Shanghai, China, 1909*, 2 tomy (Shanghai, 1909). Pierwsza próba międzynarodowej współpracy dotyczącej opium.
Iversen, L.L., *The Science of Marijuana* (Oxford, 2000). Interesująca praca, a duża jej część ma odniesienie do opiatów.

Jackson, H.J., *Best order. How bigger pictures of Coleridge emerge from the detailed work of his editors*, „Times Literary Supplement”, March 2011 (5632), 3. Coleridge wciąż zaprząta literackie umysły, o czym świadczą zrecenzowane w tym artykule poświęcone mu trzy książki (wszystkie opublikowane w 2011 roku; autorzy: A.D. Vardy, J. Worthen i J. Beer).
Jackson, J., *France, the Dark Years, 1940–44* (Oxford, 2001). Zawiera cenne informacje o nielegalnym handlu narkotykami w okupowanej Francji.
Jacobi, J. [red.], *Paracelsus. Selected Writings* (London, 1951). Dobry wybór bez nadmiernego bełkotu.
Jardine, L., *Ingenious Pursuit: Building the Scientific Revolution* (London, 1999). Doskonała praca, a w niej dobry opis historycznego eksperymentu z dożylnym podaniem opium, przeprowadzonego przez sir Christophera Wrena.
Jay, M., *Artificial Paradises. A Drugs Reader* (London, 1999). Interesujące, choć bez systematycznego historycznego ujęcia.
Jay, M., *Emperors of Dreams: Drugs in the Nineteenth Century* (Sawtry, Cambs., 2000). Krótka, zwięzła praca.
Jay, M., *High Society. Mind-altering Drugs in History and Culture* (London, 2010). Doskonały, bogato ilustrowany katalog wystawy dotyczącej leków wpływających na umysł, urządzonej w londyńskiej bibliotece medyczno-historycznej, Wellcome Medical Historical Library. Tytuł jest sprytny i też – co chyba odpowiednie – wpływa na umysł.
Jeffreys, J., *Observations on the improper use of opium in England*, „Lancet”, 1840 (1) 382.
Jeffreys, J., *The Traffic in Opium in the East* (London, 1858).

Jelsma, M., Kramer, T. i Vervest, P. [red.], *Troubles in the Triangle: Opium and Conflict in Burma* (Silkworm Books, Chiang Mai, 2005). Zawiera kilka głębokich tekstów.
Jennings, O., *On the Cure of the Morphia Habit* (London, 1880).
Jennings, O., *On the Cure of the Morphia Habit without Suffering* (London, 1901).
Jennings, O., *The Morphia Habit and its Renunciation* (London, 1909). Książka w swoim czasie wysoko ceniona, ale dziś ani się łatwo nie czyta, ani nie wydaje się zbyt przekonująca. Uzależnieni, którzy szczęśliwie pozbyli się nałogu, rzadko dostarczają wiarygodnej wiedzy.
Johnstone, wielebny, [w:] *The Opium Trade in China* [spisane przez „naocznego świadka”] (London, 1858). Wyczerpujący akt oskarżenia wobec opiumowego handlu, sformułowany w połowie XIX wieku i często cytowany przez późniejszych historyków.
Jones, J., *Mysteries of Opium Revealed* (London, 1700). Pionierska, pierwsza anglojęzyczna monografia opium.
Judson, H.F., *Heroin Addiction in Britain* (New York, 1973).
Juillard, L.F., *Souvenirs d’un voyage en Chine* (Montbéliard, b.d.). Sugestywne, poruszające wspomnienia protestanckiego kapelana francuskiej armii z czasów drugiej wojny opiumowej, 1860.
Kabay, J.J., *Janos Kabay. The Life of an Inventor* (Warriewood, 2102; Australia, 1990). Pełna czułości biografia węgierskiego wynalazcy metody ekstrakcji opium ze słomy makowej (nadal wykorzystywanej w przemyśle farmaceutycznym do produkcji medycznej heroiny), napisana przez jego syna.
Kane, H.H., *The Drugs that Enslave* (Philadelphia, 1871). Wpływowa praca ówczesnego autorytetu.

Kane, H.H., *The Hypodermic Injection of Morphine* (New York, 1880). Dziś już spóźnione ostrzeżenie, ale w Wielkiej Brytanii szeroko cytowane.
Kane, H.H., *Opium Smoking in America and China* (Philadelphia, 1882).
Keats, J., *Complete Poems*, [red.] J. Barnard (Penguin Classics, 2003). W zbiorze zawarto wiele z najwspanialszych na świecie wierszy zainspirowanych przez opium.
Keay, J., *The Honourable Company – History of the English East India Company* (London, 1991).
Keller, F., *The Lake Dwellings of Switzerland* (London, 1866).
Kelley, A.M., *The School of Salernum, etc.* (New York, 1970). Reprint przekładu sir Johna Haringtona.
Keug, W. [red.], *Drug Abuse: Current Concepts and Research* (Springfield, Ill., 1972).
Kevran, R., *Laënnec, médicin Breton* (Paris, 1955). Biografia wielkiego lekarza napisana z życzliwością przez jego rodaka z Bretanii.
King, R., *The Drug Hang-up: America's Fifty-Year Folly* (New York, 1972). Ostry, ale niedający się pominąć atak na egzekwowanie prawa opiumowego.
Kingsley, C., *Alton Locke* (London, 1850). Opium w krainie Fens.
Kirchner, L., *The Big Bankroll. The Life and Times of Arnold Rothstein* (New York, 1957).
Klein, A., *Drugs and the World* (New York, 2008). Wyważone globalne spojrzenie na skutki wojen wydawanych narkotykom.
Knight, A.W. [red.], *The Beat Vision* (New York, 1978).
Knopf, S.A., *One million drug addicts in the United States*, „Medical Journal and Record", 1924 (119) 135.

Kobler, J., *Ardent Spirits: The Rise and Fall of Prohibition* (New York, 1972). Wciąż bodaj najlepsza książka o prohibicji, ze spostrzeżeniami bardzo trafnymi również w odniesieniu do wojny antynarkotykowej.
Kohn, M., *The Dope Girls. The Birth of the British Drug Underground* (London, 1992). Dobry portret londyńskiej sceny narkotykowej w epoce jazzu.
Ko-lin Chin, *The Golden Triangle. Inside South East Asia's Drug Trade* (Cornell University Press, Ithaca, NY, 2009). Interesująca relacja z pierwszej ręki.
Kuhnke, M., *Besuch bei Fallada* (Neubrandenburg, 1996). Sugestywne.
„Lancet", edytorial, *Poisoning with opium*, 1828 (ii) 764.
„Lancet", edytorial, *The Privy Council and the Pharmacy Act*, 1869 (i) 469.
Lane Poole, S., *The Life of Sir Harry Parkes* (London, 1894). Biografia kłopotliwego bohatera drugiej wojny opiumowej.
Latimer, D. i Goldberg, J., *Flowers in the Blood. The Story of Opium* (New York, 1981). Wybitna, napisana z pazurem i dobrze uźródłowiona historia autorstwa dwóch dziennikarzy, z licznymi adekwatnymi cytatami.
Laurie, P., *Drugs* (London, 1967).
Lawn, B., *The Salernitan Question: An Introduction to the History of Medieval and Renaissance Problem Literature* (Oxford, 1963).
Lay, G.T., *The Chinese As They Are* (London, 1841). Jak na tamte czasy zaskakująco życzliwe opracowanie o Chińczykach.
League of Nations [Liga Narodów], *First Opium Conference, Geneva, 1924–25* (Geneva, 1925).
Leask, N., *British Romantic Writers and the East: Anxieties of Empire* (London, 1993). Doskonałe.

Leavenworth, C.S., *The Arrow War with China* (London, 1901). Rozwlekłe i cokolwiek niezwiązane z tematem, ale miejscami pouczające wspomnienia.
Leech, K., *The junkies' doctors and the London drug scene in the 1960s*, zob. Whynes i Bean.
Lefebure, M., *Samuel Taylor Coleridge: A Bondage of Opium* (London, 1974). Pięknie napisana, pełna życzliwości biografia.
Lethbridge, H.J., *Hard Graft in Hong Kong* (Oxford, 1985). Świetna lektura.
Levine, S.M., *The Romantic Art of Confession* (London, 1998). Dobre źródło wiedzy o J.-J. Rousseau i de Quinceyu.
Levinson, M.H., *The Drug Problem: A New View Using the General Semantics Approach* (New York, 2002).
Levinstein, E., *The Morbid Craving for Morphia* [tłumaczenie *Die Morphinensucht*] (London, 1878).
Lewin, L., *Phantastica*, [tłum.] P.H.A. Wirth (I wyd. Berlin, 1924; wyd. z tłum. Rochester, Vt., 1998). W tamtych czasach pionierska książka na temat różnych środków upajających, w tym opium i jego pochodnych.
Lewin, L., *Die Gifte in der Weltgeschichte* [„Trucizny w historii świata"] (Berlin, 1920). Erudycja autora robi wrażenie.
Li, zob. Xiaoxiong.
Liedekerke, A. de, *La Belle Époque de l'Opium* (Paris, 1984). Dobra lektura.
Light, A.B. i Torrence, E.G., *Opium Addiction* (Philadelphia, 1930).
Lindley, A.F., *Taiping and Tien-kwoh: The History of the Taiping Revolution*, 2 tomy (London, 1866). Niezupełnie historia, ale dobra opowieść o powstaniu tajpingów.
Lindop, G., *The Opium-Eater: The Life of Thomas de Quincey* (London, 1981).

Lindsay, H., *Is the War with China a Just One?* (London, 1840). „Czy wojna z Chinami jest sprawiedliwa?” Zdaniem autora zdecydowanie tak.
Lintner, B., *Burma in Revolt. Opium and Insurgency since 1948* (Washington, DC, 1994). Znakomite.
Lintner, B., *Blood Brothers. The Criminal Underworld of Asia* (New York, 2003). Genialny, dogłębnie drążący temat reportaż o azjatyckim świecie przestępczym.
Lintner, B. i Black, M., *Merchants of Madness. The Methamphetamine Explosion in the Golden Triangle* (New York, 2009). Kolejna przykuwająca historia, następstwa opiumowo-heroinowego boomu.
Lodwick, K.L., *Crusaders against Opium. Protestant Missionaries in China* (Lexington, 1996). Nie jest to opowieść o sukcesie, ale wzrusza.
Lomax, E., *The uses and abuses of opiates in nineteenth century England*, „Bulletin of the History of Medicine”, 1973 (47) 63. Cenne.
London, J., *The Little Lady in the Big House* [*Maleńka pani wielkiego domu*] (New York, 1916). Zawiera zapadający w pamięć opis litościwego podania zabójczej dawki morfiny. Autor wiedział, o czym pisze.
Long, M.T., Hailes, A.M., Kirby, G.W. i Bruce, N.C., *Transformations of morphine alkaloids by pseudomonas putida M10*, „Applied and Environmental Microbiology”, 1995 (61:10) 3645. Owocny artykuł o wykorzystaniu mikroorganizmów do syntetyzowania lub konsumowania morfiny i jej chemicznych pochodnych.
Lopez-Munoz, F., Garcia-Garcia, P. i Alamo, C., *The virtue of that precious balsam: approach to Don Quixote from the psychopharmacological perspective,* „Actas Españolas Psiquiatria”, 2007 (35) 149. Dobre wprowadzenie w temat farmaceutycznych spekulacji dotyczących Don Kichota.

Lowes, J.L., *The Road to Xanadu* (Boston, Mass., 1927). Trochę nieaktualna, ale wciąż znakomita lektura.
Lowes, P.D., *The Genesis of International Narcotics Control* (Geneva, 1966). Zawiera wiele interesujących szczegółów na temat międzynarodowego problemu narkotyków i wynikających z niego frustracji.
Lubbock, B., *The Opium Clippers* (Glasgow, 1938). Obszerne wprowadzenie do technik pozyskiwania soku makowego.
Lucas, C., *The Fenman's World. Memories of a Fenland Physician* (Norwich, 1930). Świetne.
McAllister, W., *Drug Diplomacy in the Twentieth Century. An International History* (London, 2000). Dobrze się czytający przegląd wyjątkowo szerokiej tematyki.
Macauley, R., *Pleasure of Ruins* (London, 1953). Dobre zaprezentowanie sztuki Johna Martina i innych – romantycznej i inspirowanej przez opium.
MacCoun, R. i Reuter, P., *Drug War Heresies: Learning from Other Vices, Times and Places* (New York, 2001). Doskonałe i prowokujące.
McCoy, A.W., *The Politics of Heroin in South East Asia* (New York, 1972). Jedna z najbardziej „wybuchowych" książek opublikowanych w latach 70., eksponująca zaangażowanie CIA w przemyt opium.
McCoy, A.W., *The Politics of Heroin: CIA Complicity in the Global Drug Trade* (Chicago, 2003). Niemal z ostatniej chwili.
Macdonald, D., *Drugs in Afghanistan. Opium, Outlaws and Scorpion Tales* (London, 2007). Ważne i pouczające.
MacInnes, C., *Absolute Beginners* (London, 1959). Wspaniała powieść o narkotyzującym się światku przybyszów z Afryki i Karaibów w Londynie lat 50. XX wieku.

Mackenzie, A., *A History of the Mathesons* (London, 1900). Opowieść o rodzinnym oddaniu.
McMahon, K., *The Fall of the God of Money* (London, 2002). Znakomicie przedstawiona narkotyczna kultura XIX-wiecznych Chin.
Maday, A., *Romai orvostudomány* [„Medycyna Rzymian”] (Budapest, 1936).
Mahler, G., *Das irdische Leben*, [w:] *Des Knaben Wunderhorn* (Anne-Sofie von Otter, Berlin Philharmoniker, Abbado). Odniesienia – zob. rozdział 14.
Maimonides, *Correspondence*, [red.] I. Twersy (New York, 1972). Inspirujące.
Mann, J., *Murder, Magic and Medicine* (Oxford, 1994).
Mansfield, D. i Pain, A., *Alternative Livelihoods: Substance or Slogans?* [Dokument przygotowany przez] Afghanistan Research and Evaluation Unit (AREU; Kabul, 2007).
Mansfield, D. i Pain, A., *Evidence from the Field: Understanding Changing Levels of Opium Poppy Cultivation* (Kabul, 2007). Jeden z licznych ważnych dokumentów sporządzonych przez tych autorów na temat opiumowego problemu w Afganistanie.
Marez, C., *Drug Wars: The Political Economy of Narcotics* (Minneapolis, 2004).
Markus, J., *Dared and Done. The Marriage of Elizabeth Barrett and Robert Browning* (London, 1995). Morfina przekształcona w język miłości.
Marsh, J., *The Pre-Raphaelite Sisterhood* (London, 1985).
Marshall, E., *Uncle Sam is the worst drug fiend in the world*, „New York Times”, 22 March 1911.
Massing, M., *The Fix* (New York, 1998). Dobrze się czytający krytyczny przegląd polityki narkotykowej w ciągu ostatnich 50 lat.

Matheson, D., *What is the Opium Trade?* (Edinburgh, 1857). Istotna antynarkotykowa rozprawa napisana przez syna współzałożyciela spółki Jardine & Matheson.
Mattison, J.B., *Opium addiction among medical men*, „Medical Records", 1883 (23) 621.
Mattison, J.B., *The treatment of opium addiction*, „Journal of Nervous and Mental Diseases", 1885 (12) 249. Bardziej szczegółowe potraktowanie tego samego co w powyższym artykule.
Mattison, J.B., *Narcotic abuse and the public weal*, „Medical News", 1903 (82) 638.
Mauclair, C., Quinn, A.H., Wagenknecht, E., Rans, G. i Phillips, M., *Edgar Allan Poe the Man*, 2 tomy (Chicago, 1926). Uzależnienie E.A. Poego od opium jest dyskusyjne. Ci autorzy w nie wątpią, ale większość biografów, zwłaszcza we Francji, idzie w ślady Baudelaire'a i nie ma wątpliwości co do tego, że pisarz zażywał narkotyk w dużej ilości.
Maudsley, H., *Opium in the treatment of insanity*, „Practitioner", 1869 (2) 1.
Maynard, W.P., *The Terror of Fu Manchu* (London, 2009).
Meynell, E., *The Life of Francis Thompson* (London, 1913). Tragiczna opowieść o kolejnym poecie chorym na gruźlicę i uzależnionym od opium.
Mezey, A., *Muse in Torment* (Lewes, 2000). Wielu poetów czerpiących natchnienie z laudanum czy morfiny wśród swoich współczesnych miało opinię dotkniętych obłędem, z kolei niektórzy szaleni poeci niewątpliwie byli uzależnieni. W tej błyskotliwej książce autor, psychiatra, rozważa powiązanie choroby psychicznej z literacką inspiracją.
Mickel, E.J., *The Artificial Paradise in French Literature. The Influence of Opium and Hashish on the*

Literature of French Romanticism and Les Fleurs du Mal (Chapel Hill, NC, 1969). Wyczerpujące i miejscami pouczające.
Miles B., *Ginsberg. A Biography* (London, 2001).
Milligan, B., *Pleasures and Pains: Opium and the Orient in Nineteenth Century British Culture* (Charlottesville, Va., 1995). Doskonałe.
Mills, J.H. i Barton, P. [red.], *Drugs and Empires. Essays in Modern Imperialism and Intoxication* (New York, 2007). Zawiera kilka znakomitych esejów.
Milne, L., *The Shans at Home* (London, 1910). Środowisko, z którego wywodził się Khun Sa.
Mirbeau, O., *Les Vingt et un jours d'un neurasthénique* (Paris, 1901). Świetna fikcja.
Mitcheson, M. i Hartnoll, J., *Conflicts in deciding treatment within drug dependency clinics*, [w:] D.J. West [red.], *Problems of Drugs in Britain* (London, 1978). Pouczające.
Moges, markiz de [red.], *Recollections of Baron Gros's Embassy to China and Japan in 1857–58* (London, 1860). Doskonały memuar, zawierający między innymi wspomnienia z uczestnictwa barona Grosa w drugiej wojnie opiumowej.
Moore, W.J., *The Other Side of the Opium Question* (London, 1882). Dobrze poparta argumentami obrona oficjalnej polityki brytyjskiej, napisana przez zastępcę naczelnego chirurga indyjskiej armii.
Moreau, F., *Thomas de Quincey, la vie, l'homme, l'oeuvre* (Paris, 1964). Wnikliwe.
Morel, B.A., *Traité sur la dégéneration* (Paris, 1857). Wpływowa w swoich czasach książka przewidująca straszliwe konsekwencje rozszerzającego się nałogu narkotykowego.

Morgan, T., *Literary Outlaw: The Life and Times of William S. Burroughs* (New York, 1983).
Morison, J.L., *The 8th Earl of Elgin* (London, 1928). Nieco hagiograficzna biografia Elgina, prokonsula imperium. Ale był on bardziej złożoną i pod wieloma względami bardziej interesującą postacią.
Morris, M. [red.], *The Book of Health* (London, 1883). Zawiera wnikliwy artykuł T.L. Bruntona o narkotykach.
Morrison, R., *The English Opium Eater: A Biography of Thomas de Quincey* (London, 2009). Obszerna, napisana z życzliwością współczesna biografia.
Morse, H.B., *The International Relations of the Chinese Empire* (London, 1910). Najlepszy tekst źródłowy o międzynarodowych stosunkach chińskiego imperium.
Mott, W., *Über Opium in China. Erinnerungen eines alten Arztes* (Tübingen, 1880). Poruszająca relacja misyjnego lekarza.
Mulligan, B., *Morphine-addicted doctors: The English opium eater and embattled medical authority*, „Victorian Literature and Culture", 1905 (33) 541. Ważny dokument o pomijanym aspekcie opiumowego uzależnienia.
Musto, D., *The American Disease: Origins of Narcotics Control* (III wyd., Oxford, 1999). Znakomite.
Nett, J.C., *Repression und Verhaltensanpassung in lokalen Heroin- und Kokainmarkten* [„Represja i wzorce behawioralne na lokalnych rynkach heroiny i kokainy"] (Bern, 2006).
Newman, R., *Opium smoking in late imperial China: a reconsideration*, „Modern Asian Studies", 1995 (29/4) 765. Kontrowersyjne, ale przełomowe, rewizjonistyczne studium.
Nguyen te Duc, [red.] G. Tredaniel, *Le Livre d'opium* (Paris, 2002).

Nicase, E. [red. i tłum.], *La Grande Chirurgie de Guy de Chauliac, composé en l'an 1363* (Paris, 1890).
Nisbet, J.F., *The Insanity of Genius and the General Inequality of Human Faculty Psychologically Considered* (London, 1881). Dzisiaj już staroć, ale w swoim czasie zacna.
Norton, B.J., *Experimental therapeutics in the Renaissance*, „Journal of Pharmacology and Experimental Therapeutics", 2003 (304) 489.
Nutton, V. [red.], *Galen. Problems and Prospects* (London, 1981). Wszystko, co chciałoby się wiedzieć o tym wielkim, ale niesympatycznym człowieku.
Oberman, J., *The Code of Maimonides* (New Haven, Conna., 1954).
Obersteiner, H., *Opium Dens in London* (London, 1906).
O'Brian, C.P. i Jaffe, J.H. [red.], *Addictive States*, Research Publications, tom 70 (New York, 1992).
Oliphant, L., *Narrative of the Earl of Elgin's Mission to China*, 2 tomy (London, 1859). Świetnie napisane wspomnienia sekretarza lorda Elgina.
O'Neill, E., *Long Day's Journey into Night* (New Haven, 1956).
Oppenheim, J., *'Shattered Nerves'. Doctors, Patients and Depression in Victorian England* (Oxford, 1991). Doskonałe.
Orczy, Baronowa, *The Woman in the Big Hat* (London, 1910). Znakomita opowieść twórczyni *Szkarłatnego kwiatu*, skupiająca się na fatalnej dawce morfiny podanej w filiżance czekolady.
Osler, W., *The Principles and Practice of Medicine* (London, 1892). Najbardziej wpływowy podręcznik medyczny swoich czasów.

Ouchterloni, J., porucznik, *The Chinese War* (London, 1844). Dobra relacja naocznego świadka, młodego podoficera indyjskiej armii.
Owen, D.E., *British Opium Policy in China and India* (New Haven, 1934). Dobrze uźródłowione, ale stronnicze.
Pachter, H., *Paracelsus* (New York, 1951). Dobre, ale jeszcze lepsze: Pagel, *Paracelsus*.
„Pacific Medical and Surgical Journal", edytorial, *Four hundred opium dens in San Francisco*, 1881 (23) 523.
Page, H.A., *Life of Thomas de Quincey* (London, 1977). Pierwsza wiarygodna biografia.
Pagel, W., *Paracelsus. An Introduction to Philosophical Medicine in the Era of the Renaissance* (London, 1982). Majestatyczne opracowanie sporządzone przez najwybitniejszego (ale trochę stukniętego) obrońcę Paracelsusa.
Paludan, A., *A Chronicle of the Chinese Emperors* (New York, 1998).
Paoli, L., Greenfield, V.A. i Reuter, P., *The World Heroin Market. Can Supply Be Cut?* (Oxford, 2009). Miarodajny i aktualny przegląd, ale niełatwo się czyta.
Parker, E.H., *Chinese Account of the Opium War* (I wyd. Shanghai, 1888; Kessinger Publishing Legacy Reprints, 2006). Cenny reprint niemal nieosiągalnego oryginału, przedstawia pierwszą wojnę opiumową z chińskiego punktu widzenia.
Parkinson, J., *A Medical Admonition to Families Respecting the Preservation of Health and the Treatment of the Sick* (London, 1800). Cenna praca, która zasłużenie doczekała się licznych wydań. Broni opium „w umiarkowany sposób".
Parliamentary Papers 1842, XXVII: On the Sanitary Conditions of the Labouring Population.

Parliamentary Papers 1894, XLII: Report of the Royal Commission on Opium.
Parliamentary Papers 1912–13, LXVIII: Instructions to the British Delegation to the International Opium Conference held at The Hague, December 1911.
Parliamentary Papers 1912–13, CXIX: Report of the British Delegates to the International Opium Conference.
Parry, N. i J., *The Rise of the Medical Profession. A Study of Collective Social Mobility* (London, 1976).
Parssinen, T.M., *Secret Passions, Secret Remedies: Narcotic Drugs in British Society, 1820–1930* (Philadelphia, 1983).
Parssinen, T. i Kerner, K., *Development of the disease model of drug addiction in Britain, 1870–1926*, „Medical History", 1980 (24) 275. Ważne.
Pavel, E., *The Poet Dying. Heinrich Heine's Lost Years in Paris* (New York, 1995). Stracone, oddane narkotykowi lata umierającego poety.
Pearsall, R., *Conan Doyle: A Biographical Solution* (London, 1977). Trafna opowieść o uzależnionym lekarzu pisarzu.
Pereira, J., *Elements of Materia Medica* (London, 1839). Uznany podręcznik medyczny swoich czasów.
Pert, C., *Molecules of Emotion: Why You Feel the Way You Feel* (New York, 1997). Żywa, gawędziarska, doprowadzająca do szału i zarazem zabawna autobiograficzna opowieść o początkach endorfin, snuta przez jednego z ich odkrywców.
Peters, C., *The King of Invention. The Life of Wilkie Collins* (London, 1991).
Phayre, A.P., Lt Gen. Sir, *History of Burma* (II wyd., London, 1967).
Pichois, C., *Album Baudelaire* (Paris, 1974).

Pichois, C. i Ziegler, J., *Baudelaire* (Paris, 1996). Nowe wydanie klasycznej biografii.
Pickering, G., *Creative Malady* (London, 1974). Wspaniały pomysł, ale rozczarowująca realizacja.
Plant, S., *Writing on Drugs* (London, 1999). Specyficzna antologia tekstów o narkotykach.
Plato, *The Last Days of Socrates* (Penguin, London 1975). Czy cykuta została doprawiona opium?
Poe, E.A., *The Portable Poe*, [wstęp] Philip van Doren Stern (I wyd. 1959; Penguin, London, 1977). Był w końcu czy nie był uzależniony?
Poeaknapo, C., Schmidt, J., Brandsch, M., Drager, B. i Zenk, M.H., *Endogenous formation of morphine in human cells*, „Proceedings of the National Academy of Sciences of the USA", 2004 (101–39) 14091.
Polachek, J., *The Inner Opium War* (Cambridge, Mass., 1993).
Pollock, J., *Wilberforce* (London, 1977).
Pomet, P., *L'Histoire générale des drogues, traitant des plantes, des animaux et des mineraux, etc*. (Paris, 1684), przetłumaczone anonimowo na angielski pod tytułem *A Compleat History of Drugs* i opublikowane w Londynie w 1712. Fascynujące i bardzo francuskie przemieszanie wiedzy z sensacyjną „egzotyką", przełożone też na niemiecki, w swoich czasach szeroko czytane i cytowane.
Porche, F., *Charles Baudelaire* (London, 1927). Zapomniana, a świetna biografia.
Porter, I.A., *Thomas Trotter, MD, Naval Physician*, „Medical History", 1963 (7) 75.
Porter, R., *The Greatest Benefit to Mankind* (London, 1997). Jednotomowa, napisana przez jednego człowieka historia medycyny, monumentalne i niemożliwe do wykonania zadanie, lecz bardzo udane.

Porter, R. i Teich, M., *Drugs and Narcotics in History* (Cambridge, 1995). Ważna praca wielu autorów.
Posner, G., *Warlord of Crime* (New York, 1988).
Pratt, W.B. i Taylor, P. [red.], *Principles of Drug Action: The Basis of Pharmacology* (III wyd., London, 1990).
Privy Council Papers [dokumenty Tajnej Rady Królewskiej], P.V. 8, 153, 1869 *Pharmacy Act, 1868. The Law Officers' Opinion*.
Proudfoot, A.T., *Acute Poisoning. Diagnosis and Management* (London, 1993).
Pullinger, J., *Crack in the Wall* (London, 1989).
Pullinger, J. i Quickie, A., *Chasing the Dragon* (London, 1989).
Qassem, A.S., *Afghanistan's Political Stability* (New York, 2009).
Raan, S., *Five Families. The Rise, Decline and Resurgence of America's Most Powerful Mafia Empires* (New York, 2005). Ekscytujące.
Rahman, F., *Health and Medicine in the Islamic Tradition* (New York, 1987). Bardzo bogate w informacje.
Ramon y Cajal, S., *Psicologia de Don Quijote y el quijotismo* (Madrid, 1905). Możliwe działanie narkotyków na Don Kichota zaprzęta najtęższe umysły hiszpańskich naukowców od ponad 100 lat.
Rashid, A., *Taliban Islam and Oil: The New Great Game in Central Asia* (London, 2000). Dobrze napisane i pouczające.
Raskin, J., *American Scream: Allen Ginsberg's 'Howl' and the Making of the Beat Generation* (Berkeley, 2004). Dobre wprowadzenie do tematu *Skowytu* i pokolenia bitników.
Ray, O.S., *Drugs, Society and Human Behaviour* (St Louis, 1982). Wnikliwe studium.

Récamier, J.-P. de, *Voyage au Levant* (Paris, 1850). Przydatny, ale nudnawy dziennik podróży.
Reid, J.C., *Francis Thompson, Man and Poet* (London, 1959).
Renard, R., *The Burmese Connection. Illegal Drugs and the Making of the Golden Triangle* (London, 1996). Znakomita historia pojawienia się Złotego Trójkąta.
Rennie, D.F., *The British Arms in North China* (London, 1864). Zawiera żywą relację z marszu na Pekin.
Reuter, P., *Disorganised Crime: The Economics of the Visible Hand* (Cambridge, Mass., 1983).
Rimbaud, A., *Collected Poems*, [red.] Oliver Bernard (I wyd. 1962; Penguin, London, 1986).
Robb, G., *Rimbaud* (London, 2000). Doskonałe.
Roberts, C. i Cox, M., *Health and Disease in Britain* (Stroud, 2003).
Roberts, C. i Manchester, K., *The Archaeology of Disease* (II wyd., Ithaca, NY, 1995).
Robertson, F., *Triangle of Death* (London, 1977). Dużo cennych informacji; nie należy się zrażać okropnym tytułem.
Robinson, K., *Wilkie Collins* (London, 1951). Nie najnowsza biografia, ale przynosząca najwięcej informacji o uzależnieniu Collinsa.
Robinson, V., *Victory over Pain* (London, 1947). Przedwcześnie triumfalistyczna praca, ale dobrze poparta badaniami.
Rohmer, S., *Dope, A Story of Chinatown and the Drug Traffic* (London, 1919). Znakomite dzieło niesławnego twórcy postaci Fu Manchu.
Rolleston Report: *Report of the Departmental Committee on Morphine and Heroin Addiction* (London, HMSO,

1926). Przymiarka do „brytyjskiego podejścia” w postępowaniu z uzależnionymi.
Ropp, R.S. de, *Drugs and the Mind* (London, 1958). Doskonałe.
Rothstein, W., *American Physicians in the Nineteenth Century. From Sects to Science* (Baltimore, 1973). Użyteczne źródło.
Rowe, T.C., *Federal Narcotics Laws and the War on Drugs: Money down a Rat Hole* (New York, 2006). Jak w podtytule: federalne pieniądze wyrzucane w błoto.
Rowell, E.A., *The Dope Adventures of David Dare* (Nashville, 1937). D.D. ratuje ofiary dilerów opium.
Rowntree, T., *The Imperial Drug Trade* (London, 1905). Majestatyczny akt oskarżenia.
Royal Commission on Opium, *Report*, 7 tomów (London, 1894–95). Raport Królewskiej Komisji ds. Opium.
Rubin, V. [red.], *Cannabis and Culture* (The Hague, 1875). Jedna z najzasobniejszych w informacje książek o konopiach. Podobnie jak amfetaminy i halucynogeny, marihuana ma własną ogromną literaturę, nieujętą w niniejszej bibliografii.
Rublowsky, J., *The Stoned Age: A History of Drugs in America* (New York, 1975). Cięty język, tekst z dziennikarskim pazurem, czasami irytujący do żywego.
Rutkow, I.M., *Bleeding Blue and Gray. Civil War Surgery and the Evolution of American Medicine* (New York, 2005). Ważny aspekt historii medycyny (chirurgia wojny secesyjnej i ewolucja amerykańskiej medycyny), starannie przebadany.
Saikal, A. i Maley, W., *The Soviet Withdrawal from Afghanistan* (London, 1989). Pouczająco nakreślone tło afgańskiej „eksplozji” makowej.

Saimöng, S., *The Shan States and the British Annexation* (II wyd., Cornell, 1969). Dobrze zarysowane tło działalności Khuna Sa oraz Złotego Trójkąta.
Sainsbury, H., *Drugs and the Drug Habit* (London, 1909).
Saussay, V. du, *La Morphine* (Paris, ok. 1895). Wśród wielu zapadających w pamięć scen tej fin de siècle'owej powieści jest taka: Raoul, terminalnie uzależniony sadysta, jego pobita żona, jego siostra, elegancka call girl oraz jego dwie siostry prostytutki dzielą wspólną strzykawkę podczas bożonarodzeniowej morfinowej orgii.
Scarborough, J., *The opium poppy in Hellenistic and Roman medicine*, [w:] R. Porter i M. Teich [red.], *Drugs and Narcotics in History*, 4.
Schneider, E., *Coleridge, Opium and Kubla Khan* (Chicago, 1953).
Scholl, R., *Der Papyrus Ebers. Die grösste Buchrolle zur Heilkunde Altaegyptens* (Leipzig, 2002). Najlepszy przewodnik po najważniejszym medycznym dokumencie starożytnego Egiptu.
Scott, J.L., *Narrative of a Recent Imprisonment in China* (London, 1841). Fascynująca relacja młodego oficera marynarki wojennej.
Scott, J.M., *The White Poppy. A History of Opium* (London, 1971). Krótka, lecz cenna historia, której co najmniej jedną trzecią stanowią współczesne cytaty.
Seefelder, M., *Opium, eine Kulturgeschichte* (Hamburg, 1987). Więcej tu o znanej anglo-amerykańskiej scenie niż o nie mniej interesującej niemieckiej, ale zawiera dobre informacje o Falladzie.
Senay, E.C., *Drug abuse and public health – a global perspective*, „Drug Safety 6", Supplement 1, 1991 (1) 1.
Serturner, F., *Darstellung der reinen Mohnsaure (Opiumsaure) nebst einer chemischen Untersuchung des*

Opium vorzuglicher Hinsicht auf einen darin neu erdeckten Stoff und die dahin gehörigen Bemerkungen, „Journal der Pharmacie für Aerzte und Apotheker”, 1806 (14) 46. Znaczący artykuł ogłaszający odkrycie morfiny, jeszcze tak nienazwanej.
Sévigné, Mme de, *Selected Letters*, [tłum., red. i wstęp] L. Tancock (London, Penguin Classics, 1982). Życie i śmierć na dworze Ludwika XIV byłyby ponure bez opium.
Seznec, J., *John Martin en France* (London, 1964). Wzajemny wpływ opium i zainspirowanej nim romantycznej literatury i sztuki.
Shaffer, H. i Burglass, M.E. [red.], *Classic Contributions to the Addictions* (London, 1981).
Sheridan, J.E., *China in Disintegration. The Republican Era in Chinese History, 1912–1949* (Ithaca, NY, 1975).
Simantov, R. i Snyder, S., *Morphine-like peptides in mammalian brain: isolation, structure, elucidation and interactions with the opiate receptor*, „Proceedings of the National Academy of Sciences of the USA”, 1976 (73–7) 2515.
Sinclair, U., *The Jungle* [*Bagno*] (New York, 1906). Mocna powieść o biednej imigrantce w Nowym Jorku; w burdelu, gdzie pracuje, morfina leje się strumieniami.
Siraisi, N.G., *Medieval and Early Renaissance Medicine: An Introduction to Knowledge and Practice* (Chicago, 1990).
Sisman, A., *Wordsworth and Coleridge. The Friendship* (London, 2006). Unikatowa współpraca i przyjaźń poetów o całkowicie różnych charakterach.
Smart, C., *Social policy and drug addiction: a critical study of policy development*, „British Journal of Addiction”, 1984 (79) 31.
Smith, T., *How dangerous is heroin?*, „British Medical Journal”, 1993 (1) 807.

Snyder, S.H. i Matthysse, S., *Opiate Receptor Mechanisms* (Cambridge, Mass., 1975). Przełomowa książka.
Soheil, S.M., *Avicenna, his Life and Work* (London, 1958).
Sons of Wilberforce, *The Life of William Wilberforce*, 2 tomy (London, 1838). Obnażone uzależnienie od opium.
Spear, H.B., *Management of drug addicts*, „Lancet", 1987 (i) 1322. Doskonałe.
Spence, J., *Opium smoking in late imperial China*, [w:] F. Waterman i C. Grant [red.], *Conflict and Control in Late Imperial China* (Berkeley, 1975).
Starkie, E., *Baudelaire* (London, 1957). Nadal najlepsza angielskojęzyczna książka o Baudelairze.
Stendhal, *La Chartreuse de Parme* [*Pustelnia parmeńska*] (Paris, 1830). Zawiera jeden z najbardziej sugestywnych i wstrząsających opisów celowego otrucia za pomocą laudanum.
Sterling, C., *Crime without Frontiers* (London, 1994).
Stern, M.B., *Louisa May Alcott* (New York, 1986). Cierpienia uzależnionej. Smutne.
Stevens, R., *American Medicine and the Public Interest* (New Haven, 1971). Cenne spojrzenie na społeczny wymiar medycyny, z odniesieniami do nadużywania leków.
Stimson, G. i Oppenheimer, E., *Heroin Addiction. Treatment and Control in Britain* (London, 1982). Wartościowe i obiektywne.
Stoker, B., *Dracula* (1897; London, 2001). „Jakby nie wystarczyły wampiry, Stoker w dodatku ogłupia mózg biednej Lucy morfiną".
Stout, B. i Misra, M. [red.], *Reports of the English East India Company* (Bombay, 1932).
Stowe, H.E.B., *Uncle Tom's Cabin* [*Chata wuja Toma*] (1853). Zdesperowana niewolnica Cassie za pomocą laudanum zabija swe nowo narodzone dziecko.

„Postanowiłam (…). Nigdy więcej nie pozwolę, żeby dziecko urosło”.
Strang, J. i Gossop, M. [red.], *Heroin Addiction and the ‘British System’: Understanding the Problem* (London, 2005). Ważne.
Strausbaugh, J. i Blaise, D. [red.], *The Drug User* (New York, 1990). Dobra, krótka antologia dzieł literackich, w tym mało znanych.
Sultzberger, H. [red.], *All About Opium* (London, 1884). Elokwentna odpowiedź opiumowego kupca na „coraz głośniejsze i niesprawiedliwe ataki antyopiumowego społeczeństwa”.
Summers, A., *The Arrogance of Power* (New York, 2000).
Sydenham, T., *Opera Omnia* (1683), [tłum.] G. Greenhill [jako] *Collected Works*, 2 tomy, (London, 1884).
Symons, J., [„Wprowadzenie” do:] Wilkie Collins, *The Woman in White* [*Kobieta w bieli*] (London, 1860).
Szasz, T., *Ceremonial Chemistry: The Ritual Persecution of Drugs, Addicts and Pushers* (London, 1975). Ambitny dokument skupiający się na roli lekarzy w tworzeniu jatrogennych nieprawidłowości i epidemii.
Takano, H., *The Shore beyond Good and Evil: A Report from inside Burma’s Opium Kingdom* (Tokyo, 2002). Dobra relacja z pierwszej ręki na temat życia w Złotym Trójkącie.
Talmeyr, M., *La Comtesse Morphine* (Paris, 1885). Jedna z najlepszych spośród licznych zawzięcie antymorfinowych powieści fin de siècle’u.
Tandener, P.R. i Peleg, A., *The medical Cervantes*, „Journal of the Canadian Medical Association”, 2001 (165) 1123.
Tanner, S., *Afghanistan: A Military History from Alexander the Great to the War against the Taliban* (London, 2009). Doskonałe.

Taylor, A.H., *American Diplomacy and the Narcotics Traffic* (Durham, NC, 1969). Mistrzowskie opracowanie.
Taylor, A.S., *On Poisons in Relation to Medical Jurisprudence and Medicine* (London, 1848). Pionierska praca pierwszego profesora medycyny sądowej w Londynie. Zdanie otwierające: „Połowa XIX wieku w Anglii to epoka przesiąknięta trucizną".
Temkin, O., *Galenism: Rise and Decline of a Medical Philosophy* (Ithaca, NY, 1973). Najlepsze wprowadzenie do zagadkowej kwestii „galenizmu".
Teng, S.Y., *Chang His and the Treaty of Nanking* (Chicago, 1944).
Teng, S.Y., *The Taiping Rebellion and the Western Powers* (Oxford, 1971). Znakomite, częściowo oparte na chińskich źródłach.
Terenius, L., *From opiate pharmacology to opioid peptide physiology*, „Uppsala Journal of Medical Science", 2000 (105–1) 1. Odkrywcza osobista relacja.
Terry, C.E. i Pellens, M., *The Opium Problem* (New York, 1928). Klasyka z cennymi wyciągami z wcześniejszej literatury.
Thackeray, W.M., *Vanity Fair* [*Targowisko próżności*] (1847). Zawiera wiele wzmianek o laudanum, w tym szczególnie wymowną scenę, w której Emmy powstrzymuje swą matkę od „otrucia dziecka" tym specyfikiem.
Thant, Myint-U, *The Making of Modern Burma* (Cambridge, 2001).
Thelwall, A.S., wielebny, *The Iniquities of the Opium Trade with China* (London, 1839). Trzeźwe chrześcijańskie spojrzenie.
Thompson, C.J.S., *The Mystic Mandrake* (London, 1973). Przez długie wieki mandragora przyćmiewała makowy sok w Europie.

Thurman, J., *Secrets of the Flesh: A Life of Colette* (New York, 1999). Colette nie była uzależniona, ale wszyscy w jej otoczeniu najwyraźniej tak.
Tosches, N., *King of the Jews. The Arnold Rothstein Story* (London, 2005).
Toussaint, P., *Marie Dupléssis, la vrai Dame aux Camélias* (Paris, 1958).
Townshend, T.B., *Neuralgia treated with enormous doses of sulphated morphia*, „Ohio Medical and Surgical Journal", 1863 (1) 87.
Transnational Institute (TNI), *Downward Spiral Banning Opium in Afghanistan and Burma* (Amsterdam, 2005). Użyteczny dokument, podobnie jak kolejne publikacje Instytutu.
Transnational Institute (TNI), *Losing Ground. Drug Control and War in Afghanistan* (Amsterdam, 2006).
Transnational Institute (TNI), *Missing Targets. Contemporary Drug Control Efforts in Afghanistan* (Amsterdam, 2007).
Transnational Institute (TNI), *Withdrawal Symptoms. Changes in the South East Asian Drugs Market* (Amsterdam, 2008).
Travis Hanes III, W. i Sanello, F., *The Opium Wars* (Naperville, Ill., 2002). Doskonałe: świetnie się czyta i rozszerza horyzonty.
Trocki, C.A., *Opium and Empire: Chinese Society in Colonial Singapore, 1800–1910* (London, 1990).
Trocki, C.A., *The Opium Trade, 1750–1950* (London, 1999).
Trotter, T., *A View of the Nervous Temperament: Being a Practicle Inquiry into the Increasing Prevalence, Prevention, and Treatment of These Diseases Commonly Called Nervous, Bilious, Stomach and Liver Complaints*

(Edinburgh, 1788). Krytyczne ówczesne spojrzenie na rodzący się „wiek romantyzmu”.
Trumbull, C.G., *Anthony Comstock, Fighter* (New York, 1913). Jeszcze w 1913 roku Comstock miał swoich zwolenników.
Turner, F.S., *British Opium Policy and its Results in China* (London, 1876). Apel elokwentnego działacza antyopiumowego.
UNAIDS, United Nations Programme on AIDS/HIV [Program ONZ związany z AIDS/HIV], *Report on the 2006 Global Epidemic* (Geneva, 2006).
UNAIDS, *Aids Epidemic Update* (Geneva, 2007).
UNODC, *Afghanistan, Annual Opium Poppy Survey, 2001* (Vienna, 2001).
UNODC, United Nations Office on Drugs and Crime, *Myanmar Opium Survey* (New York, 2005).
UNODC, *Opium Poppy Cultivation in the Golden Triangle, Laos PDR, Myanmar, Thailand* (New York, 2007).
UNODC, *Afghanistan Opium Survey, 2007. Executive Summary* (New York, 2007).
UNODC, *World Drug Report Seizures*, online: http://www.unodc.org, dostęp: październik 2008.
United States Department of State, *International Narcotics Control Strategy Report* (Washington, DC, 2005).
van Ash, C., *The Fires of Fu Manchu* (New York, 1987). Zajmująca biografia Saxa Rohmera pióra jego bliskiego przyjaciela.
van Duyne, P.V. i Levy, M., *Drugs and Money: Managing the Drug Trade and Crime Money in Europe* (London, 2005).
Varin, P., *Expédition de Chine* (Paris, 1862). Stronnicza, ale interesująca antybrytyjska relacja z pierwszej ręki z drugiej wojny opiumowej.

Vicars, R.G., *Laudanum drinking in Lincolnshire*, „St. George's Hospital Gazette", 1893 (1) 24.
Vickers, N., *Coleridge and the Doctors* (Oxford, 2004). Nieprzyjemna lektura dla lekarzy.
Victoria, Queen, *Letters*, [red.] E.C. Benson (London, 1907).
von Turkoczy, G., *Nepszovetsegi Kronika* [„Kronika Ligi Narodów"] (Budapest, 1942). Utrzymana w plotkarskim stylu, lecz pełna informacji relacja z pracy Ligi napisana przez członka węgierskiej delegacji.
Waldrond, T. [red.], *Letters and Journals of James, 8th Earl of Elgin* (London, 1878).
Waley, A., *The Opium Wars through Chinese Eyes* (London, 1958). Niezrównana relacja zawierająca liczne tłumaczenia chińskich dokumentów, w tym list komisarza Lina do królowej Wiktorii.
Walsh, J., *Strange Harp, Strange Symphony. The Life of Francis Thompson* (New York, 1967).
Walters, F.P., *A History of the League of Nations*, 2 tomy (Oxford, 1952). Istotny wkład w dyskusję nad opiumowymi konferencjami.
Ward, J.R., *Flashback. Drugs and Dealing in the Golden Age of the London Rave Scene* (Cullompton, Devon, 2010).
Watson, L., *Coleridge at Highgate* (Longmans, 1925). Pełne uczucia wspomnienia potomka doktora Gillmana.
Watson, S., *The Birth of the Beat Generation. Visionaries, Rebels and Hipsters, 1944–1960* (New York, 1998). Dobrze przedstawiona nowojorska scena narkotykowa.
Wayne Morgan, H., *Drugs in America, A Social History, 1800–1980* (Syracuse, NY, 1981). Krótka rzecz, ale poparta skrupulatną pracą badawczą, niezastąpiona.
Webster, C., sir, *The Foreign Policy of Palmerston, 1830–41* (London, 1951).

Weir, H.C., *The American Opium Peril*, „Putnam's Magazine", 1909 (7) 329. Jeden z setek artykułów w popularnej prasie zawierających apokaliptyczne ostrzeżenia przeciw morfinie i heroinie.
Weir-Mitchell, S., *Doctor and Patient* (Boston, 1887). Niezwykle wnikliwa książka.
Weir-Mitchell, S., *Autobiography of a Quack* (New York, 1899). Świetna lektura.
Weiss, R. i Butterworth, C. [red.], *The Ethical Concepts of Maimonides* (New York, 1975).
Wells, W.A., *A Doctor's Life of John Keats* (New York, 1959). O Keatsie napisano wiele; to akurat warto przeczytać.
Welsh, F., *A History of Hong Kong* (London, 1993).
Westermeyer, J., *Poppies, Pipes and the People: Opium and its Use in Laos* (Berkeley, 1982).
Whitaker, B., *The Global Connection. The Crisis of Drug Addiction* (London, 1987). Znakomite.
Whynes, D.K. i Bean, P.T. [red.], *Policing and Prescribing. The British System of Drug Control* (London, 1991). Zawiera między innymi wyjątkowo dobry esej o ćpunach, autorstwa K. Leacha.
Wickens, G.M. [red.], *Avicenna, Scientist and Philosopher. A Millenary Symposium* (London, 1952). Porządne źródło wiedzy.
Wilde, O., *The Picture of Dorian Gray* (1891; Penguin 1966).
Williams, J., *More Lives than One. A Biography of Hans Fallada* (London, 1998). Poparta starannie zebranym materiałem badawczym biografia wielkiego, tragicznego pisarza.
Willoughby, W.W., *Opium as an International Problem: The Geneva Conference, 1925* (Baltimore, 1926). Historia niespełnionej nadziei.

Wise, R.A., *The neurobiology of craving: interactions for the understanding and treatment of addiction*, „Journal of Abnormal Psychology”, 1988 (97) 118. Znakomity dokument o możliwych mechanizmach głodu narkotykowego.
Wisotsky, S., *Breaking the Impasse in the War on Drugs* (London, 1986). Głęboko przemyślane.
Wolmar, C., *Blood, Iron and Gold: How the Railways Transformed the World* (London, 2009). Zawiera zjadliwą relację o uzależnieniu kulisów od opium i ich pracy przy budowie linii kolejowych w Stanach Zjednoczonych i Panamie.
Wood, A.C., *The History of the Levant Company* (Oxford, 1935).
Wordsworth, D., *The Grasmere Journals*, [red.] P. Woof (Oxford, 1999).
World Bank, *World Development Report, 2007* (Washington, DC, 2008).
Xenophone, *The Banquet of Xenophone*, [tłum. na ang.] J. Welwood (London, 1750).
Xiaoxiong Li, *Poppies and Politics in China, Sichuan Province, 1840–1940* (Newark, Del., 2010). Dzieło poparte wnikliwą pracą badawczą, bazujące na niedostępnych inną drogą źródłach chińskich.
Young, G., *A Treatise on Opium* (London, 1765). Pionierska książka omówiona w rozdziale 10.
Yvorel, J.-J., *Les Poisons de l’esprit: drogues au XIX siècle* (Paris, 1992).
Zheng, Y., *The Social Life of Opium in China* (New York, 2005). Fascynująca i cokolwiek rewizjonistyczna historia.
Ziegler, J., *Gautier, Baudelaire. Un carré de Dames* (Paris, 1978). Doskonała opowieść o opiumowej scenie francuskiego romantyzmu.

Zimmer, C., *Soul made Flesh* (London, 2004). Pomijając tytuł, jest to przykuwająca panorama rewolucji naukowej z początku XVII wieku, zawierająca wczesne eksperymenty z opium, skupiona na osobie wielkiego anatoma i lekarza, Thomasa Willisa.